

HERBJØRG WASSMO

KSIEGA DINY

Przełożyła Ewa Partyga

Wydanie polskie 1999

Til Bjørn

PROLOG

DOBROCIĄ SWĄ CHEŁPI SIĘ WIELU,
LE CZ MĘŻA PEWNEGO KTÓŻ ZNAJDZIE?
SPRAWIEDLIWY W PRAWOŚCI SWEJ ŻYJE,
SZCZĘŚLIWE PO NIM SĄ DZIECI.
KTO POWIE: „USTRZEGLĘM CZYSTOŚCI SERCA,
WOLNY JESTEM OD GRZECHU”?

(Księga Przysłów, 20, 6-7, 9)

*Jam jest Dina, która widzi, jak sanie unoszące człowieka toczą się w dół po stromym zboczu.
Na początku zdaje mi się, że to ja jestem do nich przywiązana. Bo czuję ból przewyższający wszystko, co kiedykolwiek czułam.
Poprzez przejrzystą jak szkło rzeczywistość, ale poza czasem i przestrzenią, utrzymuję kontakt z twarzą osoby na saniach. Za parę sekund ta twarz roztrzaska się o oblodzony gład.
Zwierzę zdołało wydostać się z dyszli i uniknęło runięcia w przepaść! Że też to poszło tak łatwo!
Chyba jest już późna jesień. Późna na co?
Nie mam konia.*

Kobieta stała na skraju zbocza w zimnym porannym świetle. Nie było słońca. Otaczały ją czujne, mroczne szczyty. Zbocze było tak strome, że krajobraz tam, w dole, skrył się przed jej wzrokiem.

Po drugiej stronie szerokiej zatoki wznosiły się jeszcze bardziej urwiste góry, niemi świadkowie.

Kobieta śledziła każdy ruch sań. Aż do chwili, gdy zatrzymały się na skraju oparte o wielki pień brzozy. Głęboko w dole huczał wodospad.

Kobieta spojrzała w dół, śladem spustoszeń, które poczyniły staczające się sanie. Kamyki, płaty śniegu, kępki wrzosu, połamane zarośla. Jakby olbrzymi hebel sunął tędy w dół, porywając wszystko, co wystawało ponad ziemię.

Kobieta miała na sobie skórzane spodnie i długą, podwiniętą kurtkę. Gdyby nie włosy, można by z daleka wziąć ją za mężczyznę. Była bardzo wysoka jak na niewiastę.

Prawe ramię kurtki zwisało w strzępach. Naznaczonych krwią. Z rany.

W lewej ręce wciąż kurczowo trzymała nóż o krótkim ostrzu, podobny do tych, które Laponki noszą u pasa.

Kobieta odwróciła twarz w stronę, z której dochodził dźwięk. Końskie rzenie. Jakby właśnie to ją obudziło. Schowała nóż do kieszeni kurtki.

Po chwili wahania przeszła, świadoma celu, przez obmurowaną szarymi kamieniami krawędź drogi. W kierunku sań. Sanie kołysały się już słabiej. Jakby postanowiły ocalić osobę ze strzaskaną twarzą.

Schodziła szybko po stromym zboczach. Zrzucając w pędzie pojedyncze kamienie. Kamienie utworzyły małą lawinę i potoczyły się w dół, obok sań, w przepaść. Kobieta patrzyła w przestrzeń. Jakby utrzymywała kontakt z kamieniami, jakby nadal śledziła ich ruch, choć ich obraz już się skrył. Jakby widziała je aż do chwili, gdy pochłonął je rzeczny wir pod huczącym wodospadem.

Zatrzymała się na moment, gdy nowe kamienie przetaczały się koło sań z nieżywym ciałem. Ale tylko na moment. Potem szła dalej, aż wreszcie mogła sięgnąć dłonią, by odchylić owcze futro, pod którym leżał mężczyzna.

Odśloniła coś, co musiało być kiedyś piękną męską twarzą. Jedno oko wciśnięte w głąb czaszki. Świeża krew spływająca obficie i równomiernie z ran na całej głowie. W ciągu kilku sekund głowa mężczyzny stała się czerwona. Białe owcze futro nasiąkało krwią.

Kobieta uniosła smukłą, długą dłoń o różowych, kształtnych paznokciach. Odchyliła powieki mężczyzny. Najpierw jedną, potem drugą. Dotknęła dłonią jego piersi. Czy to serce jeszcze bije? Dłoń nie znalazła odpowiedzi.

Jej twarz przypominała ziemię zasłaną śniegiem. Żadnego poruszenia. Tylko oczy wędrowały nerwowo pod spuszczonej na poły powiekami. Krew, którą miała na rękach, wytarła o pierś mężczyzny. Potem przykryła mu twarz rąbkiem futra.

Przeczołgała się na drugą stronę sań, aż dotarła do miejsca zamocowania dyszli. Pospiesznie wyszarpnęła z otworów resztki liny. Zebrała je starannie i wcisnęła do kieszeni kurtki razem z nożem. Wyciągnęła dwa przetarte rzemyki i przytwierdziła je na miejsce linek.

W pewnej chwili się wyprostowała. Nasłuchiwała. Na drodze zarżał koń. Zawahała się, jakby się zastanawiała, czy już wszystko gotowe. Potem przeczołgała się własnym śladem wokół sań. Roztrzaskane człowiecze ciało wciąż oddzielało ją od dna przepaści.

Solidna brzoza złamała się od mrozu i ciężaru, gdy doszło do tego jeszcze ciało kobiety. Kobieta znalazła oparcie dla stopy pomiędzy oblodzonymi kamieniami i pchnęła sanie z całej siły. Obliczyła nacisk tak, jakby robiła to już wiele razy.

Gdy sanie oderwały się od podłoża, futro zsunęło się z twarzy mężczyzny. Wtedy otworzył oko, które nie było zapadnięte, i spojrzał prosto na kobietę. Niemo. Bezradnym, pełnym niedowierzania spojrzeniem.

Kobietę przeszył dreszcz. Przez jej twarz przemknął wyraz jakiejś niezdarnej czułości.

Potem wszystko zamieniło się w ruch i powietrze. Poszło szybko. Echo niesło się po górach jeszcze wiele później.

Twaz kobiety całkiem opustoszała. Krajobraz znów wrócił do dawnego trwania. Wszystko było w porządku.

*Jam jest Dina, która czuje w sobie ssanie, gdy mężczyznę pochłania spieniony wir. Wtedy on przekracza granicę. Umyka mi ta ostatnia chwila, która mogłaby odstąpić przede mną skrawek tego, czego wszyscy się lękają. Końca czasu.
Kim jestem? Jaki to czas, jakie miejsce, jaka przestrzeń? Czy na zawsze jestem na to skazana?*

Kobieta wyprostowała się i zaczęła się wspinać po zboczu. Wyglądało na to, że trudniej wejść niż zejść. Dwieście metrów zmrożonego gruntu.

W miejscu, z którego widać było porywistą jesienną rzekę, kobieta się odwróciła, by popatrzeć. Rzeka zakreślała tuż przed wodospadem. Spienione masy wody. Nic więcej.

Pięła się dalej. Szybko. Do utraty tchu. Najwyraźniej czuła ból w zranionym ramieniu. Kilka razy traciła równowagę i omal nie spadła śladem sań.

Dłonie czepiały się wrzosów, gałązek kamieni. Starła się zawsze znaleźć jakiegoś oparcie dla jednej ręki, zanim przesuwiała drugą gdzieś wyżej. Pewnymi, szybkimi ruchami.

Podniosła wzrok w chwili, gdy przyłgnęła do granicznego kamienia na skraju drogi. Napotkała wielkie, błyszczące spojrzenie konia. Zwierzę już nie rżało. Stało tylko i patrzyło na nią.

Stali tak naprzeciwko siebie na odległość oddechu. Koń wyszczerzył nagle zęby i nerwowo skubnął kilka przydrożnych kępek trawy. Kobieta wykrzywiła twarz w grymasie, gdy musiała podeprzeć się na obu ramionach, by wydostać się na ścieżkę.

Koń pochylił nad nią swój ogromny łeb. Dyszle sterczały ukośnie. Bezużyteczny ornament.

Wreszcie kobieta chwyciła się końskiej grzywy. Mocno, niemal brutalnie podniosła się do stawiającego opór końskiego łba.

Ta kobieta miała osiemnaście lat. I oczy stare jak kamienie.

Zgrzytanie dyszli o skały dochodziło jakby spoza obrazu.

Koń na nowo wdeptywał w ziemię przemarznięte źdźbła.

Zdjęła kurtkę, podwinęła wełniany rozpinany sweter i rękawy bluzki. Rana wyglądała na zadaną nożem. Czyżby doznała jej w walce z mężczyzną na saniach?

Pochyliła się gwałtownie i zaczęła kopać gołymi dłońmi w przemarzniętej, kamienistej powierzchni drogi. Wygrzebała piasek i lód, żdźbła i odłamki skał. Wtarła to wszystko w ranę z wielką siłą. Twarz kobiety wykrzywiła się w grymasie bólu. Z otwartych ust dobyły się gardłowe jęki.

Powtórzyła te ruchy. Regularnie powtarzała też jęki. Niczym jakiś rytuał. Dłoń kopała. Znajdowała gruz i piasek. Wygrzebywała pełną garść. Wcierała w ranę. Raz za razem. Potem kobieta zrzuciła wełniany sweter i bluzkę i wdeptała je w ziemię. Szarpała rękawy. Wdeptywała i wdeptywała.

Ręce pokryły się krwią. Nie ocierała jej. Stała w cieniutkiej koronkowej koszuli na tle jesiennego nieba. Chyba jednak nie czuła zimna. Spokojnie ubrała się na nowo. Obejrzała ranę przez dziurę w ubraniu. Podwinęła postrzępiony rękaw. Wykrzywiła twarz z bólu, gdy poruszała ramieniem, sprawdzając, czy może go używać.

Jej kapelusz leżał z tyłu w rowie koło drogi. Brązowy, z wąskim rondem i zielonymi piórami. Rzuciła nań szybkie spojrzenie, po czym ruszyła na północ kiepską drogą dla snów. W niskim, srebrzystym świetle.

Koń klusem ruszył za nią, wlokąc za sobą dyszle. Szybko ją dogonił. Przełożył pysk przez jej ramię i skubnął kobietę we włosy.

Wtedy się zatrzymała. Chwytem ręki zmusiła konia, by przykłęknął na przednich nogach, jakby był wielbłądem. I usiadła okrakiem na szerokim czarnym grzbiecie.

Tętent końskich kopyt. Dyszle płaczące na żwirze. Spokojny oddech konia. Wiatr. Który nie wie. Który nie widział.

Był środek dnia. Koń i kobieta zeszli stromą drogą z gór i dotarli do wielkiego gospodarstwa z szeroką aleją, wytyczoną przez rozkołysane, wielkie jarzębiny i wiodącą od pobielanego domu do czerwonych nadbrzeżnych spichrzów. Dwa z każdej strony kamiennej kei.

Na nagich drzewach zostały krwistoczerwone jagody. Łąki pożółkły, okryte gdzieś tam połamami lodu i śniegu. Na niebie rysowało się mnóstwo szczelin między chmurami. Ale wciąż nie pojawiało się słońce.

Chłopak, którego zwano Tomaszem, wyszedł ze stajni właśnie w chwili, gdy kobieta dotarła na podwórze. Stał jak wryty na widok pustych dyszli i kobiety z potarganymi włosami, w pokrzwionym ubraniu.

Zesłiznęła się powoli z konia, nie patrząc na Tomasza. Potem powlokła się krok za krokiem po szerokich schodach, wiodących do domu. Otworzyła jedno skrzydło podwójnych drzwi. Gdy tak stała tyłem, padł na nią snop światła. Wtedy odwróciła się gwałtownie. Jakby przeraziła się własnego cienia.

Tomasz pobiegł za nią. Stała teraz w blasku ciepłego i żółtego światła z wnętrza domu. A zimne zewnętrzne światło kładły na nią niebieskawe cienie gór.

Kobieta nie miała już twarzy.

Powstał wielki rwetes. Nadbiegały kobiety, nadbiegli mężczyźni. Służba.

Z jednej z izb wyszła kuśtykająca Matka Karen z laseczką. Monokl dyndał na sznureczku przymocowanym do haftowanej opaski na szyi. Lśniące szkieleko, które rozpaczliwie próbowało wprowadzić trochę wesołości.

Kroki starszej pani skrzypiały mozolnie w wystawnej sieni. Matka Karen rzucała łagodne, wszechwiedzące spojrzenia. Wiedziała coś?

Wszyscy toczyli się wokół kobiety stojącej w drzwiach. Jedna ze służących dotknęła zranionego ramienia, chciała pomóc zdjąć poszarpaną kurtkę. Ale została odsunięta na bok.

Wtedy buchnęły wszelkie dźwięki. Wszyscy mówili jednocześnie. Pytania bombardowały kobietę bez twarzy.

Ale ona nie odpowiadała. Nie widziała nikogo. Nie miała oczu. Chwyliła tylko chłopca stajennego Tomasza za ramię tak mocno, że aż jęknął. Potem powlokła się w kierunku mężczyzny zwanego Andersem. Blondyna z wydatnym podbródkiem. Był jednym z przybranych synów w tej posiadłości. Jego także chwyciła za ramię i zmusiła obu mężczyzn, by poszli za nią. Choć nie powiedziała ani słowa.

Przygotowano dwa konie, które stały w stajni. Trzeci nie miał siodła. Był spocony i wycieńczony po przeprawie przez góry. Uwolniony z dyszli i wytarty do sucha, dostał wody.

Wielki łeb zniknął na jakiś czas w wiadrze z wodą. Ludzie musieli poczekać. Koń pił łapczywymi łykami. Od czasu do czasu podrzucał w górę grzywiasty łeb i wodził wzrokiem od twarzy do twarzy.

Kobieta nie chciała się przebrać, nie pozwoliła przewiązać rany. Rozkołysała się, by wsiąść na konia. Tomasz podał jej samodziałowe palto. Kobieta naciągnęła je na siebie. Do tej pory nie powiedziała ani jednego słowa.

Zaprowadziła ich w miejsce, z którego stoczyły się sanie. Ślady nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Staranowane zbocze, zniszczone brzożowe krzaki, wyrwane z korzeniami wrzosy. Wszyscy widzieli, co jest pod tym zboczem. Urwisko. Wodospad. Gardziel. Wir. Sanie.

Wezwali ludzi na pomoc i szukali w spienionych kłębach wody. Nie znaleźli nic poza resztkami roztrzaskanych sań z przetartymi rzemykami od dyszli.

Kobieta była niema.

Dina miała zawieźć swego męża Jakuba, któremu gangrena zaatakowała jedną nogę, przez góry do doktora. Był listopad. Ona jedna radziła sobie z młodym koniem, najbardziej rączy. A trzeba było jechać szybko. Obladzoną, lichą drogą.

Noga Jakuba zaczęła już cuchnąć. Smród od dawna zalegał w pokojach. Kucharka czuła go nawet w jadalni. Od każdej ściany wiało grozą. Przerażeniem.

Nikt na Reinsnes nie wspominał o smrodzie, rozchodzącym się od nogi Jakuba przed jego zniknięciem. Nie wspominało też o tym, gdy Szatan wrócił do domu z pustymi dyszlami.

Ale poza tym ludzie gadali. Z niedowierzaniem i przerażeniem. We wszystkich posiadłościach. W bawialniach na Strandsted i na wybrzeżu Sundu. Na plebanii. Szepem i poufnie.

O Dinie, młodej pani na Reinsnes, jedynej córce referendarza Holma. Zachowywała się jak chłopak zwariowany na punkcie koni. Nawet po zamążpójściu. A teraz przypała jej w udziale taki smutny los.

Opowiadali o tym ciągle od nowa. Jechała tak, że aż się iskrzyło i przyskało spod płóz. Jak czarownica. A jednak Jakub Grøneltv nie dotarł do lekarza. Już go nie ma. Tego przyjaznego, hojnego Jakuba, który nigdy nie odmawiał, gdy ktoś go prosił o przysługę. Syna Matki Karen, który osiadł na Reinsnes, gdy był jeszcze dość młody.

Martwy! Nikt nie mógł pojąć, jak mogło się stać coś tak strasznego. Na to, że łodzie się wywracają na morzu i toną ludzie, nic się nie da poradzić. Ale w tym sam diabeł maczał palce. Żeby najpierw dostać gangreny w złamanej nodze. A potem zginąć w saniach, które wpadły do wodospadu!

Dina straciła mowę, a Matka Karen płakała. Osierocony syn Jakuba z pierwszego małżeństwa włączył się po Kopenhadze, a Szatan nie mógł znieść widoku sań.

Na Reinsnes zawitała władza, by ustalić przebieg tych wszystkich wydarzeń, łącznie ze śmiercią. Każdy szczegół miał być nazwany, nic nie powinno pozostać w ukryciu.

Ojciec Diny, referendarz, przywiózł ze sobą dwóch świadków i protokół. Podkreślił wyraźnie, że przybywa jako przedstawiciel władzy, nie zaś w charakterze ojca.

Matka Karen jakoś nie potrafiła dostrzec różnicy. Ale nie napomknęła o tym.

Nikommu nie udało się sprowadzić Diny z poddasza. Jako że była dość wysoka i silna, nikt nie chciał podjąć ryzyka, bo mogłaby stawić opór i spowodować kłopotliwe zamieszanie. Nie próbowali więc zmuszać jej, by zeszła po schodach. Postanowiono, że władza wybierze się na górę do sypialni.

Ustawiono dodatkowe krzesła. Odkurzono pieczołowicie baldachim nad łóżkiem. Złotawą, ciężką tkaninę w pnącza czerwonych kwiatów. Kupioną w Hamburgu. Uszyto z niej baldachim przed ślubem Jakuba i Diny.

Oline i Matka Karen usiłowały doprowadzić młodą panią do porządku, żeby nie wyglądała całkiem niechlujnie. Oline zjawiała się ze swą ziołową herbatą z gęstą śmietanką i cukrem. To był jej złoty środek na wszystko, począwszy od szkorbutu, skończywszy na bezpłodności. Matka Karen pospieszyła z dobrym słowem, szczotką do włosów i troskliwą pomocą.

Służące zrobiły to, o co je poproszono, utkwivszy przerażone oczy w przeciwną stronę.

Słowa uwięzły gdzieś na dobre. Dina otwierała usta i formowała je. Ale dźwięk mieszkiał w innej rzeczywistości. Władza uciekała się do wszelkich sposobów.

Referendarz zaczął mówić głębokim, spokojnym głosem, patrząc przy tym Dinie w jasnoszare oczy. Równie dobrze mógłby spoglądać przez szklankę z wodą.

Próbowali i świadkowie. Na siedząco i na stojąco. Głosem pełnym współczucia lub nie znoszącym sprzeciwu.

W końcu Dina skryła w ramionach głowę o czarnych, niesfornych włosach. Wydobyły się z niej dźwięki przypominające skomlenie na wpół uduszonego psa.

Władza się zawstydzila i wycofała na dół, do salonu. Żeby dojść do porozumienia i zgody. Ustalili, co się zdarzyło na miejscu wypadku. Jak się zachowywała młoda kobieta.

Uznali to wydarzenie za wielką tragedię dla całej okolicy i powiatu. Stwierdzili, że Dina Grøneltv nie może dojść do siebie z rozpaczy. Że jest nieobliczalna i straciła mowę w szoku.

Orzekli, że jechała tak szybko, jak pozwalały na to rzemienie i liny, by zawieźć swego męża do lekarza. Że osiągnęła zbyt wielką prędkość na zakręcie koło mostu albo że ten dziki koń poniósł akurat na skraju przepaści i zamocowanie dyszli puściło. W obu miejscach.

Wszystko wpisano starannie do protokołu.

* * *

Z początku nie mogli znaleźć ciała. Ludzie gadali, że pewnie popłynęło do morza. Ale nikt tego nie rozumiał. Musiałoby wszak pokonać jeszcze prawie milę nierównego, płytkiego rzeczno-łozyska. Każdy kamień mógł zatrzymać martwe ciało, które samo nie czyniło żadnych wysiłków, by dotrzeć do morza.

Ku rozpaczcy Matki Karen z czasem zarzucono poszukiwania.

Miesiąc później w posiadłości pojawił się żebrak, który twierdził, że widział ciało w Veslekulpen. W martwej wodzie, nieco poniżej wiru pod wodospadem. Tam leżał Jakub uczepiony kamienia. Sztywny jak drut. Spuchnięty i sponiewierany, jak twierdził żebraczyna.

Okazało się, że miał rację.

Wody najprawdopodobniej opadły, gdy ustały jesienne deszcze. I pewnego jasnego dnia na początku grudnia wypłynęło nieszczęsne ciało Jakuba. Na oczach starego żebraka, który przemierzał właśnie góry, by znaleźć przytulisko w innej posiadłości.

Od tego czasu krążyła wieść, że żebrak jest jasnowidzem. Tak, tak, zawsze nim był. Dzięki temu przeżył spokojną starość. Któż by chciał wejść w zatarg z jasnowidzem. Choć nikt nie miał takich oporów wobec żebraka.

Dina siedziała w sypialni, największej izbie na piętrze. Za zaciągniętymi storami. Na początku nie schodziła nawet do stajni, do swego konia.

Zostawiono ją w spokoju.

Matka Karen przestała ronić łzy, bo po prostu nie miała już na to czasu. Musiała wziąć na siebie wszystkie obowiązki, zaniedbane przez właścicieli. Oboje przecież umarli, każde na swój sposób.

Dina siedziała przy stoliku z orzechowego drewna i gapiła się w przestrzeń. Nikt nie miał pojęcia, czy się jeszcze czymś zajmuje. Nie miała żadnych powierników.

Nuty, których całe stopy leżały przedtem wokół łóżka, wcisnęła do garderoby. Długie suknie szeleściły nimi w przeciągu, gdy Dina otwierała drzwi.

W sypialni kładły się głębokie cienie. W kącie kurz osiadał na wionolczeli. Nikt jej nie dotknął od dnia, w którym Jakuba wyniesiono z domu i ułożono na saniach.

Masywne łóżko z baldachimem i elegancką zasłoną zajmowało większą część pokoju. Z tego wysokiego łoża można było, wyciągnawszy się na poduszkach, obserwować Sund przez okna. Albo przejrzeć się w wielkim zwierciadle okolonym polakierowaną na czarno ramą, które dało się ustawiać pod różnym kątem.

W wielkim okrągłym piecu przez całą dobę trzeszczał ogień. Za trójdzielnym haftowanym parawanem z motywem pięknej Ledy i łabędzia w erotycznym uścisku. Skrzydła i ramiona. I długie jasne włosy Ledy, dyskretnie osłaniające łono.

Służąca Tea cztery razy dziennie wносиła bierwiona. A mimo to ledwo ich starczało do rana.

Nikt nie wiedział, kiedy Dina śpi i czy w ogóle sypia. Krążyła po podłodze w swych podkutych butach podróżnych dniami i nocą. Od ściany do ściany. Budząc cały dom.

Tea opowiadała, że wielka czarna *Biblia*, którą Dina odziedziczyła po matce, zawsze leży otwarta.

Od czasu do czasu młoda pani śmiała się cicho. Ten śmiech nie brzmiał pięknie. Tea nie była pewna, czy pani śmieje się ze świętego tekstu czy też do swoich myśli...

Czasami zatrząskiwiała cieniutkie stroniczki w wielkim gniewie i odrzucała książkę na bok, jakby to były rzeźnicze ochłapy.

Jakub spoczął w ziemi dopiero w siedem dni po odnalezieniu ciała. W środku grudnia. Trzeba było załatwić tyle spraw. Rozesłać tyle zawiadomień. Zaprosić na pogrzeb rodzinę, przyjaciół i wpływowe osoby. A poza tym mróz wciąż trzymał, więc sponiewierane i nasiąknięte wodą ciało nieźle się trzymało, leżąc na razie w stodole. Do kopania grobu natomiast trzeba było użyć młota kowalskiego i motyki.

Księżyc wysyłał swe sygnały przez judasze i śledził Jakubowy los złotym okiem. Nie czynił różnicy między żywym i umartym. Barwił bielą i srebrem stryszek stodoły. Pod którym, po obu stronach platformy, leżało siano, ciepłe i pożywne, pachnące latem i rozkoszą.

Pewnego dnia o szarym brzasku wszyscy ubierali się na pogrzeb. Czekwały załadowane łodzie. Nad domem zalegała cisza jak nie całkiem swojska pobożność. Nikt nie spodziewał się dziennego światła o tej porze roku. Towarzyszył wszystkim księżyc.

Dina oparła się o framugę okienną, jakby zamierzała stawić opór, gdy przyszły kobiety, które miały jej pomóc włożyć czarne odzienie, uszyte na pogrzeb. Dina nie zgadzała się na przymiarki.

Wydawało się, że stojąc w oknie, czuje każdy swój mięsień, każdą myśl. Smutne kobiety o twarzach wykrzywionych ujrzały nieporuszone ciało.

Nie poddały się jednak od razu. Powinna się przebrać. Powinna pójść za trumną. Jakże można pomyśleć coś innego. A jednak musiały pomyśleć inaczej. Dina za pomocą swych zwierzęcych, świszczących jęków dała wszystkim do zrozumienia, że nie podoła obowiązkowi wdowy na pogrzebie. W każdym razie nie tego dnia.

Kobiety opuściły pokój w przerażeniu. Jedna za drugą. Starsza pani na końcu. Właśnie ona tłumaczyła i łagodziła sytuację. Wobec ciotek, gospodyń, dam i – wreszcie – wobec ojca Diny, referendarza.

Jego było najtrudniej przekonać. Rozwścieczony wpadł do sypialni Diny bez pukania. Potrząsał nią i rozkazywał, policzkował ją z ojcowską determinacją i ciskał słowa brzęczące jak rozjuszone pszczoły.

Starsza pani musiała interweniować. Kilka osób, które ich otaczały, spuściło wzrok.

Wtedy Dina znów wydała z siebie zwierzęce dźwięki. Wymachując przy tym rękami i szarpiąc się za włosy. W pokoju nabrzmięwało coś, czego nikt nie rozumiał. Jakaś aura szaleństwa i mocy otaczała tę młodą, na poły ubraną kobietę o rozczochranych włosach i dzikim spojrzeniu.

Jej krzyk przypominał referendarzowi zdarzenie, od którego nie mógł się uwolnić. Które go prześladowało dniem i nocą. W snach i codziennych obowiązkach. Zdarzenie, które jeszcze po trzynastu latach sprawiało, że niespokojnie krążył po gospodarstwie. Szukając kogoś lub czegoś, na czym mógłby wyładować wszystkie swe myśli i uczucia.

Ludzie, którzy mu towarzyszyli, uznali, że Dina Grønelv ma surowego ojca. A jednak cóż to za nieobyčajność, by taka młoda kobieta nie czyniła tego, czego się od niej oczekuje.

Dina wymęczyła wszystkich. Uznano, że jest zbyt chora, by pojechać na pogrzeb własnego męża. Matka Karen tłumaczyła to głośno i wyraźnie wszystkim napotkanym ludziom. „Dina Grønelv jest tak chora i pogrążona w żalu, że nie może ustać na nogach. Ciągłe płacze. Stała się rzecz straszna: Dina straciła mowę”.

Najpierw rozległy się stłumione okrzyki ludzi wsiadających do łodzi. Potem zgrzytnięcie żelaza o drewno, gdy trumnę umieszczano w barkasie między gałązkami jałowca i szlochającymi kobietami. Wreszcie dźwięki i głosy zeszywniały nad wodą niby cienka kora tuż przy brzegu. I zamierały gdzieś między morzem i górami. Potem cisza wkradła się do domu, jakby właśnie on żegnał zmarłego. Dom wstrzymał oddech. Wymykało mu się tylko od czasu do czasu cichutkie westchnienie gdzieś pomiędzy belek. Smutny, żałosny pomruk, ostatni hołd dla Jakuba.

Różowe goździki z woskowanego papieru szeleściły między gałązkami świerku i jałowca na wodach Sundu muskanych lekką bryzą. Nie należy płynąć zbyt szybko z takim ładunkiem. Śmierć i jej odległe od życia atrybuty nie lubią pośpiechu. Dziś na przedzie nie galopował Szatan. I nie Dina decydowała o szybkości. Trumna była ciężka. Ci, którzy ją nieśli, poczuli ten ciężar. Tylko taką drogą można się było dostać do kościoła z tego rodzaju ładunkiem.

W dulkach skrzypiało sześć par wiosel. Żagiel trzepotał beczynn timer wokół masztu i nie chciał się wypełnić. Nie świeciło słońce. W górze po niebie przesuwaly się szarobiałe chmury. Słotne powietrze trwało w bezruchu.

Łodzie płynęły jedna za drugą. Triumfalny orszak dla Jakuba Grønelva. Maszt i wiosła wskazywały niebo i morze. Wstęgi na wieńcach trzepotały niespokojnie. Niewiele czasu im pozostało, by się zaprezentować.

Matka Karen wyglądała jak pożółkłe prześcieradło. Choć obramowane koronkami. Służące przypominały mokre kłębki wełny na wietrze.

Mężczyźni wiosłowali, rozgrzewając się przy tym tak, że aż wrzało za brodami i wąsami. Wiosłowali rytmicznie.

Na Reinsnes wszystko było już gotowe. Na wielkich półmiskach czekały kanapki. Na piwnicznej podłodze i na półkach w obszernej komorze stały blachy z ciastkami przykryte płótnem.

Szklanki i filiżanki ustawiono równiutko pod lnianymi ściereczkami z monogramami Ingeborg Grønelv i Diny Grønelv. Na stołach w pokoju kredensowym. Tego dnia trzeba było wydobyć płótna obu małżonek Jakuba. Szklanki wypolerowano do połysku pod czujnym okiem Oline.

Na stypę zaproszono wielu gości.

Dina dokładała do pieca jak oszalała, choć na szybach nie było wcale szronu. Jej twarz, poszarzała rankiem, zaczęła powoli odzyskiwać swój kolor.

Krążyła niespokojnie po izbie z lekkim uśmiechem na twarzy. Gdy zegar wybił kolejną godzinę, uniosła głowę jak zwierzę, które nasłuchuje wroga.

Tomasz wrzucił naręczce drew do żelaznego pojemnika tak cicho, jak potrafił. Ściągnął czapkę z głowy i miał ją, zakłopotany, w masywnej pięści. Onieśmielony ponad wszelką miarę, bo znalazł się w sypialni, w izbie z baldachimowym łóżem i wiolonczelą, w izbie, w której sypiała Dina.

– Matka Karen kazała mi zostać w domu, kiedy służba i cała reszta pojedzie, żeby oddać Jakubowi ostatnią posługę – wyjąkał chłopak. – Mam służyć pani. O ile trzeba – dodał.

Nawet jeśli Tomasz słyszał, jak referendarz i Matka Karen ustalają, że najlepiej będzie, żeby z Diną został jakiś silny mężczyzna, który zdoła ją powstrzymać, gdyby chciała sobie coś zrobić pod nieobecność domowników, to w każdym razie nic o tym nie powiedział.

Dina nawet nie drgnęła, stojąc cały czas przy oknie, zwrócona do Tomasza plecami.

Księżyc zmienił się w wyblakłe, małe widmo. Jakieś niewydarzone okruchy dnia usiłowały nadaremno przebić się na północ i na zachód. Ale szyby okienne były wciąż pogrążone w mroku.

Chłopak wziął czapkę i wyszedł. Zrozumiał, że jego obecność nie jest tu pożądana.

Ale gdy orszak pogrzebowy był już daleko na wodach Sundu, Tomasz ponownie zjawił się w sypialni. Z karafką świeżej wody. Może Dina ma ochotę? Gdy Dina nie podziękowała ani też najmniejszym gestem nie zdradziła, że go dostrzega, Tomasz postawił karafkę na stole koło drzwi i odwrócił się w stronę kobiety.

– Pani nie chce, bym jej służył w dniu pogrzebu? – zagadnął cicho.

Wtedy jakby się ocknęła. Podeszła szybko do niego. Stała bliźiutko. O pół głowy wyższa.

Potem uniosła dłoń i prześlizgnęła się długimi palcami po jego twarzy. Jak ślepiec, który próbuje coś zobaczyć dotykiem.

Tomasz poczuł się tak, jakby za chwilę miał się udusić. Bo zapomniał zaczerpnąć oddechu. Tak blisko! Na początku nie mógł pojąć, czego ona chce. Stała tuż koło niego, roztaczając swoje zapachy. I wodziła palcem wskazującym po jego twarzy.

Powoli oblał się rumieńcem. Nie był w stanie podnieść na nią oczu. Wiedział, że czeka na niego jej spojrzenie. Nagle zdobył się na odwagę i popatrzył kobiecie w oczy.

Skinęła głową i spojrzała na niego pytająco.

Tomasz także kiwnął głową. Ot, tak sobie. I już chciał wyjść.

Wtedy Dina się uśmiechnęła i podeszła jeszcze bliżej. Wskazującym i dużym palcem lewej ręki zaczęła rozpinąć jego znoszoną kamizelkę.

Tomasz cofnął się o dwa kroki w stronę pieca. Nie miał pojęcia, jak zdoła to przetrwać i nie udusić się przy tym, nie spłonąć, nie zniknąć z powierzchni ziemi.

Przez chwilę wdychała jego stajenny zapach. Jej nozdrza były wszędzie. Wibrowały!

Wtedy jeszcze raz skinął głową. W największym pomieszeniu.

To było nie do zniesienia. Czas się zatrzymał! Nagle Tomasz musiał się pochylić, otworzyć drzwiczki pieca i wrzucić jedno bierwiono w płomień. Potem dorzucił jeszcze trzy syczące, wilgotne gałązki brzozone. Próbą męskości była dlań chwila, gdy musiał się wyprostować i znów napotkać jej spojrzenie.

Natychmiast poczuł na sobie jej usta. Ramiona podobne wilgotnym gałęziom wierzby, lepkiem od wiosennej żywicy. Pachniały tak intensywnie, że musiał zamknąć oczy.

Nigdy by sobie tego nie wyobraził. Nawet w najśmielszych fantazjach pod zużytą derką w czeladnej izbie. A teraz stał tutaj i mógł jedynie na to przystać!

Kolory na hańcie zdobiącym jej szlafrok, złote ściany z wijącym się ornamentem, powała z szerokimi belkami, zasłony koloru krwi, wszystko wirowało i się płało. Tkanina przechodziła w tkaninę. Łędzwia w łędzwia. Ruchy, meble, powietrze, skóra.

Tomasz opuścił własne ciało. A jednocześnie w nim był. Zapachy i dźwięki członków poruszających się ociężale. I podwójny, zgodny oddech.

Położyła mu ręce na piersi i rozpiniała guziki. Potem zdejmowała wszystkie części jego ubrania. Jedną po drugiej. Jakby robiła to już tysiące razy.

Poczuł mrowienie w plecach, ramiona zwisły mu bezwładnie. Jakby się wstydził swej niezbyt czystej bielizny i braku trzech guzików u koszuli. W rzeczywistości sam nie wiedział, gdzie jest, gdzie stoi, jak wygląda.

Pocałowała nagiego chłopca, rozchyliła poły szlafroka i przyciągnęła go do swego dużego, sprężystego ciała.

Poczuł przyływ ciepła i odwagi. Iskry jej dotyku zadawały mu fizyczny ból. Czuł mrowienie naskórka stykającego się z jej ciałem, jego skóra zapamiętywała jej obraz. Stał z zamkniętymi oczami i widział każdą linię, każdy por w białym ciele, aż w końcu całkiem postradał zmysły.

Gdy już oboje siedzieli nago na owczym futrze przed pękatym czarnym piecem, sądził, że Dina zacznie mówić. Omdlewał z onieśmienia i pożądania. Siedem świec płonących w kandelabrze na toalecie dręczyło go niczym odbłask ognia piekielnego. Migotanie na zwierciadlanej tafli odślaniało wszystko.

Dina zaczęła zwiedzać jego ciało. Najpierw dość delikatnie. Potem coraz bardziej dziko. Jakby owładnęło nią wielkie łaknienie.

Na początku był tylko przerażony. Nigdy przedtem nie widział takiego głodu. W końcu stracił dech i położył się na futrze na plecach. Pozwolił, by dołała oliwy do ognia przechodzącego wszelkie jego wyobrażenia. W krótkich przebłyskach odyskiwał zmysły i czuł przerażenie, przytulając ją do siebie i czyniąc rzeczy, których nikt go nie nauczył.

Powietrze zgęstniało od kobiecego ciała. Strach Tomasza był ogromny jak morze. A pożądanie bezkresne niczym niebo.

Na cmentarzu składano do grobu trumnę ozdobioną woskowanymi kwiatami. Z doczesnymi szczątkami właściciela domu zajeźdznego i kliprów, Jakuba Grønrelva.

Pastor próbował znaleźć słowa, które ułatwią temu człowiekowi wejście do rajów i uchronią go przez otchłanią piekielną. Choć wiedział, że Jakub był wprawdzie dobrym człowiekiem, ale wiódł żywot całkiem inny niż woskowane kwiaty. W innym wypadku nie skończyłby tak żałośnie.

Niektórzy żałobnicy stali z obwisłymi, poszarzałymi policzkami, pogrążeni w szczerym żalu. Inni zastanawiali się, jaką też pogodę będą mieć w drodze powrotnej. Jeszcze inni po prostu stali. Przyjmowali wszystko połową serca. Większość czuła przejmujący chłód.

Pastor odprawił swój rytuał i rzucił na trumnę mizerne, niewielkie grudki ziemi w imię boże. I już było po wszystkim.

Za zmarszczonymi, poważnymi czołami mężczyzn kryły się myśli o ponczu. Kobiety z oczami pełnymi łez dumwały o kanapkach. Służące szlochały głośno. Bo mężczyzna, który leżał w trumnie, był dla nich wszystkich dobrym panem.

Starsza pani była jeszcze bledsza i bardziej przezroczyta niż w łódce. Suche oczy przesłaniała czarna woalka, podtrzymywali staruszkę Anders i referendarz. Obaj wetknęli kapelusze pod pachę.

Strofy psalmu ciągnęły się w nieskończoność i wcale nie były piękne. W zasadzie nie dało się tego słuchać aż do chwili, gdy kościelny przyłączył się do śpiewów swym nieszkolonym basem. Ten kościelny czuł nieodpartą potrzebę ratowania każdej sceny.

* * *

W sypialni, za zaciągniętymi storami, płonął i gorzał syn komornika, Tomasz. W rozkoszy i w niebie. Choć nie całkiem żywy.

Opary ludzkich oddechów zasnuły szyby i zwierciadło. Zapach osiadł delikatnie na futrze leżącym na podłodze, na tapicerce i w zasłonach.

Izba przyjęła chłopca stajennego, Tomasza. Tak jak przyjęła niegdyś Jakuba Grønrelva, gdy go gościnnie przygarnęła wdowa na Reinsnes.

Wdowa zwała się Ingeborg. I umarła w dniu, w którym nachyliła się, by pogłaskać swego kota. Teraz nie będzie już osamotniona tam, gdzie przebywa.

Sypialnia wypełniła się urywanymi oddechami, skórą i ciepłem. Krew dudniła w żyłach. Huczała w skroniach. Ciała zmieniły się w konie na bezkresnych równinach. Galopowały i galopowały. Kobieta była zaiste doświadczonym jeźdźcem. Ale i on cwałował za nią. Śpiewały podłogowe deski, płakały belki powały.

Portrety rodzinne i szkice kołysały się leciutko w swych czarnych owalnych ramach. Pościel w łóżku czuła się sucha jak pieprz i opuszczona. Piec przestał mruzczyć. Stał sobie tylko w kącie i nasłuchiwał otwarcie i bez zenady.

Na dole kanapki i szklanki trwały w swym bezkresnym oczekiwaniu. Na co? Aż Dina, pani na Reinsnes, zjedzie na dół po poręczu. Nago, z czarnymi włosami niczym parasol rozpostartymi ponad bujnym, pachnącym ciałem? Tak! A za nią, trochę przerażony, trochę otumaniony, ale silny młody chłopak, okręcony prześcieradłem zdobionym francuską koronką? Tak!

Zbiegał po schodach na swych owłosionych, gołych nogach z masywnymi palcami u stóp, zakończonymi czarnymi paznokciami. Pachniał jak zaorane wiosenne pole, wypierając cnotliwą woń tego wnętrza.

Zanieśli na górę chleb i wino. Wielki kieliszek i wielką karafkę. Kanapki podkradzione tu i ówdzie z tac, tak by nikt tego nie zauważył. Udawali, że nie wolno im jeść.

Dina zamaskowała sprytnie wszystkie puste miejsca, które po sobie zostawili. Długimi, sprawnymi palcami, pachnącymi słońcą i świeżą rybą. Potem na nowo rozpostarła ściereczki z monogramem.

Przekradli się z powrotem do sypialni, jak złodzieje. Usadowili się na futrze przed piecem. Tomasz jego podwójne drzwiczki zostawił otwarte.

Leda i łabędź byli ledwie bledziuchną kopią tych dwojga. Perliło się wino.

Dina jadła łączywie wędzonego łososia i solone mięso. Okruszki chleba staczały się po jędrnych piersiach na krągły brzuch.

Tomasz uświadomił sobie, że jest w pokoju swej pani. Jadł elegancko. Ale spijał przy tym oczami ciało Diny pośród niezliczonych westchnień, z mnóstwem wody w ustach.

Ich oczy odbijały się w tym samym kieliszku. W kieliszku na wysokiej zielonej nóżce, podarowanym niegdyś, z okazji ślubu, Ingeborg i jej pierwszemu małżonkowi. Nie było to szkło pierwszej jakości. Pojawiło się w tym domu, zanim zawitała tu zamożność razem z wielkimi kliprami, suszoną rybą i silnymi powiązaniem z Trondheim i Bergen.

Na długo przed spodziewanym powrotem orszaku pogrzebowego Dina i Tomasz upchnęli szkło i resztki wina w głębi garderoby.

Niczym dwoje dzieci, jedno niespokojne, drugie rozbrykane, wyprowadzili w pole dorosłych. Jakubowa chińska gra w kości spoczęła znowu w obciążonym jedwabiem pudełku. Wszystkie ślady zostały zatarte.

W końcu Tomasz stanął całkiem ubrany, z czapką w garści, koło drzwi. Dina nabazgrała kilka słów na czarnej tabliczce, którą zawsze miała pod ręką, i pozwoliła mu to przeczytać, zanim starła wszystko starannie jednym zdecydowanym ruchem.

Pokiwał głową i zerknął nerwowo w okno. Nasłuchiwał plusku wioseł. Zdawało mu się, że słyszy. Nagle zrozumiał, co zrobił. Wziął na siebie całą winę. Poczł już bicz Pański na swym ramieniu. Kilka głębokich razów. Usta Tomasza drżały. Ale nie potrafił żałować.

Gdy stanął w mrocznej sieni, zrozumiał, że nikt go już nie chroni. Był jak gladiator, śmiało idący na spotkanie silniejszego. Dla jednego, jedyne doznania! Zbyt wielkiego, by je jakoś nazwać.

Był skazany na to, by leżeć na swym słomianym materacu noc w noc, długimi miesiącami, czując kobiecy oddech na twarzy. Miał leżeć z otwartymi oczami i przeżywać to jeszcze raz. Sypialnię. Zapachy.

A cienka derka unosiła się wraz z młodzieńcym, rozmarzonym pożądaniami.

Był też skazany na obraz Jakubowej trumny. Kołysała się razem z nim. A wielka fala, która go przepęłniała, stapiała wszystkie wrażenia w jedno i nurzała go w blasku zorzy polarnej. Fala rozbryzgiwała się w jego lichym łóżku i nic nie mógł na to poradzić.

Dina była przypudrowana i spokojna, gdy łodzie wśliznęły się między kamienie na plaży. Leżała w łóżku i nikt już jej nie namawiał, by się pojawiła pośród gości na stypie.

Matka Karen poinformowała wszystkich wyczerpująco o stanie Diny, zszedłszy na dół z sypialni. Jej głos spływał na referendarza niby miód. Płynął łagodnie i lekko razem z ciepłym ponczem.

Łatwiej było znieść smutek i żalobę teraz, gdy Jakub spoczął już tam, gdzie powinni byli go złożyć. W ściszone wieczorne rozmowy wkradł się niepostrzeżenie spokój i myśl o doczesnych sprawach i trudach kolejnego dnia.

Wszyscy wcześniej poszli spać, jak nakazywał obyczaj. Dina wstała i układała pasjansa na stoliku z orzechowego drewna. Udało się za trzecim razem. Wtedy westchnęła i ziewnęła.

KSIĘGA PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

„WZGARDA DLA GINĄCYCH” – MYŚLI BEZPIECZNY – „POPCHNAĆ TEGO,
KOMU SIĘ NOGI CHWIEJĄ”.

(Księga Hioba, 12, 5)

*Jam jest Dina. Która się budzi od krzyków. Uwięzły w mojej głowie.
Czasami pożerają moje ciało.
Obraz Hjertrud jest pęknięty. Niczym rozplątany brzuch owcy. Jej
twarz jest krzykiem, z którego wszystko pochodzi.*

Wszystko się zaczęło wtedy, gdy referendarz przywiózł go ze sobą z jesienno-
tingu. Kowal, co się zowie! Z Trondheim. Sztukmistrz w swoim fachu.

Bendik umiał wykuć najdziwniejsze rzeczy. Przydatne do tak wielu zajęć.

Skonstruował urządzenie, które powieszono nad szlifierką wylewało dokładnie siedem łyżek stołowych wody na ostrze kosi, za dziesiątym obrotem korby. Spod jego ręki wychodziły zamki, które zatrzaskiwały się, jeśli ktoś, kto nie znał mechanizmu, próbował je otworzyć z zewnątrz. Robił też najpiękniejsze pługi i okucia.

Kowala tego ludzie nazywali Długolicym.

Gdy tylko pojawił się w domostwie referendarza, wszyscy zrozumieli dlaczego. Miał długą, pociągłą twarz o bardzo ciemnych oczach.

Dina, która właśnie skończyła pięć lat, uniosła swoje, jasnoszare, gdy wszedł do pokoju, jakby chciała go w czymś ubiec. Właściwie nie wyglądała na przestraszoną. Po prostu nie czuła potrzeby, by zawrzeć z nim znajomość.

Ten ciemnooki mężczyzna, któremu przypisywano cygańskie pochodzenie, spozjrzał na referendarzową tak, jakby była drogocennym przedmiotem, który sobie kupił. A ona nie miała w zasadzie nic przeciwko temu.

Referendarz próbował niebawem pozbawić kowala pracy, uznał bowiem, że sprawy zaszyły trochę za daleko.

Ale Bendik pozostał pod osłoną łagodnego uśmiechu Hjertrud.

Wykuwał więc swe przemyślnie zamki do drzwi i szaf, zamontował system doprowadzający wodę do szlifierki. A na koniec zrobił nowe ucha do ogromnego kotła, w którym kobiety gotowały ług i ubrania.

Do uchwytów przymocował mechanizm, dzięki któremu można było stopniowo przechylać kocioł, by wylać ług. Stopniowo i bez trudu, za pomocą dźwigni przytwierdzonej do zawieszenia kotła.

Skończyły się wreszcie skomplikowane manewry, by przyciągnąć ten czarny, siejący postrach gar. Teraz dawał się obniżyć, obracać i przechylać niby za dotknięciem różdżki czarodziejkiej, a wszystko dzięki wyjątkowemu sprytowi kowala.

Można było dokonać całej operacji, stojąc na podłodze i nie narażając się na bliskość gorącej pary ani wrzątku.

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem Dina wybrała się z matką do pralni. Na wielkie pranie. Cztery kobiety do pracy i jeden posługacz, który miał nosić wodę.

Przemieszana z kawałkami lodu woda trafiła z wiader do wielkich beczek stojących przy drzwiach, rozpryskując się przy tym ucieszenie. Potem wszystko się roztapiało w kotle, wypełniając pomieszczenie parą podobną do nocnej mgły.

Kobiety miały na sobie zaledwie porozpinane koszule. Bose stopy w drewnianych chodakach i zakasane rękawy. Ramiona zaczerwienione jak świeżo sparzone prosięta. Dziewczęta wywijają rękami, chlapały, gestykulowały.

Twarze rozmazywały się pod ciasno zawiązanymi chustami. Pot lał się strugami po policzkach i szyjach. Strumienie zbierały się w jedną rzekę między piersiami, by zniknąć pośród wilgotnego ubrania, a potem gdzieś pod ziemią.

Gdy pani Hjertrud wydawała polecenia jednej z dziewcząt, Dina zapragnęła przyjrzeć się z bliska mechanizmowi, który wszyscy tak wychwalali.

W kotle już wrzało. Ług roztaczał przyjemną, swojską woń, przypominającą zapach miednic z mydlinami, ustawianych na poddaszu w ciepłe, letnie poranki.

Dina zacisnęła swoje małe piąstki na dźwigni. Tylko po to, by spróbować, jak się ją trzyma.

Hjertrud w okamgnieniu dostrzegła niebezpieczeństwo i rzuciła się naprzód.

Mała nie była na tyle przewidująca, by owinąć dłoń gałgankiem, jak to czyniły dziewczęta. Oparzyła się dotkliwie i błyskawicznie cofnęła rękę.

Ale dźwignia już się przesunęła. O dwa zęby.

Kąt i kierunek nachylenia najniższego punktu krawędzi kotła wyznaczyły los Hjertrud.

Z gara ułało się dokładnie tyle, ile powinno. Ni mniej, ni więcej. I już. Ług pykał sobie dalej w wiszącym kotle.

* * *

Strumień trafił najpierw, bardzo celnie, w twarz i pierś. Ale zaraz zebrał się w parzące rzeki, spływające w dół nieszczęsnego ciała.

Ludzie spieszyli ze wszystkich stron. Ściągnęli z Hjertrud odzienie.

Dina znalazła się pośrodku migoczących, buchających parą obrazów. Opowiadały o tym, jak skóra i płyty sparzonego mięsa odrywają się wraz z przepalonymi ługiem strzępami ubrania.

Ocalała połowa twarzy. Jakby miało znaczenie, czy Hjertrud pojawi się przed Bogiem Ojcem z jako tako rozpoznawalnym obliczem.

Dina wołała: „Mamo!”. Ale nikt nie odpowiadał.

Hjertrud była zajęta własnym krzykiem.

Różowa przepaść poszerzała się coraz bardziej, pochłonęła prawie całą Hjertrud. Kobieta stała się płomiennie czerwona. Coraz bardziej i bardziej, w miarę jak zdzierano z niej odzienie wraz ze skórą.

Raz po raz ktoś chlustał na nią wiadrem lodowatej wody.

Gdy wreszcie osunęła się na chropowatą drewnianą podłogę, nikt nie próbował pomóc kobiecie wstać. Nie można było jej już dotknąć. Nikt nie miał do niej dostępu. Bo straciła cielesną powłokę.

Jej głowa rozszczępiała się coraz bardziej. Krzyk, niczym świeżo naostrzone noże, godził we wszystkich.

Ktoś pociągnął Dinę za sobą na podwórze. Ale krzyk przedostał się również na tamtą stronę ścian. Dzwonił wszystkimi szybami. Wibrował w kryształkach lodu na powierzchni śniegu. Wznosił się ku górze wraz z tłustym dymem z kominów. Cały fiord zamarł zasłuchany. Na wschodzie widać było różową smugę. Zimowy nieboskłon sparzony ługiem.

Dina została wysłana na sąsiedni folwark, gdzie wszyscy się na nią gapili. Badawczo. Jakby była w niej szczelina, którą można rozchylić i coś tam znaleźć.

Jedna z dziewczek czeladnych przemawiała do niej dziecinnym językiem i karmiła ją miodem prosto z glinianego garnka. Mała zjadła go tak dużo, że wszystko wylądowało na kuchennej podłodze. Dziewka sprzątała po Dinie z obrzydzeniem malującym się na twarzy. Jej gderanie brzmiało niby skrzek przestraszonego sroczego pisklęcia pod szczytem dachu.

Całe trzy dni córka referendarza spędziła pośród ludzi, których nie widziała nigdy przedtem. Którzy przypatrywali się jej ustawicznie, jakby była istotą z innej planety.

Czasami zasypiała, nie mogąc unieść ciężaru wszystkich spojrzeń.

Wreszcie zjawił się parobek referendarza, by zabrać ją saniami z powrotem. Opatulił ją dokładnie owczą skórą i powiózł do domu.

W referendarzowym obejściu panowała cisza.

Później, gdy pewnego dnia zapomniano o jej obecności pod stołem, dowiedziała się, że Hjertrud krzyczała przez całą dobę, aż straciła rozum i umarła. Połowa twarzy była pozbawiona skóry. Także prawe ramię, szyja i brzuch.

Dina nie była pewna, co to znaczy stracić rozum. Ale wiedziała, co to jest rozum.

Wiedziała również, że przedtem właśnie Hjertrud reprezentowała rozum. Zwłaszcza gdy ojciec się wściekał.

„Mądrość pochodzi od Boga”, „Wszystko zawdzięczamy Bogu”, „*Pismo Święte* jest słowem bożym”, „*Biblia* jest darem bożej łaski” – powtarzała Hjertrud co dnia.

To nie jej śmierć była najgorsza. Krzyk i utrata skóry były straszniejsze.

Zwierzęta też umierały. W obejściu pojawiały się wciąż nowe. Bardzo podobne do poprzednich, w pewnym sensie naprawdę zawsze te same.

Ale Hjertrud już nie wróciła.

Dina miała nosić w sobie obraz Hjertrud – rozplatanego brzucha owcy. Długo.

Dina była bardzo wysoka jak na swój wiek. I silna. Wystarczająco silna, by sprowadzić śmierć na swoją matkę. Nie na tyle jednak, aby na to patrzeć.

Inni radzili sobie ze słowami. Płynęły im lekko. Jak oliwa po wodzie. Rzeczywistość mieszkała w słowach. Słowa nie były Dinie przeznaczone. Była nikim.

Zakazano rozmów o tragedii. Na próżno. Niezbywalnym prawem służby jest przecież szeptanie na zakazane tematy. Odpowiednio cicho. Wtedy gdy dzieci powinny już spać jak aniołki, kiedy nie ponosi się za nie odpowiedzialności.

Powiadano, że Długolicy przestał wykuwać pomysłowe mechanizmy do kotłów. Popłynął pierwszym statkiem na południe, do Trondheim. Uwożąc wszystkie swe nieszczęsne narzędzia w skrzyni. Wyprzedzała go zaś plotka. Plotka o kowalu, który robi urządzenia parzące ludzi na śmierć. Powiadali, że zdziwaczał od tego. Tak, prawdę powiedziawszy, stał się niebezpieczny.

* * *

Referendarz kazał zrównać z ziemią kuźnię i pralnię wraz z kominem i piecem.

Trzeba było aż czterech chłopca z wielkimi łomami. Czterej inni wywozili kamienie w stronę starego falochronu otaczającego przystań. Falochron wydłużył się o dobrych kilka łokci.

Gdy tylko mrozy puściły, kazał zasiać tę ziemię na nowo. Porosły ją dzikie i nieokiełznane chaszczki malin.

Na wiosnę popłynął z ładunkiem do Bergen w towarzystwie Jakuba Grønvelva i bawił poza domem aż jesienno *tingu*, na który musiał pojechać.

Tak się złożyło, że Dina nie zamieniła z ojcem ani słowa od tego dnia, w którym oparzyła matkę na śmierć, aż do jego powrotu z jesiennej sesji w dziewięć miesięcy później.

Wtedy dowiedział się od służącej, że Dina przestała mówić.

Gdy referendarz wrócił z sesji, znalazł dzikiego ptaka. Ze spojrzeniem, które każdemu umykało, z włosami, których nigdy nie zaplatano, z bosymi stopami, choć nocne przymrozki nastąpiły już dawno.

Dina brała sobie jedzenie, gdy się nadarzała okazja, i nigdy nie zasiadała do stołu. Dni spędzała na rzucaniu kamieniami w ludzi pojawiających się w obejściu.

Nieraz oberwała za to po uszach.

Ale dawało jej to swego rodzaju władzę nad ludźmi. Wystarczyło rzucić jeden kamień. I już biegli ku niej.

Przesypiała wiele godzin w środku dnia. W stajennym żłobie. Przyzwyczajone do niej konie skubały ostrożnie siano wokół śpiącego ciała. Albo muskały ją lekko wielkimi chrapami, by wyciągnąć spod niej pożywienie.

Jej twarz nawet nie drgnęła, gdy referendarz zszedł na ład. Dina siedziała sobie na gładzie, machając długimi, chudymi nogami.

Niewiarygodnie długie paznokcie u stóp zarosły brudem.

Służące nie mogły jej rzekomo poskromić. Mała stanowczo unikała wody. Uciekała do drzwi z wrzaskiem, nawet gdy trzymały ją we dwie. Nie przestępowała progu kuchni, jeśli na dużym czarnym piecu cokolwiek się gotowało.

Obie służące usprawiedliwiały się wzajemnie. Miały tyle roboty. Stale brakowało rąk do pracy. Trudno poskromić takiego dzikiego, wychowanego bez matki dzieciaka.

Dina była tak brudna, że referendarz nie wiedział, co począć. Przewycięzył wstręt po kilku dniach. Popróbował dotknąć tego cuchnącego, wzdragającego się przed możliwością nawiązania jakiegos kontakt ciała i uczynić z córki chrześcijańskie stworzenie. Musiał jednak dać za wygraną.

Stała mu przed oczami nieszczęsna Hjertrud. Jej biedne, spalone szczątki. Usłyszał jej szalone krzyki.

Piękna niemiecka lalka z porcelanową głową została tam, gdzie ją rozpakowano. Na środku stołu jadalnego. Aż do chwili, gdy służąca, nakrywając do obiadu, zapytała, co ma z nią zrobić.

– Jeden Pan Bóg wie! – odparła druga, która tu rządziła. – Zanieś ją do pokoju Diny!

O wiele później jeden z parobków znalazł lalkę w kupie gnoju. Sfatygowaną nie do poznania. Wszyscy jednak odetchnęli, gdy się znalazła. Mieli za sobą wiele tygodni zamieszania z jej powodu. Referendarz indagował Dinę na temat zabawki. A że dziewczynka najwyraźniej nie zamierzała jej przynieść, uznano, że lalka zaginęła. Podejrzenie mogło paść na każdego.

Gdy lalka się odnalazła, referendarz wziął córkę na stronę. Próbował dociec, w jaki sposób prezent trafił na gnojowisko.

Dziewczynka, wzruszywszy ramionami, chciała wyjść z pokoju.

I wtedy dostała lanie. Pierwszy raz poczuła cięgi. Przełożył ją przez kolano i bił w gołe siedzenie. A ta harda, przeklęta smarkula ugryzła go w rękę jak pies!

Miało to również swoje dobre strony. Od tej pory Dina zawsze patrzyła ludziom prosto w oczy. Jakby chciała sprawdzić, czy będą bić.

Wiele wody upłynęło, zanim Dina dostała następny prezent od referendarza. Ściśle rzecz biorąc, następnym podarkiem była wyproszona przez Lorcha wiolonczeła.

Ale Dina miała maleńką, połyskującą perłowo muszelkę, wielkości swego paznokcia u małego palca. Trzymała ją w puszcze po tytoniu, we wnętrzu starego puzderka na maszynkę do golenia.

Każdego wieczoru wyjmowała muszelkę, by ją pokazać Hjertrud. Siedzącej z odwróconą twarzą, żeby ukryć swą ranę.

Muszelka błysnęła pewnego dnia, jakby na powitanie Diny spacerującej brzegiem morza w porze odpływu.

Miała maleńkie, połyskujące różowo złobienia, które zbiegały się na końcu, a od spodu delikatnie mieniła się różnymi barwami. Zmieniała kolor wraz porą roku.

W świetle lampy to rozbłyskała, to matowiała. Ale w świetle dnia, przy oknie, spoczywała w dłoni Diny niczym mała gwiazda. Przezrzysta, biała.

To był guzik od niebiańskiej szaty Hjertrud! Który matka zrzuciła na dół dla Diny!

* * *

Nie było sposobu, aby tęsknić za Hjertrud. Człowiek nie może tęsknić za kimś, kogo sam wyprawił w drogę.

Nikt nie napomknął nawet słowem, że to Dina uruchomiła mechanizm przechylający kocioł w pralni. Ale wiedzieli wszyscy. Ojciec także. Siadywał w palarni. Jak mężczyźni ze starych rycin wiszących w salonach. Ogromny, rostry, poważny. Z zupełnie płaską twarzą. Nie odzywał się do niej. Nie widział jej.

Dinę umieszczono w zagrodzie jednego z komorników, w miejscu zwanym Helle. Roilo się tam od dzieci, brakowało zaś wszystkiego innego. Dobrze tedy, że trafił się bachor, z którego będzie jakiś dochód.

Referendarz płacił szczodrze. Zarówno pieniędzmi, jak i mąką, a na dodatek darował część odrobku.

Chodziło rzekomo o to, by dziewczynka nauczyła się na nowo mówić. Dobrze jej miało zrobić towarzystwo innych dzieci. A referendarz miał odpocząć od powracającego codziennie wspomnienia o śmierci nieszczęsnej Hjertrud.

Wszyscy mieszkańcy Helle próbowali się zbliżyć do Diny. Ale jej świat nie był dla nich dostępny.

Traktowała ich najwyraźniej tak samo jak brzozy rosnące przed domem czy owce skubiące siano jesienią. Stanowili część niezmiennego pejzażu, w którym się poruszała. Nic więcej.

Dali w końcu za wygraną i wrócili do swoich zajęć. Wrosła w ich codzienne obowiązki jak zwierzęta, które trzeba było czasem oporządzić, ale przeważnie radziły sobie same.

Nie reagowała na żadne próby zbliżenia, udaremniała wszelką chęć kontaktu. Nie odzywała się, gdy ktoś do niej mówił.

Tego roku, gdy kończyła dziesięć lat, pastor wezwał referendarza do siebie. Przykazał mu zabrać córkę do domu i zapewnić jej warunki godne pochodzenia. Potrzebowała, zdaniem pastora, wychowania i nauki.

Referendarz, zwiesiwszy głowę, mamrotał pod nosem, że i on nosił się z podobnymi zamiarami.

Raz jeszcze Dina wróciła do domu saniami. Milczała jak dawniej, ale za to nabrała ciała. Wymyta i schludna.

Wynajęto dla Diny guwernera, który nosił godne nazwisko Lorch i nie znał historii Hjertrud.

Przerwał studia muzyczne w Christianii, by odwiedzić umierającego ojca. Gdy go pochował, nie miał już pieniędzy na powrót.

Lorch uczył Dinę liter i cyfr.

Biblia Hjertrud, z milionami zawitych znaczków, często gościła na stole. Palec wskazujący Diny wodził po liniach jak szczurołap, wlokący za sobą czeredę literek.

Lorch przywiózł ze sobą starą wiolonczelę. Zawiniętą w cienki koc. Wyniósł instrument na ład jak wyrośnięte niemowlę, tuląc go w ramionach.

Wkrótce po przyjeździe Lorch zabrał się do strojenia instrumentu i zagrał prosty psalm z pamięci.

W domu była tylko służba. Ale później każdy z obecnych opowiadał nawet najdrobniejsze szczegóły wszystkim, którzy chcieli słuchać.

Gdy Lorch zaczął grać, jasnoszare oczy Diny zawirowały, jakby miała zaraz omdleć. Łzy lały się strumieniami po jej policzkach, a wyłamywane palce trzaskały w stawach w rytm tonów wiolonczeli.

Spłoszony Lorch przestał grać, gdy spostrzegł, jak muzyka działa na dziewczynę.

Wtedy zdarzył się cud.

– Jeszcze! Graj jeszcze! Graj jeszcze! – wykrzyknęła Dina. Słowa stały się rzeczywistością. Mogła je wypowiedzieć. Istniały dla niej. Istniała i ona.

Nauczył ją chwytów. Palce były początkowo stanowczo za krótkie. Ale Dina rosła jak na drożdżach. Bardzo szybko opanowała grę na wiolonczeli tak dobrze, że Lorch odważył się napomknąć referendarzowi, iż powinien sprawić córce instrument.

– I co dziewczynie po wiolonczeli? Nauczyłaby się lepiej haftować!

Guwerner, z pozoru zalękniony i nieśmiały, ale w gruncie rzeczy twardy jak orzech, zauważył nieśmiało, że nie potrafi nauczyć jej haftu. Zna się natomiast na wiolonczeli.

Tak to w domu pojawił się instrument wart немало talarów.

Referendarz chciał go ustawić w salonie, by wszyscy goście mogli podziwiać nabytek, klaszcząc z zachwytem.

Dina była jednakowoż innego zdania. Pragnęła mieć wiolonczelę w swoim pokoju na piętrze. Z początku wносиła ją po schodach za każdym razem, gdy referendarz nakazywał umieścić ją w salonie.

Po paru dniach referendarza ogarnęło zmęczenie. Między córką i ojcem zapanowała niepisana ugoda. Za każdym razem, gdy w domu pojawiali się dystyngowani albo ważni goście, wiolonczelę znoszono do salonu. Wywołana ze stajni, umyta i odziana w długą suknię z gorsekiem Dina miała im grać psalmy.

Herr Lorch siedział jak na szpilkach, skubiąc wąsik. Nie przychodziło mu do głowy, że prawdopodobnie jest jedyną osobą w salonie, choćby gości było nie wiem ilu, która jest w stanie wychwycić drobne potknięcia swej uczennicy.

Dina zrozumiała szybko, że jest coś, co ją łączy z Lorchem. Poczucie odpowiedzialności za niedoskonałości tego drugiego. Z czasem znalazła w tym jakiś rodzaj pociechy.

Gdy referendarz grzmiał nad pochyloną głową guwenera, wyrzucając mu, że Dina po trzech latach niezmordowanej nauki nie potrafi jeszcze porządnie przeczytać niczego poza Biblią Hjertrud, dziewczyna otwierała drzwi swego pokoju, umieszczała wiolonczelę między udami i siała dźwięki ulubionego psalmu ojca w stronę jego gabinetu. Nie nadaremno.

Ale o tym, że Dina uczy się liczb tak szybko, iż zapędza w kozi róg buchaltera, rachując wielocyfrowe liczby w pamięci prędzej niż on je notuje, nie wspominał nikt. Z wyjątkiem *Herr* Lorcha.

Za każdym razem, gdy dziewczyna czytała ojcu na głos katechizm, nauczyciel bronił się z pozornym uniżeniem przed oskarżeniami o niesumienność w spełnianiu swych obowiązków.

Dina zmyślała mianowicie słowa, których nie umiała przeczytać, i tekst trudno było rozpoznać, choć niejednokrotnie przewyższał oryginał barwnością.

Służący usiłowali zapanować nad kącikami ust, nie ośmielając się spojrzeć na siebie nawzajem, by nie wybuchnąć niepohamowanym śmiechem.

Liczyby, też coś! I na cóż dziewczynie rachunki! Jej młodszy brat powinien się uczyć liczyć, mamrotał referendarz złamanym głosem. I wybiegał z pokoju. Wszyscy wiedzieli, że referendarzowa była w zaawansowanej ciąży, gdy umarła od poparzeń.

Gwoli prawdy, było to jedyne zawołowane oskarżenie, jakie Dina usłyszała od ojca.

Na Fagerness stały stare domowe organy. W głębi salonu. Przykryte i udekorowane wazonami i półmiskami.

Instrument był jednak tak rozstrojony, że Lorch nie chciał dawać na nim lekcji Dinie. Ostrożnie zasugerował natomiast referendarzowi, że w domu odwiedzanym przez wielu tak znamienitych gości z kraju i zagranicy przydałby się porządny fortepian. To przecież taki piękny mebel!

Zwłaszcza że instrument musiałyby stać w salonie. Referendarz mógłby zrekompensować sobie w ten sposób zmagania z uporem Diny w sprawie tego, gdzie umieścić wiolonczelę.

I tak w domu pojawił się czarny angielski fortepian. Trzeba było wiele zachodu i potu, nim się udało oswobodzić instrument ze wszystkich deszczułek i gałganów i wydobyć go wreszcie z solidnej skrzyni.

Herr Lorch nastroił fortepian, podciągnął nogawki spodni wyświeconych już na kolanach i usadowił się ostrożnie na masywnym obrotowym stołku.

Lorch w jednej rzeczy osiągnął mistrzostwo. W grze na fortepianie!

Zaczął grać Beethovena, spoglądając oczami podobnymi do wypuszczonych na wolność gołębi. *Appassionatę*.

Dina siedziała wtulona w pluszowe oparcie szezlongu. Z dyndającymi w powietrzu stopami. Otworzyła usta z głębokim westchnieniem, gdy pierwsze dźwięki wypełniły pokój.

Jej twarz spłynęła rzekami i strumieniami. Z ust Diny wydobył się przemożny dźwięk, który powalił ją na podłogę.

Referendarz nakazał bezzwłocznie przerwać grę. Dziewczyna wylądowała w swoim pokoju. Miała już dwanaście lat i powinna umieć zachować się obyczajnie.

Herr Lorch nie próbował zrazu nawet zbliżyć się do klawiatury. Ignorując błagania, przekleństwa i sztuczki Diny.

Pewnego dnia referendarz wyjechał na *ting* na cały tydzień. Wtedy *Herr* Lorch zamknął wszystkie okna i drzwi do salonu, choć przygrzewało majowe słońce.

Raz jeszcze podciągnął przetarte nogawki i usadowił się ostrożnie przy instrumencie.

Pozwolił palcom odpocząć przez chwilę na klawiszach, zanim w nie uderzył, wkładając w to całe uczucie.

Miał nadzieję, że reakcja Diny na *Appassionatę* już się nie powtórzy. Tego dnia wybrał *Tarantellę* i jeden z walców Chopina.

Równie dobrze mógłby zagrać cały swój repertuar. Dina płakała i wyła.

Trwało to cały tydzień. Oczy dzieciaka zrobiły się tak czerwone, że nikt nie miał odwagi pokazać jej referendarzowi. Pod pretekstem złego samopoczucia poszła więc do łóżka. Wiedziała, że ojciec nie wejdzie do jej pokoju. Chorobliwie bał się zarazy. To po świętej pamięci matce, mawiał. Nie czynił z tego żadnej tajemnicy.

Herr Lorch ułożył tymczasem plan. Pewnego popołudnia postanowił wyjawić go referendarzowi, gdy siedzieli razem w salonie i gospodarz opowiadał anegdotki z *tingu*.

Nie godzi się wszak, by tak drogi instrument stał bezużytecznie. Czy referendarz nie sądzi, że Dina przestałaby płakać, gdyby tylko nabrała trochę wprawy w słuchaniu muzyki? On na przykład miał kiedyś znajomego, którego psa także trzeba było stopniowo, ale stanowczo przyzwyczajać do muzyki. Przez pierwszy miesiąc wył. Bał się wszystkiego. Ale z czasem oswoił się z dźwiękami. W końcu spokojnie kładł się spać. Wtedy chodziło wprawdzie o skrzypce. Ale jednak...

Referendarz zwierzył się w końcu Lorchowi, że nie może znieść płaczu. Stracił odporność na szloch i zawodzenie, gdy jego żona odeszła w tak tragiczny sposób. Krzyczała przez całą dobę, zanim nadszedł koniec. Od tej pory cierpiał bardzo, słysząc takie dźwięki.

Wtedy Lorch poznał historię Hjertrud. I Diny, która poruszyła dźwignię i rozkołysała gorący gar z ługiem nad swoją nieszczęsną matką.

Herr Lorch, nienawykły do słuchania cudzych zwierzeń, nie znalazł słów pociechy. Spędził w tym domu trzy lata, nie wiedząc dlaczego przyszło mu uczyć małe wilczątko.

Zbierało mu się na wymioty od szczegółów opowieści referendarza. Ale słuchał z wprawą muzyka, który potrafi odróżnić prawdziwą sztukę od fałszywego sentymentalizmu.

Rozmaite myśli przebiegły przez głowę wrażliwego Lorch. Na przykład przecucie, że referendarz uporał się już w pewien sposób z tragedią. Choć pozornie wciąż trwał w żalu.

Guwerner odważył się jednak powtórzyć, z troską dobierając słowa, że szkoda by było, gdyby tak kosztowny instrument stał bezużytecznie. On może przecież dawać lekcje Dynie pod nieobecność referendarza.

Gdy referendarz skończył już swe opowiadanie, odchrząknął i zapalił kolejną fajkę, po czym doszli do porozumienia.

* * *

Potem Lorch wybrał się na długą przechadzkę. Wzdłuż wyblakłej wiosennie plaży. Spod śniegu wystawały suche źdźbła, w górze krążyły bezdomne ptaki morskie.

Cały czas miał przed oczami hardą twarz Diny. Słyszał jej wyzywająco płynne obliczenia, jej zapamiętały płacz wtórujący jego grze na fortepianie.

W gruncie rzeczy miał zamiar powrócić na studia muzyczne w Kopenhadze jeszcze tego lata. Odłożył wszak dość pieniędzy. Jednak został. Wyszuszony młodzieniec. O przerzedzonych włosach i zniszczonej twarzy mimo swoich niespełna trzydziestu lat.

W pewnym sensie odnalazł swe powołanie.

Dina nadal mówiła. Najpierw tylko do Lorchy. Potem również do innych, którzy pojawiali się na jej drodze.

Uczyła się gry na fortepianie. Z Lorchowych nut. Najpierw krótkie melodie i palcówki. Potem psalmy i łatwiejsze fragmenty klasycznego repertuaru.

Lorch starał się o odpowiednie nuty. Pisał do Trondheim, do Christianii i Kopenhagi, zamawiając zeszyty dla początkujących. Odnowił w ten sposób kontakty z przyjaciółmi z muzycznego świata.

Dina nauczyła się grać i słuchać, nie wydając z siebie wilczego wycia. A dom referendarza zyskał sławę bardzo muzycznego. Podróżni siadywali w salonie przy dźwiękach wiolonczeli i fortepianu. Popijając poncz. Rozkoszując się wytwornością i talentem. Referendarz nie krył zadowolenia.

Herr Lorch, ze swą sfatygowaną i nieefektywną powierzchownością, lakonicznym i niezręcznym stylem, introwertyczną i nudną osobowością, zyskał sławę artysty.

Lorch opowiadał Dinie wiele dziwnych historii z wielkiego świata oraz wygłaszał krótkie przypowieści o magii i muzyce.

Gdy pewnego dnia wiosłowali dla przyjemności po spokojnym morzu, opowiedział jej o morskim potworze, który miał nauczyć skrzypka gry. Muzyka powinna być tak piękna, by księżniczka wrzuciła się do łez i oddała skrzypkowi swą rękę!

Potwór obiecał go tego nauczyć, i owszem. Zamiast zapłaty zażądał świeżego, dobrego mięsa.

I dotrzymał słowa. Skrzypek osiągnął taką biegłość, że mógł grać nawet w rękawicach. Wtedy przypomniał sobie, że nie ma żadnego mięsa. Cisnął więc w morze obgryzioną kość.

– I co dalej? – spytała Dina w napięciu.

– Nie powinien nawet próbować oszukiwać potwora. Potwór śpiewał mu dzień i noc:

Za twoją kość, co beźmięsna i sucha,
dam ci muzykę pustą, bez ducha.

– Co to znaczy?

– Nauczył się świetnie grać, ale jego muzyka nie poruszyła księżniczki i nie dostał jej ręki.

– Dlaczego? Skoro tak dobrze grał?

– Ten, kto potrafi zagrać wszystkie nuty, niekoniecznie umie poruszać ludzkie serca. Muzyka ma duszę, tak samo jak ludzie... Dusza też musi zabrznieć...

– Ty umiesz tak grać – rzekła stanowczo Dina.

– Dziękuję! – odparł, kłaniając się jej. Jakby siedział w sali koncertowej, uświetnionej obecnością księżniczki w pierwszym rzędzie.

* * *

Zdaniem Diny, Lorch był człowiekiem, którego można obdarzyć zaufaniem. Gdy miała kłopoty, zwracała się właśnie do niego. Nikt nie próbował go ośmieszać w jej obecności.

Lorch nauczył się przyjmować jej gwałtowne czułości i uściski. Stał po prostu sztywno ze spuszczonej rękami. Jego oczy wyglądały jak pajęczyna w zaroślach, dźwigająca kroplę deszczu.

To jej wystarczyło.

Lorch zaprowadził Dinę na grób Hjertrud. Rosły tam piękne kwiaty. Rabatka okolona krągłymi, omszałymi otoczkami.

Guwerner przyciszonym głosem wyjaśniał Dinie sprawy, o które nie pytała.

Że Hjertrud nie żywi urazy. Że mieszka sobie w niebie, szczęśliwa, iż ominęły ją liczne troski i kłopoty tego świata.

Że wszystko jest w pewnym sensie zaplanowane. Że ludzie są narzędziami w życiu bliźnich. Że niektórzy robią rzeczy, które wydają się potworne im samym i innym, ale potem obracają się w dobro.

Dina utkwiała dwoje szklistych oczu w jego twarzy, jakby nagle uwierzyła, że wywyższyła Hjertrud. Że ją zbawiła! Że dokonała tego, czego inni nie śmieli albo nie chcieli uczynić. Posłała Hjertrud prosto przed oblicze Boga Ojca w Królestwie Niebieskim. Gdzie nie ma trosk, służby i dzieciaków. I że Hjertrud zsyła jej woń dzikich róż i niezapominajek – z wdzięczności.

Wyraz jej twarzy skłonił Lorcha do zmiany tematu. Zaczął opowiadać o budowie kwiatu trochę świszczącym głosem.

Tego lata, gdy Dina obchodziła trzynaste urodziny, referendarz przywiózł z Bergen niezwykle zadbaną brodę i nową żonę.

Pokazywał kobietę wszystkim wokół z taką dumą, jakby własnoręcznie wykuł ją z żelaza.

Po tygodniu „ta nowa” wprowadziła się do pokoi Hjertrud. Wszyscy domownicy i sąsiedzi byli zaskoczeni nagłością wypadków.

Dwie służące wyniosły rzeczy świętej pamięci Hjertrud i wysprzątały mansardę. Przez te wszystkie lata pokój był zamknięty. Niczym skrzynia, która poszła w zapomnienie, bo klucz gdzieś się zapodział.

Nieszczęsna Hjertrud i tak nie miała pożytku z tej izby, więc nikomu w zasadzie nie działa się krzywda. Każdy to rozumiał. A jednak. Coś zgrzytało w tym wszystkim.

W kątach dały się słyszeć szept. Że referendarz tak łaknął kobiecego towarzystwa, iż żadna ze służących nie zagrzała miejsca w jego domu. Jeśli chciała uniknąć kłopotów. Pojawienie się Dagny miało więc swoje dobre strony.

Dagny była prawdziwą bergeńską damą. Z talią osy, ufryzowaną głową i trzema halkami pod spódnicą. Miała stać się wybawieniem dla wszystkich, ale nie poszło tak łatwo.

Gipsowa maska domowej roboty była jedną z pierwszych twarzy, jakie przyszło zobaczyć nowej referendarzowej.

Dina zadała sobie sporo trudu. Włożyła gipsową maskę i białą powłóczystą szatę, żeby zrobić ojcu niespodziankę.

Sama maskę ulepiła. Według instrukcji Lorcha. Nie całkiem udany odlew jego twarzy. Przypominało to trupa bardziej niż wszystko, co Dagny w życiu widziała. Raczej groteskowe niż śmieszne.

Referendarz wybuchnął śmiechem na widok figury w drzwiach salonu, Dagny natomiast podniosła dłoń do czoła.

Między Diną i nową referendarzową od pierwszej chwili trwała zimna, nieprzejednana wojna. Referendarz musiał wziąć na siebie rolę pośrednika, jeśli między kobietami w ogóle miał być jakiś kontakt.

Jam jest Dina. Hjertrud zrzuciła mi jeden guzik od swego płaszcza. Dawniej nie lubiła czarnych obwódek za moimi paznokciami. Teraz o tym nie wspomina.

Lorch mówi, że mam talent do szybkich rachunków w pamięci. On dyktuje, a ja sumuję. Czasami odejmuję też wielocyfrowe liczby. Albo dzielę. Herr Lorch oblicza to na kartce. Wtedy cmoka i mówi: „Prima! Prima!”. Potem gramy razem. I już nie czytamy kalendarza i katechizmu.

Krzyk Hjertrud rozdziera zimowe noce na maciupieńkie strzępki, które fruwią za moim oknem. Zwłaszcza przed Wigilią. Kiedy indziej Hjertrud chodzi w filcowych kapciach i nie wiem, gdzie jest. Wyrzucili ją już z pokoju.

Spakowali wszystkie obrazy. Opróżnili komody. Książki znieśli do mnie. Te tomy wychodzą sobie z półek w świetle księżycy. Czarna księga Hjertrud ma miękkie krawędzie. I mnóstwo baśni. Pożyczam sobie lupę Hjertrud i łowię słowa. Przepływają przez moją głowę jak woda. Chce mi się pić. Ale nie wiem, czego ode mnie chcą. Hjertrud zupełnie się wyprowadziła. Mamy teraz orła, który krąży nad domem. Oni się go boją. A to tylko Hjertrud. Ale oni tego nie rozumieją.

ROZDZIAŁ DRUGI

URATUJE NAWET TEGO, KTÓRY NIE JEST NIEWINNY.

(Księga Hioba, 22, 30)

– Tomasz! Wiesz, czemu konie muszą spać na stojąco? – zapytała Dina pewnego dnia.

Patrzyła na tego krępego, niskiego chłopaka z ukosa. Byli sami w stajni.

Pochodził z zagrody komornika, u którego Dina chowała się przez kilka lat. Urósł na tyle, by móc zarobić parę groszy w obejściu referendarza po obowiązkowym odrobku.

Teraz wrzucił siano do żłobu i opuścił ręce. – Konie zawsze stoją, kiedy śpią – odparł.

– Tak, ale stoją też wtedy, gdy nie śpią? – ciągnęła Dina ze swą przedziwną logiką, i wskoczyła w ciepłe końskie łajno, które wylaziło spomiędzy jej gołych palców niczym tłuste glisty.

– Tak, tak.

Tomasz się poddał.

– Nic nie wiesz?

– Tfu! – Splunął i zmarszczył czoło.

– A wiesz, że oparzyłam moją matkę tak, że umarła? – zapytała w zaufaniu, wpatrując się w niego.

Tomasz stanął jak wryty. Nawet nie usiłował schować rąk do kieszeni. Wreszcie skinął głową. Jakby się modlił.

– Teraz ty też będziesz spał na stojaka! – orzekła z tym swoim dziwnym, niepodobnym do niczego uśmiechem.

– A dlaczego? – zapytał zaskoczony.

– Powiedziałam o tym koniom. I śpią na stojąco! Teraz ty też wiesz. Więc też musisz spać na stojaka! Tylko wam to powiedziałam.

Obróciła się na brudnej pięcie i wybiegła ze stajni.

Było lato.

Tej samej nocy Tomasz obudził się w chwili, gdy ktoś wszedł do izby. Pomyślał, że to stajenny, który zmienił plany i jednak nie popłynął łódką na połów dorszy.

Wtedy nagle stanęła nad nim, czuł jej oddech. Patrzył prosto w dwoje szeroko otwartych, oskarżających oczu. Szarych niczym wypolerowany ołów w nocnym świetle. Ciężących w środku jej głowy. Jakby miały zaraz spaść na łóżko.

– Szachrujesz! – prychnęła Dina, zdzierając z niego koc. – Miałeś spać na stojaka!

Wtedy spostrzegła nagie chłopięce ciało, które próbował instynktownie osłonić rękami.

– Dziwnie wyglądasz! – orzekła. Ściągnęła koc zupełnie i zaczęła badać wewnętrzną stronę jego ud.

Bronił się pełnymi zakłopotania chrząknięciami i wyciągnął rękę po spodnie wiszące na brzegu wyrka. Zanim się zorientował, stał już na środku izby. A ona zniknęła. Czyżby to wszystko wymyślił? Nie. Pozostał jej zapach. Zapach wilgotnej owcy.

Nie zapomniał tego zdarzenia. Czasami budził się w środku nocy, przekonany, że Dina jest w izbie. Nigdy nie zdobył dowodów.

Mógłby zaryglować drzwi od wewnątrz, ale mówił sobie, że inni chłopcy by się zdziwili. Myśleliby, że zamyka się przed kimś.

Zdawało mu się, że konie spoglądają na niego jakoś dziwnie, kiedy je karmi. Czasami, gdy dawał im skórkę od chleba, a one otwierały swe wielkie pyski, odsłaniając rząd żółtych zębów, myślał, że się z niego śmieją.

Ona pierwsza go zobaczyła. W ten sposób. Od tej pory wszystko się jakoś pomieszało.

Zaczął się zakradać do stawu za zagajnikiem. Przypuszczał, że Dina się tam kąpie. Bo przypomniało mu się nagle, że czasami widywał ją z mokrymi włosami w ciepłe popołudnia.

Gdy w jasne letnie wieczory miał coś do zrobienia w stajni, zdawało mu się, że słyszy jakiś szelest w kupie siana.

Mógłby przysiąc, że ktoś się rusza w krzakach, gdy sam się kąpał w stawie po zakończeniu pracy.

Pewnego wieczora odważył się! Wyszedł z lodowatej wody, dygocząc z zimna i z podniecenia, i ruszył w stronę kamienia, na którym położył ubranie. Powoli, nie tak jak zwykle biegiem, z rękami przed sobą. A odzienie umieścił o wiele dalej niż zazwyczaj. Jakby pragnął, by ktoś go zobaczył.

To pragnienie eksplodowało w nim, gdy zauważył, że w krzakach ktoś rzeczywiście jest. Coś mu mignęło. Jakiś cień. Jasne płótno? Przez chwilę nie śmiał się nawet rozejrzeć. Potem zaczął się ubierać, wciąż roztrzęsiony.

Przez całe lato tętniła w jego krwi. Przeplątywała przez każdą jego myśl. Jak rwąca rzeka.

* * *

Jam jest Dina. Nie lubię malin. Zrywa się je w gąszczu za szopą, gdzie kiedyś stała pralnia. Takie chaszczce ranią bardziej niż pokrzywy.

Hjertrud stoi na samym środku stawu, tam gdzie pływają wodne lilie. Idę do niej. Wtedy ona znika. Najpierw łykam dużo wody, ale potem czuję, że Hjertrud mnie trzyma, że płynę. Teraz mogę wychodzić w morze, w wodę i pływać, bo ona mnie trzyma. Tomasz tego nie potrafi. Jego nikt nie trzyma.

Łono Dagny zaokrągliło się, zanim minął miesiąc jej małżeństwa z referendarzem.

Kucharka powiadała, że referendarz strzelał, nie szzczędząc prochu. Z zaufanymi dzieliła się nadzieją, że tym razem wypalił na tyle celnie, iż służące zaznają od tej pory trochę spokoju. I nie będzie musiała starać się o nowe w najmniej odpowiednich chwilach.

Referendarz promieniał radością. Wyprawiał się na małe przechadzki do lasu za domem, trzymając parasol Dagny wysoko nad jej głową. Tak wysoko, że ona narzekała na przedostające się promienie słońca, a gałązki brzozy dziurawiły jedwab.

Dina zastawiała sidła. Bardzo przemyślnie.

Zdarzało się, że drzwi do pokoju Dagny były zamknięte, a klucz gdzieś przepadł. Po czym znajdowano go w środku pokoju!

Potrafiła niepostrzeżenie wśliznąć się na mansardę macochy, gdy Dagny była na dole, i zamknąć drzwi, zostawiając klucz w zamku od wewnątrz. Potem wychodziła przez otwarte okno.

Rozhuśtywała swoje ciało. Niczym wahadło starego zegara w salonie. I po szczęściu, siedmiu zamaszystych ruchach opierała się stopą o ogromną brzozę.

Tomasz musiał przynosić drabinę i prześlizgiwać się między jasnymi storami, żeby otworzyć drzwi.

Podejrzanie padało na Dinę.

Wysoki, urażony głos Dagny omiatał całe obejście jak mroźny, zimowy wicher.

A Dina milczała. Spoglądała prosto w rozwścieczone oczy ojca i milczała.

Szarpał ją za włosy, potrząsał za ramiona.

Zapierała się z całej mocy, aż piana występowała jej na usta. I referendarz dawał za wygraną. Do następnego razu.

Czasami zawieruszała się książka Dagny albo jej robótka ręczna. Wszystkich domowników stawiano na nogi, by szukali zguby. Bez powodzenia.

A nazajutrz zaginiony drobiazg leżał dokładnie na swoim miejscu.

Jeśli Dina utrzymywała, że była w towarzystwie Tomasza albo dziewczki kuchennej, to jej słowa się potwierdzały. Kłamali, choć sami nie wiedzieli dlaczego. Chłopak chyba dlatego, że Dina kiedyś zdarła z niego koc i widziała jego nagość. I jeszcze dlatego, że od tamtej chwili płonął w nim ogień, którego nie umiał ugasić. Intuicja mu podpowiadała, że jeśli zaprzeczy, iż widział ją w stajni właśnie wtedy, gdy zniknęły przedmioty Dagny, straci szansę stłumienia tych płomieni.

Wyrośnięta, mocno zbudowana Dina miała twarde pięści i porywczą naturę. Jeszcze nigdy nie użyła ich przeciwko dziewczce kuchennej. A jednak służąca się jej bała.

Dagny urodziła syna. O ile ślub odbył się po cichu w Bergen, o tyle chrzciny miały być isticie królewskim wydarzeniem.

Srebrne wazy i świeczniki, haftowane serwety i inne cacka stały na serwantce i na kredensie całymi dniami.

Służące zastanawiały się, czy chodzi o to, że mają stawiać półmiski z jedzeniem na podłodze.

Dzieciak, któremu dano imię Oscar, przez „c”, sporo krzyczał. Tego referendarz nie wziął niestety po uwagę. A był tak wrażliwy na płacz.

Dagny zaś zaokrągliła się nieco i było jej do twarzy z wydatnym biustem i uśmiechem, który zagościł na jej licu, gdy w domu pojawiła się niania. Stroje dla siebie i niemowlęcia zamawiała w Trondheim i Bergen.

Referendarz nie chciał z początku okazywać małostkowości, więc nie odmawiał jej niczego. Stracił jednak cierpliwość, bo paczkom i przesyłkom nie było końca. Przypomniiał żonie, że interesy nie idą najlepiej. Jeszcze nie dostał swoich pieniędzy za wysłane do Bergen ryby.

Dagny zanosła się od płaczu. Oscar jej wtórował. Gdy więc z Trondheim nadeszła kolejna przesyłka, referendarz tylko westchnął i zamknął się u siebie na parę godzin.

Wieczorem wyszedł jednak z rozjaśnioną twarzą i w dobrym humorze. Mogli to potwierdzić wszyscy lokatorzy głównego budynku. Deski między parterem a mansardą świętej pamięci Hjertrud skrzypiały bowiem rytmicznie.

– Mogliby choć zaczekać, aż się wszyscy położą – gderala najstarsza służąca pogardliwie.

Referendarz trzymał się jednej spódnicy. Wszystkie inne zazały nieco spokoju. Nikt więc nie narzekał. Dla niektórych niedwuznaczne odgłosy z góry stanowiły nawet pewną rozrywkę.

Za czasów świętej pamięci Hjertrud nikt nie słyszał takich dźwięków. Tamta była aniołem. Świętą. Nikt by nawet nie przypuścił, że robiła takie rzeczy z tym rozpustnym referendarzem. Jakoś jednak spółdzili tę dziewczynę. Tę nieszczęsną Dinę, dźwigającą taki grzech. Jakiż ciężki los spotkał biedaczkę!

Kobiety nie mogły się powstrzymać od rozmów o świętej pamięci Hjertrud. Szeptaly. Na tyle głośno, by to, co trzeba, dotarło do uszu Dagny. Omijając uszy referendarza.

Kreśliły portret Hjertrud słowami. Jej wysoką, dumną postać. Jasny uśmiech, cudownie ciekłą talię. Cytowały jej mądre słowa.

Gdy w drzwiach stała Dagny, rozmowy się urywały. Jakby ktoś zdmuchnął świeczkę. Jednak to, co najważniejsze, zostało już powiedziane i usłyszane.

Dagny tolerowała portrety świętej pamięci Hjertrud. Przez wiele miesięcy. Z jednego z nich, wiszącego w salonie na aksamitnej tapecie nad boazerią, zmarła spoglądała na nią z dyskretnym uśmiechem. Z tego, który zdobił klatkę schodową, Hjertrud patrzyła poważnie. Jeszcze jeden stał u referendarza na biurku.

Pewnego dnia cierpliwość Dagny się wyczerpała. Własnoręcznie usunęła obrazy ze ścian, owinęła starymi poszewkami i złożyła w skrzyni, w której leżały już rzeczy Hjertrud z jej dawnego pokoju.

Dina natknęła się na nią w chwili, gdy Dagny zdejmowała ze ściany ostatni obraz. Ta chwila przesiąknęła zapachem kwasu.

Dziewczyna podążała za macochą krok w krok. Do bielizniarki na strychu, po poszewkę. Do ciemnego kąta, w którym stała skrzynia Hjertrud. Dagny traktowała pasierbicę jak powietrze.

Nie padło ani jedno słowo.

Zjedli właśnie dobry obiad.

Referendarz wyciągnął się w swym bujanym fotelu obitym zielonym pluszem, nie zauważwszy nawet braku portretów.

Wtedy Dina ruszyła do ataku.

Nicznym dowódcą armii w pędzie przez pole bitwy. Chorągwią, którą przed sobą dzierżyła, była stara poszewka z jej pobrzękującą zawartością.

– A to co znowu? – spytał referendarz, nie kryjąc irytacji.

– Chcę tylko zawiesić obrazy – odparła Dina, spoglądając znacząco w kierunku Dagny.

Stanąła przed referendarzem i zaczęła wyjmować portrety, jeden po drugim.

– A dlaczego je zdejmujesz? – zapytał ze zniecierpliwieniem ojciec.

– Wcale ich nie zdejmowałam. Ja chcę je zawiesić!

Zapadła cisza, głucha cisza. Tylko myszy chrobotaly w spizarni.

Wreszcie odezwała się Dagny. Referendarz zauważył bowiem, że oczy Diny zawisły na niej jak rozpalone węgle.

– Ja je zdjęłam – powiedziała zaczepnym tonem.

– A dlaczego?

Wcale nie chciał być tak gburowaty. Ale w kobietach było coś, co wyprowadzało go z równowagi.

Referendarz wierzył w niepisaną zasadę. Do kobiet i służby trzeba mówić tak, jak do mądrych psów. Jeśli to nie pomaga, należy założyć psu „kaganiec”. I przemawiać jak do mądrego konia. Nie podnosząc głosu, zniżając go o oktawę. Tak, by dźwięcznie dobywał się z piersi i wypełniał cały pokój.

Bardzo rzadko udawało mu się zastosować własną receptę. Nie powiodło się i tym razem.

– Nie zamierzam się z tego tłumaczyć! – rzuciła Dagny.

Referendarz rozpoznał szczerzenie rozjuszonego psa i polecił Dinie opuścić izbę.

Dina nie spieszyła się, ustawiła cztery portrety u stóp ojca, wzięła poszewkę i wyszła po cichu.

Następnego ranka obrazy wisiały na swoich miejscach. Dagny pozostała w łóżku z migreną, a Oscar spędził cały dzień na dole.

Referendarz miał serdecznie dosyć wojny podjazdowej między córką i żoną. Przyłapał się na marzeniach, by uciec. Rozmyślał o samotnych wycieczkach łodzią wzdłuż brzegu, z niewielką załogą, fajką i butelczyną. Miał ochotę odesłać dziewczynę gdzieś daleko. Wydać za męża. Ale przecież nie skończyła jeszcze piętnastu lat.

Przyszłość nie jawiła mu się w jasnych barwach. Nie dlatego, by Dinie brakowało urody. Nie była brzydka. Wysoka i niezłe zbudowana jak na swój wiek. Dobrze rozwinięta.

Jej dzikość nie przyciągała jednak mężczyzn szukających żony.

Referendarz nie zamierzał zrezygnować. Odnalazł swą misję. Jeśli spotykał kawalerów niezłego rodu, myślał od razu: czyby to nie mogło być coś dla Diny.

Dagny miała już powyżej uszu roli żony, matki i macochy. Chciała pojechać do Bergen, żeby zobaczyć „swoich”, jak mawiała. Referendarz rozumiał wtedy, że musi coś zrobić, i to czym prędzej.

Postanowił wysłać Dinę do szkoły do Tromsø. Nikt ze znajomych rodziny nie chciał jednak przyjąć jej do domu. Każdy miał pod ręką dobrą wymówkę. A to gruźlica, a to emigracja. A dziewczyna była za młoda, by zamieszkać na stacji samotnie.

Wściekał się na samo wspomnienie wszystkich przysług, które im oddał swego czasu. A oni jakby zapomnieli. Kładł to w uszy każdemu, kto chciał słuchać.

Dagny odpowiadała z irytacją, że nikt nie zniósłby „czegoś takiego” w swoim domu.

A więc to tak! Córka referendarza miałaby być „czymś takim”? Pienił się wprost z wściekłości i zranionej dumy. Czyż nie jest jedyną dziewczyną grającą na wiolonczeli? Czyż nie nosi butów? A może nie jeździ konno najlepiej w całym powiecie? I czy nie rachuje szybciej od wszystkich kramarzy? Czegóż jej nie dostaje?

Nie, skądże, wszystko jest w porządku, tyle że Dina jest do szpiku kości dzika, zła i nieokiełznana!

Dagny rzuciła ten wyrok referendarzowi prosto w oczy, tuląc w ramionach malutkiego synka, który kwilił niespokojnie, czując zamieszanie.

– A kto miał jej zastąpić matkę? – spytał referendarz, rozsierzdony do granic możliwości.

– W każdym razie nie ja – odparła Dagny stanowczo, położyła dziecko na podłodze u stóp referendarza i ujęła się pod boki.

Wtedy referendarz wyszedł. Opuścił salon, zszedł po szerokich, pańskich schodach, przemierzył podwórko, by dotrzeć do swych ukochanych spichrzów nadbrzeżnych.

Zatęsknił do łagodnej z natury Hjertrud, do jej chłodnej dłoni na czole. Kojący, anielski spokój, jaki roztaczała, miał jeszcze większą moc po jej śmierci, jeśli to w ogóle możliwe.

Referendarz stał pośród zapadającego zmroku i prosił świętej pamięci Hjertrud, by zabrała do siebie swoje dziecko, bo on nie może już sprostać sytuacji. Natychmiast się usprawiedliwił: wcale nie chce odebrać dziewczynie życia, pragnąłby po prostu przydać jej trochę oglady.

– Ty z nią porozmawiaj! – błagał żarliwie.

Wydmuchał nos, zapalił fajkę i usiadł ciężko na beczcze. Gdy zegar wybił godzinę posiłku, poczuł głód. A jednak ociągał się długo.

Nikt nie odważyłby się rozpocząć posiłku, jeśli referendarz nie siedział na swym miejscu u szczytu stołu. Ta reguła obowiązywała wszystkich, gdy był w domu.

Dina w ogóle nie pojawiła się przy stole. Siedziała na starej brzozie za spiżarnią. Stamtąd sięgała wzrokiem tak daleko jak sokół. A do jej uszu docierały wszystkie odgłosy z domu.

Sama zaś była niewidoczna.

Na szczycie drzewa zawisła wełniana robótka Dagny. Powyciągana na wszystkie strony, podziurawiona wszędzie tam, gdzie puściły oczka.

Druty sterzczały ze sroczego gniazda pod kalenicą spiżarnianego dachu. Błyskały i lśniły, gdy słońce zatrzymywało na nich wzrok.

ROZDZIAŁ TRZECI

PÓJDĘ WIĘC Z TOBĄ – ODPOWIEDZIAŁA MU – LECZ CHWAŁĄ NIE OKRYJE
DROGI, PO KTÓREJ PÓJDZIESZ, ALBOWIEM PRZEZ RĘCE KOBIETY PAN
WYDA SISERĘ.

(*Księga Sędziów, 4, 30*)

Jakub Grønelt z Reinsnes był bliskim przyjacielem referendarza. Razem chadzali na zimowe polowanie, razem pływali latem do Bergen.

Minęło już niemal dwadzieścia lat od chwili, gdy Jakub przybył z Trondheim, by pomóc Ingeborg, wdowie na Reinsnes, w rejsach frachtowych.

W owym czasie Reinsnes cieszyło się sławą jednego z najlepiej prosperujących ośrodków handlowych w regionie i dysponowało dwoma wspaniałymi klipami.

Niewiele czasu upłynęło, zanim Jakub wprowadził się do sypialni na piętrze. Ingeborg wyszła za mąż za swego młodego sternika.

Okazało się, że nieźle wybrała. Jakub Grønelt był zdolnym młodzieńcem. Wkrótce zaczął się starać o prawo wyszynku i prowadzenia domu zajezdnego. Dostał je ku zazdrości wielu.

Ingeborg Grønelt cieszyła się dobrą sławą. Podobnie jak matka Jakuba, Karen. Kobiety na Reinsnes zawsze się wyróżniały. Przez ten dom przewinęło się już wiele rodów i z każdego najlepiej pamiętano niewiasty.

Więść niesła, że w tym domu podejmowano gościnnie każdego, niezależnie od jego urodzenia. Jeśli kobiety na Reinsnes miały w ogóle jakąś wadę, to chyba tylko tę, że nie rodziły dzieci co roku.

Za to długo zachowywały młodzieńczą i delikatną cerę.

Jakby południowo-zachodnie wiatry i nieogarnione morze zmyły z nich zmarszczki i starość. Sprawiał to chyba *genius loci*. Nie mogły mieć tego w genach. Przez Reinsnes przewinęło się wszak wiele rodów.

Jakub Grønelt lubił ciężką pracę i włóczęgi. Przyniósł we włosach podmuch wiatrów z wielkiego świata. Ożenił się ze starszą o piętnaście lat Ingeborg i całym jej majątkiem. Niczego nie roztrwonił.

Ingeborg miała czterdzieści lat, gdy Jakub pojawił się w jej domu. Nikt nie wyglądał więc potomstwa.

Wszyscy się jednak przeliczyli.

Ingeborg, która nie urodziła dzieci pierwszemu mężowi, teraz rozkwitła.

Podobnie jak Sara ze *Starego Testamentu*, stała się brzemienna w kwiecie wieku. Urodziła syna w czterdziestym trzecim roku życia! Mały odziedziczył po ojcu Jakuba imię Johan.

Matka Jakuba, Karen, przyjechała z Trondheim, by ujrzeć swego wnuka. Wkrótce posłała po swą bibliotekę oraz fotel bujany i osiadła w Reinsnes.

Najlepsza teściowa, jaką można sobie wyobrazić. W ten sposób matriarchat na Reinsnes wszedł w kolejną dobrą fazę. Łagodne acz wszechwładne panowanie. W posiadłości kwitła tolerancja i pracowitość. Zostać poddanym tutejszej domowej dyscypliny uchodziło za dar losu.

Można by się spodziewać problemów związanych z tym, że Ingeborg wzięła na wychowanie dwóch chłopców jeszcze przed małżeństwem z Jakubem. Ale chłopcy wyrosli na porządnym ludzi. Ciemnowłosy starszy Niels zarządzał składem. Młodszy Anders był jasnowłosy i niecierpliwy. Żeglował na jednym z kliprów.

Ingeborg robiła interesy i przydzielała obowiązki z wielką rozważą.

Jakub wedle prawa był głową domu, w gruncie rzeczy rządziła i decydowała Ingeborg. Ale pytała Jakuba o radę. I czasem się do niej stosowała.

Nikt nie zaprzętał sobie głowy faktem, że Jakub jest tu obcy. Wszyscy aprobowali jego coroczne podróże do Bergen i zamiłowanie do coraz to nowych wędrówek.

Niczyich uszu nie doszła jakakolwiek kłótnia między Ingeborg i Jakubem. Każde z nich zajmowało się swoimi sprawami.

Klipry – to było życie Jakuba. Anders ślepo go we wszystkim naśladował.

W ten sposób każde z państwa na Reinsnes miało swego przybranego syna. Obowiązki i odpowiedzialność były podzielone według niepisanych reguł. Wynikających zawsze z potrzeb dużego folwarku. Nigdy inaczej.

Kryształy dyndające na żyrandolu nie słyszały hałasów ani kłótni w tym domu. Tylko ściszone i kulturalne głosy.

Ingeborg zaprowadziła ten obyczaj wszędzie, nawet w stajni i spichrzach nadbrzeżnych. Ten dom nie znał przekleństw.

Jakub pozbywał się ich gdzieś na morzu. Gdy pod stopą czuł ziemię Reinsnes, znikwały bez śladu.

Przed wejściem do sypialni Ingeborg zawsze doprowadzał się do ładu. Zewnętrznego i wewnętrznego. A ona nigdy go nie odtrąciła.

Jeśli nawet gasił swe pragnienia w innych domostwach wzdłuż długiego wybrzeża, zawsze wracał do tej dojrzałej kobiety. Cieszył się niezmiennie z każdego pobytu w domu, z wysokiego łóża z zasłonami i białym baldachimem.

Wszyscy mogli dostrzec delikatny rumieniec, który wstępował na piegowatą twarz Ingeborg, gdy klipier wślizgiwał się na wody zatoki. Pąsy nie opuszczały jej lica tygodniami. Aż do odjazdu Jakuba.

Gdy Jakub był w domu, szybko zapadał wieczór i zawsze spóźniał się ranek. Nikomu jednak ten rytm nie przeszkadzał. Wszyscy cieszyli się dłuższymi nocami.

Jakub Grøneltv nigdy nie spluwał do kieliszka z ponczem. Nie robił tego również referendarz.

Gdy referendarz owdowiał, Jakub pierwszy pospieszył ze słowami pociechy. Wprowadził go w dobre towarzystwo w Trondheim i Bergen. Zaaranżował spotkanie z Dagny.

Ustępowali sobie wzajemnie. Wtedy gdy chodziło o interesy i wtedy, gdy szło o kobiety. Sypiali w tych samych alkowach w Helgelandzie, wcale nie wadząc się z tego powodu.

Aż pewnego dnia Ingeborg zmarła, gdy się pochyliła, by pogłaskać swego kota pod modrzewiem w ogrodzie. Upadła na ziemię jak jabłko. I przestała istnieć.

Nikomui nawet przez myśl nie przeszło, że Ingeborg mogłaby umrzeć, mimo iż śmierć regularnie nawiedzała te progi. A już na pewno nikt się nie spodziewał, że Pan mógłby ją zabrać do siebie, nie pozwoliwszy jej ujrzeć syna wyświęconego na księdza! Tej, która troszczyła się o każde najędzniejsze stworzenie boże na tym wybrzeżu i zawsze była ludziami oparciem.

Od dnia jej śmierci modrzew i czarny kot stały się relikwiami tej okolicy.

Jakub był niepokieszony. Podzielił los wielu innych, którym śmierć niespodziewanie coś odebrała. Pojął, że miłości nie można ni zmierzyć, ni zważyć. Że zjawia się wtedy, gdy wcale się jej nie spodziewamy.

Jakub zdał sobie sprawę ze swego uczucia, dopiero czuwając nad marami. Przedtem sądził, że chodzi o interesy i łóżko. Okazało się, że o dużo, dużo więcej.

Przez cały rok cierpiał na bezsenność i brak apetytu, żałując, że nigdy nie okazał Ingeborg prawdziwej miłości.

Nadużywał swego prawa do wyszynku i więcej wódki wypijał, niż sprzedawał. Co nie tylko pozbawiało go zysków, ale i wprowadzało w otępienie i apatię.

Na zmyślnych pasierbów przypadało teraz więcej roboty, ale też więcej władzy i sławy.

Jakub budziłby z pewnością odrazę wśród domowników i gości, gdyby nie jego niepospolita uroda. Roztaczał wokół siebie aureę zmysłowości. Zniewalaając wszystko, co żywe. To ona niegdyś zniewoliła Ingeborg.

Jakub był jednak przede wszystkim wagabundą i marynarzem. A jego talent do interesów, którym odznaczała się Ingeborg, objawił się w pełnym świetle wtedy, gdy jej zabrakło.

Pasierbowie utrzymywali się jakoś na powierzchni. Ale szybko zrozumieli, że muszą albo jak najszybciej przejąć kontrolę nad wszystkim, albo posłać Jakuba na morze, by zajął się tym, co robić potrafi. W przeciwnym wypadku czeka ich wszystkich bankructwo.

Jakubowi wszystko uchodziło. Podlegał ochronie. Nawet tej nocy, gdy wyniósł do ogrodu łoże z baldachimem. Wychylił bardzo wiele kieliszków i przeszedł przez wszystkie stadia i formy tęsknoty za Ingeborg. Zdawało mu się, że w ten sposób zbliży się do niej. W każdym razie mógł patrzeć na jej niebo.

Niebo go jednak najwyraźniej zlekceważyło. Lunęło deszczem armatnich kul.

Grzmoty i pioruny wymierzały karę mężczyźnie w baldachimowym łożu.

Sporo pracy kosztowało Jakuba rozłożenie łóżka na części, staszczenie go na dół i ponowne złożenie.

Nie zawiesił już baldachimu. Na całe szczęście. Deszcz nie zaszkodził drewnu. Dla jedwabiu oznaczałby natomiast katastrofę.

Ale Jakub wytrzeźwiał. Jakby stał się cud.

ROZDZIAŁ CZWARTY

O WI ANIOŁOWIE PRZYBYLI DO SODOMY WIECZOREM, KIEDY TO LOT SIEDZIAŁ W BRAMIE SODOMY. GDY LOT ICH UJRZAŁ, WYSZEDŁ NAPRZECIW NICH I ZAPROSIŁ POD SWÓJ DACH, ALE MIESZKAJĄCY Z SODOMIE MĘŻCZYŹNI, STARZY I MŁODZI, ZE WSZYSTKICH STRON MIASTA, OTOCZYLI DOM, WYWOŁALI LOTA I RZEKLI DO NIEGO: „WYPROWADŹ ICH DO NAS, ABYŚMY MOGLI Z NIMI POSWAWOLIĆ”. LOT, KTÓRY WYSZEDŁ DO NICH DO WEJŚCIA, ZARYGLOWAWSZY ZA SOBĄ DRZWI, RZEKŁ IM: „BRACIA MOI, PROSZĘ WAS, NIE DOPUSZCZAJCIE SIĘ TEGO WYSTĘPKU. MAM DWIE CÓRKI, KTÓRE NIE ŻYŁY JESZCZE Z MĘŻCZYZNĄ, POZWÓLCIE, ŻE JE WYPROWADZĘ DO WAS. POSTĄPCIE Z NIMI, JAK SIĘ WAM PODOBA, BYLEŚCIE TYM LUDZIOM NICZEGO NIE CZYNILI, BO PRZECIEŻ SĄ ONI POD MOIM DACHEM”.

(Księga Rodzaju, 19)

Gdy referendarz usłyszał historię o łóżku w ogrodzie, postanowił zaprosić przyjaciela do Fagerness na polowanie, partyjkę i poncz.

Wdowiec przybił do brzegu w białej łodzi z kajutą i błękitnymi relingami.

Powietrze nasiąkało już jesienną słątą, ale w południe było jeszcze ciepło i ładnie. Pojawiły się pardwy. Nakrapiane, jak to zwykle jesienią. A że nie spadł jeszcze śnieg, panowie nie liczyli na udane polowanie.

To zresztą nie miało znaczenia.

* * *

Spotkanie było serdeczne i przyjazne.

Jakub pochwalił suknię Dagny, jej fryzurę, figurę, hafty. Komplementował jedzenie, likier, ciepło kominka i gościnność. Zapalił cygaro i nikomu nie zwracał głowy sobą i swym nieszczęściem.

Dagny przyłączyła się do panów po posiłku, opowiadając żywo o Szwedzie, który gościł u nich przez tydzień. Kręcił się po okolicy i obserwował ptaki, nie wiadomo w jakim celu.

– A czy w waszym domu nie było zeszłego roku dzikiego ptaka? – zapytał Jakub z beztroską wesołością.

Gospodarze zaniepokoiłi się nieco.

– Ona jest pewnie w stajni – odpowiedział wreszcie referendarz.

– No tak, była tam też poprzednim razem – zaśmiał się Jakub.

- Trudno ją nakłonić, by wydorosłała – rzekła Dagny.
- Miała całkiem długie nogi, gdy ją widziałem ostatnio – oświadczył Jakub.
- No tak, nie w tym rzecz – westchnął referendarz.

– Chodzi o to, że jest jeszcze dziksza i bardziej nieokiełznana niż przedtem. Ma już piętnaście lat i powinna chodzić do szkoły albo być na wychowaniu w dobrym domu. Ale są z tym problemy...

Jakub miał ochotę powiedzieć, że nie jest tak łatwo wychowywać się bez matki, ale ugryzł się w język. Rozumiał, że nie wypada.

– No, ale czy ona nic nie jada? – dziwił się, zerkając w stronę jadalni, gdzie dziewczęta już sprzątały ze stołu.

- Jada w kuchni – rzekł referendarz z zakłopotaniem.
- W kuchni?
- Zawsze wprowadza tyle zamieszania – wyjaśniła Dagny i chrząknęła.
- I dobrze się czuje w kuchni – dodał pospiesznie referendarz.

Jakub spoglądał to na jedno, to na drugie. Referendarz czuł się nieswojo. Przeszli do innych tematów. Ale poprzedni nastrój już nie wrócił.

Herr Lorch nie rzekł ni słowa. Potrafił zachowywać się tak, jakby go nie było. Budził tym tyle samo irytacji, co zadowolenia.

Tym razem sprowadziło to na referendarza zimny pot.

O świcie Jakub i referendarz wyruszyli na polowanie.

Dagny pogrózkami próbowała zmusić Dinę, by ubrała się porządnie i zagrała na wiolonczeli po obiedzie. Z jakiegoś powodu, zapewne za sprawą misternej strategii Lorchy, Dina zgodziła się spełnić tę prośbę. Mimo że wyraziła ją Dagny.

Zechciała nawet usiąść z dorosłymi przy stole.

Panowie w świetnym humorze zabrali się do pieczenia baraniej. Połało się wino. Rozmowy toczyły się pośród śmiechu.

Herr Lorch nie mieszał się do męskich pogaduszek. Nie znał się na polowaniu. Był jednak człowiekiem kulturalnym, dobrym słuchaczem.

Panowie długo rozwodzili się nad podniecającymi urokami polowania.

Potem zauważyli, że może nadchodzi kres złej koniunktury na północy. Sztokfisz podrożał. A i cena świeżej ryby podskoczyła o dwa talary za setkę.

Interes z suszoną rybą dobrze się zapowiada, utrzymywał referendarz. Nosił się z zamiarem wykarczowania wzgórz aż po wrzosowiska pod żerdzie do suszenia ryb. Wrzosa są zresztą tak słabe, że mógłby nawet nająć dzieci do karczowania.

Jakub nie znał się na sztokfiszach.

- Ależ masz takie wspaniałe wzgórze na Reinsnes! I to wszędzie!
- Być może, ale trzeba by zatrudnić ludzi – odparł Jakub niefrasobliwie.

Nietrudno było zauważyć, że nie zamierza brać się do tego rodzaju interesów.

- Lepiej się trzymać handlu i frachtu morskiego – oświadczył.
- Można lepiej zarobić, jeśli się wyprodukuje towary zamiast je tylko skupować.

Dina obserwowała mimikę twarzy i słuchała tonu głosów. Treść rozmowy jej nie interesowała.

Siedziała naprzeciw Jakuba i otwarcie przypatrywała się „staremu wdowcowi”. A przy tym jadła zadziwiająco bezgłośnie i kulturalnie, jak na nią.

Staniczek i długa suknia okrywały szczelnie jej młode, prężne kształty.

- Posiwał pan, panie Grøneltv – powiedziała nagle donośnym głosem.

Jakub, choć wyraźnie zakłopotany, roześmiał się.

- Dina! – rzekła Dagny cicho, lecz surowo.

- A czy jest coś złego w siwych włosach? – zapytała Dina zaczepnie.

Referendarz przeczuwał wiszącą w powietrzu awanturę, więc choć nie zjedli jeszcze deseru, rozkazał szybko i opryskliwie:

- Idź po wiolonczelę!

O dziwo, Dina usłuchała go bez protestów.

Herr Lorch zerwał się z krzesła i zasiadł przy instrumencie. Pochylony, trzymał ręce nad klawiaturą, czekając, aż Dina przybierze wygodną pozycję.

Zielona, aksamitna, wykończona haftem spódnica rozdzieliła się, gdy Dina umieściła wiolonczelę między kolanami. Nie był to kobiecy gest. Brakowało mu wdzięku i elegancji. Pokój wypełnił się ciężką cielesnością.

Spojrzenie Jakuba się zamgliło.

Jego oczy ugodził widok dwóch młodzieńczych, sterczących piersi, gdy dziewczyna pochyliła się nad instrumentem i przyłożyła smyczek do strun.

Twarz Diny pod czarną, niesforną czupryną napęliła się spokojem. Włosy zostały na tę okoliczność przyczesane i oczyszczone ze stajennego kurzu.

Duże, trochę namiętne dziewczęce usta rozchyliły się. Oczy patrzyły gdzieś w dal. Ciężkim spojrzeniem.

Jakub poczuł nagły skurcz gdzieś w okolicy podbrzusza, gdy Dina pochyliła się i zagrała pierwsze nuty. Rozpoznał to uczucie. Doświadczył go już nieraz. Ale tym razem było silniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Może dlatego, że nadeszło tak nieoczekiwanie?

Głowa Jakuba była jak jaskółcze gniazdo, w którym muzyka rozbiła wszystkie jajka. Białka przemieszane z żółtkami spływały po policzkach i szyi. Pochylił się instynktownie do przodu i pozwolił cygaru zgasnąć.

Odzienie Diny zamieniło się nagle w gęste listowie przesłaniające kobiece ciało. Do świata Jakuba nie miała dostępu myśl, że Dina ma pewne kłopoty z zadowolającą Lorcha interpretacją Schuberta. Jakub widział tylko przesuwający się materiał sukni na udach Diny, gdy dźwięki drżały w powietrzu.

Był struną pod jej palcami. Smyczkiem w mocnej, miękkiej dłoni. Oddechem pod karczkiem sukni. Wznosił się i opadał wraz z nią.

Nocą Jakub Grønelv nie mógł zasnąć. Niewiele brakowało, a pobiegłby nago w głąb mroźnej nocy, by ugasić pochodnię, jaka w nim płonęła. Za następnymi drzwiami leżała Dina. Rozbierał ją z całym zarem, na jaki go było stać. Rozsadzało go wyobrażenie pełnych, młodych piersi. Obraz jej kolan gościnnie rozwartych między północą i południem z błyszczącym instrumentem między nimi.

Jakub Grønelv nie wiedział, co ze sobą pocznie tej długiej nocy.

Następnego ranka miał odjechać.

Łódź była już gotowa do drogi, gdy odwołał referendarza na stronę i powiedział ze stężalym spojrzeniem:

– Muszę ją mieć! Muszę dostać Dinę za żonę!

Ostatnie słowo padło tak, jakby właśnie w tej chwili odkrył, że nie istnieje inne rozwiązanie.

Był do tego stopnia pochłonięty rozważaniem, w jaki sposób sformułować swe pragnienie, że niemal zapomniał języka w gębie. Słowa potykały się o jego wargi, jakby nie słyszał ich nigdy przedtem. Wszystko, co sobie zawczasu przygotował, gdzieś się rozproszyło.

Ale referendarz zrozumiał go.

Gdy Jakub odbijał od brzegu, zaczął padać śnieg. Najpierw leciuteńko. Potem coraz gęściej.

* * *

Nazajutrz wezwana do gabinetu Dina dowiedziała się, że gdy tylko skończy szesnaście lat, Jakub ją poślubi.

Dziewczyna stała pośrodku izby na szeroko rozstawionych nogach, obleczonych w stare samodziiałowe portki. Wokół niej powiększała się kałuża ze stopionego śniegu pomieszanego z łajnem i źdźbłami słomy.

Gdy została wezwana do gabinetu, była przekonana, że chodzi o ostatni kawał, jaki zrobiła Dagny, albo o to, że wpuściła młodszego braciszka do chlewika tego dnia rano.

Nie musiała już unosić głowy, by spojrzeć ojcu w twarz. Zrównali się wzrostem.

Spoglądała na niego tak, jakby chciała stwierdzić, że bardzo wyłysiał ostatnio albo że przydałaby mu się nowa kamizelka. Referendarz dorobił się pokaźnego brzuszka w ciągu ostatniego roku. Nieźle mu się wiodło.

– Utyłeś, ojcze! Jesteś gruby! – zauważyła przed odejściem.

– Nie słyszałaś, co powiedziałem?

– Nie!

– Handel u Jakuba idzie lepiej niż gdziekolwiek indziej, Jakub ma też dwa klipry!

– Może się podetrzeć swoimi kliprami!

– Dina!

Referendarz wrzasnął. Echo rozniosło się po całym domu: od belki do belki, od izby do izby.

Najpierw próbował negocjacji, łagodnie dobierając słowa. Ale Dina używała kuchennej łaciny tak dobitnie, że jego cierpliwość się wyczerpała.

W całym domu dały się słyszeć razy.

Nikt jednak nie widział, że biją obydwie strony. Dina odplaciła ojcu już za pierwszy policzek. Z determinacją człowieka, który nie ma nic do stracenia. Nie zna żadnych granic. Ani tych, które wyznacza lęk, ani tych, które rodzi szacunek.

Referendarz opuścił swój gabinet w rozdartej kamizelce, z pręgą na twarzy. Chwiejąc się na nogach, dotarł do wychodka i sądził, że za chwilę pęknie mu serce.

Oddech mu się rwał.

Donośne końskie rżenie i tętent kopyt nie poprawiły mu nastroju.

Niełatwo być ojcem szatana.

Nie przyznałby się do tego nikomu. Ale nieźle oberwał od swojej wyrośniętej córki.

Okazało się, że są równymi przeciwnikami. Swoją niedostatek siły fizycznej Dina nadrabiała z nawiązką bezczelną pomysłowością i zwinnością oraz paznokciami i zębami.

Referendarz nie mógł zrozumieć, za co spotkał go taki los. Jakby już przedtem nie było wystarczająco źle. Dziecko, które bije własnego ojca! Boże, Ty widzisz i nie grzmisz!

Prawdę powiedziawszy, pierwszy raz się zdarzyło, że ktoś podniósł na referendarza rękę. Jego surowy, lecz kochający ojciec rzadko bywał w domu. Matka zaś miała tylko jego.

Nie był twardym człowiekiem. Teraz siedział w wychodku i płakał.

* * *

Dina galopowała tymczasem po skałach, przez wrzosowiska, w stronę górskich szczytów.

Znała z grubsza kierunek, a wspomagała ją instynktowna orientacja w przestrzeni.

Późnym popołudniem zjeżdżała już wąską ścieżką do Reinsnes.

Droga wiodła zygzakiem między wielkimi głazami, chaszczami i krzakami jałowca. Ponad rwącą rzeką przerzucono mostek. Droga miała brzegi gdzieniegdzie wytyczone kamieniami, by szlak się zachował podczas wiosennych powodzi.

Do Reinsnes przeważnie przyplływało się łodzią. Ze szczytu zdawało się, że przepaść otwiera się wprost na morze. Taka to była stromizna.

Po drugiej stronie szerokiej zatoki wznosił się ku niebu łańcuch górskich szczytów.

Ale na zachodzie morze i niebo wiodły wzrok na swobodę.

Nieco niżej, po prawej i po lewej stronie drogi, rozciągały się łąki. Pomiędzy wspaniałym brzoźowym lasem i szarym, huczącym morzem.

Gdzieś w oddali niebo i morze zlewały się w jedność, jakiej jeszcze nigdy nie widziała.

Gdy wydostała się z ostatniej rozpadliny, wstrzymała konia.

Białe domy. Chyba z piętnaście! Dwie przystanie z zadaszonymi cumowniami. Ta posiadłość była dużo większa niż jej rodzinna.

Dina przywiązała konia do białego ogrodzenia i przystanąła, przyglądając się niewielkiemu ośmiokątnemu domkowi z kolorowymi szybami w oknach. Dzika winorośl utworzyła portal nad drzwiami, a każdy narożnik zdobiły wytworne żłobienia.

Solidne wejście do głównego domu okalały liściaste, rzeźbione ornamenty. Zapraszały ją szerokie kamienne schody z żeliwną poręczą i ławeczki ustawione po obu stronach wejścia.

Wszystko to wywierało tak przytłaczające wrażenie, że Dina wybrała wejście od tyłu.

Zapytała nieśmiało i zaskoczona dziewczkę kuchenną, czy pan Jakub jest w domu.

Jakub Grønelt drzemał w swoim rokokowym fotelu obok kaflowego pieca w palarni. W rozpiętej kamizelce i koszuli bez karczka. Przyprószone siwizną, kręcone włosy opadały w nieładzie, zasłaniając połowę twarzy. Wąsy zwisały.

Nie myślał jednak o tym wcale, gdy ujrzał w drzwiach Dinę.

Wyszła jakby z jego najśmielszych snów, chociaż bez wiolonczeli i gorsecika. Pulsowała już w jego żyłach. Trwało więc dobrą chwilę, zanim się zorientował, że dziewczyna rzeczywiście stoi tam, gdzie on ją widzi.

Szyja i uszy Jakuba Grønelva oblały się powoli rumieńcem. Wzruszenie, jakiego doznał na widok dziewczyny, było zbyt wielkie.

W pierwszym odruchu, na pograniczu snu, byłby ją powalił na podłogę. Tu i teraz.

Jakub miał jednak wycucie dobrego smaku, zwłaszcza gdy w grę wchodziła jego własna osoba. W dodatku Matka Karen mogła wejść do pokoju w każdej chwili.

– Ojciec mówi, że mamy się pobrać! – rzuciła Dina bez wstępów, nie przywitawszy się. Zsunęła z głowy szarą futrzaną czapkę gestem parobka.

– Nic z tego nie będzie! – dodała.

– Nie zechciałabyś usiąść? – powiedział, wstając.

Przeklinał w duchu referendarzowskie metody. Ojciec rozjuszył najwyraźniej dziewczynę swymi rozkazami i ostrymi słowami.

Jakub oskarżał sam siebie. Powinien powiedzieć, że najpierw on z nią porozmawia.

Ale to przyszło tak nagle. I od tej pory o niczym innym nie myślał.

– Twój ojciec nie mówił chyba, że mamy się pobrać, powiedział pewnie, że ja pragnę cię pojąć za żonę.

Przez jej twarz przebiegł cień niepewności. I zaciekawienia.

Jakubowi nigdy nie zdarzyło się nic podobnego. Czuł się niezdamy jak młodzieniec. Raz jeszcze wskazał jej fotel, na którym przed chwilą siedział. Pomógł Dinie zdjąć okrycie. Pachniała potem i wrzosem. U nasady włosów i nad górną wargą błyszcząły maleńkie kropelki.

Jakub stłumił westchnienie.

Kazał podać kawę i ciasto, wyrażając przy tym życzenie, by nikt im nie przeszkadzał.

Z pozornym spokojem, jakby to miała być rozmowa o interesach, wziął krzesło i usadowił się naprzeciwko dziewczyny. Czekał. Pamiętając o tym, by cały czas patrzeć jej w oczy.

Robił to nie pierwszy raz. Jednak od chwili, gdy oświadczał się Ingeborg, nigdy gra nie szła o tak wielką stawkę.

Gdy pili kawę, którą Dina siorbała ze spodeczka, dziewczyna cały czas miała gniewnie zmarszczone brwi.

Rozpięła sweter, a przyciasna bluzka nie mogła powstrzymać ani napierających piersi, ani też wzroku Jakuba.

Grønelv posłał z obowiązku po Matkę Karen i przedstawił jej Dinę. Córkę referendarza. Która tak nieustraszenie przejechała przez góry z wieścią od swego ojca.

Matka Karen przyglądała się Dinie przez monokl i przesłonę dobrej woli. Klasnęła w dłoń i poleciła przygotować dla gościa południową mansardę. Ciepłą wodę i czystą pościel.

Jakub chciał ją wreszcie oprowadzić po gospodarstwie! Mieć ją tylko dla siebie!

Patrzył na nią. Mówił cicho i żarliwie. O wszystkim, co jej ofiaruje.

– Czarnego konia?

– Tak, czarnego konia!

Zaprowadził ją do stajni. Do nadbrzeżnych spichrzów. Do składu. Dina policzyła drzewa w alei.

Nagle zaśmiała się.

Nazajutrz rano parobek odprowadził konia przez góry.

Zanim Jakub odcumował, by odwieźć ją do domu łodzią z kajutą, doszli do porozumienia. Wezmą ślub.

W obojętności referendarza panowało wielkie zamieszanie. Nikt nie miał pojęcia, gdzie przepadła Dina.

Przeczesywano okolicę w poszukiwaniu dziewczyny. Gdy przybył parobek z Reinsnes z koniem i nowinami, referendarz szalał z ulgi i wściekłości.

Gdy jednak do brzegu przybiła łódź Jakuba w porze przypiływu i Dina wyskoczyła na ląd z konopną cumą, referendarz się uspokoił.

Jam jest Dina. Na Reinsnes niebo zlewa się z morzem. Dwanaście dużych drzew jarzębinowych wytycza drogę ze składu do domu. W ogrodzie rośnie wielka wiśnia, na którą można się wspinać. Jest też czarny kot. I cztery konie. Hjertrud mieszka na Reinsnes. Pod wiecznie wysokim dachem pralni. Wiatr. Tam chyba zawsze szumi wiatr.

Ślub miał się odbyć w maju, zanim klipry wyruszą na południe.

W domu referendarza gromadzono wyprawę w skrzyniach i walizach.

Dagny krzątała się z wypiekami na twarzy. Pakowała i dyrgowała. Kobiety szyły, robiły na drutach i dziergały koronki.

Dina trzymała się stajni i obory, jakby to wszystko jej nie dotyczyło.

Jej włosy nasiąkały wonią zwierząt. Czuć ją było na odległość. Stajenny zapach służył jej jako tarcza.

Napomnienia Dagny, że przecież przyszła pani na Reinsnes nie może tak cuchnąć, ulatniały się równie szybko jak krople deszczu z kamieni w letnim upale.

Dagny macierzyńskim gestem poprowadziła Dinę na stronę, by wtajemniczyć ją w powinności życia małżeńskiego. Zaczęła ostrożnie od uwag, że kobieta krwawi co miesiąc. Że rola żony i matki niesie radości i obowiązki.

Dziewczyna nie okazywała jednak ciekawości, traktowała Dagny niemal protekcyjnie. Referendarzowa miała niejasne poczucie, że dziewczyna obserwuje ją w milczeniu podczas tego wykładu, a sama wie o trudach życia dużo więcej niż ona.

Widząc, jak Dina zrzuca z siebie pospiesznie spódnicę, by wspiąć się na brzoze obok spiżarni, Dagny nie mogła zrozumieć, jak ta piętnastoletnia dziewczyna, zachowująca się tak infantylnie, może mieć tak jadowite usposobienie.

Dina zaś była całkowicie pozbawiona kokieterii i nie zdawała sobie sprawy ze swego oddziaływania na ludzi. Do swego ciała miała podejście sześćioletniego dziecka. Nie odczuwała najmniejszego wstydu przy ubieraniu się czy swoich bezpośrednich uwagach.

Nawet Dagny miała poczucie, że nie robią tego, co należy, wydając za mąż takie dziecko. Prawdę powiedziawszy, nie wiedziała jednak, kto na tym gorzej wyjdzie: dziewczyna czy Jakub.

Znajdowała w tym wszystkim rodzaj złośliwej satysfakcji. Nie mogła się doczekać chwili, gdy gospodarstwo będzie należało tylko do niej. Bez zamieszania i trosk, które niosła zawsze obecność tej szalonej dziewczyny.

Ulęgę, którą odczuwała na myśl o rychłym rozstaniu z Diną, skrywała skrętnie za gorączkową zapobiegliwością i pośpiechem. Kołta swoje sumienie uzalaniem się nad sobą, jak to kobieta.

Znakomity humor nie opuszczał referendarza od dnia, w którym Jakub przywiózł Dinę łodzią. Wszystko obróciło się na dobre, tak jak przypuszczał.

Powtarzał to wciąż na nowo. Nie zauważając nawet, że troszczy się bardziej o własne interesy niż o los jedynej córki. Oddawał ją przecież w najlepsze ręce.

Nawiedzała go jednak od czasu do czasu myśl, że robi przyjacielowi niedźwiedzią przysługę, ofiarowując mu swoją córkę. Czuł się z tym dziwnie. Jakub jest przecież w głębi duszy dobrym człowiekiem. Ale skoro tego chce, to da sobie radę.

Referendarz nie przyznawał się sam przed sobą do radości, którą napawał go fakt, że Reinsnes i Fagerness dzielą wysokie góry, wiele powietrza i długie plaże.

* * *

Pana Lorcha wyekspediowano na południe. Do Kopenhagi. Na koszt referendarza. Gospodarz dał mu niedwuznacznie do zrozumienia, że nie jest już tu potrzebny. Równało się to wypowiedzeniu.

Nie na wiele się zdał gniew Diny, który sprawił, że wbiła nóż w ojcowski elegancki stolik do kart w stylu Ludwika XVI. Referendarz przeklął ją donośnie. Ale nie uderzył.

Przez wszystkie lata nauki z Lorchem Dina zdobyła gruntowne wykształcenie w zakresie gry na fortepianie i wiolonczeli. „W grze na fortepianie nie osiągnęła jeszcze szczytu swych możliwości. Grę na wiolonczeli opanowała natomiast w stopniu zadowalającym jak na amatora” – napisał nauczyciel w końcowym raporcie dla referendarza.

Ten papier mógł posłużyć za świadectwo w razie potrzeby. Odebrała też porządne wykształcenie w zakresie historii, zarówno najnowszej, jak i starożytnej. Zdobyła pewne umiejętności w posługiwaniu się niemieckim, angielskim i łaciną. Nie ma jednak serca do tych przedmiotów. Wykazuje natomiast niezwykły talent w zakresie rachunków. Bez trudu sumuje i odejmuje pięcio- i sześćo- cyfrowe liczby na poczekaniu, mnoży też i dzieli wielocyfrowe wielkości. Niewiele miejsca w raporcie poświęcił Lorch sztuce czytania. Stwierdzał jedynie, że Dina nie ma cierpliwości do tego rodzaju zajęć. Gustuje raczej w zadaniach, które można rozwiązywać w głowie.

– *Stry Testament* zna prawie na pamięć – dorzucał gubernator jako okoliczność łagodzącą.

Parę razy napomykał referendarzowi, że Dinie przydałyby się okulary. Mrużyła oczy zawsze, gdy otwierała książkę albo musiała przyjrzeć się czemuś z bliska.

Referendarz jednak szybko o tym zapomniał. Monokl nie pasował, jego zdaniem, do młodej dziewczyny.

* * *

Gdy Lorch odjechał z otuloną miękkimi kocami wiolonczelą i swym niewielkim majątkiem w tekturowej walizce, w domu referendarza jakby zabrakło soli.

W tym wysuszonym, cichym mężczyźnie było wiele cech, na które ludzie nie zwracali uwagi, gdy bawił wśród nich. Wszyscy je sobie nagle uświadomili, gdy go zabrakło.

Dina nie zaglądała do domu przez trzy dni. Spała i żyła w stajni jeszcze dłużej. Wyrosła jeszcze bardziej. W ciągu miesiąca wychudła i nabrała ostrzejszych rysów twarzy. Jakby w osobie Lorch'a odebrano jej ostatniego człowieka.

Nie odzywała się nawet do Tomasza. Traktowała go jak pył na starej owczej skórze.

Nikt jednak nie czynił jej zarzutu z tego trybu życia, bo Dagny napawała się spokojem, który nastąpił w domu pod nieobecność Diny.

Kucharka stawiała czasami w bocznych drzwiach, wabiąc dziewczynę. Jakby wabiła bezdomnego psa. Tylko że z Diną nie szło jej tak łatwo.

Dziewczyna włóczyła się po okolicy jak wilk. Żeby wywołać Lorch'a. On tam był. W powietrzu, które wdychała. W delikatnych dźwiękach. Wszędzie.

Jam jest Dina. Kiedy gram na wiolonczeli, Lorch siedzi w swojej Kopenhadze i słucha. Ma dwoje uszu, które słyszą każdą muzykę. Zna wszystkie nuty, jakie są na świecie. Lepiej niż Bóg. Kciuk Lorch'a zrobił się całkiem płaski i wykrzywiony od trzymania strun. Jego muzyka mieszka w ścianach. Wystarczy ją uwolnić.

– Jak można wpłynąć na człowieka, który nie lęka się kary? – zapytał referendarz pastora, który udzielił Dinie bierzmowania.

– Bóg ma swoje sposoby – odparł tajemniczo duchowny. – Ale ziemski ojciec nie ma do nich dostępu.

– Ale pastor rozumie, jakie to trudne?

– Dina jest niepokornym dzieckiem i upartą dziewczyną. Kiedyś będzie musiała nisko zgiąć kark.

– Ale nie jest zła? – W głosie referendarza zabrzmiało błaganie.

– Bóg osądzi – odparł krótko pastor. Przygotowywał ją do bierzmowania i nie miał ochoty zgłębiać tego tematu.

W 1841 roku przyjęła konfirmację, choć nie zapytano jej o matematyczne formuły ani o wysokość referendarzowego zysku.

W samą porę. Bo w maju poszła do ołtarza.

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZWAŻNY ZŁO WIDZI I ODWRACA SIĘ, NIEROZWAŻNI TAM IDĄ I SZKODĘ
PONOSZĄ.

(Księga Przysłów, 22, 3)

Dina i Jakub pobrali się pod koniec maja tego roku, w którym Dina miała w lipcu obchodzić szesnaste urodziny.

Z Fegerness do kościoła popłynęła łodzią żaglową, udekorowaną liśćmi. W gładkiej tafli morza odbijały się promienie słońca. A ona marzła, siedząc na wilczej skórze, którą referendarz wytargował od Rosjan.

W zakrystii ubrali ją w białą, muślinową, wykończoną wąską koronką suknię ślubną Hjertrud. Z krynoliną i czterema haftowanymi szerokimi riaszami na dole. Na drapowanym karczku koronki układały się w kształt serca. Cienkie, bufiaste rękawy były przezroczyste jak pajęczna sieć.

Suknia pachniała naftaliną i wnętrzem kufra, mimo że wyczyszczono ją i wywietrzono z największą troską. Za to leżała jak ulaf.

Dina zachowywała się tak, jakby traktowała to wszystko jako zabawę, choć tak ją wystroili, a wszystkie jej spakowane rzeczy wysłali w skrzyniach i walizach do Reinsnes.

Wierciła się i przeciągała, śmiejąc się z nich, gdy ją ubierali. Jak wtedy, gdy z Lorchem bawili się w teatr, wkładając gipsowe maski i recytując wyuczone kwestie.

Jej ciało było dobrze rozwiniętym zwierzęciem. W przeddzień własnego ślubu wdrapała się na swoją brzozę i długo tam siedziała. A na obu kolanach miała stupy, bo niedawno przewróciła się, skacząc między śliskimi kamieniami na brzegu w czasie odpływu, gdy szukała mewich jaj.

Narzeczony przybył barkasem z wielkim orszakiem, czyniąc mnóstwo hałasu.

Miał czterdzieści osiem lat i siwą brodę, ale wyglądał młodziej niż ojciec Diny, mimo iż był od niego starszy. Referendarz utył dość wcześnie – od domowych pieleszy i gorzałki – podczas gdy Jakub zachował szczupłą sylwetkę.

Wesele miało się odbyć na Reinsnes. Dom był tam obszerniejszy, a i do kościoła było bliżej. Przy tym na Reinsnes gotowała najlepsza kucharka w powiecie. Oline.

To było huczne wesele.

Po obiedzie pan młody postanowił oprowadzić żonę po domu. Po piętrze. Chciał jej pokazać sypialnię ze wspaniałym baldachimowym łóżem. Polecił uszyć nowe zasłony i baldachim. Nad boazerią ścianę pokryto nową aksamitną tapetą ze szlaczkiem z liści winorośli. Dina powinna wreszcie zobaczyć pokoje i przeszklone biblioteczeki. Chińską wazę z kluczykiem, stojącą na sekretarzyku. Bieliźniarkę na wielkim, mrocznym strychu. Wypchaną pardwę. Zestrzeloną własnoręcznie przez Jakuba. Matka Karen przywiozła ją spreparowaną z Kopenhagi w pudle na kapelusze. Przede wszystkim jednak: sypialnię i łóżę z baldachimem. Drżącymi dłońmi przekręcił klucz w drzwiach. I z uśmiechem przewrócił ją na łóżko.

Od dawna żył tylko jedną myślą. Odnaleźć jej otwarcie. Wtargnąć w nią.

Szarpał haftki sukni ślubnej.

Dysząc ciężko, mamrotał nieskładnie, powtarzając, że jest najcudowniejszym stworzeniem, jakie napotkał na swojej drodze Jakub Grøneltv.

W pierwszej chwili można było odnieść wrażenie, że ogarnęła ją jakaś ciekawość. Albo że chciała uchronić suknię Hjertrud przed łapczywymi rękami męczyzny. W każdym razie suknia opadła.

W pewnym momencie przestała widzieć związek między słowami i czynami Jakuba.

Wbiła weń paznokcie i podrapała go. Na jedwabnych trzewikach miała mosiężne okucia. Cud, że nie przyprawiła go o impotencję kopniakami.

– Jesteś gorszy niż ogier – syknęła.

Pękły tasiemki, polały się łzy.

Nie było wątpliwości, że Dina wie, do czego są zdolne ogiery.

Pędziła już w stronę drzwi, gdy Jakub zrozumiał jej zamiary. Pożądanie prysło, gdy uświadomił sobie, co się szykuje.

Przez chwilę stali, dysząc i mierząc swe siły.

Nie chciała włożyć ubrania, które Jakub z niej zdarł.

Naciągał na nią pantaloney, wkładając w to tyle samo trudu, co w ich ściąganie przed chwilą. Pękła wstążeczka w jednej nogawce. Był bardzo niezdarny.

Mimo wszelkich wysiłków musiał znieść najgorsze. Wyrwała mu się bowiem i pobiegła prosto do salonu. Do referendarza i wszystkich innych gości. W bieliźnie, jedwabnych trzewikach i takichże pończochach.

Po raz pierwszy przekonał się, że dla Diny nie istnieją żadne granice. Że nie troszczy się o ludzkie sądy. Że ocenia sytuację w okamgnieniu – i natychmiast robi swoje! Że ma niezwykły talent, by w swoje nieszczęścia natychmiast wciągać innych.

Wytrzęźwiał natychmiast za tym pierwszym razem. W pewnym sensie zrobiła z niego złoczyńcę w dniu jego własnego ślubu.

Dina zbiegła ze schodów, podnosząc wielki gwałt. Odziana w samą bieliznę przebiegła salony, wprawiając w osłupienie trzydzieści par oczu.

Wytrąciła referendarzowi z ręki kieliszek w ten sposób, że jego zawartość pozostawiła wiele nieprzyjemnych plam na jego ubraniu. Wdrapała się ojcemu na kolana i oznajmiła wszem wobec:

– A teraz jedziemy do domu, na Fagerness!

Serce referendarza zatrzymało się na dobrą chwilę. Poprosił pokojówkę, by doprowadzono pannę młodą do porządku.

Dławiła go wściekłość na Jakuba, który nie umiał się pohamować i zaczekać z nocą poślubną, aż wszyscy pójda spać. Rozsierdził się na Dagny, która nie pouczyła dziewczyny o obowiązkach małżeńskich. A przecież obiecała. Rozeźlił się na siebie, że nie przewidział, iż Dina postąpi właśnie w ten sposób. A teraz było za późno.

Referendarz szorstkim ruchem zepchnął Dinę z kolan i poprawił karczek koszuli i muchę. Żałośnie poplamione alkoholem.

Dina stała jak osaczone zwierzę o dzikim spojrzeniu. Po chwili wybiegła do ogrodu. Z rysią zwinnością wdrapała się na wiśniowe drzewo, rosnące koło altany.

I tam została.

W tym momencie Dagny już nie kryła łez. Goście zastygli w tych pozycjach, w których zaskoczyła ich Dina, wbiegając do pokoju. Zapomnieli, że potrafia mówić. Na szczęście pastor dawno już odpłynął i nic nie widział, niczego nie słyszał.

Tylko referendarz zdobył się na jakieś praktyczne posunięcie. Wyszedł do ogrodu i ciskał przekleństwami w drzewo, na którym siedziała biała, skąpo odziana postać.

Uroczysta i triumfalna chwila, w której referendarz oddawał swą córkę najlepszemu przyjacielowi, przeistoczyła się w koszmar.

Gdy po pewnym czasie służba i goście zebrali się wokół wiśni w ogrodzie, ze strychu szedł pan młody, władca na Reinsnes.

Miał sporo czasu, by doprowadzić do porządku swój strój, brodę i fryzurę. Spodziewał się wszystkiego, co najgorsze. Od gniewu rozjuszonego ojca po lodowatą wyniosłość wszystkich dostojnych gości.

Obserwował już fragmenty tego niepokojącego przedstawienia z okien sypialni, zza załony.

Jego oblicze pokraśniało rumieńcem wstydu. Przyrodzenie dyndało mu żałośnie w spodniach, gdy napotkał zmartwione spojrzenie Matki Karen na schodach.

Trzymała się z godnością z daleka od cyrku wokół drzewa i szła właśnie na górę, by przywołać syna.

Jakub zerknął na czeredę otaczającą wiśnię. Dina siedziała na drzewie jak wielki biały ptak ze zwisającymi czarnymi skrzydłami włosów.

Stał na szerokich kamiennych schodach z żeliwną poręczą, a przed oczami miał obrazek, jakiego nigdy przedtem nie widział. Jakiż nieprawdopodobny! Ludzka ciżba skłębiona wokół drzewa. Pokrzykiwania i gesty referendarza. Zachodzące słońce wplątane w gęstą zieloną koronę. Stokrotki na przyciętych w serduszka klombach. I dziewczyna na drzewie. Jakby spędziła tam już tysiąc lat i nie zamierzała stamtąd zejść przez parę następnych. Spoglądała z góry na ludzi niczym na uciążliwą karawanę mrówek pełzających wokół. Jakub wybuchnął śmiechem.

Śmiał się nawet wtedy, gdy przyniósł drabinę opartą przedtem o ścianę obory i poprosił wszystkich o wejście do domu, aby móc wykonać swoje zadanie w spokoju. Zapomniał całkiem, że powinien się wstydzić, i chichotał nieprzerwanie, czekając, aż ostatni z gości zniknie za drzwiami.

Wtedy oparł drabinę o drzewo i zaczął się wspinać.

– Dina! – zawołał. Niespiesznie, drgającym od śmiechu głosem. – Nie mogłabyś zejść na dół z tym okropnym capem w ludzkiej skórze? Zaniosę cię do domu tak ostrożnie, jakbyś była *Pismem Świętym*.

– Ty brudny psie – prychnęła panna młoda z góry.

– O tak, tak!

– Czemu jesteś jak ogier?

– Nic na to nie mogłem poradzić... Ale się poprawię...

– A skąd mam wiedzieć, że to prawda?

– Przysięgam!

– Co?

– Że nigdy nie rzucę się na ciebie jak ogier.

Dina pociągnęła nosem. Na chwilę zapadła cisza.

– A kogo bierzesz na świadka?

– Boga w niebiesiech! – pospieszył z odpowiedzią, byle tylko córka referendarza nie zażądała konkretniejszych świadków.

– Przysięgasz?

– Tak! Niech skonam, jeśli nie dotrzymam przysięgi!

– Tylko tak mówisz, żebym zeszła na dół.

– Tak! Ale coś w tym jest...

Pochyliła się tak, że jej piersi omal nie wypadły z gorsetu. Czarne włosy niby gąszcz wodorostów przesłoniły mu niebo swoją wspaniałością.

Jakubowi przyszło do głowy, że chyba jest za stary dla tej umykającej na drzewa panny młodej. Przydałoby się więcej krzepy. Ale nie miał siły o tym myśleć. Nie teraz.

– Posuń się, żebym mogła zejść – rozkazała.

Zszedł na dół i trzymał jej drabinę. Zamknął oczy, chłonąc jej zapach, gdy koło niego przemknęła. Blisko, bliżutko.

Jakub był szczęśliwym klaunem. Dla Boga i gości weselnych. Przez resztę wieczoru zadowolił się zapachem Diny. A jednak czuł się jak jeden z ostatnich wybrańców Pana. Zbliży się do niej jeszcze raz i już mu nie umknie na drzewo.

Referendarz niewiele z tego wszystkiego rozumiał. Przyjaciół, tak rozsądny w interesach, zaskoczył go lekkomyślnością w sprawach kobiet. Referendarz na Fagerness potraktował to wydarzenie jako bolesną i osobistą zniewagę.

Wdowę, Karen Grøneltv, przepełniały natomiast złe przeczucia. Z niepokojem czekała chwili, w której ta dziewczyna miała dostać klucze do Reinsnes i zarządzać majątkiem Jakuba.

Czuła jednocześnie jakieś wzruszenie. Dina, o której słyszała tyle dziwnych opowieści, budziła jej zainteresowanie. Niepodobna, by dziewczyna z tak dobrej rodziny nie znała żadnych granic. I żeby miała tak mizerne wyobrażenie o dobrym wychowaniu!

Zdaniem Matki Karen Jakub skoczył na głęboką wodę, decydując się na to nie przemyślane małżeństwo. Na ten temat nie rzekła jednak ni słowa.

Johan Grøneltv miał dwadzieścia lat. Przyjechał właśnie do domu ze szkoły na ślub ojca. Przesiedział wiele godzin w kącie, wpatrując się w szparę w podłodze.

Jakub przemawiał. Z wielką ostrożnością. Mieli spać razem w ogromnym łóżku z baldachimem w sypialni. Wszystko już było przygotowane. Udekorowane i wygładzone. Prześcieradła wybielone na kwietniowym śniegu. Wygotowane w ługu, wypłukane i wysuszone na sznurach w maju. Czekały na pannę młodą wymaglowane, równiutko poskładane i przełożone woreczkami z różanymi płatkami w bieliźniarce na strychu.

Nocne słońce i lekkie koronkowe firanki.

Iskrzące się zielenią kielichy na wysokich nóżkach. Kryształowe karafki z winem i wodą. Kwiaty w wazonach i dzbanach. Prosto z łąki i z ogrodu. Zapach pączkujących listków dochodzący zza okna. Stłumiony dźwięk wodospadu i górskiego wiatru.

Jakub wyteżał cały swój rozum. Dotykał jej rękami lekkimi jak puch. Przede wszystkim zdjął jej buty, które dały mu się we znaki poprzednio.

Do tej pory bolały go wstydlive części ciała. Do tej pory czuł słabość, która go ogarnęła w chwili, gdy trzewik Diny osiągnął swój cel.

Siedziała na wysokim, szerokim łożu i śledziła go wzrokiem. Podparła się z tyłu rękami. Przyglądała mu się tak, że poczuł zażenowanie. Nie pamiętał, by kiedykolwiek kobieta tak go onieśmieliła.

Gdy ukląkł przed Diną, ściągając jej trzewik, znowu stał się klaunem i sługą. Upokorzony, poczuł, jak jego serce zatrzymało się na chwilę, gdy wyprostowała nogę w podbiciu, by ułatwić mu zdejmowanie buta.

Co gorsza, musiał ją podnieść, żeby zdjąć z niej ubranie.

Story nie zostały jeszcze zaciągnięte. Było więc za jasno.

I widział te jasne, przenikliwe oczy! Trochę skośne. Szeroko rozwarłe w oczekiwaniu. Spoglądające ze zbyt wielką uwagą na każdy jego kolejny gest.

Chrząknął, sądząc, że Dina oczekuje od niego jakichś słów. A on nie zwykł rozmawiać z kobietami w tego rodzaju sytuacjach.

Gdybyż chociaż we wszystkich kątach czaił się jeszcze zimowy mrok zamiast tego przekłętego światła! Jakub czuł się obnażony i wydany na pastwę tych przenikliwych, kryształowych oczu!

Niczym młokos wstydził się swego czterdziestoośmioletniego ciała, z nieznacznym, ale jednak widocznym brzuszkiem.

Głębokie zmarszczki. Wdowie lata z ich troskami i pijatykami. Siwe włosy. Doświadczenia, które nie znaczyły nic w tej sytuacji.

Nagle przypomniało mu się, że Dina już wcześniej zauważyła jego siwiznę. W domu referendarza, gdy ujrzał ją po raz pierwszy z wionoczelą między udami.

Jakub rozkleił się. Ukrył twarz na łonie Diny. Z pożądania i jakiegoś wstydu.

– Czemu to robisz? – zapytała, wierząc się.

Jakub trwał bez słowa.

– Bo nie wiem, co powinienem zrobić – odpowiedział w końcu.

– Zaczęłeś mnie rozbierać. Już zdjąłeś but...

Ziewnęła i wyciągnęła się na łóżku. A on leżał jak zapomniany pies.

– Tak – powiedział tylko i wyłonił z jej kolan najpierw jedno oko, potem całą siwą, rozczochraną głowę.

Widział teraz wszystkie wspaniałości. Szczyty wzgórz. Doliny, w które zapadała się suknia w tej pozycji. Doprowadzało go to do szaleństwa. Ale trzymał się w ryzach.

– Wolno ci idzie – powiedziała sucho i zaczęła rozpinąć guziki.

Wodził po niej palcami jak w gorączce. Pomagał jej zdejmować kolejne części garderoby.

Im bliżej niej docierał, tym intensywniej czuł zapach siana i przypraw.

Wdrapał się na łóżko i ujął jej piersi w dłonie. Chłonał wrażenie, w które wprawiał go dotyk tkaniny i ciepłej skóry. Chwila bez tchu. Zanim rozebrał ją z sukni, halebki, gorsetu i majtek.

Jej oczy śledziły z zaciekawieniem każdy jego gest. Parę razy przymknęła je z westchnieniem. Wtedy, gdy w pieszczotę jej ramion i bioder wkładał całą delikatność, na jaką go było stać.

Gdy już była całkiem naga, oswobodziła się, by podejść do okna. Stała tam. Jakby znalazła się w innym świecie.

Nie mógł uwierzyć, że to możliwe. Kobieta, dziewica. Która wstaje nago z łóżka w jasną letnią noc. I jakby nigdy nic podchodzi do okna!

Stała tam z ramionami i biodrami oblanymi złotem. Czarownica i anioł. Nikt nie miał do niej prawa! Należała tylko do niego! Przechadzała się po jego pokoju, w jego domu.

Zorza polarna zamieniła połowę jej ciała w miód, gdy Dina odwróciła się ku niemu.

– A ty się nie rozbierzesz? – spytała.

– Już – zapewnił pośpiesznie.

Zrywał z siebie kolejne części garderoby. Jakby lękając się, że coś się stanie, zanim osiągnie cel.

Prawdę powiedziawszy, cel osiągnął dopiero po pewnym czasie. Nie przypuszczał, że tak się sprawy potoczą.

Kiedy znaleźli się w łóżku i chciał przykryć ich oboje białym prześcieradłem i przytulić się do niej mocniej, ściągnęła je z niego i usiadła.

Rozpoczęła swoiste badanie. Zachłannie, z miną człowieka, który znalazł zwierzę i chce je zidentyfikować.

Jakub ze wstydu aż się osłonił rękami.

– Całkiem inny niż u byka albo konia – rzekła z zainteresowaniem, patrząc mu prosto w oczy. – Ale byczy i koński też się różnią między sobą. Jeden jest długi, cienki i różowy. A drugi ogromny! – dodała rzeczowo, ze znajomością przedmiotu.

Poczuł, jak opuszcza go pożądanie i opada z niego męskość.

Nigdy nie spotkał nikogo tak zupełnie wyzutego ze wstydu. Naszły go wspomnienia. Tych kilku razy, gdy korzystał z płatnych usług. Ale tamte bawiły się w sposób wyuczony i tylko w określonym czasie. Odmierzonym pieniędzmi. Pamiętał, z jakim smutkiem przejrzał tę udawaną namiętność i puste, mechaniczne ruchy.

Najgorsze były ich oczy...

Nagle zrozumiał, że Dina – pani na Reinsnes – jest dzieckiem. Poruszyło go to i zawstydziło. Ale też podnieciło do granic możliwości!

Zabawa była długa, bardzo długa. Musiała w niej odegrać swoją rolę. Wszystkie role. Złościła się i karała go, odwracając się, jeśli nie podporządkowywał się jej pomysłom.

Parę razy pomyślał, że to zwierzęce i nienaturalne. Ciężko dysząc, pocieszał się, że nikt ich nie widzi.

Gdy Dina osiągnęła swoją ekstazę, przestał się spieszyć. Grał jej kartami. Jakby byli pierwszą parą na ziemi. Wszystko było dozwolone.

Siwiejący mężczyzna kilka razy z trudem powstrzymał się od łez. To go przerosło. Przejście w dziecko, które się kocha między drzewami.

Gdy nadeszła chwila, w której miał się w nią zanurzyć, wstrzymał oddech. Pożądanie zamieniło się nagle w czarnego kota, drzemiącego w cieniu.

Otoczony szkarłatną mgłą, w głębi duszy wiedział jedno: ona zniszczy go całkowicie, jeśli nie spodoba jej się ta zabawa. To pomogło mu w drodze.

Prawie nie jęknęła.

Żadna z anegdot o nocach poślubnych i płaczących pannach młodych nie znalazła potwierdzenia.

Jakub Grøneltv musiał się nauczyć od nowa wszystkiego, co umiał, czego doświadczył. Nie pasowało tu nic, co kiedykolwiek słyszał i widział.

Jego oblubienica była młodą kłaczą. Na soczyście zielonym, letnim pastwisku. Przypierała go do płotu. Przerywała niespodzianie figle, by się napić z rozlewiska, jeśli nachodziło ją pragnienie. Kąsała go w bok, gdy niezgrabnie zbierał się do skoku. Aż wreszcie, całkiem nieoczekiwanie, pozwoliła się schwytać. I z takim samym spokojem, jak poddająca się kłacz, znieruchomiała wsparta na łokciach i kolanach. Drżące młode ciało otworzyło się, by przyjąć jego delikatne pchnięcia.

Jakuba ogarnęło jakby religijne wzruszenie, którego sam nie pojmował. Rozkosz została uwięziona. Nie należała do niego.

Nie potrafił już ukryć siebie samego. Rozpląkał się.

Na dole pojawili się dopiero późnym popołudniem następnego dnia. Goście weselni już odjechali. Nie było referendarza z rodziną. Pani Karen własnoręcznie postawiła tacę z jedzeniem w drzwiach sypialni. Życząc miłego dnia. Z łagodną twarzą i spuszczonej wrokiem.

Służba uśmiechała się nieznacznie. Nikt nie słyszał o nocy poślubnej, która by trwała od drugiej nad ranem w dniu wesela do piątej po południu następnego dnia.

Wysuszona pieczeń z renifera straciła smak, a ziemniaki rozgotowały się zupełnie, zanim się pojawili nowożeńcy.

Dina nieskazitelnie ubrana w nową suknię z posażnego kufra. Ale z włosami, jak zawsze, rozpuszczonymi. Uśmiechnięty, gładko ogolony Jakub był wyraźnie poszkodowany w okolicach krocza i pleców.

Podczas obiadu młoda para całkowicie ignorowała Matkę Karen, Andersa, Nielsa i Johana.

Eros zawładnął całą izbą. Ocieżyła i syty, piął się po tapecie, igrał w boazerii, odbierał blask srebrnej zastawie.

Nowożeńcy byli lekko podchmieleni już przy daniu głównym. Dina posmakowała pierwszy raz w życiu portwajnu, jeszcze w sypialni, zanim zeszli na dół. Nowa rozrywka. Słodka.

Matka Karen nie wiedziała, gdzie podziąć wzrok, oczy Johana były pełne odrazy.

Niels gapił się z zainteresowaniem na Dinę i miał dobry apetyt.

Anders sprawiał wrażenie, że wbrew własnej woli trafił do pokoju, w którym przyszło mu siedzieć przy jednym z nieznanymi. On najlepiej radził sobie z sytuacją.

Dina poznała nową zabawę. Widziała ją już w końskiej zagrodzie. W kurniku i między parzącymi się wiosną mewami. Jakub był jej zabawką. Obserwowała go oczami z polerowanego szkła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

UPOJENIA I BÓLU JEST PELEN
TEN KIELICH OPUSZCZENIA I GROZY
KIELICH TWEJ SIOSTRY SAMARII.

(Księga Ezechiela, 23, 33)

Już 5 marca 1838 roku, parowiec „Książę Gustaw” wyruszył z Trondheim w swą pierwszą podróż na północ. W owych czasach niejeden uważał taką żeglugę za wyprawę szaleńca. Jakimś jednak cudem ta trasa weszła na stałe do rozkładu rejsów.

Bóg przyczynił się trochę do tego, wpływając na stan wód. Ale w głębinach zdarzały się podwodne skały. A także wąskie cieśniny fiordów, prądy i wiry. Wiatry dęły we wszystkich kierunkach, a pasażerowie nie pojawiali się na pokładzie w wyznaczonych porach. Za nie sprzyjające okoliczności należy też uznać fakt, że na tych wodach przewidzieć można było jedynie obroty kuli ziemskiej i siłę ciężenia.

Nawet teraz, wiele lat później, nie wszyscy mieszkańcy wybrzeża podzielali opinie, że dymiący „Książę Gustaw” jest dla nich błogosławieństwem.

Czy się godzi, by statki pływały wbrew wiatrom i prądom? Znaczący rzeczy stwierdzali ponadto, że parowiec wystraszył ryby w fiordzie. Ten argument okazał się trudny do obalenia.

Ale ludzie docierali do miejsc przeznaczenia. Ci, którzy dużo podróżowali, błogosławili maszynę parową. Toż to istny raj w porównaniu z otwartą północną łodzią albo ciasnotą w kajutach kliprów.

Wyższe warstwy podróżowały pierwszą klasą, w dziesięcioosobowych męskich lub pięcioosobowych damskich kajutach. W drugiej klasie również były kajuty z dwunastoma kojami. Trzecią klasę stanowił otwarty pokład, a jej pasażerowie musieli radzić sobie, jak umieli, pomiędzy pudłami, beczkami i innymi dobrami.

Jeśli pogoda dopisała, nawet pospółstwo podróżowało trzecią klasą po królewsku. Bilety kosztowały niemało: dwadzieścia, dziesięć i pięć szylingów za milę. Ale za to latem podróż z Trondheim do Tromsø trwała zaledwie tydzień.

Ośrodki handlowe, w których parowiec się zatrzymywał, kwitły w ostatnich latach. Mimo że północnonorweska gościnność zabraniała przyjmowania pieniędzy za nocleg czy jedzenie od dobrze urodzonych gości.

Można by się zastanawiać, skąd zatem domy zajezdne czerpały swoje wysokie zyski. Interesy w północnej Norwegii przypominały grę w szachy.

Figury były rozstawione na szachownicy przez cały czas. Każdy miał dość czasu, by przemyśleć posunięcie podczas jedzenia i picia. Z czasem trzeba się było nauczyć, że przeciwnik też ma swe figury. Które potrafią zaatakować. Północnonorweska gościnność mogła każdemu dać mata, jeśli się nie pilnował.

Na samym początku swego pobytu w Reinsnes Jakub nauczył się długofalowo myśleć o interesach. Gdy „Książę Gustaw” przywoził partnerów handlowych, miał na podorędziu anielską cierpliwość i różowutką baranią pieczeń. Głębokie kielichy z winem i dobry tytoń. Nie brakowało też malin moroszek, dobywanych z piwnicy i serwowanych w kryształowych paterach.

Jakub dobrze wiedział, co zawdzięcza parostatкови.

Dina zobaczyła tego rodzaju okręt po raz pierwszy dopiero po tygodniu spędzonym w Reinsnes.

Wyskoczyła z łóżka, usłyszawszy odległe pogwizdywania parowca. Majowe słońce wślizgiwało się do wnętrza pokoju mimo zasuniętych stor.

Ten dziwny, świszczący dźwięk dobiegał jednocześnie z morza i gór.

Popędziła do okna.

Po wodach zatoki sunął jakiś ciemny obiekt. Czerwone koło hałasowało i pieniało wodę. Statek przypominał niewiarygodnie wielki piec kuchenny. Jakby niklowe i miedziane rury i sagany urosły niebotycznie i dryfowały po fiordzie.

Ktoś chyba dokładał do tego pływającego czarnego pieca, nie szczędząc sił. Piec w każdej chwili mógł eksplodować od wrzątku i pary.

Otworzyła szeroko okno, nie zakładając haczyka. Wywiesiła na zewnątrz połowę swego półnagiego ciała. Jakby na świecie nie było nikogo prócz niej.

Niejeden zatrzymał wzrok na tej skąpo ubranej młodej kobiecie w oknie. Jej naga skóra czyniła wrażenie nawet z wielometrowej odległości.

Wyobraźnia służyła za szkło powiększające. Uwydatniała każdy por, każde maleńkie przebarwienie na tej odległej postaci. Dziewczyna przybliżała się coraz bardziej. Wreszcie dała nurka w umysły tych, którzy ją widzieli. Stracili wtedy zainteresowanie dla parowca.

Jakub stał w ogrodzie. On też ją widział. Czuł jej zapach. Poprzez słońce, wiatr i szelest świeżego listowia.

Kłujące mrowienie w parze z bezradnym zdziwieniem odebrały mu oddech.

* * *

Niels wypłynął w towarzystwie subiekta na spotkanie parowca. Zakazał łodziom z okolicznych gospodarstw „tarasowania drogi”, jak to określał. Wolał uniknąć zamieszania większego niż to, które sam wywoływał.

Gwizd parowca powodował więc znacznie mniej zgietku i świętowania w Reinsnes niż w innych przystaniach.

Jakub nie mieszał się do zarządzeń, które Niels wydawał młodzieży z sąsiednich gospodarstw. Wiedział bowiem, że właśnie zakaz wypływania łodzią na wody zatoki sprawia, że całe tłumy ściągają na wybrzeże w Reinsnes i do jego składu, by dowiedzieć się, kto przybył statkiem i co z niego wyładowywano. To był dobry sposób na znalezienie siły roboczej i powiększenie zysków.

Tego dnia niewiele towarów czekało na wyładunek. Ledwo parę worków z cukrem do składu i kilka skrzyń z książkami dla Matki Karen. Na końcu po trapie zszedł zdezorientowany mężczyzna i stanął w łodzi, jakby to była stabilna podłoga salonu. Szalupa zachybotwała się niebezpiecznie.

Niels zdołał jednak przekonać podróżnego, że musi usiąść, jeśli mają bezpiecznie dopłynąć z cukrem do brzegu.

Mężczyzna, jak się okazało, był ornitologiem z Londynu, któremu rekomendowano Reinsnes jako miejsce postoju.

– Parowiec zostawia ludzi w Reinsnes? – zapytała zdziwiona Dina.

Matka Karen przysłała do sypialni, chcąc pomóc Dinie ubrać się szybciej, by mogła zejść na dół i przywitać gościa.

– Reinsnes jest także domem zajezdny, chyba Jakub to mówił? – wyjaśniała Matka Karen cierpliwie.

– Nie rozmawialiśmy wcale o tym.

Matka Karen westchnęła, zrozumiawszy, jak wiele jest jeszcze do zrobienia.

– Mogłabyś zagrać dla tego angielskiego profesora po obiedzie – zagadnęła.

– Zobaczymy – odparła Dina niefrasobliwie, grzebiąc się z zapinaniem staniczka sukni.

Matka Karen pospieszyła z pomocą. Dina cofnęła się, jakby ktoś rzucił w nią płonąca maczugę.

– Musimy porozmawiać o podziale obowiązków w gospodarstwie – rzekła Matka Karen, nie zważając na odpychający gest.

– Jakich obowiązków?

– No cóż, to zależy do czego zostałeś przyzwyczajona w rodzinnym domu.

– Byłam w stajni razem z Tomaszem.

– No, ale w domu?

– Tam była Dagny.

Nastąpiła krótka pauza.

– Chcesz powiedzieć, że nie nauczyłaś się sztuki prowadzenia domu? – spytała Matka Karen, próbując ukryć konsternację.

– Nie. Tylu innych się tym zajmowało.

Matka Karen cofnęła się w stronę drzwi, szybkim ruchem pocierając czoło.

– W takim razie zaczniemy od drobiazgów, droga Dino – rzekła przyjaźnie.

– Od czego?

– Od muzykowania dla gości. Umiejętność grania na instrumencie to wielki dar...

Dina znów pospieszyła ku oknu.

– Parowiec często przyplywa? – zapytała, szukając wzrokiem smużki czarnego dymu.

– Niezbyt. Mniej więcej co trzy tygodnie. Przyplywa regularnie w letnim półroczu.

– Chcę nim popłynąć! – powiedziała Dina.

– Powinnaś wdrożyć się trochę do prowadzenia domu i do innych obowiązków, zanim zaczniesz podróżować – odparła Matka Karen głosem, który nie był już całkiem łagodny.

– Zrobię to, co mi się podoba! – odpowiedziała Dina, zamykając okno.

Matka Karen stała w otwartych drzwiach.

Jej źrenice zwężyły się niczym wszy w płomieniach.

Nikt nie odzywał się w ten sposób do Matki Karen. Ale ona miała niezawodny instynkt. Nie rzekła więc ni słowa.

Dina zagrała jednak na wiolonczeli dla gościa i domowników po obiedzie, jakby panie osiągnęły pewien kompromis.

Matka Karen oznajmiła, że trzeba kupić angielski fortepian. Dina powinna mieć na Reinsnes takie same możliwości rozwijania swego talentu, jak w domu referendarza.

Niels podniósł głowę, zauważając, że tego rodzaju instrument będzie kosztował majątek.

– Klipry i barkasy też kosztują – odpowiedziała starsza pani spokojnie i odwróciła się, by przetłumaczyć ostatnie zdanie Anglikowi.

Nie ulegało wątpliwości, że goście zaimponowały zarówno ceny żaglowców, jak i muzykowanie.

Johan przechadzał się po ogrodzie, trzymając przewiązane rzemykiem książki, albo siedział zaczytany i rozmarzony w altanie w gorące letnie dni. Stronił od Diny jak od zarazy.

Odziedziczył po Ingeborg pociągłą twarz. Po niej miał też kwadratowy podbródek i kolor oczu przypominający to morze, to niebo. Gładkie ciemne włosy wzięły kolor od Jakuba, a gatunek od Ingeborg. Był jeszcze chudy i niezdarny, ale niezłe się zapowiadał.

Jego skarb to głowa, mawiał Jakub ze źle skrywaną dumą.

Młodzieniec nie zdradzał żadnych innych ambicji niż chęć zostania pastorem. Nie podzielał ojcowskiego zainteresowania dla kobiet i żaglowców. Nie mógł ścierpieć, że przez dom nieustannie przewijają się goście, którzy zajmują się jedynie jedzeniem, paleniem i piciem.

Całe ich dobre maniere i wykształcenie pomieściłyby się w małej walizce albo skórzanej torbie. Żył bezlitosną i bezkompromisową pogardą dla ludzi, dla sposobu, w jaki się zachowywali, ubierali, poruszali.

Dina stała się w jego oczach symbolem nierządniczy. Czytał co nieco na ich temat, choć nigdy się z nimi nie zadawał. Dina była bezwstydnym kobiecym stworzeniem, które wystawiło na pośmiewisko dobre imię ojca i zhańbiło pamięć matki.

Po raz pierwszy zobaczył ją na obfitującym w skandale weselu. Od tej pory nie mógł nikomu spojrzeć w oczy, nie zastanawiając się jednocześnie, czy ten ktoś o tym słyszał, czy pamięta...

Mimo iż miał tak jasno sprecyzowane zdanie na temat żony swego ojca, budził się czasami w środku nocy w przedziwnym oszołomieniu. Wracali do niego strzępy snów. O tym, że był gdzieś na dworze i dosiadał ciemnego konia. Sny różniły się trochę między sobą, ale wszystkie kończyły się tak samo: koń zwracał w tył swą wielką głowę, która zamieniała się w ciemną, beczelną twarz Diny. Powiewająca grzywa zaś w jej czarne włosy.

Wstydził się zawsze i z miejsca przytomniał. Wstawał, by obmyć się zimną wodą, którą nalewał powoli z porcelanowego dzbanka do śnieżnobiałej miski z niebieskim szlaczkiem.

Potem wycierał się starannie wyprasowanym, chłodnym lnianym ręcznikiem i był ocalony. Aż do następnego przebudzenia się z tego snu.

Jakub całymi dniami oddawał się obowiązkom nowożeńca. Nie pokazywał się ani na przystani, ani w składzie, ani w szynku. Pił wino ze swoją żoną, grał z nią w domino i w szachy.

Z początku wszyscy się uśmiechali. Pozdrawiali go i kiwali głowami. Wkrótce jednak jakiś niepokój i niepewność zaczęły się szerzyć w obejściu i w domu.

Zaczęło się od Matki Karen i rozprzestrzeniło jak pożar traw.

Czyżby na Jakuba padł urok? Czyżby nie zamierzał skalać swych rąk pracą? Czyżby zamierzał spożytkować całą swą energię i czas na małżeńskie obowiązki w łożu z baldachimem?

Pani Karen napominała Jakuba. Ze spuszczonego wzrokiem, ale zdecydowanym głosem. Nie chodzi mu chyba o to, by całe gospodarstwo podupało? Zachowuje się przecież jeszcze gorzej niż wówczas, gdy nagle odeszła świętej pamięci Ingeborg. Wtedy przeważnie siedział w szynku albo dryfował po zatoce. Ale teraz jest jeszcze gorzej. Wystawia się na pośmiewisko przed całym powiatem! Wszyscy z niego kpią!

– I mają rację – odparowywał Jakub, również rozbawiony.

Matce Karen wcale nie było do śmiechu. Jej twarz się ściągnęła.

– Masz czterdzieści osiem lat – upomniała go.

– Bóg ma wiele tysięcy lat i jeszcze żyje! – zachichotał Jakub i pogwizdując, skierował się w stronę poddasza. – Jestem w znakomitym humorze ostatnimi czasy, droga matko! – zawołał w dół schodów.

Po chwili z góry dochodziły dźwięki wiolonczeli. Nikt jednak nie wiedział, że Dina siedzi tylko w gorsiecie, z nagą dolną połową ciała, trzymając wiolonczelę między mocnymi, jędrnymi udami. Grała z taką powagą, jakby dawała koncert dla pastora.

Jakub siedział pod oknem, z założonymi rękami i patrzył na nią. Jak na święty obrazek.

Wszędobyłskie słońce już wiele świetlnych lat temu postanowiło rozszczepić powietrze między nimi. Cząsteczki pyłu stanęły w snopie światła jak drzemiąca ściana. Nie ośmieliły się jednak zasnąć.

Jakub oznajmił, że zamierza zabrać Dinę ze sobą do Bergen jeszcze tego lata. Pierwszy klipser był już w drodze. Ale Jakubowe oczko w głowie, najnowszy zagłowiec, nazwany imieniem Matki Karen, miał wyruszyć pod koniec czerwca. Przygotowania do podróży zaczęły się zaraz po ślubie.

Matka Karen wzięła syna na stronę i tłumaczyła, że to nie jest wyprawa dla młodej kobiety. A poza tym Dina powinna przyswoić sobie podstawowe zasady prowadzenia domu i dobre maniery. Pani na Reinsnes musi umieć coś więcej niż tylko grać na wiolonczeli!

Jakub uważał, że to wszystko może poczekać. Ale Matka Karen się nie poddała.

Jakub zaniósł Dinie tę smutną wiadomość, rozkładając ręce. Jakby słowo starszej pani było prawem.

– W takim razie wracam do Fagerness! – oznajmiła Dina.

Jakub już się przekonał, że Dina zawsze dotrzymuje słowa.

Jeszcze raz udał się do Matki Karen. Tłumaczył i prosił. Aż ustąpiła.

Wkrótce zaś wszyscy domownicy z Jakubem i Matką Karen na czele zyskali pewność się, że Dina nie ma zamiaru uczyć się sztuki prowadzenia dużego domu. Jeździła konno, grała na wiolonczeli, jadła i spała. Czasami przynosiła czarnego dorsza na brzozywym patyku, mimo że nikt nie widział, by wyptywała w morze.

Matka Karen wzdychała. Jedynym obowiązkiem, który Dina wykonywała z radością, było wciąganie flagi na maszt, gdy zbliżał się parowiec.

Wszyscy pocieszali się myślą, że jeśli tylko Matce Karen dopisze zdrowie, życie będzie toczyć się jak przedtem.

Rozeszły się plotki o tym, że młoda pani na Reinsnes wspina się na najwyższe drzewo w ogrodzie, by lepiej widzieć parowiec albo żeby obserwować górskie szczyty przez lornetkę. Czy kto słyszał kiedyś o czymś takim?

Ludzie zaczęli zastanawiać się nad rodowodem Diny. Matka została świętą już w tym dniu, w którym porzuciła ból oraz swoje poparzone ciało i umarła. Nie ona zatem była źródłem tego nieszczęsnego dziedzictwa.

Rodzinę referendarza poddano wobec tego szczegółowym analizom i dociekaniom, które wydobyły na światło dzienne najdziksze historie. Ludzie gadali, że wśród przodków referendarza byli Lapończycy i Cyganie. I że jedna z jego praprababek flirtowała z włoskim rozbitkiem całe wieki temu. Nietrudno sobie wyobrazić, jakie skutki coś takiego może mieć dla potomstwa! Tak, kara przyszła teraz, wiele pokoleń później.

Nikt nie potrafił wymienić imion czy też siedzib tych osób, które tak zaważyły na losie córki referendarza. Bo też w gruncie rzeczy nie było to potrzebne.

Kobieta, która łązi po drzewach, będąc mężatką, która pokazuje się w bieliźnie na własnym weselu, która przed dwunastym rokiem życia umiała czytać tylko *Biblię*, która jeździ konno okrakiem i na oklep, musi być owocem grzechów swych przodków.

A zresztą nie trzeba już więcej dowodów na to, że w każdym razie teraz jest Cyganką, skoro prawie nigdy z nikim nie rozmawia i zawsze pojawia się tam, gdzie nikt się jej nie spodziewa!

Johan słyszał wszystkie te plotki. Gryzł się tym bardzo i wyglądał chwili, gdy będzie mógł wrócić na studia.

Matka Karen pomagała mu kompletować bagaże. To było poważne zadanie. Pakowała sama i wydawała polecenia na wszystkie strony.

Przez dwa miesiące dokładała drobiazgi, i nie tylko. W końcu trzy wielkie kufry stanęły w przystani, czekając, aż zostaną spuszczone do łodzi, która powiezie go na pokład parowca.

Gdy Johan siedział kiedyś późnym wieczorem w altanie, między drzewami w ogrodzie zamajaczyła jakaś postać. Czuł, jak zimny pot oblewa całe jego ciało.

W pierwszej chwili sądził, że drzemie, ale szybko zrozumiał, że ona jest tu naprawdę.

Przed chwilą padał deszcz. Kapał jeszcze z gałęzi. Brzeg jej koszuli był ciężki od wody, a materiał oblepiał biodra.

Znalazł się w pułapce! Bez szans na ucieczkę. A ona zbliżała się do altany. Jakby spodziewała się tam go zastać. Ukrytego w chmielu i bzach.

Bez słowa usiadła obok niego na ławce. Jej zapach gwałcił mu rozum. A jednocześnie wstrząsała nim odraza.

Dina położyła gołe nogi na ogrodowym stole i zagwizdała melodię, której nie znał. Cały czas przypatrywała mu się poważnie i badawczo. Czerwcowe światło było przyćmione w altanie. Mimo to czuł, że nie zdoła się zamaskować przed nią.

Podniósł się, chcąc odejść. Ale odcięła mu odwrót swymi długimi nogami. Przełknął ślinę.

– Dobranoc – wydobył z siebie wreszcie z nadzieją, że Dina opuści nogi.

– Dopiero przyszłam – powiedziała zaczepnie. Nie czyniąc nic, by go przepuścić.

Czuł się jak zapomniany pakunek.

Nagle wyciągnęła rękę i pogłaskała go po przegubie.

– Napisz, jak już będziesz na południu! O wszystkim, co zobaczysz!

Skinął machinalnie głową i opadł znowu na ławkę obok niej. Jakby go popchnęła.

– Dlaczego chcesz być pastorem? – zapytała.

– Mama sobie tego życzyła.

– Ale ona nie żyje...

– Właśnie dlatego...

– A ty sam chcesz?

– Tak.

Westchnęła ciężko i oparła się o niego w taki sposób, że poczuł jej pierś poprzez wilgotną, cienką materię lnu. Jego ciało pokryła gęsia skórka. Nie potrafił się poruszyć.

– Mnie nikt nie każe być jakimś pastorem – powiedziała z zadowoleniem.

Odchrząknął i z wielkim trudem wziął się w garść.

– Kobieta nie może być pastorem.

– Nie, na szczęście.

Znów zaczęło padać. Ostrożne małe kropelki, które delikatnymi falami spadały na soczycie zieloną trawę. Woń ziemi i wilgoć przepełniały nozdrza. Wmieszał się w to aromat Diny. Osiedlił się w nim już na zawsze. By powracać w każdym zapachu kobiety.

– Nie lubisz mnie – rzekła nagle.

– Nigdy tego nie powiedziałem!

– Nie, ale tak jest!

– Nie o to chodzi...

– Oo?

– Ty... To znaczy... ojciec nie powinien mieć takiej młodej żony.

Zaśmiała się, jakby pomyślała o czymś, czego nie może wyjawić.

– Cicho – powiedział. – Jeszcze kogoś obudzisz.

– Wykapiemy się w zatoce? – wyszeptła, potrząsając go za ramię.

– Wykapiemy się? Nie! Przecież jest noc!

– I co z tego? Jest ciepło.

– Ale pada.

- No i co? I tak jestem mokra.
- Mogą się obudzić... i...
- Ktoś za tobą tęskni? – szepnęła.

Jej szept go dusił. Przygniatał do ziemi. Wzbijał w powietrze. Między szczyty. Powalił go z powrotem na ławkę prostym sierpowym.

Potem nigdy nie potrafił odróżnić tego, co się naprawdę zdarzyło, od snu o końskim łbie.

- Ale ojciec...
- Jakub śpi!
- Jest jasno...
- Idziesz czy tchórzysz?

Wstała i pochyliła się tuż nad nim, przechodząc obok. Odwróciła się raz i zatrzymała na sekundę czy dwie.

Na jej twarzy malował się wyraz smutku, który nie pasował do głosu i ruchów. Ściana wilgoci, w którą wkroczyła, wchłonęła jej ciało bez śladu. Nie można jednak było pomylić kierunku.

Kiedy zszedł ku zatoce położonej za pagórkem flagowym, był przemoczony do suchej nitki. Dina stała nago pomiędzy kamieniami. Przeszła parę kroków w bród. Pochyliła się, by podnieść coś z dna. Oglądała to uważnie.

I nagle, jakby czując jego spojrzenie na biodrach, obróciła się całkiem wyprostowana. Z tym samym wyrazem twarzy, który widział przed chwilą.

Chciał wierzyć, że dlatego właśnie się zламаł. Zdjął spodnie i koszulę. Zawstydzony i podniecony jednocześnie. I brnął po wodzie w jej stronę. Woda była zimna. Ale wcale tego nie czuł.

- Umiesz pływać?
- Nie, skądże – powiedział i sam usłyszał, jak to głupio zabrzmiało.

Dina zbliżyła się ku niemu. Łoskot w skroniach groził mu zatonięciem, mimo że stał w wodzie po kolana.

Nagle dotarło do niego, jak idiotycznie wygląda w białej bieliźnie. Rozdygotany.

Podeszła bliżutko, objęła go w pasie i chciała zanurzyć. Poddał się. Zaprowadziła go tak daleko, że zaczęli unosić się na wodzie. Pozwolił, by go powiodła na granicę snu.

Poruszała się za nich oboje. W powolnym rytmie, za pomocą dolnej połowy ciała i nóg. Utrzymywała jego nie stawiające oporów ciało na wodzie. Dzięki Dinie oboje utrzymywali się na powierzchni.

Lodowata woda, lekka mżawka, jej ręce, które zmieniały położenie i chwytaly go to tu, to tam.

Koń z jego snu! Dina, którą poślubił jego ojciec. Ta, która spała na górze w ojcowskim łóżku. A pośrodku tego wszystkiego była kimś innym.

Zapragnął opowiedzieć jej o czarnej dziurze na cmentarzu. Która pochłoneła Ingeborg. Opowiedzieć o ojcu, który pijany włóczył się po okolicy po pogrzebie.

Ale nie nauczył się potrzebnych słów. Takich gorących, dusznych. Jak ta noc.

Mógłby zwierzyć się jej ze wszystkiego, co miała usłyszeć Ingeborg przed śmiercią. Opowiedzieć o Gwiazdkach na Reinsnes. Gdy matka krzątała się po domu. Zabiegana, z wypiekami na policzkach. O bolesnych ukłuciach, które odczuwał, gdy tracił jej spojrzenie, bo w izbie pojawiał się ojciec.

Mógłby opowiedzieć Dinie o żalu, który go ogarniał za każdym razem, gdy opuszczał dom. Mimo iż tego właśnie pragnął. Opuścić dom.

Dina zamieniła się w walkirię z mitologii Matki Karen. Istotę, która utrzymuje go na wodzie. Która w tajemniczy sposób rozumie wszystko, czego nie potrafił wypowiedzieć.

Jam jest Dina trzymająca lśniącą rybę. Mój pierwszy połów. Sama muszę ją zdjąć z haczyka. Haczyk się skrzywił. Ryba wcale nie jest silnie zraniona. Wyrzucam ją w morze. Musi sobie poradzić. Jest niebieski dzień.

Nie mieli czym się wytrzeć. Spróbował niepewnie zagrać rolę dżentelmena. Chciał, by wzięła jego koszulę i osuszyła się.

Dina odmówiła.

Poważni i dygoczący ubierali się w deszczu.

Nagle powiedziała, jakby już stali w przypiływie, a on miał odjechać:

– Napisz do mnie!

– Tak – odpowiedział, rzucając spojrzenie w stronę ścieżki prowadzącej do domu.

– Nigdy przedtem się z nikim nie kąpałam.

To były jej ostatnie słowa, zanim pobiegła dróżką w stronę domu.

Chciał ją zawołać. Ale nie śmiał. Zniknęła już między drzewami.

Kapało ze wszystkich gałęzi. Powiesił na nich swą rozpacz. Wszystko z nich ściekało na ziemię. Skąd umiesz pływać, jeśli się z nikim nie kąpałeś? – mówiły krople. Wciąż od nowa.

Nie ośmielił się tego krzyknąć za nią. Ktoś mógłby usłyszeć...

Ukrył się w nie wypowiedzianych słowach. Schował pragnienie, które zostało gdzieś w wodach przypiływu i dryfowało między wodorostami. W pytaniu: skąd umiesz pływać?

Dłużej nie mógł już wytrzymać. Wpełził pod duży kamień, pod którym zwykł się chować w dzieciństwie, i ujął swe twarde jak gład przyrodzenie przyzwalającą dłonią. Nie myśląc o Bogu.

Tego dnia Johan znienawidził swego ojca. Głęboko i z całego serca. W dalszym ciągu nie radząc się swojego Boga.

Jakub obudził się, gdy Dina weszła do sypialni.

– Gdzie byłaś, na miłość boską? – wykrzyknął, ujrawszy przemoczoną postać.

– Kapałam się.

– Nocą? – zawołał z niedowierzaniem.

– Nocą nie płacze się tylu ludzi – wyjaśniła. Zrzuciła z siebie wszystkie części ubrania i wskoczyła do łóżka.

Jakubowego ciepła starczyło na dwoje.

– A widziałas potwora morskiego, ty czarownico? – zażartował w półśnie.

– Nie, ale widziałam jego syna!

Zaśmiał się cicho i westchnął nad tym, że tak zmarzła. Jakub nie dostrzegł jej smutku. Nie wiedział, że Dina umie pływać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

CZY SCHOWA KTO OGIEŃ W ZANADRZU,
BY NIE ZAJĘŁY SIĘ JEGO SZATY?
CZY KTO PÓJDZIE PO WĘGLACH OGNISTYCH,
A STÓP NIE POPARZY?

(Księga Przysłów, 6, 27-8)

Dina pojechała do Bergen tego lata.

Matka Karen zrozumiała, że zapewne nie wychowa Diny w ciągu jednej nocy. A gdy łódź była już daleko, musiała przyznać, że tęskniła za spokojem i ciszą. Nieco gorzej zniosła fakt, że niewiele później wyjechał Johan.

Dina była niesfornym dzieckiem, któremu trzeba by ukrócić cugle.

Zamęczała marynarzy swymi coraz to nowymi pomysłami, odrywając ich od zwykłych zajęć.

Anders odnosił się do tego z największą dozą spokoju i humoru.

Najpierw kazała przenieść leżankę z tylnej kajuty na pokład. Tam w kółko zabawiała się grą w karty i śpiewaniem rubasznych szant w towarzystwie najętego w ostatniej chwili cudzoziemca, który grał na jakimś miniaturowym instrumencie strunowym. Podobnych używali rosyjscy marynarze.

Czarnowąsy mężczyzna mówił po szwedzku z obcym akcentem i twierdził, że wędruje z kraju do kraju od wielu lat.

Pewnego dnia wysiadł w Reinsnes z płynącej z północy rosyjskiej łodzi. Zatrzymał się, czekając na okazję, by zabrać się z kimś na południe.

Jakub kilkakrotnie wołał, prosząc wioślarza, by uciszył towarzystwo. Nie na wiele się to zdało. Czuł się jak stary zrzęda. A na taką rolę wcale nie miał ochoty.

Wreszcie wyczołgał się na pokład i przyłączył do zabawy.

Zadbał o to, by następnego dnia wieczorem zawinęli na Grøtøy. Zgotowano im tam życzliwe i gościnne przyjęcie.

Na Grøtøy od niedawna zawiązał „Księżę Gustaw” i gospodarz snuł plany budowy nowego domu, składu i poczty.

Gościł tam od pewnego czasu malarz, który miał sportretować rodzinę gospodarza. Sztalugi pochłonęły natychmiast uwagę Diny. Krążyła wokół nich niczym zwierzę, węsząc zapach farb olejnych i terpentyny. Nie spuszczała oka z ruchów artysty, mało brakowało, a wdrapałaby mu się na kolana.

Jej naturalność wprawiła wszystkich wokół w zakłopotanie. Służba szeptała już o młodej pani na Reinsnes. I kiwała głowami nad Jakubem Grønelvem. Ten ma co robić...

Spoufalanie się Diny z malarzem przeistoczyło Jakuba w patrzącego wilkiem psa łańcuchowego. Wstyd mu było, gdy wykazywała taki brak ogłady.

Próbował odbić sobie to wszystko w łóżku. Rzucił się na nią uzbrojony we wszelkie prawa dotkniętego i zranionego męża.

Po drugiej stronie cienkiej ściany rozległ się jednak tak donośny kaszel, że Jakub musiał zrezygnować ze swych planów.

Dina położyła dłoń na jego ustach w geście uciszenia. Zadarła do góry nocną koszulę i dosiadła okrakiem swego podejrzliwego Jakuba. I powiodła siebie i jego prawie bezgłośnie w szeregi błogosławionych.

Gdy ponownie wypłynęli w morze, trzymała się statecznie swojej kajuty. Świat nabrał kolorów w oczach Jakuba. Wzięli kurs na Bergen bez dalszych potyczek.

Mrowie ludzi na Vågen! Fort, domy, kościół. Kariolka. Z eleganckimi damami i dżentelmenami pod parasolem.

Głowa Diny zachowywała się tak, jakby ją zamontowano na piaście koła. Dina postukiwała nowymi butami podróżnymi o bruk. I przypatrywała się natarczywie każdemu woźnicy, siedzącemu dumnie z dłonią opartą o kolano.

Powozy przypominały często ustrojone torty, obsypane kryzami i jasnymi letnimi sukniami zapinanymi na guziki. I koronkowymi parasolkami. Odbierały one swym właścicielkom głowy i twarze.

Nie brakowało i kawalerów. Jedni nosili eleganckie ciemne surduty i meloniki, inni, młodszy zuchwałe jasne ubrania i słomkowe kapelusze, zawadiacko nasunięte na czoło.

Starszy oficer w niebieskim płaszczu z czerwonymi wyłogami pochylał się nad uliczną pompą. Nawoskował sobie wąsy tak bardzo, że sterczały jak namalowane. Dina podeszła do niego i dotknęła ich. Jakub odciągnął ją za ramię, chrząkając ze zmieszania.

Nieco dalej kusił szyld kawiarni, reklamujący wyborną maderę i kubańskie cygara! Za kawiarnianymi firanami królowały wyściełane czerwonym pluszem kanapy i abazury z frędzlami.

Dina ruszyła do środka, by zapalić tam cygaro. Jakub podążył za nią. Niczym zatroskany ojciec tłumaczył jej, że nie wypada tego robić publicznie.

– Kiedyś jeszcze raz przyjadę do Bergen i zapalę! – rzekła buntowniczo, pociągając wielki łyk madery.

Jakub kupił eleganckie ubranie spacerowe: dwurzędowy tużurek z alpaki z welwetowymi klapami i kraciaste spodnie. Nosił kapelusz, jakby było to jego codzienne nakrycie głowy.

Nie żałował czasu na fryzjera i balwierza. Przychodził do pensjonatu gładko ogolony. Miał po temu parę ważkich powodów.

Pierwszym z nich było pytanie właściciela pensjonatu, czy zamawiają dwa osobne pokoje. Jeden dla pana Grønnelva, a drugi dla jego córki. Inną przyczyną była pamięć o tym, że Dina już prawie rok temu zauważyła, iż posiwiał. Żadne argumenty nie przemawiały za tym, by hodować więcej siwych włosów niż to konieczne.

Dina przymierzała kapelusze i suknie z taką samą głęboką powagą, z jaką potajemnie przywdziewała stroje Hjertrud, zanim wyprowadziła się z domu.

Bergeńskie kreacje czyniły cuda. Dina wyglądała dorosłej, Jakub młodziej.

Niczym dwa próżne czyżyki przeglądali się w każdej witrynie i w każdej kałuży, którą napotkali po drodze.

Anders uśmiechał się dobrotliwie, słysząc ich płocze pogaduszki o modzie.

Dina wyceniała i liczyła, dodawała i dzieliła. Pełniła rolę swoistej żywej maszyny do liczenia, gdy Jakub i Anders decydowali, co kupić, co sprzedać. Budziła zainteresowanie.

Pewnego wieczoru Jakub był pijany i zazdrosny. Rozmawiała z dystygowanym panem, który odnosił się do niej z wielką rewerencją, bo zagrała Beethovena na hotelowym pianinie.

Gdy zostali sami, Jakub rzucił jej w twarz, że jeśli nie zacznie upinać włosów, zawsze będzie wyglądała jak latawica.

Nie odpowiedziała mu zrazu. Ale się nie poddał. Wtedy kopnęła go w goleń, aż jęknął, i rzekła:

– To tylko twój egoizm, Jakubie Grønelv. Nie możesz ścierpieć, że ktoś patrzy na moje włosy. Nasz Pan nie jest taki samolubny jak Jakub Grønelv. Inaczej nie pozwoliliby moim włosom rosnać!

– Popisujesz się! – powiedział rozcierając nogę.

– A gdybym była koniem? Wtedy można by mnie oglądać? Mam być niewidzialna jak duch?

Jakub dał za wygraną.

Ostatniego dnia pobytu w Bergen przechodzili koło płotu, na którym rozlepiano rozmaite plakaty.

Dina zachowywała się jak mucha, która zwietrzyła cukiernicę.

List gończy za kieszonkowcem. Może być niebezpieczny, napisano na plakacie. Małe, domowym sposobem wykonane ogłoszenia informowały o krzepiących spotkaniach religijnych albo usługach krawieckich.

Starszy dobrze sytuowany pan poszukiwał gospodyni.

Pośrodku tego wszystkiego widniał ogromny, czarno-biały plakat, który obwieszczał, że zostanie powieszony człowiek, który zamordował swoją narzeczoną.

Fotografia mężczyzny zniknęła pod warstwą błota.

– To ulga dla rodziny – trzeźwo skomentował Jakub.

– Pojedziemy tam! – rzekła Dina.

– Na miejsce kaźni? – Jakub nie krył przerażenia.

– Tak!

– Ależ Dino! Tam mają powiesić człowieka!

– Tak. Przecież właśnie to jest napisane na plakacie.

Jakub wlepił w nią wzrok.

– To potworny widok!

– Nie będzie krwi.

– Ale on umrze.

– Wszyscy umrą.

– Dino, wydaje mi się, że nie rozumiesz...

– Szlachtowanie jest o wiele gorsze!

– Szlachtuje się zwierzęta.

– W każdym razie ja chcę tam pójść!

– To nie jest miejsce dla kobiet. Zresztą tam może być niebezpiecznie...

– Dlaczego?

– Tłum mógłby porwać się na dobrze sytuowane damy, które przychodzą tylko z ciekawości. Naprawdę – dodał.

– Weźmiemy powóz. Będziemy mogli w razie czego szybko odjechać.

– Żaden stangret nas tam nie zawiezie dla rozrywki.

– Nie jedziemy tam dla rozrywki – rozłościła się Dina. – Jedziemy zobaczyć, jak to się odbywa.

– Przerażasz mnie, Dino! Co ty chcesz zobaczyć?

– Oczy! Jego oczy... Kiedy założą mu pętlę na szyję...

– Droga, kochana Dino, nie mówisz chyba poważnie.

Spojrzenie Diny prześliznęło się po nim. Jakby go tam nie było. Wziął ją pod ramię, chcąc ruszyć dalej.

– Jak się zachowa, to chcę zobaczyć! – powiedziała stanowczo.

– I cóż tu się gapić, na jakiegoś biedaka w nieszczęściu.

– To nie jest żadne nieszczęście – przerwała zirytowana. – To najważniejsza chwila!

Nie poddała się. Jakub pojął, że pojedzie sama, jeśli on nie będzie jej towarzyszył.

Wynajęli powóz i wyruszyli na miejsce kaźni nazajutrz o świcie. Stangret wcale nie był tak niechętny, jak to przewidywał Jakub. Ale żądał słonej zapłaty, jeśli miał stać tam podczas egzekucji, gotów odjechać na każde skinienie Jakuba.

Napływający równym strumieniem ludzie gromadzili się wokół szubienicy. Ciała napierały na siebie nawzajem. Ciasno. Oczekiwanie zawisło w powietrzu niczym duszące opary tranu.

Jakub dygotał i zerkał z ukosa na Dinę.

Utkwiła swe jasne oczy w dyndającym stryczku. Wykręcała sobie palce, aż trzeszczały w stawach. Otworzyła usta. Oddychała, świszcząc przez zęby.

– Przestań – powiedział Jakub, kładąc dłoń na jej palcach.

Nie odpowiedziała. Ale położyła ręce spokojnie na kolanach. Kropelki potu pojawiały się powoli na jej czole i płynęły wzdłuż zagłębienia obok nosa. Dwie potężne rzeki.

Nie prowadzono zwykłych rozmów. W powietrzu rozbrzmiewał równomierny pomruk. Oczekiwanie, którego Jakub nie odczuwał.

Objął Dinę, gdy mężczyznę transportowano wozem pod szubienicę.

Skazaniec miał gołą głowę. Był obdarty, brudny, zarośnięty. Jego dłonie zaciskały się i rozwierzały w kajdankach.

Jakub nigdy nie widział tak rozbitego człowieka.

Oczy skazańca patrzyły w tłum z dzikością. Nadszedł duchowny, powiedział coś do nieszczęśnika. Ten i ów splunął w stronę wozu, ciskając przekleństwami. „Morderca” brzmiało jedno z nich.

Mężczyzna najpierw próbował się uchylić przed plwociną. A potem jakby już umarł. Pozwolił się uwolnić z kajdanów i nałożył sobie na szyję stryczek.

Kilka osób wcisnęło się pomiędzy powóz, w którym siedziała Dina z Jakubem, a barierkę otaczającą szubienicę. Dina podniosła się z siedzenia. Przytrzymując się daszka kariolki, wyprężyła się ponad głowami tych, którzy stali na dole.

Jakub nie widział już jej oczu. Stracił z nią kontakt. Podniósł się, by ją podtrzymać, gdyby upadła.

Ale Dina nie upadła.

Ktoś smagnął batem bok konia zaprzęgniętego do wozu, na którym stał skazaniec. Mężczyzna zawisł w powietrzu. Jakub chwycił Dinę. Drgawki mordercy gwałtownie opanowały jej ciało.

Było już po wszystkim.

Nie rzekła ni słowa, gdy jechali w stronę portu. Siedziała spokojnie. Wyprostowana jak generał.

Chustka na szyi Jakuba zwilgotniała od potu. Przyciskał dłonie do kolan i sam nie wiedział, co było gorsze: kaźń czy wola Diny, by ją zobaczyć.

– Zachowywał się dosyć spokojnie – rzucił stangret.

– Owszem – odrzekł głucho Jakub.

Dina wpatrywała się w powietrze, wstrzymując oddech. Potem westchnęła głęboko i ciężko. Jakby wreszcie uporała się z obowiązkiem, który ciążył na niej od dawna.

Jakub czuł się nie najlepiej. Nie spuszczał Diny z oka przez resztę dnia. Próbował z nią rozmawiać. Ale ona się tylko uśmiechała, zadziwiająco przyjaźnie, i odwracała głowę.

Następnego dnia, gdy byli już na morzu, Dina obudziła Jakuba, mówiąc:

– Miał zielone oczy, które patrzyły na mnie!

Przygarnął ją do siebie. Ukołysał jak dziecko, którego nikt nie nauczył płakać.

W drodze na północ zatrzymali się u starych przyjaciół Jakuba we dworze Tjøtta. Poczuli się jak w królewskim pałacu. Tak wyszukane zgotowano im przyjęcie.

Jakub bał się zwariowanych pomysłów Diny. Ale jednocześnie z dumą obnosił się ze swym rzadkim sokołem myśliwskim. Tak by wszyscy zrozumieli, że ten ptak może podrapać, jeśli dotknąć go bez rękawiczki. Dina nie czuła się szczególnie zaszczycona pobytem na dworze, który gościł sędziów i ministrów, a w dniach swej potęgi był tak wielki jak dwa czy trzy probostwa. Poskapiła uprzejmych zachwytyw nad wspaniałością komnat. Nie wypowiedziała się na temat głównego budynku, który miał dwie kondygnacje i z piętnaście metrów długości.

Ale zatrzymywała się za każdym razem, gdy mijali dwie dziwne, starodawne figury kamienne przy wjeździe na główny podwórzec. Odnosiła się z wielkim respektem do tych kamieni i chciała usłyszeć ich historię. Wieczorem wybiegła boso, by popatrzeć na światło, które dziwnie je spowijało.

Pierwszego wieczoru rozmowa wokół stołu, przy ponczu, toczyła się wartko. W salonie tłoczyli się starzy i młodzi. Opowieści krążyły niczym pałeczka w sztafecie.

Gospodarz opowiadał, jak to się stało, że cała północ przeszła w ręce wielkiego pana, Duńczyka Jochuma Jürgensa albo Irgensa, bo tak go również zwano.

Jutlandzki zarządca dóbr królewskich został szambelanem Chrystiana IV. Był to spryciarz co się zowie. Okazało się, że sprzedał na kredyt niezliczone ilości reńskiego wina i pereł królewskiemu domowi. Gdy przyszło do spłaty długu, w skarbcu zabrakło środków. I tak Jochum dostał – zgodnie z postanowieniem aktu z 12 stycznia 1666 roku – wszystkie dobra królewskie w Helgelandzie, Salcie, na Lofotach, w Vesterålen, Andenes, w Senja i Tromsø! Za wierzytelności wysokości 1440 vag.

Jego posiadłości obejmowały niemal połowę północnej Norwegii. Władał jeszcze rezydencjami w Bødgård, w Steigen, a przy tym należała mu się królewska część dziesięciny ze wszystkich północnych regionów.

Ta historia tak poruszyła Dinę, że zapragnęła, by Jakub natychmiast wyszykował łódź do drogi i obwiał ją po całej dziedzinie, którą zapłacono za reńskie wino i perły.

Przedstawiała skomplikowane obliczenia dziewczętom mieszkającym na dworze. O ileż to butelek czy małych beczulek wina mogło tu chodzić. Albo też o ile dużych beczek.

Jako że nikt nie potrafił jej powiedzieć, ile kosztowały perły i wino w siedemnastym stuleciu, nie znalazła rozwiązania swych matematycznych problemów.

Jakub miał właściwie ochotę ruszyć do domu już drugiego dnia.

Gospodarze namówili go jednak, by pozostał jeszcze dwie noce, jak nakazywał obyczaj.

Dina i Anders optowali za przedłużeniem pobytu, ugiął się więc. Choć po jego stronie stanął sternik, Anton.

Podczas całej podróży Jakub pilnował każdego słowa i każdego ruchu Diny, gdy byli w towarzystwie. Zaczynał już tracić siły. A i nocna ekwilibrystyka zrobiła swoje.

Odetchnął z ulgą, gdy Dina i młode córki gospodarzy postanowiły czuwać przez dwie noce w oczekiwaniu na ducha.

Duch zwykł był przechadzać się nocą po pokojach. Dina usłyszała to i owo o przepowiedniach. Zjawia ukazała się już niejednemu. Rozmawiano o tym, jakby chodziło o zwyczajną sąsiedzka wizytę.

Oczy Diny zamglily się, a jej czoło pokryły zmarszczki; tak wyglądała, gdy miała przed sobą trudną stronę z nutami, które powinna zagrać.

Drugiej nocy przez salon przemknęła dziecięca postać, która zniknęła za starym zegarem. Dziewczęta z dworu były jednomyślne. Wszystkie ją widziały. Po raz kolejny.

Dina milczała. Jej milczenie graniczyło z impertynencją.

*Jakub cieszył się, że wizyta dobiegła końca, choć tego nie okazywał.
Przespali już trzy noce w Tjøtta.*

W drodze do domu Jakub napomknął, że dziwi go wiara mieszkańców dworu w duchy. Dina odwróciła się i bez słowa spoglądała w morze.

- Jak to coś wyglądało? – zapytał.
- Jak wszystkie zagubione dzieci.
- A jak one wyglądają? – spytał z nutą irytacji w głosie.
- Powinieneś wiedzieć.
- A czemuż to powinienem?
- Bo miałeś ich kilka w swoim domu!

Przeistoczyła się w rozwścieczonego, gotowego do ataku kota. Jej przemiana tak go przeraziła, że zamilkł.

Jakub opowiedział Matce Karen o tym, jak Dina zareagowała na rzekomego ducha z Tjøtta. Nie wspomniał jednak o tym, że zawiózł ją pod szubienicę w Bergen.

Matka Karen pomyślała swoje, nie wyjaśniając nic Jakubowi. Pojęła, że dziewczyna ma więcej rozumu, niż się wszystkim wydaje.

„Miałeś ich kilka w swoim domu” – tę uwagę Jakub powinien wziąć sobie do serca bez cudzych pouczeń.

Jakub wyznał matce, że ta podróż zmęczyła go bardziej niż wszystkie poprzednie.

Ona zaś nie wspomniała, że zawiniło tu towarzystwo Diny. Zachowała dla siebie wszystkie uwagi. I tak już nic nie mogły pomóc.

Doszła także do wniosku, że letnia podróż do Bergen posłużyła Dinie.

Wyrośnięta dziewczyna przybrała inną postawę. Jakby dopiero teraz odkryła, że istnieje świat większy niż ten, który można ogarnąć okiem z ojcowskiego domu czy z Reinsnes.

Jej twarz również się zmieniła. Matka Karen nie umiałaby powiedzieć, w jaki sposób. Dina miała chyba teraz inny wyraz oczu...

Tak czy inaczej, Matka Karen rozumiała więcej, niż dała po sobie poznać. Nie powtórzyła swemu synowi tego, co mu powiedziała, gdy oznajmił jej w uniesieniu, że piętnastoletnia Dina Holm będzie panią na Reinsnes.

Położyła tylko lekko dłoń na ramieniu Jakuba i westchnęła ze zrozumieniem. Widziała, że nowy strój i dobra fryzura nie ukryją, iż Jakub mocno posiwił i że jego lekko zaokrąglony brzusek opadł.

Kamizelka leżała, jakby była pożyczona. Czoło pokryły głębokie bruzdy, wokół oczu pojawiły się sińce. A jednak był niezwykle piękny.

Jakby z tym pełnym rezygnacji zmęczeniem było mu bardziej do twarzy niż z zuchwałością, która charakteryzowała go, gdy do domu zawitała Dina.

Spokojne, ociężałe ruchy. Sposób, w jaki się prostował. Wysoka sylwetka, zupełnie pozbawiona dostojeństwa właściwego zamożnym panom w jego wieku.

Matka Karen dostrzegła to wszystko. Na swój sposób.

Oline krążyła po kuchni. Ona też zauważyła. Nie była pewna, czy lubi tego nowego Jakuba, naznaczonego tak ciężką odpowiedzialnością. Nie podobała jej się i Dina. Oline wolałaby, żeby wszystko zostało jak przedtem.

Zwłaszcza Jakub.

Dina chciała opłynąć łodzią północną Norwegię, by zobaczyć wszystko, czym Chrystian IV zapłacił za kilka lichych pereł i parę kwart reńskiego wina.

Nie trafiało jej do przekonania, że taka podróż jest niemożliwa o tej porze roku.

Jakub wyrzekł łagodnie, ale zdecydowane: „nie”.

Zniósł wściekłość Diny jak rozsądny ojciec. Ścierpił też wyznaczoną przez nią karę. Miał spać sam w alkwie, poza sypialnią.

Szczerze mówiąc, podróż, podczas której musiał nieustannie, na różne sposoby czuwać, wyczerpała go tak bardzo, że zasnął kamiennym snem na niewygodnym szeszlengu, przekonany, że burza minie i że wszystko obróci się na dobre. Jeśli tylko on odzyska wigor i zdrowie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

BO DOŁEM GŁĘBOKIM JEST NIERZĄDNICA,
A CIASNĄ STUDNIĄ JEST OBCA NIEWIASTA,
CZATUJE JAKBY ROZBÓJNIK,
POMNAŻA NIEWIERNYCH W NARODZIE.

(Księga Przysłów, 23, 27-8)

Nowe małżeństwo, którego pierwszym etapem był widok dwóch jędrnych ud obejmujących korpus wionoczele, drugim zaś dramatyczne sprowadzanie panny młodej z drzewa, straciło swój żar podczas podróży do Bergen.

Jakubowi dokuczalo nieustanne zmęczenie. Cały czas musiał dbać o to, by być w świecie Diny. Nigdy nie tracić żony z oczu, nie pozwolić jej obdarowywać zbyt szczerze napotkanych ludzi.

Jakub nie był na tyle świadom, by nazwać to zazdrością. Wiedział po prostu, że katastrofa czai się za rogiem, wyczekując chwili, gdy on opuści Dinę na zbyt długo.

Zawsze przytrafiało się coś, co mu ją kradło. Duchy we dworze Tjøtta. Malarze czy muzycy. Tak, nawet jeden z marynarzy. Najęli go w drodze do domu z łaski, bo nie miał pieniędzy na bilet; służbą na pokładzie miał zapłacić za podróż. Nawet jego obecność niosła trudne do zniesienia i uwłaczające zagrożenie.

Dina grała w karty! A na domiar złego paliła fajkę w towarzystwie tego nie ogolonego, niechlujnego młodzieniaszka.

Do Jakuba zaczęło powoli docierać, że ta ostatnia miłość będzie go kosztowała więcej, niż się spodziewał. Że będzie musiał zapłacić między innymi nocnym odpoczynkiem.

Nie odbywał nawet swych wycieczek wokół zatoki, by pohulać z kompanami z dawnych lat. Nie mógł zostawić Diny, nie mógł jej wziąć ze sobą. Wprowadzała niepokój, gdy tylko pojawiała się w męskim towarzystwie.

Potrafiła się odezwać równie niewybrednie, jak parobek w noc świętojańską, albo tak wyszukanie i zawile jak sędzia.

O jej kobiecości nawet nie warto wspominać, bo pozostawała w całkowitej sprzeczności z dobrymi manierami. Dina poruszała swym dużym i mocnym ciałem jak młody generał. Zarówno podczas chodzenia, jak i w czasie jazdy konnej.

Mężczyźni roili się wokół jak muchy, zarówno gdy roztaczała aromat perfum pomieszanych ze stajennym odorem, jak i gdy promieniowała obojętnym chłodem.

Jakubowi wystarczały doświadczenia z podróży do Bergen. Wszystko to przyprawiało go o zimne poty i okropne bóle głowy.

A do tego jeszcze muzyka...

Koncerty Diny podniecały Jakuba erotycznie i szalał z zazdrości na samą myśl, że ktoś inny mógłby zobaczyć ją z wiononczelą między udami.

Posunął się nawet do tego, że namawiał ją, by trzymała obie nogi po tej samej stronie instrumentu! Byłoby to mniej wyzywające wobec publiczności.

Dina śmiała się rzadko, by nie rzec, że wcale. Jej śmiech dźwięczał jednak w całym domu, gdy Jakub, czerwony po uszy niczym polny mak w sierpniu, demonstrował jej, jak powinna siedzieć. Słysząc ją było na dole w składzie i w przystani.

Potem uwiadła go w samym środku dnia, nie zamykając nawet drzwi na klucz. Jakuba czasami dręczyło podejrzenie, że wcale nie była tak niewinna za pierwszym razem. Że jej absolutny bezwstyd, pełne drżenia oddanie i drobiazgowo badanie jego owłosionego ciała bardziej przypominały to, co przeżywał wtedy, gdy musiał płacić za usługi, niż zachowanie szesnastolatki.

Dręczyło go to nawet w snach. Próbował z niej coś wyciągnąć, rzucając podchwytliwe słowa...

Odpowiadała spojrzaniem naszpikowanym ostrymi odłamkami szkła.

Matka Karen i pasierbowie tolerowali Jakuba w roli nowożeńca aż do jego powrotu z jesiennego targu. Potem dali mu jednak do zrozumienia zarówno słowem, jak i czynem, że Reinsnes go potrzebuje.

Z początku nie zwracał na to uwagi.

Matka Karen wezwała go do swego pokoju, by oznajmić prosto z mostu, że nie wie, czy śmiać się, czy płakać nad życiem, które prowadzi on, dorosły mężczyzna.

Było kiepsko w czasach, gdy chodził w żałobie po Ingeborg, nigdy jednak tak źle jak teraz. Powinien zacząć wstawać na śniadanie i kłaść się o przyzwoitej porze wieczorem. W innym wypadku ona, Matka Karen, wyjedzie. Wszystko stoi na głowie od chwili, gdy Dina pojawiła się w domu.

Jakub przyjął jej wyrzuty, jak na syna przystało. Ze spuszczoną głową winowajcy.

Zaniebął gospodarstwo i interesy. Dina wyczerpuje go całkowicie. Dni mijają niepostrzeżenie, jak w kontredansie, w którym fanaberie Diny, pomysły Diny, potrzeby Diny stapiają się z jego własnymi.

Z tą tylko różnicą, że Dina jest dzieckiem, które nie ma żadnych innych obowiązków poza graniem roli młodej żony Jakuba.

Jakub długo czuł się zbyteczny i zmęczony. Pomysły Diny oznaczały dla niego katorgę. Jej zwierzęce zabawy w baldachimowym łożu i innych miejscach odbierały mu sen i odpoczynek, którego bardzo potrzebował.

Wieczorem, w dniu rozmowy z Matką Karen, Jakub odmówił zwyczajowej partyjki domina i kieliszka przed kominkiem, gdzie zwykli siadywać półnago.

Dina wzruszyła ramionami, napełniła dwa kieliszki, rozebrała się do koszuli i zasiadła do domina.

Grała sama ze sobą i piła z dwóch kieliszków. Trzaskała drzwiczkami kominka i nuciła półgłosem do późnej nocy.

Jakub nawet nie zmrzążył oka. Co jakiś czas prosił, by przyszła do łóżka.

Dina zasznurowała usta i nie raczyła odpowiedzieć.

Tuż przed świtem Jakub wstał. Przeciągnął swoje zeszywniałe członki i podszedł do niej.

Z anielską cierpliwością i wyrachowaniem węża. Potrzebował sporo czasu, by ją udobruchać. Trzy partyjki domina, mówiąc ściśle. Butelkę wina opróżniła już dawno sama. Wziął karafkę z letnią wodą z nocnej szafki i napełnił swój pusty kieliszek. Spojrzał na nią pytająco.

Skinęła głową. Jej również nalał wody. Stuknęli się i upili trochę z kieliszków. Wiedział już, że nie zwykła mówić czy odpowiadać na pytania, gdy oczy jej się szklily od wina, postanowił jednak spróbować.

– Dino, dłużej już tak nie można. Muszę spać nocą, przecież wiesz. Taki mężczyzna jak ja ma dużo obowiązków. W ciągu dnia. Musisz to zrozumieć, kochana...

Siedziała, z tym swoim uśmiechem na ustach. Nie patrzyła na niego. Przysunął się trochę bliżej. Objął ją ramionami, głaskał po włosach i plecach. Delikatnie. Był tak zmęczony, że pilnował się, by nie uczynić jakiegoś gestu, który mógłby dać początek kłótni czy niechęci. Nie był zresztą swarliwy.

– Święto się skończyło, Dino, musisz zrozumieć, że my, właściciele gospodarstw, musimy się zabrać do pracy. I potrzebujemy snu, jak wszyscy inni ludzie.

Dina nie odpowiadała. Oparła się na nim bezwładnie i leżała cicho, gdy ją tak pieścił.

Siedział więc dalej, popijając letnią wodę i głaszcząc dziewczynę, aż wreszcie zasnęła.

Z początku była napięta jak sprężyna, potem jednak rozluźniła się niby dziecko, które zasnęło zmęczone płaczem.

Musiał ją zanieść do łóżka. Dużą i ciężką. Nawet dla takiego chłopca jak on. Ziemia trzymała ją w mocnym uścisku, jakby chciała zobaczyć oboje na kolanach przed baldachimowym łóżem.

Dina zakwiliła, gdy się oswobodził od ciężaru i przykrył ją.

Nadeszła właśnie pora wstawania. Doskwierała mu sztywność we wszystkich członkach, starość i samotność, gdy przemykał się na dół, do obowiązków, które zaniedbał.

Jakub polecił przygotować alkowę w niewielkiej pakamerze koło sypialni. Do tej pory pomieszczenie służyło jako garderoba. Stał tam koniakowej barwy szezlong z popsutymi sprężynami i zużytą tapicerką. Jakub kazał przynieść na górę dodatkowy nocnik i pościel. Właśnie tam się chował, spragniony snu. Tłumaczył, że jego chrapanie nie pozwala Dinie spać.

Oline spojrzała na Jakuba ze zdziwieniem, słysząc te słowa. Nic jednak nie powiedziała, zacisnęła tylko usta, wokół których rysowały się promieniście wymowne zmarszczki. A więc do tego doszło tu, na Reinsnes, że pan domu musi spać na niewygodnym szezlongu, a dziewczucha wyleguje się w łóżku z baldachimem! Oline prychnęła i kazała służącej zanieść na górę prześcieradło, pierzynę i poduszki.

Tej nocy, gdy Jakub zdecydował się na przeprowadzkę do garderoby, Dina zaczęła grać na wiolonczeli o północy, kiedy wszyscy pogrążeni byli w najgłębszym śnie.

Jakub obudził się nagle i zanim jeszcze oprzytomniał, poczuł, że ogarnia go niebezpieczna wściekłość. Wszedł do sypialni i syknął wściekły:

– Dość tego! Obudzisz cały dom!

Nie odpowiedziała, grała dalej. Przeszedł chwiejnym krokiem przez pokój i chwycił Dinę za ramię, by zmusić ją do zaprzestania. Oswobodziła się i wstała, równie wysoka jak on. Ostrożnie oparła wiolonczelę o krzesło i odłożyła smyczek. Potem ujęła się pod boki i spojrzała Jakubowi prosto w oczy, uśmiechając się przy tym.

To go doprowadziło do szewskiej pasji.

– Czego ty chcesz, Dina?

– Grać na wiolonczeli – odparła chłodno.

– Po nocy?!

– Muzyka żyje najlepiej wtedy, gdy wszystko wokół umiera.

Jakub zrozumiał, że nie tędy droga. Instynktownie zrobił to samo, co o świcie poprzedniego dnia. Objął ją. Pogłaskał. Poczul, że staje się ciężka w jego ramionach. Taka ciężka, że można ją położyć do łóżka. Przytulił się do niej i głaskał dziewczynę nieprzerwanie, póki nie zasnęła.

Zdziwił się, że to takie łatwe, przyszło mu jednak do głowy, że niańczenie dużego dziecka może być na dłuższą metę męczące.

Pożądanie pałace i dręczące go dniem i nocą przed ich podróżą do Bergen teraz zniknęło. Wszystko potoczyło się inaczej, było bardziej skomplikowane, niż przypuszczał. Ogarniało go zmęczenie na samą myśl o tym.

Nie poszedł jednak do garderoby.

Resztę nocy spędził z głową Diny na ramieniu, śmiertelnie zmęczony i przybity. Patrzył w sufit i wspominał łagodną Ingeborg.

Żyli sobie spokojnie i powściągliwie, cieszyli się sobą nawzajem. Mieli jednak osobne pokoje. Przyszło mu do głowy, że mógłby wrócić do swego dawnego pokoju. Ale odpędził tę myśl.

Dina zemściłaby się okrutnie. Poznał ją już trochę. Istniała po to, aby posiadać i nie być w niczyim posiadaniu.

W mroku widział jedynie zarys ciała Diny. Ale jej woń i naga skóra były blisko. Jakub ciężko westchnął.

I wtedy coś się zdarzyło.

Zaczęło się od tego, że Matka Karen dostała wiosennego ataku, jak to wszyscy zwali. A przecież był październik!

Atak polegał na tym, że nie mogła spać. Zazwyczaj bezsenność ją nękała, gdy wiosna przymierzała się do szturmowania na dwa wysokie okna w jej pokoju. Światło w marcu jest okropne, twierdziła z rozdrażnieniem.

Oline się nie odzywała. Wykrzywiła tylko usta w lekceważącym grymasie i odwracała się. Jacyż oni do siebie podobni! Ludzie z południa. Narzekali, nawet jeśli pochodzili tylko z Trondheim, na ciemności jesienią i zimą. A jak Pan odwracał monetę, to też im się nie podobało! Oline odwiedziła Trondheim w młodych latach, i tam też było jasno wiosną.

Na coś zawsze trzeba narzekać. Damy z Trondheim, które udają, że pochodzą z Italii!

A więc atak Matki Karen, który wszyscy uważali za równie pewną oznakę wiosny jak pojawienie się ostrygojada, również zawiódł. W tym roku przyszedł w październiku.

Schody na poddasze zaczęły skrzypieć w nocy. Rondel z kożuchem od mleka czekał rankiem na ławie na dziewczę kuchenną.

Matka Karen podgrzewała sobie bowiem mleko z miodem. Siadywała przy stole w pustej kuchni i patrzyła, jak światło pnie się po miedzianych garnkach wiszących na ścianie, a potem wślizguje się na niebieską ścianę, by ujawnić, że ścierkom przydałoby się już pranie.

Matka Karen budziła się tuż po północy. Dreptała do kuchni i szukała ukojenia w kropli mleka i ciszy wypełniającej wielki, pogrążony we śnie dom.

Tym razem, ze względu na niewłaściwą porę roku, musiała przynosić ze sobą świeczkę.

Gdy mijała okno w przedsionku, zauważyła, że w altanie stoi latarnia. Z początku sądziła, że to księżyc płata jej psikusa, pozwalając swym promieniom odbijać się w kolorowych szybkach. Ale po chwili wyraźnie zobaczyła światło. Zrazu chciała obudzić Jakuba. Wzięła się jednak w garść. Narzuciła futro na szlafrok, aby zbadać sprawę bliżej.

Doszła ledwo na schody, kiedy drzwi altany się otworzyły i stanęła w nich wysoka postać w owczym kożuchu. To była Dina!

Matka Karen pospieszyła z powrotem do sieni i przemknęła się na poddasze tak szybko, jak tylko mogła to uczynić za pomocą swych starych nóg.

O tej porze nie mogła przecież wysłuchiwać gromkich wyjaśnień Diny. Obiecała sobie jednak porozmawiać z nią nazajutrz.

Z jakiegoś jednak powodu odłożyła rozmowę na później.

Matka Karen spała jeszcze mniej niż zazwyczaj. Dlatego że teraz i ona musiała pilnować Diny.

Młodej kobiecie nie wypada przesiadywać w altanie w mroźne noce, nawet jeśli jest odziana w futro.

Z jakiegoś powodu Matka Karen nie zdecydowała się opowiedzieć o tym Jakubowi.

Odkryła, że wędrownkami Diny rządzi pewna zasada. Dziewczyna siadywała w altanie w bezchmurne, zimne noce, rozświetlone gwiazdami i zorzą polarną.

W końcu, gdy pewnego dnia znalazły się tylko we dwie w salonie, rzuciła niby to mimochodem, uważnie jednak obserwując Dinę:

– Ty też nie możesz spać o tej porze roku?

Dina spojrzała na nią szybko.

– Śpię jak kamień!

– Zdawało mi się, że słyszałam... w nocy z piątku na sobotę, że nie śpisz i spacerujesz.

– O! Nie pamiętam – powiedziała Dina.

Na tym się skończyło. Matka Karen nie posunęła się dalej. Nie leżało w jej charakterze dyskutować i robić problem z tego, że ludzie nie mogą spać po nocach. Zdziwiła się jednak, że Dinie tak zależy na utrzymaniu tego w tajemnicy.

– Jesteś przyzwyczajona do zimowych ciemności.

– Tak – rzekła Dina i zaczęła pogwizdywać.

Matka Karen zmuszona była wobec tego opuścić pokój. Odebrała to bowiem jako daleko idącą prowokację. Dobrze urodzone kobiety nie gwizdzą.

Uraza nie trwała długo. Po chwili wróciła do salonu. Zajrzała Dinie przez ramię, gdy ta przeglądała jakieś nuty, i powiedziała:

– Tak. Lepiej mi coś zagraj. Wiesz, że nie mogę ścierpieć gwizdania. To karygodny obyczaj, w złym tonie.

Głos brzmiał łagodnie. Trudno jednak było pomylić się co do intencji.

Dina wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju. Powoli wspięła się na poddasze i zaczęła grać psalmy przy otwartych drzwiach.

Matka Karen miała zwyczaj regularnie kontrolować wszelkie poczynione zakupy.

Schody wiodące do wilgotnej piwnicy pokonywała z wielkim wysiłkiem. Trzeba to było jednak zrobić. Przeprowadzała przegląd półek z hermetycznie zamykanymi słojami i beczek z zasolonym jedzeniem. Ogłaszała porządki albo wyrzucanie zepsutego czy starego jedzenia. Kierowała wszystkim łagodną i twardą ręką. Każdej wiosny wiedziała, ile porzeczek i malin zostało z ubiegłorocznych zapasów. Notowała i obliczała. Ile trzeba przygotować na rok następny.

Zasoby win uzupełniano cztery razy do roku. To wystarczało przy zużyciu, jakie obserwowała do tej pory. Konsumpcja alkoholu utrzymywała się w rozsądnych granicach, pomijając jedynie okres Jakubowej żaloby przed paru laty.

We wtorkowe popołudnie, tuż przed Bożym Narodzeniem, zeszła do piwnicy na swój obchód. I odkryła, że nie ma już ani jednej butelki kosztownej Dry Madeira po siedemdziesiąt osiem szylingów sztuka! Zostało zaledwie kilka flaszek reńskiego wina i Hochheimera, po sześćdziesiąt sześć szylingów butelka! Spośród czerwonych win stołowych ocalała jedynie żałosna resztką zapasu wybornego St. Julien, po czterdzieści cztery szylingi. Dwie butelki!

Matka Karen stanowczym krokiem wyszła z piwnicy. Dokładnie owinęła się szalem i osobiście udała się do biura przy składzie, by porozmawiać z Jakubem.

On jeden miał klucz do kraty przed półkami z winem. Sama musiała o nie go prosić tego ranka!

Matka Karen była więcej niż skonsternowana. Jakub nie okazał przecież w żaden sposób, że ma nieczyste sumienie, gdy usłyszał, iż matka wybiera się do piwnicy na kontrolę.

Oline miała obowiązek zaznaczać w zapiskach gospodarczych każdą butelkę, którą otwierano na górze. I rachunki musiały się na koniec zgadzać.

Jakub pykał właśnie swą codzienną fajkę, gdy weszła matka. Siedział z zaczerwienioną twarzą i bez kołnierzyka, jak zawsze, gdy razem z Nielsem przeglądał sprawozdania. Nie przepadał za tym zajęciem.

Gdy Matka Karen pojawiła się w drzwiach, od razu zrozumiał, że coś jej leży na sercu. Niewielka, ale krzepka kobieta w szlafroku z frędzlami była wielce poruszona.

– Muszę z tobą pomówić, Jakubie! Sam na sam!

Niels posłusznie opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi. Matka Karen odczekała chwilkę, po czym otworzyła zniecka drzwi, by sprawdzić, czy Niels rzeczywiście zniknął w głębi składu.

– Znowu wpadłeś w swój paskudny nałóg? – zaczęła bez ogródek.

– Droga matko, do czego zmierzasz?

Odłożył papiery i zgasił fajkę, żeby nie wyprowadzać kobiety jeszcze bardziej z równowagi.

– Byłam w piwnicy! Nie ma już ani butelki Dry Madeira i zostało niewiele St. Julien!

Jakub oniemiał i odruchowo sięgnął do wąsów. Naszły go jakieś zadawnione wyrzuty sumienia i prawie uwierzył, że to rzeczywiście on wypił całe wino.

– Droga matko, to po prostu niemożliwe!

– Ale tak jest!

Głos starszej pani zadrżał.

– Wierz mi, nie byłem na dole bez wiedzy Oline już od dawna. To się musiało zdarzyć przed wyprawą na południe...

Przypominał nieszczęśliwego małego chłopca, obwinianego niesłusznie o wybryki, których nie popełnił.

– W każdym razie butelki zniknęły! – stwierdziła Matka Karen i opadła na przeznaczone dla gości krzesło, stojące przed ogromnym biurkiem. Oddychała głośno i badawczo patrzyła na syna. Jakub oświadczył stanowczo, że jest niewinny. Brali pod uwagę różne wytłumaczenia. Żadne nie brzmiało przekonująco.

Gdy Dina wróciła ze swej konnej przejażdżki, w kuchni panowało wielkie zamieszanie. Trwały tam nadal bezlitosne dociekania.

Oline płakała. Wszyscy byli podejrzeni.

Dina skierowała kroki tam, skąd dobiegały podniesione głosy, i stanęła w drzwiach kredensu, nie zauważona przez nikogo. W starych skórzanych spodniach, których zawsze używała do konnej jazdy, z potarganymi włosami. Przejażdżka pod wiatr i śnieg sypiący w twarz zarumieniły jej policzki.

Przez chwilę spoglądała na twarze obecnych. W końcu powiedziała spokojnie:

– To ja wzięłam wino. Matka Karen nie potrzebuje go przecież tak wiele dla innych.

W kredensie nastąpiła przeraźliwa cisza.

Jakubowi drżał wąs, jak zwykle w sytuacji, gdy nie wiedział, co zrobić, by zachować twarz.

Matka Karen pobladała jeszcze bardziej.

Oline przestała płakać, unosząc gwałtownie ciężką dolną szczękę, aż jej zęby zadzwoniły.

– Ty? – odezwała się zaskoczona Matka Karen – z jakiej okazji?

– Z różnych okazji. Nie pamiętam już dobrze. Ostatni raz wtedy, gdy była pełnia księżyca i zorza polarna. Wszystko stało na głowie, więc potrzebowałam czegoś na sen.

– A klucz? – Jakub otrząsnął się i postąpił parę kroków w stronę Diny.

– Klucz leży przecież zawsze koło skrzynki z przyborami do golenia, wszyscy to wiedzą. Inaczej pokojówka nie mogłaby przynieść wina. Czy mam się spowiadać tu, w kredensie? Może pošlemy po referendarza?

Odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. A w spojrzeniu, które posłała Jakubowi, nie było ani krzty dobroci.

– Dobry Boże! – westchnęła Oline.

– Boże, uchowaj nas od złego! – wtórowała jej dziewczka kuchenna.

Matka Karen potrzebowała zaledwie sekundy, by opanować sytuację i uratować honor domu.

– A to inna sprawa – rzekła spokojnie. – Proszę o wybaczenie, Oline! Wszystkich! Jestem starszą, podejrzliwą damą. Nie pomyślałam, że pani Dina mogła schodzić na dół. Ma prawo sama troszczyć się o gości i dom.

Wyprostowała się, skrzyżowała ramiona na piersiach, jakby się przed czymś broniła, i podążyła za Diną dostojnym krokiem.

Jakub stał z otwartymi ustami. Oline zbaraniała. Dziewczęta wytrzeszczyły oczy.

Nikt się nie dowiedział, jakie słowa padły między Diną i panią Karen Grønely.

Gdy następnym razem zamawiano wysyłkę wina i koniaku, Dina dostała własny przydział, z którego mogła korzystać wedle upodobania.

Starsza pani kontrolowała jednak zawsze, jak często trzeba zamawiać nową dostawę i ile butelek każdego rodzaju przysyłano.

Podczas pełni księżyca, a nierzadko przy innych okazjach, Dina wychodziła z sypialni dopiero koło południa.

Matka Karen kryła swój niepokój, nie dzieląc się nim z nikim.

Zimą nikt oprócz Diny nie zaglądał do altany i tylko Matka Karen liczyła napoczęte, przymarzniete, odkorkowane butelki wina, które stały tam szeregami pod ławką.

Jeśli jednak Dina śpiewała w altanie psalmy tak głośno, że słyszano ją zarówno w domu, jak i w fernalskich izbach, trudno przychodziło zachować godność następnego dnia i udawać, że się nic nie zdarzyło.

Dina prowadziła również długie rozmowy sama ze sobą, w których była stroną zarówno pytającą, jak odpowiadającą.

Co prawda, nie zdarzało się to zbyt często.

Bez wątplenia jednak miało jakiś związek z fazami księżyca.

Ale Jakub i Matka Karen z niepokojem obserwowali rozwój sytuacji. Zwłaszcza że oboje wiedzieli, iż nie tak łatwo przemówić Domoie do rozsądku lub przekonać ją, by się położyła do łóżka, jeśli już wpadła w tego rodzaju nastrój.

Potrafiła rozsierdzić się wówczas okropnie, jeśli ktoś próbował się do niej zbliżyć.

Matka Karen sugerowała, że można zachorować od siedzenia zimną nocą na dworze.

Dina jednak śmiała się bezgłośnie, szczerząc beczelnie białe zęby tuż przed nosem starszej pani.

Ona nigdy nie chorowała. Nic jej nie dolegało podczas miesięcy, które spędziła na Reinsnes.

W końcu alkoholowe wyprawy do altany stały się dobrze strzeżoną tajemnicą rodzinną. A skoro każda rodzina ma swoje sekrety i dziwactwa, wszyscy pogodzili się z myślą, że na tym właśnie polega ekscentryczność Grønelvów.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

NA DZIEŃ BITWY OSIODŁA SIĘ KONIA,
ALE ZWYCIĘSTWO ZALEŻY OD PANA.

(Księga Przystów, 21, 31)

Dina zaczęła często odwiedzać oba duże spichrze nadbrzeżne, jakby czegoś tam szukała. Ciągle sięgała po dwa duże żelazne klucze.

Wszyscy słyszeli, jak krąży po spichrzach. To na górze. To na dole. Czasami można ją było dostrzec w otworze załadunkowym żurawia. Siedziała tam nieruchomo, wpatrując się w punkt, w którym morze zlewa się z niebem.

Jam jest Dina. Reinsnes pożera ludzi. Ludzie przypominają drzewa. A ja ich liczę. Im więcej, tym lepiej. Z daleka. Nigdy tuż przy oknach. Wtedy wszystko tonie w mroku.

Chodzę po Reinsnes i liczę. Masyw górski nad zatoką ma siedem szczytów. W alei rośnie dwanaście drzew po każdej stronie.

Hjertrud była ze mną w Tjøtta. Pod postacią malej dziewczynki, która zniknęła za zegarem. Nie byłam sama, więc zamieniła się w małe dziecko. Hjertrud potrzebuje swego miejsca. Marznie, spędzając zimy na plaży w Fagerness.

Człowiek zawsze jest tym, kim jest. Nieważne, w jakiej postaci musi przejść przez pokój.

Hjertrud oddycha pod deskami przystani Pogwizduje między belkami, kiedy otwieram drzwi załadunkowe. Hjertrud zawsze powraca. Ja mam połyskującą, perłową muszelkę.

Dina wędrowała po ogromnych, skonstruowanych szkieletowo zabudowaniach przystani o najróżniejszych porach. Czasami po ciemku, i wtedy musiała zabierać ze sobą latarkę. Ludzie przywykli do jej rytuałów.

– To tylko młoda pani tam łązi... – uspokajali się wzajemnie, słysząc dźwięki dobiegające ze spichrzów lub dostrzegając błysk światła przez okno.

Echo dźwięczało rozmaicie, w zależności od miejsca, po którym chodziła. W zależności od składowanych towarów, od piętra, na którym się znajdowała, nawet od kierunku wiatru. Wszystko mieszało się z nieustającym, ale zmiennym pędem powietrza. Wiatr, przypląwy i odpływy.

Największy z budynków w przystani został częściowo wzniesiony z bali. Bale okalały całą konstrukcję, tworząc swoisty kościec, wzmacniający luźno zbite deski. W tej części przechowywano rzeczy, które nie znoszą mrozu, wilgoci czy ciepła. Poza tym każde pomieszczenie miało określone przeznaczenie. Tu składowano beczki z solonymi śledziami, gdzie indziej suszoną rybę, sól, smołę.

W części wzmocnionej balami przechowywano mąkę i trochę nieprzemielonego ziarna. Skóry, kufry podróżne najróżniejszego autoramentu. Na pierwszym i drugim poddaszu zapach smoły był słabszy.

Żagle i maszty spoczywały na belkowaniu pierwszej kondygnacji. Różniły się między sobą kolorami, zależnie od wieku i stopnia zużycia.

Szarobiałe żagle przypominały całun spowity luźnymi zwojami liny, i leżały na stojakach zrobionych z suchych bosaków, wysoko pod dachem. Niektóre suszyły się przewieszane przez grube belki, wysyłając rytmicznie magiczne krople na zniszczoną podłogę. Na podłodze widniały plamy różnego pochodzenia. Ze smoły, tranu, krwi.

W największym spichrzu, który nazywano przystanią Andreasa, od imienia niegdysiejszego właściciela, który właśnie tu się powiesił, rozwieszono na ścianach mnóstwo sieci i lin z haczykami na ryby. Tutaj przechowywano przedmiot dumy całego gospodarstwa. Nowy, ciemnobrązowy śledziowy włók. Dyndał wysoko w przewiewnym miejscu tuż obok wielkich, podwójnych drzwi prowadzących na plażę.

Morze i słony morski wiatr poddawały nie kończącym się procesom oczyszczającym wszystkie ostre i gryzące zapachy, dając w ten sposób wytchnienie ludzkim nozdrzom.

Promienie światła przemykały się między szczelinami konstrukcji i krzyżowały swoje drogi. To tu, to tam.

Tutaj Hjertrud odwiedziła Dinę. Późną jesienią. W pierwszym roku pobytu na Reinsnes.

Stała nagle dokładnie w punkcie przecięcia się trzech promieni słonecznych, które prześliznęły się przez szpary w trzech ścianach.

Wcale nie była poparzona. Spoglądała przytomnymi, przyjaznymi oczami. W dłoniach trzymała niewidoczny przedmiot.

Dina zaczęła mówić wysokim, dziecięcym głosem:

– Ojciec już dawno zburzył pralnię. W tej, która jest na Reinsnes, nic ci nie grozi...

Wtedy Hjertrud rozplęnęła się gdzieś w fałdach śledziowego włóku, jakby nie mogła znieść rozmowy na ten temat.

Jednak wróciła. Spotykały się w przystani Andreasa. Najbardziej wydanej na swawole wszelkich wiatrów.

Dina rozmawiała z Hjertrud o małej dziewczynce z za zegara na Tjøtta i o swej nowej rozrywce, polegającej na przesiadywaniu w altanie.

Nie zwracała jej jednak głowy banalnymi sprawami, z którymi powinna poradzić sobie sama.

Jak choćby tym, że Matka Karen i Jakub nie są zadowoleni z jej udziału w pracach domowych, ani ich żądaniami, by upinała włosy i układała jadłospis razem z Oline.

Opowiadała za to Hjertrud o wszystkich niesamowitych rzeczach, które widziała w Bergen. Nie wspomniała jednak o mężczyźnie i stryczku.

Czasami, bardzo rzadko, Hjertrud uśmiechała się szeroko, pokazując zęby.

– Noszą na sobie mnóstwo ubrań i gadają do ściany. Wcale nie słuchają, co kto mówi. Chcą tylko sprzedać swój towar szybko i za dobrą cenę. A kobiety nie potrafią zsumować najprostszych cyfr! Nie mają pojęcia, jak okropnie długo trzeba do nas jechać. Nie widzą nic wokół siebie, bo noszą wielkie kapelusze i trzymają parasolki. Boją się słońca!

Z początku Hjertrud odpowiadała monosylabami. Ale potem i ona uchyliła rąbka własnych problemów. Z czasem i przestrzeni. Nie była zachwycona faktem, że wygnano ją z jej pokoju w referendarzowym domu.

Najczęściej opowiadała o promiennych kolorach tęczy, bo z dołu widać tylko wyblakły cień tych barw. I o gwiazdach na nieboskłonie, otaczających maleńką ziemię ze wszystkich stron. Tego bezmiaru nie można nawet ogarnąć myślą.

Dina wsłuchiwała się w cichy, tak dobrze znany głos. Stała z półprzymkniętymi oczami i opuszczonymi ramionami.

Perfumy Hjertrud przebijały się przez zapachy spichrzów i uporczywą woń soli i smoły. Hjertrud znikła pomiędzy fałdami śledziowego włóku wtedy, gdy zapach jej perfum swą intensywnością niemal już rozsadzał powietrze.

Jam jest Dina. Kiedy Hjertrud odchodzi, jestem listkiem żeglującym po wodach strumienia. A moje ciało zostaje samo i marznie. Ale trwa to tylko chwilkę. Potem liczę belki, szyby i szpary w podłodze. A krew powraca do wszystkich żył. Rozgrzewam się. Hjertrud istnieje!

Jakub lękał się, że Dina jest nieszczęśliwa. Kiedyś przyszedł po nią do spichrzów.

Wtedy podniosła dłoń do ust i powiedziała: „Szzsz...”, jakby spłoszył jej ważną myśl. Nie zirytowała się jego przybyciem, ale też nie cieszyła się z niego, tak jak przypuszczała.

Potem przestał chadzać jej ścieżkami. Po prostu czekał. A później nawet nie zwracał uwagi, dokąd te ścieżki prowadzą.

W pierwszym roku małżeństwa Jakub był ciągle panem i władcą w baldachimowym łożu, choć czasami nie potrafił sprostać sytuacji, budzącej w nim zakłopotanie i przerażenie.

Z czasem zrozumiał z zalem, że małżeńskie współżycie, rozpoczęte nieudaną manifestacją siły w lubieżnym wdowym stylu, stało się przedsięwzięciem, którego już nie może podejmować tak często, jak by tego pragnął. Przyzwyczajony do przeżywania łóżkowych rozkoszy przez całe swe dorosłe życie, teraz musiał przyznać sam przed sobą, że nie potrafi im podołać.

Od Diny nie mógł się spodziewać miłosierdzia. Nie oszczędzała go. Czasami czuł się jak rozplodowy ogier, którego właścicielka jest jednocześnie kłaczą.

Rzucał się na głęboką wodę, gdy tylko miał na to siłę. Ale Dina nie знаła umiaru w swym nienasyceniu. Nie odmawiała sobie najbardziej szalonych sytuacji i ruchów.

Jakub nigdy się z tym nie oswoił. Postarzał się, oklapł, stracił swój dumny instynkt myśliwego.

Marzyły mu się spokojne dni u boku odpowiedzialnej i statecznej małżonki. Coraz częściej wspominał świętej pamięci Ingeborg. Zdarzało mu się płakać podczas wiosłowania, kiedy nikt nie mógł zauważyć, że to nie wodę pryskającą spod wiosła, ale łzy unosi wiatr gdzieś za burzę.

Zarówno on sam, jak i Matka Karen sądzili, że wszystko wróci do normy, gdy Dina zajdzie w ciążę.

Nic takiego się jednak nie zdarzyło.

Jakub kupił czarnego, młodego ogiera. Dzikiego i nie ujeżdżonego. Koń stał się szybko obiektem inwektyw i przekleństw w stajni. Dlatego nazwano go Szatan.

Dina, nie pytając Jakuba o radę, posłała gońca do referendarza. Chciała, żeby Tomasz pomógł jej ujeżdżać nowego konia.

Jakub nie krył oburzenia i chciał odesłać chłopaka do domu.

Dina twierdziła, że słowo się rzekło. Nie można jednego dnia kogoś zatrudnić, by go zwolnić nazajutrz. Czyżby Jakub chciał się skompromitować? A może nie stać go na trzymanie parobków i stajennego? Czyżby nie był tak zamożny, jak twierdził, gdy prosił ojca o jej rękę?

Nic podobnego...

Tak więc Tomasz został. Spał na poddaszu męskiej części izby czeladnej. Ale inni ignorowali jego obecność albo mu dokuczali, zazdroszcząc zarazem. Był bowiem zabawką Diny. Jeździł z nią wierzchem po górach. Zawsze był o krok za nią, gdy gdzieś wychodziła. Stał obok niej ze spuszczonym wzrokiem, kiedy wsiadała do łodzi z kajutą, odziana w obcisłą suknię z gorsetem i pelerynę z frędzlami.

Dina na Reinsnes nie miała psa. Ani żadnego powiernika. Należał do niej czarny koń – i rudy chłopak stajenny.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

CZYŻ NIE DO BOJOWANIA PODOBNY BYT CZŁOWIEKA?
CZY NIE PĘDZI ON DNI JAK NAJEMNIK?
JAK NIEWOLNIK, CO WZDYCHA DO CIENIA,
JAK ROBOTNIK, CO CZEKA ZAPŁATY.

(Księga Hioba, 7, 1-2)

– Małżeństwo smakuje jak konserwowe ogórki, które przeleżały się w zbyt słodkiej marynacie! Musisz mieć solidnie przyprawiony kawałek mięsa, żeby je przełknąć!

Oline była pewna swego. Nigdy nie wyszła za mąż. Ale niejedną parę oglądała z bliska. O małżeństwie wiedziała więc wszystko od a do z. Widziała niejedne zaręczyny. Kufry z wyprawą i posagiem. Znała niespodziewane i miłe odgłosy domowe, skrzypienie łóżka i nocniki.

Zaczęło się od jej własnych rodziców, choć nigdy o nich nie wspominała. Matka pochodziła z zamożnej chłopskiej rodziny w Dønna, ale popełniła mezalians i została odepchnięta przez wszechwładnych krewnych. Spędziła więc wiele lat na ubogiej komorniczej zagrodzie, z liczną gromadką dzieci i małą łódką, która służyła do przywożenia jedzenia.

Mąż zniknął gdzieś na morzu. I tyle. Pusta łódka zdryfowała wprawdzie na brzeg i nawet dała się naprawić. Ale po co rodzinie łódź, jeśli nie ma mężczyzny u wiosel?

Matka zmarła szybko, a rodzeństwo rozpiezchło się na cztery strony świata. Oline była najmłodsza. Wszystkie drobiazgi, które zostały po rodzicach, starsi dawno już podzielili między siebie, gdy nadeszła jej kolej na dziedziczenie.

„Jeśli tylko zdrowie i zęby dopisują, można żywić się czymkolwiek” – zwykła mawiać. Nie przeszkadzało jej to wyczarowywać najdelikatniejszej pieczeni z pardwy w sosie myśliwskim. Jej jałowcowe jagody, rozmaite przekąski z galaretką jarzębinową nie miały sobie równych.

Ale w dziejach Oline było coś więcej niż garnki.

Sztukę gotowania zgłębiła „cudownym trafem” jako młoda dziewczyna kuchenna w Trondheim. Dostała się tam zapewne również niezwykłym sposobem.

Oline nigdy nie mówiła o sobie. I dlatego wiedziała wszystko o innych.

Pewnego pięknego dnia tam na południu, w Trondheim, opanowała ją ogromna tęsknota za domem. Pewną rolę odegrał w tym jakiś mężczyzna, który nie okazał się, niestety, dżentelmenem...

Znalazła kliper, płynący na północ. I kobiecymi sposobami wyżebrała jakoś swą podróż do domu. Zabrała na pokład wielką puszkę lefser, skandynawskich podplomyków. Może starczyły za bilet.

To był kliper z Reinsnes, to było jej przeznaczenie.

Oline wprowadziła się do niebieskiej kuchni. Pod wieloma warunkami i zastrzeżeniami.

Ingeborg doceniała jej talent kulinarny i twardą rękę.

Dopiero jednak w Matce Karen zyskała Oline prawdziwego znawcę.

Starsza pani siadywała przy stołach w Hamburgu i Paryżu. Doskonale rozumiała, że jedzenie trzeba przygotowywać z uczuciem, z sercem, nie oszczędzając na niczym.

Matka Karen i Oline omawiały menu, wkładając w to tyle samo powagi, co w codzienną modlitwę.

W biblioteczkę starszej pani stały francuskie książki kucharskie. Przekładała je z wielką dokładnością na język i miary znane Oline. Jeśli zdarzały się składniki, których nie można było dostać ani w Bergen, ani w Trondheim, obie kobiety wynajdywały zawsze coś w zamian.

Matka Karen nie szczędziła czasu i wysiłku, pielęgnując swój mały ogródek z ziołami. Jakub przywoził jej najrzadsze nasiona ze swych podróży.

Oline komponowała to wszystko z takim mistrzostwem, że goście starali się, by pogoda powstrzymała ich od dalszej drogi, niezależnie od tego, czy morze było wzburzone, czy spokojne.

Lojalność Oline wobec jej państwa przybierała konkretne formy. Bodaj Bóg zachował tych, którzy choćby próbowali zhańbić Reinsnes w oczach parafii! Na własnej skórze odczuwali konsekwencje. Oline знаła kogo trzeba. Zawsze słyszała o wszystkim, co warto wiedzieć.

Służący z Reinsnes nie otrzymywali ostrzeżeń. Musieli po prostu pakować swoje manatki i wynosić się. Każda pora była dobra: czas świniobicia i przygotowań do bergeńskiej wyprawy.

Przytrafiło się to pewnemu parobkowi i pewnej służącej wtedy, gdy pogrążony w żalobie Jakub wyniósł swe baldachimowe łożo do ogrodu, by zbliżyć się do zmarłej Ingeborg. Oline usłyszała, jak powtarzają tę historię.

– „Z moją i bożą pomocą wszyscy dostają to, na co zasługują! Ten, kto chce służyć na Reinsnes, musi mieć głowę na karku i trzymać język za zębami, choćby go świerzbił!” – usłyszeli.

Oline widziała pierwsze małżeństwo świętej pamięci Ingeborg. Bezdzietne, bezpieczne i szare. Podobne do jesiennego dnia bez liści, bez śniegu, bez owoców. Przywdziała tylko zwyczajową żałobę, gdy gospodarz zaginął gdzieś na morzu.

Chroniła natomiast wdowę jak jakiś skarb. Koła ją w bezsenne noce porzeczkową nalewką z laseczką cynamonu. Nie proszona wkładała gorące kamienie otulone wełnianymi gałgankami do baldachimowego łoża w sypialni.

Sceptycyzm zagościł na twarzy Oline w chwili, gdy ujrzała jak Jakub, o piętnaście lat młodszy od Ingeborg, przekroczył próg tego domu.

Usłyszała o nim po raz pierwszy, gdy Ingeborg przywiozła z *tingu* wiadomość, iż spotkała niezgorszego sternika z Trondheim. Pojechała tam w sprawie pewnej wysepki, której księga hipoteczna gdzieś zginęła i jeden z osadników zaczął do niej rościć pretensje.

Ingeborg wygrała sprawę. A sternik pojawił się w domu! W gumowych butach domowej roboty i spodniach z kożłęczą skóry, które podarował mu kompan od kielicha z Møre. Skórzany kapelusz z wciśniętą weń szarą czapką trzymał pod pachą, jakby niósł martwego kruka.

Sternik, co nosi się jak majtek i nie troszczy o swoją powierzchowność.

Pierwsze noce przespał w pokoju gościnnym. Ale brązowe loki i ciemne oczy krzeszały iskry i przyciągały uwagę wszystkich. Od dawien dawna żaden przystojny mężczyzna nie bawił na Reinsnes.

Kiedy zrzucił swój skórzany habit, okazało się, że pod nim kryje się dobrze zbudowane, sprężyste ciało. Pojawiły się eleganckie spodnie o szerokich nogawkach i cudzoziemskim kroju. I jeszcze krótka, różowa brokatowa kamizelka na białej, lnianej koszuli w najlepszym gatunku. Bez kołnierzyka, rozpięta pod szyją, jakby było gorące lato.

Jakub zdobył kilka ważnych bastionów. Prawie na samym początku wkroczył do obszernej kuchni Oline, niosąc dwa zające o kruchym mięsie. Sprawił je własną ręką.

Na kuchennym stole pojawiały się także inne dary nowego gospodarza. Prosto z wielkiego świata. Małe płócienne i jutowe torebki z kawą, herbatą, suszonymi śliwkami, rodzynkami, orzechami i kwaskiem cytrynowym. Do ponczu i budyniu.

Bez cienia wątpliwości, jakby zawsze wiedział, kto rządzi na Reinsnes, kładł te wszystkie wspaniałości na wyszorowanym do białości stole Oline.

Oline obdarzyła go bezgraniczną miłością w chwili, gdy sprawiał zające. Jej uczucie, przez wiele lat gorące i żywe jak maleńkie pardwy pod koniec czerwca, było rodem wprost z *Biblii*: zdolne przetrwać wszystko. Absolutnie wszystko!

Pani Ingeborg także się zakochała. Nawet pastor to zauważył. Mówił o miłości w ślubnym kazaniu i przy weselnym stole.

Ingeborg przystała nawet na to, by Jakub sprowadził do domu swoją matkę. Choć wiedziała o niej tylko tyle, że teściowa nie była w stanie przyjechać na ślub zaproszona trzy tygodnie wcześniej. Przebywała za granicą i miała liczne biblioteczki z szybkami z polerowanego szkła. Już w pierwszym liście oznajmiła, że zabiera je ze sobą do północnej krainy.

Karen Grøneltv stała się tematem rozmów na długo przed swym przyjazdem do Reinsnes. Była wdową po kupcu i spedycytorze z Trondheim oraz posiadała bibliotekę – wszystko to brzmiało godnie i szacownie. Skoro jednak przez wiele lat mieszkała za granicą, nie mając u swego boku nawet mężczyzny, który mógłby się nią opiekować, wszyscy przeczuwali, że nie jest zwyczajną damą z Trondheim.

Ingeborg została matką ledwie siedem miesięcy po ślubie. Uprzedzając wszelkie komentarze pastora na temat chrzcin zbyt wczesnych, napomknęła o tym, że ma niewiele czasu do stracenia. Żyła bezdzietnie przez te wszystkie lata między swym pierwszym ślubem w osiemnastym roku życia a chwilą obecną, kiedy to liczy sobie już czterdzieści lat. Bóg powinien zrozumieć jej pośpiech i zapał.

Pastor pokiwał głową. Nie napomknął jednak ani słowem, że w oczach Boga ten pośpiech może się wiązać raczej z młodym mężem niż z apetytem na macierzyństwo. Takie słowa byłyby wszak nie na miejscu.

Nikt nie mówił takich rzeczy Ingeborg na Reinsnes. Nie szczędziła hojnych darów dla biednych. Dwa dumne, srebrne świeczniki z inskrypcją stojące na kościelnym chórze także pochodziły z Reinsnes.

Pastor pobłogosławił więc jej macierzyństwo, kazał odejść w pokój i wychowywać syna w bojaźni bożej.

Postanowiono, że chłopiec będzie pierwszym duchownym w rodzinie.

Niels miał czternaście lat, a Anders piętnaście, gdy stracili rodziców w katastrofie statku. Jako dalecy krewni Ingeborg skorzystali z jej *charitas*.

Wkrótce wszystkim zdawało się, że chłopcy mieszkają na Reinsnes od zawsze. Wiele zawdzięczali temu, że gospodarstwu brakowało prawdziwych dziedziców.

Kiedy się okazało, że za sprawą Jakuba Ingeborg jest w błogosławionym stanie i obdarzy gospodarstwo spadkobiercą, Niels i Anders musieli się pogodzić z tym, że ich młodzieńcze marzenia o Reinsnes z przyległościami poszły na dno jak przewrócona łódka.

Oline czuwała nad wszystkim jeszcze za czasów Ingeborg. Za pomocą surowych, lecz oddanych spojrzeń i niestrudzonej dłoni.

Nie przejmowała się tym, że ma dwie panie, jeśli tylko żyły w pokoju i nie wchodziły jej w drogę.

Jakub zaczął odgrywać najważniejszą rolę w jej życiu. Ale jeśli ktoś napomknął o tym choćby jednym słowem, natychmiast wylatywał ze służby.

Z właściwą sobie dumą i świadomością swej pozycji, równie silną jak jej wiara w życie pozagrobowe, pograżyła się w prawdziwej żałobie znaczonej czerwienią oczu, gdy zmarła Ingeborg.

Trudno sobie wymarzyć piękniejszą śmierć. Wszystkie znaki były dobre. Bzy zakwitły w dniu pogrzebu Ingeborg. Maliny moroszki dopisały tej jesieni.

Ślub Jakuba z Diną był pierwszym ostrzeżeniem dla Oline. Nie tylko dlatego, że Dina nigdy nie zaglądała do kuchni z wypatroszonymi zajęciami.

Nawet to, że zachowywała się przy stole jak parobek, wspinała się na drzewa i piła wino w altanie po nocach, można by jakoś przeżyć.

Niepodobna jej jednak było wybaczyć, że w ogóle nie dostrzega Oline.

Oline nie mogła pojąć, co tu robi ta zwariowana dziewczyna, nawet jeśli jest córką referendarza Holma.

To szalone i śmieszne małżeństwo Jakuba oznaczało dla Oline prawdziwą katastrofę.

Milczała jednak na ten temat, jak na wiele innych. A że spała w pokoju za kuchnią, znajdującym się dokładnie pod sypialnianym baldachimowym łóżem, znała na pamięć wszystkie odgłosy i wibracje docierające z góry.

Zdumiewały ją oznaki tak śmiałych i bezwstydných poczynañ. To bolało jeszcze bardziej niż śmierć Ingeborg.

Ale w tej całej niechęci dźwięczała jeszcze inna struna. Ciekawość. By odkryć, co też doprowadza ludzi do takiego szaleństwa, w jakie popadł Jakub. By pojąć, w jaki sposób dziewczyna może przejąć kontrolę nad całym domem. Skoro pozornie nie kiwnęła nawet palcem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

PIJ WODĘ Z WŁASNEJ CYSTERNY
TE, KTÓRA PŁYNIE Z TWEJ STUDNI,
NA ZEWNĄTRZ MAJĄ BIĆ TWOJE ŹRÓDŁA?
TWORZYĆ NA PLACACH STRUMIENIE?
NIECH SŁUŻY DLA CIEBIE SAMEGO,
A NIE INNYM WRAZ Z TOBĄ;
NIECH ŹRÓDŁO TWE ŚWIĘTYM ZOSTANIE,
ZNAJDUJ RADOŚĆ W ŻONIE MŁODOŚCI.

(Księga Przysłów, 5, 15-18)

Jakub zaczął się wybierać w „nie cierpiące zwłoki” podróże łodzią z kajutą. Odwiedzał starych przyjaciół. Załatwiał jakieś sprawy w Strandsted.

Z początku Dina chciała mu towarzyszyć. Zbywał ją, twierdząc, że wynudzi się okropnie. Że będzie zimno. Że przecież on zaraz wróci...

Przygotowywał sobie zawczasu te wymówki. Ku jego zdumieniu Dina nie wpadała we wściekłość. Wycofywała się po prostu.

Znajdował jej wielkie futro z wilczej skóry na schodach o poranku. Niczym powłokę zaczarowanego zwierzęcia, które znów zamieniło się w człowieka.

Nigdy nie pytała, gdzie był. Nawet wtedy, gdy nie wracał na noc. Nigdy nie czekała na niego w proggu.

Często przesiadywała nocami w altanie. W każdym razie nie grała na wiolonczeli.

Wracając kiedyś późnym wieczorem ze Strandsted, Jakub dostrzegł światło w oknie kantorka.

Dina siedziała tam, wertując księgi rachunkowe. Pozrzuciła z półek wszystkie protokoły i rozsiała je po stole i podłodze.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął Jakub.

– Usiłuję się w tym rozeznać – odparła, nawet na niego nie spojrzawszy.

– Nie zrozumiesz tego. Musimy posprzątać, bo inaczej Niels się wścieknie, możesz mi wierzyć.

– Zdaje mi się, że ten Niels wcale nie umie dobrze liczyć – mruknęła i przygryzła palec wskazujący.

– Co znowu? Zajmuje się tym od wielu lat.

– Jego liczby gdzieś znikają. Lorch by powiedział, że rachunki się nie zgadzają.

– Dina, nie wygłupiaj się. Chodź, wracamy do domu. Jest już późno. Przywiozłem ci kringle.

– Muszę to policzyć. Słuchaj, zacznę pracować tu, w kantorku!

Oczy jej rozbłyły i oddychała ze świstem przez nos. Zwykle działo się to wtedy, gdy – rzadko – było jej naprawdę dobrze.

Niels wyraził się jasno. Albo on, albo Dina. Jakub próbował negocjować. Twierdził, że Dina będzie pomocna w obliczeniach. Przecież rachuje i liczy wprost genialnie.

Ale Niels, który przeważnie trzymał język za zębami, powiedział „nie”.

Dina podeszła do niego ze swoim szczególnym uśmiechem, patrząc mu prosto w twarz. Przewyższała go o pół głowy i cięła słowami, jakby to były naostrzone miecze.

– Nie? Nie chcesz, aby ktoś zobaczył, że nie potrafisz porządnie liczyć! Liczby znikają z twoich ksiąg – jak rosa w trawie! Może nie? Ale liczby nigdy nie znikają na zawsze. Tak tylko myślą ci, którzy nie rozumieją...

W kantorku zapadła cisza.

Niels obrócił się na pięcie i wymaszerował, pokrzykując przez ramię:

– Coś takiego nigdy by się nie zdarzyło za czasów Ingeborg! W biurze będę albo ja, albo ona!

W biurze został on. Ale Dina słała mu mordercze spojrzenia podczas posiłków.

Niels zaczął jadać w kuchni.

Jakub próbował jakoś naprawić atmosferę po tej awanturze. Przywoził Dinie małe podarki z podróży. Mydełka, czasem broszkę.

Usiłował nakłonić ją, by włączyła się do wspólnych rozmów.

Pewnego – wieczoru, gdy wszyscy siedzieli po obiedzie w salonie, zwrócił się bezpośrednio do Diny, pytając ją o zdanie na temat nowego króla, Oskara I.

– Może powinnam poprosić nowego króla, żeby mi pozwolił szukać zaginionych liczb w kantorku! – odparła z uśmiechem.

Niels wstał z miejsca i opuścił pokój. Matka Karen westchnęła. Jakub nieco zbyt pośpiesznie zapalił fajkę.

Jakub znał pewną wdowę na Strandsted. Miała pospolite, ale całkiem przyjemne rysy, siwiejące włosy czesała w dostojny kok. Pod opiętą suknią z gorsetem kryło się atrakcyjne ciało. Mieszkała samotnie w niewielkim domku, wynajmowała pokoje lokatorom i przyjmowała krawiecką robotę.

U niej Jakub szukał pocieszenia. Mógł do niej przyjść, by ulżyć swemu sercu i porozmawiać.

W czasach Ingeborg wyprawiał się łodzią w poszukiwaniu wesołej kompanii, tańca i rozrywki, czasem trafiał w cudze objęcia. Teraz uciekał z Reinsnes w poszukiwaniu spokoju i harmonii. Męskie potrzeby! Nieodgadnione i nieprzewidywalne.

Przyszło lato 1844 roku. Obfitujące w mrówki i światło, ale dziwnie chaotyczne.

Matka Karen podarowała Dinie zbiór pieśni ludowych autorstwa niejakiego Jørgena Moego i księgę pełną pogańskich baśni Asbjørnsena i Moego. Obie leżały nietknięte.

Księga Hjertrud zawierała lepsze opowieści. I nigdy nie można było odgadnąć, jak się skończą – w przeciwieństwie do baśni.

– W baśniach ludowych obowiązuje inna moralność – tłumaczyła Dinie Matka Karen.

– Jak to?

– Nie ma w nich słów pochodzących od Boga. Opierają się na ludowych obyczajach i ludowej moralności.

– A co to za różnica?

– Słowo boże jest święte. Mówi o grzechu i konieczności zbawienia. W innych książkach są tylko baśnie opowiadane przez ludzi. Dobro zwycięża, a zło ponosi karę.

– Ale księgę Hjertrud też napisali ludzie – zauważyła Dina.

– Bóg ma swoich posłańców. Proroków, którzy przekazują jego słowa – wyjaśniła Matka Karen.

– No dobrze. W każdym razie On opowiada piękniejsze historie niż Asbjørnsen i Moe! – orzekła stanowczo Dina.

Matka Karen uśmiechnęła się...

– Cieszę się, droga Dino! Ale powinnaś mówić *Biblia*, a nie „księga Hjertrud”! Nie wypada porównywać słowa bożego z pogańskimi baśniami! – zauważyła pojednawczo.

– Księga Hjertrud, *Biblia*, zawsze wygrywa – odparła Dina cierpko.

Matka Karen zrozumiała, że zapewne nie wykształci w Dinie talentu do filozoficznych dysput czy teologicznych rozważań. Porzuciła więc ten temat.

Dina grała na wiolonczeli i jeździła konno w towarzystwie Tomasza. Spotykała się z Hjertrud w przystani Andreasa.

Na stole w altanie każdego ranka można było dostrzec czerwone krążki, ślady kieliszków.

Dina obserwowała zatokę z posterunku na wiśni. Parowiec przywoził niewielu podróżnych. A ci, którzy przybijali do brzegu, najwyraźniej pochodzili z innego świata.

Natłok spraw, które Jakub miał do załatwienia na Strandsted, dawał Dinie do myślenia. Pogłoski docierały do jej uszu przez ściany czeladnej izby, z przypadkowym powiewem wiatru. Słówko do słówka. Czasami szepty milkły wymownie, gdy wchodziła do pokoju albo po prostu się zbliżała. Nawet w kościelnej ławce.

Skleiała tę mozaikę w całość.

Była już jesień.

Na ciemnym morzu pojawiały się białe grzywy, z Blåflåget dosięgały ich lodowe igiełki śniegu. Świecił biały, krągły księżyc, a zorza polarna goniła złe moce po rozgwieżdżonym niebie.

Śnieg i deszcz padały na przemian, więc droga przez góry stała się nieprzejezdna dla ludzi i koni. Właściciele łodzi mogli się mienić szczęśliwymi. Choć dziwne wiatry, których porywy trudno było wytlumaczyć, wciąż chłostały morze.

Czasami wiały z północy. Po chwili już przeganiały ciężkie fale i bezdomne kormorany z niebiesko-czarnymi piórami z zachodu na wschód.

Dina nie zmrużyła oka przez całą noc. Ale nie zrobiła tego, co zwykła czynić. Nie wstała, by usiąść otulona futrem z wilczej skóry w altanie.

Noc była brzemienna niepogodą. Czyste niebo i zorza wyrażały niejako protest wobec burzy, która tędy przemknęła.

Dina leżała odkryta w baldachimowym łóżu i spoglądała przez wysokie okna na okruchy dziennego światła, które wybieliło i rozciągnęło w nieskończoność niebo w oddali.

Jakub wszedł zniemacka przez zamknięte drzwi. Przeniknął przez ich skrzydło i zmierzał w stronę łóżka. Kulejąc.

Na jego twarzy malowały się znużenie i udręka, ręce trzymał złożone, jakby modlił się za siebie.

Zdjął jeden but, robiąc przy tym dość hałasu, by obudzić cały dom.

Na bladej twarzy miał wypisaną niewierność.

Dina zawołała go. On jednak nie usłyszał. Było więc za późno. Pojawił się tylko jego żałosny upiór. Wpatrywała się w zatokę, wyglądając świtu i postać ze Strandsted.

Jam jest Dina. Jakub mówi jedno, czyni drugie. To koń, który nie chce, by go dosiadać. Wie, że należy do mnie. Ale boi się, że zauważę, iż chce uciec. Siedem razy skłamał, żeby uciec. Późno już. Ludzie są jak pory roku. Jakub niedługo przemieni się w zimę. Najpierw czuję cios. To chyba boli. Ale po chwili wszystko znika w nieskończoności, którą zawsze noszę w sobie. Płynę z pokoju do pokoju, między meblami, między ludźmi. Mogę sprawić, by się potykali o siebie nawzajem. Wcale nie potrafią grać. Nie wiedza, kim są. Wystarczy jedno moje słówko, by ich oczy zaczęły błędzić. Ludzie nie istnieją. Już ich nie będę liczyć.

Do brzegu przybiła wioząca hańbę czterowiosłowa łódka ze zziębniętym, przemoczonym chłopakiem na pokładzie. Jakub jest ranny i trzeba go przywieźć od wdowy.

Dina nie okazała najmniejszego zdziwienia. Sięgnęła tylko po wierzchnie odzienie i poleciła, by zaprzęgnięto Szatana do sań.

Anders chciał razem z Diną popłynąć łodzią. Kto widział, żeby kobieta podróżowała przez góry.

Ale Dina była już warczącym rysiem, gotowym do skoku.

Anders wzruszył ramionami. Może zresztą to i nie najgorsze rozwiązanie, skoro morze jest tak wzburzone.

Wyglądało na to, że Dina już rano ubrała się tak, by móc tylko owinąć się szalem i futrem, zasiąść w saniach i pojechać po Jakuba.

Matka Karen i Oline wdychały raczej nad Jakubem niż nad ryzykowną wyprawą Diny.

Tak to Dina we własnej osobie zabrała Jakuba z wdowiego pokoju.

Bawił się w miłym towarzystwie i zamierzał zakosztować trochę spokoju i słodczy w wiadomym sobie miejscu. Niestety, poślizgnął się nieszczęśliwie o klepkę i runął ze schodów. Noga trzasnęła jak sucha gałąź od pierwszego poddmuchu wiatru. Złamanie było naprawdę poważne: kości sterczały ze skóry.

Szczęście w nieszczęściu, że na Strandsted właśnie bawił lekarz. Butelka rumu znieczuliła pacjenta, gdy doktor oczyszczał ranę i unieruchamiał kość.

Dina ubrała się jak zwykle po męsku, w skórzane portki i długie buty. Rozsadzała swą postacią ten niewielki domek. Między jej brwiami rysowała się głęboka zmarszczka. Rzuciała słowa zmrożone na kość.

Wdowę potraktowała jak służącą. Nie skomentowała dobrych rad, by pozwolić Jakubowi zaczekać, aż będzie można przepłynąć przez fiord.

Zażądała pomocy w przywiązaniu Jakuba do sań. Wreszcie leżał pomiędzy skórą jak dobrze osznurowana pieczeń barania.

– Trzeba pani zwrócić za doktora i kwaterę – rzekł Jakub cicho z twarzą wykrzywioną bólem.

Dina jednak nie rzekła ani „dziękuję”, ani „do widzenia” Jakubowej gospodyni. Cmoknęła tylko na konia i usadowiła się z tyłu.

Koń przeistoczył się w diabła. Uciekał przez góry przed syjącymi iskry płozami. Wysysając przestrzeń w pędzie.

Dina nieruchomo jak sokół siedziała przy mężczyźnie.

Jakub truchlał ze strachu, gdy zjeżdżali po najbardziej stromych, oblodzonych zboczach.

Jesienna powódź częściowo zniszczyła drogę. Dokuczał mu ból w nodze, gdy musieli pokonywać głębokie, zmrożone rozpadliny.

Pierwszy raz czuł, że jest całkowicie zdany na łaskę Diny.

Sam miał niewielkie doświadczenie z końmi i drogami. Najlepiej czuł się na morzu.

Próbował narzekać, że nie przywiozła ze sobą załogi, która mogłaby popłynąć do domu jego łodzią. Nie odpowiedziała mu nawet spojrzaniem.

Jakub miał nie tylko poważnie uszkodzoną nogę, ale także popadł w niełaszkę. Wiedział, że tylko czas może uleczyć obie dolegliwości. Brakowało mu jednak cierpliwości.

Rana nie chciała się goić, bo pogruchoćta kość była za słabo unieruchomiona.

Jakby wszystkie złe moce znalazły sobie siedlisko w tej niewinnej nodze. Jakub musiał leżeć w łóżku. Wrzeszczał i skarżył się, szeptał i błagał o współczucie.

Jego łóżko przeniesiono do dziennego salonu, aby zapewnić mu choć namiastkę poczucia, że jeszcze przybywa wśród żywych.

Rysa między brwiami Diny nieustannie się pogłębiała. Trudno było dostrzec współczucie małżonki dla chorego.

Gdy Jakub mimo wszystko zapytał, czy nie mogłaby mu zagrać zamiast pić tyle wina, Dina podniosła się ze skórzanego krzesła, przewracając gwałtownym ruchem kieliszek na koronkową serwetkę.

Na koronkach rozkwitał coraz czerwieńszy kwiat od wina. Kieliszek stracił nóżkę.

– Poproś najpierw wdowę na Larsness, żeby zagrała do tańca gołeni w twoim starym truchle, to może wróci na swoje miejsce – warknęła, pędząc w stronę drzwi.

Anders zabrał do domu łódź Jakuba. A Matka Karen i Oline nieustrudzenie go pielęgnowały.

* * *

Jakub rozumiał wybuch Diny. Nie wiedział tylko, że już niczego nie da się naprawić.

Jego zdaniem, z takich spraw zawsze można było jakoś wybrnąć. Nawet dwa lata spędzone z Diną nie odebrały mu tego nieuleczalnego optymizmu.

Stan zdrowia Jakuba nie poprawiał się. Przyplątała się gangrena. Kolor rany nie pozostawiał co do tego wątpliwości. Smród rozprzestrzenił się niczym haniebne plotki. Nieubłagana zapowiedź Sądu Ostatecznego znaczyła każdą sekundę.

Czas zyskał na wartości.

Matka Karen rozumiała, że Jakubowi potrzeba fachowej pomocy. Jak najszybciej!

Chyba tylko Dina miała pojęcie, co taka fachowa pomoc może oznaczać.

Miała już do czynienia z gangreną. Jeden z rybaków referendarza dostał jej w odmrożonej nodze. Przeżył, ale teraz siedzi na żebrach, z wyciągniętym przed siebie kikutem. Po paru latach strawiły go gorycz i nienawiść wobec wszystkiego i wszystkich. Służące wzdrygały się, gdy musiały zanieść mu jedzenie.

Dina za to zaglądała do niego bez konkretnej przyczyny.

Smród z Jakubowej nogi docierał już do sieni. Matka Karen czuwała przy łóżku. Oline mieszała własne łzy z zupą.

Na morzu hulały biesy, wznosząc fale na wysokość wrót do cumowni.

Anders i tym razem skapitulował, gdy Dina oznajmiła, że powiezie Jakuba do doktora przez góry, razem z Tomaszem.

Skoro ona i jej nieokiełznany Szatan poradzili sobie we dwoje za pierwszym razem, podążają temu i teraz w towarzystwie stajennego.

Nie istniało lepsze rozwiązanie. Tak się więc stało.

Tyle tylko, że Tomasz nie pojechał.

Wlepił w nią niedowierzające spojrzenie, gdy rozsiadła się w saniach, jakby miała jechać sama.

Jakub kiwał bezradnie głową. Jakby się modlił.

Tomasz sprężył ciało do skoku na sanie.

– Nie! – warknęła, smagając go po nadgarstkach końcem bicia. Potem burknęła: „Wio!” do konia i ruszyła w drogę, krzesząc iskry spod płóz.

Tomasz wylądował na czworakach na skutym lodem podwórku. Z krwawą szramą na prawej ręce i rwącym się oddechem.

Później bronił decyzji Diny, tłumacząc, że sanie nie pomieściłyby trzech osób. I że nie miała chwili do stracenia, jeśli chciała dotrzeć na czas do doktora.

Brzmiało to całkiem prawdopodobnie, jak większość słów Tomasza. On jeden widział strach w oczach Jakuba. Zbyt wiele go jednak kosztowało to wspomnienie.

Tomasz był wytresowanym psem. Nie zaczął wyć wtedy, gdy był jeszcze na to czas.

Utopił wszystkie myśli w wiadrze z wodą stojącym na podwórzu. Opłukał pięści i głowę lodowatą wodą. Poczul, jak ból zadany biczem dociera na wskroś ramienia do pachy. Otarł twarz wilgotną dłonią i poszedł do Oline.

Z zaróżowionym od lodowatej wody obliczem oświadczył, że z Jakubem jest chyba naprawdę niedobrze.

Oline otarła oczy i po kryjomu wciągała powietrze nosem. Został im tylko smród Jakubowej nogi.

Trzy godziny później Tomasz czekał na Dinę i konia powłóczącego pustym dyszlem.

KSIEGA DRUGA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

SERCE ZNA WŁASNĄ SWĄ GORYCZ, OBCY NIE DZIELI JEGO RADOŚCI

(Księga Przysłów, 14, 10)

Tego roku, gdy Jakuba odprowadzono do grobu, nikt nie świętował Bożego Narodzenia na Reinsnes.

Nikt nie czuł ochoty, by odwiedzić wdowę. Gołoledź zjawiała się na zamówienie tych, którzy potrzebowali jakiegoś pretekstu, by trzymać się z dala.

Gołoledź nie ustąpiła przed połową stycznia. Reinsnes zostało sparaliżowane kłopotliwą bezczynnością.

Tomasz szukał pretekstu, by się pojawić koło okien sypialni. Wznosił w górę niebieskie i brązowe oko. Nie uświadamiał sobie, że się modli.

Jeśli czasami kazano mu zanieść na górę drwa, nie mógł opanować drżenia rąk i gubił szczapy na schodach.

Dina zawsze siedziała odwrócona tyłem, kiedy układał bierwiona w koszu ustawionym za parawanem, przedstawiającym Ledę z łabędziem.

Modlił się do jej pleców, mówił „z Bogiem” i wychodził.

Nikt nie wiedział, kiedy Dina sypia. Dniami i nocami przemierzała podłogę w swych podkutych butach podróżnych.

Delikatne kartki *Biblii* Hjertrud trzepotały w przeciagu.

Matka Karen przypominała pięknego, małego przelotnego ptaszka, który zimuje tu z nieznaną przyczyną.

Żałoba nadała jej przejrzystość i spokrewniła ją ze szkłem szlachetnych kieliszków. Zimowy mrok położył swój cień na delikatnej fakturze szkła.

Tęskniła za Jakubem. Za jego kędzierzawymi włosami i roześmianymi oczyma. Tęskniła za tym Jakubem, którego znała, zanim całe Reinsnes stanęło na głowie.

Starość ułatwiała jej przekraczanie granicy, za którą mieszkają umarli. Służba sądziła, że starsza pani niedołącznieje. Kuśtykała bez celu i mówiła do siebie.

W rzeczywistości w ten sposób objawiała się jej bezgraniczna samotność. I beznadziejna tęsknota. Za tym, co minęło.

Ludzie, zwierzęta, szopy i kram nosiły znamię tej samotności.

Całe gospodarstwo wstrzymało oddech i czekało, aż ktoś wypełni pustkę, którą zostawił po sobie Jakub.

Reinsnes przemieniło się w wielki statek, dryfujący bez sternika i bez załogi.

Co gorsza, Dina nie opuszczała sypialni i całymi nocami chodziła tam i z powrotem w swych butach podróżnych.

Na domiar złego przestała mówić.

Anders wyrwał się z domu żałoby i zamierzał wyruszyć na rybacką wyprawę na Lofoty.

Matka Karen napisała list do Johana, oznajmiając mu, że stracił ojca, ale nie stracił domu. Przez cały tydzień szukała właściwych słów. I oszczędziła mu szczegółów.

Zrobiono wszystko, by ocalić jego ojca, pisała. A jednak Bóg przywołał go przed swój tron. Może w swym wielkim miłosierdziu uznał, że Jakubowi nie powinien przypaść w udziale ciężki los jednonogiego kaleki... Może Bóg w swej mądrości rozumiał, że Jakub nie jest stworzony do takiego życia.

Wysławszy list z żałobną wieścią, starsza pani z wielkim trudem wspięła się po schodach i zapukała do Diny.

Synowa stała na środku pokoju, gdy Matka Karen weszła.

W chwili gdy właśnie zamierzała postąpić krok ku oknu, by odwrócić się plecami, świekra odezwała się łagodnym głosem:

– Krążysz i krążysz po sypialni! Ale to do niczego nie prowadzi.

Może sprawiły to białe, drgające nozdrza Matki Karen. Może jej niespokojne palce, które wplatały się wciąż we frędzle szala.

Dina wychyliła się ze swojej skorupy i okazała cień zainteresowania.

– Życie musi toczyć się dalej, droga Dino. Powinnaś teraz zejść na dół i doprowadzić wszystko do ładu. I...

Dina wyciągnęła rękę i wskazała Matce Karen miejsce przy okrągłym stole na środku pokoju. Stolik był przykryty złotawej barwy pluszowym obrusem z frędzlami, które poruszały się delikatnie w przeciągu z otwartych drzwi.

Starsza pani usadowiła swoje niewielkie, kruche ciało na krześle z owalnym oparciem.

Stół i cztery krzesła przyjechały z Bergen w pierwszym roku jej pobytu na Reinsnes. Osobiście zatroszczyła się o to, by kosztowne meble ostrożnie zniesiono na ład.

I nagle Matka Karen gdzieś odpłynęła. Jakby nigdy nie weszła tu, na górę, nie mogąc już unieść ciężaru samotności i zmartwień.

Siedziała, wpatrując się w gięte nogi stołowe, jakby dostrzegła w nich coś nadzwyczajnego. Zaczęła niespiesznie i bez żadnego wstępu opowiadać historię tych mebli.

Dina przeszła przez izbę, by zamknąć drzwi wejściowe. Wzięła swoją tabliczkę łupkową i usiadła obok świecry, zasłaniając się zrazu tarczą uśmiechu. A potem już zwyczajnie się zasluchiwała, jakby całe życie czekała na tę właśnie historię.

Matka Karen opowiadała o jasnych meblach ze szlachetną tapicerką. Jakub mawiał, że przypominają kobiece ciała, z wcięciem w talii i zgrabnymi biodrami.

Przesunęła palcem wokół małego otworu w górnej części oparcia. Wyciętego starannie w kształt serca. Musnęła starą, przezroczystą dłonią pluszową tkaninę na stole, zatrzymując ze smutkiem dłoń koło dziurki wypalanej cygarem.

– To pochodzi z jego nieszczęśliwych wdowich dni – westchnęła.

Nie troszcząc się o początek czy koniec, snuła opowieść o swym burzliwym życiu z ojcem Jakuba. O latach spędzonych w Paryżu i Bremie. O niezliczonych podróżach morskich z ukochanym mężczyzną.

I o tym, jak pewnego razu czekała w Trondheim na jego powrót z Kopenhagi. Daremnie.

Jego statek zatonął w jakimś przeklętym miejscu u południowo-zachodnich wybrzeży. Jakub stracił ojca, mając dwanaście lat. I twierdził, że zacznie pływać, gdy tylko osiągnie odpowiedni wiek.

Ale w opowieści Matki Karen najwięcej było politurowanych stołów i sal balowych. Rokokowych luster i fantastycznych biblioteczek. Kufrów podróżnych z ruchomym dnem i tajemnymi skrytkami. Opowieść płynęła jednostajnie i niezbyt składnie.

Raz po raz wracała do mebli, które przywiozła na Reinsnes.

Owalny stół i krzesła obciążnięto nowym pluszem z okazji ślubu Diny i Jakuba.

Jakub postanowił przenieść je z salonu do sypialni. Aby Dina mogła siedzieć na środku pokoju i podziwiać widok na zatokę przy pięknej pogodzie. Aby mogła objąć wzrokiem cudowne plaże na Reinsnes, kiedy tylko jej przyjdzie ochota!

Dina słuchała, nie ujawniając swej reakcji. Nagle zegar w salonie na dole wybił trzecią. Starsza pani się ocknęła. Obdarzyła Dinę łagodnym spojrzeniem i z pozoru zapomniała, że opowiadała jakąś historię. Zniecierpliwiona znalazła się znów pośród samotności i trosk o przyszłość.

– Powinnas wreszcie zająć się czymś pożytecznym zamiast krążyć tu i pograżać się w żałobie dniami i nocami. Całe gospodarstwo jest zaniedbane. Ludzie nie wiedzą, co mają robić. Dni mijają.

Dina uniosła wzrok. Nagle jakby ktoś zaczął malować jej uśmiech na twarzy, ale zaniechał tego, nie skończywszy pracy, niezadowolony z rezultatu.

– I ja mam się tym zająć? – napisała na czarnej tabliczce.

Matka Karen spojrzała na nią zmieszana i zdumiona.

- Przecież to wszystko należy do ciebie!
- Gdzie to jest zapisane? – skreśliła Dina. Jej palce zaciśnięte na rysiku zbieleły.

Pewnego popołudnia Dina włożyła bryczesy. Ześlizgnęła się po poręczy jak mała dziewczynka. Przemknęła do stajni przez nikogo nie dostrzeżona.

Szatan stał z opuszczonym łbem i wsłuchiwał się w jej kroki. Kiedy pojawiła się w jego boksie, odrzucił grzywę, zatupał przednimi kopytami, uszczypnął ją w ramię i kłapnął radośnie zębami.

Koń i kobieta. Po chwili stanowili jedno ciało.

Zauważono ich dopiero, gdy mknęli drogą wiodącą na wybrzeże i zniknęli między spichrzami nadbrzeżnymi i pagórkami.

Wszyscy, którzy ich spostrzegli, klasnęli w dłonie. Pytali tych, co stali najbliżej. Czy widzieli? Że Dina znowu wyszła? Że Dina galopuje na Szatanie?

Z początku w pytaniach pobrzmiwała nadzieja. Po chwili jednak wkraść się w nie niepokój. Obecność Diny w innym miejscu niż na poddaszu wydawała się już nienaturalna.

Tomasza posłano na przeszpiegi. Osiodłał konia szybciej niż kiedykolwiek. Na szczęście nie wybrała górskiej drogi. Błądziła jedynie wzdłuż długiego wybrzeża. Dogonił ją, ale Dina udawała, że go nie widzi. Nie popełnił tego błędu, by krzyknąć ostrzegawczo, gdy zmusiła konia do galopu. Trzymał się w odpowiedniej odległości.

Jechali tak przez pewien czas.

Nagle Dina miała już dość. Na końskim pysku pojawiła się piana. Przed stajnią Dina zatrzymała się tak nagle, że spod kopyt trysnęły odłamki lodu i zraniły Tomasza w nogę, aż krzyknął z bólu.

Odprowadził obydwu konie, nie mówiąc ni słowa. Wytarł je, napoił i nakarmił sianem.

Dina stała przez chwilę i patrzyła, jak Tomasz pracuje. Jego ruchy stały się niezręczne i niepewne pod tym spojrzeniem.

Jej oczy ślizgały się po jego wąskich biodrach. Silnych dłoniach. Nie podciętych rudych włosach. Wielkich ustach.

Wreszcie natrafiły na jego spojrzenie. Na brązowe i niebieskie oko.

Stanąła przed nim z ufnością. Zebrała włosy ponad głową obiema rękami. I wypuściła całą ich kaskadę na ramiona. Odwróciła się i szybko opuściła stajnię.

Jakub Grønely, właściciel domu zajezdnego i kliprów, napisał coś w rodzaju testamentu. Nie przypuszczał jednak, że dokument przyda się tak szybko, więc nie zaopatrzył go w urzędowe pieczęcie czy podpisy świadków. Władze nie miały żadnej kopii.

Ale Jakub wspominał referendarzowi o tym dokumencie. Był przecież nie tylko jego zięciem, ale także towarzyszem polowań i przyjacielem.

Myśl, że gdzieś jest testament, nieważne, czy prawomocny, nie dawała referendarzowi spokoju. Przecież Jakub miał dorosłego syna i dwóch pasierbów.

On zaś był nie tylko ojcem Diny, ale i urzędnikiem. Czuł się w obowiązku dopilnować, by wszystko przebiegało zgodnie z prawem.

Gdy się trochę rozpogodziło, referendarz wybrał się do Keinsnes. Aby porozmawiać z Diną na osobności. O testamencie Jakuba, który musi gdzieś być. Najprawdopodobniej w kantorku w składzie. Dina słuchała ojca z błyskiem zainteresowania, ale nie wiedziała nic o testamencie, nie widziała żadnego dokumentu. Napisała mu na swej czarnej tabliczce, że nie rozmawiała nigdy z Jakubem o tego rodzaju sprawach.

Referendarz pokiwał głową i uznał, że należy działać szybko. Dojść do porozumienia. Zanim cokolwiek zostanie postanowione. W innym wypadku zakradnie się między nich niezgoda. Był świadkiem takich wydarzeń nie jeden raz.

Po odjeździe referendarza Dina zeszła do kantorka. Niels był niepomiernie zaskoczony tą wizytą. Nie podniósł się z za masywnego dębowego pulpitu. Wyraz ust Nielsa znamionował zarówno zaskoczenie, jak i niechęć. Z twarzy z ciemnym zarostem na brodzie i niesfornym wąsikiem można było czytać jak z otwartej księgi.

Dina stanęła przed biurkiem i przyglądała się Nielsowi dobrą chwilę. Wcale nie zdradzał chęci, by jej pomóc, więc Dina zaczęła pisać na swojej czarnej tabliczce. Poprosiła o klucz do wielkiej żelaznej szafy.

Niels podniósł się niechętnie i skierował się ku wiszącej między dwoma oknami szafce, gdzie trzymano klucze.

Kiedy się odwrócił, spostrzegł, że Dina usiadła w starym fotelu na biegunach. Zrozumiał, że jest tu niepotrzebny.

Położył klucz na blacie, ale wciąż stał i gapił się, gdy ona lekkim ruchem głowy wskazała mu drzwi.

Niechętnie wyszedł. Minął obojętnie wszystkie szuflady w składzie i spojrzał niewidzącym wzrokiem na subiekta. Jakby tamten był powietrzem.

Znalazł sobie liczne zajęcia w obejściu. Nachmurzony i zrzędny. Mamrotał coś na temat kobiet, które znów zaczynają się wszędzie panoszyć. Myślą sobie, że się znają na interesach i protokołach! Ale tak naprawdę to ona potrafi tylko tam siedzieć i udawać szefa, ta dama! On oczywiście nie zamierza jej przeszkadzać! Wszyscy zobaczą, do czego to doprowadzi. Mogła przecież zapytać go o księgę, powiedzieć zawczasu, że chce przejrzeć papiery i umowy. Znalazłby wszystko i ułożył przed nią starannie. Ma się rozumieć!

Niels był w takim samym stopniu ponury i zamknięty, w jakim jego brat, Anders – pogodny i otwarty. Gdyby Anders nie wyjechał na Lofoty, pospieszyłby zapewne z dobrą radą. Ale on chadzał własnymi drogami.

Dina przeprowadzała systematyczne, zawzięte poszukiwania. W starej szafie, w sejfie, w szufladach, na półkach. Godzina za godziną.

Sklep ogarniała powoli cisza, było pusto. Subiekt wszedł do niej i zapytał, czy ma zgasić światło w składzie. Dina skinęła głową, nawet na niego nie patrząc. Od czasu do czasu prostowała się i rozcierała plecy zaciśniętą dłonią.

Chciała już dać sobie spokój na dzisiaj, gdy jej wzrok spoczął na starej szkatułce pokrytej brzoźowym fornirem, stojącej na jednej z przepełnionych półek. Przywalonej stertą formularzy i opakowań tabaki.

Zerwała się natychmiast i przeszła, świadoma celu, przez pokój, jakby Jakub kazał jej to właśnie uczynić. Szkatułka była zamknięta na klucz. Dina zdołała ją jednak otworzyć scyzorykiem.

Na samym wierzchu leżały szkice projektu „Matki Karen” i plik starych listów od Johana. Spod listów wyślizgnęła się żółta koperta i na moment stanęła pionowo na krótszej krawędzi. Potem ułożyła się zgrabnie na stole.

Dina nigdy przedtem nie widziała tego dokumentu, a jednak nie miała cienia wątpliwości. To był testament Jakuba!

Posprzątała po sobie, zatrzasnęła z powrotem szkatułkę i umieściła ją na starym miejscu. Ukryła kopertę pod szalem, zgasiła lampę i znalazła w ciemnościach drogę ku wyjściu.

Niebo zawojował księżyc z armią gwiazd. Zorza polarna migotała i machała do Diny świecącą chusteczką, jakby razem z nią świętowała odnalezienie dokumentu.

Dina przemierzyła lekkim krokiem oblodzone podwórko. Weszła do domu głównym wejściem i udała się do sypialni. Po drodze nie spotkała nikogo.

Cały dom kipiał jednak od szeptów. Dina zeszła z poddasza! Młoda pani kontrolowała skład! Niels twierdził, że sprawdza rachunki!

– Bóg jest miłosierny – rzekła radośnie Matka Karen do Oline.

Oline pokiwała głową, wsłuchując się w kroki przechodzącej właśnie młodej pani.

Dina wślizgnęła się do wielkiego baldachimowego łóża. Spuściła muślinową zasłonkę ze wszystkich stron i otwierała trzymaną między udami kopertę sztywnymi palcami.

Pokój wypełnił się powoli jego głosem. Zapomniała, że miał taki piękny głos. Sympatyczny tenor, który trochę fałszował melodie.

Uśmiechała się, gdy czytał dla niej.

Żadnych podpisów świadków. Żadnej pieczęci. Tylko ostatnia wola. Spisana samotnie pewnego wieczoru. Jakby w proroczym przebłysku, 13 grudnia 1842 roku.

Ale trudno będzie obalić ten dokument, jeśli zobaczą go właściwe oczy. Jakub życzył sobie między innymi tego, by jego żona Dina, razem z Johanem, synem z pierwszego małżeństwa, zarządzała majątkiem według prawa, o ile tylko gospodarstwo nie zostanie w żaden sposób podzielone.

Życzył też sobie, by jego żona decydowała, podług najlepszego rozeznania, w sprawach gospodarstwa i interesach, do chwili gdy Johan skończy studia. Powinna zatrudniać tyle osób, by utrzymać majątek na dotychczasowym poziomie. Syn, Johan, miał kontynuować studia teologiczne, utrzymując się z wypłat zaliczanych na poczet przyszłego spadku. Reinsnes powinno być jego domem, dopóki się nie ożeni, albo dopóki będzie sobie tego życzył. Sam zadecyduje, kiedy zechce przejąć gospodarstwo.

Jego małżonka, Dina, ma dzielić z Matką Karen odpowiedzialność za wszystkie bieżące prace podejmowane w domu i obejściu przez służbę.

Matka Karen powinna mieć dożywotnio zapewnione utrzymanie, wszelkie dotychczasowe prawa i wygody.

Pasierb Niels winien zarządzać składem i buchalterią, jak długo będzie to wychodziło na dobre Reinsnes i jemu samemu.

Pasierb Anders będzie kierował rejsami frachtowymi, do jego obowiązków mają należeć przygotowania do wypraw i przeprowadzanie transakcji handlowych.

Obaj pasierbowie mają prawo do dziesiątej części dochodu, którego przysparzają Reinsnes.

Żaden z dłużników kupca Grønelva nie będzie zlicytowany po jego śmierci, by zwrócić wierzytelności.

W testamencie nie brakowało też sporego zapisu dla ubogich.

Dina spędziła resztę wieczoru, oddając sprawiedliwość ostatniej woli Jakuba. Napisała nowy testament.

Wcale nie próbowała sfałszować oryginału czy też sugerować, że jest to coś więcej niż ustne życzenia jej „świętej pamięci męża”, jak najrzetelniej odtworzone.

Nowy dokument do złudzenia przypominał testament Jakuba, z wyjątkiem paru punktów: Dina nie wspomniała o dziesiątej części dochodów dla pasierbów. Napisała natomiast, że powinni zachować swe stanowiska tak długo, jak długo to będzie opłacalne dla Reinsnes albo też tak długo, jak ona uzna to za celowe.

Nie napomknęła również, że Johan będzie mógł objąć gospodarstwo, kiedy tylko zechce.

Poza tym przepisała pięknie i starannie wszystkie punkty. Zatróczyła się też, by nie zabrakło sumy dla ubogich.

Potem rozhajcowała ogień w kominku. I zapaliła świece w siedmioramiennym srebrnym świeczniku stojącym na toaletce.

* * *

Z jej twarzy nie schodził uśmiech, gdy testament Jakuba płonął w czarnym, żelaznym brzuchu pieca.

Potem położyła zapisany przed chwilą arkusz na biurku z orzecha włoskiego. Aby każdy mógł go zauważyć.

Wróciła do wielkiego baldachimowego łoża i położyła się na wznak, nie zdejmując odzienia.

Nagle poczuła na sobie ciężar ciała Jakuba. Wtargnął w nią. Miał obcy oddech. Twarde dłonie. Odepchnęła go ze złością. Jakub chwycił spodnie oraz jedwabną kamizelkę i przeszedł przez ścianę.

*Jam jest Dina, która czuje trzepotanie rybiego ogona pod żebrami.
Splatał mi psikus. Wciąż należy do morza i gwiazd. Ale pływa
gdzieś w środku i jest sobą, choć żywi się mną. Będę nosić go w
sobie tak długo, jak muszę. Wcale nie jest jednak taki ciężki ani taki
lekki jak Hjertrud.*

Nieważne, jak się to wszystko stało naprawdę, liczy się natomiast, jak to się stało zdaniem ludzi.

Wstała, by zajrzeć do pieca. Dołożyła trochę drewna. Pilnowała, by ogień unicestwił zwęglone resztki ostatniej woli Jakuba.

Tej nocy nikt nie słyszał na górze kroków Diny obutej w podkute, podróżne trzewiki.

Na następną wizytę w Reinsnes referendarz przywiózł ze sobą sekretarza i dwóch świadków.

Starsza i młodsza wdowa oraz wszyscy mężczyźni zasiedli za owalnym stołem w sypialni.

Arkusik, na którym Dina odtworzyła ostatnią wolę Jakuba, został odczytany wszystkim zainteresowanym w obecności świadków.

Johan przebywał wprawdzie w Kopenhadze, ale Matka Karen była jego prawną opiekunką.

Dina ubrała się stosownie. W czarną suknię, uszytą na pogrzeb. Wezwano domowników.

Wreszcie wszyscy stanęli ze spuszczoneymi głowami i wsłuchiwali się w słowa Jakuba, odczytywane huczącym basem referendarza. Godnie. Odświętnie.

Nikomu nie przyszło do głowy zastanawiać się nad brakiem testamentu. Przecież to był wypadek. Zdarzył się tak niespodziewanie. Niech Bóg ma w swojej opiece gospodarza. Dobrodzieja.

Każdy został jakoś doceniony. Chwała Jakubowi, który pamiętał o wszystkich.

Referendarz stwierdził, że nie trzeba zapisywać, iż Johanowi należy się część spadku na utrzymanie w czasie studiów. Bo przecież do rodzicielskich obowiązków należy troska o stworzenie dzieciom godnych warunków i nie trzeba tego nazywać zadaniem na poczet spadku.

Dina uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nie wolno nam zapominać o tym, że jego ojciec nie żyje – napisała na swej tabliczce.

Referendarz spojrział na córkę ze zdumieniem i szacunkiem. I podyktował jej życzenie sekretarzowi. Matka Karen pokiwała głową. Dokument przypieczętowano.

Referendarz wygłosił mowę na cześć zmarłego zięcia i przyjaciela oraz swojej córki, przypominając wszystkim, że muszą teraz wykazać dużo dobrej woli. Gospodarstwo potrzebuje pewnej ręki.

Matka Karen odetchnęła z ulgą. Życie toczy się dalej. Dina zeszła z poddasza.

Słońce pięło się coraz to wyżej. Wkrótce zabarwiło północne niebo w samym środku nocy.

Mewy krążyły, pardwy składały jaja, wiśnia sypnęła kwieciami.

Matka Karen dostała list od Johana.

Składał kondolencje, pisał w konwencjonalnie smutnym tonie. Nie chciałby przyjeżdżać do domu przed przystąpieniem do ważnego egzaminu. I tak spóźniłby się na pogrzeb ojca.

Między linijkami Matka Karen przeczytała to, co już od dawna wiedziała. Że nie interesuje go prowadzenie gospodarstwa czy interesów. Nie pragnął się zamknąć w składzie, nie miał pojęcia o buchalterii. Chętnie natomiast przyjmie pewne sumy na poczet spadku, utrzymując się z nich w trakcie studiów teologicznych.

Jeżeli nawet nosił w sercu żalobę po ojcu, nie zamierzał jej okazać, przejmując ojcowskie interesy.

Matka Karen przeczytała list Dinie.

„Moje najszczerze współczucie i pozdrowienia dla Diny w tak trudnych chwilach” – napisał Johan w zakończeniu.

ROZDZIAŁ DRUGI

A JAKUB USTAWIŁ STELĘ NA TYM MIEJSCU, GDZIE BÓG DO NIEGO MÓWIŁ, STELĘ KAMIENNĄ. I SKŁADAJĄC OFIARĘ PŁYNNĄ, WYLAŁ NA NIĄ OLIWĘ – JAKUB DAŁ WIĘC TEMU MIEJSCU, NA KTÓRYM PRZEMAWIAŁ DO NIEGO BÓG, NAZWĘ BETEL.

A GDY WYRUSZYLI Z BETEL I MIELI JESZCZE W DRODZE PRZED SOBĄ PEWNĄ PRZESTRZEŃ, ABY DOJŚĆ DO EFRATU, RACHELA ZACZĘŁA RODZIĆ; PORÓD JEDNAK BYŁ CIĘŻKI. I KIEDY URODZIŁA JUŻ W WIELKICH BÓLACH, RZEKŁA DO NIEJ POŁOŻNA: „JUŻ NIE LĘKAJ SIĘ, BO OTO MASZ SYNA!” ONA JEDNAK, GDY ŻYCIE Z NIEJ UCHODZIŁO, BO KONAŁA, NAZWAŁA SWEGO SYNA BENONI; LECZ OJCIEC DAŁ MU IMIĘ BENIAMIN.

(Księga Rodzaju, 35, 14-19)

Pewnego dnia Matka Karen weszła do sypialni bez pukania. Dina stała na środku pokoju i ubierała się.

Nie było wątpliwości co do tego, że jest w ciąży. Promienie słoneczne wpadające przez wysokie okna zdradziły wszystko mądrym oczom Matki Karen. Dina owdowiała pięć miesięcy temu.

Starsza pani była maleńka i filigranowa. Stojąc u boku rosnącej Diny, nie przypominała wcale człowieka z krwi i kości, ale kosztowną, porcelanową lalkę, która wszystkie swe dni spędziła na przeszklonej półce i miała nie tknięte kurzem włosy.

Piękna pajęczyna zmarszczek drżała lekko w promieniach słońca, gdy jej właścicielka szła ku oknu, by zbliżyć się do Pana ze swymi dziękczynieniami.

Wyciągnęła oba ramiona w stronę Diny. Ale oczy synowej przypominały dwa sople lodu.

– Niech cię Bóg błogosławi, Dino, jesteś brzemienna! – szepnęła poruszona starsza pani.

Dina pospiesznie naciągnęła spódnicę i osłoniła się bluzką.

Starsza pani najwyraźniej nie zamierzała wyjść, więc Dina zrobiła krok przed siebie. Powoli, choć zdecydowanie posuwała się do przodu.

Zanim Matka Karen się zorientowała, stała już w mrocznej sieni przed zamkniętymi drzwiami.

Spojrzenie Diny prześladowało starszą panią. Nie tylko w ciągu dnia, ale też nocą, w snach. Nie umiała znaleźć sposobu, by zbliżyć się do tej zamkniętej istoty.

Po trzech dniach bezskutecznych prób nawiązania kontaktu z Diną wybrała się do kuchni, do Oline. Po pocieszenie i radę.

Oline przyjęła ją, stojąc u końca stołu. Przepasana dwoma fartuchami, jeden na drugim.

Ta pulchna osoba o dwóch jędrnych piersiach nigdy nie karmiła nawet kota. Przybierała jednak tony matki stworzenia.

Nie potrzebowała nawet formułować w myślach faktu, że dyryguje tu prawie wszystkim dzięki samej swej obecności. Dzięki opuszczonym kącikom ust i różowemu, pomarszczonemu czołu, na którym malowała się troska.

Oline orzekła, że młoda pani potrzebuje spokoju. Dobrego jedzenia. I ciepłych kapci zamiast tych potwornych butów, w których wciąż chodzi pośród przeciągów.

Oline wcale nie dziwiła się temu, że Dina jest przerażona perspektywą urodzenia dziecka, nie mając męża u boku.

– Nawet mniejsze problemy wprowadzają kobiety w rozdrażnienie – rzekła, wznosząc oczy do nieba. Jakby mogła opowiedzieć niejedną historię na ten temat.

Trudno oczekiwać, by młoda pani błogosławiła fakt, że ma przedłużyć ród, po tym, co przeszła. Oline uznała, że wszystkiemu zaradzi czas i troskliwość.

Ci, którzy sądzili, że Dina na dobre zesza z sypialni w dniu, w którym kontrolowała biuro, przekonali się, że są w błędzie.

Dina chodziła do stajni. Ku przerażeniu Matki Karen jeździła konno. W takim stanie! Poza tym trzymała się sypialni. Jadła na górze. Mieszkała na górze.

Gdy swiekra czasami próbowała nakłonić ją do zejścia do salonu, zwłaszcza jeśli miały gości, Dina uśmiechała się i kręciła głową. Albo udawała, że nie słyszy.

Powróciła do obyczajów z dzieciństwa. Wtedy także jadła samotnie. Ponieważ ojciec nie mógł znieść jej widoku. Szczególnie podczas posiłków.

Tomasz próbował pochwycić spojrzenie Diny, gdy zabierała konia na przejażdżkę. Pomagał jej dosiąść wierzchowca, splatając ręce tak, by mogła ich użyć zamiast strzemienia. Zaczął to robić wówczas, gdy rozniosły się plotki o jej ciąży.

– Lepiej byłoby używać siodła, przynajmniej teraz, zanim wszystko się skończy...
– powiedział kiedyś, a jego nieśmiałe spojrzenie przesliznęło się do jej brzuchu.

Nie odpowiedziała, niema jak zawsze.

* * *

Ludzie gadali głośno, że Dina spodziewa się dziecka, milczy i unika ludzi.

Litowali się nad starą Matką Karen, która próbowała kierować gospodarstwem. Przekroczyła już siedemdziesiątkę i z trudem się poruszała.

Ludzie powiadali, że kiedy posłano po doktora, Dina rzuciła w niego krzesłem, bo jak gdyby nigdy nic wszedł do jej sypialni, aby wyleczyć ją z melancholii.

Podobno postraszył Dinę szpitalem wariatów, jeśli nie zacznie się zachowywać przyzwoicie, ale ona nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Rzuciła doktorowi tak okropne spojrzenie, że wolał się wycofać, nie zastosowawszy żadnej kuracji.

Starsza pani zaprosiła doktora na szklaneczkę ponczu, pieczeń z pardwy, wino i cygara, aby załagodzić przykrą sytuację.

Dina zżymała się i trzaskała w samotności szufladami komody. Nie mogła się już bowiem wcisnąć w swoje ubrania.

Jej łono i piersi powiększyły się, nadając młodemu ciału proporcje, mogące budzić podziw i zazdrość tych, których natura nie obdarzyła tak szczerze. Gdyby Dina komukolwiek się pokazała.

Ale ona krążyła po sypialni, niedostępna dla nikogo i niczego.

W końcu Matce Karen udało się dostać do niej na chwilę. Posłano do Strandsted po szwaczkę.

Dni przepływały w sobie nawzajem. Zespolone ze sobą ciemnymi nocami. Gęsto. Jak gryzący dym z kopcącego paleniska.

Jam jest Dina, która czyta księgę Hjertrud. Przez jej lupę. Chrystus jest nieszczęśliwą istotą, której muszę pomóc. Nigdy nie zdoła sam się zbawić. Ma dwunastu apostołów, którzy próbują go wesprzeć... Ale nigdy im się to nie powiedzie. Wszyscy są tchórzliwi, przerażeni i bezradni. Judasz przynajmniej umie liczyć... Zdobywa się na odwagę, by być naprawdę złym. Czy raczej pozwala sobie narzucić tę rolę. Jakby brakło mu rozumu, by powiedzieć, że nie zostanie zdrajcą po to, by wszystkim innym udało się tego uniknąć...

Dina nie mogła wydobyć z siebie słowa, ten i ów zapominał więc czasami, że wcale nie jest głucha.

Niektórzy paplali więc w korytarzach i za jej plecami. Przywykli do tego, ponieważ Dina nie dawała po sobie poznać, że słyszy, co mówią. W ten sposób zawsze wiedziała, co się dzieje i co ludzie myślą.

Pisała na tabliczce swoje krótkie życzenia i polecenia. Wysłała listę z zamówieniami do księgarni w Tromsø.

Parowiec przywiózł dla niej przesyłkę. Sama ją otworzyła za pomocą łomu leżącego koło pieca.

Dziewczyna, która wygarniała popiół i przynosiła drwa, czuła się nieprzyjemnie z powodu tego narzędzia. A gdy pewnego dnia zabrakło go na zwykłym miejscu, dziewczyna poczuła się jeszcze nieprzyjemniej.

Książki dotyczyły buchalterii i sposobów prowadzenia gospodarstwa. Lektura czasami wprawiała Dinę w taki gniew, że Oline sądziła, iż pani rozbija właśnie kominek.

Posłano po buchaltera. Dina spędzała wiele godzin dziennie w kantorku i gruntownie zapoznawała się z księgowością.

Pomiędzy nią a Nielsem zapanowała głęboka niezgoda. Buchalter spędził na Reinsnes cały miesiąc. Krążył między salonami a kantorkiem niczym pies łańcuchowy.

– Niedługo wielka pani zacznie się mieszać do zakupu towarów do składu – mruczał Niels, łypiąc okiem w kierunku buchaltera Pettera Olesena, który wcale nie zamierzał dzielić z nim tego sarkazmu.

Nigdzie nie było mu lepiej niż tu, na Reinsnes. Właściwie chętnie pracowałby tutaj w nieskończoność.

Wieczorami siadywał w palarni i pykał najlepszą fajkę Jakuba z lulką z pianki morskiej, jakby była jego własnością.

Musiał się jednak obyć bez towarzystwa Diny. Z wyjątkiem godzin poświęconych nauce buchalterii nie opuszczała sypialni. Chyba że wybierała się na przejażdżkę konną albo pisała swoje polecenia i pytania. Zawsze bardzo precyzyjne.

Nikt nie mógłby powiedzieć, że jest uprzejma. Skoro jednak wciąż zachowywała milczenie, nie zdarzyło się, by komuś powiedziała złe słowo.

Matka Karen promieniała radością, widząc, że Dina wykazuje tyle energii. Zarazem jednak sprowadziła gromy na własną głowę, wyrzucając synowej, że nie bierze pod uwagę „swego stanu”.

Wywołało to ochryple krzyki Diny, od których zadźwięczało lustro i szyby w sypialni.

Wszyscy mieszkańcy Reinsnes truchleli ze strachu, gdy Dina przechylała się przez poręcz i wydawała dźwięki przenikające do szpiku kości wszystkich, którzy musieli ich słuchać.

Nie ma wątpliwości, z kim Dina jest spokrewniona, mawiała Oline.

* * *

Przeważnie jednak panował spokój. Matka Karen drzemała często pod swym pledem w bawialni. Czytywała regularne i suche listy Johana wciąż od nowa. Czasami na głos, dla Diny. Pozwoliła sobie na odrobinę starości, widząc, że wszystko jakoś się toczy.

Pokoje gościnne zionęły pustką przez wiele miesięcy. Żaloba, niemota i szaleństwo na Reinsnes nie przyciągały gości. Wielki ośrodek handlowy i zajazd pograżyły się w letargu.

Na szczęście „Matka Karen” wróciła z Lofotów z niezłym zarobkiem. Dzięki Andersowi. Okazało się, że u źródeł powodzenia Jakuba leżały umiejętności Andersa.

Wszyscy czekali na dziecko i rozmawiali o nim.

Dina nie mogła oczywiście wypowiadać się na ten temat. Nie pisała też o tym na swojej tabliczce.

Służące, Tea i Annette, w wolnych chwilach szyły maleńkie ubranka, a Oline martwiła się, że akuszerka mieszka tak daleko.

Pewnego dnia, gdy w powietrzu wisiała burza, zdarzyło się to, czego obawiała się Matka Karen.

Dina spadła z konia.

Na szczęście Tomasz zauważył ją z pola. Ból o otwianym posmaku przeszywał mu płuca, gdy biegł do Diny. Znalazł ją leżącą w kępie pączkujących krzaków żurawin. Z rozrzuconymi ramionami i nogami. Rozkrzyżowaną na ziemi. Z twarzą zwróconą ku niebu – i bezdennymi, rozwartymi oczami.

Tomasz zauważył przecięte czoło i ranę na nodze, w którą wbiła się sucha gałązka sosny.

Skierował kroki do letniej stodoły, bo leżała najbliżej. A Bóg w przypływie złościwości zesłał burzę i ulewę.

Szatan przeraził się pierwszych grzmotów i zrzucił Dinę, gdy ta usiłowała go uspokoić.

Tomasz zataszczył ją do rozpadającej się stodoły. Ułożył na zeszlórocznym sianie. Na razie. Bo na jego rękach zaczęła rodzić.

Tomasz pomagał kiedyś swej matce w podobnej sytuacji w rodzinnej zagrodzie. Wiedział, co trzeba robić.

Szatan nie pozwalał się dosiąść, więc Tomasz pobiegł do domu po pomoc.

Pospiesznie przygotowywano gary z wodą, drwa na podpałkę i prześcieradła. Dziewczeta szorowały ręce i słuchały zwięzłych poleceń Oline.

Nie da rady przenieść tu Diny, twierdził Tomasz, obracając bezustannie czapkę w palcach.

Oline podreptała w zadziwiającym tempie pod górę, do stodoły. Tomasz pędził z taczkami pełnymi niezbędnych akcesoriów.

Niebo chlusnęło nagle deszczem, strasząc, że zaleje wszystko, co się skrywa pod brezentową płachtą w taczkach.

Oline krzyknęła prawie bez tchu, że dość już tego! Chyba nie chodzi o to, by zesłać na nich potop i poród jednocześnie! Chciała przekonać żywioly, że teraz ona dowodzi.

Niespełna godzinę później było już po wszystkim.

Dina urodziła okrągłutkiego, ale małego chłopca. Przyszedł na świat w stodole, gdy niebo się rozlewało, żywiąc wszystko, co ma rosnąć.

Wielki łeb Szatana z wyszczerzonymi zębami wsunął się w drzwi stodoły. Koń zdradzał niepokój.

Gdyby nie fakt, że to wszystko przydarzyło się cudem i że Jakub zmarł w listopadzie, Oline powiedziałaaby, że dziecko urodziło się za wcześnie!

Złożyła wszystko na karb młodości matki i jej dziecinnie nierozsądnego zachowania w błogosławionym stanie.

Dina nie krzyczała. Leżała z szeroko otwartymi, wpatrzonymi w dal oczami i jęczała.

Dopiero gdy dziecko już się urodziło i czekali tylko na łożysko, rozległ się najbardziej potworny krzyk, jaki kiedykolwiek słyszeli.

Dina w męce rozwarła usta i krzyczała przeciągle.

Jam jest Dina. Słyszę krzyk, który wije sobie gniazdo w mojej głowie. Zatyka mi uszy. W pralni na Fagerness paruje ciało Hjertrud, podczas gdy ona rozlewa się po podłodze. Hjertrud pada. Twarz jej pęka. Wciąż od nowa. Odchodzimy razem w dal. Bardzo daleko...

Dina ucichła i leżała bezwładnie na ich rękach.

Matka Karen, która niedawno nadeszła, jęknęła z rozpacz.

Oline zaś biła Dinę po twarzy tak mocno, że na policzkach zostawały ślady palców.

Wreszcie znów wydobył się z niej krzyk. Jakby siedział tam uwięziony przez tysiąc lat. Pomieszał się z cichutkim płaczem noworodka.

Dziecko znalazło się przy jej piersi. Beniamin. O czarnych włosach. O oczach starych i mrocznych jak węgiel.

Świat wstrzymał oddech. Niespodziewana cisza. Wyzwolenie.

Po chwili spomiędzy pokrwawionych prześcieradeł dobiegł nieoczekiwany i władczy głos:

– Zamknijcie drzwi! Jest zimno!

Dina wypowiedziała słowa. Oline otarła czoło. Matka Karen złożyła ręce. Deszcz uitorował sobie drogę przez słomianą strzechę. Delikatny, wilgotny gość.

Nowiny dotarły do Tomasza siedzącego na skrzyni pod drzewem. Nawet nie zauważył, że jest przemoczony do suchej nitki. Trzymał się w stosownej odległości od stodoły.

Pełen zdziwienia uśmiech ogarniał całe jego ciało. Dotarł do ramion. Otworzyły się w tym uśmiechu tak, że deszcz napełnił mu dłonie w ciągu jednej chwili.

– Co powiedziałaś? – wykrzyknął przepełniony szczęściem, gdy Oline przysła do niego z wieściami.

– Zamknijcie drzwi! Jest zimno! – śmiała się kucharka, uderzając się po różowych, nagich ramionach.

Śmiech przetoczył się między nimi. Oline nie mogła wyjść ze zdumienia.

– Zamknijcie drzwi! Jest zimno! – mruzczała, kręcąc głową.

Ponieśli Dinę w solidnym żaglu. Niels, pastuch, przypadkowy klient ze składu i Tomasz. Anders wyjechał do Bergen.

Szli ścieżką prowadzącą do domu, przekroczyli podwójne drzwi i ruszyli schodami do baldachimowego łóżka w sypialni.

Dopiero wtedy zjawiała się akuszerka, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Była całkiem zadowolona. Specjalny wzmacniający napój ustawiono na srebrnych tacach w kuchni i sypialni.

Dina piła jak smok, inni tylko umoczyli usta. Potem poprosiła jedną z dziewcząt, by podała jej mydło z szuflady w komodzie. Głos Diny skrzypiał niczym długo nie używany takielunek.

Ułożyła mydełka wokół chłopca trzymanego przy piersi. Trzymaście lawendowych i fiołkowych mydełek. Magiczny krąg miłego zapachu.

Po chwili oboje spali.

Mleko się nie pojawiało.

Dzieciak dostawał z początku osłodzoną wodę. Ale to nie wystarczyło na dłuższą metę.

Wszystkim kobietom zimny pot oblewał plecy, gdy słyszały nieustanny płacz dziecka. Po czterech dobach brzmiał już jak monotonne charczenie, milknące na chwilę, gdy wyczerpane niemowlę zasypiało.

Dina była błada, ale nie włączała się w kobiece biadolenia.

Wreszcie Tomasz przyniósł informacje, że na południu powiatu jest Laponka, która właśnie straciła nowo narodzone dziecko.

Nazywała się Stine. Była szczupła i wielkooka, a pod jej złotawą skórą rysowały się wysokie kości policzkowe.

Oline nie kryła rozczarowania chudością mamki. Sprawę pogarszało jeszcze lapońskie pochodzenie dziewczyny.

Szybko się jednak okazało, że z dwóch małych piersi płynie eliksir życia. Że w tym chudym, żylastym ciele mieszka spokój stworzony do piastowania niemowląt.

Parę dni temu Stine straciła własne dziecko. Nie wspominała o tym nawet słowem. Z początku była nieufna, obolała od nadmiaru mleka i nieszczęśliwa.

Wszyscy wiedzieli, że jest panną, ale nikt jej tego nie wytykał.

Stine napelniła spokojem i harmonią duszne, pachnące noce lipcowe. Wszystko ucichło.

Z jej pokoju roznosił się słodkawy zapach niemowlęcia i mleka. Przenikał na korytarze, by dotrzeć do najdalszego kącika. Nawet w izbie czeladnej można było zwietrzyć woń kobiety i dziecka, nie wiadomo jakim sposobem.

Dina nie opuszczała łóżka przez siedem dni. Potem zaczęła chodzić. Dziarsko, niczym koza wspinająca się pod górę.

– Jeśli to nie dzieciak, to pewnie ona we własnej osobie – powiedziała Oline.

Było upalne lato. Gorąco. W domach i na podwórzu. Ludzie zaczęli wierzyć, że wszystko będzie jak dawniej, jak wtedy gdy żył świętej pamięci pan Jakub i zapraszano krewnych, przyjaciół i podróżnych na poncz.

Stine karmiła piersią. I przemykała się jak cień tu i ówdzie. Bezszelestnie, jakby pochodziła z tej samej rodziny, co letni wiatr i podziemne strumienie.

Oline przykazała ludziom, by nie rozpowiadali, że dziecko urodziło się w stodole.

Matka Karen podkreślała, że Jezus urodził się w stajence, a więc to może być jakiś znak.

Ale Oline trwała przy swoim. Wszyscy mają trzymać język za zębami. A jednak nie udało się utrzymać tajemnicy. Dina na Reinsnes spacerowała pomiędzy gośćmi na własnym weselu w bieliźnie, a teraz urodziła dziecko w letniej stodole!

Dina zaczęła się pojawiać w salonach tego lata.

Pewnego dnia zeszła do kuchni i powiedziała Oline, że widzi łupież na jej ramionach.

Dotkliwie tym zraniła kucharkę. Czyż to nie ona, Oline, pomogła urodzić tej zmanierowanej damie w letniej stodole? Gdy Dina wyszła, Oline rzucała w górę spojrzenia dzikiego psa przywiązanego do schodów.

Stine i Dinę połączyła milcząca zażyłość. Czasami spotykały się nad kołyską – nie mówiąc wtedy zbyt wiele. Stine raczej nie miała ciętego języka. Pewnego dnia Dina zapytała:

- Kto był ojcem twojego dziecka?
- On nie jest stąd – usłyszała.
- Czy to prawda, że już przedtem miał żonę i dzieci?
- Kto tak mówi?
- Klienci w składzie.
- Kłamią!
- Więc dlaczego nie chcesz powiedzieć, kim on jest?
- To nie ma znaczenia, dziecko umarło...

Dinie najwyraźniej przypadła do gustu ta twarda filozofia życiowa. Zajrzała Stine w oczy i powiedziała:

- Tak, masz rację, to nie ma znaczenia! Co za różnica, kto jest ojcem!

Stine przełknęła ślinę i spojrzała na Dinę z wdzięcznością.

– Nasz mały będzie się nazywał Beniamin i ty go poniesiesz do chrztu! – ciągnęła Dina, chwytając maleńką nóżkę fikającą w powietrzu.

Dzieciak nie miał pieluszki. Na poddaszu panował letni, gorący zaduch. Przez całą dobę dom pachniał słoneczną spalenizną.

- Czy to się godzi? – zapytała przerażona Stine.
- Oczywiście! Przecież to ty uratowałaś życie temu maleństwu.
- Mogliście mu dać mieszanekę z mleka...

– Bzdura! Trzeba ci uszyć nową spódnicę, koszulę i gorsecik. Potem pastor przyjedzie ochrzcić dziecko.

Referendarz nie posiadał się ze złości, kiedy się okazało, że nie poniesie swego pierwszego wnuka do chrztu i że dzieciak nie odziedziczy imienia po ojcu.

– Jakub! Tak się powinien nazywać! – grzmiał. – Beniamin to jakieś babskie biblijne wymysły!

– Beniamin jest synem Jakuba – w tej samej *Biblii* – uparcie twierdziła Dina.

– W naszych rodzinach nie było nigdy żadnego Beniamina! – wrzeszczał referendarz.

– No to od następnej niedzieli będzie! A teraz przenieś się do palarni, żebyśmy zaznali trochę spokoju.

Referendarz stanął jak wryty. Z płonącym licem. Ludzie siedzący w kuchni i w salonach widzieli całą tę scenę. Przyjechał tu, aby zaprowadzić porządek! I oto jak mu podziękowano!

Miał stanąć w kościele obok tej jakiejś tam Stine, lapońskiej dziewczki służebnej, która urodziła bękarta.

Referendarz chwilami czuł się tak znieważony, że jego wściekłość nie znajdowała ujścia. A gdy wreszcie złość wydostawała się na zewnątrz, nikt nie potrafił zrozumieć jego bełkotu.

W końcu odwrócił się i oświadczył, że opuszcza ten dom wariatów. I że imię Beniamin pasuje do mężczyzny jak, nie przymierzając, Dziewica Maryja.

– We Włoszech mężczyźni noszą imię Maria – zauważyła Dina cierpkim tonem. – A jak się wybierasz do domu, to nie zapomnij fajki, która leży w palarni. Dzieciak nazywa się i będzie się nazywał Beniamin!

W sieni na poddaszu Stine łkała bezgłośnie. Słyszała każde słowo.

Nikt się nie interesował tym, co mamrotała Oline. Zakłopotani najemnicy jedli kaszę w kuchni.

Nie wytrzymali jednak długo: na dole, w izbie czeladnej, gruchnął śmiech. Ależ uparta jest ta młoda pani! Nic nie poradzą, że bardzo im to przypadło do gustu. W całym powiecie nie ma pani, która pozwoliłaby służącej dostąpić zaszczytu trzymania swego dziecka do chrztu tylko dlatego, że ta służąca je wykarmiła!

Referendarz Holm maszerował w stronę swojej łodzi gniewnymi, ciężkimi krokami.

Z każdym metrem żwirowej ścieżki opanowywał się trochę. Kroki spowolniały, aż wreszcie z westchnieniem zatrzymał się koło cumowni.

Już po raz drugi w tym dniu obrócił się na pięcie i pomaszerował, skąd przyszedł. Narobił zbędnego hałasu na schodach i krzyknął przez otwarte drzwi:

– A niech sobie żyje w grzechu i nazywa się Beniamin! W imię Boże!

* * *

Dagny nie mogła tego przełknąć. Nie zamierzała udać się do kościoła. Oczywiście, publiczna zniewaga dręczyła ją dniami i nocami.

Gdy przysłała pora wyjazdu do kościoła, Dagny była przeziębiona i słaba, miała migrenę i zaczerwienione oczy.

Chłopcy nie mogli oczywiście pojechać bez jej opieki. Było ich już dwóch.

Referendarz uznał swoją winę w chwili, gdy poczuł na sobie jej oskarżające oczy. Wziął się jednak w garść, westchnął i oświadczył, że mimo wszystko jest to jego pierwszy wnuk. Musi pojechać do kościoła!

Pojechał ze stosownym podarkiem w kieszeni i udawał grubą rybę. Niewypowiedzianie wdzięczny, że uniknął oskarżeń Dagny i jej pełnych dezaprobaty spojrzeń, mówiących:

– Spójrz tylko, na kogo wyrosła twoja córka, mój drogi! Jakież wstyd!

Jakby tego nie wiedział!

Otrzymał najgorszy wyrok: wymowne spojrzenia Dagny i jej krótka wzmianka o własnym nieskazitelnym zachowaniu w panięskich latach „tam, na południu”. Wszystko to budziło w nim taką wściekłość, że niejednokrotnie musiał hamować się, by nie przyłożyć swych potężnych pięści do jej gardła.

Referendarz nie należał do tych, którzy duszą albo biją. Przeszywał ludzi spojrzeniem swych ciemnych oczu. Nieszczęśliwy i głęboko dotknięty, jeśli działa się coś złego.

Zawsze jednak osiągał swój cel – pokojowo, choć hałaśliwie – w sądzie i gdzie indziej. W każdym razie od chwili, gdy umieścił Dinę w dobrobycie na Reinsnes.

Nie raz i nie dwa słał swe dziękczynne myśli zmarłemu przyjacielowi i Matce Karen. Wolał jednak nie zagłębiać się w rozważania na temat tego, co się dzieje w ich domu.

Mało kto ważył się powtarzać plotki. I tylko wtedy, gdy Dagny chciała go za coś ukarać, słyszał, jak źle się dzieje na Reinsnes. Rządzi tam pani, która jeździ konno po nocy zamiast przebywać we własnych salonach. I spoufala się z parobkami i służącymi.

Czasami wspominał dzieciństwo Diny. To, że tak długo żyła na pograniczu obyczajnego świata. Aż do chwili, gdy pojawił się ten dziwaczny Lorch. Ani ptak, ani ryba, jak mawiała Dagny.

Do myśli referendarza pukało czasami pogrążone w letargu sumienie. Traktował to jednak jak zniewagę, obliczoną wyłącznie na wyrządzenie mu krzywdy. Czuł, że ma pełne prawo zignorować te okruchy sumienia.

ROZDZIAŁ TRZECI

RZEKŁ WIĘC MANOACH: „A GDY SIĘ SPEŁNI TWOJE SŁOWO, JAKIE ZASADY I JAKIE OBYCZAJE WINIEN MIEĆ CHŁOPIEC?”

(Księga Sędziów, 13, 12)

Słodko-kwaśny zapach niemowlęcia i mleka działał na wszystkich w cudowny sposób. Zwłaszcza że upłynęły już dwadzieścia trzy lata od czasów, gdy roznosił się tu ostatnio.

Oline nie mogła się czasem powstrzymać od porównań.

„On jest podobny do Johana!” Albo: „Jakbym widziała Johana! Robił taką samą minę, gdy się załatwiał w pieluchy!”

Nie ukrywała swej radości wobec powiększenia się rodu. Interesowały ją szalenie uszy Beniamina i ich osadzenie na głowie. Przypadł jej do gustu sposób, w jaki trochę odstawały. To się jeszcze nie zdarzyło w historii rodziny. Przypatrywała się Dinie, której uszy zawsze kryły się pod włosami.

Tłumiła w sobie chęć zbadania, czy chłopiec odziedziczył ten element urody po matce.

Nie wypadało jednak tak po prostu podejść i dotknąć Diny, więc Oline poprzestała na wzmiance, że zapomniała sprawdzić, czy referendarz ma podobne uszy.

– Referendarzowi odcięto uszy w dzieciństwie, bo były bardzo brzydkie – poinformowała ją Dina beczelnie.

Oline poczuła się dotknięta. Ale zrozumiała intencje. Nie komentowała już wyglądu dziecka w obecności jego matki.

Stine natomiast słyszała niejedno. Przede wszystkim, że to dziecko nie ma na głowie ani jednego włoska, co martwiło Oline najbardziej. I jeszcze, że ma wielkie znamię na prawym ramieniu.

Kucharka dokuczała Stine, sugerując, że to z powodu jej bezwartościowego mleka nie rosną chłopcu włosy.

Nie pocieszały jej optymistyczne opowieści Matki Karen i Laponki. O znajomych dzieciach, które świeciły łysiną aż do czasu, gdy zaczęły stawiać pierwsze kroki. Natura często traktuje w ten sposób istoty ludzkie.

Pierwsze lato w życiu Beniamina było nieznośnie upalne.

Gałganki, którymi Stine otulała piersi, kwaśniały szybko i suszyły się całymi tuzinami na sznurze za pralnią.

Bzy przekwitły tak szybko, że mało kto zdążył poczuć ich zapach. Susza stawiała plony pod znakiem zapytania. Skwar wywoływał w ludziach ospałość i drażliwość.

Tymczasem mały Beniamin jadł, płakał i spał jak rasowe szczenię. Rosło mu wszystko, z wyjątkiem włosów.

Pochłaniał wprost swoją małą, szczupłą mamkę. Stine nabawiła się bólu zębów. Chudła też wciąż i chudła, mimo iż Oline nie szczędziła jej śmietany i masła, dzięki czemu mleko płynęło obfitym strumieniem.

Od kiedy Dina przeforsowała swój zamiar uczynienia jej matką chrzestną swego dziecka, Laponka zdobyła sobie szczególną, choć nie nazwaną pozycję, niekwestionowaną także poza Reinsnes.

Dina natomiast zachowywała się tak, jakby zapomniała o całej historii, gdy skończyły się chrzciny.

Stine wzięła na swoje barki nocne czuwanie, karmienie, zmienianie pieluch. Cieszyła się z uznania, jakie jej okazano. Miała w nosie wszystkie plotki i pozwalała sobie na luksus jedzenia śniadania w łóżku i delectowania się malinami moroszkami z gęstą śmietaną nawet w powszednie dni. Oraz świeżutkim masłem i mlekiem z miodem na wzmocnienie i poprawę apetytu.

Starła się nie myśleć o chwili, gdy chłopiec zacznie się odzwyczajać od piersi. Dzieliło ją od tego momentu jeszcze parę miesięcy i nikt nawet o tym nie wspominał.

Za każdym razem, gdy Stine układała dziecko w ramionach Diny, powstawał magiczny krąg. W końcu Dina przestała sama dotykać synka, czekając, aż Stine ułoży go na jej łonie. Stine miała pierwsze i ostatnie słowo w tym względzie.

Pewnego dnia Matka Karen i Oline nachylone nad karmiącą mamką, usłyszały słowa Diny:

– Stine zostanie u nas, jak długo zechce. Potrzebujemy jej nie tylko do karmienia!

Matka Karen szybko przeszła do porządku dziennego nad urazą spowodowaną faktem, że Dina nie poprosiła jej o radę.

W ten sposób zapadła decyzja, że nawet bezmleczne piersi nie pozbawią Stine jej pozycji na Reinsnes.

Tego dnia dziewczyna zaczęła się uśmiechać. Nawet ból zęba ustąpił, gdy zdobyła się na odwagę usunięcia go u kowala.

Tomasz nosił w sobie wspomnienie dnia Jakubowego pogrzebu. Czasów szaleństwa.

Miał przed oczami Dinę dosiadającą poręczu schodów. Nagą i wielką, układającą koszulę na lakierowanym drewnie, by się na niej ześlizgnąć.

Czasami wydawało mu się, że to był tylko sen. Innym razem nie był tego tak pewien.

I nagle, jak w olśnieniu, przyszło wspomnienie, że to on, Tomasz, leżał na owczej skórze w sypialni.

To oznaczało jego potajemną nobilitację i potępienie zarazem. Nie należał już do swoich. Nie szkodzi, że on jeden o tym wiedział.

Nosił głowę wyżej i rzucał czasem aroganckie spojrzenia, które nie przystoją biedakowi i chłopcu stajennemu.

Wiele osób zauważyło zachowanie Tomasza, nikt jednak nie wiedział, skąd się ono bierze. Chłopak był obcy na Reinsnes. Przywiozła go ze sobą Dina.

W czasie żniw ludzie jednak nawet nie próbowali z nim zadzierać. Na polu nikt nie mógł za nim nadążyć. Mężczyźni starali się więc nie stawać w pobliżu.

Gdy prosili, by trochę zwolnił, on jakby tego nie słyszał. Zawsze o ładnych parę metrów wyprzedzał swego partnera.

W końcu znaleźli na niego sposób. Stawiali go na cały dzień z widłami, by wrzucał siano na wóz. Zostawiali dla niego na wieczór najtrudniejsze odcinki pola. Posyłali po osetki albo wiadro ze zsiadłym mlekiem w czasie przerw.

Tomasz nigdy nie protestował. Zanurzał się w obrazach i wspomnieniach. Zapachach. Podczas długich godzin spędzanych z ciężkimi widłami we wzniesionych ramionach. Albo gdy biegał między polem a obejściem. Kiedy szukał nowych osetek, obracał kołem szlifierki czy napełniał wiadro kwaśnym mlekiem w kuchni Oline.

Tego lata, gdy urodził się Benjamin, ciało Tomasza było lepkie i ciemne od potu i słońca.

Codziennie po południu zanurzał się do pasa w balii stojącej na końskim wybiegu, a potem otrząsał się razem z końmi.

A jednak wciąż płonął. Jediną namiastką możliwości ugaszenia tego ognia były przejażdżki konne. Zawsze jednak dzieliło go od niej przynajmniej jego strzeżenie.

Tomasz oddałby duszę diabłu, gdyby mógł usunąć to żelazo.

Dina często kładła się w niewielkiej, głębokiej zatoczce za wzgórzem, na którym stał maszt. Dobrze ukryta między wzgórzami a brzoźowym laskiem. Bezpiecznie oddalona od pól i przystani.

Leżała na wodzie sięgającej aż do brody, a piersi unosiły się nad nią jak zwierzęta, które próbują nauczyć się pływać na własną rękę.

Czasami na skraju lasu stała Hjertrud i machała uniesioną ręką, gdy ona wychodziła na brzeg.

Wtedy Dina nieruchomiała, ledwo okryta koszulą albo ręcznikiem. Stała. Czekając, aż Hjertrud zniknie albo przemówi.

Gdy Dina wstała z połogu i zaczęła chodzić, Tomasz wysiłał całą swą inteligencję, by odkryć, kiedy ona się kąpie. Działo się to o najdziwniejszych porach doby.

Opracował swój własny system ostrzegawczy. Skuteczny, jeśli tylko on sam był gdzieś w obejściu.

Budził się w środku nocy w pełnej gotowości. Nawet lis mógłby mu pozazdrościć instynktu, z jakim przemykał się przez trawę koło izby czeladnej w stronę zatoczki.

Pewnego dnia stanął znieacka przed Diną. Odczekawszy z szacunkiem, aż się ubierze i zacznie iść ku ścieżce.

Między drzewami, w cieniu zatrzepotał mały ptaszek.

Oboje słyszeli gong obiadowy, dzwoniący gdzieś po drugiej stronie fiordu.

Powietrze właśnie odziało się w granatowe wieczorne cienie, w powietrzu brzęczały owady. Zapach wrzosów i spieczonych słońcem wodorostów zmieszał się z innymi woniami.

Dina zatrzymała się i mierzyła wzrokiem mężczyznę, który przed nią stanął. Pytająco. Jakby chciała się dowiedzieć, z kim ma do czynienia. Między jej brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka. Stracił pewność siebie. A jednak musiał się zdobyć na odwagę.

– Miałś dać mi znać...

– O czym?

– Że chcesz się ze mną spotkać.

– A po co miałabym się z tobą spotykać?

Poczuł, że jej głos miażdży mu wszystkie kości. Nadal jednak stał wyprostowany.

– Bo... Że... Wtedy kiedy Jakub... Tego dnia w sypialni...

Szeptał. Jęczał. Przynosił jej te słowa niby jagnię ofiarne.

Wszystko ma swój czas! W jej głosie było zdecydowanie, z jakim podkreśla się podwójną kreską wynik sumowania rachunków w składzie. Tyle a tyle nadwyżki. Tyle a tyle długów do odebrania. Tyle a tyle przepań z powodu kiepskich połowów.

– Tak... ale...

Odwołała się do swojego uśmiechu. Tego, którego nikt nie rozumiał. Oprócz Tomasa.

On bowiem poznał kiedyś inną Dinę. W sypialni. Od tamtej pory nie lubił jej uśmiechu.

– Teraz jest inny czas. Ludzie robią to, co muszą – powiedziała, spoglądając mu prosto w oczy.

Rozszerzyły się jej źrenice. Dostrzegł bursztynową plamkę na lewej tęczę. Mróz wionący z ołowianoszarych oczu sprawił mu fizyczny ból. Sparaliżował. Tomasz nie mógł się ruszyć. Nawet gdy dała wyraźny znak, że chce przejść. Nie ważył się jej dotknąć, choć była tak blisko, oddzielona od niego tylko skórą i ubraniem.

Wtedy nagle coś jej przyszło do głowy. Uniosła dłoń i położyła na jego pokrytym meszkiem policzku. Lepkim od gorąca, napięcia i wstydu.

– Zapomnij o tym, co było – rzekła jakby z oddali. – Ale wciąż możesz jeździć ze mną konno.

Tego samego wieczoru, zanim włosy Diny zdążyły wyschnąć, wybrali się na przejażdżkę.

Kilka razy pokierowała Szatanem tak, że jej but dotykał nogi Tomasza.

Jesień zaczynała dawać o sobie znać. Liściasty lasek już mienił się żółcią, a osika jakby stanęła w płomieniach.

Nie odważył się pytać czy prosić. Nie zniósłby drugiej rekuzy tego samego dnia.

Ogień pożerający jego ciało trawił go nadal. Tomasz spał niespokojnie trapiiony wieloma bezwstydnymi snami, których nie odważyłby się opowiedzieć w izbie czeladnej.

Czasami przerywał na chwilę pracę i czuł zapach Diny. Myślał nawet, że ona stoi tuż za nim, i odwracał się zniechęca. Ale nigdy jej nie było.

Tymczasem wierzbówka zasnuwała swymi czerwono-fioletowymi kwiatami pobocza dróg i dzikie łąki.

Ptasie pisklęta już dawno nauczyły się fruwać. Mewy i rybitwy stłumiły swe krzyki, wydając zaledwie apatyczny skrzek, gdy tylko spostrzegły gdzieś dorsza. Studnia była już prawie pusta.

ROZDZIAŁ CZWARTY

KTO BY PORWAŁ CZŁOWIEKA I SPRZEDAŁ GO, ALBO ZNALEZIONO BY GO
JESZCZE W JEGO RĘKU, WINIEN BYĆ UKARANY ŚMIERCIĄ.

(Księga Wyjścia, 21, 16)

Dina unikała ludzi, podsycając tym obawy Matki Karen, że znów wróciła do swych niestosownych obyczajów i ekstrawagancji.

Młoda pani na Reinsnes budziła zainteresowanie obcych. Przybierała postawę właściwą zamożnym mężczyznom o sporym autorytecie. Bez wahania sięgała po poobiednie cygaro, jeśli się nadarzała po temu sposobność. Jakby pragnęła szokować i prowokować.

Gdy panowie kierowali się do palarni, Dina podążyła za nimi.

Kładła się na szezlongu ze skrzyżowanymi nogami. Dłoń trzymającą cygaro wspierała leniwie o pluszowe oparcie.

Potrafiła nawet zrzucić buty.

Nie mówiła zbyt wiele. Rzadko uczestniczyła w dyskusjach, ale zawsze zwięźle korygowała wszystko, co wydawało się jej niesłuszne.

Panowie czuli się niezręcznie, na cenzurowanym. Godzinka przeznaczona na poncz i cygaro traciła coś ze swego uroku.

Obecność Diny i jej mimika działały panom na nerwy. Nie można było nawet grzecznie dać jej do zrozumienia, że jest tu niepożądana, bo przecież była panią tego domu. A ona nie pozwalała się ignorować.

Czuli się przy niej jak w obecności pastora. Nie można było rozprostować pleców, opowiedzieć prawdziwych dykteryjek.

Bo Dina przysłuchiwała się wszystkiemu ze swoim szczególnym uśmiechem. Budząc w nich nieprzyjemne poczucie, że się wygłupiają.

Najbardziej zawstydziała ich wówczas, gdy wtrącała się do rozmowy, korygując liczby, daty albo wypowiadała się na temat opłacalności jakichś przedsięwzięć czy też tego, o czym pisały gazety.

Z początku przypuszczano, że Dina będzie się zrywać, biec do Beniamina, gdy tylko usłyszy jego płacz gdzieś w głębi domu. Ona jednak w takich sytuacjach potrafiła nie mrugnąć nawet okiem.

Niels nie mógł tego znieść na dłuższą metę. Swoją szklaneczkę ponczu zaczął wypijać na dole, w biurze. W jednym rogu pomieszczenia urządził z czasem mały salonik.

Diny zaś nie można się było pozbyć. Nie spuszczała swego argusowego oka z rachunków. W biurze także popijała poncz.

Gdy Benjamin skończył roczek, Dina zastała Stine pochyloną nad jego głową i pogrążoną we łzach.

Łzy kapały bez ustanku. Bezgłośnie. Chłopczyk gapił się na swą mamkę nie wypuszczając sutka. Co jakiś czas przymykał jedno oko, instynkt podpowiadał mu bowiem, że jakaś łza może zamglić mu spojrzenie.

Stine zaczęła już tracić mleko, więc Benjamin oddawał się ssaniu, żeby zaznać trochę pieśszcota i bliskości. Matka Karen uważała, że pora go odstawić od piersi. Mimo licznych wykrętów dziewczyny Dina wyciągnęła z niej w końcu, o co chodzi.

Stine pozwoliła się uwieść. Sądziła, że nie zajdzie w ciążę, skoro karmi. Ale ta stara zasada najwyraźniej nie dotyczyła takich jak ona.

Z początku nie chciała zdradzić imienia ojca. Dina jednak nie poddawała się.

– Nie możesz u mnie mieszkać, jeśli nie powiesz mi, kto jest ojcem dziecka i od kogo trzeba żądać zadośćuczynienia.

– To niemożliwe – łkała Stine.

– Dlaczego?

– Bo to jest pan.

– Więc to nie ktoś z Reinsnes?

Stine płakała.

– Ze Strandsted?

Stine pociągnęła nosem i pokręciła głową.

– Może z Sandtorg?

Dina nie przerywała indagacji, aż usłyszała to, co już przedtem w zasadzie wiedziała. Że ojcem dziecka jest Niels.

Niels korzystał ze swego saloniku w opustoszałym nocami składzie nie tylko w porze poobiedniego ponczu.

– Doszły mnie słuchy, że będziesz ojcem!

Dina zamknęła za sobą drzwi kantorka i ujęła się dłońmi pod boki. Niels siedział za dębowym biurkiem.

Spojrzał na nią. Ale tylko przelotnie. Jego oczy z początku ciągle jej umykały.

Po chwili zmienił strategię.

Oddech mu się rwał, gdy usprawiedliwiał się potoczyście, jakby chodziło o podarty worek z cukrem.

– Co za bzdura! – rzekł w końcu stanowczo.

– Jesteś już wystarczająco dorosły, by kontrolować własne czyny, nie muszę ci więc nic mówić. Dzieci nie poczynają się z Ducha Świętego. W każdym razie nie tutaj! Tak było z Panem Jezusem! Jeden jedyny raz! Zdaje się, że właśnie tutaj przespałeś się ze Stine. W tym pokoju?

Niels pospieszył z zaprzeczeniami, zanim Dina dokończyła zdanie. Przez chwilę przekrzykiwali się wzajemnie.

Oczy Diny miały błyskawice gniewu i pogardy, pomieszanych ze swoistą radością.

Zbliżała się z wolna do biurka, nie spuszczać z Nielsa oczu. Pochyliła się nad nim i oparła mu dłoń na ramieniu. Rozległ się jej głos przypominający mruczenie kota wyciągniętego na słońcu:

– Chyba jesteś na tyle dorosły, by umieć się zdecydować. Teraz możesz wybrać jedno z dwojga: poprowadzić Stine do ołtarza albo wynieść się z Reinsnes na zawsze! Z półroczną pensją!

Niels pobladł, jakby pokrył go szron. Może przeczuwał, że Dina tylko szuka okazji, by się go pozbyć. Zrozumiał to już wtedy, gdy pierwszy raz wertowała protokoły w biurze.

– Chcesz mnie wygnać z domu matki Ingeborg! – rzucił wielce poruszony.

– Wiele wody upłynęło od chwili, gdy Ingeborg była tu panią – zauważyła Dina z nutą szyderstwa w głosie.

– Johan dowie się o tym jeszcze dzisiaj!

– Nie zapomnij powiedzieć także, że za pół roku będziesz ojcem i że próbowałeś zostawić Stine samą z tym brzemieniem! Johan, który się uczy na księdza, na pewno pochwali cię za to!

Okręciła się wolno i chciała odejść.

– Czekam do wieczora na twoją decyzję – dodała odwrócona plecami i skinęła głową w kierunku sprzedawczyni, która stała bardzo blisko drzwi, strzygąc uszami.

* * *

Zjawił się na górze w sypialni po zmierzchu, kiedy grała w domino. Byli dobrze przygotowani. Oboje.

Przecież nie może się ożenić z Laponką! Która w dodatku miała już dziecko z innym, tyle że maleństwo umarło. Dina powinna to zrozumieć.

Szczerze mówiąc, miał inne zamiary. Upatrzył sobie dziewczynę z dobrego rodu. Wymienił jej imię. Uśmiechnął się do Diny na próbę.

– Ale potrafisz zapomnieć o swoich szlachetnych uczuciach i o tym, że Stine jest Laponką, gdy rzuciłeś ją na podłogę w biurze!

– Przecież ona też w tym brała udział!

– Tak, oczywiście, ona dalej bierze w tym udział. Owoc rośnie i dojrzewa w jej tonie. Tylko ty już zrezygnowałeś ze swego udziału.

– Jakub nie byłby zadowolony z tego, że zmuszasz mnie do odejścia.

– Nie tobie sędzić, z czego Jakub byłby zadowolony, to wiem tylko ja!

– Wypędzasz mnie z domu!

Niels opadł na krzesło.

Dina podeszła do niego i dotknęła jego ramienia. Pochyliła nad nim swe jędrne ciało.

– Potrzebujemy cię tylko w dniu ślubu. Potem możesz zostać albo wyjechać – powiedziała cicho. – Jeśli zostaniesz, podwoję ci wynagrodzenie, dla dobra Stine.

Niels pokiwał głową i potarł twarz. Bitwa była już przegrana.

Po żwirowanej ścieżce między domami krążyła tego wieczoru tragiczna postać. Niels nie chciał jeść kolacji. Nauczył się, że trzeba uważać, jeśli nie zdobyło się jeszcze niepodważalnej pozycji. Każdy pan dyktuje swoje prawa.

Prawa Diny były jedyne w swoim rodzaju.

Niels działał bardzo przebiegle przez wiele lat. Wykazywał wyborny talent do interesów, gdy w grę wchodziły jego własne zyski. Te sumy nie figurowały w żadnej księdze.

Czasami rybacy i chłopci przychodzili do Matki Karen albo do Andersa, skarżąc się na bezwzględność, z jaką Niels ich traktował, gdy nie mogli spłacić swych długów.

Zdarzało się nawet, że Matka Karen regulowała wierzytelności, byle tylko Niels dał spokój jakiemuś biedakowi.

Utrzymywał, że nie może pozwolić, by rozniosła się plotka o umarzaniu długów, bo wszyscy przybiegliby natychmiast skarżyć się na swą biedę w nadziei na takie samo potraktowanie.

Dlatego Matka Karen płaciła.

Dina nie wtrącała się w te sprawy, jeśli tylko dług był odnotowany w księgach.

Czasami jednak Niels usiłował ściągać sumy, które tam nie figurowały. Powoływał się wtedy po prostu na ustną umowę.

Wszystko pozostawało tajemnicą, dopóki ktoś nie przyszedł na skargę.

Dina zacisnęła usta i powiedziała:

– Liczby, które nie figurują w rachunkach, nie są żadnymi liczbami! Nie wolno ściągać tych długów!

Niels musiał skapitulować.

Zabiegał, by następnym razem ludzie nie mieli powodu do narzekania.

Jego zarobek leżał w ukryciu równie tajemnym jak skarby niebieskie.

Nikt już nie pamiętał, że kiedyś Niels podjął się naprawienia przegniłej podłogi w biurze. W kącie koło drzwi, gdzie stała umywalka z marmurowym blatem.

Dziewczęta nie przestawiały tego mebla. Umywalka była ciężka. Szorowały tylko podłogę wokół. Przesuwały szmaty wokół pomalowanego na niebiesko postumentu.

Z czasem od szorowania zaczęła się łuszczyć farba i pojawił się pasek gołego drewna. Banknoty leżały bezpiecznie pod ruchomymi, wstawionymi deskami podłogi. W puszcze z najlepszej cyny. Majątku przybywało.

Niels nie widział różnicy między świętem a dniem powszednim, gdy można było coś kupić albo sprzedać z zyskiem.

Beniamin powinien już być w łóżku, a tymczasem Stine gdzieś zniknęła. Przez cały dzień bawił się motkami wełny w krzykliwych kolorach na poddaszu izby czeladnej, gdzie dziewczęta pruły dzianinę.

Zdenerwowało je marudzenie zmęczonego dzieciaka, którego już dawno miał ktoś zabrać.

Posłała zaraz wiadomość Oline. Rozpoczęły się poszukiwania.

Dina we własnej osobie zaglądała wszędzie. Na próżno. Nigdzie nie było śladu, nawet cienia Stine.

Trzeciego dnia Dina odnalazła dziewczynę w jej rodzinnej chałupie rybackiej.

Popłynęła tam w towarzystwie Tomasza, żeby sprowadzić ją do domu. Stine siedziała przy piecu, mieszając kaszę. Z twarzą ociekającą sadzą i łzami.

Nie chciała mówić. Zerkała jedynie wstydliwie na siedzącą wokół rodzinę. W chałupinie była tylko jedna izba. Żadnego miejsca na poufną rozmowę.

Odezwała się dopiero wtedy, gdy artretyczny i kościsty ojciec chrząknął i spojrzął na nią ciepło.

– Nie chcę wyjść za mąż za Nielsa!

Wolała już wziąć na siebie cały wstyd i karę za cudzołóstwo. Nie chciała się męczyć przez całe życie z kimś, kto ożeniłby się z nią pod przymusem, aby dzięki temu pozostać na Reinsnes.

– Mieszka tu cały czas, od kiedy został sierotą mając czternaście lat! – dodała. W jej słowach brzmiała oskarżycielka nuta.

Jam jest Dina. Nie powinnam płakać, wszystko musi być takie, jakie jest. Stine płacze. Noszę ją w sobie. Ciężką czy lekką. Tak samo jak noszę Hjertrud.

Wszyscy obecni usłyszeli, jak Dina, pani na Reinsnes, prosi o wybaczenie. Raz po raz.

Stary ojciec Stine siedział w kącie. Jej młodsza siostra zajęła się gotowaniem. Kilkunastoletni chłopak poszedł po drewno.

Nikt nie próbował się wtrącać. W końcu zaproszono wszystkich do stołu. Na zupełną śledziową i podpłomyki. Stół był z surowego drewna. Wyszorowany do białości, niby owiane wiatrem kości wieloryba. Nad stołem unosiły się gęste opary uczuć.

Plotka rozniosła się szybko. Jak iskra między płonącymi, wyschniętymi sosnami. Niels powinien dziękować Bogu, że nie musi zaglądać do izby czeladnej. Nie oszczędzano go tam.

Stine dała kosza Nielsowi! Cóż za wesoła historia. Niels płaszczył się i próbował odzyskać szacunek. Służące od niego stroniły. Mężczyźni go unikali. Jakby był trędowaty. Wyroki poniżonych bywają miażdżące.

Stine wróciła na Reinsnes. Zaokrągliła się nieco. Kiedy ustąpiły pierwsze poranne mdłości, odzyskała zdrowe rumieńce na policzkach.

Śpiewała Beniaminowi i jadła z apetytem.

Matka Karen konwersowała z przybyszami z daleka i z bliska, opowiadała o latach spędzonych na podróżach w Europie. Wciąż te same historie. Nikt się jednak tym nie przejmował.

Dla prawdziwie dostojnych gości te opowieści zawsze były nowe, słuchali ich po raz pierwszy.

A starzy bywalcy przyzwyczaili się do jej dykteryjek jak do pół roku. Matka Karen miała w zanadru historie dla każdego niezależnie od wykształcenia czy temperamentu. Potrafiła też skończyć w porę.

Często opuszczała towarzystwo z westchnieniem już w czasie godzinki przeznaczonej na poncz, napomykając przy tym, że chciałaby być młodsza i bardziej żwawa.

Wtedy Dina przejmowała pałeczkę swymi bezwzględными palcami. Płynęła muzyka. Wyzwolenie. Gorączka! Ogarniała całe gospodarstwo, po kres pół. Wzdłuż plaży. Dosięgała Tomasza w twardym łóżku w czeladnej izbie. Sprawiała radość i ból. Zależnie od tego, gdzie ugodził ton.

ROZDZIAŁ PIĄTY

WSZYSCY BOWIEM UMRZEMY Z PEWNOŚCIĄ I JESTEŚMY JAK WODA
ROZLANA PO ZIEMI, KTÓREJ JUŻ ZEBRAĆ NIEPODOBNA. BÓG JEDNAK NIE
ZABIERA ŻYCIA W TEN SPOŚÓB. OBYŚL WIĘC SPOŚOBY, ABY
WYGNANIEC DŁUŻEJ NIE POZOSTAWAŁ NA WYGNANIU.

(Druga Księga Samuela, 14, 14)

Pewnego dnia w drzwiach kuchni na Reinsnes stanął brat Stine. Odziany w prosty strój lapońskiego rybaka z garbowanej skóry renifera oraz w niebieską kalotkę obszytą wstążeczką. Znoszone buty ociekały wodą.

W domu zabrakło mąki. Zabłądził gdzieś w górach, kiedy zmierzał ku Reinsnes, by poprosić o wsparcie. A na Eidet natknął się niespodzianie na niedźwiedzia.

Z przerażenia zgubił jedną nartę, która wpadła w przepaść. Brnął więc przez głębokie śniegi całą resztę drogi.

Chłopiec trzymał ręce przed sobą, jakby stracił w nich czucie. Był wiotki i mały jak jego siostra. W ubiegłym roku przyjął bierzmowanie i nie miał jeszcze żadnego zarostu na brodzie. Tylko trochę meszku tu i ówdzie oraz smoliście czarną grzywkę nad bystrymi oczami.

Oline spostrzegła od razu, że odmroził sobie dłonie. Stine krążyła w milczeniu, czyniąc jakieś przygotowania. Moczyła wełniane gałganki w tranie.

Stine owijała właśnie palce brata, gdy do kuchni wkroczyła Dina. W powietrzu czuć było tran, pot i wilgoć ubrań. Chłopiec siedział na stołku na samym środku pomieszczenia. Ulegle poddawał się zabiegom.

– Co się stało? – zapytała Dina.

Gdy słuchała ich wyjaśnień, do kuchni wszedł z korytarza Jakub, roztaczając smród gnijącego mięsa. Niepodobny do żadnego innego zapachu.

Dina chwyciła się framugi i oparła o nią, by złapać równowagę. Potem zbliżyła się do chłopca i spojrzała na jego nieszczęsne dłonie. Wtedy zniknął zapach Jakuba.

Patrzyła, jak Stine smaruje i owija te ręce. Chłopiec popłakiwał trochę. W niebieskiej kuchni zapadła cisza. Przerzywana tylko skrzypieniem podłogi w takt kroków dziewczyny.

Dzięki siostrzanej kuracji chłopiec się wylizał. Został na Reinsnes, żeby całkiem wyzdrowieć. Zakwaterowany w izbie Tomasza.

Nie mógł się na nic przydać. Ale po paru dniach zaczął mówić.

Tomasz potraktował tę niespodziewaną przyjaźń z pewnym dystansem. Aż do chwili, gdy zauważył, że opieka nad chłopcem pozwoli mu zbliżyć się do Diny.

Dina pytała Tomasza o samopoczucie brata Stine. Życzyła chłopcu powrotu do zdrowia za jego pośrednictwem.

Tomasz nauczył Dinę strzelać z lapońskiej rusznicy, zanim przeniosła się na Reinsnes. Lekcje odbywały się w wielkiej tajemnicy na wzgórzu powyżej Fagerness, gdy wybierali pardwy z sideł. Tak aby wszyscy w domu sądzili, że Tomasz ćwiczy strzelanie.

Referendarz miał zaufanie do chłopca i liczył, że Tomasz nie traci prochu na próżno.

Później Tomasz dostał lapońską rusznicę od referendarza jako dowód uznania. Za wkład chłopca w polowanie na niedźwiedzia, który ukradł referendarzowi wiele owiec.

Dla Tomasza ten podarunek oznaczał swoiste wtajemniczenie. Miał zostać łowcą niedźwiedzi.

Rusznica pochodziła z warsztatu Lapończyka, który znał swój fach. Był to najcenniejszy przedmiot, jaki Tomasz posiadał.

Jeśli tylko ktoś mówił o niedźwiedziach, Tomasz zawsze zapewniał sobie uczestnictwo w polowaniu. Nie udało mu się jeszcze własnoręcznie upolować zwierzka.

Dina znała tajniki sztuki strzelania, ale nie miała okazji wprawić się w myślistwie.

Referendarz akceptował fakt, iż jego córka potrafi posługiwać się bronią, pod warunkiem że nie wspominała o tym przy gościach.

Jakub natomiast uważał, że wążanie prochu nie przystoi kobiecie. Proch jest cenny jak złoto!

Musiał jednak pogodzić się z tym, że Dina oddaje się nie tylko paleniu cygar, ale i ćwiczeniom strzeleckim, które podjęła po przyjeździe na Reinsnes.

Rusznica był krótka, miała piękną lufę. Prosty i niedoskonały zamek wymagał sporej wprawy od strzelca.

Broń nie miała przykrywanego magazynku na proch, a gdy wypalała, uszy przeszywał świst.

Dina poznała już kilka chwytów. Dłoń i spojrzenie stanowiły jedną całość z bronią. Okazało się, że z rusznicą Dina obchodzi się równie sprawnie i szybko jak z liczbami.

Spotkanie z niedźwiedziem, o którym opowiadał brat Stine, musiało zdarzyć się naprawdę. Wielu już widziało zwierza. Zapewne wałęsał się więc po górach. W każdym razie nie zamierzał układać się do snu od razu. Niedźwiedź morderca. Niezbyt duży. Wystarczająco jednak silny, by powalić łapą dwie owce, których brakowało w stadzie schodzącym z gór jesienią.

Pewnego wieczoru Dina przysłała do izby czeladnej odwiedzić Tomasza. Wyśledziła moment, kiedy był sam w swoim pokoju.

– Jutro idziemy na polowanie, Tomaszu. Musimy ustrzelić tego niedźwiedzia, który tu krąży! – powiedziała.

– Myślałem już o tym. Ale, Dino! Nie możesz ze mną iść! – odparł Tomasz – Pójdę z chłopami z...

– Cicho! – przerwała mu. – Nikt nie będzie wiedział, co zamierzamy. Upolujemy niedźwiedzia we dwójkę! Słyszysz? Powiemy, że idziemy zakładać sidła.

Zapadła cisza.

Wreszcie Tomasz podjął decyzję. Skinął głową. Mógłby pójść na niedźwiedzia nawet sam, byle tylko mieć ją dla siebie całymi godzinami. Od świtu do zmierzchu.

Przygotowali sidła. Tomasz schował broń do swego worka.

Zastawili wnyki nieopodal domu, bo tego roku było pełno pardw. Żerowały na skraju lasu i nie spieszyły się z powrotem w góry.

Śnieg spadł dość wcześnie i przysypał całą okolicę. Jeszcze nie można było przypiąć nart. Teren był zbyt nierówny i kamienisty. Wielogodzinny mozolny marsz przez śniegi mógł być męczący. Ale nie rozmawiali o tym.

Pardwy jeszcze nie zmieniły upierzenia i wyraźnie odróżniały się od białego tła.

Potem wyruszyli zapolować na misia. Dina kroczyła lekko pochylona, przypatrując się drzewom. Idący przed nią Tomasz niósł rusznicę.

Całymi godzinami krążyli po terenach, na których ostatnio widziano niedźwiedzia. Nie dostrzegli jednak żadnych śladów. Nie słyszeli odgłosów. W końcu musieli zawrócić, bo zapadał zmrok. Byli wyczerpani. Tomasz niósł w piersiach rozczarowanie, że nie znaleźli misia.

Wrócili do sideł zastawionych na pardwy, by pochwalić się przynajmniej tą zdobyczą.

Tomasz wyplątał ptaki i zawiesił je u pasa. Jedna z pardw niemal oderwała sobie skrzydło, usiłując się uwolnić z pułapki. Czerwone krople wżarły się w zmarznięty śnieg. Inny ptak jeszcze żył, gdy Tomasz wydobył go z sideł. Dwa gorejące węgielki mrugnęły parę razy w ich stronę, zanim Tomasz ukreślił małą główkę i zakończył wszystko. Szron pokrył wrzosowiska. W powietrzu unosił się mroźny dymek krzyżujących się oddechów.

Nie zrezygnowali z łowów, choć zesli już dość nisko. Trzymali się w pewnej odległości od siebie.

W pułapce na lisa znaleźli uwięzionego zająca ze skaleczoną tylną łapą. Mimo to udało mu się skoczyć do przodu, gdy Dina uwolniła go z sideł. Kicał niepewnie między brzozowymi pniami i przycupnął gdzieś za krzakiem. Dina i Tomasz ruszyli za nim. Dopadła go Dina.

Ujęła jakąś gałąź i próbowała uderzyć zwierzę w głowę. Trafiała gdzieś w tył jego ciała.

Wstrząsnął się cały, zanim umknął po śniegu na trzech łapach. Po chwili odwrócił się w jej stronę. Zakwilił jak roczne dziecko. I zaczął pełznąć ku niej, wlokąc za sobą strzaskany zadek. Rozdzierał jękami białe powietrze, a śnieg wokół niego powoli się czerwienił.

– Uderz! – zawołał Tomasz, gdy zwierzę leżało u stóp Diny.

Stała z dłonią wyciągniętą w stronę zająca. Jego oczy już zasnuwała śmierć.

*Jam jest Dina z pralni na Fagerness. Para nie tłumi krzyku
Hjertrud. Krzyk wydobywa się na zewnątrz.
Śpiewa w oknach. Drży we wszystkich twarzach. Wibruje w
kryształach lodu w beczce z wodą. Cały świat stoi w różu i bieli od
krzyku i pary. Hjertrud zostaje wydrążona ze swego ciała.
Gwałtownie i nierównomiernie.*

– Uderz! – zawołał raz jeszcze Tomasz.

Odwrociła wtedy głowę i spojrzała na niego tak, jakby nie było dlań miejsca w tej rzeczywistości. Tomasz rzucił jej zdziwione spojrzenie. Jego usta wygięły się w lekkim uśmiechu.

Teraz on miał przewagę. Pierwszy raz. Złożył się i strzelił. Uderzenie było tak silne, że zając wbił się w górę. Głowa i całe maleńkie ciało obróciło się w powietrzu. Delikatnym, bezgłośnym ruchem.

Zapadła cisza. Owiał ich dym wystrzelonego prochu. Dina odwróciła się. Kawałki białego futerka walały się w czerwonej padlinie. Tomasz przewiesił rusznicę przez ramię. Paraliżował ich gryzący zapach krwi.

Kiedy Dina znów spojrzała w stronę Tomasza, mężczyzna wpatrywał się w nią. Z uśmiechem wtajemniczonego.

Przeistoczyła się w rysiec, rzucającą się do gardła swej ofierze.

Śniegowa skorupa zazgrzytała, gdy ciężkie męskie ciało runęło, przywalone wielką kobietą.

Kiedy toczyli się po śniegu, rozdarła mu ubranie i wbiła zęby w jego szyję. Dopiero po chwili zebrał się w sobie i przystąpił do obrony. Oboje tracili oddech.

Wreszcie zastygł pod nią spokojnie i pozwolił sobą powodować. Dina obnażyła jego przyrodzenie i gniotła je w swych zimnych dłoniach, mamrocząc przy tym niezrozumiałe, nieskładne słowa. Zrazu wykrzywił twarz w grymasie bólu i skulił się. Potem zamknął oczy i wziął cały ból do środka.

Członek unosił się powoli, wychodząc jej na spotkanie swą gorejącą z pożądania główką. Dina nie mogła wyplątać się z ubrań. W końcu sięgnęła po finkę Tomasza i ciachnęła nią ubranie.

Chłopak poruszył się gwałtownie, gdy mignęło ostrze. Ale ona po prostu dosiadła go całym ciężarem i otworzyła się na przyjęcie jego lancy. Pogalopowała. Szaleńczo.

Uniosła się na kolanach, po czym z głuchym pomrukiem przyłgnęła do niego ciałem.

Czuł, jak całą jego istotę pochłania jej ciepła pochwa. Czasami Dina się unosiła i wtedy muskało go lodowate powietrze. Lodowe igły wierciły w nim dziury.

Chwycił jej biodra zakrwawionymi rękami i trzymał ją mocno. Mocno.

Włosy przesłoniły mu twarz jak mroczny las. Wieczorne niebo wykuło mu oczy, gdy raz próbował na nią spojrzeć. Strzępy zajęcia były im świadkiem. Czerwień i biel.

Gdy wszystko się skończyło, Dina osłabła – i wciąż leżała na nim całym ciężarem.

Jej twarz wilgotniała. Krople kapaly na szyję Tomasza. Nie poruszył się. Do chwili, gdy dał się słyszeć płacz. Wtedy odgarnął gąszcz włosów i zobaczył jedno jej oko. Przepastną przerebel.

Oparł się na łokciu, szukał jej czoła, jej ust. W nim też coś pękło. Mokry od topniejącego pod nim śniegu, atakowany zewsząd zimnem.

Jej ciało zaraziło się dygotaniem Tomasza, jego długimi, zimnymi drgawkami. Słońce już dawno schroniło się w górach. Śniegowa skorupa wbijała lodowate igły w ich ręce.

Podnieśli się, by powędrować do domu ręka w rękę. Dopiero wtedy, gdy znajdowali się już blisko zabudowań i w każdej chwili ktoś ich mógł zaskoczyć, ręce się rozdzieliły. Nie padło ani jedno słowo.

Tomasz niósł pardwy. Dina trzymała rusznicę. Skierowana ku ziemi lufa kołysała się w takt jej kroków.

W domu Tomasz odchrząknął i powiedział, że wolałby, żeby to był lis. W ubiegłym roku upolował czarnego lisa. Sprzedał go rosyjskim handlarzom za sporą sumę. Dziesięć talarów to dobry zarobek.

Dina nic nie odpowiedziała.

Wszedł księżyc. Było późno.

Hjertrud się nie pojawiała. Nie pozwoliła się zwabić ze swych kątów nawet na chwilę.

Za to Jakub hałasował jak młyn. O piątej nad ranem wzięła zająca wiszącego pod powałą izby czeladnej, naostrzyła nóż i odarła zwierzę ze skóry. Nie było innej rady.

Ciągnęła tak mocno, że pękały jej skronie, aż skóra wreszcie się poddała. Niechętnie, ale jednak... Martwe zwierzę podkurczyło pod siebie niebieskawe, odarte kończyny, gdy Dina je puściła. Jakby wciąż się broniło przed nadejściem końca.

Odcięła kończyny i zaczęła dzielić mięso. Praca, do której nie nawykła, szła jej opornie. Krzyk rozdzierający uszy cichł z każdym odkrajanym od pierwotnej całości kawałkiem, który przybierał wygląd najzwyczajszego mięsa.

Wiatr świstał po kątach. Nóż chrzęścił na kościach i chrząstkach. Krzyk słabł coraz bardziej. Aż wreszcie Hjertrud stanęła koło niej z nienaruszoną twarzą i otoczyła je błogosławiona cisza.

W końcu Dina włożyła zająca do zimnej wody. Niebieskawa błona okalająca mięso posyłała tęczę jej oczom.

Dina postawiła przykryty garnek z zającem na pomocniczym stole. Uprzątnęła blat. Usunęła krew i skórę, żeby żywiące się padliną zwierzęta albo ptaki nie zdołały potem rozwlec resztek.

Ręce jej mdlały od wysiłku i lodowatej wody. Roztarta je i przez chwilę krążyła po pokojach, czekając na świt. Potem powoli się rozebrała i usnęła, podczas gdy całe gospodarstwo właśnie się budziło.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

WY TAKŻE MIŁUJCIE CUDZOZIEMCA, BOŚCIE SAMI BYLI CUDZOZIEMCAMI
W ZIEMI EGIPSKIEJ.

(Księga Powtórzonego Prawa, 10, 19)

Reinsnes otrząsnęło się z odrętwienia. Właściwie trudno byłoby wskazać przyczynę. Choć Matka Karen sądziła, że to się zaczęło wtedy, gdy Dinę wreszcie oplotła sieć, zwana odpowiedzialnością. Starsza pani nie szczędziła synowej pochwał.

– Jesteś bardzo zdolną kupcową, droga Dino! – mawiała. Nie wspominając nawet, że przydałaby się i gospodyni.

Matka Karen się postarzała. Przeniosła się na dół, do pokoju za bawialnią. Wchodzenie po schodach zbyt ją męczyło.

Najęty stolarz usunął ścianę dzielącą przedtem pomieszczenia na dole. Było więc dość miejsca i na łóżko, i na biblioteczkę.

Starsza pani nie mogła się rozstać z tymi meblami, podobnie jak ze starym barokowym krzesłem o wysokim oparciu.

Choć w drzwiach biblioteczki zawsze tkwił klucz, nikt poza Matką Karen nie dotykał zamka.

Pokój wytapetowano i pomalowano na jasny kolor. Dina nie szczędziła świekrze pomocy. Tak to w owym czasie nawiązała się między nimi nić porozumienia.

Matka Karen cieszyła się, że synowa wykazuje wiele zmysłu praktycznego i że prace posuwają się szybko pod jej okiem. Myślała przy tym nie po raz pierwszy: gdybyż tylko Dina była równie rozsądna i silna we wszystkich sprawach, które dotyczą Reinsnes!

Albo też mamrotała sama do siebie pod nosem:

– Gdybyż tylko Dina wyszła za mąż za porządnego człowieka!

Beniamin podrósł i zaczynał penetrować Reinsnes. Jego ścieżki prowadziły aż do spichrzów nadbrzeżnych, do kramu i na sam szczyt sterty siana w stodole. Uparty niczym gałązka iwy, włóczył się z Hanną, córką Stine. Zęby poznać świat poza granicami białego domostwa. Z nieodłączną głęboką zmarszczką między brwiami.

Nigdy nie nauczył się mówić „mama”. Nie miał nikogo, kogo mógłby nazwać ojcem. Wokół było jednak wiele kolan, na które mógł się wspinać.

Każdy miał swoje imię. I swój własny zapach.

Potrafił siedzieć z zamkniętymi oczami i mimo to wiedzieć, do kogo należy woń, którą wdycha. Wszyscy ludzie istnieli dla niego. Nie obchodziło go, że mają jakieś inne rzeczy do zrobienia. Jeśli czegoś potrzebował, zawsze ktoś mu służył pomocą.

Najlepsza była Stine. Pachniała wodorostami i jagodami dojrzałymi w słońcu. Zapach rozciągało jej ubranie, które nocami wisiało na dworze. Jej ręce przypominały zwierzęta. Brązowe, o krótko przyciętych paznokciach.

Ciemne, sztywne włosy przylegały do skroni. Nie wiły się wokół spoconego czoła, jak u Diny. Najprzyjemniej pachniał pot Stine. Niczym otwarte szuflady z przyprawami. Ładniej niż poziomki rosnące za ogrodem.

Matka Karen miała dobre oczy, a w zanadru niezliczone opowieści. Jej słowa przyplływały jak przyjazny wiatr. Była podobna do swoich własnych kwiatów. Rosły w doniczkach stojących na parapecie i marniały trochę zimą.

Dina była niedostępna niczym burza gdzieś daleko na morzu. Chłopiec nie garnął się do niej. Jej oczy mówiły jednak wyraźnie, do kogo Benjamin należy.

Ona nie snuła opowieści. Tylko czasami obejmowała go za szyję. Mocno. Ale i tak było mu z tym dobrze.

Sadzała go na konia. Wtedy, gdy miała czas, by iść obok niego i trzymać wodze. Przemawiała spokojnie do Szatana. Patrzyła jednak na Beniamina.

Powiadali, że Hanna jest dzieckiem Stine, ale przecież w gruncie rzeczy należała do Beniamina. Miała pulchne paluszki i oczy jak łuskane migdały. Gdy mrugała, jej długie, proste rzęsy trzepotały na policzkach.

Kiedy Benjamin patrzył na Hannę, czuł czasami ból w piersiach. Jakby ktoś szarpał go w środku. Nie potrafił powiedzieć, czy to jest przyjemne uczucie, czy też nie. Ale coś czuł.

Pewnego dnia na ląd wysiadł malarz ze sztalugami, wiklinowym kufrem i płócienną torbą wypełnioną tubami i pędzlami.

Chciał jedynie pozdrowić panią na Reinsnes, którą spotkał w Helgelandzie parę lat temu. Poprosił, by kapitan zaczekał, aż go przewiozą łodzią tam i z powrotem. Nie miało to potrwać długo...

Gdy odjazd statku opóźniał się już o godzinę i wszyscy zaczęli się niecierpliwie, kapitan posłał po artystę.

Ale przyszło mu odstawić bagaże malarza na ląd. „Książę Oskar” popłynął na północ bez tego pasażera. Bo on zmarł w bezruchu w palarni, zasłuchany w dźwięki wiolonczeli.

Owego roku Dina parę razy zносиła swój instrument na dół, by zagrać gościom w bawialni.

Połykliwe światło letniego wieczoru sprawiło, że wysepki Sundu zawisły między niebem a ziemią.

Malarz nazwał to migocącym cudem! Mamiącym zmysły. Zdecydował się poczekać na następny parowiec, skoro na Reinsnes światło jest jak jedwab i alabaster!

Wiele statków opuściło zatokę, zanim malarz po raz ostatni pociągnął płótno pędzlem.

Ten dziwny człowiek stał się nowym Lorchem. Chociaż był przeciwieństwem tamtego w każdym calu.

Przybył pewnego czerwcowego dnia niby dudniący wulkan. Mówił po szwedzku z jakimś obcym akcentem i miał ze sobą własny rum w glinianym naczyniu z kranem.

Kredowobiałe włosy i broda otaczały ogorzałą twarz, pooraną niezliczonymi zmarszczkami. Nos sterczał niczym imponujący szczyt górski.

Oczy były ciemne, wąskie i głęboko osadzone. Jakby trzymał je z dala od głupoty i zła tej planety, by mogły służyć w przyszłym, lepszym życiu.

Jego purpurowe usta o zmysłowych wargach były prawie dziewczęce. Z nieustannie uniesionymi kącikami.

Ręce miał jakby powleczone dziegiem. Ciemnobrązowe. Mocne i delikatne zarazem.

Ten mężczyzna przechadzał się podczas największego skwaru w smolście czarnym kapeluszu i skórzanej kamizelce. Kieszeń zastępowało w tym stroju głębokie rozcięcie na prawej piersi. Można tam było zatknąć pędzle albo fajkę, wedle potrzeby.

Pedro śmiał się tak, że aż echo się niosło po domu i obejściu. I znał sześć języków. Tak w każdym razie utrzymywał.

Matka Karen odkryła, że gość ma pewne braki zarówno w niemieckim, jak i we francuskim. Ale przemilczała to.

Przedstawił się jako Pedro Pagelh. Nikt nie dawał wiary opowieściom malarza o własnym pochodzeniu. Bo te historie i tragedie rodzinne miały coraz to inny charakter i treść, wystarczyło, by księżyc wszedł w nową fazę lub nowa osoba siadła przy stole. Ale też umiał on opowiadać!

Już to wywodził się z tatarskiego rodu z Rumunii, już to ze szlacheckiej włoskiej rodziny. To znowu był Serbem, którego krewnych podzieliła wojna i zdrada.

Dina próbowała go upić, by wydobyć zeń prawdę. Wydawało się jednak, że ten człowiek nauczył się swych niewiarygodnych historii tak gruntownie, że sam w nie wierzy.

Poszła niejedna butelka wina nocą w altanie i w palarni. Nikt jednak nie usłyszał prawdziwej historii.

Ale za to każdy dostał obraz. Pedro namalował wszystkich. Sportretował Jakuba, podług innego wizerunku, tak wiernie, że Matka Karen klasnęła w dłonie i zaprosiła go na dobrą maderę.

Pewnego dnia, gdy Pedro poszedł razem z Diną do przystani Andreasa, żeby odebrać płótno, które przywiózł mu parowiec, wprawiły go w zadziwienie stożki ze światła, przenikające przez otwarte drzwi załadunkowe na poddaszu.

– Tamtédy weszła Hjertrud – powiedziała nagle Dina.

– Kto to jest Hjertrud?

– Moja matka!

– Nie żyje? – spytał.

Dina spojrzała na niego zaskoczona. Potem się rozpromieniła. Zaczepnęła tchu i mówiła dalej:

– Krążyła długo po plaży. Ale teraz jest tutaj! Wchodzi przez drzwi do żurawia, a znika we włóku śledziowym, który wisi na parterze. Chodźmy razem na dół, zanim odejdzie...

Pedro ochoczo skinął głową. Pragnął usłyszeć więcej.

– Jak ona wyglądała? Była wysoka? Twojego wzrostu? Jakie kolory w sobie miała?

Dina pokazała mu portret Hjertrud jeszcze tego samego wieczoru. Opowiedziała o fałdach spódnicy. O włosach, których kosmyk sterczał po prawej stronie...

Hjertrud zafascynowała go tak bardzo, że przeniósł się na dół do nadbrzeżnych spichrzów i namalował ją jak żywą, pośród rybackich sieci. Oddał dokładnie jej rysy.

Malując tę postać, rozmawiał z nią.

Tego dnia, gdy Pedro kończył pracę nad portretem, Dina pojawiła się za nim zniecałkowana.

– Masz oczy człowieka, który czuwa nad własną duszą – mruzczał z zadowoleniem do obrazu.

Na początku Dina stała za nim jak słup. Nie słyszał jej oddechu i wziął to za dobry znak.

Nagle za jego plecami ryknęła burza i podłoga się zachwiała. Obrócił głowę przerażony.

Dina siedziała na porysowanej posadzce i wyła.

Opuszczony i rozjuszony wilk. Bez opamiętania i wstydu. Wilk przysiadł na ogniu w świetle dnia i wypłakiwał swą potworną pieśń.

Wreszcie Dina jakby zrozumiała, że nie zachowuje się jak człowiek. Otarła łzy i roześmiała się.

Pedro, jak każdy prawdziwy klaun, wiedział, że humor to drugie dno tragedii. Poczekał więc, aż Dina przejdzie przez obydwa etapy. Rzucił jej tylko poplamioną farbami szmatkę, by otarła twarz.

Malował spokojnie dalej, aż do ostatniego pociągnięcia pędzlem. Wtedy błękitny półmrok pobieliała mgła, a nad obejściem wzniósł się szmer odgłosów.

Cienie zamieniły kąty w ryciny na starym pergaminie. A w nich kryły się zapachy. Woń perfum Hjertrud przeniknęła wszystko. Hjertrud znowu miała całą twarz.

Podobizna matki Diny zawisła na ścianie w salonie. Obraz zwracał uwagę wszystkich, którzy pojawiali się w domu. Nawet Dagny.

– Znakomite dzieło! – rzekła łaskawie i zamówiła u Pedra portrety swych domowników.

Pedro ukłonił się i podziękował. Z przyjemnością namaluje panią referendarzową. Gdy tylko będzie miał czas...

Portretował Dinę z wiolonczelą. Miała zielonkawę ciało i była naga. Trzymała białą wiolonczelę...

– To światło – tłumaczył Pedro.

Dina popatrzyła na obraz ze zdziwieniem. I skinęła głową.

– Przyjdzie dzień, gdy wystawię to w wielkich galeriach Paryża – rozmarzył się. – Będzie się nazywać: *Dziecię, które koi swój żal* – dodał.

– Co to jest żal? – zapytała.

Mężczyzna spojrzał na nią szybko i powiedział:

– Dla mnie to są wszystkie obrazy, których nie widzę wyraźnie... A mimo wszystko muszę je w sobie nosić.

– Tak – przytaknęła Dina. – To są obrazy, które się w sobie nosi.

Jam jest Dina. Jakub jest zawsze ze mną. Wielki, cichy i utykający na jedną nogę, której mu nie amputowali. Zapach zniknął. Jakub nigdy nie odchodzi, tylko Hjertrud czasami to robi. On jest parowcem bez pary. Dryfuje we mnie spokojnie. Ociężałe. Hjertrud jest jak sierp księżycy. Czasem jej przybywa, czasem ubywa. Płynie poza mną.

Pedro i Dina zachowali *Dziecię, które koi swój żal* w tajemnicy. Podejrzewali, że nie powinny go oglądać oczy ludzi poczciwych.

Obraz zawinięty w stare prześcieradło wylądował w alkowie, w której sypiał Jakub. Za starym szezlongiem...

Pedro źle znosił zimowe śniegi i mrozy. Skurczył się w sobie, postarzał i zdziwaczał, niczym chory koń.

Gdy nadeszła wiosna, wszyscy myśleli, że umrze z kaszlu, przeziębienia i gorączki. Stine i Oline karmiły go niemal na siłę pożywną strawą.

Na początku zdawało się, że nawet jedzenie go zabija. Ale powoli zdrowiał i usiadł na łóżku, by zacząć malować. Wtedy wszyscy zrozumieli, że najgorsze minęło.

Matka Karen czytała mu na głos gazety, listy od Johana, wszystko, co jej wpadło w ręce.

Ale *Biblii* słuchać nie chciał.

– *Biblia* jest święta – mamrotał posępnie. – Nie trzeba jej tykać w obecności pogan!

Niełatwo było zgadnąć, kogo właściwie miał na myśli. Matka Karen na wszelki wypadek nie brała tego do siebie.

* * *

Beniamin pojawiał się często w drzwiach pokoju gościnnego i gapił się na starego człowieka, który trzymał wszystkie barwy przed sobą na palecie. Chłopiec obserwował z zachwytem dym z fajki. Wzbijający się aż pod krokwie między atakami kaszlu chorego.

Chłopiec gapił się tak długo, aż malarz przywoływał go do łóżka i kładł ciężką dłoń na jego głowie.

Wzrok chłopca napotykał dwoje wesołych oczu. Wtedy Beniamin się uśmiechał. I spoglądał z wyczekiwaniem.

A mężczyzna, zakasławszy, opróżniał fajkę, przeciągał parę razy pędzlem po płótnie i zaczynał opowiadać.

Beniamin był zadowolony, gdy Pedro leżał w łóżku. Wiedział wówczas, gdzie go szukać.

Wtedy Dina nie mogła mu ukraść malarza. Ona stroniła od choroby.

Pedro został aż do końca września następnego roku. Dopiero wtedy zabrał go parowiec.

Wystarczył jeden świst statku, by malarz zniknął. Ze swym skórzanym kapeluszem i kamizelką, z farbami i wiklinowym kufrem. I z naczyniem na rum, napełnionym po brzegi w piwnicze na Reinsnes. Nie pożalowali mu tego dobra.

Jam jest Dina. Wszyscy odchodzą. Nie ma już Dziecięcia, które koi swój żal. Zdjęłam Hjertrud ze ściany. jej oczy odjechały. Nie mogę patrzeć na portret bez oczu. Żal to obrazy, których nie można zobaczyć, a które mimo wszystko trzeba w sobie nosić.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

CZYŻ ROŚNIE PAPIRUS BEZ BŁOTA,
CZY SIĘ KRZEWI SITOWIE BEZ WODY?
JESZCZE ŚWIEŻE, NIEZDATNE DO ŚCIĘCIA,
USYCHA, PRĘDZEJ OD TRAWY...

(Księga Hioba, 8, 11-12)

Dziecinny sekret. Chwila wytchnienia w stodole. Dwoje uciekinierów.

Tomasz zbierał okruchy, nie roniąc niczego. Wiódł samotne życie w izbie czeladnej, pośród mężczyzn, z którymi nic go nie łączyło.

Dostawał swą zapłatę. I pracował za dwóch w czasie żniw. Jakby musiał jej pokazać, że jest mężczyzną. Jakby musiał to udowodniać w nieskończoność. Wiosna po wiośnie. Przejazdka po przejazdce. Żniwa po żniwach.

Z czasem właśnie na nim spoczęła odpowiedzialność za prawie wszystko, co się wiązało ze zbiorami, zwierzętami, oborą i stajnią. Stary masztalerz był już niepotrzebny. Tomasz przejął jego obowiązki z polecenia Diny.

I śnił. O Dinie, o koniu wlokącym za sobą dyszle bez sań i bez gospodarza. Tak śniło jego sumienie.

Potem Szatan miał przez wiele dni spojrzenie Jakuba. Oczy pytały o Beniamina. Tomasz czuł, że sam jeden musi unieść to wszystko.

Jeśli Dina nie patrzyła w jego stronę przez dłuższy czas, miał wrażenie, że pachnie jak czarownica, gdy tylko koło niego przechodziła. Porównywał ją ze zgrabniejszymi dziewczętami, które zdarzało mu się widzieć. Z dziewczętami o smukłych dłoniach i nieśmiałyh oczach.

Ale napływały sny, które obracały wniwecz całą jego obronę. Kładły jej duże, mocne ciało obok niego. Mógł ukryć twarz między jej piersiami.

Za każdym razem, gdy słyszał jej kroki w nadbrzeżnych spichrzach, po których krążyła godzinami, czuł coś na kształt tkliwości. Kiedyś przemknął się na nadbrzeże i zawołał ją. Ale przegoniła go z wściekłością. Tak jak się odprawia natrętnego chłopca stajennego.

Tomasz nie mógł patrzeć na Beniamina, nie studiując jego rysów. Kolorytu. Ruchów. Czy chłopiec był synem Jakuba?

To się przerodziło w obsesję. W myśl, która zawsze wkradała się przed inne myśli. Spoglądała na jasne oczy i ciemne włosy chłopca. Po Dinie. Ale po kim cała reszta?

Jedno nie ulegało wątpliwości: ten chłopiec nigdy nie nabierze potężnej postury Diny czy Jakuba.

Ale nie miał jej i Johan. A Johan był synem Jakuba...

Tomasz wabił chłopca do siebie. Zdobył jego zaufanie. Stał mu się niezbędny. Powiedział Beniaminowi, żeby nie bał się Szatana, bo ten koń trzymał straż w czasie jego narodzin.

Beniamin przychodził często popatrzeć na konie. Dlatego że w stajni był Tomasz.

Dina pracowała systematycznie nad odnalezieniem zaginionych cyfr. Cyfry nie znikają ot tak, po prostu, jak słowa. Zawsze je można odszukać, nawet gdy nikt ich nie widzi.

Cyfry mogą być jak zbłąkane w górach owce. Ale zawsze gdzieś są. W takiej czy innej formie. I Niels to wyjawi! Prędzej czy później. On wie wszystko o zaginionych cyfrach.

Ale Dina przestała się o nie dopominać. Tropiła je po prostu swym sokolim spojrzeniem. Grzebiąc w starych protokołach i papierach.

Nie przepuściła żadnej transakcji Nielsa. Ani korzystnej, ani niekorzystnej.

Na razie nie znalazła ani jednej brakującej pozycji. Niels używał śmiesznie mało ubrań. Żył po spartańsku, jak mnich. Miał srebrną tabakierkę i laskę spacerową z taką gałką. Obie rzeczy dostał od Ingeborg, na długo przedtem, zanim na Reinsnes nastąpiła nowa pani.

Dina nie poddawała się jednak.

Tak jakby łowy i cyfry miały wartość same w sobie. Jakby nie chodziło o pieniądze.

Buchalter z Tromsø, którego sprowadziła do Reinsnes po śmierci Jakuba, wprowadził ją w arkana najprostszej rachunkowości.

Reszta przyszła z czasem. Niels zajmował się codziennymi rachunkami, a ona je kontrolowała.

Jakoś to szło do chwili, gdy Dina zaczęła się interesować magazynem. I to nie tylko zapasami przeznaczonymi na połowy i wyprawy do Bergen, ale także zwykłym handlem w składzie.

W końcu staranne cyferki Diny zaczęły się pojawiać w księgach. Jej pismo było duże, pochylone w lewo, z prostymi ogonkami. Nie sposób było je podrobić.

Decydowała o zakupie soli i mąki, syropu i wódki. O najmniejszych wydatkach na potrzeby gospodarstwa. Trzeba było wyliczać, ile lin i sieci zużywali oni sami, ile dzierżawcy.

Nawet Anders zaczął przychodzić do Diny ze swoimi rachunkami dotyczącymi kliprów. Właśnie to stało się zarzewiem nieporozumienia między braćmi.

Niels starał się omijać biuro w tych dniach, gdy urzędowała tam Dina.

Pewnego razu, gdy wszedł do pokoju w nadziei, że będzie sam, zastał ją przy biurku.

– Równie dobrze mogłabyś przejąć wszystkie rachunki – powiedział ponuro.

– A co robiłby wtedy nasz dobry Niels? – zapytała.

– Mógłbym pilnować zamówień dla składu i pomagać sprzedawcy – odparł pospiesznie. Jakby przygotował tę odpowiedź już dawno.

– Nie nadajesz się do tego, by komukolwiek pomagać – rzekła zdecydowanie, zatraskując księgę. Po chwili jednak znów otworzyła ją z westchnieniem. – Jesteś obrażony. Już od dawna. No i chyba coś jest nie w porządku...

– O! A cóż takiego?

– Nowa dziewczyna kuchenna wspominała, że ją podszczypujesz i przeszkadzasz jej, kiedy ściele łóżka w pokojach.

Niels odwrócił wzrok. Z wściekłością.

– Powinieneś się ożenić – powiedziała Dina niespiesznie.

Diabeł w niego wstąpił na te słowa. Twarz mu pociemniała. Zdobył się na odwagę, której zazwyczaj mu nie starczało.

– A cóż to, oświadczasz mi się?

Udało mu się nawet spojrzeć na nią z wyższością.

Dina zmieszana się na moment. Potem przez jej twarz przebiegł lekki uśmiezek.

– Gdy nadejdzie dzień moich oświadczeń, ten, któremu zechcę oddać rękę, nie będzie potrzebował o nic pytać. Po prostu odpowie.

Dina podpisała coś, Koniuszek języka przesunęła w prawy kącik ust. Ujęła srebrny uchwyt ciężkiego bibularza, który zawsze stał na podorędziu. Osuszyła podpis „Dina Grøneltv”.

Na bibule odcisnął się ślad jej imienia i nazwiska. Wspak, ale wyraźnie.

Jam jest Dina. Niels i ja liczymy wszystko na Reinsnes. Cyfry należą do mnie, niezależnie od tego, gdzie się podziewają. Niels jest na nie skazany. „Niewolnik liczy. Pan widzi”. Niels nic nikomu nie daje. Nawet sobie. Przypomina Judasza Iskariotę. Skazany na to, by pozostać tym, kim jest. Judasz wyszedł i powiesił się.

Niels trzymał się z dala od służących. Wiódł samotne życie pośród nich wszystkich.

Czasami spoglądał na małą Hannę, gdy dreptała obok niego. Nie dotykał jej. Nie przywoływał. Ale dawał jej kostki cukru z szuflady. Pospiesznie. Jakby się lękał, że ktoś to zobaczy.

Albo też sprzedawca, na mruknięte przez Nielsa polecenie, odłupywał kawałek cukru dla małej.

Hanna miała złotą skórę Stine i jej ciemne oczy. Każdy, kto znał ten dom, widział jednak, że to dziecko, gdy czuje się zranione, zamyka się w sobie, tak jak Niels. Niby wilczątko wystraszone przez własne stado.

Referendarz słyszał niejedną historię o Dinie.

Znał już te opowieści dobrze i puszczał je mimo uszu. Pewnego dnia ktoś doniósł mu, że ludzie gadają, jakoby kobiety na Reinsnes, Stine i Dina, żyły ze sobą jak małżeństwo.

Referendarz wpadł w furię i wybrał się z wizytą do córki.

Dina usłyszała jego wyklinanie, hałaśliwe niczym potężny północno-zachodni zimowy wiatr.

Gdy wszedł do salonu i zażądał rozmowy z Diną w cztery oczy, furia opadła zeń nieco. Zapomniał, co chciał powiedzieć.

Przedmiot rozmowy był wszak bardzo delikatny. Referendarz zupełnie stracił rezon.

Wreszcie wyrzucił z siebie to, co miał do powiedzenia, posługując się kuchenną łaciną i waląc pięścią w stół.

Dina przeszła go stalowym wzrokiem. Znał to spojrzenie. Unikał go.

Spostrzegł, że Dina wpadła na jakiś pomysł, zanim skończył mówić.

Nie skwitowała nawet słowem tego, co powiedział. Otworzyła tylko drzwi do kredensu i kazała przyprowadzić Nielsa. Posłała także po Stine, Oline, Matkę Karen i Andersa.

Niels przyszedł, bo czuł respekt przed referendarzem.

Wszedł powoli, wyciągnął rękę na powitanie, po czym taktownie schował dłonie za plecami.

Zarekawki mu się przy tym zsunęły, a on zaczerwienił się, niepewny, co nastąpi.

Dina, patrząc na niego niemal z czułością, powiedziała:

– Słyszę, Nielsie, że bardzo dobrze wiesz, jakie życie prowadzimy, ja i Stine. Że podobno żyjemy jak małżeństwo!

Niels otworzył usta. Ale nie stracił opanowania. Ciasny kołnierzyk doskwierał mu jednak tak, że musiał przełknąć ślinę. Po prostu.

Referendarz był szalenie zakłopotany. Wszyscy obecni spuścili wzrok. Drzwi do kuchni stały otworem. Rozmowa nie była długa. Niels zaprzeczył wszystkiemu, Dina jednak nie miała wątpliwości. Mimo to słuchała spokojnie, jak mówił, że to złe języki próbują ich poróżnić.

Nagle pochyliła się ku niemu, błysnęła oczami i splunęła na czubki jego butów.

– Zdaje się, że to tu mieszka całe zło.

Mężczyzna pobladł. Cofnął się. Chciał coś powiedzieć. Ale dał za wygraną. Spoglądał cały czas bezradnie to na Dinę, to na referendarza.

Niels przesiadywał w karczmach i gadał, co ślina na język przyniesie. A ludzie brali wszystko dosłownie.

Referendarz skierował przeciw niemu cały swój wszechwładny gniew. Zadbał o to, by wszystkie grzechy Nielsa ujrzały światło dzienne. Jego nieporadność w zarządzaniu składem i tchórzliwe uniki w sprawie ojcostwa. Jego pazerność. Jego rojenia o przejściu Reinsnes ze wszystkimi przyległościami poprzez ożenek z Diną. Która go z pogardą odrzuciła.

Po tym wszystkim Niels stał się człowiekiem złamanym. Nikt nie rozumiał, dlaczego pozostał na Reinsnes.

Pomiędzy nim a Diną zapanował pokój. Nie był już godnym przeciwnikiem.

Dina poprosiła Oline o przyrządzenie pieczeni baraniej. Z różowym mięsem pod spieczoną, chrupiącą skórką. Kazała przynieść dobre wino z piwnicy i zaprosiła wszystkich domowników i całą rodzinę na pojednawczy obiad.

Niels odrzucił zaproszenie bez słowa. Po prostu nie przyszedł.

Jego puste miejsce dowiodło wszystkim, że wina nie leży po stronie Diny.

Niels siedział w biurze ze swoją fajką. Nie dał się zaprosić na ucztę.

Stine zeszała do niego w tajemnicy z koszem pełnym smakołyków. Nie wpuścił jej, ale zostawiła koszyk pod drzwiami.

Gdy po niego wróciła przed porą spoczynku, z kosza zniknęło wszystko, co można było zjeść lub wypić. Został tylko sos i resztki przybrania. I jeszcze parę kropli na dnie butelki. Przekradła się z naczyniami do kuchni. Oline o nic nie pytała, spojrziała tylko na Stine z ukosa i westchnęła, wracając do swoich zajęć.

Z salonu dobiegały dźwięki fortepianu. Płynęły triumfalne tony.

Pewnego dnia Dina i Benjamin pomagali Matce Karen rozsypać motek wełny, którą poplątała Hanna. Siedzieli w pokoju starszej pani.

Benjamin, wskazując na szkice wiszące na ścianie, zapytał o mężczyznę, który kiedyś tu był i malował portrety ludzi.

– Przesłał dwa listy – wyjaśniła Dina. – Wystawił te obrazy i ma się dobrze.

– Gdzie teraz jest?

- W Paryżu.
- A co tam robi?
- Stara się zdobyć sławę – odpowiedziała Dina.

Matka Karen zdjęła portret Jakuba ze ściany i pozwoliła Benjaminowi go potrzymać.

- To jest Jakub – rzekła uroczyście.
- Ten, który umarł, zanim ja się urodziłem?
- Ten, który jest twoim ojcem – szepnęła wzruszona Matka Karen. – Już ci go pokazywałam...

– Jaki on był, Dino? – spytał Benjamin.

Babka stawiała się zbyt nudna, gdy ogarniało ją wzruszenie, lepiej więc było trzymać się Diny.

– Był najpiękniejszym mężczyzną w okolicy. Był synem Matki Karen, chociaż dużym i dorosłym. I moim mężem. Wpadł do wodospadu, zanim się urodziłeś.

Benjamin słyszał już wcześniej te słowa. Widział kamizelki i koszule ojca. Pachniały tytoniem i morzem. Podobnie jak Anders.

– To wielkie nieszczęście umrzeć tak wcześnie – powiedziała Matka Karen i wysiąkała nos w małą chusteczkę z koronkowym brzegiem.

Benjamin wodził za nią wzrokiem. Zbierało mu się na płacz, gdy widział ją taką, podobną do małego ptaszka.

– Nikt nie jest nieszczęśliwy dlatego, że musiał umrzeć. To żywi są nieszczęśliwi – rzekła Dina.

Matka Karen nie wspominała więcej o nieszczęściu zmarłych.

Ale Benjamin czuł, że nie wszystko zostało powiedziane, i wdrapał się jej na kolana. Zęby ją pocieszyć.

Zdawało mu się, że Dina jest jak najciemniejszy strych, i stronił od niej przez cały dzień.

Dina nigdy nie zwracała mu uwagi, gdy bawił się swoimi zabawkami na podłodze ani też nie kazała mu wracać z ogrodu. Nigdy za nim nie wołała i nie gniewała się, gdy siedł bez pozwolenia na plażę.

Pewnej letniej nocy, wkrótce potem, jak Matka Karen opowiadała o nieszczęściu Jakuba, Benjamin zobaczył Dinę siedzącą na wielkiej jarzębinie w ogrodzie.

Obudził się sam i chciał wyjść, żeby zobaczyć, czy kury zniosły już jajka, bo zdawało mu się, że to ranek.

Dina siedziała całkiem cichutko i zrazu go nie spostrzegła.

Zapomniał o jajkach, stanął przy sztachetach i gapił się na nią.

Wtedy pomachała do niego ręką. Ale zauważył, że jest jakaś inna.

– Dlaczego wspinasz się na drzewa? – zapytał, gdy zeszła na dół.

- Zawsze to robiłam.
- A czemu?
- To dobrze wspiąć się trochę bliżej nieba.

Beniamin spostrzegł, że głos Diny jest zmieniony. Że to nocny głos.

- Czy to prawda, co mówi Matka Karen? Że Jakub jest w niebie?

Dina spojrzała wreszcie prosto na niego. Poczula, że za tym właśnie tęsknił.

Wzięła go za rękę i poprowadziła w stronę domu. Rosa osiadła ciężko na jej spódnicy. Ciągnąc ją ku ziemi.

- Jakub jest tutaj. Wszędzie. On nas potrzebuje.
- To dlaczego go nie widzimy?
- Jeśli usiądziesz tutaj, na schodach, tak, właśnie tutaj, to poczujesz go koło siebie.

Prawda?

Beniamin usadowił się, położył swe brązowe dłonie na kolanach i próbował poczuć Jakuba. Potem energicznie pokiwał głową.

Dina stała przez chwilę obok niego, pogrążona w głębokiej zadumie.

Wystraszony wiatr przemknął między nimi. Jak oddech.

- Czy on jest tylko tutaj? Na schodach?
- Nie! Wszędzie. On cię potrzebuje, Beniaminie – posiedziała. Jakby sama się dziwiła tej myśli.

Puściła jego rękę i powoli weszła do domu. Wcale nie kazała mu iść za sobą ani też wracać do łóżka. *

Beniamin poczuł wielką, kojącą tęsknotę za nią.

Potem ruszył na bosaka przez ogród, do kurnika. Pachniało tam ziarnem i kurzym łajnem. Zobaczył, że kury siedzą na grzędzie, i zrozumiał, że to jeszcze noc.

* * *

Po południu stał przy kuchennym oknie, spoglądając na łąki, i nagle zwrócił się do Oline wysokim, pełnym dumy głosem:

- Tam jedzie Dina! Cholera! Ale szybko jedzie!
- Chłopcy nie mówią „cholera” tutaj, na Reinsnes – zwróciła mu uwagę Oline.
- A Jakub nie mówił „cholera”?
- Jakub był mężczyzną.
- Zawsze był mężczyzną?
- Nie.
- A mówił „cholera”, kiedy nie był mężczyzną?
- Eee! – rozłościła się Oline i otarła pulchne dłonie o fartuch. – Za dużo osób cię wychowuje. Będziesz prostakiem przez całe życie!
- A kto to jest prostak?
- Ten, kto mówi „cholera”!

Beniamin zsunął się ze stolika i podreptał spokojnie w stronę drzwi. Przeszedł przez cały dom, aż znalazł Matkę Karen. Oznajmił wówczas uroczyście, że jest prostakiem.

Cała sprawa wzbudziła sporo zamieszania.

Oline obstawała jednak przy swoim. Chłopakowi brakuje ogłady. Staje się dzikusiem! Jak jego matka.

Spoglądała na Beniamina z ukosa. Wtedy jej twarz zamieniała się w wysuszony ziemniak z przywiedłymi, białymi kiełkami po obu stronach. Kosmyki włosów zawsze wymykały się spod chustki.

Przy pełni księżyca, podczas bezsennych nocy, Dina siadywała w altanie, czekając, aż wszystko wokół się uspokoi i świat odpłynie w szczelinę między niebem a ziemią.

Siedziała tak, głaszcząc niesforne włosy Jakuba. Jakby nic nie stało między nimi. Rozmawiała z nim o wyjeździe. Za morze. W jakimś zakamarku jej ciała czaiła się furia. On to rozumiał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

WIELKI JEST BÓG, CHOĆ NIEZNANY.
LAT JEGO NIKT NIE POLICZY.
ON KROPLE WODY PODNOSI
I MGŁĘ NA DESZCZ SKRAPLA,
ONE PŁYNĄ Z NIEBA WYSOKO,
OBFICIE SPŁYWAJĄ NA LUDZI,
A KTO POJMUJE WARSTWĘ CHMUR
I HUK NIEBIESKIEGO NAMIOTU?
ON, NAJWYŻSZY, OGNIEM ZIEJE
I ZAKRYWA PODSTAWY MORZA.

(Księga Hioba, 36, 26-30)

Matka Karen stawiała w swych listach datę: 1853. Chwilami świat się przybliżał. Wtedy gdy parowiec przywoził gazety. Ludwik Napoleon Bonaparte został cesarzem Francji. Pisano, że monarchiści, liberalni i konserwatywni bonapartyści skupili się wokół silnego przywódcy, aby walczyć z „czerwonym upiorem”. Rewolucja zagarniała wciąż nowe kraje.

Matka Karen bała się, że świat zacznie płonąć przed powrotem Johana do domu. Ostatnimi laty bardzo martwiła się o wnuka. Nie było go w domu już całą wieczność. Nie wiedziała, czym się zajmuje. Czy zdaje egzaminy. Czy wróci kiedykolwiek.

W jego listach nie znajdowała tego, za czym tęskniła. Czytała je Dinie na głos, aby usłyszeć jej komentarz i słowa pociechy.

Ale Dina nie kryła swojej opinii.

– Johan pisze tylko wtedy, gdy potrzebuje pieniędzy! Wydaje dwa razy tyle, ile wynosi jego spadek. Matko Karen, jesteś dla niego za dobra, wysyłając mu własne pieniądze.

Nie napomknęła o tym, że Johan obiecał kiedyś napisać do niej z Kopenhagi. Prawie dziewięć lat temu. Na Johana już nie warto liczyć. Można go najwyżej umieścić po stronie strat.

Gdy zima trochę popuściła i w kwietniu zaczęły się roztopy, w ciągu kilku dni zasypała ich metrowa warstwa śniegu i zerwał się wiatr, który porывał wszystko, co się dało, na morze.

Wiele kobiet na wybrzeżu owdowiało. Niepogodzie towarzyszył mróz, a śnieżne zasy tworzyły mury między gospodarstwami. Martwe ciała czekały na pogrzeb aż do czerwca.

Ziemia była skuta mrozem. Deszcz się nie pojawiał, by położyć kres tej najdłuższej z zim, jakie pamiętali.

Hjertrud me pojawiła się ani razu tej wiosny. Dina krążyła po nadbrzeżnych spichrzach. Całymi godzinami. Mróz wślizgiwał się pod futro z wilczej skóry i więził jej stopy w lodowatym uścisku, aż uchodziło z nich całe czucie i szukały same drogi do ciepła.

Dla ludzi i zwierząt wiosna była trudniejsza niż zima. Doszło do tego, że z ambony dały się słyszeć modlitwy o ocieplenie, a błagalne prośby o deszcz i odwilż drukowano w kalendarzu.

Rzadko w szczerych i żarliwie zanoszonych modlitwach prośby o krzywdę sąsiadów zajmowały tak mało miejsca.

Lato zaczęło się w połowie czerwca. Upałem zbijającym z nóg wszystko, co żywe. Prosta, pokryta białą korą brzoza do połowy tonęła w śniegu. A wyżej welon z młodziutkich listków okrywał smukłe gałęzie.

Najpierw tej nocy, gdy powiał południowo-zachodni wiatr, gałęzie zakołysały się lekko. Potem rozszumiały się na dobre kolejne drzewa na górskich zboczach. Włączały się we wszechogarniające, szumiące życie, w którym wszystko toczyło się szybko, bardzo szybko.

Potem przyszły roztopy i powódź. Woda zalała łąki, pieniała się w żlebach. Ogarnęła swym nurtem drogę na przełęczy i spadała kaskadami w tym samym miejscu, w którym kiedyś zsunęły się sanie z Jakubem.

Z czasem wszystko się uspokoiło. Powoli. Zasiane późną wiosną ziarna kiełkowały niecierpliwie.

Ludzie i zwierzęta wyszli spod dachów. Kojące letnie dźwięki ośmieliły się przejąć władzę. Nastaly dni przesycone słońcem, dziegiem i zapachem bzu. Przyszły późno, ale były za to szczególnie piękne.

Jam jest Dina. Dźwięki wdzierają się we mnie jak odległe krzyki albo dokuczliwe szept. Jak łoskot rozsadzający bębni. Stoję w oknie jadalni i patrzę, jak Benjamin bawi się piłką w ogrodzie. Pochłania mnie królestwo Hjertrud. Nie mogę mu się oprzeć.

Widzę tam twarz Lorcha! Wielką, wypełniającą całą powierzchnię okna, cały widok na fiord i jeszcze więcej. Benjamin jest malutkim cieniem w żrenicach Lorcha i kręci się w nich bardzo szybko. Lorch jest przerażony. Wpuszczam go do swego wnętrza. 7 lipca.

W czasie opóźnionego kwitnienia bzu nadszedł list z Kopenhagi. Z adresem referendarza i imieniem Diny. Na kopercie widniały pochyłe, staranne litery.

Referendarz przysłał list przez jednego z parobków. List był krótki. Jakby każde zdanie przybijało do brzegu z wielkim wysiłkiem:

*„Kochana Dino!
Choroba powaliła mnie w królewskim mieście. Nareszcie umieram.
Nie mam już płuc. Nie zostawiam po sobie niczego. Tylko dobre
życzenia dla ciebie. Codziennie żałuję, że wyjechałem.
Brak mi zdrowia i pieniędzy, by wrócić. Ale wiolonczela wciąż żyje.
Dino! Może sama zabierzesz ją do domu? Tylko zrób to ostrożnie!
To szlachetny instrument.
Twój Lorch”.*

Dina krążyła po nadbrzeżnych spichrzach. Zachodziła do każdego z trzech. Na wszystkie piętra.

Nie zwracała uwagi na Hjertrud. Jakub był zaledwie kłębem wirującego pyłu.

Wyła cicho, by poczuć ulgę. Obcasy siekały godziny na kawałeczki. Światło dnia trwało całą wieczność. Wdzierało się przez malutkie okienka na podłogę.

Chodziła po królestwie zmarłych. Odwiedzała i porzucała snopy światła. W koszarze, który był zarazem precudnym snem.

W końcu Lorch oparł się o jej skroń.

Od tej pory spotykała go zawsze, jeśli tego potrzebowała, by zaznać spokoju. W królestwie śmierci, podobnie jak za życia, był powolny i niezręczny.

Co roku w porze kwitnienia bzu przechadzał się po ogrodowych ścieżkach, wysypanych pokruszonymi muszelkami. Pośród rabatki otoczonej dużymi, jednakowymi otoczkami. Morze je wykruszyło i uformowało, wygładziło i porzuciło na brzegu.

Pomiędzy nimi spotykała Lorcha. Przywiozła je wszystkie na Reinsnes. Lorcha też. Należał do niej. W tym odkryciu brzmiał łoskot oceanu. Melancholijne dźwięki wiolonczeli. Basy piarżysk i wzgórz. Niczym nie skrepowane uczucie pożądania i konieczności.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

A BYŁ ZWYCZAJ, ŻE NA KAŻDE ŚWIĘTO NAMIESTNIK UWALNIAŁ
JEDNEGO WIĘZNIĄ, KTÓREGO CHCIELI.
PYTAŁ ICH NAMIESTNIK: „KTÓREGO Z TYCH DWÓCH CHCECIE, ŻEBYM
WAM UWOLNIŁ?”. ODPOWIEDZIELI: „BARABASZA”.

(Ewangelia według Św. Mateusza, 27, 15 i 21)

Na pierwszym miejscu listy pasażerów, których „Księżę Gustaw” wioził z Trondheim, zamieszczonej w „Tromsø Stiftstidende”, figurowało nazwisko cand. teol. Johana Grønvelva.

Matka Karen nie posiadała się z radości i nieustannie ocierała łzy. Nie zasypywała jej listami w ciągu minionego roku. Wiedzieli jednak, że ostatecznie zdał swój egzamin dyplomowy.

Przez te wszystkie lata nie odwiedzał domu. Zapowiedział jednak w liście do Matki Karen, że wybiera się do Reinsnes, by oddać się tu rozsądnym, prostym myślom i odpocząć po latach spędzonych z nosem w książkach.

Jeżeli Dina niepokoiła się powrotem Johana, to w każdym razie nie dała tego po sobie poznać.

Teolog w ostatnim liście napomknął, że pełen wątpliwości i przeświadczony o swych nieskromnych ambicjach, poprosił o parafię w Helgelandzie. Nie napisał jednak gdzie konkretnie.

Dina orzekła, że powinien starać się o jakąś parafię na południu. To bogatsza okolica, dodawała, spoglądając Matce Karen prosto w oczy.

Matka Karen nie troszczyła się jednak o bogate parafie. Próbowwała sobie przypomnieć jego wygląd, jego zachowanie z czasów, gdy się ostatnio widzieli. Te myśli sprawiały jej ból. Śmierć Jakuba znowu nabrała znaczenia. Matka Karen z westchnieniem wertowała listy wnuka. Przygotowywała się gruntownie, chcąc powitać Johana w jego nowej roli: mężczyzny i teologa.

*Jam jest Dina, która zna chłopca o przerażonych oczach. Ma słowo
OBOWIĄZEK wypisane na czole. Nie przypomina Jakuba. Ma
proste jasne włosy, wilgotne od stoney wody i smukłe nadgarstki.
Podoba mi się jego podbródek. Bo jest w nim dołeczek, który nie
nie wie na temat obowiązku wypisanego na czole. Ale on przyjedzie
zastąpię przede mną obcą twarzą.*

Matka Karen i Oline szykowały królewskie powitanie. Przyjedzie pastor! I rodzina referendarza. Wszyscy, którzy cokolwiek znaczą.

Zarżnie się cielaka, wydobędzie dobrą maderę. Przejrzano dokładnie srebra. A także obrusy i pościel.

Oline znajdowała w tych planach wiele radości. Trzeba uczcić Jakubowego syna!

Wzięła się do Beniamina, próbując go nauczyć kłaniania się starszemu bratu.

– W ten sposób! – rozkazywała, stukając obcasami jak generał.

Beniamin naśladował tę sztukę z wielką powagą i starannością.

Matka Karen osobiście troszczyła się o co, by przygotowano południową mansardę, z której sama niedawno się wyprowadziła. Brakło jednak czasu na remont, który sobie wymarzyła.

Lekceważąc zmarszczone brwi Diny, nalegała, by dwa wyściełane złotym safianem krzesła trafiły z sypialni do pokoju Johana. U młodego teologa miała też stanąć mahoniowa biblioteczka z rozetą z kości słoniowej wokół uchwytyów.

Mężczyźni, z Tomaszem na czele, dźwigali meble, instruowani przez Matkę Karen siedzącą na krześle w sieni.

Bicz jej jasnego głosu smagał ich karki, a oni pocili się i sapali.

– Ostrożnie, kochany Tomaszu! Nie, nie, uważajcie na boazerię! Obróćcie się teraz powoli! Uważajcie, żeby nie otworzyły się te oszklone drzwiczki!

W końcu wszystko ustawiono zgodnie z jej życzeniem i starsza pani, wsparta na ramieniu Diny, ruszyła na inspekcję.

Stwierdziła, że albo starość spletała jej psikus, albo pokój się zmniejszył.

Dina odparła prosto z mostu, że pańskie meble, które zdaniem Matki Karen należą się duchownemu, nie mieszczą się na mansardzie. Trzeba chyba rozbudować dom.

Matka Karen przełknęła te słowa i przysiadła na krześle nieopodal drzwi. Po chwili rozległ się jej cichy głos:

– Powinien chyba zamieszkać w sypialni na górze... Dina nie odpowiedziała. Ujęła się pod boki i myślała głośno, rozglądając się po pokoju.

– Dostanie biurko z krzesłem, które stoi w sypialni. Będzie pasować do biblioteczki. Te wielkie krzesła wrócą na swoje miejsce...

Matka Karen toczyła zrezygnowanym wzrokiem od ściany do ściany.

– Pokój jest chyba za maty...

– Nie będzie tu przecież siedział od rana do wieczora. W domu starczy miejsca. Potrzebne mu jest łóżko, biurko z krzesłem i biblioteczka. Wtedy gdy będzie sam.

Tak też się stało. Ale Matka Karen nie miała wątpliwości co do tego, że powracający do domu teolog powinien mieszkać w największym pokoju.

Z południowego zachodu nadciągał deszcz.

Wiotkie gałązki czterech modrzewi, pomiędzy którymi stał stary gołębnik, wskazywały kierunek wiatru.

Róże Ingeborg rosnące pod ścianami i wokół altany cierpiały istne katusze. Liliowe rabatki, będące przedmiotem dumy Matki Karen, wyglądały tak, jakby ktoś sprawił im wielogodzinną kąpiel w ługu.

Piec wypuścił kłęby sadzy aż trzy razy. Oline pomstowała, jakby to był sądny dzień, ciskając przekleństwa, lejąc łzy i lamentując.

Dziewczęta przemykały pod ścianami i nim upłynęła minuta, zapomniały, co mają zrobić. Oline traciła panowanie nad sobą kilka razy do roku. Każdy kolejny raz był stokroć gorszy niż poprzednie.

Anders zjrzał do kuchni, by dostać trochę kawy, kiedy już zarządził wyciągnięcie łodzi na brzeg.

Gdy ujrzał, jak się rzeczy mają, rzekł pogodnie:

– Oline, pewnego dnia rozpadniesz się na dwie części ze złości. Ale to nic nie szkodzi, bo jest cię mnóstwo po obydwu stronach!

– Tak, ale po każdej stronie jest tylko jedna ręka i jedna noga, żeby ciebie obsłużyć. Zmiataj stąd, kochasiu! – odgryzła się i rzuciła w niego chodakiem.

Mimo to dostał kawę. Tak jak należało. W zamian za dwie brzoźowe różgi.

Mężczyźni wyciągnęli na brzeg łodzie i mocowali do kei wszystko, co się rusza.

Na maszcie zostały nędzne strzępy flagi, prawie całą niebieską część porwał wiatr. Jakby ktoś szyderczo wywiesił piracką flagę.

Ale najwięcej kłopotu przysporzył deszcz. Padał olbrzymimi kroplami, czyniąc mnóstwo hałasu na dachu i w rynnach, szargając nerwy Matce Karen.

W izbie czeladnej zaczął przeciekać dach. Chłopcy i dziewczęta pobiegli po balie i wiadra, by ratować pościel i kufry.

Tomasz leżał plackiem na dachu. Próbował zamocować nowe dachówki, szybko jednak się poddał.

„Księżę Gustaw” manewrował już na wodach zatoki od wielu godzin, wcale się jednak nie zbliżając do brzegu. Ludzie przyglądali mu się w przerwach między zajęciami. Czyżby się już trochę przesunął? Tak, chyba na to wygląda.

Zastanawiali się, czy nie powinni ściągnąć poszarpanej flagi. Nie mieli jednak innej. Matka Karen absolutnie się sprzeciwiła. Pogoda przywłaszczyła sobie wprawdzie połowę flągi i nic na to nie można poradzić, ale nagi maszt byłby jednak hańbą.

Niels chciał nawet posłać Tomasza do sąsiada, żeby pożyczyć flagę.

Dina odrzuciła ten pomysł. Zanim Tomasz wróci, Johan będzie już w domu i flaga przestanie być potrzebna.

Beniamin dwukrotnie wybiegał na dwór bez wierzchniego odzienia, żeby popatrzeć na parowiec. Trzeba go było przebrać od stóp do głów.

Za drugim razem Oline krzyknęła na cały dom, że to dziecko jest szalone i Stine powinna go lepiej pilnować.

Beniamin odkrzyknął jej wysokim, jasnym głosem:

– Nie, Oline, Beniamin jest prostakiem!

Mała Hanna kiwała głową z przejęciem i pomagała mu zapinać liczne guziki. Nic nie mogło podważyć jej miłości i solidarności. Hanna wszędzie za nim dreptała. Gdy Beniamin wpadał do strumienia, Hanna szła w jego ślady. Jeśli on skaleczył sobie kolano, Hanna płakała. Kiedy Oline mówiła, że Beniamin jest prostakiem, mała ryczała głośno i zapamiętała tak długo, aż Oline była zmuszona oświadczyć, że i Hanna jest prostaczką.

Dźwięki wiolonczeli wymykały się przez drzwi, okna i szpary. Mieszały się z różą wiatrów, które wciąż przybywały i odchodziły.

Deszcz wygrywał własną melodię na wodnej harfie.

Dina siedziała spokojnie pośrodku domu, który stanął na głowie, i gospodarstwa wirującego jak śmietana w maślnicy. Trzymała się z dala od zgiełku. Chaos wcale jej nie niepokoił.

Jakby mocne przeżycia były potrzebne od czasu do czasu. Zawołają ją, gdy parowiec zbliży się do brzegu. Będą tupać na schodach, chrzęścić żwirem na ścieżce, szczerkać talerzami w kuchni i kredensie, trzaskać drzwiami.

Potem wszystko ucichnie, kiedy pójdą oczekiwać na Johana na wybrzeżu. Ona na pewno usłyszy dalekie okrzyki radości i świst parowca, niesione przez wiatr.

Miała zamiar czekać aż do tej chwili. Dopiero wtedy zejdzie aleją, machając ręką na powitanie. Z dala od ludzi. Wołałaby spotkać go sam na sam, by sprawdzić, kim on jest.

Wszystko jednak stało się inaczej, niż zaplanowano, chociaż nie przeszkadzała im niepogoda i opóźnienie.

„Księżę Gustaw” wydał znany gwizd, zwiastujący, że rusza w dalszą drogę. Anders i Niels przywieźli powracającego do domu syna. Jeden z chłopców chwycił cumę łódki i wciągnął ją między kamienie.

Deszcz nieco ustał, a Dina stała w drzwiach wejściowych, spoglądając w głąb alei.

Johan uśmiechał się zza swych kufrów i uchylał kapelusza przed ludźmi, którzy tłoczyli się między kamieniami i spichrzami. Obok niego stał ciemny, wysoki mężczyzna w skórzanym odzieniu.

Na plaży wszystkie chustki, szale i poły koszul trzepotały na północno-wschodnim wietrze. W górze po rozjuszonym niebie szaleńczo pędziły chmury.

Strzelił piorun. Płomienie. Czerwone, tłuste, złowieszcze.

– Pali się dach na stodole! – krzyknął jakiś parobek.

Powstał chaos, nikt nie wiedział, co robić.

Mniejsza o teolog! Mniejsza o parostatek! Co ma być, to będzie.

Ludzie pobiegli pędem pod stodołę. Beżładne stado rąk i nóg.

Tomasz w jednej chwili znalazł się na kalenicy z uniesioną siekierą. Umorusany sadzą, odrąbywał płonące deski gwałtownymi ciosami. Spadały na dół, sypiąc wokół iskry. Nikt nie wiedział, skąd ten chłopak bierze siły i zapał. Nikt nie wydał mu polecenia.

Pośrodku tłumu pojawia się Dina, rzucając krótkie rozkazy.

– Anders! Zwierzęta. Najpierw konie! Niels! Mokre żagle na siano! Evert! Więcej siekier! Gudmund! Otwórz ogrodzenie! Dziewczęta! Każda po wiadro!

Słowa przebijały się przez wiatr i skwierczenie ognia na dachu. Dina stała na szeroko rozstawionych nogach, z rozwianą czarną gęstwiną włosów.

Spódnica z niebieskiego muślinu niczym żagiel przygniatała jej ciało do wiatru.

W oczach Diny pojawiło się chłodne skupienie. Nie spuszczała ich z Tomasza, jakby mogła utrzymać go tam na górze siłą spojrzenia.

Jej słowa brzmiały jak wronie krakanie. Posepnie i agresywnie.

Kilku mężczyzn wspinało się na pomoc po drabinie, którą Tomasz przystawił do stodoły.

Deszcz szalejący niczym zaraza nad ziemią i morzem przez całą dobę, teraz się oddalił. Za to wiatr dał ze złośliwą przebiegłością.

Wszyscy biegali tu i tam z mokrymi żaglami i workami, by zdusić iskry, które znalazły coś suchego do pożarcia.

Parę razy płonące deski i belki spadały prosto na suchy jak pieprz sąsiek siana, grożąc zapaleniem się całej sterty.

– Anders! Pilnuj, co się dzieje w środku! Trzymajcie mokre żagle w pogotowiu! – krzyczała Dina.

Ludzie gromadzili się błyskawicznie tam, gdzie byli najbardziej potrzebni. Przynieśli wiadra, które wcześniej stały w izbie czeladnej, by zbierać wodę z ciekącego dachu. Inne naczynia zabrali z kuchni i z piwnicy.

Na szczęście wszystko na dworze było wciąż wilgotne. Trawa, ściany stodoły. Wszystko ociekało wodą. Iskry gasły z sykiem pośród oparów.

– Zdaje się, że Pan nie troszczy się dziś za bardzo o dachy – mruknął Anders, mijając Dinę. Mokry żagiel niósł zrolowany na ramieniu.

Nie zwróciła uwagi na te słowa.

„Książę Gustaw” pospiesznie rzucił kotwicę, a na wodę spuszczone małe łódki. Po chwili załoga i pasażerowie płci męskiej spieszyli pod górę aleją, by pomóc w gaszeniu pożaru.

Stodoła była najbardziej oddalona od wybrzeża. Stała na uboczu, w pewnej odległości od reszty zabudowań. Trzeba było nosić wodę morską z daleka.

Niektórzy pobiegli do studni znajdującej się między stodołą a głównym dziedzińcem. Nie na wiele się to jednak zdało, bo naraz można było wyciągnąć zaledwie jedno wiadro wody.

Ustawili się zatem w luźnym szeregu, mężczyźni i kobiety. Od samego brzegu aż do stodoły. Nie starczyło ludzi, by utworzyć zwarty łańcuch, każdy więc musiał przebiec wiele metrów do sąsiada.

Ale wiadra już śmigały z rąk do rąk przez łąkę do stodoły.

Marynarze spisywali się dzielnie. Rozlegały się rubaszne okrzyki. Przekleństwa i pochwały na przemian.

W gaszeniu pożaru uczestniczyli też kapitan i sternik. Obaj zrzucili marynarskie kurtki i czapki, by dołączyć do falującego tłumu.

Maszynista był Anglikiem i szwargotał po swojemu huczącym basem, choć nikt go nie rozumiał. Miał za to ramiona i kark tak masywne, że przypominał wieloryba, a przy tym nie bał się wysiłku.

Tomaszowi towarzyszyło ostatecznie na górze trzech mężczyzn. Opasani sznurem, poruszali się dziwnym, falistym ruchem po dachu, dzięki róży wiatrów i własnej sile, która ich utrzymywała na nogach. Dwaj pracowali siekierami, dwaj chlustali wiadra wody.

Okazało się, że najwięcej zdziały siekiery. Wkrótce jedna czwarta dachu od wschodniej strony, tłąc się, leżała porąbana na ziemi.

Wiatr porwał siano nie przykryte wilgotnymi żaglami spod tej części dachu, która uniknęła płomieni.

Nagle, niby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, siano zaczęło się poruszać, tworząc coś na kształt leja. Jakby wszystkie źdźbła otrzymały nagle rozkaz jednocześnie. Żeby z nie zadaszonej stodoły wyrwać się na wolność. Zatoczyły krąg wokół ludzi na podwórku i kontynuowały lot na południe, w kierunku morza.

– Niels! Siano! Więcej żagli!

Rozkaz Diny zabrzmiał tak donośnie, że kapitan uniósł głowę w zdumieniu.

Niels zajmował się czymś innym i nie słyszał polecenia. Usłyszeli je jednak inni. Pojawiły się żagle i przywiodły siano do opamiętania.

Godziny mijały, choć nikt ich nie zauważał. „Książę Gustaw” kotywał się samotnie, opuszczony gdzieś w oddali.

Hanna i Beniamin biegali dokoła i chłonili wszystko pojętym spojrzeniem szeroko otwartych oczu. Błoto i brud oblepiały ich nogi i nieodwracalnym piętnem naznaczyły ich odświętne ubranka. Na razie nikt nie zwracał na to uwagi.

Dopiero gdy już się wydawało, że wszystko jest pod kontrolą i tylko czasami jakaś pojedyncza smużka dymu unosząca się nad dachem przypominała, że zanościło się na wielki pożar, Dina oderwała wzrok od dachu stodoły. Odwróciła obolałe, skołatanе ciało i postawiła wiadro z wodą na ziemi.

Ramiona kobiety opadły, jakby ktoś odebrał jej oddech. Plecy zgarbiły się.

Odrzuciła włosy z twarzy ruchem konia, który ma ochotę spojrzeć w słońce. W górze pojawiła się błękitna przepaść.

Wtedy napotkała obce spojrzenie.

Jam jest Dina. Moje nogi wrosły w ziemię. Głowa straciła ciężar i chłonie wszystko: dźwięki, zapachy, kolory.

Wokół mnie poruszają się obrazy. Ludzie. Wiatr. Kłujący odór zwęglonego drewna i sadzy. Najpierw widzę tylko oczy, żadnej głowy, żadnego ciała. Oczy, które odejmują cząstkę mojego zmęczenia. Są czymś, na czym wzrok może odpocząć.

Nigdy nie spotkałam takiego człowieka. Pirat f Nie! On przyszedł z księgi Hjertrud! To Barabasz!

Gdzie ja byłam tak długo?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

O, GDYBYŚ DYL MOIM BRATEM,
KTÓRY SSAŁ PIERŚ MOJEJ MATKI,
SPOTKAWSZY NA ULICY, UCAŁOWAŁABYM CIĘ,
I NIKT BY MNĄ NIE MÓGŁ POGARDZIĆ.
POWIODŁABYM CIĘ I WPROWADZIŁA
W DOM MATKI MEJ, KTÓRA MNIE WYCHOWAŁA;
NAPOIŁABYM CIĘ WINEM KORZENNYM,
MOSZCZEM Z GRANATÓW.

(Pieśń nad Pieśniami, 8, 1-2)

Oczy miał o barwie głębokiej zieleni. Osadzone w twarzy o mocnych rysach, pokrytej jednodniowym zarostem. Nos bez żenady wychodził światu naprzeciw, szerokie nozdrza przypominały pług.

Dina nie musiała pochylać głowy, by napotkać spojrzenie mężczyzny. Lewy policzek jego ogorzałej twarzy przecinała wielka biała blizna. Można nawet powiedzieć, że oszpecała oblicze i czyniła je przerażającym.”

Usta były duże i poważne. Wygięte w piękny łuk. Jakby Stwórca chciał złagodzić ogólne wrażenie.

Brązowe, dość długie włosy lepiły się od potu i tłuszczu. Koszula, kiedyś zapewne biała, była mokra i poplamiona sadzą. Na jednym rękawie pękł szew, więc strzępy materiału zwisały na ramieniu niczym żebracze łachmany.

Szeroki skórzany pas podtrzymywał bukatowe spodnie. Mężczyzna był kościsty i chudy jak skazaniec. W lewej ręce trzymał siekiere.

To był uwolniony Barabas. Teraz patrzył na nią. Jakby przymierzał się do ciosu...

Tomasz i cudzoziemiec pracowali razem na dachu siekierami. Pierwszy dlatego, że stawka była wysoka. Chodziło o Reinsnes. O Dinę.

Drugi dlatego, że przypadkiem wylądował na tym wybrzeżu i trafił na pożar, którego gaszenie było niezłą rozrywką.

– Udało się! – rzucił lakonicznie. Wciąż nie mógł złapać tchu po wysiłku. Ogromna pierś poruszała się niczym miech kowalski.

Dina wpatrywała się w niego.

- Czyś ty jest Barabasz? – zapytała z powagą.
- Jak to? – odpowiedział jej równie poważnym tonem. Sądząc z akcentu, nie był Norwegiem.
- Widzę, że zostałeś uwolniony.
- W takim razie pewnie jestem Barabaszem – odparł i wyciągnął do niej dłoń. Dina nie ujęła jej od razu. Mężczyzna stał nieruchomo.
- Ja jestem Dina Grøneltv – powiedziała wreszcie i podała mu rękę. Dłoń mężczyzny była spocona i brudna po pracy. Duża, o długich palcach. Ale wewnątrz równie miękka jak jej własna.
- Skinął głową, jakby wiedział, kim jest Dina.
- Raczej nie jesteś kowalem – powiedziała, wskazując ruchem głowy jego dłoń.
- Nie, Barabasz nie jest kowalem.

W szeptach i rozmowach wokół słyhać było ulgę, a wszystkie krążyły wokół jednego tematu. Wokół pożaru!

Dina wyrwała się spojrzeniu cudzoziemca i odwróciła powoli w stronę tłumu. Było tu chyba ze trzydziestu ludzi. Zawołała donośnie, głosem, w którym dźwięczało jakby zdziwienie:

– Dziękuję! Wszystkim wam dziękuję! Teraz należy nam się coś do jedzenia i picia! Nakryjemy do stołów w izbie czeladnej i w jadalni. Wszyscy są moimi gośćmi! Czujcie się jak u siebie!

W tej chwili do Diny podszedł Johan z wyciągniętą prawicą. Uśmiechał się szeroko.

- Niezły powrót do domu! – rzekł i przytulił ją do siebie na chwilę.
- Nie da się ukryć! Witaj, Johanie! Jak widzisz, wszystko uratowaliśmy.
- To pan Żukowski. Poznaliśmy się na statku – dorzucił, wskazując gestem mężczyznę.

Obcy raz jeszcze wyciągnął dłoń, jakby zapomniał, że już to uczynił. Tym razem uśmiechał się. Nie, Barabasz nie jest żadnym kowalem.

Późnym wieczorem wiatr ucichł zupełnie. Ludzie weszli pod dach. „Księżę Gustaw” wciąż stał na kotwicy. Spóźniony już o parę godzin.

Zorganizowano warty przeciwpożarowe. Na wszelki wypadek. Wszyscy mieli nadzieję, że deszcz już nie wróci i siano ocaleje.

Anders i Tomasz wybierali się nazajutrz do Strandsted po materiały i robotników. Trzeba na nowo położyć dach.

Referendarz i Dagny zjawili się dopiero po ugaszeniu pożaru. Referendarz zaklął, bo gospodarstwo nie było ubezpieczone. Dina odparła spokojnie, że pomyśli o tym w przyszłości. Nie wywiązała się żadna kłótnia, bo nadszedł pastor z teologiem.

Matka Karen poruszała się drobnymi kroczkami jak pardwa. W jakiś zadziwiający sposób ustąpiły jej bóle w biodrach i nogach.

Oline w pewnej chwili została w kuchni całkiem sama, bo dziewczęta były zajęte podawaniem wiader z wodą z rąk do rąk. Na szczęście miała przed sobą sporo czasu.

Przywykła dawać sobie radę bez nikogo.

Pieczyste zapowiadało się doskonale, mimo że kucharka wiele czasu spędziła na panicznym bieganii między kuchnią a starym piecem w pralni. Był to ogromny starodawny piec z nowoczesnymi żelaznymi drzwiczkami. Właśnie tam piekło się cielę.

Zaniesiono je do pralni w beczce podczas największej ulewy, tuż przed pierwszymi gwizdkami „Księcia Gustawa”.

A gdy wybuchł pożar, utykająca Matka Karen była jedyną osobą, która mogła pomóc Oline przetransportować cielę z powrotem do domu.

Obie zrozumiały w lot, że uroczysty posiłek trzeba na jakiś czas odłożyć.

Oline polewała pieczeń naturalnym sosem i tłuszczem przez cały czas, by mięso nie wyschło. Dokładała do pieca ostrożnie, z wielkim uczuciem.

Sos mogła jednak doprawić dopiero w ostatniej chwili. A najpierw powinna się trochę uspokoić. Nie da się przyrządzić gładkiego sosu z galopującym sercem.

Zanim włożyła cielę do pieca, połamała mu żebra i zasznurowała starannie rozplątany bok w okolicy nerki.

Nerka była przedmiotem dumy Oline. Miała trafić na stół. Pokrajana ostrym jak piorun nożem i podana jako najsmakowitszy kąsek.

Zmiażdżone jagody jałowca leżały na tacy, roztaczając zapach po całym pomieszczeniu. W zasadzie używa się ich do dziczyzny. Ale przyrządzona przez Oline pieczeń była czymś więcej niż mięsem z cielaka. Pasowały do niej jałowcowe jagody i cudowne przyprawy.

W kryształowych misach przykrytych płótnem czekały maliny moroszki i galaretka porzeczkowa. Suszone śliwki moczyły się w wodzie na piecu. Oline wydrelowała je wszystkimi drżącymi dłońmi, biegając między oknem a ławą.

Poprzedniego wieczoru dziewczęta oskrobały i przygotowały młode, o tej porze roku niewielkie, ziemniaki. Zostawiono je na noc w piwnicy, zanurzone w świeżej wodzie. Miały zostać ugotowane w czterech wielkich garach w ostatniej chwili.

Dziewczęta jednak zabrały do gaszenia pożaru wiadra, w których czekały ziemniaki. Kartofle trafiły w biegu do wielkiej drewnianej dzieży, używanej do zagniatania ciasta.

Teraz, gdy niebezpieczeństwo już zostało zażegnane, Oline użalała się nad misą. To naczynie jest święte. Nie wolno w nie kłaść nic poza ciastem. Jeśli ktoś zlekceważy te zasady, w dzieżę może wstąpić czar, skwaśniją drożdże albo stanie się jeszcze coś gorszego.

– Ale cóż, mieliśmy przecież pożar! – westchnęła zrezygnowana, wrzucając z pluskiem kartofle do garnków, gdzie było ich właściwe miejsce.

Gdy pożar stał się już tylko wspomnieniem, a Johan został godnie przywitany, wszyscy się rozeszli, by odziać się odświętnie już po raz drugi tego dnia.

Wielu mężczyzn miało tylko jedną koszulę. Niektórzy zdjęli ją zbyt późno w gorąco ratowania stodoły. Starli więc po prostu najgorsze plamy i pozostali w tym samym odzieniu. Wystarczyło tylko zmyć z siebie sadzę i brud, a poplamione ubrania stały się powodem do chwały.

Oline nadawała ostatni szlif swemu dziełu, a jednocześnie kazała przygotować nakrycia dla załogi parowca i pasażerów, którzy uczestniczyli w gaszeniu pożaru.

Matka Karen zdecydowała, że kapitan, sternik, maszynista i przyjaciel Johana zasiądą w jadalni. Resztę umieściła w świetlicy w oficynie. Ustawiono tam blaty wsparte na kozłach, przykryte śnieżnobiałymi obrusami i udekorowane polnymi kwiatami.

Oline ociekała potem i tryskała humorem. Praca wprost paliła się w jej rękach. W oficynie panował beztroski nastrój, jeszcze zanim jedzenie pojawiło się na stołach. Przedtem postawiono bowiem na nich rum. Załoga okazała gest i przywiozła z pokładu zarówno oficjalne zapasy, jak też butelki przeznaczone do potajemnej konsumpcji.

Nikt nie wspominał o dalszej podróży parowca na północ.

Mężczyźni pomagali podawać do stołu, jakby nigdy w życiu nie zajmowali się niczym innym.

Matka Karen poleciła nie serwować wina ani mocniejszych trunków w oficynie. Rumu starczyło jednak na długo. Przypominał dzban wdowy z Sarepty, którego niepodobna opróżnić.

Łodzie wiele razy płynęły w stronę parowca. Pościągcy wracali pod górkę z wybrzuszoną bluzą albo kurtką.

Zapanował wkrótce nader swobodny nastrój. Dykteryjki krążyły wokół stołu jak pałeczka sztafetowa. Puentowane salwami śmiechu i uśmiechami.

U końca stołu siedział pastor, który usprawiedliwiał nieobecność żony chorobą.

Mimo upału Dagny miała na sobie najmodniejszą aksamitną kreację, dopasowaną w talu i z wysokim koronkowym kołnierzykiem. Prosto z Bergen.

Dina spoglądała często na broszkę wpiętą w kołnierz referendarzowej. Kiedyś ten klejnot należał do Hjertrud.

W przeciwnym końcu stołu siedziała Matka Karen, Johan zaś między nią a Diną.

Para szwedzkich arystokratów odbywała podróż parowcem po północy. Trzeba ich było przywieźć ze statku i godnie podjąć, mimo iż nie uczestniczyli w gaszeniu pożaru. Mężczyznę posadzono koło Matki Karen. Po licznych zmianach miejsc spowodowanych powiększeniem się grona o oficerów i pasażerów statku, cudzoziemiec, Żukowski, zasiadł u boku Diny.

Srebro i kryształy lśniły w blasku wielkiej lampy.

Zapadał sierpniowy zmierzch. Na białej serwecie leżały stokrotki, dzwonki, liście bluszczu i jarzębiny. Pośród nich królowały wysokie kielichy ze szlachetną zawartością. Miłe zapachy jedzenia obudziły w ludziach wzajemną życzliwość i otwartość. Nie wszyscy się znali, ale łączyły ich już dwie sprawy. Jedzenie i pożar!

Matka Karen ozdobiła twarz przyjazną siateczką zmarszczek. Uśmiechała się, konwersowała. Nareszcie Reinsnes powróciło do dawnych obyczajów! Z „czasów wielkich przyjęć! Kiedy to nad nakrytymi odświeżnionymi stołami unosiły się wonie wędzonej cielęciny czy dziczyzny. Matka Karen czuła rosnące zadowolenie z tego, że znów jest jak dawniej. Cieszyła się, że przyuczyła Stine do obowiązków gospodyni na Reinsnes. Dina puszczała mimo uszu uwagi na temat spraw domowych. A Reinsnes potrzebuje gospodyni, która potrafiłaby coś więcej niż tylko muzykować i palić cygara. Tego wieczoru staruszka zauważyła, że Stine nieźle sobie radzi z rolą gospodyni.

Trudno było zaprzeczyć, że Laponka jest zdolna i bystra. Potrafiła sobie zjednać ludzkie serca, podczas gdy Dina ludzi odpychała.

Dina patrzyła na Barabasza. Miał na sobie czystą koszulę. Wciąż wilgotne włosy. Oczy jeszcze bardziej zielone w świetle lamp.

Zaproponowała, by Żukowski skorzystał z jednego z gościnnych pokoi. Przyjął ofertę z ukłonem.

Gdy usłyszała, że już zszedł na dół w towarzystwie Johana, zakradła się do izby, w której przed chwilą przebywał. Pomieszczenie wypełniał zapach mydła do golenia i skóry.

Gość zostawił uchyloną skórzaną torbę podróżną. W pierwszej chwili Dina tylko przelotnie do niej zajrzała. Potem zaczęła szperać między ubraniami i drobiazgami. Nagle jej dłoń natrafiła na jakiś tom. W solidnej acz podniszczonej oprawie. Otworzyła ją. To była najprawdopodobniej rosyjska książka. Na stronie tytułowej ujrzała pochyły, kanciasty podpis:

ЛЕВ ЖУКОВСКИЙ

ALEKSANDR PUSZKIN głosiły dziwne, drukowane litery na tej samej stronie. To pewnie autor książki. Tytuł brzmiał zupełnie niezrozumiale.

Wszystko zostało napisane takimi samymi, poodwracanymi jakby literami, jak oznaczenia na pudłach i skrzyniach z rosyjskimi towarami.

– Nic nie rozumiem... – mruzczała głośno Dina sama do siebie. Jakby ją złościło, że nie może się dowiedzieć, co to za książka.

Zbliżyła tom do nosa i powąchała. Woń wilgotnego papieru, który długo podróżował. Dziwny zapach mężczyzny. Słodkawy i cierpki zarazem. Tytoń, kurz. Morze!

Ze ściany wyszedł Jakub. Potrzebował jej tego wieczoru. Wymamrotała jakieś przekleństwa, by się odczepił. Ale on się nie poddał. Ocierał się o nią. Błagał o litość. Wypełnił cały pokój swymi zapachami. Dina wyciągnęła rękę przed siebie, by go odpędzić.

Potem odłożyła książkę tam, skąd ją wzięła. Wyprostowała się. Nabrała oddechu. Jakby wykonała jakąś ciężką pracę.

Nasłuchiwała kroków na schodach. Przygotowała sobie alibi, na wypadek gdyby cudzoziemiec ją tu zaskoczył. Przyszła, by wstawić nowe świece do kandelabrow. On przecież nie wie, że nie zwykła się tym zajmować. Kosz ze świecami postawiła na podłodze.

Jakub zniknął dopiero wtedy, gdy ujęła kosz i ruszyła ku wyjściu. W snopie światła rzucanym przez lampę w sieni Jakub puścił jej nagie ramiona. Wlókł za sobą swoją strzaskaną nogę. I wycofał się do mrocznego kąta, gdzie stała bieliźniarka.

– Uratowaliśmy dach stodoły! Bez twojej pomocy! – burknęła Dina ze złością i poszła do jadalni.

*Jam jest Dina, która płynie. Głowa sama porusza się po pokoju.
Otwierają się ściany i sufit Niebo jest ogromnym, mrocznym
obrazem z pluszu i potłuczonego szkła. Płynę pomiędzy tym
wszystkim. Chcę. I nie chcę!*

Podczas przystawek szwedzka arystokratka dziwiła się, że pod biegunem można znaleźć tak piękne gospodarstwo. Jakież urocze są te ścieżki pośród rabatek, wysypane pokruszonymi muszelkami! Zauważyła je już wcześniej, nim zasiedli do stołu. Pielęgnowanie grządek musi być czasochłonne i niełatwe w tej surowej okolicy.

Matka Karen ściągnęła usta, ale odparła uprzejmie, że owszem, zdarza się, iż krzewy różane marzną podczas srogiej zimy. Chętnie pokaże gościowi swój ogródek ziołowy nazajutrz. To specjalność Reinsnes.

Wzniesiono toast za młodego teologa. Za stodołę i siano, uratowane z boską pomocą od pożaru.

– I zwierzęta! Niech Bóg błogosławi zwierzęta! – dodała Matka Karen.

Wypili więc także za plony i trzodę, zanim jeszcze skończyli przystawki.

Arystokrata wychwalał pod niebiosa rybną zupę Oline. Nalegał, by kucharka przysłała do jadalni przyjąć wyrazy jego uznania za jedzenie. Nigdy w życiu nie jadł równie znakomitej zupy rybnej. A kosztował tego dania we wszystkich zakątkach świata, które odwiedził.

Francuska zupa rybna! Czy ktoś jadł francuską zupę rybną?

Matka Karen jadła francuską zupę rybną. I dzięki temu opowiedziała o swym trzyletnim pobycie w Paryżu. Pobrząkiwała przy tym misternymi bransoletkami i wytwornie gestykulowała.

Nagle zaczęła recytować jakieś wiersze po francusku, a na jej policzkach zakwitły młodzieńcze rumieńce.

Białe, zadbane włosy, wyplukane w jarzębinowej wodzie i specjalnie na tę okazję ufryzowane żelazkiem do loków, błyszcząły tak samo jak srebrne sztucce i kandelabry.

Gdy Oline wreszcie się zjawiła – musiała przecież najpierw przygotować się trochę i zdjąć fartuch – wspomnienie zupy rybnej nie było już tak żywe.

Arystokrata powtórzył oczywiście swe pochwały, ale bez poprzedniego uniesienia. Skoro jednak doszedł już do głosu, wygłosił także mowę na cześć głównego dania. Okazał się tak elokwentny, że Oline dygnęła i oświadczyła, iż musi już iść.

Nastąpiła trochę niezręczna pauza.

Żukowski rozluźnił muchę na szyi. W jadalni było gorąco, choć okna wychodzące na ogród stały otworem.

Ćmy nocne zaplątały się w fałdy cienkich koronkowych firanek. Zwabione światłem. Jedna wpadła wprost w płomień świecy stojącej przed Diną. Krótki trzepot. I po wszystkim. Zwęglone szczątki – drobina pyłu na obrusie.

Dina uniosła swój kieliszek. Szmer głosów wokół zniknął. Obcy także ujął swój kieliszek i skłonił się. Nie padło ani jedno słowo. Potem jednocześnie wzięli sztućce i zaczęli jeść.

Pieczeń cieleca była różowa i soczysta. Sos śmietanowy okrywał aksamitnie białą porcelaną. Galaretką porzeczkową trzęsła się na brzegu talerza.

Dina zdecydowanym ruchem położyła galaretkę na mięsie. Młode ziemniaki były idealnie oskrobane, bez śladu skórki. Białe, miękkie kulki. Dina nakłuła jedną srebrnym widelcem i odkroiła nożem plasterek. Zanurzyła go powoli w sosie. Dołożyła jeszcze kawałek galaretki i podniosła wszystko do ust. Napotkała spojrzenie mężczyzny w chwili, gdy robił dokładnie to samo.

Przez chwilę między jego wargami można było dostrzec kawałek różowego mięsa. Przebyskującego między zębami. Potem zamknął usta i zaczął żuć. W jego oczach błyszczało morze.

Dina zebrała na swym widelcu obie jego tęczówki i włożyła je do ust. Dotknęła ich językiem. Ostrożnie.

Jabłka oczu smakowały słono. Niepodobna było ich połknąć ani pogryźć. Pozwoliła im wznieść się powoli ku podniebieniu i musnęła je czubkiem języka. Potem przesunęła oczy na sam przód i rozwarła wargi, by je wypuścić.

Barabasz jadł spokojnie, delektując się smakiem, gdy oczy powracały na swoje miejsce. Jego twarz intensywnie błyszczała. Jakby obopólna rozkosz przenikała przez jego skórę. Oczy osiadły znów tam, gdzie było ich miejsce. I mrugały do Diny!

Ona także mrugnęła. Z powagą. Jedli dalej. Kosztowali siebie nawzajem. Przeżywali. Nie za szybko. Ten, kto nie zapanuje nad sobą, przegrywa.

Wyrwało jej się jedno westchnienie. Na chwilę zapomniała o żuciu. I uśmiechnęła się bezwiednie. To nie był jej zwykły uśmiech. Jakiś inny, który przetrwał gdzieś wiele lat. Z czasów, kiedy siadywała na kolanach Hjertrud, głaszczącej ją po głowie.

Barabasz był piękny po jednej stronie, brzydki – po drugiej. Blizna dzieliła go na dwie połowy. Jej rowek przebiegał łukiem przez policzek.

Nozdrza Diny poruszały się, jakby ktoś laskotał ją źdźbłem. Odłożyła nóż i widelec. Podniosła dłoń do twarzy i musnęła palcem górną wargę.

Wmieszał się w to głos referendarza, który pytał, czy Johan stara się o jakąś parafię.

Johan wpatrywał się skromnie w talerz i wyraził swe powątpiewanie co do zainteresowania gości jego losem. Referendarz był jednak innego zdania.

Na szczęście podano deser. Maliny moroszki z kremem. Najpiękniejsze z tegorocznego zbioru. Tomasz przyniósł je z łąk koło swej rodzinnej zagrody specjalnie na tę okazję.

Towarzystwo delectowało się ich smakiem. Sternik opowiedział, jak pewnego razu gościł przypadkiem na ślubie w Bardu. Nie podano tam wcale świeżego mięsa. Nie było też deseru. Podano kaszkę na mleku i budyń. I suszoną baraninę! Tak słoną, że tylko gospodarz mógł ją pokroić. Zęby nikt nie zniszczył noża!

Twarz Matki Karen zachmurzyła się. Starsza pani oświadczyła, że mieszkańcy Bardu nie zwykli tak oszczędzać na jedzeniu.

Nie na wiele się to zdało. Nawet pastor wybuchnął śmiechem.

Tomasz nie zakosztował pańskich specjałów.

Był jednym z nielicznych, którym nie starczyło czasu, by się przebrać w czyste ubranie przed posiłkiem. Musiał nadzorować odprowadzanie zwierząt na miejsca, zorganizować warty przeciwpożarowe i pilnować, by wartownicy byli w miarę trzeźwi.

Anders i Niels szybko zniknęli w białym domu. I już więcej ich nie zobaczył. A zatem cała odpowiedzialność spoczęła na nim.

Pojawił się w oficynie wówczas, gdy stoły już uprzątnięto i wszyscy siedzieli w miłym towarzystwie z fajkami, kawą i rumem.

Jego cierpliwość się wyczerpała, poczuł się skrajnie zmęczony i wykorzystany.

Po ugaszeniu pożaru Dina podeszła do niego. Poklepała go przyjaźnie po plecach swoim zwyczajem „Tomasz!” – powiedziała. I to wszystko.

Wówczas mu to wystarczyło. Ale nie pojawiła się już więcej, me rozmawiała z nim, nie dziękowała mu w obecności innych, więc wszystko się skomplikowało. Wszystko.

Wiedział przecież, że odegrał najważniejszą rolę w ratowaniu obejścia. Pierwszy przecież wdrapał się na dach z siekierą. Gdyby nie on, wszystko mogłoby się skończyć o wiele gorzej).

Nagle poczuł w sobie coś w rodzaju nienawiści do Diny. Obejmującej także tego rosnącego obcego, który pomagał mu rąbać dach zagrożony płomieniami.

Tomasz zapytał marynarzy o tego człowieka. Nikt nie wiedział nic ponad to, że mężczyzna mówi z obcym akcentem i figuruje na liście pasażerów pod niechrześcijańskim nazwiskiem. Jakby był Chińczykiem! Wsiadł na statek już w Trondheim. Siedział zazwyczaj z książką i fajką albo rozmawiał z Johanem Grønvelvem. Wybiera się na najdalszy północny wschód. Może jest Lapończykiem albo pochodzi z jeszcze odleglejszych stron na wschodzie? W każdym razie mówi dobrze po norwesku.

Tomasz zauważył, że mężczyzna stanął w pobliżu Diny po zejściu z dachu. Z goryczą obserwował, jak dwukrotnie podała mu rękę. Jeszcze więcej bólu sprawił mu fakt, że obcego zaproszono do pańskiego stołu. Przecież nosił się jak marynarz.

Tomasz wykonał wszystkie obowiązki z zaciśniętymi zębami. Potem wybrał się do Oline z pytaniem, czy jej czegoś nie trzeba. Przyniósł więcej drwa na podpałkę, więcej wody i został w kuchni.

Zasiadł z ufnością za stołem i pozwolił się obsługiwać. Usprawiedliwił zmęczeniem swą ucieczkę z oficyny.

Żuł powoli i dokładnie. Jakby myśl kierowała ruchami każdego kęsa w ustach i w drodze do żołądka.

– Nie ma już zupy – narzekała Oline. – Ten szwedzki arystokrata wyjadł wszystko do dna!

Pierwszy raz widziała wielkiego pana, który ma tak kiepskie maniery, by prosić o dolewkę. Jego posiadłość nie może być zbyt bogata.

Tomasz apatycznie kiwał głową. Siedział zgarbiony nad stołem.

Oline przyglądała mu się z ukosa, modelując krem na malinach moroszkach. Gdy się z tym uporała, wytarła dokładnie ręce ręcznikiem. Każdy palec z osobna. Jakby krem mógł być niebezpieczny.

Potem poszła na chwilę do kredensu i wróciła z kieliszkiem czerwonego wina najlepszego gatunku.

– Proszę! – powiedziała krótko, stawiając kieliszek przed Tomaszem i wracając do swoich zajęć.

Tomasz skosztował trunku. Chcąc ukryć wzruszenie troskliwością kucharki, wykrzyknął:

– Cholera!

Oline mruknęła szorstko, że od dawna wie, gdzie Benjamin się nauczył tych bezbożnych wyrażań.

Tomasz uśmiechnął się do niej mgliście.

Kuchnia emanowała ciepłem i bezpieczeństwem. Od oparów, zapachów potraw i szmeru głosów dobiegających z jadalni kleiły mu się oczy.

Ale gdzieś w środku głowy znajdował się całkowicie przytomny punkt.

Dina nie pojawiła się w kuchni.

Stine zabrała dzieci na górę. Przez jakiś czas dobiegał stamtąd krnąbrny chłopiący głos pomieszany z pełnymi złości okrzykami Hanny. Wszystko się jednak wkrótce uspokoiło.

Dagny, Matka Karen i hrabina piły kawę w salonie, Dina zajęła swe miejsce na szezlongu w palarni, ćmiła cygaro i sama napełniała sobie kieliszek winem. Hrabia spoglądał na nią zrazu ze zdziwieniem, po chwili jednak wrócił do rozmowy z panami.

Po jakimś czasie pastor spojrzął życzliwie na Dinę i zagadnął:

– Pani powinna nam pomóc nastroić organy!

Z prawdziwym talentem przymykał oczy na niezupełnie stosowne posunięcia Diny. Jakby wiedział, że zalety pani na Reinsnes są ważniejsze.

Pastor mawiał, że ludzi północy trzeba traktować tak, jak pory roku. Jeśli człowiek już nie może ich znieść, powinien posiedzieć trochę w domu i zebrać siły.

Małżonka pastora wcielała w życie tę zasadę. Dlatego nie zjawiła się na Reinsnes na przyjęciu powitalnym dla Johana.

– Pastor wie przecież, że nie znam się zbyt dobrze na organach. Ale mogę spróbować – powiedziała Dina.

– Ostatnim razem poszło całkiem nieźle – zapewnił ją pastor.

– To zależy, co kto słyszy – odparła cierpko Dina.

– No tak. Dino, jesteś bardziej muzykalna niż większość ludzi! Zdaje się, że wiele zawdzięczasz... – Jakże on się nazywał? Ten człowiek, który nauczył cię kochać muzykę?

– Lorch – odpowiedziała.

– Tak, właśnie! Gdzież on teraz jest?

– W drodze do Reinsnes. Ze swoją wiolonczelą... – odparła ledwie dosłyszalnie.

– To interesujące! Dobra wiadomość! – wykrzyknął pastor. – Kiedy się go można spodziewać?

Dina nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż hrabia odwrócił uwagę duchownego.

Johan siedział otoczony starszymi, będąc niejako naturalnym ośrodkiem zainteresowania. Nie zabiegał o to zresztą w żaden sposób. Jego niski głos brzmiał czysto, zdradzał zainteresowanie. Ciągłe przeczesywał dłonią jasne, niesforne włosy, nie zdając sobie z tego sprawy. Po chwili znów opadały mu na czoło.

Zmienił się przez te wszystkie lata. Nie tylko zewnętrznie. Jego słowa brzmiały obco. Nabrał lekkiego duńskiego akcentu. Zachowywał się tak, jakby gościł w jakimś przypadkowym zajeździe. Nie rozpoznawał niczego. Nie zatrzymał na niczym swej dłoni. Nie biegał między pokojami, by je znowu zobaczyć. Uczestniczył w gaszeniu pożaru, ale potem trzymał się głównego budynku.

Anders zagadnął Johana o sytuację w Danii. Czy bywał na studenckich zebraniach nacjonalistów, które się odbywają w Kopenhadze.

Na twarzy Johana malowało się zażenowanie, gdy musiał zaprzeczyć.

– Duńczycy świętują od czasów bitwy pod Isted? Posmakowało im zwycięstwo nad Niemcami – zauważył Żukowski.

– Owszem – odparł Johan. – Ale to niezbyt rozsądne przyłączać Szlezwik do Danii. Kultura i język są przecież inne.

– Czy nie o tym marzył król Fryderyk? – zapytał Rosjanin.

– Tak, i nacjonałiści.

– Słyszałam, że car Mikołaj przesądził o losach tej wojny – zauważyła Dina.

– Owszem, postraszył Prusaków wojną, o ile nie wycofają się z Jutlandu – odparł Żukowski. – Ale i obowiązek służby wojskowej wprowadzony w Danii zrobił swoje.

Rozmowa o rozkwicie Danii przedłużała się.

– Zna się pan na tych sprawach – zwrócił się referendarz do Żukowskiego.

– Człowiek słyszał to i owo – uśmiechnął się mężczyzna.

– Niewielu ludzi w Danii ma tak dobre rozeznanie sytuacji – rzekł Johan z uznaniem.

– Dziękuję.

Dina obserwowała panów podczas tej rozmowy.

– Matka Karen obawiała się, że Johan zaangażuje się w politykę, zanim wróci do domu.

– Chyba za mało mnie to interesuje – odpowiedział niefrasobliwie Johan. – Któż dałby się sprowokować teologowi?

– Nie mów tak – wtrącił się pastor. – Ale teraz jesteś z nami – dodał.

– Dziś teologowie są inni – zauważył Johan skromnie.

– Ja nie mam żadnej władzy politycznej. Ale z pastorem jest oczywiście inaczej.

– No, no – odparł dobrotliwie pastor – ja też nie chcę nad nikim sprawować świeckiej władzy.

– A jednak pastor to robi, pozwolę sobie zauważyć – wtrąciła się Dina.

– W jaki sposób?

– Jeśli władze robią coś, co pastor uważa za niesprawiedliwe, mówi o tym głośno, mimo że sprawa go nie dotyczy.

– Owszem, zdarza się...

– I przewaźnie pastor dopina swego – ciągnęła Dina z uśmiechem.

– To też możliwe. – Pastor rozpromienił się z zadowolenia.

Rozmowa powróciła na bezpieczne tory. Referendarz zaczął odpowiadać o ostatnich wydarzeniach i kłótniach w *tingu*.

Anders najbardziej dziwił się zmianom, które dostrzegł w Johanie. Nie był to już ten sam chłopiec, który tu dorastał. Anders usprawiedliwiał Johana jego młodym wiekiem w chwili odjazdu. I tym, że w domu zgromadziło się tak wielu ludzi.

Zauważył już przy stole, że ponowne spotkanie z wnukiem-duchownym nie jest łatwe dla Matki Karen. Z wysiłkiem znajdowała tematy, które można by z nim poruszyć.

Johan zachowywał się oczywiście uprzejmie i przyjaźnie. Ale stał się obcy.

Wypaliwszy swą krótką fajkę, pastor zaczął się zbierać do domu, usprawiedliwiając się i błogosławiąc wszystkim. Muzyki posłucha przy innej okazji, powiedział.

Dina odprowadziła gościa. Kiedy wróciła do salonu, zagrała kilka akordów na fortepianie. Na próbę.

Barabasz znalazł się natychmiast przy niej. Oparł się o instrument i słuchał.

Dina przerwała, obrzucając go pytającym spojrzeniem.

Nagle wszystko się zaczęło. Zanucił smutną, melancholijną pieśń po rosyjsku.

Dina szybko podchwyciła melodię i zagrała ze słuchu. Jeśli się myliła, poprawiała ją, wskazując właściwy ton.

Pieśń była obca. Rzewna. Wielki mężczyzna zaczął nagle tańczyć. Jak rosyjscy marynarze, gdy są trochę pijani. Z rozpostartymi w górze ramionami i ugiętymi kolanami. Poruszając gibkimi biodrami.

Rytm stawał się coraz bardziej szaleńczy i wesoły. Mężczyzna tańczył tak nisko, tuż nad podłogą, że właściwie nie wiadomo, jakim cudem utrzymywał się na nogach. Wyrzucał je na boki i znów je pod siebie podciągał. Coraz szybciej.

Emanowała z niego wielka siła. Był poważny i skupiony. A jednocześnie bez wątpienia się bawił.

Dorosły mężczyzna, który się bawi! Szrama lśniła intensywną bielą na płonącej twarzy. Janus o dwóch obliczach. Wirował w kółko, ukazując to zraniony, to nienaruszony policzek.

Dina nie spuszczała oka z mężczyzny, a jej palce tańczyły. Twardo i lekko zarazem.

Matka Karen, Dagny i hrabina przerwały dystygowaną rozmowę. Mężczyźni w palarni podnosili się po kolei ze swoich miejsc, by to zobaczyć i usłyszeć. Stine stała w drzwiach, a za nią czworo dzieci.

Beniamin z szeroko otwartymi oczami i ustami. W końcu wszedł do salonu, choć to było zabronione.

Hanna i chłopcy referendarza trzymali się nieśmiało w drzwiach.

Wreszcie cały pokój rozjaśnił się ogromnym uśmiechem. Uśmiech przeskakiwał jak maleńka pchełka z twarzy na twarz.

Radość gościła na Reinsnes nie częściej niż cuda. Rzadko się tu pojawiała ostatnimi laty.

Pieśń i muzyka dobiegły progów kuchni.

Głęboki męski głos, śpiewający dziwnie rzewną melodię o niezrozumiałych słowach, wypędził cały dom.

Tomasz poruszył się niespokojnie. Oline słuchała z półotwartymi ustami. Dziewczyna, która usługiwała w salonach, przybiegła do kuchni. Chichocząca i rozgorączkowana.

– Chcą więcej ponczu! Ten cudzoziemiec śpiewa rosyjskie piosenki i skacze w górę i w dół, wyrzuca nogi w powietrze jak jakiś wariat! Jodłuje i klepie się po pośladkach! W życiu czegoś takiego nie widziałam! Będzie spał w południowym pokoju gościnnym. Dina tak powiedziała! Trzeba nalać wody do dzbanka i do karafki. I zanieść tam czyste ręczniki!

Tomasz poczuł, że traci dech, jakby ktoś nagle zadał mu cios pięścią.

Żukowski skończył swój taniec równie niespodziewanie, jak zaczął. Ukłonił się elegancko, gdy wszyscy zaczęli bić brawo, i wrócił do palarni po swoje gasnące cygaro.

Na czole perlił mu się gęsty pot. Ale nie wycierał go. Zmarszczył tylko nieco brwi i rozluźnił zapięcie pod szyją.

Jakub otarł się o ramię Diny. Był w kiepskiej formie.

Dina odepchnęła go od siebie. Ale trzymał się mocno nawet wtedy, gdy szła ku Żukowskiemu. Obcy usadowił się na wolnym krześle koło szezlongu.

Dina wyciągnęła do niego dłoń i podziękowała za przedstawienie. Powietrze między nimi fosforyzowało. I doprowadzało Jakuba do szaleństwa.

Później, gdy wszystko wróciło do normy, a podróżni zaczęli rozmawiać o błogosławionym świetle na północy, Żukowski nachylił się nad Diną i przykrył dłonią jej rękę.

– Dina Grønelv potrafi grać – powiedział po prostu.

Niechęć Jakuba wobec tego mężczyzny wymierzyła Dinie cios między oczy. Kobieta cofnęła więc dłoń.

– Dziękuję! – powiedziała.

– A poza tym potrafi nieźle organizować gaszenie pożaru... I ma takie piękne włosy!

Mówił bardzo cicho, ale takim tonem, jakby uczestniczył w ogólnej rozmowie o pogodzie na północy.

– Niektórzy są niezadowoleni, że nie upinam włosów – odpowiedziała.

– Mogę sobie wyobrazić – rzekł krótko.

Dzieci wróciły razem ze Stine na strych. Robiło się późno. Nocne światło wśliznęło się między koronkowe firanki i rośliny w doniczkach.

– Opowiadałeś, że twoja macocha jest muzykalna i właśnie się o tym przekonaliśmy. Ale wspominałeś, że gra na wiolonczeli – zwrócił się Żukowski do Johana.

Po raz pierwszy ktoś nazwał Dinę macochą. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Ale po chwili je zamknęła.

– Tak – odparł Johan z zapałem. – Zagraj dla nas na wiolonczeli, Dino!

– Nie, nie teraz.

Zapaliła nowe cygaro.

Jakub był z niej ogromnie zadowolony.

– Kiedy opowiadałeś, że gram? – zapytała.

– Na statku. Zachowałem to w swoich wspomnieniach o tobie – odpowiedział Johan.

– Tak, niewiele ich pewnie jest... – mruknęła.

Żukowski wodził między nimi oczyma. Niels podniósł głowę. Z jego kąta nie dobiegł przez cały wieczór ani jeden dźwięk. W każdym razie i on był na miejscu.

– O co ci chodzi? – spytał niepewnie Johan.

– Nie, nic takiego, po prostu dawno cię tu nie było... – odrzekła.

Dina rozprostowała plecy i zapytała, czy ktoś nie chciałby się przejść przed spoczynkiem, skoro burza się uspokoiła.

Wszyscy spojrzeli na nią ze zdumieniem. Podniósł się tylko Żukowski. Johan popatrzył na nich. Jakby zainteresował go jakiś szczegół. Potem wyciągnął rękę po pudełko z cygarami, które otworzył Anders, i częstował sąsiadów.

To było jego pierwsze cygaro w tym dniu.

Tomasz wziął na siebie więcej dyżurów przeciwpożarowych niż ci, którymi miał kierować.

Szedł właśnie z oficyny do stodoły, kiedy zauważył, że Dina i ten obcy spacerują razem po wysypanych białymi muszelkami alejkach koło altany.

Cudzoziemiec szedł wprawdzie z kciukami zatkniętymi w kieszenie kamizelki i zachowywał należyty dystans, ale po chwili oboje zniknęli we wnętrzu altany.

Tomasz zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie wyruszyć na morze. Było jednak wiele „ale”. Po pierwsze spoczywała na nim odpowiedzialność za warty przeciwpożarowe. Poza tym miał starych rodziców. No i małe siostry.

Skończyło się na tym, że usiadł z podkurczonymi nogami na sianie, a dźdźbła kłuły go, przedostając się przez ubranie. Podjął w końcu decyzję. Porozmawia z nią. Zmusi, by na niego spojrzała. Może uda mu się skłonić ją, by poszli razem na polowanie!

Łódź pastora oddaliła się już tak znacznie, że można było zacząć tańce.

Tomasz szedł w stronę przystani Andreeasa, by wysłać następnego chłopaka na wartę.

Potem znów zaszedł do Oline, do kuchni. Pomógł jej znieść resztki jedzenia do piwnicy. Przyniesie więcej wina. Przydźwigał wodę i drwa.

Oline odwróciła kilka razy wzrok od swej roboty, by spojrzeć na niego.

– Tea i Anette są na dole, tańczą... – rzekła jakby na próbę.

Tomasz nie odpowiedział.

- Ty nie tańczysz, Tomaszu?
- Nie.
- Coś cię dręczy, chłopcze?
- Eee, po prostu jestem zmęczony – odparł niefrasobliwie.
- I nie chciałbyś sobie pogadać teraz, gdy już uporaliśmy się ze wszystkim?
- E tam – powiedział trochę zmieszany.

Chrząkał przez całą drogę do przybudówki, niosąc puste wiadro. Napelnił je wodą po same brzegi, dołożył drewno do pojemnika stojącego za piecem. Bierwiona leżały starannie ułożone w kącie. Chrust na podpałkę w skrzynce.

- Chodź tu i usiądź koło mnie – powiedziała Oline.
- Nie idziesz spać?
- Dziś się nie spieszę.
- Aha.
- To co, masz ochotę na kawę i brandy?
- Owszem.

Siedzieli za masywnym stołem, każde pograżone we własnych myślach.

Rozjaśniło się. Po wietrze pozostało już tylko wspomnienie i słabiutki powiew. Sierpniową noc wypełniały zapachy przypraw i niebieskie światło sączące się przez otwarte okno.

Tomasz długo mieszał cukier w swoim kubku.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

POŁÓŻ MIĘ JAK PIECZĘĆ NA TWOIM SERCU,
JAK PIECZĘĆ NA TWOIM RAMIENIU,
JAK ŚMIERĆ POTĘŻNA JEST MIŁOŚĆ,
A ZAZDROŚĆ JEJ NIEPRZEJEDNANA JAK SZEOL

(Pieśń nad Pieśniami, 8, 6)

W nocnym świetle wyglądał lepiej niż w świetle lamp. Dina przyglądała mu się bez żenady. Szli po chrzęszczącym piasku, przemieszanym z muszelkami. On w koszuli bez rękawów i kamizelce. Ona w czerwonym, jedwabnym szalu narzuconym na ramiona.

– Pan nie urodził się w Norwegii?

– Nie.

Pauza.

– Nie chce pan rozmawiać o swojej ojczyźnie?

– Nie o to chodzi. Ale to długa historia. Mam dwie ojczyzny, dwa języki. Rosyjski i norweski.

W jego głosie dosłyszała zakłopotanie.

– Moja matka była Norweżką – oświadczył lakonicznie. I jakby trochę arogancko.

– Czym się pan zajmuje oprócz podróżowania?

– Śpiewam i tańczę.

– Można z tego żyć?

– Przez jakiś czas.

– Skąd pan pochodzi?

– Z Petersburga.

– Zdaje się, że to ogromne miasto?

– Ogromne i przepiękne – odparł i zaczął opowiadać o jego świątyniach i placach.

– Dlaczego pan tyle podróżuje? – zapytała po chwili.

– No właśnie, dlaczego? Chyba to lubię. A poza tym – szukam.

– Czego?

– Tego samego, co wszyscy.

– To znaczy czego?

– Prawdy.

– O czym?

Rzucił jej zdziwione, niemal pogardliwe spojrzenie.

- A pani nigdy nie szuka prawdy?
- Nie – odpowiedziała zwięźle.
- Jak można żyć bez prawdy?

Dina wycofała się w głąb siebie. Jakub stanął między nimi. Zadowolony.

– Jeszcze przyjdzie na to czas – powiedział Barabas z cicho. Ujął ją zdecydowanie za łokieć, wypychając Jakuba z czasu i przestrzeni. Minęli wypaloną stodołę. Z wnętrza dobiegły ich głośne porykiwania zwierząt. Poza tym panowała cisza. Tylko zapach przypalonego siana i drewna wychodził im naprzeciw.

Weszli do ogrodu przez białą furtkę. Chciała pokazać mu altanę. Wydzierganą jak koronka pośród zieleni. Białą, z niebieskim żłobionym ornamentem. Ośmiokątny domek z dachem w kształcie smoka. Dobrze utrzymany. Choć zima zniszczyła kilka kolorowych szybek.

Żukowski musiał pochylić głowę, by przejść przez drzwi. Dina się zaśmiała. Ona także musiała to zrobić.

We wnętrzu panował półmrok. Usiedli na ławce. Żukowski wypytywał ją o Reinsnes. Dina odpowiadała. Znajdowali się bardzo blisko siebie. On trzymał dłonie na kolanach. Spokojne dłonie. Uśpione zwierzęta.

Żukowski zachowywał się zupełnie przyzwoicie, choć siedział tuż obok Diny. Jakub śledził każdy jego ruch. Rosjanin jakby to poczuł i powiedział nagle, że robi się późno.

- To był bardzo długi dzień – powiedział Dina.
- To był wspaniały dzień – dodał Żukowski. Podniósł się i ujął Dinę za rękę, by złożyć na niej pocałunek. Ciepłymi, wilgotnymi wargami.

Następnego ranka stali w sieni na poddaszu. Koło schodów.

Półmrok pachniał jeszcze snem, nocnikami i mydłem.

Rosjanin opuszczał dom ostatni. Cała reszta była już w drodze do łodzi.

- Wrócę na południe przed zimą... – zaczął i spojrzał na nią pytająco.
- Zapraszam! – odpowiedziała takim tonem, jakby mówiła do kogokolwiek.
- Czy mogłaby pani wtedy zagrać na wiolonczeli?
- Chyba tak. Gram prawie codziennie – odparła, podając mu rękę.
- Ale wczoraj pani nie grała.
- Nie, wczoraj nie.
- Nie była pani w odpowiednim nastroju? Ten pożar...
- Tak, pożar.
- Teraz musi pani przypilnować, by nowy dach został porządnie położony.
- Trzeba to zrobić.
- Pani ma wiele zajęć? Dużo ludzi tu pracuje?
- Dlaczego pan o to pyta... teraz?

Jego blizna uniosła się ku górze. W nie skrywanym uśmiechu.

– Próbuję przeciągnąć tę chwilę. To nie takie proste. Zabiegam o pani względy,
Dino Grøneltv.

– Barabasz nie jest do tego przyzwyczajony?

– Nie całkiem... A więc ja jestem Barabaszem?

Roześmieli się oboje szeroko, ukazując zęby. Jak dwa psy, które walczą dla zabawy gdzieś w cieniu.

– Jesteś Barabaszem!

– Barabasz był złoczyńcą – szepnął Żukowski, zbliżając się do Diny.

– Ale został uwolniony! – odparła prawie bez tchu.

– Chrystus musiał umrzeć zamiast niego.

– Chrystus zawsze musi umierać...

– Pomachaj mi na pożegnanie – poprosił szeptem, ale wciąż stał niezdecydowany.

Dina nic nie odpowiedziała. Nagłym ruchem chwyciła jego rękę między swoje dłonie i ugryzła go mocno w palec. Wydał pełen zdziwienia okrzyk bólu.

Opadły z nich wszelkie formy. To wystarczyło, by przygarnął ją do siebie i ukrył głowę na jej piersi. Oddychając przy tym głęboko.

Stali tak przez chwilę. Bez ruchu. Wreszcie Rosjanin się wyprostował, ucałował jej dłoń i nasadził kapelusza na głowę.

– Przyjadę na południe przed zimą – powiedział chrapliwym głosem.

Rozdzielały ich coraz to nowe schodki. Żukowski odwracał się kilka razy, by spojrzeć na Dinę. Zatrzasnęły się drzwi. Już go nie było.

Parowiec miał jednodniowe opóźnienie. Żukowski stanął na mostku, unosząc dłoń w geście pożegnania. Było ciepło. Miał na sobie koszulę bez rękawów. Na jego tle wszyscy zapięci pod szyję pasażerowie w eleganckich ubraniach wyglądali idiotycznie.

Dina patrzyła na tę scenę z okien sypialni. Wiedział, że ona tam stoi.

Jam jest Dina. Płyniemy wzdłuż plaży. Blisko siebie. Blizna płonie jak pochodnia między wodorostami. Jego oczy są zielonym morzem. Oświetlają piaszczyste dno. Chcą mi coś pokazać. I coś przede mną ukryć. On odpływa. Za cypel. Za góry. On jeszcze nie zna Hjertrud.

Johan stanął na kamieniu pośród wodorostów, które zasłały plażę, i krzyczał coś w kierunku statku. Żukowski pokiwał głową i uchylił kapelusza.

Potem rozległ się gwizd parowca. Łopatki na kole zaczęły się obracać. Głosy utonęły. Dina zawiesiła sobie na szyi zielone oczy.

* * *

Rodzina referendarza opuściła Reinsnes o brzasku. Anders i Niels odwieźli całą czwórkę do domu. I tak wybierali się do Strandsted, żeby zrobić zakupy potrzebne do naprawy dachu. Nie ma co liczyć na drewno z własnych lasów. Potrzeba wysezonowanego i przyciętego na miarę materiału.

Popłynęli kliprem, żeby móc wszystko załadować na pokład. Parobek z Fagerness musiał samotnie poprowadzić konie przez górską przełęcz, spieczoną upałem.

Matka Karen próbowała zacząć serdeczną rozmowę z Johanem, rozmowę o sensie życia. O śmierci. O przyszłości Johana. O parafii.

Dina wybrała się na samotną przejażdżkę konną. Wróciła do domu dopiero późnym popołudniem.

Tomasz uznał, że to niedobry znak. Doszedł do wniosku, że lepiej porozmawiać z nią innym razem.

W całym zamieszaniu spowodowanym pożarem i powrotem Johana nikt nie powiedział Dinie, że jedna z łodzi przywiozła na ląd wielką skrzynię.

Dopiero chłopak ze składu przyniósł jej tę wiadomość i Dina zeszła do przystani. Długimi, lekkimi krokami.

Rozpakowała skrzynię tam, gdzie ją znalazła. Przesyłka stała na pomoście przez całą dobę!

Lorch poczuł się zdradzony. Ale nie obarczał jej winą. Jego zapach nasilał się, gdy Dina przybliżyła się do wiolonczeli. Instrument został zapakowany bardzo starannie.

Dina ostrożnie wyjęła wiolonczelę ze skrzyni. Natychmiast zabrała się do strojenia instrumentu.

Struny zapłakały. Nie chciały dać się nastroić. Dina powiedziała o tym Lorchowi. Spróbowała jeszcze raz, przejęta i zaaferowana. Kręciła kołkami wciąż od nowa. Ale instrument jakby zawodził z rozpaczy.

Niewielkie fale uderzały o kamienie gdzieś pod nią. Pluskały z irytującą beztrząską. Połykiwały przez szpary w podłodze.

Dina zawiąła z wściekłości i rozczarowania, że nie może nastroić wiolonczeli. Postanowiła, że zanieśie ją do sypialni. Pewnie wiolonczela chce się znaleźć naprawdę w domu, zanim pozwoli się nastroić.

Gdy jednak Dina wyszła na słońce, zrozumiała wszystko. Instrument poddał się w czasie podróży. Wiolonczela była martwa. Stało się. Pękła!

Matka Karen próbowała Dinę jakoś pocieszyć. Tłumaczyła, że to pewnie sprawa temperatury i różnic w wilgotności powietrza wzdłuż wybrzeża.

Dina zaniósła instrument do sypialni. Postawiła wiolonczelę w kącie. Obok swojej. Martwą obok żywej. Razem.

Rozdział dwunasty.

BYWAŁO, ŻE DNIEM TRAWIŁ MNIE UPAŁ, A NOCĄ CI IŁÓD SPĘDZAŁ
MI SEN Z POWIEK.

(Księga Rodzaju, 31, 40)

Między sianokosami a wykopkami była chwila oddechu. Trzeba naprawić dach, zanim ludzie będą musieli zająć się czym innym.

Bo przecież pojawiali się już pierwsi rybacy ze sztokfiszem. Trzeba było ryby starannie wyselekcjonować, sprasować w czterdziestokilogramowe płyty w specjalnym urządzeniu, stojącym na poddaszu przybrzeżnych spichrzów, i przygotować do transportu do Bergen i za granicę.

Z wątróbek dostarczanych razem z rybą trzeba było zrobić ciemny tran jeszcze przed nadejściem jesieni. Wtedy wszyscy pachnieli tranem. Jego woń zalegała nad całym obejściem. Wkradała się we włosy, w świeżo upraną bieliznę. Czepiała się, jak nieświeży oddech, wszystkich nieszczęśników, którzy uczestniczyli w produkcji tranu.

Te zajęcia pochłaniały czas. Zabierały ludzkie ręce. Ale za to zamieniały się w brzęczącą monetę i spokojne dni dla wszystkich.

Nowa, młodziutka dojarka nie dawała sobie rady. Krowa budziła w dziewczynie przerażenie.

Od chwili pożaru nawzajem działały sobie na nerwy. Prawie codziennie mleko rozlewało się w krowiej przegrodzie, a dojarka zapłakana zjawiała się w kuchni u Oline.

Pewnego wieczoru Dina trafiła na ten moment.

Weszła do kuchni i usłyszała smutną historię mleka, po raz kolejny rozlanego na klepisku w oborze.

- Umiesz porządnie doić krowę? – zapytała Dina.
- Tak. – Dziewczyna pociągnęła nosem.
- Chodzi mi o to, czy potrafisz doić żywe krowy?
- Tak – powtórzyła dziewczyna, dygając.
- A jak to robisz?
- Siadam na stołku, trzymam wiadro między kolanami...
- A krowa? Co robisz z krową?
- No... osuszam jej wymiona...
- I co jeszcze?
- Jeszcze?
- Tak. Myślisz, że doisz stołek?

– Nie...

– Krowa jest krową i trzeba ją traktować jak żywe stworzenie. Rozumiesz?

Dojarka poruszyła się nerwowo.

– Ona jest taka narowista.

– Jasne, że jest narowista, kiedy przychodzisz ją doić.

– Z początku taka nie była.

– Stała się taka dopiero po pożarze?

– Ale co to ma do rzeczy?

– To, że się spieszysz, bo chcesz czym prędzej zobaczyć, co się dzieje w izbie czeladnej. Dla krowy jesteś jak pożar.

– Ale...

– Tak właśnie jest! Chodź! Idziemy do obory!

Dina znalazła robocze ubranie w komorze izby czeladnej. I poszła razem z dojarką do porykującego zwierzęcia.

Zostawiła wiadro i stołek przed krowią przegrodą. Potem podeszła do krowy i położyła jej rękę na szyi. Ciężką i spokojną rękę.

– Daj już spokój! – powiedziała cicho, głaszcząc parszkające zwierzę.

– Niech pani uważa, ona jest narowista – ostrzegła dojarka niespokojnym głosem.

– Ja też – odpowiedziała Dina, wciąż głaszcząc krowę.

Dziewczynie zaokrągliły się oczy. Dina weszła do przegrody i pokiwała na dojarkę. Tamta z wahaniem zrobiła parę kroków.

– Widzisz. Masz być dla niej dobra – rozkazała Dina. Dojarka poklepała zwierzę. Najpierw nerwowo. Potem trochę spokojniej.

– Popatrz jej w oczy – poleciła Dina.

Dojarka zrobiła to, jak umiała. Krowa się uspokoiła i uszczknęła parę źdźbeł siana ze żłobu.

– Rozmawiaj z nią tak jak z człowiekiem! – rozkazała Dina. – O pogodzie, o lecie.

I dziewczyna zaczęła coś w rodzaju rozmowy z krową. Najpierw trochę niespokojnym, pełnym wyrzutu tonem. Potem z nieco większą życzliwością, a pod koniec prawie serdecznie.

– Pokaż jej wiadro i szmatę, nie przestając ani na chwilę mówić – powiedziała Dina i wciąż czuwając nad sytuacją, wycofywała się powoli z boksu.

W końcu krowa odwróciła swój wielki łeb, by spojrzeć z troską i zrozumieniem na dojącą ją dziewczynę.

Dojarka promieniowała ze szczęścia. Mleko tryskało mocnymi, białymi strugami prosto do wiadra, piana sięgała jego brzegów.

Dina czekała, aż dziewczyna skończy.

Gdy już szły do domu z wiadrami pełnymi mleka, zaleciła z powagą:

– Opowiadaj jej o swoich kłopotach! O ukochanym! Krowy uwielbiają takie historie!

Dojarka, która zamierzała właśnie podziękować za pomoc, zatrzymała się przerażona.

– A jak ktoś usłyszy? – zapytała zakłopotana.

– To go trzaśnie piorun z jasnego nieba! – odpowiedziała Dina całkiem poważnie.

– A jak mnie oplotkują, zanim piorun trzaśnie?

– Nie obawiaj się – zapewniła ją Dina.

– Gdzie się pani nauczyła tego wszystkiego?

– Nauczyłam się? Wyrosłam w stajni i oborze referendarza – oznajmiła Dina zwięźle. – Ale lepiej tego nie rozpowiadaj, bo referendarz jest bardziej narowisty niż jakakolwiek krowa.

– Tam się pani nauczyła doić?

– Nie, tego się nauczyłam w zagrodzie pewnego komornika. Mieli tam tylko jedną krowę.

Dziewczyna obrzuciła ją dziwnym spojrzeniem i przełknęła następne pytanie.

Dojarka nie potrafiła zapomnieć, że ma taką dobrą panią. Opowiadała o tym wszystkim, którzy chcieli słuchać. O pani, która tak dobrze sobie radzi ze zwierzętami. Która jest taka dobra i przyjazna.

Ubarwiona opowieść rozniosła się po okolicy. Ku chwale Diny, dojarki i krowy.

Okazało się, że Dina na Reinsnes potrafi coś dać z siebie innym. Że bierze stronę maluczkich. Ludzie przypomnieli sobie historię chłopca stajennego, Tomasza. Dina rosła przecież razem z nim. A teraz cieszył się szacunkiem i względami na Reinsnes.

I jeszcze ta Laponka, Stine. Z jednym martwym i jednym żywym bękartem! Przyjęta do rodziny. Niosła nawet Beniamina do chrztu.

Dzięki paru zmyślnym szczegółom opowieść snuła się jeszcze lepiej i jeszcze mocniej podkreślała zrozumienie, jakim Dina darzyła biedaków. Jej poczucie sprawiedliwości. Jej wielkie, hojne serce.

Po tym wszystkim dawniejsze, mniej życzliwe historie, które opowiadano o Dinie, straciły swoją moc. Ot, świadczyły po prostu o tym, że jest inna niż pozostałe panie i damy. Silna i wyjątkowa.

Jesienne wrzosa zabarwiły jeździeckie szlaki na czerwony fiolet. Podczas przejażdżki pod drzewami padały na jeźdźców wielkie krople deszczu. Słońce zmieniło się w małe oko, pozbawione siły i ciepła. Paprocie orlice cmokały niemrawo pod końskimi kopytami.

Wtedy Tomasz zaczął rozmowę z Dmą. Całymi tygodniami traktowała go jak powietrze.

– Chciałabyś może, żebym znalazł sobie pracę gdzie indziej?

Dina wstrzymała konia i odwróciła się ku Tomaszowi. Jej oczy zdradzały zdziwienie.

– A dlaczego tak myślisz?

– Nie wiem, ale...

– O co ci chodzi, Tomaszu?

Mówiła cichym głosem, w którym nie było lekceważenia, jak się tego obawiał.

– Myślę... często myślę o tantym dniu. O polowaniu na niedźwiedzia... –

Tomasz zatrzymał się.

– Żałujesz?

– Nie! Nigdy!

– Chciałbyś znowu wybrać się na polowanie?

– Tak...

– W łóżku?

– Tak! – powiedział zdecydowanie.

– Myślisz, że zagrałbyś miejsce na Reinsnes, gdyby ludzie zaczęli natykać się na ciebie w przedsionku sypialni?

– Bo ja wiem? – odparł napiętym głosem. – Ale czy ty chciałabyś, czy mogłabyś...

Chwycił konia Diny za uzdę i z rozpaczą zajął jej w oczy.

Tomasz. Koń, który boi się wielkich łąni. A jednak skacze.

– Mogłabyś? – powtórzył.

– Nie – odpowiedziała brutalnie. – Ja mam Reinsnes. Znam swoje miejsce. Jesteś odważny, Tomaszu! Ale ty także znasz swoje miejsce.

– Ale gdyby było inaczej, Dino? Czy wtedy?...

– Nie – odparła i odrzuciła włosy z twarzy. – Wtedy pojechałabym do Kopenhagi.

– Po co?

– Żeby zobaczyć dachy kamienic. I wieże! Żeby studiować. Dowiedzieć się wszystkiego o liczbach. Gdzie się kryją, gdy ich nie widać. Wiesz, Tomaszu, liczby są niezmiennie. Ze słowami jest inaczej. Słowa cały czas kłamią. Wtedy, gdy ludzie mówią, i wtedy gdy milczą... Ale liczby! One są prawdziwe!

Jej głos. Słowa. Jak trzaśnięcie z bata. Raniły go. Bez miłosierdzia.

A jednak! Rozmawiała z nim! O swoich myślach. Nie może wprawdzie przyjść do sypialni, ale przynajmniej dowie się, o czym ona myśli.

– A Beniamin?

– Beniamin?

– No tak, czy on jest mój? – wyszeptał.

– Nie! – odparła ostro, dźgnęła konia czubkiem buta i odjechała.

*Jam jest Dina. Żywi także kogoś potrzebują. Jak zwierzęta.
Potrzebują kogoś, kto ich pogłaszcze po boku, kto do nich
przemówi. Tomasz jest takim zwierzęciem.
Jam jest Dina. Kto mnie pogłaszcze?*

Wzgórze z masztem to dobre miejsce. Prawie zawsze owiewał je wiatr. Nic tam nie trwało, wszystko płynęło, poruszało się nieustannie. Trawy i kwiaty, ptaki i owady. Płatki śniegu i śnieżne zaspasy. Wiatry zamieszkały na tym wzgórzu.

Sam pagórek natomiast był nieporuszony. Smagany wiatrem, porośnięty splątana trawą, z masztem, który dawno temu kazał tu postawić któryś właściciel Reinsnes. Maszt okazał się stabilniejszy niż inne, stojące na wybrzeżu. Choć przypadło mu w udziale miejsce tak dramatycznie wystawione na krzyżujące się wiatry i gwałtowne kaprysy pogody.

Flaga najczęściej dawała się zacerować. Co jakiś czas trzeba było jednak zamawiać nową. Na ten wydatek nikt nie ważył się narzekać. Flaga na Reinsnes miała być wszak widoczna z odległych wód Sundu, z północy i z południa.

Dina zawsze czuła sentyment do tego wysmaganego przez wiatry pagórka. A tej jesieni prawie tam zamieszkała. Jeśli nie grała na wiolonczeli. Struny zawodziły przeraźliwie. Ludzie zatykali sobie uszy, sama Matka Karen przykuśtykała do sieni i zawołała Dinę na dół.

Poza tym Dina wspinała się jeszcze na jarzębinę. Żeby zwabić Jakuba, żeby móc się na kimś zemścić.

Ale zmarli stronili od niej, gdy się tak zachowywała. Jakby rozumieli, że wtedy nie należą do jej świata. Że istnieje w nim tylko Barabasz.

„Przyjadę na południe przed zimą”. Dina nie mogła przecież czekać do zimy. Dina w ogóle nie umiała czekać. Częściej niż przedtem brała Szatana na przejażdżkę. Wieszala na drzewie huśtawkę dla Beniamina i Hanny. Ale przede wszystkim chodziła na pagórek z masztem, gdy tylko jakiś statek płynął na południe.

Stała tam również wtedy, gdy żegnano odpływający na południe parowiec.

Próbowała wydobyć z Johana informację o tym, dokąd wybierał się Żukowski.

Johan pokręcił głową i dziwnie na nią spojrział. Odsłoniła się. Podeszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

– Nie czekaj na niego. On jest jak wiatr. Już nigdy nie wróci – powiedział z wyższością.

Dina podniosła się gwałtownie i wyprostowała. Zanim oboje zdążyli się zorientować, powaliła Johana na podłogę jednym ciosem.

Sama stała i patrzyła na niego przez chwilę. Potem osunęła się na podłogę i ułożyła głowę Johana na swych kolanach. Zaskomlała jak zbity pies:

– Jesteś przecież duchownym, nie wolno ci kłamać. Nie rozumiesz? Nic nie rozumiesz? Nic.

Otarła krew kapiącą mu z nosa, przywróciła go do przytomności. Na szczęście nikt inny nie wszedł do izby.

Żadne z nich nie wtajemniczyło nikogo w to zajście. Ale Johan nabrał odruchu, który robił dość dziwne wrażenie.

Gdy Dina robiła jakiś nieoczekiwany, gwałtowny ruch, natychmiast się uchylał. A potem przybierał pełen wstydu i zakłopotania wyraz twarzy.

Sprawa Johanowej parafii jakoś się przeciągała. Zgłosił zainteresowanie zarówno północą, jak i południem. Ale chyba wszyscy zapomnieli o jego istnieniu.

Dina pozwalała, by Johan i Matka Karen zajmowali się swymi sprawami. Osłabiony Jakub nie pojawiał się wcale. Hjertrud zniknęła w zwojach liny bez słowa. Raz za razem.

Beniamin pozwalał sadzać się na kolanach, a w jego jasnych oczach malowało się zdziwienie. Szybko się niecierpliwił ostrym, wymagającym tonem Diny i zsuwał się z jej kolan, by zniknąć za drzwiami.

Dina lunatykowała. Czytała czarną księgę Hjertrud. O sprawiedliwych i niesprawiedliwych.

Którzy uderzali bez pardonu. Pieścili bez uczucia i poprzysięgali zemstę.

Nadeszły pierwsze nocne przymrozki. Pokryły skorupką lodu kałuże i zapomniane poręczki. Pewnego wieczoru spadł lekki śnieg, właściwie jego zapowiedź. Ale tuż za nim nadciągał groźny dech wiatru. Już skończyło się wszelkie „przed zimą”.

Dina powstrzymała Oline, która jak zwykle chciała przynieść pościel i kożuchy z przybrzeżnych spichrzów w stosownej chwili.

– Jeszcze za wcześnie na zimowe ubrania – upierała się.

W niewybaczalny sposób wmieszała się tym samym w cudzą domenę, Oline straciła twarz w oczach ludzi. Dina i Oline zmieniły się w dwie kry lodowe. Przedzielone głębokim fiordem.

Pewnej nocy mróz zaczął przenikać przez bawełniane pledy i lekką pościel, zaczął wdzierać się do duszy.

Nazajutrz Dina poszła do stajni, do Tomasza. Przechyliła się przez grzbiet konia, którego Tomasz właśnie czyścił, wymierzając chłopakowi kuksańca, jak zwykle.

Spotkały się spojrzenia niosące całkiem odmienne przesłanie. W oczach Tomasza malowało się zdziwienie, podniecenie, nasłuchiwanie. Jej oczy płonęły wściekłością, rozkazywały, nie znosiły sprzeciwu. Usłyszał gburowaty rozkaz, by uporządkował strychy przybrzeżnych spichrzów i przyniósł do domu zimową pościel i ubrania. Jakby popadł w niełaszkę.

Gdy zapytał, kto mu w tym pomoże, oświadczyła dobitnie, że ma to zrobić sam.

– Ależ, Dino! Przecież to mi zajmie cały dzień do późnego wieczora!

– Rób, co ci każe!

Zagryzł usta w odpowiedzi.

Zima pokazała zęby.

Tomasz zabrał ze sobą latarnię. Szedł w stronę Diny ze spuszczoną głową, nie wiedząc wcale, że ona tam jest. Rozglądał się uważnie przy każdym kroku. Gdyby coś leżało na podłodze, wylądowałby na niej z nosem w kurzu.

Dina wyłoniła się gwałtownie z jakiegoś kąta.

Futrane skóry wisały na belkach, tworząc coś w rodzaju ogromnych miękkich ścian. Pochłaniały dźwięki. Grzebały je na zawsze.

Ziemię chwyciły przymrozki, a księżyc w pełni skrył się za płynącymi niespokojnie chmurami. Niewielkie możliwości dla tych, którzy by chcieli tropić czyjeś ślady.

Wściekłość zagnieździła się w Dinie mocno i głęboko.

„Przyjadę na południe przed zimą” – przedrzeźniał ją księżyc skryty za chmurami i starym dachem.

Dina rzuciła się na Tomasza jak wygłodniały pies. Zanim zdołał ją dojrzeć, leżeli już razem między futrami.

Potrzebował trochę czasu, by się zorientować, co się znalazło jego rękach. Pierwszy zduszony okrzyk bólu dobył się z niego, gdy Tomasz poczuł na szyi i ramionach jej zęby. Potem pozwolił zaciągnąć się gdzieś między dwa przewierzone latem futra koloru piany morskiej. Ledwo mu się udało uchronić latarnię. Latarnia patrzyła na nich wstydliwie.

Dina była bólem albo rozkoszą. Nie robiło mu żadnej różnicy, czy jest z nią w sypialni, za osmolonym piecem czy na strychu przybrzeżnych spichrzów. Choć niebo runęło na niego jak czarny jastrząb, to przecież nie przestało być niebem.

Dina zrzuciła szal z ramion i rozpięła suknię na piersiach. Uniosła spódnicę aż po pas. I wygięła ku niemu swe mocne, duże ciało bez jakiegokolwiek wstępu.

Kłęczał na skórze i patrzył na nią w żółtym świetle lampy. Potem zaczął zdejmować z siebie najważniejsze części garderoby. Tak szybko, że nic z tego nie wyszło, potrzebował jej pomocy.

Wiele razy chciał coś powiedzieć. Z trudem powstrzymywał się od dziękczynień. Ojciec nasz cisnęło mu się na usta.

Ale Dina kręciła głową i razem z nim wrosła w mrok. W świetle księżycy jej ciało zmieniło się w śliskie zbocze nagiej skały. Jej zapach zamroczył mu rozum, nie dopuszczając już doń nic innego. Mięśnie targane dreszczami prawie w nim eksplodowały. Pożądanie, którym można by wypełnić cały kościół! Poruszyć lawinę, wielką falę. Spienione, potężne, wilgotne.

Dał się porwać tej fali. Wynieść na pełne morze. Fala zalewała mu głowę.

Od czasu do czasu wypływał na powierzchnię, próbując poskromić żywioł.

Dina pozwalała mu na to. By za chwilę znów go wciągnąć pod siebie. W podwodną gęstwinę. Między słone wodorosty i porywiste morskie prądy. Wlokła go przez długą plażę, opuszczoną przez morze; podniecający zapach morskich ryb wypełniał mu nozdrza. Pogalopowała na nim na morskie dno, gdzie tłoczyły się ławice ryb. Brzuch w brzuch. Tomasz poczuł ich woń. Czuł, że zostawiają swój ślad na jego biodrach. Tak!

Potem znaleźli się w głębinach. Stracił świadomość. Wielka siła wycisnęła z niego powietrze i wilgoć, w chwili gdy Dina galopowała na nim po plaży. W jego piersiach i pachwinach tkwiły olbrzymie harpuny i noże do ryb. Przepona zmieniła się w pękniętą rynienkę. Równie dobrze mógłby umrzeć. Dotarł tam, dokąd chciał dotrzeć.

A jednak nie umarł. Z wielką ostrożnością zostawiła go leżącego. Na linii przyprzywów. Jak młodziutką gałązkę brzozy, którą niepogoda oderwała od pnia. Która zachowała jeszcze liście i kolor. I nic więcej. Oprócz faktu ofiarowania i przyjęcia.

Na poddaszu nie padło ani jedno słowo. Na dworze budził się niebieskofioletowy dzień. Na dachu skrzeczały mewy. Wściekłość znalazła ujście. Nie najpiękniejsze, ale potężne.

Z jakiegoś kąta wyłoniła się nagle Hjertrud, chciała zgasić latarnię. Gdy leżeli, rozprostowując kości i szukając utraconego oddechu.

Hjertrud nachyliła się, by zdmuchnąć płomyk. Tuż ponad ramieniem Diny. Musnęła ją rąbkiem spódnicy.

– Nie! – krzyknęła Dina. Wyciągnęła gwałtownie ramię i pochwyciła latarenkę.

Hjertrud cofnęła się i znikła.

Dina miała poparzone palce.

Tomasz podniósł się, by obejrzeć jej dłoń. Objął Dinę ramieniem. Mamrotał jakieś słowa pocieszenia, dmuchając na oparzenie. Jakby miał do czynienia z małym Benjaminem...

Dina miała ochotę wyrwać mu rękę. Nie dostrzegł Hjertrud! Nie rozumiał, że chciała, by w ich świecie zapadł mrok.

Ubrała się powoli i starannie. Wcale na niego nie patrząc. Gdy tuż przed wyjściem objął ją, wsparła o niego na chwilę czoło.

– Tomaszu! Tomaszu! – Nic więcej nie powiedziała.

Tego roku futra i zimowa pościel także trafiły do domu.

Tomasz dźwigał wory wielkie jak stogi siana. Zużył całe żelazo nagromadzone w ciele. Bez cienia skargi. Wszystko było gotowe przed wieczerną. Wtedy wyrąbał dziurę w cienkiej skorupce lodu, która pokryła wodę w beczce na podwórzu, i zanurzył w niej głowę i tors. Kilka razy. Potem włożył czystą koszulę i poszedł do Oline na wieczorną kaszę.

Zaczął padać śnieg. Delikatne, bielutkie strzępki. Bóg Ojciec okazał dobroć i dyskrecję. Grzech częstokroć jest mniejszy, niż się wydaje grzesznikowi. Tomasz był najszczęśliwszym grzesznikiem na całej północy.

Jego ciało pokryło się sińcami od niecodziennych ruchów. Pomiędzy futrami i w czasie ich dźwigania. Każdy mięsień zmienił się w bolesną ranę. Tomasz upajał się tym, radosny i wycieńczony.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

NIM WIATR WIECZORNY POWIEJE
I ZNIKNĄ CIENIE,
WRÓĆ, BĄDŹ PODOBNY, MÓJ MIŁY,
DO GAZELI, DO MŁODEGO JELENIA
NA GÓRACH BETER!

(Pieśń nad Pieśniami, 2, 17)

Stine uczyła Hannę i Beniamina panować nad swymi ambicjami, przydzielając im zadania, którym byli w stanie poddać.

Czasami, zniercierpliwieni jej matczynym dozorem, wpadali hałaśliwie do sypialni na poddaszu.

Dina na ogół ich nie wyrzucała, ale czasami kazała im się uciszyć albo nie chciała z nimi rozmawiać. Kiedy indziej zaś życzyła sobie, żeby policzyli wszystkie przedmioty, które znajdują się w pokoju.

Beniamin nie cierpiał tej zabawy. Spełniał życzenie Diny w nadziei, że zauważy go, jeśli będzie liczył przez jakiś czas. Najczęściej zgadywał liczby, pamiętał je przeważnie z poprzednich rachunków. Obrazy, krzesła, nogi stołowe.

Mała Hanna nie została jeszcze na dobre wtajemniczona w zawiłości rachunków, więc wypadła bardzo blado.

Johan nie otrzymał na razie żadnej parafii, postanowiono więc, że prezimuje na Reinsnes i zajmie się nauką Beniamina.

Ale to raczej Hanna wiernie deptała mu po piętach. Beniamin nie miał w zasadzie zaufania do tego dorosłego brata, który miał go uczyć w nieskończoność.

Do Bożego Narodzenia zostało ledwie czternaście dni. Najgorętszy okres. Oline wydawała polecenia. Anders, Matka Karen i Johan wyjechali właśnie po zakupy świąteczne, gdy Beniamin i Hanna zjawili się w sypialni u Diny.

Przyszli się poskarżyć, że Johan kazał Beniaminowi się uczyć, choć już wiele dni temu postanowiono, że tego dnia dzieci mają wytapiać świece bożonarodzeniowe.

– Dzień jest długi. Beniamin może się pouczyć, a później robić świece! – orzekła Dina.

Hanna krążyła niespokojnie po pokoju. Jak szczeniak, który wpada na wszystko, co napotyka na swojej drodze. Wreszcie dziewczynka w pędzie strąciła narzutę, która okrywała wiolonczelę Lorcha.

Dina wlepiła oczy w instrument. Nie było na nim pęknięcia! Wiolonczela była cała!

Hanna wybuchnęła płaczem, sądząc, że zrobiła coś bardzo złego, skoro Dina krzyknęła, gdy spadła narzuta.

Stine usłyszała jej płacz i przybiegła czym prędzej.

– Wiolonczela Lorcha znów jest cała! – wykrzyknęła Dina.

– Niemożliwe?!

– A jednak jest cała!

Dina dotaszczyła instrument do najbliższego krzesła. Powoli, nie zważając na innych, zabrała się do strojenia.

Gdy dom napełnił się czystymi dźwiękami, wszyscy unieśli głowy, a Hanna przestała płakać.

Wiolonczela Lorcha po raz pierwszy zabrzmiała na Reinsnes. Wygrywała bardziej mroczne przesłanie niż instrument Diny. Wydawała dziksze i potężniejsze dźwięki.

Całymi godzinami nie dobiegały żadne inne dźwięki, których warto by posłuchać. Nawet odgłosy płynącego na południe parowca.

Tylko Niels był na swoim miejscu, jak zwykle. Padał gęsty śnieg. Parowiec spóźnił się wiele godzin.

O tej porze roku nie przywoził zbyt wielu podróżnych. Ukazała się tylko jedna wysoka, ciemna postać z torbą podróżną z bukatowej skóry w garści i marynarskim worem na ramieniu. Mężczyzna miał na głowie olbrzymią czapę z wilczego futra, taką samą szubę, i trudno go było rozpoznać w ten adwentowy wieczór.

Tomasz stał we wrotach stajni, gdy mężczyzna nadchodził od strony przystani w towarzystwie Nielsa. Obaj przeszli przez podwórze do głównych schodów.

Tomasz pozdrowił obcego oschle, gdy dojrzał bliznę na jego lewym policzku. Potem wszedł z powrotem do stajni.

Żukowski poprosił grzecznie o kilkudniową gościnę. Zmęczył go wielodniowy sztorm. Nie chciałby przeszkadzać. Usłyszał, że pani muzykuje...

Na górze nieprzerwanie grała wiolonczela Lorcha. Głęboko i harmonijnie, jakby nigdy nie przydarzyło jej się żadne pęknięcie.

Żukowski, zgodnie ze swą wolą, został ugoszczony w kuchni u Oline w całkiem niewyszukany sposób.

Usłyszał opowieść o wiolonczeli. O pękniętej wiolonczeli, która po wielu miesiącach, za sprawą jakiegoś cudu, znów jest cała. O radości, którą przepełnia Dineę ten instrument, odziedziczony po biednym Lorchu.

Przez jakiś czas Niels dotrzymywał towarzystwa Rosjaninowi. Gdy do kuchni wkroczyła Stine z dziećmi, wymówił się jednak robotą, która na niego czeka, i wyszedł.

Stine chciała powiedzieć Dinie o przyjeździe gościa, Żukowski w żadnym razie na to nie pozwolił. Gdyby jednak można było otworzyć drzwi wiodące do sieni, tak by mógł lepiej słyszeć muzykę...

Rosjanin jadł swoją kaszę z malinowym sokiem Oline. Wielką przyjemność sprawił mu ten posiłek w kuchni, jak powiedział, lekkim ukłonem podziękował za poczęstunek i pocałował Oline w rękę.

Oline nie zaznała takiej kurtuazji od czasów śmierci Jakuba. Wstąpiła w nią energia. Opowiadała żywo o domu, jego mieszkańcach, o sianokosach. Tak minęła im cała godzina. Oline jednak czuwała dyskretnie nad wszystkim, co trzeba było zrobić, raz po raz oddalała się na chwilę, by zaraz powrócić.

Żukowski słuchał. Wzrok utkwiał w drzwiach. Jego nozdrza drgały leciutko. Myśli kryły się jednak pod poważnym, uprzejmym czołem.

Oline nie mogła wyjść z zadziwienia, że Rosjanin wcale się nie wywyższa i sam z siebie dołożył drew do ognia. Bez żadnych fochów. Obdarzyła go pełnym podziwem skinieniem głowy.

Lorchowa wionczela nie przestawała płakać. Tomasz nie przyszedł na kolację. Rosjanin siedział w kuchni.

Dina schodziła właśnie na dół po flaszkę wina dla uczczenia Lorchowej wionczeli. Nie poznała wilczego futra, leżącego na najniższych schodkach.

Rozpoznała natomiast torbę. Jej obecność, jej zapach opanowały Dmę z taką mocą, że musiała przytrzymać się poręczy.

Potężne ciało Diny zawisło na poręczy. Zgięte wpół, jakby powalił je przemożny ból. Dłoń oplatająca śliskie, krągłe drewno pokryła się w jednej chwili potem. Dina przysiadła na schodku i prychnęła ze złością, gdy pojawił się Jakub.

Ale on też nie mógł tu nic poradzić. Równie zaskoczony jak ona.

Powolnym ruchem podciągnęła spódnicę i siedziała tak z rozchylonymi kolanami, opierając stopy o niższy schodek. Ciężko, bezwładnie. Głowa zwisała między ramionami, jakby ktoś ją odrąbał.

Dina siedziała tak aż do chwili, gdy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności i skąpego światła przy lustrze. Potem podniosła się powolnym ruchem i zeszła po schodach. Zachłannie chwyciła torbę podróżną. Jakby chciała sprawdzić, czy ona naprawdę istnieje. Potem otworzyła ją i zaczęła grzebać w środku. Znalazła książkę. Także tym razem. Schowała ją z westchnieniem pod szalem. I zamknęła torbę.

Płomyk świecy zatańczył, gdy Dina się podniosła. Wzięła fant.

Wspięła się z powrotem po schodach. Po cichutku. Nie dokładała już do ognia. Nikt nie powinien usłyszeć dźwięku otwieranych drzwiczek pieca.

Położyła się całkiem ubrana, nie spuszczać wzroku z kłamki. Od czasu do czasu poruszały się jej usta. Ale nie dobywał się z nich żaden dźwięk. Jakub siedział na krawędzi łóżka i przyglądał się jej.

Stine zaprowadziła gościa do pokoju. Nie życzył sobie, by rozpałała w piecu. Czuje się doskonale i jest mu całkiem ciepło, usłyszała.

Wymknęła się niepostrzeżenie po ręczniki, potem nalała ciepłej i zimnej wody do dzbanka. Żukowski kłaniał się i dziękował, rozglądając się jednocześnie po pokoju. Jakby się spodziewał, że coś wyskoczy ze ścian.

Na poddaszu zjawiła się przysłana po coś Tea. Grzebała w bielizniarce, rzucając ukradkowe spojrzenia w głąb pokoju gościnnego. Ona także chciała dostać swoją porcję nieznanego.

W mężczyźnie było coś, co onieśmiało Stine. Pospiesznie wycofała się za otwarte drzwi, szepejąc „dobranoc”.

– Czy Dina Grøneltv już się położyła? – zapytał gość w chwili, gdy już miała zniknąć.

Pytanie ją zmieszało.

– Jeszcze niedawno grała... Mam sprawdzić? Żukowski pokręcił głową. Postąpił kilka kroków w jej stronę i zatrzymał się we framudze drzwi.

– Czy ona śpi tam? – zapytał szeptem, wskazując głową skrytą w ciemnościach sypialnię.

Stine zdziwiła się tak bardzo, że nawet nie zdołała się obrazić za to niestosowne pytanie. Pokiwała tylko głową i z dygnięciem oddaliła się w stronę pokoju, w którym spała razem z dziećmi.

W ogromnym białym domu zapadła cisza. Noc nie była bardzo zimna, ale czarna, zwieńczona ciężkim niebem. W środku domu ciemna sień dzieliła dwoje zamkniętych drzwi.

Światło w sypialni obserwowała para oczu z poddasza izby czeladnej. Tomasz czuł się tej nocy jak w piekle. Gdy budził się dzień, tkwił we własnym ciele niczym nienasycona pijawka.

Tea przyniosła wiadomość, że Rosjanin z bliźną przyplłynął parostatkiem poprzedniego wieczoru. Zajrzała rankiem do sypialni, żeby rozpałać w piecu.

– Ten sam, który tu był jesienią, kiedy zajął się dach stodoły – dodała.

– Aha – powiedziała Dina, nie podnosząc głowy z poduszki.

– Ma ze sobą marynarski worek i torbę podróżną. Nie chciał pani niepokoić. Poprosił, żebyśmy otworzyły drzwi do sieni, bo chciał posłuchać wiolonczeli... Wiele godzin przesiedział w kuchni. Oline padała ze zmęczenia, całe ciepło uleciało z pieca i w ogóle!

– Był tam Niels?

– Taak, chwilkę, wypalili jedną czy dwie fajki. Ale nie pili ponczu...

– W kuchni?

– Tak.

– Mówił, jakie ma plany?

– Nie, poprosił tylko o gościnę, zdaje się, że na północy była fatalna pogoda. Nie mówił za wiele, więcej pytał. O wszystko. A Oline paplała jak najęta!

– Daj spokój z Oline! Zaczeka na następnym parowiec?

– A nie wiem.

– Była tam Stine?

– Tak, ona zaprowadziła go do pokoju, przyniosła wodę i... Słyszałam, jak zapytał, czy pani tutaj śpi, i.....

– Cicho! Nie hałasuj tak tymi drzwiczkami!

– Nie chciałam...

– Wiem.

– Ja tylko pomyślałam, że miał chyba ochotę z panią porozmawiać...

– Myśl sobie, co chcesz. Ale już nie trzaskaj tymi drzwiczkami.

– Dobrze.

Tea zrobiła, co do niej należy. Prawie bezszelestnie.

Pokój zaczął się wypełniać ciepłem. W wielkim czarniawym brzuchu trzeszczało i szumiało.

Dina leżała wciąż całkowicie ubrana. Wreszcie usłyszała, jak Tea stuka do drzwi pokoju gościnnego.

Wtedy wstała i zaczęła wywracać tę dziwną noc na drugą stronę. Łaszek za łaszką. Pozwoliła letniej wodzie spływać po nagiej skórze i zmusiła Jakuba, by się oddalił.

Wiele czasu spędziła ze szczotką do włosów w ręku, powoli się odziewała. Wybrała czarną sukienką spódnice i rdzawoczerwony gorsecik. Żadnej broszki, żadnej biżuterii. Narzuciła włóczkowy, zielony jak mech szal i przewiązała się jego skrzyżowanymi końcami w pasie, jak służąca. Potem wzięła głęboki oddech i wolnym krokiem zeszła na śniadanie.

Matka Karen właśnie wróciła ze Strandsted i prosiła o wybaczenie swej nieobecności poprzedniego wieczoru, gdy zjawił się gość.

Oline obraziła się z nieznanego powodu i złowieszczo zacisnęła usta.

Dina z ziewnięciem oświadczyła, że nic się nie stało, przecież to nie żaden dostojnik ani prorok. Można zresztą wszystko naprawić, przygotowując porządną obiad mimo adwentu.

Matka Karen dysponowała obfite śniadanie, ze wszystkimi przysmakami.

Oline cisnęła jej w plecy rozwścieczone spojrzenie, myśląc o tym, co musi zrobić przed południem. Kobiety do wypieków spodziewają się dopiero nazajutrz. Wszystko już jest spóźnione. Odra i inne zarazy krążą po okolicy, zmuszając ludzi do wielodniowego pozostawiania w łóżku.

Wszyscy ludzie zamówieni do pomocy spóźniają się. A nowa dojarka nie nabrała jeszcze doświadczenia, choć nie brakuje jej zapału, Stine ma pełne ręce roboty z dziećmi, a z Diny żaden pożytek w domowych sprawach. I co ona, nieszczęsna, ma zrobić? Obfite śniadanie! Też coś!

– A więc pan Żukowski odwiedził nas z początkiem lata? – odezwała się Dina lodowatym głosem.

Usłyszała, jak Rosjanin schodzi na dół, i udała, że ma coś do zrobienia w sieni. Uśmiech, który mężczyzna jej posłał, zeszytniał nagle.

– Może na Reinsnes nie przyjmuje się gości tuż przed świętami? – zapytał, idąc ku niej z wyciągniętymi rękami.

– Na Reinsnes zawsze przyjmuje się gości, zarówno tych, którzy obiecali się zjawić, jak i wszystkich innych...

– Więc moja wizyta nie jest niestosowna? Patrzyła na niego bez słowa.

– Skąd pan przyjeżdża?

– Z północy.

– Północ jest wielka i szeroka.

– Tak.

– Długo pan tutaj zabawi?

Przytrzymał jej dłoń między swoimi, jakby chciał ją ogrzać.

– Do następnego rejsu, jeśli można. Nie będę się naprzykrzał.

– A ma pan te same dobre cygara, co ostatnio?

– Tak.

– To wypalmy po jednym przed śniadaniem dla przyspieszenia pulsu! A poza tym u mnie w sypialni znalazła się jakaś książka z niezrozumiałymi rosyjskimi znakami. Dziś w nocy.

Uśmiech czał się w jego oczach, ale Rosjanin zachowywał powagę.

– Proszę ją na razie zatrzymać... Książki nasiakają wilgocią, okładki się rozklejają podczas nieprzerwanych morskich podróży. Chętnie przetłumaczę pani wiersze. To perły. W szaleństwie świata. Mogę zapisać przekład i włożyć go pani między karty. Zna pani Puszkina?

– Nie.

– Chętnie o nim opowiem, jeśli to panią interesuje.

Skinęła głową. W oczach wciąż odbijała się ślepa wściekłość.

– Dino... – zaczął łagodnym tonem.

Mróz zamalował już wszystkie szyby. Z salonu docierał słaby zapach dymu.

– Barabasz nie jest kowalem – wyszeptła, pocierając jego przegub palcem wskazującym.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDARŁ SKAŁĘ I SPŁYŃĘŁA WODA,
POPLYŃĘŁA W PUSTYNI JAK RZEKA.

(Księga Psalmów, 105, 41)

Niels poruszał się w cieniu Żukowskiego, jakby szukał u niego ochrony. Zjawiał się nawet na posiłkach w jadalni, a także siadywał w palarni wieczorami. Ci dwaj wiedli długie, ściszone rozmowy.

Anders miał pełne ręce roboty, przygotowując wyprawę na Lofoty, która miała ruszyć tuż po Bożym Narodzeniu. Biegał tam i z powrotem. Jeden z jego barkasów wrócił ze znakomitym połowem czarnego dorsza z Andenes. W ciągu minionego roku cała okolica zaczęła go nazywać „Królem Dorsza”. Anders kupił też nowe sieci, zarówno włóki, jak i niewody.

Pewnego dnia, podczas wizyty rodziny referendarza, Anders zjawił się przy stole z jakimiś szkicami. Dumny jak paw rozłożył je na wolnym miejscu.

Solone mięso stygło i czekało, aż wszyscy obejrzą te wspaniałości.

Anders chciał zbudować kajutę na barkasie, a nawet wstawić do niej piec, żeby nie trzeba było przybijać do brzegu na przygotowywanie posiłków. Wtedy mogliby pływać bez przerwy i sypiać na zmianę pod dachem.

Referendarz pokiwał głową i poskubał bródkę. Twierdził, że to wygląda trochę niezgrabnie, ale chyba powinno zdać egzamin. Czy Anders zasięgnął rady Diny w sprawie przebudowy?

– Nie – powiedział Anders, spoglądając ukradkiem na Dinc.

Zdaniem Nielsa, te plany zakrawały na szaleństwo. A jaki brzydki się zrobi barkas! Za wysoki i nie da się w nim wiosłować ani ciągnąć go na linach.

Żukowski pochwalił pomysł Andersa. Rosyjskie łodzie też są niezgrabne, a jednak świetnie spełniają swe zadanie na morzu. Spojrzał na przedstawiony przez Andersa rysunek i pokiwał głową z aprobatą.

Matka Karen klasnęła w dłonie i pochwaliła projekt, a jednocześnie zaprosiła wszystkich do stołu, żeby jedzenie nie wystygło.

Dina szturchnęła Andersa w ramię i powiedziała z uśmiechem:

– Andersie, wcale nie jesteś głupi! Będziemy mieć kajutę na barkasie.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Potem Anders zwinął rysunki i zasiadł za stołem. Osiągnął to, czego chciał.

Jam jest Dina. Ewa i Adam mieli dwóch synów. Kaina i Abła. jeden zabił drugiego. z zazdrości.

Anders nikogo nie zabije. Ale to właśnie jego chcę zatrzymać.

Obecność Nielsa przy stole, jego nieustanne rozmowy z Żukowskim zaśmieszały Dinie jedzenie jak robaki. Z początku obserwowała go ze swoim charakterystycznym uśmiechem, a potem ściągała na siebie uwagę Andersa i Rosjanina.

Stine także czuwała w obecności Nielsa. W razie potrzeby zwracała się do dzieci swoim cichym, ale przenikliwym głosem. Wprawnie i łagodnie kielznała szczenięta. Na przekór wszelkim normalnym obyczajom dzieciaki siadały do stołu razem z dorosłymi. Odzyskiwały wolność, gdy już skończyły jeść. Trudno było zapędzić je do łóżka. Ale na Reinsnes nikt nie używał pasa. Tak postanowiła Dina. Skoro można ujeździć dzikiego konia, zaledwie pokazując mu bat, to można wychować dwójkę dzieci, używając zamiast bata spojrzeń.

Stine nie zawsze się z tym zgadzała, ale trzymała język za zębami. Jeśli czasem nie miała innego wyjścia niż pociągnąć Beniamina za czuprynę, ta sprawa zostawała między nimi.

Beniamin godził się na kary, które wymierzała mu Stine, bo zawsze były sprawiedliwe. A poza tym Stine wydzielala bardzo szczególną woń podczas wysiłku. Ten zapach był błogosławieństwem Beniamina od okresu niemowlęstwa.

Aprobował jej kukuksanie, czy to zadawane w gniewie, czy z rozmysłem, tak jak się aprobeuje zmiany pogody i pór roku. Nie chował w sercu urazy i wyplakiwał swe zale natychmiast.

Z Hanną sprawa miała się inaczej. Nie wolno jej było karać, jeśli nie znała przyczyny, gdyż wywoływało to lawinę wrzasków, złości i pomsty. I nikt oprócz Beniamina nie umiał dziewczynki utulić.

Właśnie tego dnia, gdy referendarz bawił na Reinsnes z przedświąteczną wizytą wraz ze swymi chłopcami, Beniamin był szczególnie niespokojny przy stole.

Zirytowany referendarz mamrotał, że niepodobna, by na Reinsnes wychowywała się dwójka dzieci, które nie znają ciężaru ojcowskiej ręki.

Stine spuściła głowę i pokraśniała ze wstydu. Niels utkwiał wzrok w ścianie, jakby właśnie dostrzegł tam jakiegoś rzadkiego owada w samym środku zimy.

Dina rozeźmiała się tylko i odesłała Beniamina i Hannę od stołu, każąc im skończyć posiłek u Oline.

Dzieci zabrały ze sobą talerze i ochoczo pobiegły do kuchni, nie okazując najmniejszego zawstydzenia.

– Ja nie mogę powiedzieć, by obecność ojca była tak niebędna. Gdy ja dorastałam, nie znałam jej. Wszyscy o tym wiedzą.

Matka Karen spoglądała z niepokojem to na referendarza, to na Dinę. Ale żadne słowa nie przychodziły jej do głowy. Atmosfera w jadalni zaczęła przypominać zjełczały tłuszcz wątrobiany, gdy Dina dorzuciła:

– Mała Dina nie знаła zbyt dobrze ojcowskiej ręki, została oddana na wychowanie chłopskiej rodzinie w Helle. A teraz jest panią na Reinsnes.

Referendarz już się podrywał, wściekły. Ale Dagny przytrzymała go mocno za ramię. Ostrzegła go całkiem otwarcie. Jeśli on nie zdoła się opanować podczas wizyty na Reinsnes, jej noga więcej tu nie postanie.

Zemsta Diny i jej złośliwe odpowiedzi na uwagi referendarza uderzały także w Dagny. W gruncie rzeczy ona jedna czuła się poniżona. Bo referendarz był szalenie odporny na drażnienia i ataki, podobnie jak mors w czasie rui.

Referendarz wziął się w garść i obrócił wszystko w żart. Z zapałem zaczął prowadzić rozmowę z Andersem na temat kajuty na barkasie.

Aż do końca posiłku oczy Żukowskiego krążyły wokół stołu niby dwa jastrzębie.

Wydawało się, że wszystkich sparaliżowały słowa, których Dina nie wypowiedziała, ciskając swoją bezczelną odpowiedź referendarzowi.

Stine podniosła wzrok pół godziny później, dopiero gdy już na dobre opuściła jadalnię.

Wieczór wydatnie się skrócił. Wszyscy udali się na spoczynek dość wcześnie, a rodzina referendarza wyruszyła do domu następnego ranka.

Matka Karen próbowała naprawić sytuację. Zapakowała obfite dary i uprzejmie konwersowała z Dagny przed odjazdem.

Dina zasnęła, bo tak jej było na rękę, więc musiała pożegnać gości z okien sypialni, gdy mozolnie sunęli w stronę przystani.

– Szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia! – wołała z uroczym uśmiechem, machając ręką.

* * *

Przedświąteczne dni zaczynały się czarnymi jak smoła rankami i kończyły popołudniowym zmierzchem, pochłaniającym zamrożone ślady na śniegu. Gorączkowa krzątanina wówczas przechodziła powoli w ociężały spokój wieczoru. Nawet zwierzęta przejęły ten rytm, choć prawie nie widywały dziennego światła.

Dźwięki Lorchowej wiolonczeli dobiegały z sypialni późno wieczorem, we wszystkich oknach płonęły świece, choć zimą ograniczano się zazwyczaj do sześciu świec w salonie. Zapalano po dwie za jednym razem. W dużych lampach.

Dom pachniał mydłem i wypiekami, brzoszowymi drzwami i dymem. Oline miała już wreszcie swoją kobietę do pieczenia ciast, które rozsnuwały cudowne zapachy w kuchni i kredensie. Istniały jednak zadania, których Oline nikomu nie powierzała. Na przykład ciasto francuskie.

Postawało pod jej obsypanymi mąką palcami, na ogromnej stolnicy. Przy otwartych drzwiach w samym środku mroźnego grudniowego wieczoru.

Krzętała się po kuchni jak podniecone zwierzę, odziana w futro i białą chustkę na głowie. Jej twarz stawała się coraz bielsza, a na policzki występowały rumieńce od mrozu.

Suche podpłomyki leżały w puszkach na strychu w cumowni. Ciasta w wielkiej jadalni. Rolady mięsne pod prasą w piwnicy. Przez cały dzień stara kuchnia rozbrzmiewała uderzeniami noża, póki Oline nie przygotowała mięsa na kielbasy. Twaróg posypany cynamonem czekał w misach przykrytych lnianymi ściereczkami. Bochny chleba wypełniały pudła i skrzynie, miało ich starczyć nawet na wyprawę na Lofoty.

Na Reinsnes nie brakowało pokojów i izdebek. Gdyby Dina się postarała, mogłaby mieć Rosjanina dla siebie. Ale nie brakowało także drzwi, które otwierały się i zamykały bez pukania. No i Żukowski pozostał wspólnym gościem.

Parowiec miał przypląć dopiero między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, a może i po Nowym Roku!

Żukowski wiódł polityczne i religijne dysputy z Johanem. Z matką Karen rozmawiał o mitologii i literaturze. Wertował jej książki. Choć wyznał, że po rosyjsku i niemiecku czyta lepiej niż po norwesku.

Wszyscy już mówili o nim „pan Leo”. Tea dostawała napiwek, gdy paliła mu rankiem w piecu. Nikt jednak nie wiedział, skąd Żukowski przyjechał, dokąd zmierza. Gdy ktoś go o to wypytywał, Leo odpowiadał zwięźle, acz przekonująco, i przeważnie nie wymieniał żadnych nazw ani dat.

Mieszkańcy na Reinsnes umieli postępować z obcymi, przyjmowali więc jego sposób bycia z uprzejmym spokojem. Każdy tłumaczył sobie zachowanie Rosjanina na swój sposób, podług własnych możliwości i zainteresowania.

Dina sądziła, że odwiedził niedawno Rosję, ponieważ na wierzchu trzymał rosyjskie książki. Kilka razy udała, że ma coś do załatwienia, i zakradła się do jego pokoju, wiedząc, że Leo jest w kramie. Wdychała jego zapach. Zapach tytoniu, skórzanych ubrań i torby podróżnej.

Wertowała książki. Znalazła w nich podkreślenia, ale nie było żadnych notatek, jakie na przykład zwykł robić Johan. Tylko leciutkie ołówkowe linie.

W jednym z pierwszych dni pobytu Żukowskiego Anders zagadnął go, kiedy ostatnio był w Bergen.

Leo odpowiedział krótko:

– Byłem tam latem.

I zaraz zaczął wychwalać kliper „Matka Karen”, który czekał na brzegu na wodowanie przed wyprawą na Lofoty.

– Żaglowce na północy to prawdziwe statki! – rzekł.

Andersowi zaświeciły się oczy, jakby sam kupił tę łódź i zapłacił za nią.

Wieczorami Leo zrzucał marynarkę i kamizelkę, by zatańczyć. Jego potężny, ciemny głos wypełniał cały dom. Ludzie zbiegali się z kuchni i zabudowań gospodarskich, żeby go usłyszeć i zobaczyć. Otwierano drzwi i zmrużone oczy przyzwyczajone już do zimowych ciemności zaczynały się żarzyć do ciepła i pieśni.

Dina nauczyła się melodii i grała na fortepianie ze słuchu.

Wiolonczeła Lorcha nigdy nie pojawiała się na dole. Zdaniem Diny, instrument nie znosił zmiany miejsca.

Wigilijne niebo było białe jak mleko. Całkiem niespodzianie zaczęła się odwilż. Nie wróżyło to dobre bożonarodzeniowym przyjęciom. Drogi przejezdne saniami mogły zniknąć w okamgnieniu, a morze było wzburzone już od pewnego czasu. Nad zatoką przyczała się śnieżna zawierucha, która jeszcze nie chciała się ujawniać. Trudno przewidzieć, jaką siłę niosła w sobie niepogoda.

Dina jechała konno wzdłuż plaży. Gąbczasty śnieg, kryjący pod sobą zlodowaciałą skorupę, dawał się niezłe we znaki końskim kopytom, które musiały przezeń brnąć.

Pozwalała, by Szatan kłusował z luźnymi wodzami, a sama wpatrywała się w zasnuty chmurami horyzont.

Chciała zaprosić Żukowskiego na przejażdżkę, ale on już zszedł na dół do kramu. Pragnęła go zmusić, by dał się poznać. Ale nie powtórzył żadnego ze słów, które wypowiedział w sieni na poddaszu w dzień po pożarze.

Dina zmarszczyła czoło i mrużąc oczy, spozjrzała na gospodarstwo.

Budynki tworzyły zwartą grupę i wysyłały snopy żółtego światła z licznych rzędów okien. Mali niebiescy włóczykije na szybkich skrzydełkach odwiedzali zamrożone gałęzie jarzębiny i snopki zboża. Siady zwierząt i ludzi, błoto i śmieci tworzyły szare i brązowe pasma, odcinające się od bieli. Cienie pokapujących sopli przypominały zębiska odbite w śnieżnych zaspach.

Dinę trudno by uznać za wdzięczny obiekt obserwacji.

A jednak godzinę później uśmiechnęła się, przejeżdżając koło stajni.

To zaniepokoiło Tomasza. Wziął od niej wodze i przytrzymał Szatana, a Dina zsunęła się z konia i poklepała wierzchowca po boku.

– Daj mu trochę więcej... – mruknęła.

– Niż innym koniom?

Obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

– Zrób, jak chcesz.

– Czy mogę dostać kilka wolnych dni między świętami a Nowym Rokiem? – zapytał Tomasz, niedbale kopiąc przy tym kawałek lodu z zamrożoną grudką tajna w środku.

– Dopilnuj tylko, żeby ktoś był w stajni i oborze – odparła obojętnym tonem, zbierając się do odejścia.

– Czy pan Leo długo tu zostanie?

Zdradził się tym pytaniem. Że żąda od niej rozliczeń... Że ma czelność się zastanawiać.

Już się wydawało, że Dina nie oszczędzi mu miążdżącej odpowiedzi. A jednak się powstrzymała.

– Nie wiesz, dlaczego ludzie się zatrzymują w Reinsnes? Wsparła się o niego.

Wyobraził sobie smak pierwszego letniego szczawiu. Smak lata...

– Przyjeżdżają i odjeżdżają... – dodała.

Tomasz poczuł, że powinien coś powiedzieć. Poklepał konia machinalnym gestem.

– Wesołych świąt, Dino!

Jego oczy wędrowały po jej ustach. Po włosach.

– Chyba zjesz wieczerzę wigilijną, zanim pójdziesz do domu – powiedziała swobodnie.

– Wolałbym raczej zabrać trochę jedzenia do domu, jeśli to możliwe.

– Możesz i zjeść, i zabrać.

– Dziękuję.

Nagle ogarnęła ją złość.

– Nie możesz tak stać z tym nieszczęśliwym spojrzeniem, Tomaszu!

– Nieszczęśliwym?

– Jesteś wcieleniem ponurości! – oświadczyła. – Nieważne, co się dzieje, ty zawsze masz minę jak na pogrzebie.

Zapadła iście grobowa cisza. Potem Tomasz wziął oddech. Głęboki. Jakby zamierzał zdmuchnąć wszystkie świece na torcie za jednym zamachem.

– Na pogrzebie, Dino? – odezwał się w końcu z naciskiem. Spojrzał jej prosto w twarz. Z szyderstwem?

I już było po wszystkim. Obwisły jego umięśnione ramiona. Wprowadził konia do stajni, żeby dać mu owsa, tak jak poleciła Dina.

Leo właśnie wychodził z pokoju, gdy Dina stanęła na szczycie schodów.

– Chodź!

Wypowiedziała to jak rozkaz, bez żadnego wstępu. Spojrzał ze zdziwieniem, ale podążył za nią. Otworzyła drzwi do sypialni i zaprosiła go do środka.

Po raz pierwszy od jego przyjazdu znaleźli się sam na sam. Dina wskazała mu jedno z krzeseł przy stole.

Usiadł i wyciągnął dłoń, zachęcając Dinę, by zajęła sąsiednie krzesło. Ale tam już siedział Jakub.

Zaczęła zdejmować kurtkę jeździecką. Leo podniósł się, żeby jej pomóc. Odłożył kurtkę ostrożnie na imponujące łożo.

Dina zignorowała Jakuba i usiadła przy stole. Wyglądali jak dwie figury *tableau*. Jakub siedział i patrzył.

Panowało milczenie.

– Jesteś poważna, Dino – zaczął Leo. Założył nogę na nogę, przyglądając się jednocześnie dwu wiolonczelom. Prześliznął się wzrokiem po oknie, lustrze, po łóżku. Zęby na koniec powrócił do twarzy Diny.

– Chcę wiedzieć, kim jesteś!

– Koniecznie dzisiaj? W samą Wigilię?

– Tak.

– Sam cały czas próbuję tego dociec. I czy moje miejsce jest w Rosji, czy w Norwegii.

– A z czego żyjesz, gdy się nad tym zastanawiasz? Na chwilę coś zabłysło w zielonych oczach.

– Z tego samego, co i ty, Dino, z majątku i dóbr moich przodków. – Uniósł się, żeby złożyć ukłon, potem znowu usiadł. – Czy życzysz sobie pani, bym od razu zapłacił za wikt i noclegi?

– Tylko wówczas, jeśli jutro wyjeżdżasz.

– Mój rachunek będzie rósł w miarę upływu dni. Może wolałabyś mieć jakieś zabezpieczenie.

– Już mam. Poezje Puszkina! A poza tym nie mamy zwyczaju brać pieniędzy od gości. Dlatego z takim uporem chcemy się dowiedzieć, kogo gościmy w swoim domu.

W jego twarzy zaczęło się coś dziać. Poruszyły się dwa węzły. Po jednym na każdej żuchwie.

– Jesteś chyba zagniewana i smutna – powiedział bez ogródek.

– Nie miałam zamiaru się gniewać. Ale ty chowasz się przede mną.

– Nie tak łatwo nawiązać z tobą jakiś kontakt... chyba że grasz. Ale wtedy się z tobą nie rozmawia.

Puściła mimo uszu ironiczny sens jego słów.

– Powiedziałeś... wtedy przed wyjazdem... że się do mnie zalecasz. Czy to tylko takie gadanie?

– Nie.

– A co miałeś na myśli?

– Trudno to wytłumaczyć podczas przesłuchania. Przywykłaś do tego, że ludzie zawsze odpowiadają to, co chcesz usłyszeć, prawda? Konkretnie odpowiedzi na konkretne pytania. Ale w zalotach, jak to ujęłaś, do napotkanej kobiety nie ma nic konkretnego. To uczuciowe wyzwanie. Które wymaga taktu i czasu.

– O takt i czas ci chodzi, kiedy przesiadujesz u Nielsa w kantorze i plotkujecie razem?

Leo się roześmiał, odsłaniając cały rząd zębów.

– Tylko o to mi chodziło – prychnęła Dina i podniosła się. – Możesz już iść! – dodała.

Leo spuścił głowę, jakby chciał ukryć twarz. Potem podniósł nagle wzrok i powiedział proszącym tonem:

– Nie bądź zła. Lepiej zagraj mi coś, Dino!

Pokręciła głową, ale jednak wstała i podeszła do instrumentu. Musnęła Lorchową wiolonczelę dłonią, nie spuszczać wzroku z mężczyzny.

– O czym rozmawiasz z Nielsem? – zapytała zniecierpliwiona.

– Musisz wiedzieć wszystko o wszystkich? Mieć pełną kontrolę?

Dina nie odpowiedziała. Tylko wciąż zataczała dłonią wielkie, niespieszne kęgi na wiolonczeli. Wodziła dłonią wzdłuż linii instrumentu. Wiolonczela wydawała cichutki dźwięk. Szept gdzieś z samego środka.

– Rozmawiamy o Reinsnes. O składzie. O rachunkach. Niels jest nieśmiałym człowiekiem. Bardzo samotnym... Ale to przecież wiesz? Twierdzi, że pani Dina rządzi niepodzielnie i wszystko kontroluje.

Pauza. Dina się nie odezwała.

– Dziś rano rozmawialiśmy o tym, że można by rozbudować skład, przygotować nowocześniejsze pomieszczenie. Jaśniejsze. Z miejscem na więcej towarów. Że można nawiązać kontakty z Rosją, żeby sprowadzić pewne towary, które niełatwo zdobyć tu, w kraju.

– Rozmawiasz o Reinsnes z jednym z moich ludzi, a nie ze mną?

– Sądziłem, że ciebie jako kobietę interesują inne sprawy.

– Jakie sprawy?

– Dzieci. Prowadzenie domu.

– W takim razie nic nie wiesz o tym, jakie obowiązki ma wdowa po armatorze! Wolalabym, żebyś rozważał sprawy Reinsnes ze mną, a nie z moimi ludźmi! A poza tym – co cię obchodzi Reinsnes?

– Interesują mnie takie społeczności. Zamyka się w nich cały świat, ze swoim dobrem i złem.

– A tam, skąd pochodzisz, nie ma takich społeczności?

– Nie, nie ma. Biedacy nie mają powodu, by okazywać taką lojalność jak u was. W Rosji nastąpiły trudne czasy.

– Dlatego tu przyjechałeś?

– Między innymi. Ale kiedyś uczestniczyłem w gaszeniu pożaru na Reinsnes...

Leo przysunął się do Diny. Skąpe światło pomarszczyło jego dużą twarz.

Stali tak, mając wionoczelę między sobą. On także położył jedną dłoń na instrumencie. Ciężką jak nagrzaną słońcem kamień.

– Dlaczego przyjechałeś tak późno?

– Późno?

– Owszem. Miałeś przyjechać przed zimą, sam tak powiedziałeś.

Wyglądał, jakby się dobrze bawił.

– Tak dokładnie pamiętasz moje słowa?

– Tak – warknęła.

– To mogłabyś być dla mnie lepsza, skoro już przyjechałem – szepnął. Tuż koło jej twarzy.

– Jak dobrym trzeba być dla Barabasa? – spytała Dina.

– Niewiele mu potrzeba...

– To znaczy?...

– Trochę przyjaźni.

Leo wyjął wionoczelę z jej rąk i oparł instrument o ścianę. Delikatnie. Potem ujął Dinę za nadgarstki. Gdzieś w domu ktoś coś stłukł. Po chwili rozległ się płacz Beniamina.

Rosjanin spostrzegł, że właśnie wtedy coś drgnęło w jej oczach. Potem osunęli się razem na ścianę. Nigdy by nie przypuszczał, że jest taka silna. Usta, otwarte oczy, oddech, wielkie, obfite piersi. Przypominała mu kobiety z rodzinnych stron. Ale była twardsza. Bardziej świadoma celu. Niecierpliwa.

Splątali się w węzeł na tle ściany. Ruchomy, gordyjski węzeł.

Leo przytrzymał ją przez chwilę w pewnej odległości i wyszeptał:

– Zagraj, Dino! Możesz nas ocalić.

Wydobył się z niej cichy, zwierzęcy głos. Przywarła do mężczyzny jeszcze na moment. A potem chwyciła instrument, poniosła go do krzesła i rozchyliła uda na jego spotkanie.

Smyczek wzniósł się ku szaremu światłu dnia.

Rozległy się dźwięki. Najpierw galopujące, niezbyt piękne. Ale po chwili ramię nabrało pewności i miękkości. Już w nich zatoneła. Jakub poszedł precz.

Leo stanął ze zwieszonymi ramionami i patrzył na jej piersi wtulone w instrument. Na długie palce, które czasem drżały, by wydobyć pełnię z tonów. Na przegub. Na skórzane spodnie, pod którymi rysowały się obfite, jędrne uda. Na policzki. Aż włosy opadły do przodu i skryły jej twarz.

Leo przeszedł przez pokój w stronę drzwi. Ale nie zamknął ich za sobą. Nie zamknął też drzwi do swego pokoju. Szerokie deski podłogowe naznaczyła niewidoczna linia. Łącząca pokój gościnnie i sypialnię.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

WYCIĄGAM RĘCE DO CIEBIE;
MOJA DUSZA PRAGNIE CIEBIE JAK ZESCHŁA ZIEMIA.

(Księga Psalmów, 143, 6)

Matka Karen spakowała wszystkie pudła i kosze, które miały trafić do trzech komorników albo do innych potrzebujących, o których słyszała.

Wysyłała te paczki okazją albo powiadamiała o nich ludzi, którzy odwiedzali kram w Reinsnes, by zrobić niezbędne zakupy świąteczne.

Oline częstowała napojami w kuchni. Było tam ciepło, miło, wszędzie panował nieskazitelny porządek.

Lapońskie buty ze skóry renifera, śniegowce i płaszcze leżały koło wielkiego, poczerńiałego żelaznego pieca kuchennego. Miały tam rozmarznąć, wysuszyć się i zagrzać przed drogą powrotną. Na piecu zawsze stał świeżo wyszorowany sagan z ciepłą wodą. Rzucił błyski na inne garnki i rondle, gdy z pieca zdejmowano żelazne fajerki, by zrobić miejsce pod imbryk na kawę.

Przez cały tydzień ludzie odwiedzali Reinsnes. Jedli i pili. Zachodzili do kramu, siadywali na stołkach, beczkach i pudłach, czekając na jakiś środek lokomocji.

Mowy nie było, by przestrzegać godzin otwarcia składu. Otwierano go, gdy tylko zjawiali się klienci. Niels i sprzedawca biegali tam i z powrotem.

Bez przerwy trzeba było przekładać żelazne fajerki. Zęby postawić imbryk na kawę. Woda wrzała i przyskała z dzióbka.

Nad hałasującym imbrykiem unosiła się para, aż wreszcie ktoś musiał znaleźć trochę czasu, by zdjąć naczynie z ognia i dolać kawowego naparu.

Na podłodze koło pieca leżał płaski kamień, na którym stawiano imbryk. Kawa naciągała, roztaczając wokół zapach, który trafiał w nozdrza wszystkich, co wchodzili tu prosto z mroźnego, spryskiwanego morską wodą mroku.

Którąś z sześciu filiżanek w niebieskie kwiatki ze złotymi obwódkami splukiwało się po poprzednim gościu i napełniało kawą dla następnego. Czasem jakieś nie całkiem zmielone ziarenko przyklejało się do brzegu filiżanki niby pokryta brązową korą łódka. Łódeczka kołysała się na powierzchni, gdy przemarznięty biedak chwycił za naczynie, by się rozgrzać i unieść gorzkawy nektar do ust. Podawano także brązowy cukier i kruche ciasteczka.

Ten i ów dostawał nawet kieliszeczek za zamkniętymi drzwiami. Ale darmowym alkoholem raczej nie szafowano na Reinsnes. Trzeba zachowywać dobre obyczaje, mawiał Niels.

W niebieskiej kuchni tylko Oline mogła wychylić kieliszeczek. Raz na jakiś czas pozwalała sobie na kropelkę brandy do kawy, żeby rozrzedzić trochę krew.

Nieliczni wybrańcy trafiali do salonu, na wiśniówkę Matki Karen.

Dina rzadko przyjmowała gości. Gdy ktoś przybywał z wizytą, polecała innym go godnie podjąć.

Niels lubił okres przedświąteczny. Wtedy najlepiej sprzedawały się pierwszorzędne towary w dużym wyborze.

Czoło Nielsa marszczyło się tym bardziej, im lepszy był utarg w składzie.

W Wigilię bardzo głębokie zmarszczki znaczyły jego twarz, gdy rozglądał się po na poły opróżnionych półkach i kontrolował puste magazyny na zapleczu i w przystani. Przybrał wygląd człowieka zrujnowanego.

Gdy zjawił się pogwizdujący Anders w świątecznej koszuli, Niels oświadczył grobowym głosem, że już prawie nie ma mąki, że obawia się, czy starczy jej na wyprawę na Lofoty.

Anders tylko się roześmiał. Z humorem traktował kłopoty brata, lustrującego puste puszkę i półki. Czasami dziwił się jednak, że zyski z handlu nie są większe. Mieli przecież wielu solidnych klientów. A ci, którzy dostawali towar na czas połowów, byli niemal bez wyjątku bardzo skrupulatni i dostarczali ryby albo pieniądze po zakończeniu wypraw.

Gdy za ostatnim klientem zamykały się drzwi, Niels odprowadzał prywatne nabożeństwo. W kantorku na zapleczu, za zamkniętymi na klucz drzwiami i zasuniętymi storami.

Pakował skrupulatnie dary ofiarne do dwóch grubych kopert, które kładł na stole. Potem przykręcał knot lampy naftowej i niósł swe koperty do ołtarza. Do masywnej umywalni z dębowego drewna, z grubym marmurowym blatem, emaliowaną miską i taką samą mydelniczką.

Niels wycęzał uroczyście wszystkie siły i przesunął mebel na bok. Ruchoma deska leżała sobie wiernie i spoglądała na niego swymi licznymi sękami i szparami.

Po chwili Niels unosił cynową kasetkę ku przytłumionemu światłu, otwierał ją i karmił najnowszą obiata.

A potem wszystko trafiało na swoje miejsce.

Dopiero później Niels zamykał na klucz wpisane do ksiąg banknoty w żelaznym sejfie ustawionym w kącie.

Na koniec stawał pośrodku izby i pykając fajkę, rozglądał się wokół. Wszystko szło znakomicie. Było święto.

Martwiło go tylko to, że jego mapa Ameryki gdzieś zniknęła. Przecież leżała na stole. A teraz jej nie ma!

Szukał i szukał. Pytał sprzedawcę, Petera. Tamten jednak twierdził, że nic nie słyszał i nie widział.

Niels dobrze wiedział, że nigdy nie wprowadzi żony na Reinsnes, dopóki będzie tu Stine z dzieckiem. Ta smutna prawda zmusiła go do podjęcia poważnej decyzji. Zęby sprawić sobie mapę Ameryki. A teraz ten nabytek gdzieś przepadł.

W Wigilię, o piątej, na stole zawsze pojawiał się tradycyjny posiłek. *Flatbrod*, bulion. Wódka i piwo. Wszyscy starali się uporać ze swymi obowiązkami przed piątą.

Niels w tym roku postanowił zasiąść do stołu. Dzięki temu Rosjaninowi znosił jakoś posiłki w towarzystwie innych.

A teraz ta historia z mapą Ameryki. Może uda mu się wybadać, kto ją zabrał.

W jadalni czekały już nakrycia dla wszystkich. W Wigilię nikt nie jadał w kuchni. Ten zwyczaj wprowadziła Matka Karen, gdy zjawiła się na Reinsnes.

Tyle że nie wszyscy czuli się dobrze w jadalni. Nie mieli zgoła śmiałości, by rozmawiać między sobą, bojąc się, że zachowają się niestosownie albo powiedzą coś niewłaściwego.

Leo i Anders rozładowywali nieco atmosferę dzięki swoim igraszkom z dziećmi. Wszyscy mieli się z czego śmiać. Coś ich łączyło.

Wnoszono i wynoszono talerze. Opary ciepłego jedzenia wnikały w skórę i mieszały się z podskórnymi sokami.

Matka Karen usiadła przed rozświetloną choinką. W całym domu pachniało świętem. W uplecionych z papieru koszykach leżały rodzyнки, pierniczki, kandyzowane owoce. Nie wolno ich było ruszać bez zezwolenia Matki Karen.

Matka Karen siedziała przy węższym końcu stołu w fotelu i, gdy już zakończono posiłek, zaczęła czytać *Ewangelię*. Najpierw po norwesku. Potem po niemiecku, żeby sprawić radość panu Leo, jak powiedziała.

Ale Beniamina i Hannę rozsadzała już ochota na słodycze i paczki. Ich zdaniem, fragment *Ewangeli* nie tylko rozrósł się dwukrotnie, ale i zamienił w niezasłużoną karę boską.

Od tego dnia zaczęli się posługiwać porozumiewawczym hasłem: „A teraz będzie jeszcze czytać po niemiecku!”.

Dina płynęła jak szeroka rzeka przez cały pokój w swej błękitnej aksamitnej sukni z adamszkowym karczkiem. Patrzyła ludziom prosto w oczy, niemal przyjaźnie. Grała bożonarodzeniowe psalmy, tak jakby pieściła klawisze.

Leo intonował pieśni, ubrany w białą lnianą koszulę z szerokimi rękawami i koronkowymi mankietami. Włożył czarną kamizelkę, a przy kołnierzu miał srebrną broszę.

Płonęły dwie trójramienne świece, które w każdą Wigilię stały na fortepianie. Pod świecami połyskiwała srebrna taca. Żeby zbierać kapiącą stearynę. Późnym wieczorem taca zniknęła pod roztopioną stearyną, która stworzyła mały, pofałdowany krajobraz pod świecami.

Świece wyszły spod palców Stine. Jeden zestaw dla Hanny, drugi dla Beniamina. Choć Matka Karen oznajmiła wyraźnie, że to wszystko dla chwały Chrystusowej.

Przed Bożym Narodzeniem na Reinsnes bawił szewc, nikt nie miał więc problemów z odgadnięciem, co jest w paczkach od gospodarzy. Po chwili służba mierzyła obuwie.

Leo zaśpiewał rosyjską przyspiewkę o zmęczonych butach całego świata.

Beniamin i Hanna śpiewali razem z nim. Łamaną ruszczyzną. Zawodzili wruszając i z wielką powagą.

Matkę Karen, starannie uczesaną i wystrojoną w świeżo wykrochmalony koronkowy kołnierz, powoli ogarniało zmęczenie. Hjertrud niespodzianie przeszła przez pokój i pogłaskała staruszkę po białym, pomarszczonym policzku. Starsza pani przymknęła lekko oczy i zapadła na chwilę w drzemkę.

Oline pozwoliła, by ją tego wieczoru obsługiwano. Miała otwartą ranę na kostce. Jej stan pogorszył się po przedświątecznym wysiłku.

Stine uwarzyła maść z miodu i ziół. Ale i to nie przyniosło poprawy.

Leo był zdania, że Oline powinna sobie siedzieć i pozwolić się obsługiwać do czasu, gdy wyzdrowieje. Gdy Oline to usłyszała, objęła Rosjanina życzliwym spojrzeniem. Które niegdyś błogosławiło Jakubowi.

Stine ogarnął przemożny spokój. Od czasu do czasu spoglądała na Nielsa, jakby patrzyła na wyszorowaną podłogę. Z zadumą i wielkim zadowoleniem. Jej oczy pociemniały, a twarz się wyłociła bardziej niż zwykle. Włosy splecione w warkocz upięta w ślimaka na karku. Fryzura nie zdołała jednak ukryć pięknej szyi dziewczyny.

Wszystkie bożonarodzeniowe wspomnienia Johana, wyjąwszy czasy studenckie, wiązały się z Reinsnes. Johan zatopił się we wspomnieniach. Ingeborg zapalająca świece, Matka Karen czytająca *Biblię*. Jakub z twarzą rozplómienną od kieliszków, które wychylił wcześniej z chłopami.

Dziś wieczorem poczuł się jak zranione dziecko, gdy Matka Karen wzięła Beniamina i Hannę na kolana. Zawstydził się i próbował to naprawić, zachowując się szczególnie przyjaźnie wobec wszystkich, zwłaszcza wobec dzieci.

Zauważył też, że duch Diny na dobre zapanował nad Reinsnes podczas jego nieobecności. Anders i Niels zmienili się. Stali się marionetkami pod jej spojrzeniem. Jemu pozostała tylko starsza pani.

Anders był uśmiechniętym bratem tego wieczoru. Przeważnie siedział i słuchał Matki Karen, Johana i Żukowskiego. Czasami jego spojrzenie wędrowało ku Dinie. Raz nawet skinął ku niej głową, jakby mieli jakąś wspólną tajemnicę. Tego mężczyzny z całą pewnością nie dręczyło sumienie.

Niels od czasu do czasu przysiadł na chwilę w salonie. W przerwach załatwiał jednak jakieś sprawy, ale co to było, nikt go nie pytał. Co jakiś czas częstował wszystkich cygarami albo napełniał kieliszki. Ale słowa były zamknięte na klucz, nieobecne. Jego oczy krążyły niczym niespokojne cienie pomiędzy osobami siedzącymi w pokoju.

Jam jest Dina. Dziś wieczorem Hjertrud stoi pośrodku salonu w domu referendarza i płacze. Zawiesiła aniołki i girlandy, przeczytała fragment czarnej księgi. Ale to nic nie pomaga. Niektórzy stają się źli podczas świąt. Dlatego Hjertrud płacze i chowa swą zniszczoną twarz. Obejmuję ją ramieniem i liczę buty.

Od czasu do czasu krzyżowały się spojrzenia Rosjanina i Diny. Jej hardość gdzieś zniknęła. Jakby Dina zapomniała, że Leo przyjechał za późno. Jakby zapomniała o nie dokończonych rozmowie w sypialni.

Matka Karen udała się na spoczynek. Dzieciaki już spały. Niespokojnie, z kropelkami potu u nasady włosów po wszystkich stodyczach i ciastkach – a lek mieszał się z radością z tego, że mają już osiem i sześć lat, że świętują Wigilię na Reinsnes. Przypominały sobie historie o Świętym Mikołaju, wszystkie dłonie i kolana. Głosy, muzykę, prezenty.

Służba dopełniła swych ostatnich wieczornych obowiązków i także udała się na spoczynek. Dziewczęta na kuchenny strych, mężczyźni do izby czeladnej. Oline pilnowała, by do kuchni nie zaglądali potajemni goście. Zostawiła drzwi otwarte.

Dźwięki, które wydawała przez sen, stanowiły nocny instrument. Gdyby on kiedyś umilkł, zniknąłby najważniejszy zegar w całym domu.

Niels gdzieś wyszedł. Nikt się nie zastanawiał, czy jest w swoich pokojach, czy w kantorku.

Nikt oprócz Stine. Ale Stine nie zdradzała się z tym. Dźwigała swoje myśli pod ciemnymi, gładkimi włosami, nie zwracając nikomu głowy. Powoli rozbierała się przed lustrem, przyglądając się przy tym własnemu ciału w skąpym świetle świecy. Zasuńawszy najpierw kotarę oddzielającą solidne łóżko, na którym spały dzieci.

Wieczór nie przyniósł nic nowego w jej życiu. Oprócz jednej rzeczy: postanowiła domagać się dziedzictwa dla swojego dziecka. Powoli, ale stanowczo. Dlatego w najniższej szufladzie trzymała mapę Ameryki.

Obserwując postępowanie Diny, nauczyła się tego i owego: Wszystko, co człowiek robi, staje się faktem. Nie trzeba nikogo pytać o radę, jeśli można się bez niej obejść.

Anders, Johan, Leo i Dina siedzieli ciągle w palarni. Dina wyciągnęła się swobodnie na szezlongu i bawiła się jedwabnymi frędzlami obicia. Paliła łagodnie cygaro hawańskie, wydychując całkiem niekobiece, ale regularne kółeczka dymu ponad głowami innych.

Anders opowiadał o przygotowaniach do wyprawy na Lofoty. Miał zamiar wysłać zrazu tylko jeden klipser na rekonesans. Jeśli połów będzie dobry, wyposaży bez trudu następną łódź. Miał nadzieję, że uda mu się zebrać dość ludzi. Jeśli sprawdzą się prognozy, ryb będzie w bród. Może Leo ma ochotę wybrać się razem z nim?

Leo wyglądał tak, jakby rozważał tę propozycję, powiedział jednak powoli, że chyba się do tego nie nadaje. A poza tym ma swoje sprawy na południu, w Trondheim.

Dina zmierzyła go wzrokiem.

– Jakie sprawy, jeśli wolno spytać?

– Muszę wziąć stamtąd więźnia, którego zabiorę do Vardøhus. Złagodzone mu wyrok i będzie odbywał karę w tamtejszej twierdzy.

– Chcesz powiedzieć, że eskortujesz więźniów?

– Tak – odpowiedział niefrasobliwie, pociągając łyk ponczu i wodząc po wszystkich twarzach zaczepnym spojrzeniem.

– Czy to dobre zajęcie? – zapytał Anders głosem pełnym wątpliwości.

– Równie dobre jak każde inne.

– No, ale ci nieszczęśnicy? Dina zadrzała i usiadła prosto.

– Każdy z nas ma jakieś swoje więzienie – powiedział Leo.

– Ale jest chyba pewna różnica – zauważył Anders. Anders próbował ukryć, jak bardzo go oszołomiła informacja o zatrudnieniu Rosjanina.

– Często podróżujesz ze skazańcami? – zapytała Dina.

– Nie – odparł lakonicznie.

– Dlaczego się zdecydowałeś na takie zajęcie? – spytał Johan.

Siedział do tej pory w milczeniu, prawdziwie wstrząśnięty.

– Żądza przygody i lenistwo! – zaśmiał się Leo.

– Że też nie weźmiesz się raczej do porządnego handlu... zamiast handlować więźniami – powiedział Anders.

– To nie jest żaden handel. Handel mnie nie interesuje. To forma bycia z innymi ludźmi w bardzo trudnych warunkach. Mnie interesują ludzie. Dowiaduję się dzięki nim pewnych rzeczy o sobie.

– Nic z tego nie rozumiem – zakłopotał się Anders.

– A czego się dowiadujesz o sobie w towarzystwie skazańców? – wtrąciła Dina.

– Że to, co człowiek robi, wcale nie zawsze świadczy o tym, kim jest!

– W *Biblii* jest napisane, że nasze uczynki świadczą o tym, kim jesteśmy. Prawda, Johan? – rzekła Dina. Siedziała teraz nienaturalnie wyprostowana.

– Prawda – odparł Johan – ale oczywiście bardzo mało wiemy o nieszczęśliwych ludzkich losach.

– Na przykład Niels. Robi rzeczy, których tak naprawdę wcale nie chce robić, bo jest tu obcy. Gdyby czuł, że to jego dom, postępowałby całkiem inaczej – powiedział Leo.

Anders spojrzął na niego z otwartymi ustami. Dina pochyliła się do przodu.

– Niels chyba nie jest tu bardziej obcy niż ja? – zauważył Anders, obrzucając Dinę szybkim spojrzeniem.

Dina znów wyciągnęła się na szeszlunku i powiedziała:

– Opowiedz nam o tym, Leo.

– Wiem, w jaki sposób Niels i Anders trafili do tego domu. Słyszałem tę historię. Dwie takie same historie. A jednak w tym domu jest coś, co wypędza zeń Nielsa i przygarnia Andersa.

– Co takiego? – zapytała Dina z uśmiechem.

– Chyba twoje zachowanie, które wszyscy inni muszą naśladować.

Słychać było, jak śnieg szeleści za szybą. Niespiesznym, ostrzegawczym szelestem.

– Dlaczegoż to miałabym wypędzać Nielsa?

– Tego nie wiem.

– Może mógłbyś zapytać jego samego albo kogoś innego?

– Pytałem Nielsa.

– I co on mówi?

– W ogóle tego nie zauważył.

– A nie pomyślałeś, że może Niels ma coś na sumieniu? Coś, co leży tam jak brudna bielizna na czystym łóżku?

– To niewykluczone – przyznał Leo.

Anders zaniepokoił się. Rozmowa przybierała niestosowną formę.

– Zrobił dziecko Stine i wypierał się ojcostwa! – rzekła Dina z pogardą w głosie.

– Mężczyźni cały czas robią takie obrzydliwe rzeczy. Ale ostatnimi czasy niewielu dostaje się za to do więzienia.

– Nie, ale może powinna być kara więzienia za udawanie, że ktoś się chce ożenić – odparła Dina.

– Być może. Ale wtedy wszystkie więzienia szybko by się zapełniły. I co byśmy robili z mordercami?

– Z mordercami?

– Tak. Z ludźmi niebezpiecznymi. Z tymi, których trzeba izolować.

Gdzieś w głębi swego ciała Dina wyciągnęła dłoń w poszukiwaniu. Nie znalazła Hjertrud! Lorch! To on był gdzieś w milczącym mroku.

– Robi się późno – zauważyła lekkim tonem i wstała.

Johan skubał poły marynarki. Uważał, że rozmowa przybrała mało świąteczny obrót.

– Wcale mi się nie wydaje, żeby ktoś na Reinsnes niewłaściwie odnosił się do Nielsa. Cieszy się naszym zaufaniem – ma pracę, mieszkanie, jedzenie. To szczególnie człowiek, nie da się zaprzeczyć. Ale nie można za to winić Diny – powiedział Johan na zakończenie.

Zakaśtał kilka razy.

– Zdaje się, że Niels czuje się tak odrzucony, że zastanawia się nad podróżą do Ameryki – rzucił Leo w przestrzeń. Jakby nie usłyszał słów Johana.

– Do Ameryki? – zapytał Anders z niedowierzaniem. Twarz Diny stała się nieprzenikniona jak maska.

– Siedział nad mapą Ameryki któregoś dnia przed świętami. Zastałem go przy tym i zapytałem, czy nosi się z zamiarem wyjazdu. Z jego odpowiedzi wynikało, że ta myśl nie jest mu obca – wyjaśnił Leo.

– Nigdy o tym nie napomknął nawet słowem! Przecież to strasznie dużo kosztuje! – mamrotał Anders.

– Może ma jakieś oszczędności – zauważył Leo.

W tym momencie Dinie roziskrzyły się oczy. Znów usiadła na szeszlunku. A jeden but, który już prawie wsunęła na nogę, wylądował krzywo na podłodze pod jej stopami.

Liczby? Liczby zaczęły wyrastać całymi kolumnami nad boazerią. Pełzły w strefę cienia na jedwabnej tapecie. Takie wyraźne!

Dina patrzyła i słuchała z najwyższym zainteresowaniem.

– Oszczędności? Z czego miałyby zaoszczędzić? – zdziwił się Anders. – Mam teraz większe dochody, bo dostaję pewien procent od zysków z handlu rybami, ale nic nie mogę odłożyć! A Niels dostaje przecież tylko pensję...

Anders rzucił przeproszające spojrzenie Dinie i Johanowi, żeby nie pomyśleli, że się o coś upomina.

– On nie wydaje na przyjemności tyle co ty, Anders. Może oszczędzał całymi latami! – powiedziała Dina stanowczym tonem.

Wciągnęła buty i zasznurowała je porządnie, żeby nie złamać sobie nogi. Ujęła fałdy spódnicy i podniosła się. Leo był jej teraz równie bliski jak Wielki Wóz na niebie.

– Zrobiło się późno – powtórzyła raz jeszcze, zмирzając w stronę drzwi.

– Jeśli chcecie, by Niels dalej się zajmował składem, to, moim zdaniem, musicie go włączyć do wspólnoty. W przeciwnym wypadku stracie go – powiedział Leo powoli, zwracając się wyraźnie ku plecóm Diny.

– Masz chyba trochę racji – mruknął Johan. – Zauważyłem, że coś jest nie tak. Pisał takie dziwne listy. Kiedy byłem na studiach.

Dma odwróciła się tak gwałtownie, że zafurkotała jej spódnica.

– Ten, kto nie zachowuje się jak człowiek, kto nie bierze odpowiedzialności za swoje czyny, nigdy nie zazna spokoju, niezależnie od tego, dokąd pojedzie – oświadczyła, tracąc niespodzianie oddech.

– Ale to nie ludzie powinni go osądzać – rzekł Johan.

– Nikt go nie osądza! – odparła stanowczo Dina.

– To nie całkiem tak – mruknął Anders. – Niels nie wie, jak to wszystko naprawić. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Nie mógł się przecież ożenić ze Stine tylko z powodu dziecka.

– A dlaczegoż by nie? – spytała Dina opryskliwie.

– No nie, mój Boże... – Anders zamilkł.

– Bez wątpienia postąpił źle, ale przecież wszyscy to robimy, teraz czy kiedy indziej – powiedział Johan po cichu. – A Stine ma się nieźle – dodał.

– Stine wcale nie żyje się dobrze! Ona tu ginie, marnuje się. A on planuje podróż do Ameryki! Ale powiadam wam: tak będzie lepiej! Dla wszystkich. Wreszcie oczyści się powietrze. Będziemy mogli oddychać.

– A kram? – Johan nie wiedział, co powiedzieć. Czuł jednak, że powinien się odezwać.

– Ludzi nie brakuje, zobaczysz – uspokoiła go Dina. – A on jeszcze nigdzie nie pojechał!

– Słyszałem jakieś plotki w składzie, że Niels chciałby dostać Dinę za żonę – powiedział Leo.

Nie zamierzał się poddać, przynajmniej tak to wyglądało. Gdyby tylko Dina była już za drzwiami! Ale było za późno. Teraz musiała się zatrzymać.

– Aha! Więc pan Żukowski chciałby wydać mnie za Nielsa, żeby ten przypadkiem nie czuł się odrzucony?

Jeszcze szczególny uśmieszek odgrodził ją niby płótem.

– Wybacz! To była bardzo niestosowna uwaga! – powiedział Leo, wstał i uklonił się. Pospieszył w jej stronę, by przytrzymać drzwi. Powiedział „dobranoc” i zniknął za drzwiami razem z Diną.

Świece w sieni już się prawie wypaliły w mosiężnych świecznikach.

Zrobiło się ciemno. Księżyc stał kolumnienki światła przez wysokie okno, a cienie okiennych listewek uwięziły ich niby kraty.

Kraty przesłoniła twarz i ramiona mężczyzny. Oboje kroczyli przez środek tego samego więzienia.

Gdy szli na górę, Leo objął ją ramieniem. Schody skrzypiały trochę, tak samo jak zawsze. Jego uda dotknęły jej ciała. Słowa, które powiedział przed chwilą, cały zimny prysznic, który jej urządził, rozplynęły się w nicości. Po prostu przestały istnieć.

Leo zamienił się w ciężar. Gdzieś głęboko, głęboko w jej łonie.

– Okaż łaskawość Nielsowi – szepnął, gdy już dotarli do sieni na poddaszu.

– To nie moja rzecz – odpowiedziała zła, że znowu podjął ten temat.

– Zaznasz dzięki temu spokoju.

– Ja nie potrzebuję spokoju!

– A czego potrzebujesz?

Wtedy chwyciła go rękami za biodra i przyciągnęła siłą do siebie. Rozpięła mu koszulę na piersi i położyła ręce na jego ciele.

W dłoni ścisnęła broszkę, którą miał w kołnierzu. Broszka kłuła ją raz po raz w rękę.

Potem Dina uwolniła się i wślizgnęła do sypialni. Wszystko zdarzyło się tak szybko. W takich ciemnościach. Może to im się tylko śniło. Każdemu z osobna.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

WYKRZYKUJECIE NA CZEŚĆ PANA, WSZYSTKIE ZIEMIE;
SŁUŻCIE PANU Z WESELEM!
WŚRÓD OKRZYKÓW RADOŚCI STAWAJCIE PRZED NIM!
WIEDZCIE, ŻE PAN JEST BOGIEM;
SAM NAS STWORZYŁ, MY JEGO WŁASNOŚCIĄ.

(Księga Psalmów, 100, 1-3)

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia popłynęli do kościoła. Barkasem. Johana uprzedzono bardzo późno, że musi wygłosić kazanie, bo pastor zachorował.

Z tej wielkiej okazji Matkę Karen, otuloną starannie, by nie zmarzła, wniesiono na pokład niby jakąś paczkę.

Uśmiechała się i przechylała głowę na wszystkie strony, pękała z dumy z powodu Johana.

Pastor musiał zostać w łóżku, ale w kościele była jego żona.

Matka Karen zasiadła razem z nią w pierwszej ławce. Djna i cała reszta towarzystwa z Reinsnes zajęli miejsca w drugiej ławce.

Leo, zgodnie z własnym życzeniem, siedział gdzieś z tyłu.

Ogromne kamienne mury. Świece. Cienie, żyjące w kątach, nad którymi nie może zapanować ani światło dnia, ani blask płomyków. Psalmi. Ludzie stali się mali pod ogromnym dachem Boga. Tulili się do siebie w drewnianych ławkach, grzejąc się nawzajem.

Ewangelia według świętego Jana: „A światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła”. „Przyszedł do swojej własności, a swoi go nie przyjęli”.

Johan przygotowywał się starannie w ciągu dni poprzedzających Boże Narodzenie. Wygłaszał swe kazanie przed Matką Karen. Twarz mu ogromnie pobladła, oczy modliły się za siebie. Głos dźwięczał jak metal.

Johan mówił o łasce, która przychodzi, gdy mieszkamy w Chrystusie. O tym, że trzeba otworzyć się na objawienie i zbawienie. Że grzech traci swą władzę, gdy ludzie przyjmują światło. Największym cudem dla człowieka jest Chrystus i jego łaska.

Matka Karen kiwała głową i uśmiechała się. Znała każde słowo na pamięć. Choć była już stara, miała wciąż głowę wielką jak komoda. Jeśli raz w niej coś umieściła, zawsze mogła to znaleźć, gdy było potrzebne.

Kazanie przypadło ludziom do gustu i po nabożeństwie wszyscy tłoczyli się wokół Johana przed kościołem.

– Twoje słowa niosły prawdziwy pokój – powiedziała pastorowa, ściskając Johanowi rękę.

Z każdych ust dobywał się obłoczek pary. Obłoczki łączyły się w jedną chmurę ponad ludzkimi głowami. Cały tłumek powoli zmierzał ku plebanii, na świąteczną kawę.

Dina się nie spieszyła. Najpierw odeszła na bok. Chciała być sama.

Po chwili na kościelnym wzgórzu zapadła cisza. Okrążyła kościół wąską, wydeptaną ścieżką i znalazła się po stronie morza. Potem wdrapała się po zaspie śnieżnej na parapet. W tym kościele można by się bronić. Niczym nie przesłonięty widok na morze, grube mury.

Gdy Dina spoglądała na łańcuch gór po drugiej stronie fiordu, Hjertrud obsypała go milionem muszelek. Roziskrzyły się tak bardzo, że głosy z plebanii gdzieś zniknęły. Łodzie zmieniły się w zakłète potwory morskie, co leżą i czekają.

Nikt jej nie mógł zobaczyć. Dzieliła ją od innych cała olbrzymia kamienna świątynia.

Wtedy jego kroki wdarty się w skórę Hjertrud.

Weszli przez zakrystię do pustego kościoła. Drzwi do zakrystii nie było widać z plebanii. Wewnątrz panował mrok, bo zgasły już wszystkie świece.

Ich kroki odbiły się echem od kamiennych ścian. Przeszli przez cały kościół, od chóru aż do samych drzwi. Ramię w ramię, nie zamieniając ani jednego słowa. Po schodach do organów. Tam było jeszcze mroczniej niż na dole. Organy wsparły się o nich cicho i ciężko.

– Chyba potrzebujemy błogosławieństwa – powiedział Leo.

– Tak, ale sami musimy się zatroszczyć o światło – odpowiedziała, wtulając usta w jego szyję.

Na chórze powinno leżeć jedwabne prześcieradło wśród zapalonych świec. Powinno być lato, a urny pełne brzozowych listków ustawione w środkowej nawie. A w każdym razie ktoś powinien przynajmniej zamieść tę twardą drewnianą podłogę. Ale brakło czasu na przygotowania.

Prawie nie widzieli się nawzajem. Krew tętniła jednak gwałtownie we wszystkich żyłach i naczyniach. Czas był ściśle odmierzony. Ale starczyło go na całą ceremonię wtajemniczenia.

Jego blizna była jej kompasem podczas najgwałtowniejszego sztormu. Sztormu bez żadnego odwrotu.

Zanim Leo pojawił się koło muru, dobrze sprawdził, że kościelny na pewno opuścił świątynię. Przyjdzie jeszcze czas na świadków. Żadne z nich nie zaplanowało miejsca. Ale skoro to się miało stać, trudno byłoby znaleźć lepszą katedrę na całej północy.

* * *

Na plebanii uroczyście podawano kawę.

Referendarz i Johan zasiedli po obu bokach bergeńskiego kupca, który osiedlił się w powiecie i dostał zezwolenie na handel detaliczny i prowadzenie zajazdu. Budząc tym irytację wielu właścicieli gospodarstw, zaniepokojonych o swój utarg.

Rozmowa dotyczyła lodowców. Bergeńczyk dziwił się, że na północy jest tak niewiele lodowców, choć nie brakuje tu wysokich gór. No i tyle wody paruje z morza o każdej porze roku! W zachodniej Norwegii, zwłaszcza w Sogn, panuje łagodniejszy klimat, a jednak są tam lodowce.

Referendarz wypowiadał się jak ekspert. Morze nie jest tu tak zimne, jak się ludziom wydaje. Istnieją ciepłe prądy.

Johan wziął stronę referendarza. I dodał już na własny rachunek, że na południu trzeba wejść o wiele wyżej, niż przebiega granica lasu, by napotkać karłowatą brzozę i malinę moroszkę, a na północy karłowata brzoza z grubymi gałęziami i liśćmi rośnie tuż nad morzem. A maliny moroszki dojrzewają w oczach na skraju plaży!

Nikt jednak nie znał właściwej odpowiedzi na skomplikowane pytania dotyczące zjawisk atmosferycznych i botaniki.

Matka Karen orzekła, że Bóg różnicuje ludzi podług własnej mądrości. I że to właśnie on zapewne uznał, iż maliny moroszki i brzozowe zarośla powinny sięgać brzegu morza na północy. Że to właśnie on oszczędził jej mieszkańcom lodowych potaci, skoro i tak mają się z czym borykać. Weźmy choćby zimne pory roku! Wszystkie jesienne burze i lata nieurodzaju! I niepewność co do połowów. Biorąc to wszystko pod uwagę, trzeba docenić bożą mądrość.

Pastorowa chętnie przytaknęła tym słowom. Mniej oświeceni goście także pokiwali głowami, widząc aprobatę pastorewej. Na pewno tak właśnie jest.

Johan nie miał jednak ochoty przyłączać się do teologicznych wyjaśnień na temat występowania lodowców, które właśnie rozsunęła Matka Karen. Spojrzał na nią z czułością i nie odezwał się.

Kupiec nieelegancko zignorował słowa starszej pani. Nadal jego zdziwienie budził fakt, że najwyższe szczyty me są przez okrągły rok okryte lodowcem. Że lodowce występują tu przypadkowo i nieregularnie.

Dina cichutko weszła do izby, dostała kawę i lefse od jakiejś dziewczyny w białym muślinowym fartuszk. Usiadła na krześle z wysokim oparciem tuż koło drzwi, choć ktoś ustąpił jej miejsca przy stole.

Referendarz utrzymywał, że teoria na temat wilgotnego powietrza morskiego do niczego się nie nadaje. O ile mu wiadomo, lodowiec w Jostedalsbreen leży w jednym z najsuchszych zakątków Sogn, a okolice nad samym brzegiem morza wcale nie znają lodowców!

Mniej więcej w tej właśnie chwili coś przebiegło pokój. Jakby pomruk niepokoju. Nie mający nic wspólnego z norweskimi lodowcami. Trudno nawet powiedzieć, od czego się to zaczęło. Ale po chwili do izby przeniknął niewyraźny zapach. Najpierw delikatny. Opary tuż przy ziemi. Ludzie zaczęli się niepokoić.

Po paru minutach pojawił się Leo, wychwalając piękno kościoła. To wcale nie stłumiło specyficznego zapachu słonych morskich wiatrów i ziemi.

Każdemu z osobna przypominały się jakieś uczucia z przeszłości. Z dawnych lat? Z wczesnej młodości? Wracały wspomnienia leżące odłogiem gdzieś w głębi duszy.

Coś wibrowało w ludzkich nozdrzach, gdy ten wielki Rosjanin za bardzo się zbliżał. Albo gdy gdzieś niedaleko przemknęły włosy czy ręce Diny. Panowie nie potrafili już dłużej prowadzić rozmowy. Pochylili się nad kawą.

Referendarz zapytał z roztargnieniem o zdrowie pastora. Nieszczęśnika, który leży na poddaszu i kaszle. Pastorowa pokiwała głową, nieco zakłopotana. Referendarz już raz zadał to pytanie i usłyszał w odpowiedzi, że pastor wciąż leży na poddaszu z kaszlem i gorączką. I że lepiej go nie odwiedzać. Pastorowa zapewniła, że przekaże mu pozdrowienia.

Tym razem odpowiedziała krótko: „Dziękuję, wszystko w porządku!”, i strzepnęła mikroskopijny pyłek kurzu ze swego rękawa.

Tace z ciastem krążyły bez przerwy wokół stołu. Dolewano kawy. Wszystkich ogarnęło klejące oczy nasycenie. Nozdrza wibrowały w całym pokoju pomiędzy kolejnymi kęsami.

Jeśli nawet ludziom starczyło intuicji, by rozpoznać zapach, to z pewnością zabrakło im odwagi, by wyśledzić skąd on pochodzi. Taki zapach nie powinien wszak w ogóle istnieć w myślach porządných ludzi.

A jednak unosił się w tej izbie. Nie pozostał bez wpływu na apetyty. Wkradł się niepostrzeżenie w rozmowy, tłumiąc na chwilę słowa, czyniąc spojrzenia błogo nieobecny. Działał na parafian niby podniecający balsam, by rozplątać się pod koniec poczęstunku. Ale powracał w niejednym wspomnieniu o wiele, wiele później. Towarzysząc zdziwieniu, z czego też zrodził się ten błogi i miły nastrój na plebanii w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia.

Nawet pastorowa coś poczuła. Wciągnęła lekko powietrze, gdy parafianie już się rozeszli.

Jakaż to była szczęśliwa godzina!

Wspięła się po schodach do swego chorego męża, niosąc mu spokój i pocieszenie.

* * *

Dina siedziała w łodzi i pozwalała, by owiewał ją swobodny wiatr.

Leo! Jego skóra wżarła się w nią przez płaszcz i ubrania. Jej ciało zmieniło się w czarodziejską różdżkę, w napięty łuk, tajemne źródło.

Otuliła się szczelnie futrem i rozmawiała z Johanem i Matką Karen. Johanowi podziękowała za kazanie. Matkę Karen pochwaliła za wyprawę do kościoła mimo nie najlepszego zdrowia ostatnimi czasy.

Jej ołowianoszare oczy błyszczały pustką. Leo napotkał jej spojrzenie. Jakby patrzył w horyzont za horyzontem – aż w nieskończoność.

Dina siedziała pomiędzy czujnym Johanem i Rosjaninem, który chronił jej plecy przed bryzgami wody.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

WPROWADZIŁ MNIE DO DOMU WINA,
I SZTANDAREM JEGO NADE MNĄ JEST MIŁOŚĆ.

(*Pieśń nad Pieśniami, 2, 4*)

Trudno było ukryć, że coś się dzieje. Tak samo trudno jest zataić porę roku przed ludźmi, którzy przecież wychodzą na dwór.

Johan pierwszy spostrzegł spojrzenia Rosjanina i Diny. Przypomniały mu się jej pytania o podróż Żukowskiego od jego poprzedniej bytności na Reinsnes.

W czasie studiów wspomnienie ojcowskiej połowicy drażniło jego myśli. Jak niestosowna ilustracja na kartach *Biblii*. Dina zajęła miejsce puszek z ciastkami Oline z dzieciństwa. Stojących gdzieś wysoko na półce, zakazanych. Była podniecią do grzesznych myśli.

Śnił o niej na jawie i we śnie. O jej połyskującej bielą nagości, o skórze ociekającej promieniami księżycy i kroplami wody. Stała w morskiej wodzie, zanurzona po biodra, pokryta gęsią skórą, ze sterczącymi sutkami. Taka, jaką ją ujrzał w noc wspólnej kąpieli tuż przed wyjazdem.

Wrócił do domu starszy o dziewięć lat. Zdawało mu się, że jest przygotowany. A jednak gdy tylko ją widział, czuł podniecenie i niepokój. W oczach Boga i ludzi Dina należała do jego ojca. Nawet jeśli Jakub już nie żył, nawet jeśli go nie było. Dina urodziła Johanowi przyrodniego brata i zarządzała wspólnym majątkiem właściwie jak matka.

Matka Karen zmartwiła się trochę, spostrzegłszy spojrzenia Żukowskiego i Diny. Ale zarazem poczuła wzruszenie. Szybko uporała się ze wspomnieniem swego zmarłego syna. I przyzwyczała się do myśli o Dinie i żywym mężczyźnie.

Powątpiewała wprawdzie, by ten Rosjanin posiadał jakiś majątek. Nie sądziła też, by mógł sobie poradzić z handlem i przyjmowaniem gości.

Choć prawdę powiedziawszy, Jakub był marynarzem, gdy przyjechał do Reinsnes... Tak, starsza pani zaczęła się nawet cieszyć z tego, że w domu pojawi się ktoś, z kim będzie mogła porozmawiać o sztuce i literaturze. Ktoś, kto zna niemiecki i francuski, kto zapewne dotarł w podróżach aż do Morza Śródziemnego.

Niels zdziwił się i zmieszał, gdy dostrzegł niedwuznaczną sympatię między tą parą. Z jakiejś przyczyny, której wcale nie zamierzał analizować, poczuł przyptyw niepokoju. Jakby istota miłości stanowiła dla niego osobiste zagrożenie.

Anders przyglądał się tym dwojgu ze zdziwieniem. Nie potrafił jednak uwierzyć, że coś z tego będzie.

Stine zachowywała spokój i czekała, nie zdradzała w żaden sposób, co wie bądź przypuszcza. Dobry humor Diny i jej skrząca się energia wcale nie budziły niepokoju Stine.

Oline natomiast zaczęła wypowiadać się głośno na temat rozlicznych cnót Jakuba, gdy Leo wszedł pewnego dnia do kuchni. Rosjanin słuchał z uprzejmym zainteresowaniem. Kiwał głową i wypytywał o szczegóły dotyczące tego bohatera, który był kiedyś panem na Reinsnes.

Oline opowiadała o Jakubowych cnotach. O jego pięknym obliczu, o tym, jak umiał tańczyć do białego rana, jak się troszczył o służbę i maluczkich. I jeszcze o jego kędzierzawych włosach i młodzieńczym usposobieniu.

Oline nawet nie zauważyła, jak podbiła ją umiejętność słuchania, którą okazał Leo. Wreszcie udało się jej dać wyraz swojej trzydziestoletniej miłości. Na końcu wyplakała swą żalobę i tęsknotę na piersi Rosjanina, który i od tej chwili stał się jej niezbędnym do życia.

Tomasz wrócił w dwa dni po Bożym Narodzeniu i w kuchni zastał Żukowskiego, który śpiewał rzewne rosyjskie ballady ku pocieszeniu serca rozstrojonej Oliny. W tym samym momencie Tomasz stracił dom.

Z punktu zaczął się zadreć szpiegowaniem. Wieczorami wsłuchiwał się w gruchający śmiech Diny, który dobiegał przez otwarte drzwi do kuchni i salonu. Szukał śladów na śniegu wokół altany przed pełnią księżyca. Zdobył rozdzierające serce dowody. Dwie odcisnięte w roztopionym szronie plamy na ławce w altanie. Zlewające się niemal w jeden ślad. Dwa ciała odziane w futra siedziały na tej ławce... Futra rozpinane z przodu.

A więc przyprowadziła tu tego Rosjanina! Tutaj się obnażyła w świetle księżyca!

Zakradł się nawet przed front domu, zachowując sporą odległość, by policzyć cienie za zasłonami w sypialni. Ale ciężkie, ciemne pluszowe story umiały dochować tajemnicy. Skoro nie dojrzał żadnych cieni, zamartwiał się z kolei, że widać tak mało światła.

Miał przed oczami białe ciało Diny w cudzych ramionach, przed piecem, w błysku kandelabra stojącego na toalecie. Obraz łoża z baldachimem prześladował go noc w noc, Tomasz prawie nie tykał kuszącego i smakowitego świątecznego jedzenia.

Zaczął unikać kuchni, zaglądał tam tylko podczas posiłków, gdy miał pewność, że Rosjanin siedzi w jadalni.

* * *

Pewnego dnia naprawdę się zdarzyło, że w sypialni pojawiły się dwa cienie. Sprowadziła go tam piątego dnia po Bożym Narodzeniu. Narażając się na to, że wszyscy się dowiedzą. Johan. Matka Karen. Pożądanie było jednak przewodnikiem wilczego stada. Szare i niewidoczne dla innych, dla niej oznaczało czerwony pysk z ostrymi, nieomylnymi zębami i przenikliwą wonią. Wiodący w śmierć, w głód, w gniew.

Dlatego właśnie wstała i włożyła na nowo ubranie. Upięła włosy i wykradła się do mrocznej sieni, pozbawionej okien. Zakneblowała Jakuba, wcisnęła go za bielizniarkę, ostrożnie nacisnęła skrzypiącą mosiężną klamkę i wślizgnęła się do środka.

Czekał na nią niczym wierny sługa. Bez butów i koszuli, tylko w spodniach. Jakby siedział tu i czytał, strzygąc uchem wyczulonym na najmniejszy sygnał.

Pokój gościnny nie nadawał się dla dwojga, cienkie ściany zdradziłyby ich przed Andersem i Johanem. Sypialnia graniczyła natomiast z dwoma pustymi pokojami. Dina zgasiła świecę palcami. Błyskawicznie, nawet nie śliniąc palców.

– Chodź! – szepnęła.

Mężczyzna podążył za nią, jakby wszystko zostało od dawna ukartowane.

Gdy już znaleźli się w sypialni, z westchnieniem przekręciła klucz w drzwiach i popchnęła masywnego mężczyznę w stronę łóżka. Leo chciał coś powiedzieć, ale położyła mu palec na ustach.

Zielone oczy iskrzyły się śmiechem. Poważnym śmiechem modlącego się Buddy.

Parę razy przymknął powieki. Podeszła blisko, bardzo blisko. Ale nie dotknął jej pierwszy.

Okazało się, że stare łóżko Jakuba nie zdaje egzaminu, więc przenieśli się na podłogę. Mieli przecież dwie pierzyny ze szlachetnego puchu w adamszkowych poszwach i prześcieradła.

Leo zaspokajał pożądanie, wkładając całą namiętność w zabawę. Wsuwał się w nią. Bezgłośnie i lubieżnie. Niby wiekowe wzgórze, które tłamsi swe echo, by nie spłoszyć słońca. Albo jak żeglujące obłoki, które nie chcą wystraszyć kropli rosy w borówkowych zaroślach i orlich piskląt w szczelinie skalnej.

Dina przemieniła się w rzekę, która unosi łódź z przeoraną na wylot dziurą. Wijącą się, by sforsować bystrzyny i kamienie. Jej brzegi pochłaniały wszystko łapczywie i kaleczyły mu skórę na bokach.

Tuż przed ostatnią bystrzyną, gdy już miał go porwać wodospad, pokład się zapadł, a on poszedł z nim razem na dno.

Piaszczyste brzegi cichutko szeptały. Ale woda dudniła i szumiała, a jej nurt był wciąż tak samo nienasycony. Wtedy znów wyciągnął łódź, wywróconą do góry dnem, pozbawioną wiosł. Wyciągnął ją swą wolą i siłą. Ogromne zwierzę śmignęło z brzegu i ukąsiło go głęboko i śmiertelnie.

I tak znalazł się w wodospadzie.

Baldachimowe łoże stało spokojnie na środku, jakby pogodziło się ze swą starością i słabością.

Nigdy nie widziało czegoś podobnego. Na chwilę jakby zawiesiło cały swój ciężar. Cztery kolumny i masywne deski próbowały w całkowitej ciszy, z troską, do której nie nawykły, wytłumić odgłosy rozśpiewanego pokoju.

Baldachimowe łoże nie zajęło się jednak przytrzymaniem Jakuba w stosownej odległości, na wyciągnięcie ręki. Pojawił się między nimi obojgiem, jak porzucone dziecko. Na nic się zdały wysiłki, by go przepędzić.

Jakub nie opuścił ich, dopóki zwierzęta w oborze nie zaczęły się dopominać swego, a ranek stanął jak lodowa ściana.

* * *

Nastały zimne noce i dni. Niebo wybebeszyło swe wnętrzności. Dotkliwie zielone światło północy, z czerwonymi i niebieskimi strzępami jelit na brzegach. Wszystko skłębione w pędzie ku czarnemu, rozgwieżdżonemu niebu.

„Księżę Gustaw” zjawił się, jak nie chciana morska jaszczurka.

Dina znowu zaczęła krążyć po poddaszu.

KSIĘGA TRZECIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

JEDEN JEST HOJNY A STALE BOGATY,
A NAD MIARĘ SKĄPY ZMIERZA DO NĘDZY.

(Księga Przysłów, 11, 24)

Młoda szwaczka, najęta przed świętami, została na Reinsnes na dobre. Okazało się, że nie ma dokąd pójść po skończeniu swojej pracy.

Gdy posprzątała wszystkie kłaczki i szpulki nici, gdy pozamiatała po sobie, wybuchnęła płaczem, ubrana już w płaszcz, trzymając w ręku tekturowe pudełko przewiązane sznurkiem. Tak znalazła ją Stine. Dziewczyna otrzymała zapłatę i powinna odejść.

Nikt się nie dowiedział od Stine, o co właściwie chodziło w tej poruszającej historii. Nie było jednak cienia wątpliwości co do tego, że nie można dziewczyny wypędzić w przedwigilijny wieczór. Rozniosłoby się to po całym powiecie, nie przysparzając Reinsnes dobrej sławy.

Dziewczynie przydzielono nowe obowiązki: miała sprzątać wieczorem skład i kantorek. Poplamiona tabaką podłoga była szorstka i niełatwa do sprzątania. Ale dziewczyna nie narzekała.

Pewnego dnia Dina usłyszała, jak szwaczka plotkuje z Anette w kredensie. W rozmowie pojawiło się imię Nielsa.

– On przychodzi wtedy, kiedy sprzątam kantorek – mówiła dziewczyna.

– Nie bój się, możesz go zwymyślać. On tu nie jest panem – tłumaczyła jej Anette.

Dina przystanąła za otwartymi drzwiami.

– Nie, ja się nie boję. Ale to mi przeszkadza. A zresztą on ma naprawdę źle w głowie – oświadczyła szwaczka z powagą. – Kiedyś przyszedł i przesuwiał tę ciężką umywalnię tam i z powrotem jak jakiś dureń.

– Umywalnię?

– No tak, tę, co stoi w kantorku. To było w Wigilię, wtedy Oline kazała mi iść i sprawdzić piec, na wypadek żeby ktoś nie pomyślał, że w każdej chwili może wybuchnąć pożar w gospodarstwie, gdzie piorun rąbnął w dach stodoły... Tak, wtedy go widziałam! Zasłonił okna, ale widziałam, jak podchodzi do umywalni. Zaczął ją przesuwać! Potem siedział skulony i wpatrywał się w coś w kącie przez dobrą chwilę. Aż wreszcie przesunął mebel na miejsce, robiąc mnóstwo hałasu, i zaczął palić. Czy normalny człowiek zrobiłby coś takiego?

Nastaly połyskujące granatem lutowe dni.

Dina wkroczyła do kantorka bez pukania. Ledwo podniósł głowę sponad swych papierów, by ją pozdrowić. W pokoju było ciepło. Piec słał trzeszczące westchnienia ze swego rozżarzonego tronu w kącie.

– Pracujesz nawet w czasie świąt? – zaczęła Dina.

– Tak, chciałem zaksięgować wszystko, zanim Anders wróci ze swym zarobkiem. Mnóstwo z tym roboty...

– Pewnie tak.

Dina podeszła do masywnego biurka i stanęła nad nim z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Niels zaczął się pocić. Nieprzyjemna lepkość sparaliżowała jego słowa i myśli.

– Co to ja miałam powiedzieć?... Aha, czy to prawda, że, jak słyszałam, masz zamiar wyjechać do Ameryki?

Niels skulił się nieznacznie. Na jego skroniach sterczały lekko siwiejące włosy. Był w koszuli i rozpiętej kamizelce. Miał żyłastą i chudą szyję, takie same ręce.

Nie był brzydkim mężczyzną. Miał całkiem sprężysty i muskularny tors jak na urzędnika. Prosty nos i rysy, których nie powstydziliby się arystokrata.

– Kto tak mówi? – zapytał, oblizując usta.

– Nieważne. Ale ja chciałabym wiedzieć, czy to prawda.

– Czy to ty zabrałaś z biurka mapę Ameryki?

Zbroił się do swego rodzaju ataku. Przez chwilę odczuwał nawet zadowolenie.

– Nie. Skąd wzięłaś tę mapę? Sprawy zaszły już tak daleko? Dokąd się zatem wybierasz?

Spojrzał na nią podejrzliwie. Każde z nich stało po przeciwnej stronie biurka. Niels płasko opierał dłoń o blat, zwrócony twarzą do Diny.

Wyprostował się tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a przewróciłby kałamarz.

– Mapa zniknęła! Bez śladu! A była tu w przeddzień Wigilii.

Niels przerwał.

Dina przypatrywała mu się bez słowa.

– Nie, ja tylko sobie myślałem... – odpowiedział wreszcie.

– To będzie kosztowna podróż – rzekła Dina ściszonego głosem.

– Na razie to tylko luźne projekty...

– Może dostałaś pożyczkę w banku? Potrzebujesz poręczenia?

– Nie myślałem o tym...

Twarz Nielsa przybrała inny kolor, mężczyzna parę razy dotknął dłonią włosów.

– A może masz własne pieniądze?

– Nie, w zasadzie nie...

Niels przeklinał samego siebie za to, że nie przewidział takiej sytuacji. Że nie wykuł odpowiedzi na pamięć.

Z Diną zawsze tak było. Podpływała jak wielki halibut i młóciła tam, gdzie się tego najmniej spodziewałeś.

– Od dawna już chciałam z tobą porozmawiać o pewnych sprawach, Niels – powiedziała z nutą zachęty w głosie, jakby zamierzała zmienić temat rozmowy.

– Tak? – odparł z ulgą.

– Chodzi o liczby... Te, które istnieją, choć nie można ich znaleźć... O dodatkowe liczby. Które pojawiają się tylko wtedy, gdy liczę beczki, załadunek i wyładunek, kiedy rozmawiam z ludźmi o ich długach i wierzytelnościach. Zrobiłam takie rachunki. To nie jest sprawa dla referendarza i sędziego, ale ja wiem, gdzie się podziewają liczby, Niels.

Niels z trudem przełknął ślinę. Potem zebrał w sobie cały gniew i spojrzał jej w oczy.

– Już kiedyś mnie oskarżałaś o oszustwa w rachunkach! – syknął. Dokładnie trzy sekundy za wcześniej.

– Tak! – Dina mówiła już prawie szeptem i ujęła go za ramię zdecydowanym ruchem. – Ale tym razem jestem pewna!

– A jakie masz dowody? – warknął. Zaledwie niejasno przeczuwał, jak poważna jest ta sprawa.

– Na razie zatrzymam je dla siebie, Niels!

– Bo nie masz żadnych dowodów. To tylko złośliwość. Złośliwość i kłamstwo za jednym zamachem! Cały czas od tej historii z dzieciakiem Stine...

– Z dzieciakiem Nielsa – poprawiła go Dina.

– Nazywaj go, jak chcesz! Ale od tamtej pory, od tamtej pory nie mam już domu na Reinsnes. A teraz chcesz ze mnie zrobić złodzieja przed całym światem! Gdzie są dowody? – krzyczał.

Pobladła mu twarz, podbródek drżał w świetle lampy.

– Chyba rozumiesz, że nie zamierzam ujawniać ich przed tobą. Dopóki nie będę wiedziała, czy chcesz naprawić swój błąd.

– Co masz na myśli?

– Pokaż mi, gdzie są liczby zamienione na prawdziwe pieniądze! Wtedy dogadamy się co do reszty, załatwimy poręczenie na podróż do Ameryki.

– Nie mam żadnych pieniędzy!

– Masz! Oszukiwałeś nawet własnego brata na jego dziesięciu procentach od bergeńskiego frachtu. Robiłeś obliczenia podług liczb, które nie miały nic wspólnego z ładunkiem, który Anders zabrał na południe. Właśnie wtedy popełniłeś największy błąd. Obciążyleś tym własnego brata. Tak aby w razie czego wszystko wskazywało na to, że to on oszukuje. Zapomniałeś tylko, że ja znam was obydwu!

Zacisnął pięści i wyglądał tak, jakby miał zamiar zaraz okrążyć biurko rozwścieczony do granic szaleństwa.

– Siadaj, człowieku! – powiedziała Dina. – Byłoby lepiej, gdybym przyprowadziła referendarza i sierżanta i wyłożyła na stół wszystkie karty? Odpowiedz mi!

– Nie – odparł Niels. Prawie bezgłośnie. – Ale to nieprawda...

– Pokaż mi wszystkie liczby, najlepiej w postaci pieniędzy, i zrób to czym prędzej! Wydałeś je czy zakopałeś? Przecież nie umieściłeś ich w żadnym banku.

– Jak możesz tak mówić?! – rzucił Niels.

Dina uśmiechnęła się. Nieprzyjemnie. Ten uśmiech przeszył go dreszczem.

Niels zamknął wszystkie pory w swym ciele. Jakby się lękał, że Dina wkradnie się przez nie i zniszczy go od środka.

Opadł na krzesło na biurkiem. Jego spojrzenie przeniosło się bezwiednie na umywalnię. Patrzył teraz jak chłopczyk, który własnym spojrzeniem zdradza, gdzie schował konika, którego pożyczył od kolegi bez jego wiedzy.

– Zakopałeś je? Czy trzymasz pod materacem?

– Nie mam żadnych pieniędzy!

Dina utkwiała w nim wzrok. Jej oczy posuwały się naprzód niczym pług.

– Dobrze. Twój czas upływa dziś wieczorem. Wtedy poślę po referendarza! – powiedziała twardo i odwróciła się, zmierzając ku wyjściu.

Potem, jakby coś ją tknęło, błyskawicznie odwróciła się z powrotem w jego stronę.

Przyłapała jego wzrok na umywalni!

Po chwili dopiero uświadomił sobie, że jest pod obserwacją.

– A zresztą przyszedł tu, żeby przejrzeć księgi – powiedziała Dina powoli. Jak kot, który niespodzianie jeszcze raz pokazuje pazury.

Niels wstał i postarał się o to, by kroczyć z wyprostowanymi plecami.

Dina zamknęła za nim drzwi na klucz, wcale nie troszcząc, by tego nie usłyszał. Potem zakasała rękawy i zabrała się do dzieła.

Wielka umywalnia z marmurowym blatem nie chciała dać się przesunąć. Dąb i marmur. Wcielenie masywności.

Dina natarła na nią całą siłą swego potężnego ciała.

Niels krążył tam i z powrotem po składzie, gdy ona stała z otwartą puszką w ręce i liczyła pieniądze w świetle lampy.

* * *

Następnego ranka Dina jechała konno przez góry. Z karpiami dla siebie i dla konia przewieszonymi przez juki.

Niels właśnie wychodził ze składu, gdy mijąca kuźnię.

Widok tej wielkiej kobiety na koniu, spieszącej przez góry, ugodził go tak, że pociemniało mu w oczach. Wiedział, dokąd ona jedzie.

Jego jelita odmówiły współpracy od chwili, gdy usłyszał, jak Dina przetrząsa kantorek. Zawartość żołądka wylewała się oboma ujściami, Nielsowi ledwo się udawało zdążyć na czas do wychodka. Musiał pochylić się nad jednym otworem, żeby zwymiotować, siedząc jednocześnie i wypróżniając się do drugiej dziury.

Wieczorem parę razy wybierał się do sypialni, by prosić o litość. Ale nie zdołał tego uczynić.

Noc zamieniła się w puste piekło, śniły mu się trupy i katastrofy morskie.

Gdy wstał rano, namydlił siwe bokobrody i zgolił je, tak jakby to była najważniejsza rzecz na świecie.

Wciąż się zastanawiał, czy nie powinien pójść na górę i dopraszać się łaski nieugiętej Diny Grøneltv.

Nie potrafił jednak podjąć decyzji. Odkładał ją z minuty na minutę. Jeszcze w chwili gdy ujrzał, jak Dina wyjeżdża z obejścia, miał szansę to zrobić. Mógł skoczyć za nią, przytrzymać konia.

Ale nie zdołał.

Powinien był wyjechać, póki jeszcze czas! A nie zwlekać i czekać, aż miną święta, tylko dlatego, że na Reinsnes zjawił się mężczyzna, z którym można było porozmawiać jak z człowiekiem.

I ta mapa! Dlaczego tak dziecinnie wyobrażał sobie, że warunkiem wyjazdu do Ameryki jest posiadanie mapy tego kontynentu? Teraz nie ma już ani mapy, ani pieniędzy.

Zajrzał pod jakimś pretekstem do kuchni i usłyszał, jak Oline mówi, że Dina pojechała do Fagerness.

– Trudno uwierzyć, ale chce o czymś porozmawiać z referendarzem – mówiła Oline, śmiejąc się chrapliwie.

Czarna gorączka ogarnęła jego głowę. Przestał widzieć wyraźnie. Usłyszał już dudniący głos sędziego nad swoim karkiem.

Podziękował za kawę, którą postawiła przed nim Oline.

W kuchni było za jasno i za gorąco. Z trudem łąpał oddech, idąc do oficyny.

Nieco później, gdy jedna z dziewcząt zajrzała do niego, by sprawdzić, dlaczego się nie pokazuje, wymówił się złym samopoczuciem i nie wpuścił nikogo do pokoju. Kiedy dziewczyna zjawiła się ponownie po naczynia, taca z jedzeniem wciąż stała nietknięta przed drzwiami.

Służąca wzruszyła ramionami. Niels nie raz i nie dwa czuł się źle. Zachowywał się jak dzieciak pod tym względem.

* * *

Dina galopowała przez góry, wioząc całkiem sporą sumkę, którą zamierzała umieścić w banku.

Chwilami musiała sobie i wierzchowcowi zakładać karpie. Koń sam decydował o tempie, gdy wspinali się zamarzniętą i częściowo zasypaną śniegiem ścieżką.

Dina zatrzymała się na szczycie, tam gdzie przez większą część roku rzeka przetaczała się przez gardziel, by trafić z odwiecznym hukiem do rzecznej leja. Tego dnia strumień wody nie był obfity. Z krawędzi skały zwisały zielonkawe sople, tworzące zawiły wzór.

Dina spoglądała w dół, na strome zbocze, po którym kiedyś stoczyły się sanie.

Jam jest Dina. Jakuba już nie ma na dole, w wodnym wirze. Jest u mnie. Niezbyt ciężki. Tylko kłopotliwy. Ciągłe czuję jego oddech. Hjertrud nie mieszka w malinowych chaszczach na Fagerness. Tam jest tylko krzyk. Spływa prosto w ziemię, gdy ściskam maliny w dłoni. Wtedy twarz Hjertrud znów jest cała. Tak jak wiołonczeła Lorcha. Liczę za nich i wybieram za nich. Potrzebują mnie.

Wsiadła na koński grzbiet, nie przygotowując na to wierzchowca, jak to miała w zwyczaju. Koń spłoszył się i cichutko zarżał. Nie spodobało mu się tu, nad przepaścią. Nie uporał się jeszcze ze swymi wspomnieniami. Dina zaśmiała się hałaśliwie i poklepała go po karku.

– Wio! – zawołała, ściągając wodze.

To była mozolna wyprawa. Dotarła do celu dopiero późnym popołudniem. Miejscami musiała torować drogę koniowi, który zapadał się głęboko w rozmokłe zasy.

Gdy dotarła do pierwszych zabudowań, ludzie wychodzili na dwór i przypatrywali się, jak to zwykle w tych stronach.

Szybko rozpoznano Dinę z Reinsnes i jej czarnego nie osiodłanego konia. Dama w męskich spodniach. Kobiety zazdrościły jej i krytykowały ją jednocześnie. Przede wszystkim jednak umierały z ciekawości, żeby się dowiedzieć, o co chodzi, skoro zjawiała się konno w ojcowskim gospodarstwie w samym środku srogiej zimy.

Posyłała dzieciaki i parobków Dinie na spotkanie. Ale nie zmądrzeli od tego. Dina nie zapominała się przywitać, a potem jechała dalej.

Niedaleko referendarzowego obejścia zatrzymała się na chwilę, szukając znanego sobie gniazda pardwy.

Ptak nie odleciał, gdy obok niego pojawiła się zasapana Dina na zmordowanym koniu. Skulił się tylko, mrużąc oczy z nadzieją, że go nie widać.

Dina przybliżyła się jeszcze bardziej, aż zmusiła pardwę, by oddaliła się nieco po śniegu. Wtedy zaśmiała się jak dziecko i podreptała za ptakiem. Wreszcie podeszła tak blisko, że udało jej się sprowokować pardwę do gruchania i syczenia.

Bawili się w ten sposób z Tomaszem każdej zimy. Zakładali też siła.

Zimą pardwy zachowywały się jak oswojone kury w krzakach wokół Fagerness. Nie bały się ludzi, którzy je tropili.

Wiosną i latem, gdy miały młode, zachowywały się całkiem inaczej. Wtedy zaszywały swe małe ciała we wrzosech albo fruwały tuż ponad głowami ludzi, by ich przywabić i dać piskletom czas na ucieczkę.

Zawsze z tym ochryplym skrzykiem „Ke-beu ke-beu!”. Że też takie małe stworzenia umieją się zdobyć na tyle odwagi!

Dina wiedziała, że na Eide krąży niedźwiedź. Dlatego dla bezpieczeństwa ukryła na udzie fiński nóż Tomasza. Ale musiało się wydarzyć coś szczególnego, skoro miś obudził się o tej porze roku.

Referendarz trochę się przestraszył. Wyteżył swe oczy krótkowidza, gdy przez okno gabinetu usłyszał konia. Wszystko wypadło mu z rąk i wyskoczył na ganek z wyciągniętymi ramionami.

Witał ją gorąco i nie szczędził napomnień. Nie przysłała gońca! Jechała konno bez siodła po tak kiepskiej drodze! Jest już matką i wdową, a wciąż nie umie się ubrać jak kobieta!

Nawet słowem nie nawiązał do ich niezbyt przyjacielskiego rozstania po ostatniej wizycie w Reinsnes.

Wyrzekał jednak hałaśliwie na to, że przyjechała sama w środku nocy, przynosząc wstyd całej rodzinie. Może spotkała kogoś po drodze? Kogo? Czy ktoś ją poznał?

Dina ściągnęła futro i rzuciła je na podłogę koło schodów. Odpowiadała na pytania jak tajemnicza wyrocznia. Żadnych konkretnych faktów. Tylko tyle, by ojciec wyrzucił z siebie potoki słów.

– Zimno mi! Macie jakiś poncz w tym domu? Ma być gorący jak diabli! – zawołała wreszcie, by położyć temu kres.

Potem zjawiła się Dagny z chłopcami. Oscar wyciągnął się jak łodyga i zachowywał się w sposób typowy dla pierworodnych, których trzyma się w ryzach dobrego wychowania i odpowiedzialności. Już گیاł kark jak krowa i nie patrzył ludziom w oczy.

Dina wzięła go pod brodę i spojrzała mu w twarz. Jego oczy szukały ucieczki, wyraźnie chciałby się wymknąć. Ale Dina trzymała mocno. Pokiwała głową z powagą i przenosząc spojrzenie na referendarza, powiedziała:

– Za bardzo rządysz tym chłopcem. Pewnego dnia ucieknie stąd, zobaczysz. – Przyjedź do Reinsnes, jeśli będzie ci ciężko – szepnęła donośnie ponad głową chłopca.

Potem osunęła się na krzesło stojące przy drzwiach. Egil, młodszy syn referendarza, wślizgnął się między Dinę i brata.

– Oto i pan Egil Holm, dzień dobry, ileż to lat masz dzisiaj?

– Niedługo skończę dziesięć! – odpowiedział radośnie.

– To nie stój tu i nie gap się, tylko ściągnij mi but, to zobaczymy, czy gangrena już zaatakowała moje przemaznięte stopy!

Egil ciągnął jak prawdziwy kawał chłopca. But zsunął się i chłopiec wylądował na ścianie. Młodszy brat był niski i ciemny, starszy za to wysoki i jasny. A i usposobienie mieli zupełnie różne.

Bezgranicznie szczerą miłość Egila dla Diny usuwała w cień wszystko i wszystkich. I nieuchronnie prowadziła do kłótni i bójek z Beniaminem, gdy tylko się spotykali.

Dina nigdy się w to nie mieszała.

Dagny z trudem tolerowała uczucia, które jej syn żywił do Diny. Uprzejmie bąknęła jednak po nosem, że gdyby Dina uprzedziła ją o swojej wizycie, kazałaby przygotować uroczysty obiad.

– Nie przyjechałam na uroczysty obiad, tylko w interesach! – wyjaśniła Dina.

Dagny przełknęła jakoś tę hardą uwagę, która ją ubodła. Nie mogła się pozbyć nieprzyjemnego wrażenia, że Dina zawsze się z niej śmieje i że uważa za idiotkę.

Rumieniec ponizenia oblał policzki Dagny, gdy Dina zabrała poncz i referendarza do gabinetu.

Za zamkniętymi drzwiami Dina wyłożyła swoją sprawę. Chce ulokować pieniądze w banku.

Referendarz założył ręce i westchnął, ujrawszy gruby plik banknotów, który liczyła przed jego nosem.

– Skąd masz te wszystkie pieniądze? – zapytał prawie bez tchu uroczystym tonem urzędnika, nie spuszczając wzroku z banknotów. – Między porami rozliczeń handlowych? W samym środku wyprawy na Lofoty, przed frachtem do Bergen? Czy córka referendarza trzyma gotówkę w komodzie w dzisiejszych czasach?

Dina roześmiała się... Nie chciała jednak zdradzić, skąd ma pieniądze. Powiedziała tylko, że to rezerwa, o której nie wiedziała aż do wczoraj...

Sama nie chciała się pokazywać w banku. To poniżej jej godności chodzić tam z kopertą wypchaną banknotami. Ojciec musi to za nią załatwić. I niech dobrze pilnuje dowodu wpłaty aż do przyjazdu do Reinsnes. Jedną trzecią ma złożyć na nazwisko Hanny, jedną trzecią na Beniamina, a jedną trzecią część na nią...

Referendarz postanowił zająć się sprawą. Potraktował to zadanie z należytą powagą. Ale nie chciał słyszeć o tym, żeby zapisywać tyle pieniędzy laponiskiemu bękartowi! Czy nie wystarczy, że Dina trzyma to dziecko z łaski, razem z Laponką, co to niby jest jego matką, że zapewnia im wikt, opierunek i dach nad głową? Nie może przecież na dodatek wyrzucać w błoto takiej sumy.

Dina uśmiechnęła się, ale jej oczy już mu wyrzywały wąsiki z wściekłości.

Dzięki temu referendarz szybko zrozumiał, że wszystkie jego wysiłki zdadzą się na nic. Ale wiercił się z ciekawości jak dziecko przed Wigilią, chcąc się dowiedzieć, skąd pochodzą pieniądze.

Gdy już siedzieli przy wieczerzy, padło pytanie:

– Chyba nie sprzedawałaś klipra albo ziemi?

– Nie – odpowiedziała lakonicznie i spojrzała nań ostrzegawczo. Zgodzili się co do tego, że sprawa zostanie między nimi.

– Dlaczego o to pytasz? – wtrąciła się Dagny.

– Tak sobie... Człowiekowi różne rzeczy przychodzą do głowy.

– Próbowałam z niego wyciągnąć, ile byłby skłonny zapłacić za Reinsnes – odpowiedziała Dina spokojnie, wycierając usta wierzchem dłoni. Ten gest miał rozbawić chłopców i zirytować Dagny.

Referendarza wizyta Diny wprawiła w dobry nastrój. Opowiadał ze swadą o sprawie, którą miał na wokandzie w Tromsø, Uważał, że sędzia zbyt poważnie traktuje referendarzy z prawniczym wykształceniem, tych żółtodziobów, co to pochodzą z południa i nie mają pojęcia o ludziach i życiu na północy. A nie szanuje się już starych wyg, którzy dobrze znają swój powiat i ludzkie dusze.

– Chyba nic w tym złego, że ludzie mają wykształcenie – powiedziała zaczepnie Dina. Dobrze wiedząc, że właśnie w ten sposób następuje referendarzowi na odcisk.

– Nie. Chodzi o to, że oni nie rozumieją, że wiedza może pochodzić również z doświadczenia i mądrości!

– odparł urażony referendarz.

– Może za dużo gadasz i sprawa rozmywa się w słowach – powiedziała Dina, puszczając oczko do Dagny.

– On naprawdę próbował pogodzić strony – odparła Dagny.

– A o co chodzi w tej sprawie? – zapytała Dina.

– O niechrześcijański wyrok – prychnął referendarz.

– Biedną wdowę ukarano dwoma miesiącami więzienia w Trondheim za to, że wzięła kwiecistą chustę, trzy serki i trochę pieniędzy z domu, w którym była na odrobku! Złożyłem zażalenie u asesora w Ibestad. Na sędziogo i na świadków. Ale tamci weszli w komitywę z oskarżycielem.

– Uważaj, to potężni wrogowie – zaśmiała się Dina. Referendarz spojrzał na nią dotknięty.

– Traktują biedaków jak bydło. A starych, uczciwych referendarzy jak robactwo! Takie czasy nastały, mówię ci, takie czasy. Nikt już nie wie, co to szacunek.

– Fakt – zgodziła się Dina i ziewnęła bez ceremonii. – A mój ojciec nie ma na sumieniu niesprawiedliwych wyroków?

– Nie, na Boga i króla!

- Oprócz wyroku na Dinę?
- Wyroku na Dinę?
- Tak.
- Jakiego wyroku?
- Za Hjertrud!

Jedzenie stanęło wszystkim w ustach. Pokojówka wycofała się w stronę drzwi kuchennych. Ściany i sufit podtrzymywały się nawzajem.

– Dino, Dino... – powiedział referendarz zmatowiałym głosem. – Mówisz takie dziwne rzeczy.

– Nie, dziwne rzeczy przemilczam.

Dagny odesłała chłopców od stołu i sama podążyła za nimi. Referendarz i Dina z Reinsnes zostali sami pod kryształowym żyrandolem. Zamknęły się drzwi, przeszłość zabolęła jak rozjątrzona rana.

- Dziecka nie można oskarżać – powiedział ciężko referendarz, nie patrząc na nią.
- Dlaczego zostałam oskarżona?
- Nikt cię nie oskarżył.
- Ty to zrobiłeś!
- Ależ, Dino...

– Odesłałeś mnie stąd. To wyrok. Byłam nikim. Aż do chwili, gdy sprzedałeś mnie Jakubowi. Na szczęście on był człowiekiem. Chociaż ja się stałam wilczątkiem.

– Co też ty opowiadasz! Sprzedałem! Jak możesz...

– Bo to prawda. Przeszkadzałam ci. Byłam niewychowana. Gdyby pastor cię nie upomniał, to po dziś dzień dołabym krowy i kozy w Helle. Myślisz, że nie wiem? I ty się litujesz nad obcymi ludźmi, którzy kradną chusty i pieniądze! Wiesz, co jest napisane w czarnej księdze Hjertrud o takich jak ty?

– Dino!

Referendarz wstał tak gwałtownie, że aż zadzwoniły sztućce i przewróciły się szklanki.

– A wściekaj się! Ale nie wiesz, co jest napisane w księdze Hjertrud. Jesteś referendarzem, ale nic nie wiesz! Zbierasz maluczkich, którzy ciebie nie znają. Zęby powiesić ich sobie na łańcuszku od zegarka. Zęby wszyscy widzieli, że referendarz Holm z Fagerness jest sprawiedliwy.

– Dino...

Referendarz skulił się nagle nad stołem i pobladł pod zarostem. Osunął się elegancko na krzesło, zanim klapnął na ziemię. Jego nogi i tułów zgięły się jak składany nóż ze zbyt słabą śrubą.

Dagny pojawiła się w drzwiach lotem strzały. Zapłakała, obejmując leżącego na podłodze męża. Dina posadziła go na krześle, podała mu swoją szklankę z wodą i wyszła z jadalni.

Referendarz szybko wrócił do siebie. To serce mu zaczęło kołatać za szybko, tłumaczył się zawstydzony.

Wszyscy razem zjedli deser, spóźniony o godzinę, w spokoju i zgodzie.

Referendarz, wciąż w kiepskiej formie, sprowadził córkę ze strychu głośnym, proszącym wołaniem, trzymając się przy tym poręczy.

Chłopcy gapili się na Dmę z podziwem, który mieszał się z przerażeniem, gdy ta zeszła na dół i usiadła przy stole.

Chłopcy nie powinni słuchać, nie powinni patrzeć. Ale tego dnia po raz kolejny zobaczyli, jak Dina ukarała ojca za jego gniew. Dowiedzieli się, że od tego się nie umiera. Wręcz przeciwnie. To referendarz wylądował na podłodze.

Dagny nieustannie zmieniała wyraz twarzy w obecności Diny. Na referendarza patrzyła jak młodziutki jaskier rosnący nad strumykiem. Gdy zaś odwracała się ku Dinie, wyglądała jak gnijący wodorost.

*Jam jest Dina. Moje stopy wrastają w ziemię, gdy stoję pośrodku
łagodnej zimowej nocy i widzę, jak księżyc toczy się po niebie
Hjertrud. Księżyc ma twarz. Oczy, usta, nos. Jeden policzek trochę
zapadnięty. Hjertrud ciągle stoi nad moim łóżkiem i płacze, kiedy
jej się wydaje, że śpię. Ale ja nie śpię. Idę po niebie i liczę gwiazdy,
bo chcę, by mnie zauważyła.*

Gdy Dina przyjeżdżała z wizytą na Fagerness, zabawiała się przestawianiem sprzętów. Ustawiała je na ich dawnym miejscu. Tam gdzie stały przed rządami Dagny.

Dagny przetykała i to. Znała Dinę od lat. Nie chciała, by tamta triumfowała, doprowadziwszy ją do irytacji. Zaciśkała więc zęby i czekała na wyjazd gościa.

Tym razem nie trwało to długo – tylko do następnego poranka. Potem burcząc pod nosem przebiegła pokoje, by ustawić wszystko na właściwym miejscu. Skrzynkę z przyborami do szycia przeniosła z palarni do gabinetu. Portret rodziny Hjertrud z jadalni do sieni na poddaszu.

Dina powiesiła go na miejscu porcelanowego półmiska z portretem księcia Oskara i niebiesko-żółtym brzeżkiem.

Niech Bóg ma w swojej opiece każdego, kto by wszedł Dagny w drogę albo komentował jej poczynania.

Nieco później, gdy referendarz sięgnął po swoje popołudniowe cygareto i spodziewał się wreszcie spokoju bez żadnych zakłóceń, Dagny nie powstrzymała się od uwagi:

– Trzeba doprawdy nie mieć rozumu, by zachowywać się tak nietaktownie i bezwstydnie jak Dina!

– No, no... O co ci chodzi tym razem?

Miał już dość kobiecych humorów. Zupełnie ich nie rozumiał. Wolał nic o tym nie wiedzieć, wolał nie stawać po żadnej stronie. A jednak wymusiła na nim to pytanie.

– Ona ci urąga! Zepsuła cały obiad! Przeszawia przedmioty, jakby wciąż tu mieszkała. Eksponuje rodzinę Hjertrud, żeby mnie upokorzyć – powiedziała Dagny piskliwie.

– Dina ma trudny charakter... Ale na pewno nie ma złych intencji...

– O co jej w takim razie chodzi? Referendarz westchnął i nie odpowiedział.

– Bogu dziękuję, że mam tylko jedną córkę – zamruczał pod nosem.

– Ja także! – syknęła Dagny.

– Dość już tego, Dagny!

– Tak. Następnym razem przyjedzie jak chłopak stajenny, okrakiem, na oklep przez całą wieś i będzie się zachowywać, jakby do niej należało to gospodarstwo! I jeszcze raz doprowadzi cię do palpitacji serca!

– To się nie zdarza często...

– Bogu dzięki!

Referendarz podrapał się po głowie i zabrał fajkę do gabinetu. Nie potrafi już utrzymać dyscypliny w domu. Wstyd mu było, że nie umie usadzić własnej żony na odpowiednim miejscu, żeby wreszcie w domu zapanował spokój. Czuł, że się starzeje, że nie może już tego wszystkiego znieść. A jednocześnie nie mógł nie przyznać, że wizyta Diny wniosła świeży powiew do tego domu. Był rad, że może jej oddać przysługę! Nikt inny tylko on. Dina mimo wszystko jest córką referendarza. Jasne, że jej pomoże! Poza tym to wcale nie najgorsze mieć kogoś, przy kim można powrzeszczeć i powścikać się od czasu do czasu. Inni są tak cholernie wrażliwi!

Referendarz westchnął, zapadł się w swój wielki bujany fotel, odłożył fajkę na stół i chwycił tabakierkę.

Tabaka zawsze rozjaśniała mu umysł. A właśnie snuły mu się po głowie myśli, które miał ochotę sprecyzować. Tylko nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać.

To miało coś wspólnego z nieszczęsną Hjertrud... Co też ta Dina powiedziała? Co takiego było napisane w tej księdze?

ROZDZIAŁ DRUGI

NIE WIDZĘ GO, CHOCIAŻ PRZECHODZI:
MIJA, A DOSTRZEC NIE MOGĘ.
KTO MU ZABRONI, CHOĆ ZNISZCZY?
KTO ZDOŁA POWIEDZIEĆ „CO ROBISZ?”

(Księga Hioba, 9, 11-12)

Cisza wznosiła się jak mur, gdy Dina wróciła do domu.

W oficynie migotał niespokojny płomyk. Biała poświata na niebieskawym śniegu. W oknie wisiało prześcieradło. Śmierć zagościła na Reinsnes. Cień za oszronionym oknem. Tomasz odciął go ze sznura. Została tylko końcówka liny. Długo dyndała u sufitu.

Niels znalazł jakąś szparę między belkami sufitowymi i podłogą poddasza. Chyba nieźle się namęczył, przepychając linę przez wążutką szczelinę.

A potem się powiesił.

Nie zdobył się na to, by opuścić ciepłą oficynę i zachować się tak jak inni ludzie, którzy noszą się z tego rodzaju zamiarem. Nie powiesił się na strychu w cumowni. Tam z łatwością znalazłby odpowiednią belkę.

Postanowił spędzić ostatnią chwilę w ciepłe pieca. Pod dachami przystani byłoby zbyt samotnie, zbyt wysoko. Tam pod gościnnym sklepieniem starczyłoby miejsca dla mnóstwa ciał.

A więc Niels powiesił się niedaleko pieca. Na belce sufitu, który był tak niski, że ledwo starczyło miejsca, by dorosły mężczyzna zadyndał swobodnie.

Mimo to wcale nie stanowił przerażającego widoku, gdy tak wisiał. Nie miał przewróconych oczu ani wywalonego języka. Tylko kolor skóry zmienił się.

Trudno było nie zauważyć, że głowa Nielsa straciła kontakt z resztą ciała. Broda skierowana była ku podłodze. Ciało dyndało lekko w prawo i w lewo. Chyba dość długo.

Tomasz wpadł do izby z sercem łomoczącym jak maszyna parowa.

Stary dom zaczął się chybotać, więc Niels musiał kołysać się razem z nim. Ciemna grzywka przesłaniała mu czoło. Jakby wypił o jeden kieliszek za dużo. Miał zamknięte oczy. Ramiona zwisały mu bezwładnie.

Dopiero teraz odsonił, kim naprawdę był. Bardzo samotnym sprzedawcą, który miał wiele tajemnych marzeń. Który wreszcie podjął decyzję.

Niels leżał na drewnianym skrzydle drzwi na stole jadalnym do czasu, gdy udało im się przygotować trumnę.

Anders był na Lofotach. Ale już posłano mu wiadomość.

Johan czuwał przy marach razem ze Stine. Pilnowali świec przez całą noc.

Stine wciąż rzucała się z rozpaczą na zwłoki Nielsa. Nie zwracała uwagi na wchodzących. Nie zauważyła nawet Matki Karen, która przy ku stykała, by położyć swą szczupłą dłoń na jej ramieniu i zapłakać. Nie zwracała też uwagi na Johana, który co jakiś czas czytał fragmenty *Biblii*.

Spoglądała na morze swymi ciemnymi oczami dzikiej kaczki. Policzki Stine straciły zwykły złocisty kolor. Z nikim nie dzieliła się swymi myślami. Tego dnia, gdy odcięto ze stryczka Haninego ojca, Stine powiedziała do Johana zaledwie kilka słów:

– Ty i ja jesteśmy mu chyba najbliźsi, więc powinniśmy go obmyć.

Gdy Dina weszła do pokoju, w zamyśleniu przyjrzała się twarzy Nielsa, tak jakby oceniała zwierzę, z którego kupna właśnie zrezygnowała. W jej wzroku nie było jednak niechęci.

Zebrawi się wszyscy mieszkańcy Reinsnes. Na ich twarzach malowała się bezsilność i niedowierzanie, podszyte szczerym przerażeniem i lekkimi wyrzutami sumienia.

Dina pokiwała bez słowa głową nad ostatnimi myślami Nielsa, które wciąż bezradnie krążyły po pokoju. W tym skinieniu wyraziła się jej ostateczna aprobata.

* * *

Johan musiał użyć całej swej przemysłnej elokwencji, by przekonać Matkę Karen, że można pochować Nielsa w poświęconej ziemi. Pomimo jego wielkiego grzechu wobec Boga i ludzi.

– Jeśli nie zechcą pochować go na kościelnym cmentarzu, pogrzebiemy go w ogrodzie – oświadczyła krótko Dina.

Johan zadrżał, słysząc te słowa, a Matka Karen zapłakała cicho i szczerze.

Niels trafił do poświęconej ziemi z wielu powodów. Po pierwsze, trzeba było odwlec pogrzeb o sześć tygodni, niezależnie od tego, czy miał spocząć w boskiej czy ludzkiej dziedzinie. Ziemię skuł bowiem siarczysty mróz, jakiego nawet najstarsi nie pamiętali. Każda grudka ziemi była twarda jak granit.

Po drugie, według oficjalnej wersji, Niels po prostu zmarł. Rozmowy pastora i Johana ze sobą wzajem i z Bogiem miały spore znaczenie dla tej sprawy.

Poza tym pogrzeb odsunął się w czasie tak bardzo, że najgorsze plotki już zdążyły przycichnąć. Niels dostał tyle miejsca za kościołem, ile mu było potrzeba. W ciszy.

Wszyscy wiedzieli, że się powiesił, przesunąwszy sznur przez wążutką szparę między belkami w oficynie na Reinsnes. Na nowiutkiej konopnej linie, którą Anders sprowadził z Rosji, a może z Trondheim albo jeszcze skądinąd. Wszyscy jednak wiedzieli również, że właściciele Reinsnes mają swoje sposoby na załatwienie różnych spraw i sporą władzę.

Stine zaczęła mówić do Hanny: „To się zdarzyło na trzy tygodnie przed śmiercią twego ojca...” albo: „To było tej zimy, kiedy zmarł twój ojciec”.

Za życia Nielsa nigdy nie wspominała o jego ojcostwie, teraz natomiast wykorzystywała najmniejszą okazję, by podkreślić, kim był ojciec Hanny. I osiągała zadziwiające rezultaty.

Niewiele czasu minęło, a wszyscy uznali, że biedna Hanna straciła ojca i że Stine została z osieroconym dzieckiem.

Niels swoją śmiercią dał jej zadośćuczynienie, czego nie zdołał uczynić, gdy był jeszcze w pobliżu.

Dina zdradziła to i owo. Ludzie słyszeli jej słowa i złożyli z nich taką oto prawdę:

Niels zmienił zdanie ostatnimi czasy. Poprosił Dinę, by umieściła w banku pewną sumę, którą odłożył na zabezpieczenie przyszłości Hanny. Ta wieść rozeszła się szybciej niż majowy pożar traw. Po zakończeniu połowów na Lofotach nie było żywej duszy, która by o tym nie słyszała.

Ludzie zrozumieli, że Niels wcale nie był taki zły. I że należy mu się miejsce u Boga Ojca. Mimo że sam wziął sprawy w swoje ręce.

* * *

Wreszcie pewnego dnia kliper powrócił z wyprawy na Lofoty, przywożąc niezły zarobek. Ale Anders posiwiął i zmizerniał.

Poszedł prosto do sypialni Diny, żeby się dowiedzieć, jak to wszystko się stało.

– On nie mógł tak po prostu tego zrobić, Dino!

– A jednak to zrobił – odparła.

– Ale dlaczego? Jak mogłem mu pomóc?

Objął Dinę i wtulił w nią twarz. Stali tak dosyć długo. Jak nigdy przedtem.

– Myślę, że musiał to zrobić – powiedziała Dina mrocznym głosem.

– Nikt nie musi!

– Niektórzy muszą! – orzekła Dina.

Ujęła jego głowę w dłoń. Spojrzała mu przeciągle w oczy.

– Powinienem... – zaczął Anders.

– Cicho! To on powinien! Każdy sam musi brać odpowiedzialność za swoje życie!

– Jesteś surowa, Dino.

– Jeden musi się powiesić, inny musi być surowy – powiedziała Dina, cofając się.

ROZDZIAŁ TRZECI

CZŁOWIEK UCZYNNY DOZNA NASYCENIA,
OBFITOWAĆ BĘDZIE, KTO BLIŹNICH NAPOI.

(*Księga Przysłów, 11, 25*)

Matka Karen trzymała w swej bibliotece szczególną książkę. Autorstwa pewnego starosty z Drammen, Gustava Petera Bloma, pod dostojnie brzmiącym tytułem *Hovedmatruculeringskommisar*. Autor opisywał swoją podróż przez ziemie na północy. W książce można było znaleźć pouczające wiadomości o jej mieszkańcach, a w szczególności o Lapończykach.

„Lapończycy nie znają uczucia cierpienia ani żałoby”, a „mieszkańcy północy są zabobonni zapewne z powodu swej zależności od żywiołów i natury” – twierdził pan Blom.

Matka Karen nie rozumiała, na czym miałyby polegać zabobonność ludzi, którzy składają swój los w ręce Boga i bardziej wierzą naturze niż fałszywym obietnicom swych bliźnich. Nie nadarzyła się jednak sposobność, by przedyskutować tę sprawę, więc Matka Karen po prostu przyjęła to do wiadomości.

Pan Blom nie sądził, by w podbiegunowych okolicach można było spotkać wiele oświeconych i kulturalnych istot. Okazywał też szczególne niezadowolenie z wyglądu Lapończyków.

Matka Karen pomyślała, że chyba nigdy nie widział Stine z Reinsnes. Nie mówiła jednak tego na głos. Wrzuciła po prostu książkę gdzieś za rząd innych tomów. Gdyby przypadkiem właśnie Stine kiedyś ścierała tu kurze.

Matka Karen zwiedziła kawał świata ze swym mężem. Morze Śródziemne, Paryż, Brema. Wiedziała, że ludzie są nadzy w obliczu swoich bogów, dźwigając nowe grzechy, niezależnie od tego, skąd pochodzą.

Matka Karen zatroszczyła się osobiście o to, by nauczyć Stine czytać i pisać, gdy się okazało, że dziewczyna tego nie potrafi.

Stine uczyła się szybko. Jakby przytykała do ust kielich i piła z niego wiedzę. Matka Karen wypowiedziała także wojnę Oline. I po długim obłężeniu przekonała ją, że Stine ma wrodzony talent do zarządzania wielkim domem.

Krok za krokiem Stine potwierdzała swą nieodzowność i zyskiwała należny jej respekt, podobnie jak Oline i Tomasz.

Poza Reinsnes była jednak wciąż biedną Laponką, którą zaopiekowała się Dina. Nawet to, że Dina pozwoliła jej trzymać Beniamina do chrztu w kościele, nie mogło zmienić tutejszych poglądów na Laponki.

Teraz wszyscy szeptali, że Stine rzuciła urok na Nielsa. Na Reinsnes świetnie chowały się wszystkie zwierzęta i kurczęta, a tymczasem gospodyni, która kiedyś wypędziła Stine z Tjeldsundu, niespodziewanie zmarła. Tak się mściła Laponka za to, co ją spotkało.

Stine rzadko opuszczała Reinsnes. Przemieszczała swe żylaste ciało między izbami z bezgłośną energią.

Była tak przepehciona żalem, że musiała ciągle szukać jakiegoś zatrudnienia dla tego ciała, by w wolnej chwili nie załamało się.

Dziedzictwo przodków kryło się w mięśniach Stine. Jej spokojne, płynne ruchy przejmowały dziewczęta, które przyuczała do pracy.

Bardzo rzadko ujawniała swoje myśli. Twarz i oczy niosły mroczne przesłanie: mogą przebywać z tobą w jednym pokoju, ale nie mam ci nic do powiedzenia.

Wysokie kości policzkowe i śpiewny akcent zdradzały jej pochodzenie. Niosła w sobie rytm płaskowyżu i rzeki. Ale nie nosiła już lapońskich ubiorów, skórzanych latem, a futrzanych zimą. U jej pasa wisała jednak ciemna skórzana pochwa z nożem i nożyczkami, mosiężne pudełko na igły i mosiężne kółka, tak samo jak owego dnia, w którym pojawiła się na Reinsnes, by karmić Beniamina.

Pewnego dnia Dina zapytała, skąd Stine pochodzi. Laponka opowiedziała swe krótkie dzieje. Że urodziła się w rodzinie szwedzkich Lapończyków, którzy stracili wszystkie renifery w lawinie śnieżnej jeszcze przed jej urodzeniem. Że wędrowali długo po szwedzkiej stronie. Chwyтали dzikie renifery, polowali, łowili ryby.

A potem o ojcu i dziadku zaczęły krążyć złe plotki. Że kradną cudze stada.

Cała rodzina musiała przenieść się za granicę.

Potem osiedli w lepiance w Skonii, zdobyli łodzie i zajęli się rybołówstwem. Ale Lapończycy, którzy stracili swe renifery i żyją z łowienia ryb, nie mają dla siebie szacunku.

Dla Norwegów stali się ubogimi „Lapończykami z nizin”, nie wpisano ich nawet do rejestru ludności.

Stine opuściła dom i zaczęła zarabiać na chleb w wieku lat dwunastu. Pilnowała stodoły w gospodarstwie na południu. Wszystko się skończyło, gdy pewnego dnia urodziła martwe dziecko. Nie mogli oskarżyć jej o to, że zamordowała niemowlę. Ograniczyli się więc do oskarżeń o cudzołóstwo.

Gospodarz był dla niej dobry. Ale gospodyni nie chciała więcej oglądać lapońskiego ścierwa. Stine musiała stamtąd odejść. Z piersiami rozsadzonymi przez nadmiar mleka i z krwawymi skrzepami między udami.

– Kobiety często rozrywają ludzi na strzępki, które potem rozrzucają na wietrze. A za chwilę jadą do kościoła! – skomentowała Dina.

– Od kogo to usłyszałaś? – zapytała Stine z wahaniem w głosie.

– Od referendarza.

– Na Reinsnes nie ma takich kobiet – powiedziała Stine.

– Nie, ale tutejsi mężczyźni nie są referendarzami! – orzekła stanowczo Dina.

– Twoja matka taka była?

– Nie! – odparła Dina i szybko wyszła z pokoju.

Każda pora roku wiązała się dla Stine z określonymi rytuałami. Wypłatanie brzozywych koszyków, tkanie serwetek, zbieranie ziół na leki i farby. W jej pokoju pachniało lasem, wełną i świeżą wonią dziecięcych ciał.

Miała własne półki w szafce. Stawiała tam swoje wywary do przestygnięcia. Albo po to, by zyskały klarowność, zanim przeleje je do butelek. W których będą czekać na odpowiednią chwilę.

Odkąd Nielsa odcięto ze stryczka, Stine zamieniła się w dwie ręce do pracy. Na długo.

Pewnego wieczoru Dina wezwała ją do siebie. Późno, gdy już wszyscy poszli spać, Stine zapukała do sypialni i wręczyła swej pani mapę Ameryki.

– Już dawno chciałam to oddać, ale jakoś nie wychodziło – powiedziała.

Dina rozłożyła mapę na łóżku i pochyliwszy się, zaczęła jej się uważnie przyglądać.

– Wcale nie wiedziałam, że to ty masz mapę Nielsa. Nie o tym chciałam rozmawiać... Miałas pojechać razem z nim?

– Nie! – twardo rzekła Stine.

– Skąd więc miałaś tę mapę?

– Wzięłam ją. Przecież nie wyjechałby bez mapy!

Dina usadowiła się wygodniej i pochwyciła spojrzenie Stine.

– Nie chciałaś, żeby wyjechał?

– Nie.

– Dlaczego chciałaś, żeby tu został?

– Dla Hanny... – szepnęła.

– A gdyby cię poprosił, pojechałabyś z nim do Ameryki?

W pokoju zapadła cisza. Odgłosy z całej reszty domu przytrzasnęły obie kobiety jak pokrywka, umieszczona krzywo na cynowym skopku. Obie tkwiły w środku tego skopka. Zamknięte razem. I każda sama ze sobą.

Stine zaczęła podejrzewać, że w tym przesłuchaniu chodzi o coś więcej niż o zwykłe wypytywanie.

– Nie – odparła żałośnie.

- Dlaczego nie?
 - Bo wolę być na Reinsnes.
 - Ale moglibyście mieć tam lepsze życie.
 - Nie.
 - Myślisz, że to dlatego stało się, co się stało? – zapytała Dina.
 - Nie...
 - Dlaczego on to zrobił, jak myślisz? Dlaczego się powiesił?
 - Nie wiem... Właśnie dlatego przyniosłam tę mapę.
 - Ja wiem, dlaczego on to zrobił, Stine. I to nie ma nic wspólnego z tobą!
 - Ludzie gadają, że rzuciłam na niego śmiertelny urok.
 - Ludzie plotą bzdury – prychnęła Dina.
 - Ale czasami się zdarza... że ludzie mają rację.
 - Nie!
 - Jesteś tego pewna?
 - Miał inne powody i tylko ja o nich wiem. Nie mógł tu zostać.
 - Dlatego, że chciał dostać ciebie? – zapytała Stine zniechęta.
 - Chciał dostać Reinsnes. Tylko to go ze mną łączyło, Stine.
- Ich oczy się spotkały, Dina pokiwała głową.
- Umiesz rzucać czary, Stine?
 - Czy ja wiem... – odpowiedziała prawie bezgłośnie.
 - Więc może jest nas więcej – rzekła Dina. – Ale niech ludzie sami się pilnują, prawda?

Stine wlepiła w nią wzrok.

- Naprawdę tak myślisz?
- Tak!
- To znaczy, że rozumiesz... że są takie moce?...
- Oczywiście, że są! Jak byśmy sobie bez nich poradzili?
- Ja się tego boję.
- Boisz się... Dlaczego?
- Bo to... diabelskie moce...
- Diabeł nie zajmuje się głupstwami. Zapytaj Matkę Karen.
- To nie głupstwo, że Niels się powiesił.
- Martwisz się o Nielsa? – zapytała Dina.
- Sama nie wiem, co zrobiłam.
- Nie przestajemy się martwić o ludzi, nawet jeśli się już powiesili.
- Nie, chyba nie.
- Myślę, że twoja troska może wybawić Nielsa od tego wszystkiego, może go wybawić od samego siebie. Więc chyba nie na próżno się powiesił.
- Naprawdę tak myślisz?

– Tak. A Niels zrobił w każdym razie jedną rzecz. Dlatego kazałam ci przyjść. Włożył pieniądze dla Hanny do banku. Ty jesteś jej opiekunką. Starczy na podróż do Ameryki.

– Boże drogi – wymamrotała Stine, wpatrując się w kratkę na swoim fartuchu. – Słyszałam, jak ludzie o tym gadają, ale myślałam, że kłamią, oni zawsze na mój temat kłamią. Co mam zrobić z pieniędzmi? – szepnęła po chwili.

– Nie będziecie musiały iść na żebrzy, jeśli jakiś diabeł zamieszka na Reinsnes – odpowiedziała Dina z naciskiem.

– Na Reinsnes nigdy nie było diabła – z powagą odparła Stine. A potem znów się zamknęła w sobie. Podniosła się powoli, by już odejść. – Pewnie pomyślał o Hannie, zanim to zrobił...

– Pomyślał chyba także o tobie.

– Nie powinien był tego robić! – oświadczyła Stine z niespodziewaną siłą.

– Nie powinien ci dawać pieniędzy?

– Nie, nie powinien się wieszać.

– Być może nie znalazł żadnego innego sposobu, żeby wam coś dać – powiedziała Dina suchym tonem.

Stine przełknęła ślinę. A potem się rozpromieniła. Rozdzieliły je ostrożnie zamknięte wielkie drzwi z rokokowymi, szacownymi rzeźbieniami i mosiężną gałką.

* * *

Zdarzyło się coś, co Matka Karen zwała „wiosennym cudem”.

Powtarzało się co roku, od tej wiosny, gdy Stine przestała karmić Beniamina. Zaczęło się od tego, że Stine wysledziła przewodnika stada edredonów, które miały swe gniazda na wypałach i skałach w głębi zatoki. Dowiedziała się, że można nieźle zarobić, zbierając puch tych kaczek.

Stine umiała nawiązać kontakt z naturą. Własnymi rękami zbudowała schronienie dla edredonów. Związała gałęzie jałowca w taki sposób, by utworzyły naturalny namiot. Karmiła ptaki, rozmawiała z nimi.

Dbała przede wszystkim o to, by nikt im nie przeszkadzał, by nikt nie kradł im jajek.

Całe setki kaczek ścigały na pobliskie plaże i w okolice domu wiosna za wiosną. Wydziobywały sobie puch z piersi i wyścielały nim gniazda.

Cały powiat gadał o tym, jak Laponka pielęgnuje edredony. A sumy, które zarabiała na puchu z gniazd opuszczanych przez ptaki, gdy już wylęły się pisklęta, rosły niebotycznie.

Dochody były już tak duże, że Stine otworzyła rachunek w banku. Najwyraźniej wybierała się do Ameryki, żeby się tam osiedlić.

Od czasu do czasu inne kobiety próbowały robić to samo, co Stine. Ale bez rezultatu. Laponka rzuciła urok na edredonowe kaczkę z całego powiatu. Przylatywały tylko do Reinsnes! Ona z pewnością dobrze zna swoje rzemiosło, twierdzili wszyscy znający się na rzeczy.

W okresie lęgowym wszędzie sterczały łebki edredonowych kaczek. Któregoś roku jedna z samiczek weszła do starej kuchni przez otwarte drzwi i umościła sobie miejsce za wielkim piecem.

Oline i Stine zaczęły drzeć koty o to, co jest najważniejsze w okresie lęgowym: czy używanie pieca, czy spokój samiczki.

Oline przegrała tę walkę, choć padło niewiele słów.

Gdy wysłała parobka do kuchni, każąc mu przesunąć gniazdo i rozpaścić w piecu, Stine pojawiła się lotem strzały. Chwyliła chłopaka mocno za ramię, powiedziała parę słów po lapońsku, a jej oczy ciskały błyskawicę za błyskawicą.

To wystarczyło. Chłopak wrócił do Oline błądy i wielce roztrzęsiony.

– Nie chcę, żeby rzuciła na mnie urok! – oświadczył.

W ten sposób sprawa została zakończona.

Drzwi do ogrodowej kuchni i drzwiczki pieca stanęły otworem, by samiczka mogła wchodzić i wychodzić w poszukiwaniu pożywienia.

Coś się ruszało za każdym pagórkiem i pod każdym najmniejszym daszkiem.

Stine zaczynała zbierać puch, gdy tylko ptaki złożyły już wszystkie jaja i zabierały się do wysiadania. Jej spódniczki fruwały między gniazdami.

Nie wybierała całego puchu za jednym zamachem. Wyskubywała tylko trochę tu i ówdzie.

Czasami spotykały się dwa spojrzenia ciemnych oczu. Jej ciemnobrązowe tęczy i czarne, okrągłe ślepie ptaków. Kaczki leżały sobie spokojnie, gdy Stine wyskubywała puch z obrzeża gniazd.

Gdy odchodziła, kwoki poprawiały się nieco, prostowały przez chwilę skrzydła i na nowo umieszczały pod nimi jaja. Potem pospiesznie wydziobywały trochę puchu z piersi, by uzupełnić wyściółkę tam, gdzie naruszyła ją Stine.

Podczas tych kwietniowych i majowych tygodni Stine miała pod opieką całe setki udomowionego ptactwa. Kaczki wracały do niej rok w rok. Przylatywały i te, które wylęły się na Reinsnes. Wiosenny cud przybierał coraz większe rozmiary.

Gdy już wykluły się pisklęta, Stine niosła w fartuchu zmierzwione kłębuszki puchu w stronę morza. Żeby pomóc kaczkom uchronić maleństwa przed krukami.

Samiczki z całym spokojem przyjmowały tę pomoc. Dreptały chybotliwie tuż za piętami Stine, skrzecząc przy tym hałaśliwie. Jakby zasięgały jej opinii co do wychowania dzieci.

Stine siedziała na skałach i czuwała nad każdą małą rodziną aż do chwili, gdy ta cała w komplecie płynęła już po wodzie. Samce dawno oddaliły się w swoją stronę. Ku morzu, ku wolności. Samiczki znów zostawały same. Stine dzieliła z nimi tę samotność.

A maleńkie puchowe kuleczki pokrywały się piórami całkiem innego koloru, uczyły się zdobywać pożywienie. Jesienią odchodziły.

Tymczasem puch znikał z koszy, a po oczyszczeniu trafiał do pierzyn, które wkrótce miały popłynąć do Bergen.

Puch edredonowy był wielce poszukiwany. Zwłaszcza przez kupców z Hamburga i Kopenhagi.

Anders nie pilnował zbyt dokładnie swego procentu w wypadku Stine. Szczerze mówiąc, nie brał nic za transport i pośrednictwo.

Oczy Stine coraz wyraźniej przypominały okrągłe, wilgotne ślepia opuszczonych kaczek, gdy samce znów odfruwają na pełne morze.

Obawiała się, że zjawią się kruki i zniszczą nowe życie, za które właśnie ona jest odpowiedzialna.

Stine nie wiedziała, że w książce matki Karen można przeczytać, iż „Lapończycy nie znają uczucia cierpienia i żałoby”.

ROZDZIAŁ CZWARTY

BO OTO MINĘŁA JUŻ ZIMA,
DESZCZ USTAŁ I PRZESZEDŁ
NA ZIEMI WIDAĆ JUŻ KWIATY,
NADSZEDŁ CZAS PRZYCINANIA WINNIC
I GŁOS SYNOGARLICZY JUŻ SŁYCHAĆ W NASZEJ KRAINIE.

(Pieśń nad Pieśniami, 2, 11-12)

Dina poleciła przybić gwoździami luźne deski podłogowe w kantorku. Na wszelki wypadek przykazała służącej odsuwać toaletkę podczas sprzątania w każdą środę.

Niels nachodził ją tylko od czasu do czasu. Przeważnie wówczas, gdy się zastanawiała, czy listy frachtowe są kompletne albo czy nie zapomniała o czymś ważnym. Także wtedy, gdy widziała Hannę biegnącą na bosaka po podwórku, z Beniaminem tuż za plecami.

Niels stawał czasami przed nią i nie chciał odejść. Wtedy raz jeszcze musiały sprawdzać listy. Aż była całkiem pewna, że wszystkie szczegóły i kolumny cyfr się zgadzają.

Czasami zmuszał ją, by go wyręczyła, biorąc osieroconą dziewczynkę na kolana.

Niels przydawał się czasami, gdy siadywała w bujanym fotelu w kantorku. Ale nie był niezbędny.

Dina nauczyła się przygotowywać zamówienia i spisywać codzienne rachunki. Zlikwidowała wszystkie stare brudy, które nagromadziły się z biegiem lat. Uporządkowała półki i szafki. Wyjaśniła sprawy nie zapłaconych rachunków.

Posłała wiadomość wszystkim, którzy, jej zdaniem, byli w stanie spłacić kredyty i ostrzeżenie tym, co wstydziło się starych długów i już nie przyjeżdżali do Reinsnes na zakupy przed żniwami czy połowami. Jechali raczej do Tjeldsund albo gdzie indziej.

Jej ostrzeżenie było jednoznaczne: jeśli będą załatwiać swoje sprawy na Reinsnes w dobrych chwilach, ona zatroszczy się, by mieli z czego żyć, kiedy przyjdą złe dni. Jeśli zaś ktokolwiek zobaczy ich ze skórą albo rybą gdzie indziej, ona już zadba o to, by ściągnąć wierzycelności.

Metody Diny szybko zadziały.

W głównym budynku zrobiło się tłoczno. Za każdą ścianą, w każdym łóżku coś się ruszało.

O każdej porze dnia i nocy Dina spotykała kogoś, kto załatwiał swoje sprawy w wychodku, w kuchni czy w innym miejscu, do którego zaglądała.

Najgorsze były te wszystkie kobiety. Snuły się wszędzie nieustannie. Krzątały się, dziergały, trajkotały, zmieniały się co chwila i wprowadzały mnóstwo zamieszania. A jednocześnie były niezastąpione.

Wszystko to rozzłościło Dinę.

Postanowiła, że doprowadzi do porządku oficynę i przeprowadzi się tam.

– Wtedy Johan będzie mógł zająć sypialnię i przenieść tu wszystkie książki – powiedziała Andersowi.

On pierwszy dowiedział się o jej planach. Został jej ważnym sprzymierzeńcem.

Anders wybrał się do Namsos, żeby kupić wszystkie materiały potrzebne do budowy kajuty na barkasie.

Ku przerażeniu ogółu wrócił do domu, holując całą tratwę wypełnioną materiałami. Dzięki swym stosunkom kupił wszystko okazjijnie, a drewno było w pierwszorzędnym gatunku.

Na początku tylko on został wtajemniczony w zamiary Diny, cała reszta doznała szoku, gdy się okazało, że ma ona zamiar wyremontować nieszczęsną izbę, w której powiesił się Niels.

Oline wybuchnęła płaczem. Jej zdaniem oficynę trzeba by zrównać z ziemią i zapomnieć o niej. Tyle tylko, że do tej pory nie głosiła swej opinii. Uczyniła to dopiero teraz.

– Czy chodzi o to, że jakaś żywa istota ma się wprowadzić do tego nieszczęsnego domu? Matka Karen na pewno się tam nie przeniesie. W białym domu nie brakuje pokoi! – wyrzekała Oline.

Dina i Anders tłumaczyli, pokazywali rysunki. Opowiadali o szklanej werandzie, którą dobudują od strony morza. Będzie można tam usiąść w ciszy i spokoju, żeby popatrzeć na ostrygojada kroczącego dumnie przez pole, by złapać kilka glist wiosną o poranku. Opowiadali o kominie, który zostanie na nowo wymurowany. O nowych oknach, które się wstawi od południowego zachodu.

A co najważniejsze, uświadomili wszystkim, że to Dina ma się wprowadzić do oficyny.

Ta nowina wcale nie uspokoiła Oline. Roniła łzy nad Diną. I nad małym Benjaminem, który miał zamieszkać z matką w tym domu śmierci.

– A żeby piorun spalił ten dom! Zęby zmiotł go z tej ziemi! – wyklinała szczerze.

Wówczas wkroczyła Matka Karen. Nikomu nie wolno rzucać takich przekleństw. Oline musiała odwołać te niechrześcijańskie życzenia i obiecać, że poskromi swój język. Skoro Dina twierdzi, że zamieszka w oficynie, to pewnie jest w tym jakiś sens. Młodzi potrzebują dla siebie trochę czasu i przestrzeni. Dina ma mnóstwo obowiązków i spraw do przemyślenia. Na temat gospodarstwa, handlu, rachunków.

Matka Karen wynajdywała mnóstwo powodów.

Ale Oline ciągle psioczyła. Uważała, że Dina może sobie myśleć o liczbach i obowiązkach w kantorku. I basta!

Z czasem Dina straciła cierpliwość i powiedziała prosto z mostu, że nie zamierza radzić się służby w sprawie rozbudowy domu. Ta zatruta igła utkwiła w piersiach Oline. Ugięła się natychmiast, ale nigdy tego nie zapomniała!

Dina już dawno temu zamówiła kolorowe szybki do oszklenia werandy w Trondheim i biały kafłowy piec w Hamburgu.

Przeznaczyła na ten cel pieniądze zaoszczędzone przez Nielsa, które referendarz dostarczał jej z banku w miarę potrzeby.

W ten sposób urządziła oficynę także dla Nielsa. Nie miał powodu do narzekań.

Sparę między belkami sufitowymi i podłogą strychu kazała uszczelnić. Na wyraźne życzenie Matki Karen, która nie miała ochoty przypominać sobie śmierci tego nieszczęśnika przy każdej wizycie w oficynie.

Robotnicy i kosiarze potrzebowali wikt i opierunku. Oline miała więc pełne ręce roboty.

Ale nie panikowała. Wcale się nie spieszyła. Niech lepiej trochę zgłodnieją, czekając pół godzinki na dobre jedzenie, niżby mieli jeść resztki i spaleniznę.

Oline postanowiła, że śniadanie będzie podawane skoro świt, o piątej rano.

Jeśli ktoś nie stawił się, gdzie trzeba, gdy gong kuchenny wybijał swe trzy uderzenia, próżno czekał następnych porcji na stole.

– Gdy talerze znikają ze stołu, to i jedzenie znika! – oznajmiała, spoglądając srogo na nieszczęśnika, który musiał iść do pracy o suchym pysku.

Ani Matka Karen, ani Dina nie mieszały się do żelaznej dyscypliny wprowadzanej przez Oline. Dzięki niej bowiem znaczna część dziennych obowiązków była naprawdę wykonana na długo przed zmierzchem.

Zdarzało się, że przychodzili do pracy ludzie nie nawykli do tak surowego systemu, którzy prosili o zwolnienie i znikali.

Wtedy Oline mówiła oschle:

– I bardzo dobrze, że wiatr zabiera ze sobą przegniłe siano!

* * *

Pewnego dnia, gdy Dina stała na wzgórzu flagowym i liczyła szczyty górskie razem z Hanną i Beniaminem, przyплыł „Książę Gustaw”. Nowy sprzedawca wypłynął łódką na wiosłach, żeby przywieźć pocztę i towary.

To on! Ubrany jak marynarz. Z workiem i torbą. Z niewidoczną na razie twarzą.

Łódka zbliżała się do przystani, a parowiec zagwizdał i popłynął na północ.

Dina pociągnęła Beniamina za czuprynę i policzyła błyskawicznie szczyty na północy. Wymieniła ich wszystkie nazwy. Bardzo szybko, wlokąc przy tym dzieci za sobą kamienistą ścieżką wiodącą do domu. Pozbyła się ich z miną osoby, która ich nigdy przedtem nie widziała.

Pobiegła na górę, do sypialni. Nie mogła znaleźć żadnej sukni. Żadnej szczotki do włosów. Potknęła się o dywan.

A oficyna nie była jeszcze gotowa na przyjęcie gości, których chciała mieć tylko dla siebie!

On tymczasem poszedł prosto do niebieskiej kuchni Oline. Jego głos przenikał w górę schodów, przez otwarte drzwi. Wkradał się w sam środek uszu. Jak mirra z księgi Hjertrud.

Pozdrowiła go jak przyjaciela domu, w obecności wszystkich innych. Ale Oline i dziewczęta wiedziały swoje. Niewielu gości Dina obejmowała na powitanie. Wszystkie się odwróciły i znalazły sobie jakieś zajęcie, choć zadbały o to, by w każdej chwili kręcić się gdzieś niedaleko. Stine przywitała się z gościem i poleciła, by odświętnie nakryto stół. Johan i Anders weszli do sieni, trzymając marynarski wór i torbę Żukowskiego. Zrzucili bagaże koło schodów prowadzących na strych i weszli do salonu.

Anders wetknął głowę w drzwi Oline i zapytał, czy nie można by czegoś podać na powitanie.

Johan zawołał z sieni. Pytał o pogodę podczas podróży i o zdrowie, wieszając przy tym płaszcz.

Zjawiły się dzieciaki, które także rozpoznały przybysza. Dwie małe myszki harcujące tuż koło norki, bacznie zważające przy tym, czy kot nie wybiera się na polowanie.

Wokół stołu toczyła się ożywiona rozmowa.

– Gdzie więzień? – spytała nagle Dina.

Dwoje zielonych i dwoje błyszczących jak lód oczu spotkało się w pół drogi.

– Unieważniono ułaskawienie – odparł Leo, przyglądając się jej badawczo. Jakby zdziwił się, że ona pamięta jeszcze o więźniu.

Siedział niedaleko Diny. Pachniał smołą i słonymi wiatrami.

– A dlaczego? – zapytała.

– Bo postąpił jak szaleniec i rzucił się na wartownika z kłodą drewna.

– Trafił?

– Tak, ale tylko częściowo – odpowiedział i puścił oko do Beniamina, który siedział i słuchał z otwartymi ustami.

– Jaki więzień? – zapytał odważnie Beniamin, podkradając się do kolan gościa.

– Cicho! – powiedziała łagodnie Dina.

– Taki jeden, którego miałem zabrać ze sobą do Vardøhus w drodze powrotnej na północ – odpowiedział Leo.

– A co on zrobił?

– Straszne rzeczy – powiedział Leo.

– Co takiego? – Beniamin się nie poddawał. Choć spojrzenie Diny paliło go tak, jakby nieostrożnie dotknął pieca.

– Zabił swoją żonę siekierą.

– Siekierą?

– Siekierą.

– Cholera! – powiedział Beniamin. – Dlaczego?

– Chyba był zły. Albo ona stanęła mu na drodze? Kto wie? – Leo nie wiedział, co począć z tą młodzieńczą ciekawością.

– Czy zabrałbyś go tutaj ze sobą, gdyby nie rąbnął wartownika tą kłodą? – zapytał Beniamin.

– Nie – oparł Leo z powagą. – Nie przywozi się tu takich gości. Wtedy musiałbym jechać dalej.

– No to dobrze się złożyło, że go uderzył?

– Dla mnie nie najgorzej. Ale dla niego – bardzo niedobrze.

– Czy on wygląda tak jak inni ludzie? – dociekał chłopiec.

– Gdyby się umył i ogolił.

– A co robił, zanim zabił?

– Nie wiem.

– A co się z nim teraz stanie?

– Musi zostać tam, gdzie jest, bardzo długo.

– Czy tam jest gorzej niż w Vardøhus?

– Tak powiadają – oparł Leo.

– Myślisz, że on to zrobi jeszcze raz? Że kogoś zabije?

– Nie – odpowiedział Leo, wciąż zachowując głęboką powagę.

– Niels się powiesił! – powiedział nagle Beniamin, patrząc prosto w twarz wielkiemu mężczyźnie.

Blizna prześwitywała na niebiesko przez szarość skóry.

– Ale Tomasz mówi, że minęło już dobre dziesięć lat od poprzedniej śmierci na Reinsnes – kontynuował Beniamin. – Wtedy umarł Jakub – dorzucił kompetentnie.

Chłopak stał na samym środku pokoju i wodził wzrokiem po twarzach dorosłych. Jakby szukał wyjaśnienia. Cisza dyszała mu prosto do ucha.

Spojrzenie Diny nie wróżyło nic dobrego. Jej spódnica zaszeleściła złowieszczo, gdy zbliżała się ku niemu niby kliper w sprzyjającym wietrze.

– Zabierz ze sobą Hannę i idźcie się bawić – powiedziała Dina złowróźnie łagodnym głosem.

Beniamin chwycił Hannę za rękę. I już ich nie było.

– Nie, Nielsa już nie ma między nami – powiedziała Matka Karen, która niepostrzeżenie weszła do izby.

Zaciskając dłoń na srebrnej gałce laski, ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. Potem znów się odwróciła i mozolnie przeszła przez pokój, by podać rękę Rosjaninowi. Podniósł się jak lunatyk i ustąpił jej miejsca.

– Ale dla nas życie toczy się dalej. Witamy pana na Reinsnes!

Popłynęła opowieść. Ujęta w proste słowa. Przykryła wszystkie twarze warstewką kurzu.

Matka Karen wzięła na siebie to zadanie. Czasami pomiędzy zdaniem rozlegało się westchnienie. Czasami: „Mój Boże!...”

– Ale dlaczego? – zapytał Leo z niedowierzaniem. Patrzył prosto na Dinę.

Stine cicho weszła i wyszła. Anders podniósł do twarzy dwie brązowe dłonie podobne do dwóch wydrążonych kadłubów. Johan siedział z zaciśniętymi wargami i błędzącym spojrzeniem. Matka Karen pobłogosławiła nieszczęsnego Nielsa.

– Dlaczego on to zrobił? – powtórzył Leo.

– Niezbadane są wyroki Boże – odparła Matka Karen.

– To nie był boski wyrok, Matko Karen. Tylko wolna wola Nielsa. Nie powinniśmy o tym zapominać – powiedział cicho Johan.

– Żaden wróbel nie spadnie na ziemię bez wiedzy ojca waszego – upierała się Matka Karen.

– Tak, masz rację, droga Matko Karen – zgodził się Johan.

– Ale dlaczego on to zrobił? Co się z nim stało? Dlaczego nie chciał dłużej żyć? – powtórzył Leo.

– Może nie miał po co żyć – powiedział Anders. Zardzewiałym głosem.

– Każdy ma tyle, ile potrafi dojrzeć, więc chyba coś przestąpiło wzrok Nielsowi – powiedział Johan.

Leo wodził wzrokiem od jednego do drugiego. Nie próbował nawet ukryć wzruszenia. Nagle wstał, oparł się o brzeg stołu i odchrząknął, jakby zamierzał wygłosić mowę. I zaczął śpiewać.

Smutną, obcą melodię. Żal wypływał z niego jak z dziecka. Odrzucił głowę do tyłu, coś ścisnęło go za gardło, ale nie przestawał śpiewać. Długo. Co chwila powracał refren:

*Zgasto już słońce, co świeciło
Na błękit morza wieczorna spadła mgła.
Ach, powiej, wietrze, z całej siły,
Ocean mroczny niech swe fale gna.*

Nikt nigdy nie widział i nie słyszał niczego podobnego. Przybył tu, by pomóc im przebrnąć przez wszystko, co skrywali przed sobą nawzajem całymi tygodniami. Przekłęte, samotne pytanie: „Czy to moja wina?”.

* * *

Po posiłku Dina i Leo pojechali na przejażdżkę, ścigani zrezygnowanym spojrzeniem Tomasza.

Wiosenne światło wisiało nad nimi jak ostry nóż aż do późnego wieczoru.

– Jeździcie razem konno, ty i Tomasz? – zapytał Leo.

– Tak, czasami.

Tu i ówdzie leżały jeszcze połacie śniegu.

Dina skierowała konia na ścieżkę wiodącą przez góry.

– Czy Tomasz jest tu od dawna?

– Tak. Dlaczego pytasz?

– Ma psie oczy.

– Och – zaśmiała się Dina. – Ma trochę dziwne oczy: jedno niebieskie i jedno brązowe... Jest pracowity. Można na nim polegać.

– Nie wątpię. Ale ma taki sam wyraz oczu jak Niels, gdy na ciebie patrzy...

– Daj już spokój z tym Nielsem! – syknęła Dina i puściła się galopem po stromym zboczu.

– Doprowadzasz mężczyzn do szaleństwa! – zawołał Leo za nią.

Dina się nie odwróciła. Nie odpowiedziała. Dogonił ją i chwycił jej wodze. Szatan spłoszył się i stanął dęba z przeraźliwym rzeniem.

– Puść! Koń tego nie lubi! – powiedziała Dina. Głos zabrzmiał tak, jakby był w niej zamknięty całymi godzinami.

– Wiesz, dlaczego Niels musiał umrzeć? – spytał Leo natarczywie.

– Tak, powiesił się! – burknęła i wyrwała mu się.

– Twarda jesteś!

– A co chcesz usłyszeć? Że to ja go doprowadziłam do śmierci, bo go nie chciałam? Naprawdę sądzisz, że to był powód?

Rosjanin nie odpowiedział. Umilkli i skryli się w sobie.

Jam jest Dina. Dlaczego przywiozłam tu postać Hjertrud? Czy po to, by zobaczyć czas i miejsce? Żeby zobaczyć sanie w rzeczonym wirze? A kiedy już zobaczy, czy zaniemówi?

Gdy dotarli na szczyt skały, z której spadł Jakub w saniach, Dina wstrzymała konia i powiedziała:

– Cały czas byłeś w Trondheim?

– Nie.

– To gdzie byłeś? Nie przysłałeś nawet słówka.

Zeskoczyła z konia i puściła go swobodnie. Leo poszedł jej śladem, zanim odpowiedział.

– Myślałem, że wrócę na północ o wiele wcześniej.

– A skąd?

– Z Bergen.

– Co tam robisz, Leo? Czy tam też masz jakąś wdowę?

– Nie. Żadnej wdowy w Bergen. Żadnej wdowy w Trondheim. Żadnej wdowy w Archangielsku. Tylko tu, na Reinsnes.

Dina nie odpowiedziała.

Szatan zarzął niespokojnie i przysunął się do Diny. Wsunął pysk w jej włosy.

– Dlaczego on jest taki niespokojny? – zapytał Leo.

– Nie lubi tego miejsca.

– Tak? Dlaczego? Boi się szumu wodospadu?

– Jakub spadł tu w przepaść. Ja zostałam z koniem na krawędzi.

Leo odwrócił się i popatrzył na nią badawczo.

– To było prawie dziesięć lat temu, jak powiedział Benjamin?

– Tak, koń się zestarzał. Niedługo będę musiała kupić nowego.

– To musiało być straszne...

– Z pewnością nie było to nic przyjemnego – odparła lakonicznie i nachyliła się nad przepaścią.

– Kochałaś Jakuba? – zapytał Rosjanin po chwili.

– Czy kochałam?

– Tak. Z tego, co wiem, był o wiele starszy od ciebie?

– Starszy niż mój ojciec.

Leo przyglądała się jej z ciekawością i zdziwieniem, aż wreszcie zapytała:

– Kogo spośród napotkanych ludzi człowiek kocha? Powinieneś to wiedzieć, skoro tyle podróżujesz.

– Chyba bardzo niewiele...

– Skoro masz odwagę pytać mnie, czy kochałam Jakuba, to chyba możesz mi powiedzieć, kogo ty kochasz spośród ludzi, których spotkałeś.

– Kochałam moją matkę. Ale ona już nie żyje. Nigdy nie zdomowiła się w Rosji. Ciągle tęskniła za Bergen. Za morzem... Poza tym miałem żonę między dwudziestym a dwudziestym trzecim rokiem życia. Ale i ona mnie odumarała.

– Czy widzisz ją teraz?

– Jeśli chodzi ci o to, czy o niej myślę... Tak, czasami. Na przykład teraz... Bo o to pytasz. Ale nie kochałem jej tak, jak powinienem. Nasze rodziny uznały, że dobra z nas będzie para. A ja byłem tylko nieodpowiedzialnym studentem medycyny i radykałem, wolałem wkładać się w łaski artystów i bogatych szarlatanów, którzy się trzymali carskiego dworu. Studiowałem i piłem wino... Wygłaszałem polityczne przemówienia i...

– Ile masz lat?

– Trzydzieści dziewięć – uśmiechnął się. – Uważasz, że jestem stary?

– To nie zależy od wieku.

Leo roześmiał się głośno.

– Pochodzisz z arystokratycznej rodziny? Bywałeś na dworze? – pytała.

– Próbowałem.

– A dlaczego się nie udało?

– Bo zmarł Puszkina.

– Ten poeta?

– Tak.

– Dlaczego zmarł?

– Zginął w pojedynku. Chodziło o zazdrość, jak wszyscy mówili. Ale w gruncie rzeczy padł ofiarą intrygi politycznej. Rosja gnije od środka. Uderza to we wszystkich. Puszkina był wielkim artystą, ale miał małych ludzi wokół siebie.

– Mnie on sam wydaje się trochę mały – rzekła Dina.

– Wszyscy jesteśmy maluczcy, gdy w grę wchodzi miłość.

Dina obrzuciła go szybkim spojrzeniem i powiedziała:

– Mógłbyś zastrzelić kogoś z zazdrości?

– Nie wiem. Może...

– Gdzie trafiła kula?

– W podbrzusze.

– Kiepskie miejsce – rzekła oschle.

– Nie okazujesz tak łatwo współczucia, Dino – rzucił w przytywie irytacji.

– Co masz na myśli?

– Jak na kobietę, nieźle znosisz rozmowy o cierpieniu i śmierci. Gdy mówisz o swym zmarłym mężu. O Nielsie... I teraz o Puszkynie. To nietypowe.

– Nie znałam tego Puszkina.

– Nie, ale znałaś innych...

– A czego się spodziewasz?

– Odrobiny współczucia w kobiecym głosie.

– To właśnie kobiety oporzędają umarłych. Mężczyźni kładą się po prostu i umierają. Trudno zapłakać nad idiotyczną raną w podbrzuszu, odniesioną w pojedynku. Zresztą nasi mężczyźni nie odchodzą w taki sposób. Nasi toną.

– Albo wieszają się. Również na północy kobiety płaczą.

– To nie moja sprawa.

Nie tylko słowa były odpychające.

– Twoja matka także nie żyje? Umarła nagle? – ciągnął Leo, jakby nie słyszał jej ostatnich słów.

Dina pochyliła się i podniosła całkiem spory kamień. Zamachnęła się i rzuciła kamieniem z wielką siłą.

– Wylało się na nią wiele litrów wrzącego ługu – oświadczyła Dina, nie patrząc na Rosjanina. – Dlatego właśnie referendarz kazał zrównać z ziemią pralnię na Fagerness i wolałby, bym mieszkała na Reinsnes przez całe życie.

Dina zagwizdała na konia, wkładając dwa palce między zęby.

Leo stanął, zwiesiwszy ręce. Gdzieś w jego zielonych oczach zrodziła się nagle bezgraniczna czułość.

– Wiedziałem, że coś się za tym kryje... Ta scena z twoim ojcem podczas ostatniej Wigilii. Nie żyjesz z nim w zgodzie, Dino?

– To on nie żyje w zgodzie ze mną!

– Mówisz jak dziecko.

– A jednak to prawda.

– Opowiedz swoją historię.

– Najpierw ty opowiesz swoją – odparowała Dina pośpiesznie. Ale po chwili powiedziała: – Co byś zrobił, gdyby twoje dziecko poruszyło mechanizm powodujący opróżnienie gara z ługiem? Co byś zrobił, gdyby twoja żona odeszła z tego świata, zanim zdołałeś okazać jej trochę miłości po wielu latach zamęczenia?

Leo podszedł do niej. Objął ją ramionami. Przytulił do siebie. Pocałował twardo i mocno.

Wodospad grał jak kościelne organy. Niebo skryło konia. Jakub zmienił się w anioła. Bo zjawił się nowy posłaniec Hjertrud.

– Podkreślasz różne rzeczy w swoich książkach, to nie wygląda ładnie – powiedziała Dina niespodzianie, gdy już zjeżdżali w dół po stromiźnie. Leo błyskawicznie opanował zdziwienie i odparł:

– Śledzisz ludzi. Przeszukujesz torby i książki.

– Tak. Jeśli nie chcą powiedzieć, kim są.

– Przecież powiedziałem...

– O Puszkynie, którego uwielbiasz jak jakiegoś boga. Obiecałeś, że mi go przetłumaczysz.

– I tak zrobię.

– Z tej książki, którą mi dałeś.

– Nie dałem ci jej. Wzięłaś ją sobie! Dostałaś tę drugą.

– Miałaś dwie takie same książki. Jedną z podkreśleniami i jedną bez. Mnie się podobała ta z podkreśleniami.

– Dobrze poinformowana – skomentował Leo, jakby mówił do siebie.

Dina odwróciła się, siedząc na końskim grzbiecie, i spojrzała na niego zaczepnie.

– Musisz chyba lepiej swoich rzeczy pilnować!

– Tak, masz rację. Ta książka naprawdę była ważna... – powiedział, zatrzymując się niespodziewanie.

– Komu dajesz rosyjskie książki tu, w naszym kraju?

– Na przykład tobie.

– Ja musiałam sama wziąć sobie książkę, którą chciałam mieć...

– Nie krępujesz się niczym – powiedział sucho Leo.

– Nie.

– Dlaczego wzięłaś książkę z podkreśleniami?

– Dlatego że właśnie ta była dla ciebie najważniejsza!

Leo się nie odezwał. Dina go pokonała.

– Masz ze sobą tę drugą książkę?

– Nie.

– A gdzie ona jest?

– Ukradła ją pewna wdowa.

– W Bergen?

– W Bergen.

– Jesteś zły.

– Tak. Jestem zły.

– Przyjdiesz dziś wieczorem do sypialni, żeby mi przetłumaczyć swoje ulubione fragmenty z książki Puszkina?

– Czy to wypada?

Wtedy Dina się roześmiała, a jej ciało podskakiwało na końskim grzbiecie w rytm jazdy po stromej drodze. Siedziała po męsku. Uda obejmowały zdecydowanie i miękko końskie boki, biodra kołysały się w takt ruchów zwierzęcia.

Mężczyzna zapragnął, by już nadeszło lato. Precz z zimą. Wtedy przywiązałby konia do drzewa.

Leo odjechał na trzeci dzień. Dina znów zaczęła krążyć po nocach. A wiosna borykała się ze swymi problemami.

ROZDZIAŁ PIĄTY

NIE BĘDZIESZ ODSŁANIAŁ NAGOŚCI SWOJEJ MACOCHY, BO TO JEST
NAGOŚĆ TWOJEGO OJCA.

(Księga Kapłańska, 18, 8)

Kobiety na Reinsnes miały wiele wspólnego z tamtejszymi kliprami. Wszystkie stały na tym samym brzegu. Gdy jednak wyruszały na morze, każda miała własne przeznaczenie. Własny ładunek. Własny sposób żeglowania.

Na kliprach byli jednak kapitanowie, a kobiety same wciągały żagle na wietrze. Nie słuchając nikogo i okazując swą indywidualną władzę.

Niektórzy sądzili, że Stine potrafi zaklinać wiatry. Inni uważali, że Dina sprzymierzyła się ze złymi siłami. Czy inaczej siadywałaby w zimowe noce w przysypanej śniegiem altanie, ubrana w wilcze futro, by popijać wino w blasku księżycyca?

Jeszcze inni twierdzili, że na razie na Reinsnes panuje równowaga między dobrymi i złymi siłami. Ale jeśli zabraknie Matki Karen, dojdzie do katastrofy.

Starsza pani kurczowo trzymała się życia. Patrzyło się na nią jak na jaśniejącą, miękką korę brzoźową. Biel nakrapiana ciemnymi plamkami na skórze. Stine codziennie

układała włosy staruszce. Dzięki cotygodniowemu płukaniu w jałowcu włosy nabrały złotawego odcienia. Grzebień zanurzał się w nich jak w jedwabiu.

Wydatny, lekko zakrzywiony nos podtrzymywał szkielek monokla. Matka Karen czytała codziennie przez trzy godziny. Czasopisma, książki, nowe i stare listy. Uważała, że na starość trzeba dbać o sprawność umysłu.

Po obiedzie uciniała sobie drzemkę w fotelu na biegunach, z kocem z gręplowanej wełny na kolanach. Kładła się spać razem ze służbą, wstawała z piejącymi kogutami. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Ale nie robiła wokół tego zbyt wielkiego szumu, gdy już zamieszkała w pokoju za jadalnią i nie musiała chodzić po schodach.

Matka Karen była przeciwna planom rozbudowy i remontu oficyny. Skoro jednak Dina nie dała za wygraną, skoro pojawili się rzemieślnicy, starsza pani zmieniła zdanie.

W oficynie prace remontowe trwały tak długo, aż wreszcie budynek zmienił się w wypolerowany klejnocik.

Tego dnia, gdy zakończono wszystkie prace i wniesiono rzeczy Diny, Matka Karen przemierzyła podwórko, by zobaczyć to na własne oczy.

Zdecydowała, że dom trzeba pomalować na kolor ochry, framugi okienne i ornamenty – na biało.

Dina przystała na to. Oficyna będzie koloru ochry! Wystarczy już jednego wielkiego białego domu w obejściu. No a przecież oficyna nie może wyglądać jak czerwona stodoła.

Najpiękniejsza była nowa przeszklona weranda z widokiem na morze. Z gontami w kształcie smoków i kolorowymi szybami. Z podwójnymi drzwiami i szerokimi schodami. Niewidoczna dla mieszkańców innych budynków.

– Przeszklona weranda z podwójnymi drzwiami od południowego zachodu! Trzeba będzie nieźle podkładać do pieca w tych przeciągach! – orzekła Oline. – A te paprocie i różane drzewko nie przetrzymają jednego zimowego dnia!

– Co za megalomania – powiedział referendarz, zajrzawszy do oficyny. – Przeszklona weranda nie pasuje do tego dachu – powiedział z uśmiechem.

Anders wziął stronę Diny. Uważał, że to bardzo wygodny domek.

– Tak czy inaczej, lepiej siedzieć na werandzie niż w altanie w środku zimy – powiedział, puszcżając oko do Diny. Nazwał wreszcie słowami narowy Diny.

Matka Karen przyniosła pędy swego najodporniejszego geranium, by upiększyć okna w nowej bawialni.

W dniu przeprowadzki siedziała w fotelu na biegunach i z uśmiechem przyglądała się wszystkim wspaniałościom. Nawet słowem nie wspomniała, że w tej oficynie umarł Niels.

– Szkoda, że Jakub tego nie może zobaczyć, Dino! Mój Boże! – wykrzyknęła, klasnąwszy w ręce.

– Jakub widzi, co widzi – orzekła Dina i nalała wiśniówki do dwóch kieliszczyków.

Mężczyźni już sobie poszli, zrobiwszy, co do nich należało. Zostały tu same. Anette rozpałała ogień w piecu. Dym rozsnuł się łagodnie ponad dachem, a potem wymknął się nad wody zatoki. Wyglądał jak mały płat polarnego mchu pośród ogromu połaci nieba.

– Oj, musimy zawołać Oline i Stine! – powiedziała starszuszka.

Dina otworzyła nowe okno i krzyknęła przez podwórko. Wkrótce były już razem. Cztery kobiety pod belkami oficyny.

Oline zerkała na powalę, z której odcięto Nielsa.

– Pojawił się tu jakiś inny zapach – zauważyła, obracając mały kieliszczyk w swych mocnych palcach.

– Pachnie świeżym drewnem. I trochę gryzie dym z nowego pieca – rzekła Stine.

– A to dopiero cudo! Biały piec! Chyba nikt w całym powiecie nie ma białego pieca! – powiedziała Oline z dumą w głosie.

Dina nie ogołociła sypialni z mebli. Nie zabrała baldachimowego łoża. Przypadło w udziale Johanowi. Owalny stół z krzesłami, który przywiozła na Reinsnes Matka Karen, zajął natomiast poczesne miejsce w bawialni. Meble pasowały do jasnej tapety i zielonej jak liście boazerii. We wnętrzu wkomponowało się także zwierciadło z półeczką i srebrny kandelabr.

Dina chciała zamówić latem nowe meble w Bergen.

Beniaminowi i Hannie zdradziła, że chce kupić sekretarzyk z tajemnymi skrytkami na złoto, srebro i drogie kamienie.

Postanowiła też sprowadzić szerokie, wygodne wdowie łóżko.

Kuchnię wyposażono w niezbędne sprzęty. Nikt nie wierzył, że Dina będzie tu cokolwiek robić, wszyscy zachowywali to jednak dla siebie.

Wiolonczele znalazły swoje miejsce w bawialni. Obie. Dina z ponurą miną przенiosła je własnoręcznie przez rozświetlone słońcem podwórze.

Gdy kieliszki były już puste, Dina otworzyła drzwi werandy i usadowiła się z wiolonczelą Lorcha między udami.

Odwrócona plecami do tamtych, twarzą zaś do morza, grała polonezy. Za kolorowymi szybkami werandy. A morze czerwieniło się, złociło, błękitniało i zieleniło, zależnie od tego, przez którą szybkę na nie spoglądała. Świat bez przerwy zmieniał barwy.

Na krzesłach w bawialni siedziały kobiety z Reinsnes i słuchały splótszy ręce na kolanach. Po raz pierwszy wszystkie jednocześnie porzuciły swe zajęcia, by wspólnie się czemuś oddać.

Jam jest Dina. On przechadza się po moich świeżo pomalowanych pokojach. Pochyla głowę nad stołem i słucha wiolonczeli Lorcha. Po lewej stronie sterczy mu kosmyk włosów, tak bujny, że wygląda, jakby wszystkie włosy wytryskiwały z jednego punktu, by potem opaść brązowymi wodospadami na całą głowę. Jego włosy są jak woda z lodowca, która zmieniła się w jedwabiste nitki po drodze do morza. Pryska mi prosto w oczy.

Leo!

Jest jak dawne myśli, które ciągle powracają. Jakbym stała pod stodołą w Helle i grzała sobie stopy w świeżych krowich plackach w późnojesienny dzień. Gdy on przechadza się po pokoju, ogarnia mnie zdziwienie, że potrafię się poruszać, wydawać dźwięki, czuć wiatr we włosach. Albo stawiać nogę przed nogą. Skąd pochodzi cała ta energia? Skąd pochodzą wszystkie życiodajne soki, cała wilgoć? Wszystko, co się rozpoczyna świeżością, by zamienić się na końcu w ohydne, lepkie, śmierdzące tarcze. A kamień? Kto dał kamieniowi tę nieugiętą siłę? By mógł leżeć tam na wieki! A powtórzenia! Kto decyduje o wszystkich powtórzeniach? O dźwiękach, które zawsze powtarzają się w ten sam sposób. Liczby w nieskończonych, rządzących się ścisłymi prawami szeregach. Zorza polarna wędrująca po niebie! Po ścieżkach, których nie rozumiem. Ale one układają się w system. Pełen zagadek. Gdy on, ze swym sterczącym kosmykiem, przechadza się po moich pokojach, nachodzi mnie zdziwienie, ale nietrudno mi je dźwigać. On wypędza ich wszystkich. Bo zobaczył przepaść. Usłyszał historię Hjertrud. A jednak przemówił.

Czy tu powróci?

Kim jestem? Kim jest ta, która nosi w sobie te wszystkie myśli? Czy jestem Dina? Która robi to, co chce?

Dźwięki wiolonczeli rozlegały się w oficynie nocami. Dina zaczęła się kurczyć w sobie jak zimowy kartofel, przychwycony przez mróz.

Pierwsza dostrzegła to Oline swymi jastrzębimi oczami. I powiedziała prosto z mostu: spadło na nią przekleństwo za to, że zamieszkała w tym domu śmierci. Nie uchroni się przed karą ten, kto chodzi pod takimi belkami. Nie wystarczy rzucić trochę płótna i tapety czy chlapnąć farbą na taki straszny grzech. On będzie tam zawsze. Amen!

Wszyscy jednak zauważyli, że przekleństwo działa na Dinę jeszcze w inny sposób. Wypełniała swe dni pracą jak zniwiarze. Wstawała o świcie. A długo po północy można było dostrzec cienie za jej oknami i usłyszeć muzykę z przeszklonej werandy.

Tomasz żył w okowach codziennych obowiązków na Reinsnes. Czuł zapach Diny przez woń beczek ze śledziami, produkowanego tranu, przez aromat chleba Oline. Błogosławił dzień odjazdu Rosjanina, w którym Dina zaczęła pracować jak koń.

Tomasz miał dostęp do jej zapachu, widział jej biodra, dziwił się, że tak bardzo jej zeszczuplały przeguby dłoni. Że włosy zaczynają tracić sprężystość.

Nie chciała nawet, by jej towarzyszył w przejażdżkach konnych. Przestała się bawić. Jej spojrzenie nabrało ostrości jak spojrzenie rybaka. Gdy z rzadka dał się słyszeć jej głos, trudno było przed nim umknąć, niczym przed trzaśnięciem pioruna.

Od kiedy wprowadziła się do oficyny, czekał na jej wezwanie.

Drzwi werandy można było dojrzeć tylko od strony morza.

* * *

Pewnego dnia nadszedł zalakowany list do Johana.

Zdarzyło się to w wiosenny dzień, przepelniony skrzekiem mew i krzykami ludzi, którzy wodowali kliper na bergeńską wyprawę.

Pośród tego hałasu Johan stanął w składzie, trzymając w dłoni list. Nie było tam nikogo innego. Otworzył kopertę. Z listu wynikało, że wreszcie dostał parafię. W niewielkiej miejscowości na wybrzeżu, w Helgeland.

Johan wyszedł na dwór i przechadzał się między przybrzeżnymi spichrzami. Patrzył na przystań, na zabudowania gospodarskie, na wielki biały dom, oficynę, którą ludzie nazywali już domkiem Diny. Usłyszał harmider dobiegający z plaży, gdzie mężczyźni wciąż borykali się z kliprem. Mieszkańcy Reinsnes, dzieciaki i przypadkowi przechodnie. Jako gapie i pomocnicy. Rej wodzili Anders i sternik. Swymi władczymi głosami.

Ziemia zazieleniła się jak okiem sięgnąć, aż po ścianę lasu i podnóża gór. Niebieskozielone Vågen i szczyty górskie kryły się za mlecznobiałą mgiełką zwiastującą pogodę.

Czy powinien to wszystko opuścić?

Gdy odwrócił się w stronę domu, osłepiły go refleksy światła z okien sypialni; środkiem alejki zmierzała ku niemu Dina ubrana w jaskrawoczerwoną suknię z gorsecikiem, z rozwianymi na wietrze włosami.

Jego oczy wypełniły się niespodziewanie łzami i musiał się nagle odwrócić, by to ukryć.

List, na który już niemal przestał czekać, zmienił się w jego oczach w wyrok.

– Czemu stoisz tu taki posepny? – zapytała Dina, podchodząc do niego.

– Dostałem parafię – odpowiedział bezbarwnym głosem, usiłując spojrzeć jej w oczy.

– Gdzie?

Wymienił nazwę miejscowości i podał jej list. Przeczytała go powoli i zaczęła składać arkusik, przyglądając się Johanowi.

– Nie musisz przecież przyjmować tej parafii – powiedziała zwyczajnie, podając mu pismo.

Rozszyfrowała go. Spostrzegła wszystkie znaki, które jej dawał. Znaki, o których sam dobrze nie wiedział.

– Przecież nie mogę tu się objąć.

– Potrzebujemy cię – odparła krótko.

Ich spojrzenia się spotkały. Jej: wymagające. Jego: poszukujące. Pełne pytań, na które nie odpowiedziała.

– Dzieci potrzebują nauczyciela – ciągnęła Dina.

– Ale matka nie tego sobie życzyła...

– Twoja matka nie znała przyszłości. Nie wiedziała, kto będzie ciebie potrzebował. Chciała tylko, żebyś wyszedł na ludzi.

– Myślisz, że nie zmartwiłaby się?

– Nie.

– A ty, Dino, co ty o tym myślisz? Duchowny bez parafii?

– Duchowny zawsze się przyda – rozległ się jej suchy śmiech. – A poza tym dostałeś tak małą parafię, że to właściwie zniewaga – dodała.

Nieco później Dina kontrolowała spisy frachtowe na bergeńską wyprawę. Chodziła po przystani i sprawdzała, czego jeszcze brakuje.

Wtedy ze ściany wyłonił się nagi Jakub. Ze sterczącym jak szpada wielkim członkiem.

Wyśmiała go za to narzucanie się. Ale on uparcie stał w miejscu i kuśił ją...

Czyżby już zapomniała starego Jakuba? Nie pamięta, jak wślizgiwał się w nią głęboko i pięknie? Jak gryzła prześcieradła, bo ogrom pożądania wyciskał z niej powietrze przemieszane z dźwiękami? Czy nie pamięta, jak ją Jakub pieścił? Co znaczy ten głupi, samotny Rosjanin, który snuje się po świecie niby szałwik oderwany od wędki, co on znaczy wobec wzniesionego członka Jakuba? Czy Dina potrafi to wyjaśnić? Czy potrafi udowodnić, że narzędzie tego Rosjanina jest lepsze? Albo że tamten ma delikatniejsze dłonie?

Coś się załamało w ciele Diny.

– Kimże ty jesteś, gdy tak krążysz i czekasz na jakiegoś idiotę, co to nie wie nawet, czy jedzie do Archangielska, czy do Bergen? – spytał pogardliwie Jakub.

Członek był już tak wielki, że wrósł w kartki ze spisami. Dokumenty zdrząły Dinie w dłoni.

Jam jest Dina. Johan idzie ze mną w morze. Dryfujemy. Ale on o tym nie wie. Ja się unoszę na wodzie. Bo mnie trzyma Hjertrud. Wymierzamy karę Jakubowi Wymierzamy karę Barabaszowi.

Tego samego wieczoru, pod pretekstem dyskusji o Reinsnes i o przyszłości, Dina przyniosła butelkę wina i zaprosiła Johana na swą werandę, tonącą w nocnym słońcu.

Chciała oprowadzić go po oficynie, pokazać, jak się urządziła.

Powinien w końcu zobaczyć jej sypialnię z widokiem na morze.

Johan poszedł za nią. Nie wiedział nawet, jak kobiecie odmówić i nie zranić jej. Bo przecież może wcale nie myślała o tym, o czym on pomyślał... Dina jest taka bezpośrednia. Robi najbardziej niestosowne rzeczy w świetle dnia. Na przykład pokazuje pasierbowi swoją sypialnię. Sam na sam. Na przykład podchodzi doń tak blisko, że pasierb nie wie, co ze sobą począć. Johan zapomniał, jak się wypowiada najprostsze słowa.

Pochwyciła go niczym kot, który tylko częściowo dusi ptaka, żeby wciąż mieć z kim igrać. Przytrzymała go w pazurkach przez kilka minut. Przewróciła go gdzieś między koronkowymi firankami a łóżkiem. Zbliżała się coraz bardziej. Wreszcie ruszyła do ataku.

– Dino! Nie, Dino! – rzekł zdecydowanie.

Dina nie odpowiedziała. Przez chwilę wsłuchiwała się w odgłosy z podwórza. A potem zamknęła mu usta namiętnym pocałunkiem.

Jakub wyłonił się ze ściany i próbował uratować swego syna. Za późno.

Johan odziedziczył swe narzędzie po Jakubie. Choć był drobniejszy i chudszy.

Członek rósł z niezwykłą siłą do zadziwiających rozmiarów. Przybierając zgrabny kształt, znaczony niebieskawymi, potężnymi żyłami. Które tworzyły coś w rodzaju sieci, mającej podtrzymać wszystko, co się rozpada.

Dina wskazywała mu drogę.

Johan miał niewiele do zaofiarowania. Niewiele poza potężnym przyrodzeniem. Ledwo Dina go rozebrała, już Johanową duszę rozdarła wielka dziura. Którą próbował ukryć przed sobą i przed nią. Z zawstydzeniem. Ale Johan był pojętnym uczniem. Spokrewniony nie tylko z Jakubem, ale i ze starym Adamem. Gdy już udało się go pochwyć.

Potem leżał w świetle migoczącym zza białych, zasuniętych firanek, próbował złapać oddech i już wiedział, że zdradził Boga, powołanie i własnego ojca! Czuł się tak, jakby szybował lekko pod postacią orła, wysoko nad oceanem.

Najpierw załała go fala wstydu, bo obnażył się całkowicie. Nie dość, że wytrysnął w nią i na nią, to jeszcze leżał tu nago, w oplakanym stanie. Nie wiedział, czy zdoła odzyskać oddech.

Patrząc na nią, dobrze wiedział, że sam będzie dźwigał ten grzech. I w końcu zrozumiał swą bezgraniczną tęsknotę za domem w ciągu tych wszystkich lat, które spędził wyobcowany w Kopenhadze, nie ważąc się na podróż do Reinsnes.

Dina siedziała w białej bieliźnie, z nagimi udami, paląc cygaro, i przyglądała mu się z uśmiechem. Potem zaczęła spokojnie opowiadać o swej pierwszej nocy z Jakubem.

Johan poczuł zrazu mdłości i słabość. Wszystko to było tak nierzeczywiste. Jej słowa. To, że opowiadała o jego własnym ojcu. Ale po chwili ta opowieść zaczęła go podniecać. Postawiła go przed dziurką od klucza w drzwiach ojcowskiej sypialni.

– Szkoda cię na pastora – powiedziała Dina, wyciągając się na łóżku.

Rzucił się na nią z wściekłością. Szarpał za włosy. Za koszulę. Drapał po ramieniu.

Wtedy Dina przyciągnęła go do siebie – ukryta jego twarz między swymi piersiami i kołysała. Nic już nie mówiła. Johan był w domu. A jednak gorzej być nie mogło.

Najgorsze już się stało – i nigdy nie odstanie.

Gdy Johan opuszczał oficynę, nie wyszedł tylnymi drzwiami. Mimo że nikt jeszcze nie spał i każdy mógł go zobaczyć. Dina nie miała wątpliwości.

– Ten, kto wymyka się tylnymi drzwiami, ma coś do ukrycia. Ty nie masz nic do ukrycia. Zapamiętaj to. Masz prawo przychodzić i wychodzić wtedy, gdy mnie to pasuje. Jesteśmy właścicielami Reinsnes i całej reszty.

Johan był nagim rozbitkiem, który uratował się, wyrzucony na kamienistą plażę.

Słońce już się skąpało w morzu. Teraz spływało na ziemię.

* * *

Johan nie znał się na dzieciach. Nigdy nie miał z nimi do czynienia.

Nie dość na tym, że brakło mu doświadczenia. Na domiar złego nie zauważył ich w porę i dlatego nie zdołał nawiązać z nimi kontaktu.

Dzieci nieustannie były czymś zaprzątnięte. Zanim człowiek się zorientował, już znajdowały się gdzie indziej ciałem i myślami. Nie można ich było dogonić.

Johan uważał, że niewiele wynika z godzin lekcyjnych.

Beniamin szybko znalazł mnóstwo sposobów, by rozproszyć nauczyciela i rozżość Hannę. Albo doprowadzić ją do śmiechu.

Siadywali za wielkim stołem w salonie i przyswajali sobie nie tyle książkową wiedzę, co umiejętność snucia rozmaitych intryg i zamieniania potajemnych znaków między sobą.

Lekcje zmieniły się w getto spojrzeń, bezczelności i podstępów.

Męczyli się nad katechizmem i przykazaniami.

– „Nie będziesz pożądał domu bliźniego twego. Nie będziesz pożądał żony bliźniego twego ani jego niewolnika, ani jego niewolnicy, ani jego wołu, ani jego osła, ani żadnej rzeczy, która należy do bliźniego twego” – recytowała Hanna wysokim głosem, wodząc palcem wskazującym po literach.

– Dlaczego nie masz żony ani żadnych rzeczy, Johan? – zapytał Beniamin, a Hanna wstrzymała oddech.

– Nie mam żony, ale mam rzeczy – odpowiedział krótko Johan.

– A gdzie one są?

– Reinsnes należy do mnie – odparł Johan w roztargnieniu i dał znak, by Beniamin czytał dalej.

– Nie, Reinsnes należy do Diny – upierał się chłopiec.

– Tak, Reinsnes należy do Diny i do mnie – poprawił się Johan lakonicznie.

– Ale wy nie jesteście mężem i żoną!

– Nie. Dina była żoną Jakuba, mojego i twojego ojca.

– Ale ona nie jest twoją matką?

– Nie, ale oboje władamy i zarządzamy Reinsnes.

– Nigdy nie zauważyłem, żebyś czymś zarządzał na Reinsnes – oświadczył lakonicznie chłopiec i zatrasnął katechizm.

Johan wymierzył mu policzek, zanim zdołał pomyśleć. Na policzku Beniamina zaznaczyła się czerwona pręga. Oczy chłopca zamieniły się w czarne guziczki.

– Zapłacisz za to! – warknął Beniamin i rzucił się do drzwi.

Johan wciąż stał przy krześle, a półotwarta prawa dłoń swędziała go od uderzenia.

Johan zrozumiał, że tak dalej być nie może. Wyjął list z królewską pieczęcią i posępnie zamyślił się nad swą sytuacją życiową.

Ciągle napotykał badawcze spojrzenia i słyszał pytania, czy jeszcze nie przydzielono mu żadnej parafii albo jak też się czuje tu, na Reinsnes. On, wykształcony teolog o jasnym umyśle.

Referendarz powiedział prosto z mostu, że nie przystoi, by dorosły mężczyzna z dobrego rodu skończył jako guwerner u swojej macochy. Johan skulił się w sobie, nie odparowując ciosu. Syn Ingeborg i Jakuba nigdy nie nauczył się bronić.

Johan przyjął w końcu proponowaną parafię. Zadbał o to, by nie odwiedzać kantorka i nie zostawać sam na sam z Diną.

W ciągu ostatnich dni i pożegnalnego wieczoru Dina i Johan zachowywali się jak dwoje obcych ludzi. Johan podszedł do drzwi i wymamrotał pod nosem, że nazajutrz rano wyjeżdża. Anders i Matka Karen siedzieli wielce zakłopotani. Decyzja o przyjęciu parafii zapadła tak niespodziewanie. Powietrze zgęstniało.

Stine podniosła się i podeszła do bladego, odzianego w czerń mężczyzny, ujęła jego dłoń swoimi obydwoma i dygnęła głęboko.

Johan odwrócił się i wyszedł wzruszony.

Dina podniosła się szybko i wyszła z salonu, nie mówiąc nikomu „dobranoc”. Dogoniła Johana w połowie schodów. Śmignęła jak błyskawica i chwyciła go za poły.

– Johan!

– Tak?

– Wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać.

– Być może.

– Chodź! Chodź ze mną...

– Nie – szepnął Johan, rozglądając się wokół, jakby ściany miały uszy.

– Johan! – zawołała Dina.

– Dino, to naprawdę wielki grzech...

Johan stawiał szybkie kroki. W górę schodów. Na górze odwrócił się i spojrzął na Dinę. Spływał cały potem. Ale był zbawiony.

Później była dla niego świętą jawnogrzeznicą. Majakiem jego zmysłów. Powinna siedzieć tu, na Reinsnes, i zarządzać wszystkim, a on – wyjechać, by służyć swemu Panu, tak jak chciała matka. Grzech zabierze ze sobą i sam za niego zapłaci. Ale wybaczył sobie, bo przecież Dina była tak szalona w swjej zmysłowości, tak namiętna, że wcale nie zastanawiała się nad tym, iż powinna zastępować mu matkę. Może Wszechmogący rozumie, że są pewne granice męskiej odporności.

Nazajutrz pożegnali Johana odpływającego parowcem. Dina także odprowadzała go aż na plażę. Wyjątkowo. Zdołała to jakoś tak urządzić, jakby żegnano zwykłego gościa.

Johan wstąpił na pokład i uchylił kapelusza na pożegnanie. Sprzedawca Peter odepchnął łódź od brzegu.

Beniamin musi pukać do drzwi, jeśli chce odwiedzić Dinę. Tak powiedziała Stine. Zaraz po przeprowadzce Diny i przeniesieniu wszystkich jej rzeczy do oficyny

Beniamin płakał i nie mógł zasnąć. Potem ukuł przemyślną strategię. Uciekał się do najróżniejszych chwytów i używał całego swego wdzięku, by wykorzystać wszystkie kobiety, które zostały w wielkim domu. Zaczął od Stine, ale ta go zaraz przejrzała i przywołała do porządku swymi spokojnymi oczami.

Potem uwiesił się u kolan wątlej Matki Karen. Była jego babcią. Prawda? Tylko jego babcią! Nie Hanny. Tylko jego. W ten sposób doprowadził Hannę do płaczu. Ze srebrną gałką na lasce, z upiętym kokiem, koronkowym kołnierzem, broszką i całą resztą Matka Karen należała tylko do niego. Hanna po raz kolejny odczuła, że jej pozycja w tym domu zależy od tego, czy wszyscy dobrze się czują i czy nie interesują się zbytnio tym, kim ona jest i jakie ma prawa.

Matka Karen upominała Beniamina, ale musiała przyznać, że jest babcią Hanny tylko na niby.

Potem przyszła kolej na Oline. Ta nie dała się wmanewrować w zawiłości powiązań rodzinnych, ale dawała się oczarować tak, że zapominała o swoich zasadach. Wtedy można było siedzieć sobie w kuchni, popijając herbatę z miodem, mimo że człowiek już dawno powinien leżeć w łóżku. Wystarczyło poruszać się cichutko, na paluszkach, i posłuchać chwilkę pod drzwiami, by się upewnić, że Oline jest w kuchni sama, i zjawić się tam o dowolnej porze.

Pewne możliwości wiązały się także z Tomaszem. Ale tylko wtedy, gdy karmił zwierzęta. Bo Tomasz chadzał różnymi ścieżkami i niełatwo było go znaleźć. Beniamin wpatrywał się z Tomaszem wielkimi, poważnymi oczami i pytał grzecznie, czy nie mógłby wsiąść na konia, wtedy gdy Tomasz ustawiał zwierzę między dyszlami albo wyprowadzał je na łąkę. Jeśli to nie wystarczyło, wsuwał swą rączkę w wielką dłoń Tomasza i po prostu był przy nim.

Beniamin zaczął się wdrapywać na krzesło i otwierać okno, z którego widać było oficynę. Właził na parapet i stał cicho za framugą, patrząc w okna Diny.

Osiągał jednak zaledwie tyle, że zjawiała się Stine, ściągała go na podłogę i zamykała okno. Bez słowa.

– Ja chcę tylko porozmawiać z Diną – mówił żałośnie, próbując się znowu wspiąć na parapet.

– Dina nie rozmawia z dziećmi tak późno wieczorem – odpowiadała Stine, kładąc go do łóżka.

A on czuł się nagle zbyt zmęczony, by okazywać wściekłość. Pociągał tylko nosem i leżał cicho, czekając, aż Stine odmówi wieczorną modlitwę i przykryje go.

Noc wypełniała się światłem i mewim krzykiem. A on był sam w podziemnym świetle. Musiał zatopić się we śnie, by położyć temu kres.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

NA ŁOŻU MYM NOCĄ SZUKAŁAM
UMIŁOWANEGO MEJ DUSZY,
SZUKAŁAM GO, LECZ NIE ZNALAZŁAM,
WSTANĘ, PO MIEŚCIE CHODZIĆ BĘDĘ
WŚRÓD ULIC I PLACÓW
SZUKAĆ BĘDĘ UKOCHANEGO MEJ DUSZY.
SZUKAŁAM GO, LECZ NIE ZNALAZŁAM.

(Pieśń nad Pieśniami, 3, 1-2)

Tego roku światło dokuczało Dinie bardziej niż zwykle. Słyszeli jej kroki wewnątrz domu i na dworze. Jakby chodziło jakieś zwierzę.

Zaczęło się to zaraz po odejździe Lea. I weszło w nawyk, gdy się okazało, że Leo już nie przyjedzie tego lata. Na wodach Sundu pojawiła się nagle rosyjska łódź. Kapitan i sternik wysiedli na brzeg, by dostarczyć pewne towary. Przywieźli skrzynie i beczki i wszyscy sądzili zrazu, że to jakieś towary na zamianę albo na sprzedaż. Ale to były dary od bezimiennego przyjaciela.

Dina nie miała wątpliwości co do nadawcy, wiedziała też, że przysłał prezenty dlatego, że nie przyjedzie.

Wspaniałe liny dla Andersa i całe pudło niemieckich książek dla Matki Karen. Koronkowy kołnierz z francuskim haftem dla Oline. A w skórzaney tubie z imieniem Diny – nuty na fortepian i wiolonczelę. Rosyjskie ballady ludowe i Beethoven.

Dina zamknęła się i zostawiła rosyjskich marynarzy Matce Karen i Andersowi.

Rosjanie czuli się świetnie i postanowili zostać nieco dłużej. Sternik mówił trochę po norwesku i zabawiał towarzystwo różnymi opowieściami.

Znał polityczne i handlowe nowiny, wiedział, co się dzieje na północy i na wschodzie. Jakaś niezgoda zapanowała między Rosją a Anglią. Kłóćą się chyba o Turcję? Już od dawna są kłopoty z tymi Turkami. Ale on nie może zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Anders słyszał, że rosyjski car chce samowładnie decydować o Turcji.

– Przecież nie można po prostu przyjść i zacząć rządzić po swojemu, nawet jeśli się jest carem – oświadczył.

Następnego wieczoru Dina zeszła na kolację. Zagrała na fortepianie kilka nowych melodii. Śpiew Rosjan wzbijał się wysoko pod sufit. Poncz zniknął w okamgnieniu.

Sternik miał brodatą, przystojną twarz o żywym spojrzeniu. Nie był już młody, ale nie tracił wigoru. Jego niezwykle duże uszy wyłaniały się z gęstwiny włosów i brody z zadziwiającym uporem. Ręce ujmowały sztucze i szkło, jakby to był lalczyzny serwis.

Atmosfera stawała się coraz gorętsza. Dym z cygar snuł się po salonie długo po odejściu Matki Karen.

Mewy skrzeczały przez otwarte okna. Światło osiadało jak puch na samodziałowych ubraniach. Obnażało brązową opalenizną marynarskiej skóry, igrało na złocistych policzkach i w ciemnych oczach Stine. Skakało po dłoniach Diny, które galopowały po klawiszach. Pieściło złoty pierścień Jakuba, który Dina nosiła na środkowym palcu lewej ręki.

Kaczki edredonowe Stine przekrzywiały łebki i wsłuchiwały się w głosy i dzwoniące szkło z błyskiem w oczach i rozedrganym puchem na piersi. Był maj, południowe niebo ledwo się urodziło.

Dina próbowała wydobyć z Rosjan, gdzie zabrali na pokład podarunki od Żukowskiego. Żaden z nich nie rozumiał jednak, o co jej chodzi. Dina ponawiała wysiłki.

W końcu sternik powiedział, że prezenty trafiły na pokład w Hammerfest. Z innej łodzi płynącej na wschód. Żaden z nich nie miał pojęcia, od kogo te paczki pochodzą. Otrzymali jednak dokładną instrukcję, gdzie mają je wyładować. I obietnicę, że zostaną podjęci po królewsku!

Nowy zarządca składu z zapałem pokiwał głową. Szczupły mężczyzna koło trzydziestki, z przeredzonymi włosami. Z giętkimi plecami i rozbieganym spojrzeniem. Nosił monokl i zegarek bez łańcuszka. Teraz, po lepszym obiedzie i trzech szklaneczkach ponczu, człowieczek zaczął ujawniać cechy, o których do tej pory nikt nie wiedział. Umiał się śmiać!

Nagle i niespodziewanie zaczął opowiadać historie o kupcu z Bremy, który zauważył, że Rosjanie przywożą ze sobą krucyfiksy ze zwykłego bejcowanego drewna i święte obrazy oprawione w pozłacany mosiądz. Zabierali je ze sobą do łodzi.

Następnego roku kupiec miał w zapasie mnóstwo podobnych krucyfiksów i obrazów, a także nadzieję na świetny interes. Ale Rosjanie nie chcieli ich kupować. Gdy zapytał dlaczego, dowiedział się, że nie chcą Chrystusa chyłącego głowę na lewo i pozbawionego brody jak dziecko! Rosjanie nie chcieli mieć nic wspólnego z tym bluźnierczym, niemieckim Chrystusem! Nie sądzili, by mógł pomóc rosyjskim marynarzom. Kupiec szybko znalazł rozwiązanie. Zwrócił się do marynarzy z północnej Norwegii, którzy uznali, że robią znakomity interes, kupując krucyfiksy za pół ceny. Jako dobrzy luteranie wcale nie dbali o to, czy Chrystus ma brodę. I podobizny Chrystusa znalazły się wkrótce w wielu domach wzdłuż wybrzeża.

Wszyscy śmiali się serdecznie. Anders twierdził nawet, że widział takie obrazy tu i ówdzie. Więc może i historia jest prawdziwa.

Rosyjski kapitan miał inne doświadczenia w interesach z mieszkańcami północnej Norwegii. Z brodą czy bez brody.

Pili za wspólny handel i gościnność. Potem za jęczmień z półwyspu Kola, zboże szczególnie wysokiej jakości, dojrzewające szybciej niż w innych miejscach.

Z czasem impreza przeniosła się na dwór. Trwały akurat białe noce. Słońce utkwiło już w urwisku, w którym zniknął Jakub.

Dina raz jeszcze próbowała wypytać sternika, mówiącego troszkę o norwesku, o Żukowskiego.

Mężczyzna kręcił jednak przepaszająco głową, że nie rozumie.

Dina kopnęła jakiś kamyk, wygładziła spódnicę pełnym irytacji gestem i poprosiła, by pozdrowił jej znajomego i oznajmił, że spodziewają się go przed Bożym Narodzeniem. Bez niego prezenty nie mają żadnego znaczenia.

Sternik zatrzymał się i ujął jej dłoń.

– Cierpliwo. Dina ze Reinsnes. Cierpliwo.

Dina wkrótce się pożegnała. Poszła do stajni i odwiązała Szatana. Koń nie okazał zadowolenia.

Znalazła kawałek liny, którym podwiązała spódnicę, wskoczyła na koński grzbiet i puściła się kłusem w brzozowy zagajnik. Dźgnęła korna spiczastym końcem buta. Szatan wyciągnął szyję i zarżał. Wiosenny wiatr pochwycił jego grzywę. Płynęli w dal.

Na nagich skałach koło przystani stali rosyjscy marynarze i patrzyli za panią na Reinsnes. Ona jest bardziej rosyjska niż ich własne kobiety, twierdził sternik, głaszcząc się po brodzie.

– Ona jest zbyt męska – sprostował kapitan. – Pali cygara i siedzi jak chłop!

– Ale ma śliczne różowe paznokcie – powiedział drugi sternik i głośno beknął.

Wsiadli do łódki i popłynęli w stronę ciężkiej łodzi, kołyszącej się na spokojnych wodach.

Melodyjne głosy wypełniły powietrze i niesły się daleko po wodzie. Rytmicznie, rzewnie, obco. Prawie czule. Jakby śpiewały dziecku.

Decyzja zapadła tej majowej nocy. Dina popłynie do Bergen. Dzięki temu postanowieniu noc mogła przynieść trochę snu.

Dina zawróciła konia i pojechała do domu.

Podmokłe łąki przygotowywały się do kwitnienia. Na brzozech rosnących wzdłuż rzeki pojawiły się już kotki.

Nad kuchnią w głównym budynku unosiła się smużka dymu. Oline stała już na posterunku i rozpalala w piecu, by przygotować śniadanie dla kosiarzy.

Jakub zjawił się, kiedy Dina ściągała buty. Pamiętał podróż do Bergen, którą odbyli razem. Rytuał, który odprawili w gościnnym łózu w Helgeland w drodze do domu.

Jakub najwyraźniej się denerwował tym, że Dina wybiera się w podróż. W Bergen jest wielu mężczyzn. Mężczyźni czekają na całym wybrzeżu. Mężczyźni i jeszcze raz mężczyźni.

* * *

Gdy kliper już prawie całkowicie przygotowany do podróży, Dina oświadczyła, że także się wybiera.

Matka Karen nie kryła swego przerażenia tą wieścią. Dina zawiadomiła wszystkich o tym na trzy dni przed planowaną podróżą.

– Dino kochana, toż to wielka nieodpowiedzialność wyjeżdżać tak nagle! Sprzedawca nie ma dość doświadczenia, by mógł sam prowadzić księgi i odpowiadać za towar. A kto będzie czuwał nad żniwami i stodołą, skoro zabierasz Tomasza ze sobą?

– Człowiek, który potrafi przejść przez góry, żeby w sobotę odwiedzić swego ojca i wrócić z powrotem w niedzielę, bez względu na pogodę, da sobie chyba radę z martwymi przedmiotami na półkach i w szafkach. A Tomasz... nigdzie nie jedzie.

– Ależ Dino, on nie mówi o niczym innym ostatnimi czasy.

– Będzie tak, jak powiedziałam. Skoro ja wyjeżdżam, Tomasz jest tu potrzebny. Zostanie w domu!

– Ale dlaczego tak się spieszysz z tą podróżą do Bergen? Czemu nic przedtem nie powiedziałaś?

– Duszę się tutaj! – rozłościła się Dina i chciała odejść. Matka Karen poprosiła ją jednak do swego pokoju.

Starsza pani usiadła koło okna w łagodnym wieczornym świetle. Ale ta łagodność wcale jej się nie dzieliła.

– Masz mnóstwo pracy. Trzeba ci trochę oddechu. Rozumiem... Ale podróż do Bergen to nie żaden odpoczynek. Przecież wiesz.

– Nie mogę siedzieć tu, na Reinsnes, i gnić! Rok za rokiem! Muszę zobaczyć coś innego!

Słowa rozbrzmiewały jak krótkie, miarowe okrzyki. Jakby właśnie w tej chwili Dina zrozumiała, o co jej chodzi.

– Zauważyłam, że coś z tobą nie tak... ale że jest tak źle... Tego nie wiedziałam.

Dina zawahała się przy drzwiach. Stała jak na szpilkach.

– Ty dużo podróżowałaś w młodości, prawda, Matko Karen?

– Tak.

– Czy to sprawiedliwe, że ja jestem skazana na to miejsce na całą resztę życia? Muszę robić to, co chcę, inaczej mogę się stać niebezpieczna. Rozumiesz?

– Rozumiem, że czujesz, iż masz za mało z życia. Może powinnaś znaleźć sobie męża? Jeździć z wizytami do Strandsted? Do referendarza? Do znajomych w Tjeldsundzie?

– Tam nie ma po co jeździć. Mężczyźni, których mogłabym zabrać ze sobą do domu, nie rosną w brzozowych krzakach w Tjeldsundzie ani w Kvaefjorden! – rzekła Dina oschle. – Ty, Matko Karen, jesteś wdową, odkąd tu przyjechałaś.

– Tak, ale ja nie miałam gospodarstwa, domu zajezdnego ani łodzi towarowych. Żadnej odpowiedzialności za ludzi i zwierzęta, za interesy.

– Nie będę jeździć w kółko, żeby znaleźć kogoś, kto się ze mną pokłóci o to, jak należy prowadzić interesy. Na razie nie brakuje nam ludzi. Wybieram się w podróż dla przyjemności...

– Ale dlaczego zdecydowałaś się tak nagle, Dino?

– Trzeba robić to, co się chce, zanim ogarną człowieka wątpliwości – odparła Dina.

I już jej nie było.

Tomasz spakował swoją skrzynię. Nigdy w życiu nie był poza granicami powiatu. Oczekiwanie zawaładnęło całym jego ciałem. Czuł się tak, jakby leżał w krzakach jałowca.

Od dawna już opowiadał o wyprawie klientom zachodzącym do składu. Był w domu w Helle, dostał rodzicielskie błogosławieństwo i wyprawkę od sióstr. Oline i Stine zatroszczyły się, każda na swój sposób, aby w jego skrzyni nie zabrakło smakołyków. Stał właśnie i obrządzał konia, pouczając przy tym chłopca stajennego o wszystkich obowiązkach i zasadach.

Wtedy do stajni weszła Dina.

Stała przez chwilę i obserwowała go, po czym rzekła przyjaźnie:

– Zajrzyj na werandę, gdy już skończysz, Tomaszu, to dostaniesz szklaneczkę soku malinowego.

– Bardzo dziękuję! – odparł Tomasz, opuszczając zgrzebło.

Stajenny tynął na niego okiem. Przejęty zgrozą, że można zostać zaproszonym na werandę Diny.

* * *

Tomasz sądził, że wizyta na werandzie będzie wyrazem uznania. Spotkaniem. A okazało się, że chodzi tylko o wyważone słowa, oznajmiające, że jednak nie będzie mógł pojechać, bo jest potrzebny w domu.

– Ależ, Dino! Jak to możliwe teraz, kiedy już wszystko zaplanowałem, przydzieliłem wszystkim obowiązki, nająłem nowego parobka, który da sobie radę ze stajnią i stodołą? Mój ojciec przyjdzie do pomocy podczas żniw, a Karl Olsa z Nettet razem z dwoma synami będzie pracował więcej niż tylko na odrobek. Nic nie rozumiem!

– Nie ma tu nic do rozumienia! – powiedziała krótko. – Ja wyjeżdżam. I dlatego ty musisz zostać!

Tomasz siedział na krześle przy otwartych drzwiach werandy, szklanka z nie dopitym sokiem malinowym stała na stole.

Słońce świeciło mu prosto w twarz. Czuł, jak pot przesącza się przez grubą koszulę.

Wtedy wstał. Chwycił czapkę, szurnął szklanekę na sam środek stołu.

– Aha, więc Dina sobie jedzie! A dlaczego Tomasz nie może? Od kiedy to Tomasz jest taki niezastąpiony? Może wolno mi spytać?

– Tomasz wcale nie jest niezastąpiony – powiedziała Dina cicho. Ona także wstała. Była wyższa od niego o głowę.

– Co masz na myśli? To dlaczego...?

– Tylko ludzie, którzy robią, co do nich należy, są niezastąpieni! – zawyrokowała Dina.

Tomasz odwrócił się. Przeszedł przez drzwi. Zszedł po schodach. Trzymając się białej poręczy z balaskami w kolorze ochry. Jakby trzymał wroga, próbując go udusić. Poszedł prosto do siebie i usiadł na łóżku, oceniając sytuację. Chciał zabrać swój worek i skrzynię z całym swym majątkiem i pojechać do Strandsted, by tam poszukać pracy. Ale kto zechce parobka, który uciekł z Reinsnes bez żadnego powodu?

Zajrzał na chwilę do Oline, do kuchni. Ona już wszystko wiedziała. Nie zadawała żadnych pytań. Wlała mu tylko trochę brandy do kawy w samym środku jasnego dnia. Mężczyzna z jednym brązowym i jednym niebieskim okiem nie wyglądał najlepiej.

Gdy już przesiedział bez słowa tyle czasu, ile potrzeba, by zagnieść ciasto, Oline odezwała się:

– Cierpliwy i mądry z ciebie człowiek, jak na rudzielca.

Tomasz spojrział na nią. Nieszczęsny. Mimo to zachichotał. Cierpki śmiech, który zaczął się gdzieś między udami, wydostawał się na zewnątrz.

– Dina nagle i niespodziewanie postanowiła, że pojedzie sobie do Bergen, a ja wobec tego muszę zostać! Czy już o tym słyszałeś, Oline?

– Tak, słyszę dużo różnych rzeczy ostatnimi czasy...

– Możesz mi wyjaśnić, o co tu chodzi? – spytał przybity Tomasz.

– Dina zaczęła zadręczać ciebie, skoro zabrakło Nielsa.

Tomasz pobladł niespodzianie. Kuchnia okazała się nie najlepszym miejscem. Podziękował za kawę i wyszedł. Ale nie pojechał do Strandsted.

Tego dnia, gdy kliper wyruszał na południe, Tomasz poszedł do lasu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

OTWORZYŁAM UKOCHANEMU MEMU,
LECZ UKOCHANY MÓJ JUŻ ODSZEDEŁ I ZNIKŁ;
ŻYCIE MIĘ ODESZŁO, IŻ SIĘ ODDALIŁ
SZUKAŁAM GO, LECZ NIE ZNALAZŁAM,
WOŁAŁAM GO, LECZ MI NIE ODPOWIEDZIAŁ

(Pieśń nad Pieśniami, 5, 6)

Ludzie rozmawiali o wojnie. Wojna wypełzła nagle z samego środka stolnicy. Na Morzu Białym od lata trwała blokada i rosyjskie łodzie przestały przywozić mąkę. Od dawna już krążyły plotki, że sytuacja jest na tyle poważna, iż kupcy z Trondheim zastanawiają się nad wyprawą na wschód po mąkę. Mimo najszczerzych chęci mało kto rozumiał, dlaczego wojna krymska ma się odbijać na ludziach w północnej Norwegii.

Tymczasem „Matka Karen” stała już gotowa do drogi na południe, do Bergen. Łódź kosztowała Jakuba całe trzy tysiące talarów. Kupił ją tego roku, gdy usłyszał wiolonczelę Diny na Fagerness.

Miała dwadzieścia cztery łokcie długości i mogła pomieścić naprawdę wielki połów.

Jakub był wielce zadowolony ze swego zakupu.

Kliper zabierał przeważnie dziesięcioosobową załogę.

Minęło ładnych parę lat.

Łódź pociemniała, ale wciąż mogła czekać z pełnym frachtem na ostatnie puszki z jedzeniem, kufry podróżne i załogę. Solidna i dobrze zbudowana, wiozła swój ładunek w każdą pogodę. Szeroka rufa, wręgi łączone na zakładkę i solidne żelazne gwoździe. Koło stewy rufowej znajdowała się pomalowana na biało kajuta z bulajami. Znajomy Jakuba z Rany ozdobił je rokokowymi ornamentami i intarsjami w starodawnym stylu, Jakub nie lubił bowiem nowej mody na kwadratowe okna. Kwadraty nie pasują do łodzi, mawiał stanowczo. Nie dadzą się pogodzić z wiarą w Boga i marynarskimi przesądami.

Anders nie zgłaszał sprzeciwu. Najbardziej interesowała go powierzchnia żagli, koło sterowe i tonaż. Od tamtej pory nic się nie zmieniło. W kajucie znajdowały się dwie koje i stolik. Koje można było przesłonić kotarą i w razie potrzeby na każdej z nich mogły spać dwie osoby.

Tutaj miała zamieszkać Dina z Andersem. Sternik Anton musiał się szybko przenieść do ciasnego kubryku w przedniej części kokpitu. Przyjął to spokojnie.

Kajuta i kubryk miały zadaszenie z maleńką nadbudówką. Poza tym pokład był otwarty, stworzony raczej po to, by wozić ładunki niż zapewnić luksusowe podróże.

Łódź czekała teraz załadowana po brzegi.

Najniżej leżały ciężkie beczki z tranem i futra. Sterta pak sztokfisa przewyższała nadburcie. Balast wystawał ponad reling i trzeba było go przykryć dla ochrony przed wilgocią i przyskającą wodą.

Solidny drewniany dek wzdłuż burty między kajutą a kubrykiem chronił fracht przed morzem i pogodą.

Maszt był przedmiotem dumy Jakuba. Pojedyncze drzewce masztu wznosiło się wysoko ponad burty. Jakub sam go wybierał w Namsos. Wzmacniało go sześć want, sztag i achtersztag, Masywna pięta masztu sięgała stępki.

Żagiel rejowy miał dwanaście metrów szerokości i szesnaście wysokości. Gdy trzeba było zmniejszyć jego powierzchnię, odwiązywano bonnety. W czasie prawdziwych sztormów zwijano często cały żagiel.

Ale w razie potrzeby stawiało się topsel.

Na flagsztoku na rufie powiewała wciąż duńska bandera z norweskim lwem. Na cześć Matki Karen. Starsza pani nie mogła się bowiem pogodzić ze szwedzkim Oskarem. Anders wielokrotnie dyskutował z nią na ten temat. Ale na „Matce Karen” wciąż powiewały duńskie barwy, choć uśmiezki towarzyszyły im przez całą drogę na południe, do Bergen. Uszanowano jednak wybór flagi dokonany przez staruszkę, bo zatarg z matką chrzestną mógł dla klipra źle się skończyć.

Sternik zwał się Anton Dons. Krępy, niski mężczyzna o dużym rozsądku i jeszcze większym poczuciu humoru. Nikt jednak nie śmiał go drażnić. Bo w jego usposobieniu była też inna nuta. A doroczny wybuch wściekłości przypadał najczęściej na czas wyprawy do Bergen. Zwłaszcza gdy któryś z marynarzy usiłował go oszukać czy wywieść w pole.

Picie alkoholu na morzu stanowiło grzech śmiertelny. Sternik własnoręcznie spuszczał cięgi nieszczęśnikowi w razie potrzeby. Nigdy nie czekał, aż delikwent wytrzeźwieje na tyle, by móc oddać. Kac na kliprze dowodzonym przez Antona Donsa równał się sześciu kacom na lądzie, u boku żony.

Zdatni sternicy nie rosną na drzewach, warto więc było dbać o Antona Donsa. Znał wybrzeże jak pastor *Biblię*.

Był milczący i dość uparty przy lekkiej bryzie, ale podczas burzy dawał się porwać zarówno dobrym, jak i złym siłom.

Wieść niosła, że w młodości zdarzyło mu się utknąć na rafie, na której spędził trzy doby, zanim ktoś go odnalazł. To starczyło na całą resztę życia.

Manewrowanie niezgrabnym kliprem i jego takielunkiem wymagało wielkiej sztuki. Zwłaszcza w porywistym wietrze, mocno targającym żagle. Na nic by się zdało oddawanie się opiece Pańskiej bez doświadczonego sternika, który zna mielizny i podwodne skały, i umie wyciągać wnioski z kierunku wiatru.

Anton dopłynął kiedyś kliprem z Bergen do Tromsø w sześć dni. Do tego trzeba czegoś więcej niż sprzyjających wiatrów, dorzucał Anders.

Beniamin stał w oknie oficyny i przyglądał się zamieszaniu wokół „Matki Karen”. Był wściekły i niepocieszony.

Skrzynia podróżna Diny już trafiła na pokład. Dina miała wyjechać daleko za morze, do Bergen! Tego nie sposób wytrzymać.

Dina powinna być na Reinsnes. Inaczej wszystko będzie źle.

Beniamin próbował atakować ją wszelkimi sposobami. Płakał i przeklinał. Małym chłopcącym ciałem wstrząsały konwulsje, odkąd się dowiedział o jej wyjeździe.

Dina nie wyśmiewała jego wściekłości. Objęła go tylko mocno za szyję prawą ręką i przycisnęła do piersi bez słowa.

Beniamin nie bardzo wiedział, co to znaczy. Potem jednak zrozumiał, że to miało być swoiste pocieszenie.

Nie powiedziała, że przywiezie mu prezenty, że wróci niebawem. Nie powiedziała, że musi wyjechać.

A gdy Beniamin rzucił, że inne kobiety nie jeżdżą do Bergen, Dina potwierdziła:

– Masz rację, Beniaminie, inne kobiety nie jeżdżą do Bergen.

– To dlaczego ty musisz tam jechać?

– Bo tak postanowiłam. Możesz mieszkać w moim domku i opiekować się wiolonczelami, gdy mnie nie będzie.

– Nie, w twoim domku mieszkają upiory.

– Kto tak mówi?

– Oline.

– Możesz powiedzieć Oline, że jest tam tyle upiorów, ile się zmieści w jej napastrku.

– Niels się tam powiesił na belce! – Tak.

– No więc tam muszą być upiory.

– Nie. Zdjęli go przecież z tej belki, położyli w trumnie i zawieźli na cmentarz.

– Na pewno?

– Tak, Chyba to pamiętasz.

- A skąd wiesz, że duchy nie przychodzą z powrotem?
- Bo mieszkam tam i widzę belkę w dzień i w nocy.
- Ale mówiłaś, że Jakub tu jest, zawsze, chociaż zmarł...
- To co innego.
- Jak to?

– Jakub jest twoim ojcem, chłopcze. Nie może przecież zakładać, że anioły same zdołają cię upilnować, skoro taki z ciebie dzikus.

– A ja nie chcę tu Jakuba! On też jest upiorem! Powiedz, żeby pojechał z tobą do Bergen!

- To będzie dla mnie kłopotliwe. Ale zrobię to – dla ciebie. Zabiorę go ze sobą!

Chłopiec otarł smarki i lży czystym rękawem koszuli, zapominając, że takie rzeczy wcale nie denerwują Diny. Tylko Stine się o to złości.

– Ale możesz przecież zmienić zdanie i zostać w domu! – Beniamin zauważył, że rozmowa znalazła się na niewłaściwym torze.

- Nie.
- To pojedę do referendarza i powiem mu, że wyjeżdżasz! – wykrzyknął chłopiec.
- Referendarza to wcale nie obchodzi. Podwiń rękawy i pomóż mi nieść to pudło z

kapeluszami, Beniaminie.

- Wyrzucę je do morza.
- To się nie opłaca.
- A właśnie że to zrobię!
- Słyszę.

Chwycił pudło obiema rękami i zaczął ciągnąć je po podłodze, zaciskając zęby ze złości.

- Nie będzie mnie tutaj, kiedy wrócisz do domu – powiedział z triumfem.
- A gdzie wtedy będziesz?
- Nie powiem!
- W takim razie trudno mi będzie cię znaleźć.
- Może umrę i wcale mnie nie będzie!
- Miałbyś krótkie życie.
- Gównu mnie to obchodzi.
- Każdego obchodzi jego życie.
- A mnie nie! Będę cię nachodzić! Żebyś wiedziała.
- Tak, mam nadzieję, że całkiem mnie nie opuścisz.

Pociągał nosem, wciągając w siebie resztki płaczu, gdy szli w stronę przystani i pomostu.

Gdy już prawie dotarli do tłumu czekającego, by pożegnać odjeżdżających, Beniamin zapytał żałośnie:

- Kiedy wrócisz do domu, Dina?

Dina pochylała się nad nim, znów objęła go mocno za szyję i zmierzwiła mu włosy wolną ręką.

– Przed końcem sierpnia, jeśli będziesz się modlić o sprzyjające wiatry – powiedziała ciepło.

– Nie pomacham ci na pożegnanie!

– Cóż, nie mogę aż tyle oczekiwać – odparła Dina z powagą i zwróciła ku niemu twarz. – Idź i pokop sobie kamienie, to zwykle pomaga.

W ten sposób się rozstali. Benjamin nie uściskał Diny. Pobiegł szybko pod górkę. Poły koszuli unosiły się za nim jak skrzydła.

Tego dnia nie chciał widzieć Hanny.

Wieczorem zrobił się zupełnie niemożliwy i zniknął gdzieś. Musieli go szukać. Dostał wprawdzie burę, ale i sporą porcję uwagi. W końcu dał się pocieszyć na kolanach u Stine.

– Co za cholera z tej Diny! Ona mnie w ogóle nie obchodzi! – wykrzykiwał jeszcze przed zaśnięciem.

„Matka Karen” z Reinsnes tego roku bardzo wcześnie wy płynęła na morze. Anders popłynął nią na Lofoty, na teren połowów. Zawiózł prowiant helgelandzkim i saltańskim rybakom.

Zaopatrywał dwadzieścia łodzi i wrócił do domu z olbrzymią partią ryb, ikry i wątróbek. Poza tym pożyczył sprzęt rybacki kilku załogom w zamian za część ich połowu.

Dina dała mu kuksańca, gdy już wrócił do domu. Miał to być wyraz zadowolenia. Dina i Anders rozumieli swoje gesty.

Anders bardzo dbał o to, by klienci podpisywali porządne umowy na fracht, który zabierała „Matka Karen”. Jeśli sam nie miał dość miejsca, żeby ich towary na pewno dojechały do celu nienaruszone, troszczył się o to, by znaleźć dla nich inny transport.

Dina przyczyniała się do tego, że klienci dotrzymywali swojej części umowy i nie korzystali z usług innych przewoźników.

Kiedyś uzyskała odszkodowanie za to, że ktoś nie dostarczył umówionego ładunku. Pewien klient ze Strandsted oszukał Andersa i zawiózł swoje sztokfiszce innemu szyprowi z Kvaefjord.

Ludzie szeptali po kątach, że tego rodzaju sprawy łatwiej przeprowadzać, gdy jest się córką referendarza.

Przyłączyli się do konwoju czterech statków transportowych, zmierzających na południe, do Bergen. Dwa płynęły z północy i dogoniły ich, uzyskawszy lepszą prędkość. Trzy następne dołączyły w Vestfjorden. Pogoda dopisywała, wiał wiatr z północnego wschodu.

Dopisywały też nastroje. Każdy miał swoje obowiązki, każdy troszczył się o określoną część ładunku. Dzięki słońcu mogli płynąć dniem i nocą. Załoga zmieniała się przy żaglach.

Towar pochodzący z Reinsnes leżał bezpiecznie między wręgami. Dziesięć beczek pierza i puchu. Dogładanego, oczyszczonego i zapakowanego przez Stine. Pięć beczulek przetworów z malin moroszek zebranych przez najemników, ugotowanych w cukrze przez Oline. Dochodziły i przegryzały się przez całą zimę w piwnicznym chłodziu. Pięćdziesiąt skór renifera i dwie beczutki mięsiva tych zwierząt, kupionego od wędrownych Lapończyków, którzy potrzebowali innej żywności. Tomasz posłał pardwy i lisie skóry. Wieźli jeszcze wiele beczek tranu i spory ładunek sztokfisa.

Dina często stawiała na pokładzie, patrząc, jak przepływają obok wierzchołki gór i wysepki. Bardzo się zmieniała. Wiatr śmiał się do niej, a wszystko, co ją irytowało i wściekało na Reinsnes, tonęło w morzu jak martwe kocięta.

– Ludzie powinni wieść takie życie jak ty, Anders! Człowiek od razu nabiera dobrego humoru! – pokrzykiwała z drzwi do kajuty, gdy Vestfjorden prostował się w pędzie i w jednej sekundzie zmienił się w otwarte morze.

Anders odwrócił się i zmrużył oczy, spoglądając na nią w blasku słońca. Wydatny, znamionujący upór podbródek rysował się wyraźniej niż zwykle. Po chwili wrócił do swoich zajęć.

Anders i Dina dzielili kajutę i stół, przy którym opróżnili niejedną dzban. Między nimi panowała nie pozbawiona poczucia odpowiedzialności swoboda. Anders nie czuł zażenowania z powodu kobiecej obecności w kajucie. Nie robił wokół tego żadnego zamieszania. Ale też okazywał wiele zrozumienia dla kobiecych obyczajów. Zawsze pukał do drzwi i nie wchodził bez pozwolenia. Pamiętał, by zostawiać robocze ubranie i sztormiak na zewnątrz.

Podczas swej pierwszej podróży z Diną Anders mieszkał w kubryku. Jakub i Dina przeleźli w objęciach większą część podróży. Nie zauważyli więc nawet, jak mocne wiatry wieją na Vestfjorden. Tym razem Jakub musiał trzymać się pokładu. A Dina obserwowała znamionującą upór szczękę Andersa i jego miękkie usta, uruchamiając swe wyostrzone zmysły wilczycey.

ROZDZIAŁ ÓSMY

BIEDNEGO ON RATUJE PRZEZ NĘDZĘ,
CIERPIENIEM OTWIERA MU USZY.

(Księga Hioba, 36, 15)

Mgła przykryła siedem szczytów siedmioma czapami z owczej skóry. Sternik wiedział, która przystań leży najbliżej. Uderzyły ich obrazy i zapachy, znane i kuszące. Przez wiele miesięcy musieli je od siebie odpychać. Teraz napierały na nich całą siłą. Wiosenna powódź zadawnionego oczekiwania – i wdzięczności za przeżyte tu chwile.

Mężczyźni nie zaniedbywali obowiązków, pasąc zarazem oczy widokiem kraju obiecanego. Przystanie! Miasto! Klipry i statki kołyszące się burta w burcie. Nad Vågen unosiły się energiczne rozkazy i hałas kół terkoczących po bruku.

Od czasu do czasu skrzypiały uroczyście bloczki i dźwignie otwieranych bram do portowych żurawi. Budynki stały jeden przy drugim. Majestatyczne części wielowiekowego krajobrazu opierały się o siebie wzajemnie wzdłuż Vågen. Szare mury bergeńskiej twierdzy wyglądały jak olbrzym, który ułożył się do snu na całą resztę swego żywota. Na tle tego, co wysokie, i tego, co niskie. Nieruchomy krewniak gór.

Zanim zdołali znaleźć miejsce do cumowania, do burt zaczęły podpływać niewielkie łodzie.

Bezpośrednie, wesołe bergeńskie kumoszki oferowały im swoje kringle-obwarzanki. Wciągali kobiety na pokład pośród śmiechu i okrzyków.

One dzierżyły mocno swoje koszyki. Jakby wołały raczej trafić do morza niż oddać choćby jeden obwarzanek bez zapłaty. Kiedy już dobili targu, pod chustami i czepcami rozkwitły szerokie uśmiechy. Nie obyło się bez bezinteresownego już poczęstunku i tradycyjnych flirtów.

Na pokładzie znalazła się między innymi pewna młodzianka bergeńska dziewczyna. W strojnym, błękitnym jedwabnym czepcu, ozdobionym purpurowymi kogucimi piórami i w jasnozielonej wytwornej sukni. Usunęła w cień wszystkie bergeńskie elegantki.

Dina zadrżała na jej widok, ale wymieniła z Andersem roześmiane spojrzenia, gdy ten wybrał dziewczynę i jej obwarzanki.

Słońce jaśniało jak nowiutka moneta w szykowej sakiewce. Mężczyźni przebrali się w białe koszule. Przyczესali też włosy na mokro i zdjęli czapki.

Przybycie do Bergen zmieniło dzień w święto.

Dina włożyła kapelusz z szerokim rondem i zielony kostium podróżny. Tym razem upięła włosy. Choć opadały ciężko tu i ówdzie spod ronda.

Anders nie szczędził jej przycinków z powodu stroju i fryzury.

– Teraz wyglądasz jak prawdziwa wdowa po armatorze! – powiedział z uznaniem, gdy zjawiała się na pokładzie. – Dzięki tobie wzrosną ceny za nasze ryby – dodał.

Rzuciła mu tylko spojrzenie i wydostała się szybko na ląd po trapie przerzuconym na sąsiednią łódź. Gdy spacerowali wzdłuż wybrzeża, trzymała Andersa pod rękę.

Niecodzienne zapachy drażniły nozdrza. Nawet zapach morza był tu całkiem inny. Mieszał się z odorem zgnilizny i rynien ściekowych, ze smolistą wonią statków i ryb. Kramy ustawione w porcie pękały od najróżniejszych towarów. Wszystko razem tworzyło egzotyczny, podniecający zapach miasta.

Koło warsztatu, w którym najwyraźniej reperowano wozy, w słonecznym skwarze stał nieskazitelnie ubrany jegomość.

Opierał się o zamknięty parasol i wymyślał rzemieślnikowi. Z wściekłością wskazywał na konia, który stał koło odczepionego powozu i skubał siano z worka. Jegomość zarzucał rzemieślnikowi, że tamten sprzedał mu przegnite zatyczki do uprzęży.

Dina pociągnęła Andersa za ramię i zatrzymała się nieopodal, przysłuchując się sprzeczce. Rzemieślnik me pozostawał dłużny. Choć nie posuwał się tak daleko jak jego klient.

Nagle Dina podeszła do mężczyzny.

– Powinniście używać zatyczek do uprzęży z gałązek iwu.

Mężczyźni jak na komendę unieśli głowy i wlepili w nią wzrok. Elegancki pan zmieszał się tak bardzo, że całkiem się zagubił w swej przydługiej mowie.

Rzemieślnik zaś odchrząknął, ukłonił się i powiedział, że dama zapewne ma rację...

– Te gałązki są elastyczne – ciągnęła Dina, podchodząc do dyszli, by zbadać uprząż.

Mężczyźni gapili się na nią bez słowa. Cała ich wymowność wyparowała na słońcu.

– Zatyczka się złamała na sęku – powiedziała Dina.

Zebrała kawałki i podała je rzemieślnikowi.

Rzemieślnik wziął je w swoje poplamione smotłą ręce. Dina skinęła głową i podeszła do Andersa, nie odwracając się już więcej.

Za jej plecami panowała cisza.

W okolicy nie brakowało piwiarni. Ani też hoteli i pensjonatów.

Jakiś stróż wędrował po ulicach i wykrzykiwał, że zna najlepsze miejsca na nocleg. Niskim, przyjemnym głosem wymieniał kolejno kilka nazw zajazdów wymachując przy tym rękami. Nietrudno się domyślić, że dostawał brzęczącą monetę za tę pracę.

Targ rybny wyglądał jak istne mrowisko. Nad placem unosiły się zapachy intensywniejsze niż woń z gnojowni, której drzwi otwarto w słoneczny dzień. Przekupki wykrzykiwały swoje ceny. Przenikliwe głosy dobywały się z czerstwych twarzy. Obfite biusty mimo upału okryte były skrzyżowanymi wełnianymi szalami.

Tutaj łatwiej zauważało się różnice między stanami niż w domu czy w kościele. Tryskające barwami stroje kumoszek i pańienek przyćmiewały wszystko i wszystkich. Tu i ówdzie zakofyssała się koronkowa suknia pod słomkowym kapeluszem z szerokim rodem. Przystrojonym wstążkami, rozetkami i błyskotkami. Malutkie, ażurowe jedwabne i skórzane pantofelki mieszały się z drewniakami i skórzanymi łapciami, które stuknęły i szurały po kamieniach.

Jakiś głos powtarzał w nieskończoność, że dziś wieczorem trzeba koniecznie spróbować wędzonego łososia i ozorków.

Gdy poszli trochę dalej, dotarli do alei i wielkopańskich willi. Do szerokich podjazdów i przystrzyżonych żywopłotów.

Od czasu do czasu Dina wyrażała swą pogardę dla tego czy owego. Anders nie całkiem rozumiał, o co jej chodzi. Ale wpadał w zakłopotanie, gdy kogoś spotykali.

Nagle Dina zaczęła ze śmiechem opowiadać o tym, jak zatrzymali się z Jakubem w pierwszorzędnym rzekomo hotelu.

Zabawiali się tam, wykpiwając porcelanową miskę do mycia, nie większą niż półmisek na ziemniaki! A śmietankę wlewano do kawy łyżeczką zamiast z dzbanka.

O kieliszkach do jajek gospodarz w życiu nie słyszał.

Na podstawie tych wszystkich grzecznych, lecz wygłaszanych z wyższością narzekań – w kuchni rozeszły się pogłoski, że pochodzą z Anglii.

Jakub za żadne skarby nie życzył sobie takiej opinii, podszedł więc do kelnerki i wyjaśnił, kim są.

Personel hotelowy od razu zaczął ich traktować inaczej. Nazajutrz rano na stole czekał dzbanek śmietanki do kawy.

W samym środku tej opowieści jakiś stangret zatrzymał koło nich swój powóz i zaproponował przejażdżkę za zapłatą. Dina pokręciła głową, więc Anders odmówił.

Szli stromymi uliczkami, które zwały się coraz bardziej. Buty Diny zeszywniały z gorąca, więc gdy ujrzeni ławeczkę pod drzewem, usiedli na chwilę. Przed nimi rozciągał się widok na miasto. Anders wyjaśniał i pokazywał. Zamek królewski z wieżą. Vågen ze statkami i kołyszącymi się bomami. Mnóstwo łódek stojących na kotwicy w głębi zatoki. Kilka statków parowych z ruszającym się kołem wysyłało czarny dym prosto w niebo. Kliper, z którego właśnie zrzucano żagle, wślizgiwał się bezszelestnie na wolne miejsce w szeregu.

Zaczęli powoli schodzić w dół i wsiadli do napotkanego powozu, każąc się zawieźć do przystani. Musieli zjawić się punktualnie. Wybierali się do ulubionej gospody kupców na posiłek. Tego nie wolno zaniedbać.

– Trzeba przestrzegać etykiety – powiedział Anders. Gdy już dotarli do przystani, pokazał Dinie statki z Kjerringøy, Husby i Grøttøy.

Za portowymi zabudowaniami wznosił się strzelisty kościół z dwiema wieżami.

– To kościół Marii – wyjaśnił Anders.

Spotkały się ich spojżenia. Jakby nigdy przedtem się nie widzieli.

– Do tej pory nie podróżowałem w towarzystwie! – powiedział nagle zakłopotany Anders.

– Chodzi ci o to, że nie podróżowałeś w towarzystwie kobiety?

– Tak. To całkiem inaczej.

– Jak?

– Sposzregasz rzeczy, którym ja w ogóle nie przypisywałem żadnego znaczenia. Zadajesz pytania, a ja nawet nie wiedziałem, że potrafię na nie odpowiedzieć.

– Niezwykły z ciebie człowiek! – orzekła Dina. – Szczęściarz z Nielsa, który miał cię za brata.

Ludzie zajmujący się handlem i właściciele zajazdów pośredniczyli w interesach między bergeńskimi kupcami a klientami z rodzinnych stron, którzy wysyłali swe towary statkami.

Ceny w Bergen rzadko rosły lub spadały dramatycznie, wszystkim jednak wyprawom towarzyszyła podniecająca niepewność co do wysokości zarobku. Ci, którzy wysyłali swoje towary, unikali w ten sposób bezpośredniej odpowiedzialności za targowanie się i cenę.

Nie raz i nie dwa zdarzyło się wszakże, że rybacy zostali oszukani w Bergen zarówno na wadze, jak i na cenach.

Kupcy i armatorzy dobrze już znali wszystkie chwytty. Mieli czas i doświadczenie, by czekać na najlepsze propozycje. Wiedzieli też, z którymi bergeńczykami warto wiązać się na przyszłość.

Podano posiłek. Owsiankę z syropem. Krążyły gliniane fajki i żywe rozmowy o tym i o owym.

Bergeński kupiec miał okrągły brzusek i drugi podbródek pod tym, w który wyposażył go Stwórca. Podbródek wylewał się raz po raz z kryzy, gdy jego właściciel gestykulował albo się śmiał.

Dina pamiętała go ze swej poprzedniej podróży z Jakubem. Jego nazwisko często można było usłyszeć na Reinsnes. Pan Rasch! Całymi latami księgowala jego liczby.

Gdy się ostatnio widzieli, towarzyszyła mu stateczna dama w wielkim czepcu.

Zmarła na tajemniczą chorobę, której nikt nie potrafił leczyć, powiedział pan Rasch. Uschła po prostu jak zapomniane letnie jabłko. Niektórzy twierdzili, że to nerwy i choroba psychiczna w rodzinie. Ale kupiec nic o tym nie słyszał i tłumaczył, że ludzie wyciągnęli takie wnioski z plotek i obmowy... On osobiście przypuszcza, że to coś z zółcią... Tak czy inaczej, został wdowcem i już czwarty rok mu upływa w tym stanie. Małżonka miała bogatą rodzinę w Hardanger i odziedziczyła po niej spory spadek. Kupiec zapewniał jednakowoż, że wartość tego spadku znacznie zawyżano.

Dina, Anders i Anton nigdy nie słyszeli o spadku, ale nadstawiali ucha na wszystkie plotki, które opowiadano o nieszczęsnym bergeńczyku.

W dzisiejszych czasach nie można już liczyć na żaden szacunek. Wszyscy opowiadają o ludzkich tragediach i nieszczęściach, jakby chodziło o pchły! Co za nieobyczajność!

Kupiec poróżniewał na twarzy podczas tego przydługiego przemówienia. Dodatkowy podbródek falował z wielkim żalem wokół kryzy. To w jedną stronę. To w drugą.

Dina wpatrywała się w kupca bez skrępowania. Wyglądało na to, że w końcu postanowiła go polubić.

On też pamiętał młodą panią Dinę Grønelv.

– A zresztą nie ma o czym mówić! – zakończył szybko i rzucił jej pełne podziwu spojrzenie.

Z czasem Anders, Anton i Dina odłączyli się od całej reszty i zostali zaproszeni do domu pana Rascha.

Zgodnie z przepowiednią Andersa na stole natychmiast pojawił się poncz. Kupiec zaproponował dla pani maderę, ale Dina odmówiła. Miała ochotę na mały poncz i fajkę.

Kupiec me krył zdziwienia, ale zniósł tę niespodziankę całkiem dobrze. Własnoręcznie nabił jej fajkę tytoniem, opowiadając przy tym o pewnej duńskiej arystokratce, którą znał w młodzieńczych latach. Palila fajkę i nosiła męskie kapelusze.

– Żadnego porównania – dodał uprzejmie, wskazując kapelusze Diny.

– Tego kapelusza nie kupiła pani chyba na dalekiej północy? – zapytał.

– Nie, został kupiony w Bremie. Dokładnie narysowałem, jak powinien wyglądać. Kapelusze i kafle do pieców kupujemy w Bremie, książki i nuty w Hamburgu. A obrazy w Paryżu. Zgodnie z upodobaniami Matki Karen! – dodała z uśmiechem.

Anders posłał jej niespokojne spojrzenie. Ale Dina podeszła do kupca i wsunęła mu rękę pod ramię.

Pan Rasch uśmiechnął się niepewnie i zapalił jej fajkę. Potem zaprosił ich do salonu na rozmowę o „aktualnych sprawach”, jak to ujął.

Dina uważnie słuchała Andersowych negocjacji na temat cen i ilości towarów. Anders przedstawiał zalety ryb i ikry, skór i puchu.

Dina nie mieszała się do rozmowy.

Szczere spojrzenie Andersa musiało budzić podejrzenia każdego kupca. Ci dwaj jednak bez wątpienia już wcześniej dobijali targu.

Twarz Andersa jaśniała niczym księżyc, który wyrzał z za chmur, gdy zapytał o proponowaną cenę. Z równie szczerą przykrością pokręcił głową, gdy usłyszał za niską. Był pełen szacunku, jakby rozmawiał z pastorem. I zdecydowany, jakby wydawał załodze rozkazy, które mają uratować komuś życie.

Kupiec westchnął wymownie i odparł, że może coś się da zrobić... aż wreszcie cena została uzgodniona. Ten sam rytuał. Rok w rok. Zawsze tak było. Kupiec poklepał Andersa po ramieniu, skłonił się przed Diną i powiedział dobrotliwie:

– Może Dina Grønelv z Reinsnes jest najbogatsza z nas wszystkich, gdy policzyć wszystkie dobra.

– Nie rozmawiamy o bogactwie, tylko o handlu – przypomniała mu Dina.

Anders jeszcze raz poruszył się niespokojnie.

– Bogactwo ma wiele twarzy. Są nawet tacy, którzy dostają miłość za nic – powiedziała Dina, zaglądając kupcowi głęboko w oczy.

Pan Rasch umknął wzrokiem. Nie miał pojęcia, jak sobie poradzić z sytuacją. Nie przywykł załatwiać interesów z kobietami. Było jednak w tym coś, co mu się spodobało. Choć w ogóle nie rozumiał tej wdówki z północy. Cały czas prześladowało go nieprzyjemne, sprowadzające nań poty poczucie, że ta pani stroi z niego żarty. Choć w żaden sposób nie umiał jej zdemaskować. Tak czy inaczej ubili niezły interes. Zwłaszcza sztukfisz dobrze się sprzedał. Zgodnie z przepowiednią Andersa.

Znajomi kupca mieli dostarczyć maszynę do szycia dla Stine za niezbyt wygórowaną cenę.

W zamian za to na ład wjechała cała beczułka zakonserwowanych malin moroszek do prywatnego użytku kontrahenta. „Za darmo i bez cła”, jak powiedział Anders.

Dina wędrowała po mieście na własną rękę, czekając, aż statek zostanie wyładowany i załadowany na nowo.

Chciała zobaczyć szpital dla trędowatych, o którym opowiadała jej Matka Karen.

Trzy razy przeszła się tam i z powrotem przed głównym wejściem. Przewyciężając sama siebie. Żeby móc opowiedzieć Matce Karen, że zgodnie z obietnicą pomodliła się za chorych do Boga Ojca!

Modlitwa poszła jej tak sobie.

Jam jest Dina. Księga Hjertrud opowiada o tym, jak Hiob dziwi się, że Bóg może być tak surowy dla ludzi, choć mają przecież krótkie i niespokojne życie. Hiob tak bardzo cierpi. Nie rozumie, jak Bóg może karać sprawiedliwych i pozwalać, by bezbożnicy uszli karze. Hiob poświęca mnóstwo czasu i sił na dziwienie się własnemu losowi. Ci tutaj chodzą od ściany do ściany ze swymi ranami. Nie wszyscy myślą o sobie tak dużo jak Hiob.

Przed każdym domem w Bergen stało wiadro z wodą. Dina spytała w końcu pewną sprzedawczynię, co to za obyczaj.

– To z powodu pożaru, który szalał tu wiosną – brzmiała odpowiedź. – Wszyscy boją się ognia.

– Pani nie jest stąd? – dodała sprzedawczyni. Dina sięgnęła po uśmiech. Nie, nie jest stąd.

– Ale, mój Boże, co to za naiwność sądzić, że kropla wody w wiaderku może was uratować od pożaru.

Kobieta ściągnęła usta i nic nie odpowiedziała.

Dina kupiła gofrowaną wstążkę, koronki, guziki i inne różności, które Stine umieściła na swojej liście.

Potem wynajęła powóz, by przejechać koło pogorzelska. Trzydziestego maja sto dwadzieścia domów poszło z dymem. Zrujnowane, ale fascynujące miejsce.

Pogorzelsko wyglądało jak trąd na żywym ciele pulsującego ze wszystkich stron miasta. Żebracy wędrowali wśród ruin w poszukiwaniu skarbów. Chodzili swymi szlakami, pochylali się i pospiesznie grzebali patykami tu i ówdzie. Od czasu do czasu prostowali plecy, by wsunąć coś do węzła.

– Tutaj jest pełno biedaków i kalek! I na dodatek trędowaci! – powiedziała Dina Andersowi, gdy spotkali się wieczorem w kajucie.

– I mnóstwo latawiec! – dodała. – Wieszają się na mężczyznach, gdy ci wychodzą na ląd, albo też wąż na pokład.

– To chyba kłopotliwe zajęcie. Trudno się na tym wzbogacić – powiedział Anders.

– Hiob nie musiał w każdym razie być dziwką! – rzekła Dina.

Anders spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Gdzie dzisiaj byłaś? – zapytał.

Opowiedziała o modlitwach przed szpitalem dla trędowatych i o pogorzelsku.

– Nie powinnaś się włóczyć po pogorzelsku. To może być niebezpieczne – zauważył Anders.

– Dla kogo?

- Dla samotnych kobiet – odpowiedział.
- A dla mężczyzn nie?
- Także dla mężczyzn – zgodził się łagodnie.
- Kim oni są? – zaczęła Dina.
- Kto?
- Ci, którzy chodzą z dziewczynkami?

Anders, zawstydzony, wyciągnął szyję.

– To mężczyźni, którzy z takiego czy innego powodu nie mają tego, czego potrzebują – odpowiedział powoli. Jakby nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiał.

- Chodzi ci o to, że temu, kto nie ma nikogo, łatwiej mieć wiele kobiet?
- Tak – odparł zmieszany.
- I co jeszcze? Czego mężczyźni u nich szukają?

Potań dłońią kark i szarpnął się za włosy.

- Chyba różnych rzeczy – powiedział żałośnie.
- A ty czego tam szukasz?

Anders spojrzał na nią. W taki sam sposób jak na bergeńskiego kupca. Z nieprzeniknioną twarzą.

- Niczego nie szukam! – powiedział spokojnie.
- Nigdy?

Zaczerwienił się powoli pod jej spojrzeniem.

- O co ci chodzi, Dino?
- Nie wiem, Anders. Chyba chciałabym się dowiedzieć, z czego są zrobieni mężczyźni... Co myślą...

Anders nie odpowiedział. Przyglądał jej się tylko.

- Chodzisz do dziewczek? – zapytała Dina.

Pytanie zapiekło go w twarz. Ale się opanował.

- Zdarzało się... – powiedział w końcu.
- I jak było?

– To nic takiego, o czym warto by napisać do domu – powiedział półgłosem. – Ja chyba nie jestem taki – dodał jeszcze ciszej.

Do drzwi kajuty zapukał Anton, który chciał zamienić parę słów z Andersem. Przelotny deszcz dzwonił o dach. Dina została z jeszcze jednym pytaniem w objęciach.

Załadunek przebiegał sprawnie, ceny sztokfiska były wyższe niż w ostatnich latach. Większość towaru sprzedano jako pierwszorzędny towar najlepszej jakości.

Mężczyźni byli zadowoleni i rozmawiali z ożywieniem, wracając na pokład. Ostatniej nocy Dina, Anders i Anton również spali na kliprze. Na poprzednie dni wynajęli miejsca w pensjonacie. Po to, żeby sobie pomieszkać w mieście, jak mawiał Anders.

Odgłosy miasta brzmiały całkiem inaczej na pokładzie. Wplatały się w nie uderzenia przybrzeżnych fal i skrzypienie rozespanych łodzi. Dźwięki przenikały do krwi. I już wibrowały tam jak gorączka aż do następnej podróży do bergeńskiego portu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

WZNOŚĘ SWE OCZY KU GÓROM
SKĄDŻE NADEJDZIE MI POMOC?

(Księga Psalmów, 121, 1)

Wiatry im sprzyjały w drodze na północ. Wszystko przebiegało w atmosferze spokoju i wzajemnej wyrozumiałości.

Na rumplu stała duma i ozdoba klipra, figura Sternika z kołem sterowym, w pełnym umundurowaniu, z zamyślnym spojrzeniem utkwionym w dal. Stara duńska flaga powiewała niczym wyprasowany obrus, wskazując północny zachód.

Gdy tylko okrążyli Stadtland, Dina podpaliła lont swojej bomby. Miała ochotę na krótką wycieczkę do Trondheim. Anton i Anders stali właśnie pod dachem koło kajuty, gdy przyszła im o oznajmić swoich zamiarach.

– Trondheim! – wykrzyknął Anton i spojrzał na nią z niedowierzaniem. – A co takiego będziemy robić w Trondheim?!

Dina oświadczyła, że ma tam coś do załatwienia. A poza tym chciałyby zwiedzić katedrę. Więc popłyną tam z krótką wizytą, czemu nie.

Anton i Anders mówili jeden przez drugiego. Anton coraz głośniejsze i głośniejsze. Anders głosem niskim i natarczywym. Czy ona zdaje sobie sprawę, na co się naraża? Mają przepłynąć ten cholernie długi fiord, podczas gdy inne łodzie dotrą do domu w sprzyjającym wietrze? Mają utkwic w środku fiordu, wydani na wsteczne prądy, bez żadnych możliwości manewru i pożytku z żagli i wiatru! Czy pomyślała, że stracą na to przynajmniej dziesięć dni?

– A przecież już się kończy sierpień! – zakończył Anders.

– Nie, nie liczyłam dni. Ale to nic nie szkodzi. I tak wrócimy do domu!

Anton zapomniał, że jest sympatycznym facetem. Zaczął się pienić ze złości. Wiatr pochwyił jego nawoskowaną brodę i groził, że zedrze ją razem ze skórą.

Anders zachowywał się spokojnie. Widział, jak Dina łamie bardziej odporne gałęzie niż Anton.

– Płyniemy do Trondheim! – powiedziała Dina. Zebrała spódnicę i zniknęła w kajucie.

Wściekły Anton spędził całą noc przy sterze. Był tak wzburzony, że niemal odmówił położenia się spać, gdy Anders przyszedł go zluźować przed psią wachtą.

– Nie ma potrzeby, żebyśmy wszyscy naraz tracili rozum! – zauważył sucho Anders.

– Chyba oszalałeś wtedy, gdy się zgodziłeś zabrać babę na pokład! – wrzeszczał Anton.

Stał z gołą głową w niebieskiej samodziałowej kurtce, którą kupił sobie w Bergen. Mosiężne guziki roztapiały się w ich oczach, gdy słońce wyłaniało się zza horyzontu. Anton miał podniesiony kołnierz, a wywatowane ramiona były szerokie jak wrota stodoły.

– Zarówno my, jak i kliper to własność Diny – powiedział zwięźle Anders, przejmując ster.

Przekleństwa bryzgały z Antona jak woda, co kapnęła na gorące kowadło. Poszedł jednak i na swojej koi chrapał przez cały ranek, aż kubryk trzeszczał i wił się z bólu i przerażenia.

Gdy przybyli do Trondheim, od razu doszły ich słuchy o tym, że angielskie i francuskie okręty zdobyły rosyjską bazę w Bomarsund w Olandii. Stocznie i magazyny drewna na całym fińskim wybrzeżu poszły z dymem.

Finowie wzięli lojalnie stronę Rosji, jak mówiono. Bronili własnych i rosyjskich interesów niczym rozjuszona zwierzęta. Zdaniem tych, co się znali na rzeczy, król Szwecji i Norwegii chciał włączyć oba kraje do tego konfliktu.

Anders interesował się Finami. Miał w rodzinie gałąź fińskiego pochodzenia. Twierdził, że niezupełnie chodzi tu o sympatię Finów dla Rosji. Że Finowie zdenerwowali się, gdy zachodnia flota posiadała zniszczenia na ich ziemi i skonfiskowała im okręty.

– Czy jest ktoś, kto nie będzie się bronił, gdy jakiś wariat podpala mu schody do domu? – pytał ze złością.

Dina nie rozumiała, co Francuzi i Anglicy ze swymi działami mają do roboty na Bałtyku.

Anton już się uspokoił i znowu się odzywał. Nie zaangażował się jednak szczególnie w to zagadnienie. Wypowiadał się tylko na tematy, które rozumiał, jak sam mawiał. Kobiety i marynarze nie są stworzeni do dyskusji o wielkiej polityce. Lepiej będzie, jeśli załatwią co trzeba i wrócą do domu.

– Leo powiedział kiedyś – zamyśliła się Dina, nie zwracając uwagi na Antona – że Francuzi i Anglicy wzięli stronę Turków w tej nie kończącej się wojnie między Turcją i Rosją i że to jest niebezpieczne dla całego świata... Mówił, że Finowie nigdy nie staną po tej samej stronie co Szwecja, niezależnie od tego, co się zdarzy. Że król jest głupi, jeśli tego nie rozumie. Powiedział także, że ten car Mikołaj również by prochu nie wymyślił! Że wojna się zaczęła od idiotycznej kłótni dwóch mnichów. Jeden był grekokatolikiem, a drugi rzymskim katolikiem.

– A o co się kłócili? – zapytał Anders.
– Kłócili się o to, do kogo należy Ziemia Święta w Palestynie – śmiała się Dina.
– Ale co to ma wspólnego z wojną? – z irytacją w głosie nalegał Anton.
– Świętość zawsze ma coś wspólnego z wojną – odparła spokojnie Dina. – *Biblia*, Chrystus, Dziewica Maryja, święte miejsca w Palestynie...
Nagle zgięła się we dwoje, jakby ktoś ją uderzył w brzuch.
– Źle się czujesz? – pytał Anders.
– Nie! – powiedziała. – Ale że też udało im się wmieszać w to króla i cara?... – ciągnęła, prostując się.
– W czasie wojny zawsze jest ktoś, kto siedzi na płocie i zbiera obfite dary albo pozbywa się gówna – rzekł Anton.
– Skąd Leo widział, kto rozpoczął tę wojnę, jak myślisz? – zapytała Dina, zwracając się do Andersa.
– On tyle podróżuje. Słyszysz to i owo.
Dina odplynęła od nich. A wojna zbliżyła się bardziej, niż ktokolwiek sobie tego życzył.

Między ulicą Królewską a ulicą Erlinga Skakkego leżał obszar, który dawno temu podarował miastu król. Zęby zebrać w jednym miejscu wszystkich, którzy inaczej snuliby się po zaułkach i podwórzach.

Trędowatych, ubogich, szaleńców, starców i sieroty. Znaleźli się najwyraźniej dobrzy obywatele Trondheim, którzy zapisywali im coś niecoś w testamencie, troszcząc się o to, by zaprowadzić jako taki porządek pośród tej nędzy.

Bezpieczna twierdza z kamienia i drewna. Mnóstwo budynków wypełnionych ludzkimi odchodami i nędzą. Wyglądały bardzo porządnie. Z zewnątrz.

Dina znalazła budynek Skansevakta z fasadą od ulicy Vollgaten. Z otwartymi arkadami i imponująco czystym murem. Dzielił ją od Slaveriet dość obszerny plac. Ale wszystko otaczał wysoki płot, a w bramie wejściowej siedział wartownik.

Wpuszczono ją do środka, gdy przedstawiła swoją sprawę. Za murem zaczynał się inny świat. Ukryty przed oczami ogółu. Ukryty przed wszystkimi, którzy nie musieli z tej czy innej przyczyny tu wejść.

Dwupiętrowe drewniane budynki. Tu i ówdzie jakiś murowany domek. Dachy kryte czerwoną dachówką przypierały budynki do siebie nawzajem, podkreślając ich wspólny los.

Azyl kryminalny albo Slaveriet – tak zwano duży dwupiętrowy budynek z okiennicami i framugami w stylu empire.

Dinę wpuszczono do owalnej sali na parterze. Z sąsiednich pomieszczeń dochodziła kakofonia dźwięków. Przyspieszony oddech Diny był zapowiedzią oczekiwania albo wiszącej w powietrzu katastrofy.

Pierwszy człowiek, którego tu zobaczyła, nie licząc strażnika, był wielką, przypominającą męczyznę istotą, przekładającą jakieś szmatki w pudle. Cały czas pokazywał przy tym coś na ścianie i dyskutował sam ze sobą, czy musi iść do miasta, czy nie. Pytał i odpowiadał dwoma różnymi głosami. Jakby wchodził całkowicie w dwie różne role. Jeden głos był szorstki i gruby, drugi łagodny i modulowany. Od czasu do czasu mężczyzna zadawał mocny cios powietrzu, mówiąc przy tym: „Czu! Czu!”, jakby podkreślał, że udało mu się trafić pięścią tam, gdzie zamierzał.

Miał ogoloną głowę, jakby właśnie przeszedł brutalne odwyszawienie. Szare, zapadnięte policzki okrywała dwu- albo trzydniowa szczecina.

Dina stała. Jakaś pogodna groza szerzyła się dokoła. Ciało Diny napięło się w oczekiwaniu na to, co się może zdarzyć, gdy mężczyzna ją zauważy. Ale nic się nie zdarzyło.

Strażnik wrócił z wieścią, że dyrektor wprawdzie właśnie wychodzi, ale może z nią tutaj porozmawiać. Zjawi się za chwilę. Zabrzmiało to jak oczywista odprawa. Dyrektor nie wiedział, kim jest Dina Grønelv. I najwyraźniej nie zrobiło na nim wrażenia, że chce się poinformować, kiedy przybędzie Leo Żukowski.

Dina zaczęła wypytywać dozorcę o ten przybytek, czekając na dyrektora. Strażnik chętnie jej odpowiadał. Na parterze jest pokój do pracy, jadalnia i pokój do modlitw. „Tamci”, to znaczy więźniowie, siedzą w areszcie na piętrze. Dowiedziała się, że niektóre cele są całkiem ciemne.

– Jak grób – powiedział strażnik z uśmiechem, który obnażył jego skąpe uzębienie, choć poza tym był całkiem miły i nie zdradzał złośliwości. – Z tymi, co siedzą na strychu, już nic się nie da zrobić! – powiedział. – Ale każdy ma swój piec. Tego tu nie brakuje.

Nad ich głowami rozlegały się jakieś hałasy. Szuranie, stukanie i wysoki, rozwścieczony głos.

– Nie wszystko, co pochodzi z góry, jest dobre – skwitował te odgłosy strażnik z ironicznym uśmieszkiem.

Nieszczęśnik z gałgankami wciąż robił swoje, nie zwracając na nich uwagi. Strażnik dostrzegł spojrzenie Diny i wyjaśnił:

– Bendik ma dziś napad. Ale nie jest niebezpieczny, ani kiedy jest grzeczny, ani kiedy dostaje ataku.

– Co on tu robi?

– To wariat! Ale mówię, nie jest niebezpieczny. Powiadają, że jakaś straszna historia przydarzyła mu się na północy. Chodziło o jakąś kobietę, która zmarła od poparzeń. Wtedy się to zaczęło. On tu nawet dzikiemu kotu krzywdy nie robi. Zajmuje się swoimi sprawami. Nie, to zupełnie co innego niż tamci w ciemnych celach. Nie chciałbym im popatrzeć w oczy, gdyby między nami nie było kraty!

Dina zaczęła czegoś szukać w torebce. Torebka okazała się podobna trzęsawisku. Czarna, głęboka i bezdena.

– Pani musi mieć jakąś ważną sprawę, skoro przyjechała pani w takie miejsce. I to z dalekiej północy!

Dina się wyprostowała. Wytłumaczyła, że była właśnie w Bergen swoim kliprem. Więc to żaden problem zajrzeć po drodze do Trondheim.

– Ach, więc pani ma kliper – westchnął strażnik i spojrzął na nią z szacunkiem. Tak, tak, on osobiście zna nawet damę, która ma cały parowiec. Posłał Dinie pytające spojrzenie z ukosa.

Gdy jednak nie skomentowała jego słów, odezwał się znowu:

– Ale to najbogatsza wdowa w całym mieście!

Dina rozejrzała się po pomieszczeniu, dając do zrozumienia, że nie zamierza wdawać się w dyskusję o bogatych wdowach i ich parostatkach. Spytała natomiast chłodno:

– A czym się pan tu zajmuje?

– Pilnuję, żeby ta hałastra nie uciekła! – odpowiedział szybko.

– A co oni zrobili? Ci, którzy tu siedzą?

– Morderstwa i podpalenia, szaleństwo i kradzieże – odparł, jakby wyśpiewywał psalmy z pamięci.

– A skąd pochodzą?

– Przeważnie z okolic miasta. Ale właściwie zewsząd!

Właśnie w tym momencie podszedł do nich chory nieszczęśnik, ciągnąc swoje pudło z gałgankami.

Wszystko zdarzyło się tak szybko. Zanim strażnik zdołał go powstrzymać, szaleniec chwycił Dinę za ramię i wpatrzył się w nią. Strażnik odepchnął go. Olbrzym stał z wyciągniętymi rękami. W jego oczach płynęły szare chmury. Ale gdzieś daleko, za nimi, było zwierciadlane odbicie Diny.

Dina wyglądała tak, jakby coś ją nagle tknęło. Uniosła dłoń w rękawiczce i położyła na ramieniu mężczyzny.

Spostrzegła w jego oczach błysk, jakby coś ważnego przyszło mu raptem do głowy. Z rozjaśnionej twarzy spłynął ku niej bezzębny uśmiech. Olbrzymie plecy uginały się pod niewidzialnym ciężarem, który ten człowiek najprawdopodobniej dźwigał całymi latami.

– Pani... pani nareszcie się zjawiła... – wymamrotał i znów ją chwycił błyskawicznym ruchem.

Strażnik odciągnął szaleńca, mówiąc coś do niego surowo.

Dina wciąż stała. Szczęki jej się zacisnęły, twarz powoli pobladła. Wyzwoliła się z uścisku mężczyzny, ale nie umiała się wyzwolić z jego spojrzenia.

Strażnik pociągnął olbrzyma za sobą na podwórze.

*Jam jest Dina. Na wielkim piecu w pralni gotuje się kocioł! Stoje
pośród oparów. Dlatego sphywam potem. Moja skóra odpada
płatami. Para zmywa mnie aż do nicości. A Hjertrud krzyczy
nieprzerwanie.*

Dyrektor wyłonił się znikąd. Jakby nagle powstał z niczego tu i teraz. Przemierzył pomieszczenie dostojnym krokiem i wyciągnął dłoń do Diny.

Wysoki, szczupły mężczyzna ze starannie przyciętą bródką. Wyglądała tak, jakby ją przykleił.

Żadnego śladu uprzejmości czy uśmiechu. Suchy, poprawny uścisk dłoni, odpowiedni do całej postaci.

Obfita czarna czupryna, przyczesana na mokro, okalała okrągłą głowę. Ten mężczyzna najwyraźniej żył dla swoich włosów.

Uklonił się elegancko i przełożył ponownie laskę do prawej ręki, wypuściwszy wcześniej dłoń Diny. Czym może służyć? Jego spojrzenie zabrało ze sobą resztki gorącej pary. Głos brzmiał spokojnie i mrocznie. Jak ostukiwanie drewna w piecu, zanim zapłonnie ogień.

Dina posłała mu pełne niechęci spojrzenie przezroczyście szarych oczu. Chociaż nic jej nie zrobił. Prócz tego, że wyratował ją z gorących oparów.

Dina przedstawiła swoją sprawę. Miała w torebce zalakowaną paczkę z wierszami Puszkina i listem do Żukowskiego. Zawahała się jednak, zanim ją wyjęła.

Dyrektor trochę zanadto się pospieszył ze zdziwieniem. Nie wie nic o tym, jakoby jakiś Leo Żukowski pracował dla nich, transportując więźniów. To niemożliwe. Za jego czasów tego rodzaju transporty odbywały się zaledwie kilka razy. Rosjanin? Nie!

Dina puściła tę odpowiedź mimo uszu i zapytała, jak długo kieruje „tym miejscem”.

– Trzy miesiące – odpowiedział obojętnym tonem.

– To wcale nie tak długo...

Mężczyzna zakasłał, jakby został przyłapany na oszustwie.

– Leo Żukowski nie wygląda na Rosjanina – powiedziała Dina. – Mówi po norwesku!

Jej głos wypełnił mroźnym chłodem pomieszczenie.

*Jam jest Dina, Wielkie brzozy za oknem szumią za mocno.
Zaciskają swe gałęzie na mojej głowie i nie mogę myśleć. Grzmią
kościelne dzwony. Gdzieś blisko. Liczę wszystkie drzwi, które
prowadzą do tego pokoju. Ale cyfry znikają w tych wszystkich
dźwiękach i głosach, dobiegających z cel na górze. Czy ten
dyrektor domu wariatów jest człowiekiem? Dlaczego nie chce
wiedzieć nic na temat Lea?*

Dyrektor poradził, by porozmawiała z kierownikiem więzienia. Może ją do niego osobiście zaprowadzić, gdyby sobie życzyła. To tuż obok. Najlepiej, jeśli będzie jej towarzyszyć w drodze przez dziedziniec i bramę.

Dina poszła za dyrektorem. Daremna wędrówka przez ciężkie bramy i ogromne drzwi. Obok strażników o pustym spojrzeniu. Wcale nie zbliżyła się do Lea. Nikt nie znał Rosjanina nazwiskiem Żukowski, który mówi po norwesku i eskortuje więźniów z albo do Vardøhus.

Gdy znaleźli się ponownie w owalnym pomieszczeniu, Dina wyjęła swoją paczkę. Wcisnęła ją w bezwładną rękę dyrektora, tak że musiał ją przyjąć.

Spojrzała na niego, jakby był jednym z parobków na Reinsnes. Zdecydowanie wypowiedziała swój rozkaz. Nie mógł odmówić, jeśli nie zamierzał być wyjątkowo nieuprzejmy wobec damy.

– Gdy zjawi się pan Leo Żukowski, proszę mu przekazać tę paczkę. Jest zalakowana, jak pan widzi...

Dyrektor pokręcił głową, ale zacisnął palce na paczce, żeby nie upadła na ziemię.

Dina poprawiła kapelusz, przewiesiła torbę przez ramię. Naciągnęła prawą rękawiczkę i podziękowała. Potem się pożegnała i szybkim krokiem ruszyła ku wyjściu.

Gdy powóz Diny potoczył się ulicą dalej, przejechał koło budynku wzniesionego na planie krzyża, z wielkimi oknami i kamiennym dachem. Portal otaczający wejście był iście wielkopański. Front miał trzy kondygnacje i wielkie okno w kształcie półksiężycy na samej górze.

Dina pochyliła się i zapytała stangreta, co to za budynek.

– Tronka. Szpital wariatów – odpowiedział apatycznie.

– Dlaczego nazywa się Tronka?

– Powiadają, że kiedyś przed wejściem stała skarbonka na jałmużnę. Po francusku taka skarbonka nazywa się jakoś podobnie. – Stangret ożywił się nieco podczas tych wyjaśnień.

– A dlaczego szpital miał francuską skarbonkę na jałmużnę?

– E tam, ludzie po prostu szukają ładnych słów. Skarbonka była na pewno z Trondheim. Francuska czy nie – francuska ta nazwa, to i tak teraz w środku siedzi hołota i wariaci!

Smagał batem konie, które zwolniły kroku. Z jakiegoś miejsca dochodził intensywny szum. Stangret obrócił się parę razy. Bo kobieta już się nie odzywała. Siedziała zgięta wpool i kołysała się w przód i w tył.

Po chwili woźnica zatrzymał powóz i zapytał, czy pani źle się czuje.

Odpowiedziała spojrzeniem pary szklistych, pustych oczu. Ale hojnie zapłaciła, gdy już wysiadała.

Czy ja jestem Dina? Czy nocne koszmary są prawdziwe? Bendik kowal? Dlaczego znajduję wszystko oprócz Lea? Czy ja jestem Dina? Która odcina połowę swego serca i składa je w ręce dyrektora domu wariatów? Dlaczego tu jestem, skoro noszę w sobie ranę, która nie chce krwawic? Gdzie jest teraz Hjertrud?

Dina nie opuszczała kajuty przez resztę dnia.

Nocą Anders obudził się kilka razy na odgłos westchnień Diny za zasłoną. Mówił coś do niej.

Ale ona nie odpowiadała.

Nazajutrz wstała poszarzała i zamknięta w sobie.

Wynajęli jednak powóz i udali się do fabryki nad Nidelven, żeby kupić nowy gong.

Stary pękł już jakiś czas temu. Podczas wiosennych żniw jedna połowa spadła i narobiła sporo szkód w dachu.

Znaleźli gong właściwych rozmiarów, z wybitym rocznikiem i harmonijnym dźwiękiem.

Właściciel fabryki był dobrym przyjacielem Jakuba za dawnych lat.

Dina zapowiedziała wizytę wcześniej. Czekali ich zatem godne przyjęcie, poczęstunek i zwiedzanie fabryki. Huitfeldt usprawiedliwiał się, że jego wspólnik, inżynier, wybrał się na wycieczkę do Anglii i dlatego nie może ich zabawić.

Mężczyzna ignorował kompletnie Andersa. Trudno było nie zauważyć, że mieszczanie w Trondheim trzymają się całkiem innych zasad niż bergeńscy kupcy.

Anders przyjął to ze zrozumieniem. Nie pierwszy raz spotykał tego rodzaju ludzi. Którzy nie pojmowali, że przecież nie da się zabrać na ląd łodzi po to, by zademonstrować swoją wartość. Właściciel fabryki z przekonaniem i barwnie opowiadał o sukcesach zakładu w produkcji pieców, dzwonów i części do maszyn.

Nowe czasy sprzyjają naszej działalności, śmiał się fabrykant. A w dodatku dostał właśnie odpowiedzialne i trudne zlecenie, by wyprodukować maszynownię do parostatku „Nidelven”.

Anders i Dina wymienili spojrzenia, gdy ponownie wsiedli do powozu.

– Nie wiem, czy w ogóle warto o tym mówić, ale mieszkańcy Trondheim bywają doprawdy komiczni.

– Choć nie wszyscy, którzy tu mieszkają, stąd pochodzą – zauważyła cierpko Dina.

Pośmiali się trochę.

Nagle Dina kopnęła go w nogę szpicem buta.

– Dlaczego pozwalasz się lekceważyć takim megalomanom?

– Czy ja wiem... To się chyba opłaca. Na dłuższą metę.

– Ty przecież też jesteś kupcem, Anders.

– Być może... W każdym razie kupcem bez kapitału.

– A chciałbyś mieć? Kapitał?

– Nie, sama widzisz, co się z nimi dzieje. Z tymi, co mają kapitał.

– Czy ja też taka jestem? – zapytała Dina zniechęcona.

– Nie. Ale i ty masz swoje przywary – powiedział szczerze. – Skoro o to pytasz.

– Jakie przywary? Chciwość?

– Nie. Ale jesteś skąpa. I uparta. Weźmy choćby tę wycieczkę do Trondheim!

Dina nic nie odpowiedziała.

Koła turkotały po bruku. Wokół nich hałasowało miasto.

– Wczoraj pojechałaś gdzieś sama... Czy wolno spytać, gdzie byłaś?

– Odbyłam krótką wizytę w więzieniu.

Anders obrócił się do niej całym ciałem.

– Żartujesz! Po co tam poszłaś?

– Zostawiłam paczkę dla Lea. Książkę, której zapomniał... On często zapomina książek...

– A on tam był?

– Nie, ale przyjedzie.

– Skąd wiesz?

– Bo oni twierdzili, że nie przyjedzie... – odparła w zamyśleniu Dina.

– Powiedzieli, że nie przyjedzie... I dlatego sądzisz, że się tam pojawi? Jak to?

– Bo coś jest nie tak. Dyrektor nie był zadowolony z mojej wizyty. Z tego, że wiem, że Leo tam przyjeżdża.

– Dziwna się zrobiłaś w czasie tej podróży.

– Pamiętasz, że Leo miał eskortować więźnia na północ, do Vardøhus?

– Tak... teraz, gdy o to pytasz... przypomina mi się. Ale on tak tylko powiedział.

– Tak czy inaczej, bywa w więzieniu w Trondheim.

– Skąd wiesz?

– Wiem i już! – oświadczyła Dina.

Siedzieli w milczeniu, a stangret próbował się dogadać z całą karawaną, która nie chciała ustąpić z drogi. Anders rozejrzał się uważnie dookoła. Potem powiedział:

– Czy zdecydowałaś się już na tego Rosjanina?

– Nie owijasz w bawełnę swoich pytań, miły Andersie.

– Nie. A jaka jest twoja odpowiedź?

– Że nie ogłaszam swoich decyzji publicznie.

– Ale chcesz go. Widziałem.

– Skoro widziałeś, to nie musisz pytać – odparła Dina. Anders skrzyżował ramiona na piersi i nic nie powiedział.

– Zaczęliśmy rozmawiać o kapitale... – rzekła Dina po chwili.

– Tak – odparł Anders z gotowością w głosie.

– Wiesz, co zrobił twój brat?

– Niels? Chodzi ci o to, czy wiem... jak umarł? Anders spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Oboje wiemy, jak umarł – powiedziała stanowczo Dina. – Chodzi mi o coś innego.

– O co?

– Ten twój brat defraudował pieniądze całymi latami. – Dina patrzyła prosto przed siebie.

– Co... co ty mówisz?! – Szeroko rozwarte oczy Andersa wpatrywały się w Dinc.

Nic nie odpowiedziała.

Po chwili Anders chwycił ją za rękę. Tętnica na jego szyi pulsowała szybko, ale twarz mu pobladła.

– Dlaczego to mówisz, Dino?

– Bo to prawda – rzekła zwięźle i odpowiedziała mu o skrytce pod podłogą.

Dłonie Andersa zamknęły jej ręce w uścisku.

– Ile tego było? – zapytał, dysząc ciężko.

– Starczyłoby na podróż do Ameryki.

– A gdzie one teraz są? Pieniądze?

– W banku.

– Dlaczego, do jasnej cholery, on to zrobił?...

– Chciał mieć kapitał.

Anders wpatrywał się w nią.

– To niepojęte!

– W pewnym sensie miał rację – ciągnęła Dina. Te słowa jakoś same padły.

– Rację?!

– Był już i tak skompromitowany. Tą historią ze Stine.

– Ale, mój Boże...

– Musiał wyjechać. Gdzieś daleko. Nie mógł znieść myśli, że pojedzie jak żebrak.

Leo mówił przecież, że Niels wybierał się do Ameryki. Stine znalazła mapę...

Zapewne tak właśnie było. Nie mógł przecież trafić do więzienia. Hjertrud nie pozwoliłaby na to...

– Hjertrud? Droga Dino... Ale dlaczego nie wyjechał? Dlaczego...

– Powiesił się, bo wiedział, że ja wiem.

– Że ty wiesz?

– Wyznaczyłam mu termin, by zwrócił pieniądze.

– Powiadasz, że odebrał sobie życie, bo...

– Ze wstydu.

– Sądził, że oddasz go w ręce policji?

– Nie mógł przypuszczać nic innego.

– Dino! Ty go do tego doprowadziłaś?!

Anders nie mógł już z siebie wydusić ani słowa więcej. Zaciskał dłonie coraz mocniej i mocniej. Paznokcie wbijały mu się w skórę.

Dina oparła się o ławkę. Jakby się poddawała.

– Nie wiem – powiedziała ze złością i mocno zacisnęła oczy. Wtedy objął ją ramionami i mocno przytulił.

– Wybacz mi! – błagał. – To oczywiście nie twoja wina! Ludzie, którzy robią takie rzeczy, muszą wziąć na siebie odpowiedzialność. Ale że Niels... że też on mógł zrobić coś takiego. Nie mówiąc mi ani słowa...

Anders westchnął. Ale jej nie puścił. Dwoje dzieci, które dzielą wspomnienie o dawnym nieszczęściu. Na długo zatopili się w myślach.

– Ulice w Trondheim są szersze niż w Bergen – powiedziała Dina ot, tak sobie.

– Ale rozładunek jest tu o wiele trudniejszy, a przeprawa przez ten fiord to istna kara boska!

Anders był wdzięczny za zmianę tematu.

– Port jest za płytki! – dodał z naciskiem.

Oboje spoglądali na tłusty dym, unoszący się nad parowcem wpływającym właśnie do portu.

Jechali wąską boczną uliczką między nędznymi, maleńkimi domkami. Jakiś marynarz przebiegł przez ulicę tuż przed końskimi nosami, jakaś kobieta krzyczała histerycznie do tęgiego jegomościa w przyciasnej marynarce, by się pospieszył, bo parowiec już odjeżdża. Mężczyzna dyszał jak miech kowalski i upuścił swoje pudło na kapelusze. Przebiegali przed powozem tak, jakby prosili, by ich potrącić.

Powóz się zatrzymał i stangret dostał zapłatę. Dina i Anders przeszli pieszo ostatni kawałek drogi.

Tuż koło kei znów natknęli się na zwaśnioną parę. Kobieta usiłowała zmusić kapitana promu, by ich przewiózł na pokład parowca. Potykali się o ławeczki w łódce. Przez chwilę wydawało się nawet, że wyrócą tę chwiejną szalupę. Cały czas się sprzecali i pokrzykiwali na siebie nawzajem.

Długie nadbrzeże z bosmańską budką czerniło się od tłumów. Wielu ludzi szło w ślady pierwszej pary i błagało właścicieli łódek, by ich podrzucili na pokład parowca przed odjazdem. Parostatek nie mógł przybić do brzegu z powodu zagrożenia pożarowego.

Anders cieszył się, że nadarza się jakiś pretekst do wyładowania całego nagromadzonego w nim napięcia.

– Toż to filiżanka do herbaty, a nie żaden port! – narzekał nie pytany.

Dina przyglądała mu się z ukosa, nie mówiąc ni słowa.

Jakiś mężczyzna ze wzniesionym w górę nożem rzeźniczym pędził na bosaka w stronę kei, goniąc chłopaka, który ściskał kurczowo flaszkę rumu. Zjawiała się policja i zajęła się tą parą pośród krzyków i hałasów. Ludzie pierchali na boki, by nie mieszać się w podejrzaną historię. Niewiele brakowało, aby ten i ów został wdeptany między deski kei.

Anders niósł w sobie smutek. Rana Diny nie chciała zacząć krwawić. Na niebie jaśniały głębokie szczeliny w chmurach, ale słońce się nie pojawiało. Myśli padały jak deszcz.

* * *

Nazajutrz wyłynęli z portu.

Przy sprzyjającym wietrze. Mimo to Anton był w nie najlepszym humorze.

– Czuję w kościach, że zbliża się sztorm – powiedział. Stał za sterem jak nie dorżnięty w rzeźni byk.

Zostawili go jego własnym nastrojom, starając się tylko nie przysparzać powodów do fochów.

Anders i Dina mieli inne kłopoty. Zapanowało między nimi napięcie, które miało i dobre, i złe strony. Nowe, nieznanne. Rozmowa w powozie nie została zakończona. Rozbudziła coś, z czym niełatwo sobie poradzić, gdy się mieszka w jednej kajucie.

Oczy Andersa wyglądały jak werset z *Biblii* pod szkłem powiększającym. Głoszący: jesteśmy bratem i siostrą! Coś zakłóciło nasze role. Powinniśmy znać swoje myśli.

Anders przyznał się sam przed sobą do pewnych rzeczy. Że całymi latami czekał, aż Dina zacznie mu się zwierzać. Aż zacznie pytać go o radę.

A teraz zwierzyła mu się z tego, że Niels był łajdakiem. Wprawilo go to w pomieszenie i wstydził się, że woli się cieszyć ze zwierzenia Diny niż myśleć o ostatnich dniach Nielsa.

Dina zachowywała się jak sowa siedząca na drzewie, niechętna dziennemu światłu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

I Z WICHRU PAN ODPOWIEDZIAŁ HIOBOWI TYMI SŁOWAMI:
„KTÓŻ TU ZACIEMNIĆ CHCE ZAMIAR
SŁOWAMI NIEROZUMNYMI?
GDZIEŚ BYŁ, KIEDY ZAKŁADAŁEM ZIEMIĘ?
POWIEDZ, JEŚLI ZNASZ MĄDROŚĆ.
KTO WYBADAŁ JEJ PRZESTWORZA?
WIESZ, KTO JĄ SZNUREM WYMIERZYŁ?
NA CZYM JEJ SŁUPY SIĘ WSPIERAJĄ?
KTO ZAŁOŻYŁ KAMIEŃ WĘGIELNY
KU UCIESZE PORANNYCH GWIAZD,
KU RADOŚCI WSZYSTKICH SYNÓW BOŻYCH?
KTO BRAMĄ ZAMKNAŁ MORZE, GDY WYSZŁO Z ŁONA
WZBURZONE, GDYM CHMURY MU DAŁ ZA UBRANIE,
ZA PIELUSZKI CIEMNOŚĆ PIERWOTNĄ?
ZŁAMAŁEM JEGO WIELKOŚĆ MYM PRAWEM,
WPRAWIŁEM WRZECIĄDZE I BRAMĘ. I RZEKŁEM: AŻ DOTĄD, NIE DALEJ!
TU ZAPORA DLA TWYCH NADĘTYCH FAŁ”.
CZYŚ W ŻYCIU ROZKAZAŁ RANKOWI,
WYZNACZYŁ MIEJSCE JUTRZENCE...

(Księga Hioba, 38, 1-2 i 3-12)

Wydostali się z fiordu koło Trondheim i wzięli kurs na północ. Anders zauważył, że deszcz i sztorm szaleją gdzieś przed nimi. Poczuli coś w rodzaju ulgi.

Nie widzieli nic ani z prawej, ani z lewej strony, pozostawieni sam na sam z żywiołami, choć na razie otaczała ich tylko lekka mgła i porywisty wiatr.

Niepogoda nie miała jednak zamiaru się poddać. Naszła ich pod postacią ołowianoszarego upiora, niosącego północno-zachodni wiatr i deszcz.

Fale zalewały wysoki dziób „Matki Karen”. A olbrzymie cielsko statku kołysało się na grzbietach fal jak dryfująca filiżanka do kawy z urwanym uszkiem.

Drogocenny ładunek przymocowano jeszcze lepiej i przykryto, czym tylko się dało.

Młody chłopak z jednej z chałup koło Reinsnes leżał jak nieżywy w koi. Nieszczęśnik już zaczął wymiotować w pościel. Wysłuchując przekleństw i wrzasków swego sąsiada. Nikt jednak nie włączał się w ten konflikt. Każdy borykał się z własnymi problemami.

Z samego dna wielkiej i solidnej łodzi słychać było trzaski i skrzypienie. Żagle i reje zawodziły i płakały.

Godziny mijały raczej pod wodą niż na wodzie. A jednak Anton nie zamierzał przybijać do brzegu. Potraktował sytuację, jakby chodziło tu o osobistą próbę sił.

Wtedy wszystko się zawaliło.

Dina siedziała samotnie w kajucie wpijając dłonie w brzeg stołu.

Ściany co chwila zmieniały położenie.

Między uda wcisnęła poszewkę od poduszki, gdy zobaczyła, że na podłogę kapie krew. I runęła na stół.

Przeżazona kałuża krwi wciąż zmieniała kształt na niespokojnych deskach podłogi. Płynęła to na wschód albo zachód, to na północ albo południe posłuszna poruszeniom statku. Z czasem zmieniała się w lepką brunatną rzekę między szparami w deskach deku.

Czy ja jestem Dina? Która wczoraj wieczorem grała jak organy? A kaskady chorałów wydobywały się z mego ciała! Bo ja tego chciałam! Dziś noże zadają mi cięcie za cięciem. Jestem rzeką, która nie wie, dokąd zmierza. Nie ma we mnie żadnego krzyku. Płynę w przerażającej ciszy. Gdzie jest teraz Hjertrud?

Wyżłobiona w burcie podobizna Matki Karen, dostojnej kobiety z wysoką piersią i włosami upiętymi w luźny węzeł, znikwała w szalejących falach.

By się znów dumnie wyłonić. Otrząsnąć się ze spienionych zwałów wody. Raz za razem. Oczy wyrzeźbił ostrym nożem lokalny artysta z Vefsn. Spoglądały pustym spojrzeniem to w morze, to w niebo.

Anton kazał zarefować żagle. Anders jastrzębim wzrokiem śledził porywy wiatru przez przesłonę bryzgających fal.

Pogoda nie okazywała im miłosierdzia. Nie było sensu przybijać do brzegu. Wszędzie czyhały rafy i podwodne skały.

Anton zdecydował, że wypłyną na pełne morze. Nie mieli wyjścia.

Nierówny i porywisty wiatr musiał dać za wygraną, bo Anders i Anton całymi latami zgłębiali jego zwyczaje.

Za każdym razem, gdy udawało im się wyprostować kurs i przejąć kontrolę nad statkiem, Anders czuł, jak ktoś wbija mu zęby w szyję. Dina!

Co chwila zmagania ze sztormem pobudzały w nim pożądanie. Nosił je w sobie całymimi godzinami. Razem poskramiali fale, poskramiali wiatr. Statek i żagle.

Nigdy przedtem nie płynął w ten sposób w bajdewindzie. Wysunął do przodu dolną wargę. Słone bryzgi zmierzwiły mu brwi. Na zewnątrz zmienił się w rozbitka ciągniętego na linie przez morskie wody. Wewnątrz był bryłą litego żelaza. Bo choćby wszystko się waliło na głowę, on potrafi żeglować!

Dina leżała za zasłoną i nic nie widziała przez zalewane wodą szyby.

Wszystko, co nie było przywiązane, tańczyło w swoim własnym rytmie. Dina podłożyła pod siebie sztormiak i pomiędzy bólami porodowymi mocno się trzymała obiema rękami koi.

Przez okno przyszedł do niej Aleksander Puszkina, żeby jej mówić o śmierci. Która ugodziła go w podbrzusze! Miał ze sobą tom swoich poezji. Prezent od Lea. Śmiał się tak, że aż dudniło w całym wnętrzu. Potem z całej siły cisnął książką w jej brzuch. Wchodził i wychodził przez okrągłe okienko w kajucie i za każdym razem przynosił nową książkę. Książki były coraz cięższe i cięższe, miały coraz ostrzejsze kanty.

Wreszcie jej łono zamieniło się w krwawą masę, przez krawędź koi zwisały cienkie strzępki skóry.

Próbowała je jakoś zgarnąć, ale to nic nie dawało. Ten ciemny mężczyzna zjawiał się tak szybko ze swymi ostrymi książkami.

Wykrzykiwał całą nienawiść do kobiet cienkim, zdesperowanym głosem albo nazywał ją „dziwką” albo „swoją kochaną Nataszą”, zaciskając przy tym zęby.

Miał głos Lea i wyłaniał się z wielkim hałasem prosto z róży wiatrów. Jakby używał tuby. Rozsadzał jej głowę na tysiąc kawałeczków.

Był morskim potworem! Z rękami kowala i blizną Lea na twarzy. Wreszcie wyciągnął zza pazuchy strzelbę Tomasza i wycelował w nią. Bang!

Ale trafił w Hjertrud! Hjertrud stała w kącie z wielką dziurą zamiast twarzy! Jak to się stało?

Między udami Diny płynęła ciepła ciecz. Ciepło zamieniało się po chwili w lodową breję.

Wiatr się trochę uspokoił.

Dina podniosła się na tyle, że zdołała zebrać fałdy prześcieradła i przytrzymać je między nogami. Zataczając się, podeszła do drzwi i zawołała Andersa. Płuca rozsadzały jej gardło. Krzyki zamieniały się w czarownice pędzące na Łysą Górę. Przecinały morskie odmęty i wiatr.

Anders nie miał cienia wątpliwości. Coś jest nie tak.

Był przemarznięty, zmęczony, piekły go oczy. Sprowadził jednak kogoś na swoje miejsce. I przedostał się do kajuty, w której Dina wykrzykiwała jego imię wniebogłosy.

Zatrzymał się w drzwiach, by złapać oddech. Woda kapiała rytmicznie z jego ubrania przeciwsturmowego.

Południowo-zachodni wicher przetoczył po morzu najdzikszą nawałnicę parę godzin temu. Strumienie i rzeki spływały po twarzy i szyi z jasnych, sklejonych wodą włosów Andersa. Czupryna przykleiła mu się do czaszki, więc wyglądał jak rozdrażniona foka. Podbródek sterczał jeszcze bardziej niż zwykle.

Wlepił wzrok w kobietę na koi. W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć własnym oczom. Dienne światło przedarło się przez oblepione solą morską szyby i obnażyło nagie uda Diny. Białe prześcieradło było nasiąknięte krwią. Jęki przypominały odgłos wydawany przez luźno puszczony bom na wicherze. Wyciągała ku niemu ręce. Jej oczy błagały o litość.

– Boże Święty! – Osunął się na kolana koło niej.

– Pomóż mi, Anders!

Nawet nie próbowała osłonić się przed jego spojrzeniem. Chwycił ją w oszłomieniu, wydając jęki rozpaczcy.

– Rozpadam się na strzępy. Rozpadam się na strzępy tam, w środku – wyszeptwała, a jej oczy znów się zamgliły.

Anders podniósł się i chciał zawołać kogoś na pomoc. Nie zdoła przecież sam temu sprostać.

Wtedy Dina otworzyła oczy i spojrzała na niego ostro, a spomiędzy jej zębów dobyło się syczące:

– Cicho! Cicho! Ani słowa! Pomóż mi!

Odwrócił się i spojrzał na nią, nie wiedząc, co czynić. Wtedy dotarł do niego jej rozkaz. W pamięci zamajaczyła jedna i druga opowieść. O kobiecych sprawach. O kobiecych dolegliwościach. O kobiecych losach. O kobiecym wstydzie.

To na chwilę wprawiło go w osłupienie. Potem pokiwał głową. Otworzył drzwi kajuty, oczyścił głos z wielogodzinnego sztormu na Foldhavet i zawołał rozkazującym tonem do Antona:

– Dina jest chora. Tollef zajmie moje miejsce! Każcie majtkowi zagrzać trochę wody!

Anton kipiał z wściekłości, wydany na pastwę wichury. Przeklęte baby na morzu! Chorują sobie i wymiotują, zarządzają wycieczki do Trondheim, czemu nie! Sztormy i diabelskie igraszki! Nędza i kara!

Dotknięty chorobą morską chłopak przyniósł parującą wodę w drewnianym cebrzyku, ale wylał połowę po drodze. Anders czekał na niego w drzwiach. Obaj byli pobladli i roztrzęsieni. Choć z odmiennych powodów.

Chłopak nie wszedł do środka, a Anders zasłonił koję Diny kotarą. Ściągnął sztormiak i stał z nagim torsem, odbierając cebrzyk. Zarządził, by zagrzano więcej wody.

Chłopak słał się na nogach. Osłabiony chorobą morską, przerażony i smutny. Jego twarz wyglądała jak pięść, która się zмага z żelazem na mrozie.

– Pospiesz się, ty psie! – wrzasnął Anders. W tak nietypowy dla siebie sposób, że chłopak polecił piorunem.

Dina całkiem zamilkła. Pozwoliła, by ją odwrócił, żeby wydobyć spod niej zakrwawioną pościel. Sądził, że krew przesiąknęła na wskroś.

Kajuta wypełniła się słodkawym, odurzającym zapachem. Anders poczuł mdłości. Ale zdławił je.

– Co za diabeł tak cię urządził? Kto to zrobił? Rosjanin?

Myśli wirowały w jego głowie, gdy mył i opatrywał Dinę. Nigdy nie zbliżył się tak bardzo do kobiety. Nie w ten sposób... Zachowywał się niezręcznie, ogarnęła go zarazem nieśmiałość i gniew.

Pod czystym prześcieradłem wydobytym ze skrzyni Diny rozpostarł stary płaszcz nieprzemakalny, potem ułożył ją z powrotem na pościeli. Stawała się coraz cięższa i bezwładna. Nie otwierała oczu, dyszała tylko z trudem i chwytła go za nadgarstki. Musiał uwalniać się z uścisku, żeby jej pomóc.

Krew nie tryskała już tak gwałtownie. Płynęła jednak równą strużką. Kopnął pobrudzoną pościel w kąt czubkiem buta.

Pośród czerwieni dojrzał nagle coś niebieskawego, błonistego. Zadrzał. Komu, do cholery, mają za to dziękować?! Zaciśnął zęby, żeby nie wykrzyknąć na głos tego pytania.

Dina już straciła przytomność. Krwawiła chyba od dawna. Żeby tylko nie... Zatrzymał tę myśl w pół drogi. Wsunął jedynie dolną wargę i wepchnął szorstką bluzę między nogi Diny. Wełna wchłania wszystko. Przyciskał bluzę z całej siły do jej pochwy. W rytm wszystkich modlitw, jakie znał.

Od czasu do czasu odzyskiwała świadomość i patrzyła na niego przezroczyście wzrokiem. Przerazenie pełzło po podłodze, by wdrapać się do nich na łóżko.

Wtedy zaczął się modlić na głos, po cichu.

Wiatr nieco osłabił i statek kołysał się uciążliwie na pełnym morzu.

Anders zauważył, że poradzili sobie z żaglami bez niego. Dzięki temu napięcie trochę opadło. Ale ona wciąż krwawiła.

Zaczęli się zjawiać marynarze, chcieli wejść. Jeden za drugim. Anders przyjmował wszystkich w drzwiach. Kazał przynieść ciepłą zupę i gorącą wodę.

W końcu Anton zawołał, że zaprasza panią na Reinsnes na pokład, żeby mogła wymiotować do morza jak cała reszta.

Anders gwałtownie otworzył drzwi i zamachnął się pięścią tuż obok twarzy sternika. Potem zatrzaskał drzwi i niewiele brakowało, by zmiażdżył nimi wielki nos Antona.

Na dworze zapadła cisza. Kliper pruć fale. W kajucie pojawił się garnek z zupą. I woda. Załoga dawała sobie radę z brasowaniem. Wszyscy pojęli wreszcie, że tu chodzi o coś poważniejszego niż zwykła choroba morska. Wrócili do swoich obowiązków.

Godziny dłużyły się jak doby. Na niebie pojawiło się słońce, a wiatr przeniósł się na południe.

W kajucie Dina zdrzemnęła się po tym wszystkim. Krwawienie wreszcie ustało.

Anders, który już zarzucił próby utrzymania jej w czystości, mógł wreszcie unieść ją nieco i ułożyć jakiś świeży podkład na starym płaszczu nieprzemakalnym. Trzymała go za szyję, gdy ją podnosił. Cały czas sprawdzał, czy znów nie zaczyna krwawić.

Dina nie próbowała się osłaniać. Po wielu godzinach w kałuży krwi nie było to już konieczne.

Godność Diny najwyraźniej nie zależała od tego rodzaju rzeczy. Złożyła wszystko w ręce mężczyzny. Od czasu do czasu omdlewała. Ale po chwili wracała do siebie i wołała go cichym głosem. W pewnej chwili wymamrotała coś, czego nie usłyszał. Chyba wołała złoczyńcę z *Biblij*. Tak. Barabasa!

Udało mu się nakarmić ją kilkoma łyżkami zupy. Wodę piła wielkimi, łapczywymi łykami. Strużki płynu spływały z kącików ust, zostawiając mokre ślady na pościeli. Miała potargane i przepocone włosy. Anders nie miał jednak pojęcia, jak temu zaradzić, więc zostawił je w spokoju.

Od czasu do czasu potrzasał nią delikatnie, żeby sprawdzić, czy żyje. Gdy zauważył, że mężczy ją światło, przesłonił okna. Mimo półmroku widział jednak, że jej twarz nabrała bladej odcienia. Pod oczami i na policzkach zaznaczyły się głębokie cienie. Pośrodku sterczał nos. Uparty i pobieleły po bokach.

Anders nie potrafił uzdrawiać ludzi. Nie umiał też się modlić. Ale tego niedzielnego przedpołudnia siedział pośród zapachu starej krwi i modlił się o życie Diny.

Załoga tymczasem poprawiała ładunek i „Matka Karen” minęła już Vegę w drodze do domu.

* * *

Czy to za sprawą modlitwy, czy też z jakiegoś innego powodu, dość że oddech Diny wreszcie się wyrównał. Długie białe palce spoczywały na pościeli. Widział żyły rozgałęziające się aż do różowych paznokci.

Dotknął delikatnie jej brwi, żeby sprawdzić, czy powieki się poruszają. Wtedy otworzyła oczy i spojrzała na niego. Blisko, bardzo blisko. Jakby właśnie się wyłoniła z mgły.

Sądził, że Dina zacznie płakać. Ale ona tylko głośno nabrała tchu i znów zamknęła oczy.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek płakała, skoro nie robi tego teraz.

Dość przerażające było to wtajemniczenie w kobiece życie. Ale w pewnym sensie cieszył się, że nie zaczęła płakać.

– Co to za piekielna choroba tam w kajucie? – chciał się dowiedzieć Anton. Sternik uspokoił się razem z wiatrem. Teraz chciałby usłyszeć, co się stało.

Anders zamknął drzwi i poszedł z nim na pokład.

– Ona jest chora. Bardzo chora. Wymiotuje i krwawi za dużo. To żołądek. Coś niebezpiecznego tkwi w jej... żołądku. Całkiem opadła z sił. Biedna...

Anton zakasał i usprawiedliwiał się, że nie przypuszczał, że to takie poważne. Ale przecież powtarzał cały czas, że baby na pokładzie...

– Ona mogła umrzeć! – powiedział Anders i kopnął beczułkę, która walała się po pokładzie. – Pilnuj lepiej majtków, niech poprzywiązują wszystko, żeby nic nie trafiło do morza. I zamknij się! To nie twoja sprawa!

– Nie wiedziałem, że to... że to takie...

– Ale teraz już wiesz!

Anders znów poszedł do kajuty. Jakby wcale nie zamierzał wracać do swoich obowiązków na pokładzie.

Anders wyrzucił potajemnie najbrudniejszą pościel za burtę. Zaczekał, aż morze uspokoi się na tyle, że nie wszyscy będą musieli być na pokładzie. Wymknął się w takiej chwili, żeby nikt nie zobaczył, co robi.

Koronki, hafty. Wyrzucił wszystko razem. Niebieskawe błony zniknęły na zawsze. Żadne z nich o tym nie wspominało. Ani słowem. Ale oboje widzieli te błonki.

Dina utkwiała w nim dwoje oczu koloru wody. Usiadł koło niej. Brzeg koi był wysoki, niewygodny. Nad ich głowami skrzypiał takielunek.

Otworzył jedno z okrągłych okienek, żeby wpuścić trochę świeżego, morskiego powietrza. Pot skraplał się u nasady jej ciemnych włosów i na smukłej szyi. Brązowawe sińce otaczały oczy, w których drżały przewrażliwione źrenice.

Na samej górze każdego z żółtawych policzków pojawiła się czerwona plama. To nie wyglądało najlepiej.

Anders widział już niejedno. Szkorbut, ospę i trąd. Wiedział, że takie policzki oznaczają gorączkę. Nic jednak nie powiedział. Wyjął tylko namoczoną szmatę i obmył Dinie twarz i szyję.

Jakieś uczucie, które chyba było wdzięcznością, zamigotało przez chwilę w jej oczach. Ale Anders nie był pewien. Z Diną nigdy nie można być pewnym. Mimo to odważył się ująć ją za rękę.

– O nic nie pytasz? – wyszeptała.

– Nie. Chyba nie pora na pytania – rzekł i odwrócił wzrok.

– Ale przecież nie jesteś taki głupi, żeby nie rozumieć?

– Nie, nie jestem taki głupi.

– Co zrobisz z tym, czego się dowiedziałeś, gdy już dobijemy do domu?

– Wyniosę cię na brzeg i zatroszczę się o to, żeby ktoś się zajął towarem i łodzią.

Mówił uspokajającym tonem.

– A potem?

– Co potem?

– Gdy zapytają, co mi się stało?

– Wtedy powiem, że zjadłaś coś trującego i wymiotowałaś krwią. Że krew uchodziła z ciebie z dwóch stron. Ale że już wszystko minęło i że to na pewno nie jest zaraźliwe!

Odchrząknął po tym długim przemówieniu i wziął również jej drugą rękę.

Całą koję przeszył nagły dreszcz. Który i jego ogarnął. Potężny i gorący. Wyglądało na to, że Dina płacze. Raczej ciałem niż oczami. Jak zwierzę. Bezgłośnie.

Anders poczuł się tak, jakby właśnie miał przyjąć komunię. Jakby ktoś miał. mu coś podarować.

Tyle lat mieszkał pod jednym dachem z człowiekiem, który nigdy nie okazywał nic oprócz gniewu i uporu. Żadnych ciepłych uczuć. Zrozumiał, że wszyscy się do tego przyzwyczaili i nikt już się me dziwił. Że wcale jej nie znają.

Objął Dinę i rozpoznał sam siebie. Poczł przytłwy siły.

Móglby teraz przepłynąć każde morze przy każdej pogodzie, którą ześle Pan. Bo zobaczył coś, co warto rozumieć.

Chciał zapłakać nad swymi zmarłymi rodzicami. Nad Nielsem. Nad własnym uporem. Który uczynił z niego kapitana klipra z Reinsnes. Choć przecież czuł nienawiść do tego przekłętego morza. Które połknęło jego rodziców i przynosiło mu nie kończące się koszmary nocne o wielkiej fali, która zabiera ich wszystkich. Chciał zapłakać nad Bogiem! Który siedział we wręgach każdej łodzi i ratował tylko siebie.

Ale trzymał ją w ramionach, aż do chwili, gdy drzenie ustało. Odgłosy z pokładu docierały do nich pod postacią odległego, nieważnego echa. Mewy skrzeczały łagodnie pod wielkim, niskim sierpniowym słońcem, które w końcu zaczęło przypiekać dach kajuty.

– Oszczędziłeś mi marszu do Kanossy przez cały kościół i tłumaczenia się z cudzołóstwa – powiedziała gorzko Dina.

– Dość już się nacierpiałeś.

– Stine nie może przyjmować komunii. Bo to już drugi raz.

– Kto liczy, który to raz? Powiedz mi, kto sam jest bez winy, żeby mógł liczyć innym grzechy? – odparł Anders.

– Niels zaprzeczył. Więc nic mu nie mogli zrobić.

– Niels nie żyje, Dino.

– Ale Stine żyje w hańbie!

– Nikt już tego nie pamięta. Nie myśl o tym. Wszystko dawno minęło.

– Niektórzy trafiają do więzienia – ciągnęła Dina.

– Nie za naszych czasów.

– Ależ tak. Kirsten Nilsdatter Gram dostała wyrok trzech lat więzienia w Trondheim za to, że ostrzygła dziewiętnaście owiec sąsiada i że zabrała z szopy cudze mięso i mąkę... Niels ukrył cały majątek... I zostawił Stine w hańbie...

Anders zorientował się, że Dina mówi od rzeczy.

– Miałem tylko jego, tylko Nielsa – mruknął raczej do siebie.

Wtedy Dina nagle oprzytomniała.

– Masz mnie – powiedziała i uściśnęła mu dłoń z niespodziewaną siłą. – Nie będziesz żałował... niczego, Anders!

Wymienili spojrzenia. Przypieczętowali pakt.

* * *

Gdy „Matka Karen” dotarła do Tjeldsundu, w dalszym ciągu nikt nie miał odwagi przeszkadzać Andersowi i Dinie. Anders dał wszystkim do zrozumienia, że tę kajutę nawiedziła śmierć. Ale zawróciła od progu.

Kucharz, bo tylko on wchodził do środka z zupą i wodą, potwierdził z zapalem, że Dina jest chora i słabowita i nie odzywa się do nikogo.

Marynarze poruszali się na paluszkach w okolicy kajuty. Żywe rozmowy i radość z tego, że dotarli wreszcie do rodzinnego wybrzeża, została wyraźnie stłumiona. Zastanawiali się nad tym, jak przetransportują panią na ląd.

Anders pomógł jej usiąść w koi, by mogła zobaczyć choć szczyptę świata.

Krajobraz był brzemienny dojrzałością późnego lata. Dina straciła płodność.

W pewnej chwili zamajaczył im spichrz wzniesiony na palach zanurzonych w morzu.

– To jest kram i przystań kupca Chnstensena. Posłał kiedyś paczkę zimowego jęczmienia na wystawę światową do Paryża! Kawał dziwaka z tego człowieka! „Zimowy jęczmień z 68,5 stopnia szerokości geograficznej północnej”, napisał na etykietce – opowiadał Anders.

Dina uśmiechnęła się blado.

Gdy zbliżali się do Sandtorv, Anders chciał przybić do brzegu, by sprowadzić doktora. Dina syknęła.

– On tylko rozpowie o tym, co się stało – powiedziała.

– Ale jeśli umrzesz, Dino? Jeśli znów zaczniesz krwawić?

– To znaczy, że tak mi jest pisane – odparła.

– Co za bluźnierstwo! Przecież lekarz nie ma prawa nic rozpowiadać, o ile mi wiadomo?

– Ludzie gadają to, co chcą, czy mają prawo, czy nie.

– Twarda jesteś! Nie obawiasz się o swoje zdrowie? Nie lękasz się śmierci?

– Co za głupie pytanie, zwłaszcza w tej chwili, Anders... Anders stał na samym środku kajuty i przyglądał się Dinie przez chwilę. Na wypadek, gdyby jednak zmieniła zdanie. Ale ona nawet nie otworzyła oczu. W końcu wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Poczuli się trochę lepiej, gdy wpłynęli do Vågsfjorden. Wciąż chciała siedzieć. Ale gorączkowe wypieki nie ustąpiły. A oczy przypominały przyćmione szkło.

Porośnięte brzoźami wzgórze otaczały białe, muskane słońcem plaże. Wysepki i szczyty górskie przepływały za oknem. Niewysokie fale uderzały o burty statku.

Dina zapadała czasami w drzemkę. Ale głowa Hjertrud rozdarta tym wielkim, ciemnym krzykiem stała tuż nad nią, a para kładła się dusznym cieniem wokół koi, aż Dina przytomniała. Więc starała się nie zasypiać.

*Jam jest Dina, która widzi nerwy na nowo narodzonym listku
brzoźowym. Ale jest już jesień. O line przerabia moją krew na soki,
które wlewa do butelek. Starannie lakuje otwory i kaie znieść
flaszki do piwnicy na zimę. Zielone butelki są ciężkie i pełne.
Dziewczęta mogą unieść tylko po jednej butelce naraz.*

Marynarzom dopisywały humory. W domu witała ich ładna pogoda. Każdy myślał o swoich sprawach. Nad lekko pomarszczoną taflą morza zawisło niebo opryskane gęstą śmietaną. Śmietana biała i dobrotliwie opływała góry i nie zatrzymywała nawet najmniejszego promyka słońca. Brzegi zatoczek i cypłe porastał las. Błyszczący zielenią po deszczu. Strandsted niedaleko Larsnes poruszało się leniwie, a pośrodku zieleni i błękitu wznosił się kościół – niegroźny, biały olbrzym.

Flaga powiewała z godnością, gdy okrążyli cypel i ujrzeli Reinsnes. Ktoś stał na czatach i zobaczył, jak wpływają do Sundu.

Anders pomagał Dinie rozczesać włosy. Ale musiał dać za wygraną. Ukryli je pod kapeluszem.

Marynarze chcieli, by Dina usiadła na desce do przenoszenia ryb. W ten sposób mogliby zanieść ją na ląd. Ale Dina odmówiła.

Gdy zobaczyli, jak się słania, wychodząc z kajuty, uwieszona na szyi Andersa, zrozumieli, że sytuacja była bardzo poważna. Nikt nigdy nie widział Diny w takim stanie.

Przypominała morskiego ptaka, co zdołał się uwolnić z sieci, w którą schwymano go już dawno temu. Kapelusz jej się przekrzywił. Za wielki i za elegancki, by znieść tę poniżającą sytuację, gdy jego właścicielkę trzeba niemal znosić na ląd jak jakiś martwy przedmiot.

Dina usiłowała poprawić wrażenie, zdobywając się na tyle godności, ile zdołała z siebie wykrzesać. Ale tylko jeszcze bardziej opadła z sił. Załoga odwróciła się dyskretnie, by jej ułatwić sprawę.

Anders pomógł Dinie przedostać się przez oblepione wodorostami, śliskie kamienie. Dina zatrzymała się na moirfent między gapiącymi się, milczącymi ludźmi. Staneła jak uparta koza, która widzi trzy zielone źdźbła trawy gdzieś wyżej, na piargu. Potem ruszyła dalej.

Matka Karen pomachała jej dłonią z ławeczki w ogrodzie. Stine stała z twarzą zwróconą ku słońcu. Ogorzałe dłonie Beniamina pochwyciły fałdy sukni Diny. Anders był u jej boku.

A Tomasz został w stajni.

Żeglarze także zeszli na ląd. Powitalne okrzyki fruwały nad rejami. Ale wszystko było jakby przytłumione. Ludzkie spojrzenia zawisły na Dinie.

– Co się stało?

Anders pospieszył z wyjaśnieniami. Spokojnie. Jakby wszystko przećwiczył po wielokroć na każdym metrze Våg fjorden. Jego muskularne ramiona drżały nieco, obejmując Dinc.

Wtedy wyciągnęli ręce i przygarnęli ją. Stine. Dziewczęta. Dina osłabła od tych gestów. Nogi nie chciały jej już dalej nieść. Ciche westchnienia rozległy się pośród wodorostów oplatających kamienie, na które upadła.

Wróciła do domu.

Dina leżała w łóżku pod opieką Stine. Nareszcie mężczyźni mogli odetchnąć.

Anders czuł, jak wielki ciężar spada z jego pleców. Wielki ciężar. Przeżył sztorm i uratował innych od zatonięcia i śmierci. Jeszcze w życiu nie przytrafiła mu się podobna podróż.

Anders nigdy nie opowiadał o swoich sprawach, więc łatwo mu przyszło przemilczeć te wydarzenia. Przejął na siebie kupieckie i gospodarskie obowiązki Diny. Ona leżała przecież w oficyynie i nie mogła urządzić przyjęcia.

Anders kazał przynieść drogocenne podarunki z przystani. Uratowane przed sztormem. Z Bergen i z Trondheim, Paki i skrzynie.

Wszyscy podziwiali maszynę do szycia dla Stine. Ozdobnie kute żelazo marki Willcox&Gibbs, z blatem z najszlachetniejszego orzecha. Dokładnie taka jak na reklamach w gazecie, za całe czternaście talarów.

Stine nie posiadała się z radości. Biegała między pokojami, klaszcząc w ręce. Jej twarz promieniała i kobieta ze cztery razy zajrzała do Diny, żeby podziękować i powiedzieć, że to za wiele.

Cały dom na Reinsnes rozbrzmiewał radosnym powitaniem. Szkło migotało i dzwoniło. Szeleścił ozdobny papier, pobrząkiwały klódeczki, szumiały tkaniny na spódnice.

Smakowano z należytą uwagą brązowy cukier i kawę. Przymierzano z podziwem chusty i szale z długimi frędzlami i wielkimi różami. Nakładano pierścienie, przypinano broszki, by zaraz je odpiąć i przypiąć gdzie indziej.

Majtek, który wrócił właśnie ze swej pierwszej wyprawy, musiał przejść swoje, bo podczas podróży do Bergen na jego brodzie pojawiły się pierwsze sygnały zarostu. Czerwienił się i chciał czmychnąć, ale dziewczęta złapały go i wywracały mu kieszenie, żeby znaleźć kawałek obwarzanka z Bergen.

Hanna tuliła lalkę o smutnej, białej twarzy. Lalka była ubrana w czerwoną aksamitną sukienkę, pelerynkę i czepiec. Ruszała jej się drewniana głowa, a także ręce i nogi. Postukiwały radośnie pod lalczynym ubraniem, gdy Hanna się poruszyła.

Beniamin dostał w prezencie parostatek przymocowany do drewnianej deski. Zabawka napełniała salon parą i dymem dzięki fachowej pomocy Andersa. Ale Beniamin miał w nosie statek parowy, jeśli to nie Dina rozpałała w nim ogień.

Puszka bergeńskich obwarzanków krążyła dookoła, aż pokazało się dno. Na podwórzu wypakowywano nowy gong ze skrzyni wyścielonej wiórkami. Nowy nabytek zawisł na osi szlifierki dla przetestowania dźwięku.

Beniamin uderzał, rozśpiewując gong. Raz za razem. Ludzie stali dookoła z uśmiechniętymi twarzami. Matka Karen wyglądała jak koronkowa firanka w oknie salonu. Emocjonowała się wszystkim dookoła.

– Ma za ostry dźwięk – stwierdziła Oline, sceptycznie odnosząc się do nowego dzwonu.

Anders twierdził, że dźwięk się zmieni, gdy dzwon zawisnie pod dachem. Brzmi lepiej, kiedy wisi na drewnianej belce.

W tej właśnie chwili zerknął w otwarte okno Diny. Powiewała w nim biała, koronkowa firanka. Zaczepiła się o szorstką drewnianą deskę po zewnętrznej stronie i trzepotała na wszystkie strony, by się uwolnić.

Przez głowę Andersa przemknęła dziwna myśl, że szkoda by było, gdyby wiatr porwał ją na strzępy...

* * *

Tego dnia Tomasz stał się niewidzialny. Przygotowywał się do tego całymi tygodniami. Już nic nie bolało. W gruncie rzeczy zawsze czuł się tak samo, gdy kliper wracał z długiej podróży.

Wielkie gospodarstwo nie może zostać bez męskich rąk w czasie kośby traw, gdy marynarze wypływają w swoją drogę. Do Bergen i do Trondheim. Gdy wracali, po obejściu kręciło się zbyt wielu mężczyzn.

Tomasz miał ważne sprawy do załatwienia w stajni i w stodole. Nie zamierzał opowiadać o tym, co się zdarzyło w gospodarstwie, o ile go ktoś nie zapyta. A na razie nikt nie zapytał.

Widział ją, gdy szła do swojego domku. Taka była obca. Bez twarzy, bez spojrzenia. Skulone w sobie ludzkie zawiniątko. Żelazne kleszcze i ostre haki na ryby wbiły się w jego ciało.

Podczas powitalnego przyjęcia Tomasz starał się kręcić tam, gdzie widział Stine. Zęby wypytać ją, co się dzieje. Co złego się stało. Czy to prawda, że Dina dostała okropnej choroby morskiej i stargała sobie żołądek podczas sztormu.

Stine pokiwała głową. Tak właśnie było. Ale najgorsze już minęło. Stine chce właśnie podać Dinie wywar ze świeżo zebranych korzeni. Dina wykuruje się... z czasem.

Jej czarne, wilgotne oczy patrzyły przez niego na wskroś, nie widząc go wcale. Skryła swoje myśli za siódmą górą i siódmą rzeką.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

JESU PRAWEGO ZAPŁATA W PODZIEMIU,
TYM WIĘCEJ GRZESZNIKA I NIEGODZIWEGO.

(Księga Przysłów, 11, 31)

Wszyscy mieli ręce pełne roboty. Trzeba było wyładować towar na ląd, dostarczyć do właściwych odbiorców, odstawić na bok albo zmagazynować.

Anton został na parę dni do pomocy. Miał zresztą pomóc wyciągnąć „Matkę Karen” na ląd. Nie planowano już żadnych rejsów przed wyprawą na Lofoty. Lepiej więc wyciągnąć łódź na brzeg, dopóki nie brakuje męskich rąk do pomocy. Pozostawianie łodzi na morzu nie należało do dobrych obyczajów. Przesiąknięte wodą drewno szybko zaczynały toczyć robaki. A przy tym pogoda nie była łaskawa dla kliprów porzuconych na wodzie, narażonych na ludzkie języki.

Tej jesieni wyciąganie łodzi na brzeg zajęło dwa dni. Nie brakowało mężczyzn i brandy. Już w 1778 roku błogosławiony amtmann Knagenhielms postanowił, że na czas wykonywania tak ważnych zadań właścicielom łodzi towarowych będzie przysługiwał większy przydział alkoholu. Anders po bratersku rozdawał wszelkie dary.

Nie przyszedł im z pomocą wiosenny przypływ, ale jakoś dali sobie radę. Za pomocą pochlebstw, przekleństw i błogosławieństw. No i przy udziale rozmaitych praktycznych ułatwień, takich jak talie, liny i kabestany. Na trzy-cztery.

O poczęstunek zadbała Oline. Nie pozwoliła im zmarnieć na sucharkach i zeschniętych z czasem bergeńskich precelkach. Szykowała sosy z solonego mięsa i rozpałiła ogień w starej kuchni, by upiec chleb i zagrać wodę do kąpieli.

Dobrze wiedziała, że solone mięso pobudza pragnienie. Ale to już nie jej sprawa. Nie żałowała syropu i kawy.

Nadciągali w łodziach, konno i pieszo. Wszyscy, którzy posłali swe towary do Bergen albo z innej przyczyny sądzili, że warto się zasłużyć, pomagając na Reinsnes.

Ten, kto przyszedł, mógł wiele zyskać. Ten zaś, kto tego zaniedbał bez powodu, tracił prędzej czy później. Tak właśnie było. Stare, niepisane prawo.

Ale na Reinsnes czekała nie tylko praca. Było to także święto. Po zakończonej pracy w przystani Andreasa zaczynały się tańce.

I jeszcze te sute poczęstunki! Śmiech. Zabawa. Służące na Reinsnes też nie były takie zwyczajne. Lepiej pilnowane niż inne dziewczęta. Ale za to delikatne i uśmiechnięte jak masło w promieniach słońca. Wszyscy tak mówili.

Anders krążył tam i z powrotem i wszystkim zarządzał. Dina leżała w swoim nowym wdowim łóżku.

W obejściu zapanował dziwny nastrój, gdy się okazało, że Dina się nie pojawi. Nie zagra, nie będzie komenderować podczas pociągania za liny, me zmarszczy brwi jak stary szewc, gdy coś pójdzie nie tak.

Zazwyczaj bowiem działy się tu rzeczy wyjątkowe, o których można było opowiadać ludziom z innych okolic. Ta wielka kobieta stała z boku z rękami wspartymi na biodrach. Inaczej niż w sąsiednich gospodarstwach.

Choroba Diny mocno wpłynęła na Matkę Karen. Przechodziła sztywnym krokiem przez podwórko, by przez parę godzin dziennie posiedzieć przy Dinie, poczytać jej, porozmawiać.

Dina przyjmowała wszystko z pogodnym spojrzeniem. Skarżyła się Matce Karen i Stine, że nie może pić wina. Że źle się po nim czuje.

Stine uznała to za dobry znak: najwyraźniej zdrowieje, skoro wspomina o winie. Matka Karen twierdziła jednak, że to bluźniercze narzekania, zważywszy na to, jak ciężką chorobę przeszła.

Oline karmiła Dinę wątróbką, śmietaną, świeżutkimi jagodami. Zęby odpędzić gorączkę i przysporzyć jej trochę krwi.

Matka Karen chciała wezwać doktora, ale Dina wyśmiała ten pomysł. Najgorsze już przecież minęło. I teraz tylko czas może jej pomóc.

Stine pomagała jej czesać włosy dwa razy dziennie, tak samo jak pomagała przy tym Matce Karen. Wiele rozumiała z choroby Diny, choć nie dawała tego po sobie poznać. Jakby słowa, które zabrzmią między ścianami, mogły sprowadzić na nią karę. Izba, wszystkie sprzęty i przedmioty miały uszy.

Stine wiedziała, komu zawdzięcza swoje miejsce na Reinsnes. Posyłała Dinie spojrzenia spod gęstych ciemnych rzęs. Spojrzenia podobne dojrzałym moroszkom w górskich moczarach we wrześniu. Bursztynowozłote. Miękkie.

Gdy Dina prosiła, by Stine przyniosła wszystkie mydełka, które jej zostały po miejskich podróżach Jakuba, dziewczyna wydobywała tekturowe pudełko i zdejmowała zeń pokrywę.

Zapach mydła wybuchał w całej izbie jak woń kwiatnych łąk, wypełniał sobą całe istnienie. Stine wygładzała poduszki i przynosiła sok jagodowy w kryształowym dzbanku.

To ona namówiła Oline, by udekorować tacę kandyzowanymi jeżynami. To ona posyłała Hannę na pastwisko po poziomki. Dina dostawała je nawleczone na żdźbło słomy, ułożone na talerzyku z pozłaczanym brzeżkiem, ustawionym na białej płócienną serwetce obok kieliszka z maderą.

Kiedyś Dina przywiozła z jarmarku pewną dziewczynę, dlatego że odkryła jej znakomity głos. Dziewczyna została na Reinsnes i miała pomagać pani w oficynie.

Teraz służąca trafiła pod komendę Oline. Intuicja podpowiedziała Stine, że Dina nie zniesie obecności tej zdrowej, dobrze zbudowanej kobiety, kręcącej się po pokojach w całej swojej krasie. Pokój wstrzymywał dech od zapachów, ruchów i zmysłowej kobiecości tej dziewczyny. Właśnie tego trzeba oszczędzić Dinie w jej obecnym stanie. Stine wywietrzyła wszystkie zapachy służącej i jej rzeczy.

Pokój oddychał więc tylko mydłami Jakuba i kojącą wonią Stine. Stine pachniała wrzosem i dobrze przewietrzonymi prześcieradłami, szarym mydłem i rozmaitymi suszonymi ziołami. Te aromaty zauważa się dopiero, gdy ich zabraknie.

Po paru dniach Dina przywołała do siebie Andersa. Zjawił się u niej bez butów, jak obcy człowiek. Jakby nigdy nie widział jej w innych okolicznościach niż w tym wielkim łóżku z koronkowym baldachimem i takąż pościelą. Jakby nigdy nie uwolnił jej od krwawiącego łóżyska, jakby nie wyratował jej z potopu podczas podróży przez Foldhavet. Stał bez czapki, z rękami założonymi na plecach, znużony.

– Czujesz się lepiej? – zapytał.

– Nie najgorzej – powiedziała i skinęła, by podszedł bliżej. – Siadaj, Anders! Musimy porozmawiać o interesach.

Ramiona opadły mu lekko, chwycił krzesło i usadowił się w przyzwoitej odległości od łóżka. Potem westchnął i uśmiechnął się szeroko.

– Nie mogłam skontrolować rachunków w składzie od czasu wyprawy do Bergen.

Anders energicznie i ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Czy mógłbyś mi w tym pomóc? Czuje się jeszcze dosyć słaba.

Anders znowu pokiwał głową. Wyglądał trochę jak ten nieszczęsny ludzik w skrzynekce meteorologicznej Matki Karen, który wysuwał się na zewnątrz i kiwał całym ciałem przy kiepskiej pogodzie.

– Wkrótce znów stanę na nogi i sama się wszystkim zajmę. Ale na razie trzeba złożyć zamówienia na zimę, wysłać ostrzeżenie wszystkim, którzy powinni zapłacić, zanim dostaną jakiegokolwiek towary. Nie będzie ich tak wielu. Sam zresztą wiesz...

Oparła się o poduszki i spojrzała mu badawczo w oczy.

– Dzierżawcy nie muszą płacić, mogą odrobić długi przed Bożym Narodzeniem.

Usta jej zadrżały, oczy zamglily się na chwilę. Wyciągnęła dłoń do przodu.

Siedział bez ruchu, jakby miał kłopoty z rozeznaniem sytuacji. Po chwili przysunął swoje krzesło bliżej łóżka i chwycił ją za rękę.

– Anders? – szepnęła nagle.

– Tak? – odparł szeptem Anders.

– Potrzebuję cię, Anders!

Mężczyzna przełknął ślinę i odwrócił wzrok. Stał się małym chłopcem z upartym podbródkiem, wysuniętą szczęką i poważnymi niebieskimi oczami. Który po raz pierwszy podszedł do ołtarza i zobaczył wielkie zapalone świece.

– Jestem tutaj – powiedział i uściśnął jej rękę między swymi dwiema.

– Musisz posłać po referendarza. Chcę spisać testament.

– Ależ, Dino, o czym ty mówisz? Nie myślisz chyba, że... Przecież wiesz, że wyzdrowiejesz.

– Śmierć nie wybiera podług wieku i stanu – powiedziała.

– Nie bluźnij.

– Nie denerwuj się. Chcę tylko spisać, co się ma stać z moim majątkiem zgodnie z moją wolą.

– Tak, tak...

– Ty dostaniesz kliper „Matka Karen”, Anders. Kliper jest twój! Przeżyje ciebie i mnie.

Anders odetchnął głęboko kilka razy.

– Mówisz poważnie? – wykrztusił po dłuższej chwili.

– Oczywiście, że mówię poważnie.

Promień światła musnął porcelanową toaletkę, kładąc cień na malowanych różach na szlaczku wzdłuż brzegu. Wspiął się po jasnych, niesfornych włosach Andersa. Obnażając siwiznę na jego skroni.

Teraz Anders nie był już człowieczkiem ze skrzynki meteorologicznej Matki Karen. Zmienił się w cherubina z pochodnią z zakładki do książek należącej do starszej pani!

– Nie doszły cię jakieś słuchy? – zapytała Dina po długiej pauzie.

– Jakież słuchy? O czym?

– Czy nikt się nie zastanawia? – spytała twardo. – Nikt się nie zastanawia, co też mi dolega?

Jego dolna warga wysunęła się.

– Nie. Nikt! Powiedziałem, co się stało. Jak się zaczęło. I jak długo trwało.

– A jeśli mimo wszystko będzie z tego jakaś sprawa? – wyszeptała Dina, wdzierając się w jego spojrzenie.

– Wtedy zaświadczę pod przysięgą – rzekł stanowczo.

Dina usiadła nagle z niezwykłą energią. Pochyliła się ku niemu i chwyciła jego dłoń obiema rękami. Przyciągnęła go mocno do siebie, trzymając jak w imadle. I patrząc mu przy tym prosto w oczy.

Przez pełen szaleństwa moment coś między nimi zadrżało. Po raz drugi zawarli pakt. Rozumieli się nawzajem.

I już było po wszystkim.

Naciągnął buty w sieni i zanurzył się w półmroku.

Jego dolna warga była dziś miękka. Zgolił brodę jak zawsze, gdy wracał z długiej podróży. Lekki rumieniec oblał tę część jego twarzy, która nie była tak opalona jak reszta.

Szedł przez podwórze, wyprostowany bardziej niż zwykle.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

REKA GORLIWYCH ZDOBĘDZIE WŁADZĘ,
A LEŃ PRACOWAĆ MUSI POD BATEM.

(Księga Przysłów, 12, 24).

Pod koniec października na drzewach nie ostał się nawet jeden listek. Śnieg fruwał nad morzem, nim jeszcze zdołał spaść na ziemię, mróz zagościł na dobre w beczce z wodą stojącej przed starą kuchnią. Do pieców podkładano od samego rana aż do chwili, gdy wszyscy kładli się spać. Polowania spęły na niczym, a borówki zamarzyły na krzakach.

Ale Dina wreszcie stanęła na nogi.

Matka Karen dostała list od Johana. Smutny list. Johan nie zadowolony się w Helgeland. Plebania leżała w ruinie. Dach przeciekał, brakowało wszelkich wygod. Nie sposób nająć jakkolwiek służącą, nawet gdyby człowiek płacił złotem. Parafianie mieli węża w kieszeni i nie kwapili się z pomocą. Gdyby Matka Karen zechciała wysupłać jakąś sumkę, dużą czy małą, by uzupełnić jego dochody ze spadku po matce, to mogłyby kupić nowy ornat i trochę pościeli.

Matka Karen zjawiła się u Diny i przeczytała jej głośno ten list z grobową miną. Załamała ręce i usiadła koło białego kafłowego pieca, otulona szalem.

– Kok ci się rozpada – powiedziała spokojnie Dina, siadając.

Starsza pani, nieco skonfundowana, usiłowała poprawić fryzurę.

Za otwartymi drzwiczkami pieca tańczyły jęczyczki ognia. Szukając wiecznie jakiegoś pożywienia.

– Nie miał szczęścia z tą parafią – powiedziała zasmucona Matka Karen i spojrzała błagalnie na Dinę.

– Nie ma wątpliwości – odparła Dina. – A teraz chciałby skorzystać z twoich pieniędzy? – dodała, spoglądając z ukosa na staruszkę.

– Niewiele mi zostało – powiedziała Matka Karen zawstydzona. – Dostał już prawie wszystko w czasie swoich studiów. Życie w Kopenhadze było takie drogie. Tak szalenie drogie...

Zakołysała się i westchnęła.

– Wiedza nie jest ciężarem, ale drogo okupionym przyjacielem – dodała.

– Może Johan chciałby wykorzystać większą część swego spadku – powiedziała Dina przyjaźnie.

– Tak, to chyba najlepsze rozwiązanie. – Matka Karen poczuła ulgę, widząc, że Dina szybko przechodzi do sedna sprawy, że nie zmusza jej do zebrania o pieniądze dla Johana.

– Porozmawiam z referendarzem i poproszę, żeby przygotował odpowiednie wyliczenia i sprowadził godnych zaufania świadków.

– Czy musimy robić to tak skrupulatnie?

– Tak. Gdy w grę wchodzi spadek, trzeba sprawy załatwiać skrupulatnie, Matko Karen. Jest wielu dziedziców na Reinsnes.

Matka Karen obrzuciła ją szybkim spojrzeniem i rzekła niepewnie:

– Sądziłam, że można to potraktować jako niewielkie wsparcie... nie odliczając tego od spadku.

Dina cisnęła starszej pani spojrzenie, które przygwoździło ją do kąta.

– Czy naprawdę życzysz sobie, by Beniamin oddał część swego spadku dorosłemu bratu przyrodniemu, wykształconemu teologowi? – powiedziała cicho, ale dobitnie.

Matka Karen skuliła się w sobie. Biały kok skierował się łagodnie ku górze. Srebrzyste loki kotływały się koło uszu. Dotknęła krzyżyka, który zawsze nosiła na szyi.

– Nie, nie, nie to miałam na myśli – powiedziała z westchnieniem.

– Tak właśnie przypuszczałam, że to zwykłe nieporozumienie – rzekła niefrasobliwie Dina. – W takim razie postaram się, by referendarz załatwił niezbędnych świadków i ich podpisy. Johan dostanie zadatek na poczet swojej części spadku. Z odliczeniem tego, co już wcześniej otrzymał.

– Nie przyjdzie mu łatwo dzielenie ojcowizny i dziedzictwa w ten sposób – rzekła starsza pani ze smutkiem w głosie.

– Nie jest łatwo żyć ponad stan. W każdym razie nie po fakcie – odparła Dina.

– Ależ Dino, przecież Johan...

– Ależ co! – odgryzła się Dina. – Miał przecież stały dochód podczas studiów i na dodatek przejadł wszystkie twoje pieniądze!

Zapadła cisza. Starsza pani siedziała tak, jakby ktoś ją uderzył. Uniosła ręce. Jakby broniła się przed Diną. Potem opuściła je na kolana. Drżały, gdy splatała je razem.

– Droga, droga Dino – powiedziała, z trudem łapiąc oddech.

– Droga, droga Matko Karen! – odpowiedziała Dina. – Johan musi popracować chwilkę albo dwie zanim umrze. Mówię to bez ogródek, choć przecież bardzo go lubię.

– Przecież spełnia swój pasterski obowiązek...

– A ja dzwigałam na swoich barkach całe Reinsnes, podczas gdy on troszczył się o swoje życie duchowe i apetyt! I nie kiwnął nawet palcem!

– Zrobiłaś się okrutna, Dino. Prawie cię nie poznaję.

– A kiedy byłam inna?

– Wtedy, gdy dopiero co wyszłaś za mąż i przesypiałaś całe przedpołudnia, nawet nie kiwnąwszy palcem.

– Od tego czasu przeszło już wiele żywotów!

Matka Karen podniosła się nagle ze swego wysokiego krzesła i postąpiła kilka niepewnych kroków w stronę Diny. Pochyliła się nad nią i pogłaskała wielką kobietę po włosach.

– Masz za dużo obowiązków, Dino. Za dużo odpowiedzialności. To prawda, święta prawda. Mnie chyba najłatwiej to zrozumieć, bo znałam cię za tamtych czasów... Powinnaś znowu wyjść za mąż. Nie jest dobrze iść przez życie samotnie, jak ty to czynisz. Jesteś jeszcze młoda...

Dina zaśmiała się cierpko, ale nie usunęła się na bok.

– Znasz może odpowiedniego mężczyznę? – zapytała, odwracając wzrok.

– Ten podróżujący Rosjanin by się nadał – powiedziała starszka.

Dina oblała się nagłym rumieńcem.

– Dlaczego to mówisz?

– Bo widziałam, jak biegasz na wzgórze flagowe, jak patrzysz na morze i zatokę, jakbyś na kogoś czekała. Bo widziałam, jak Rosjanin sprawił, że twoje oczy rozbłyły razem z ostatnią bożonarodzeniową choinką. Bo widziałam, że wpadłaś w zły humor, gdy tylko ruszył w swoją drogę.

Dina zadrżała.

– Tak, tak... Tak, tak – mruzczała Matka Karen, głaszcząc ją cały czas po włosach.

– Miłość jest szalona. Zawsze taka była. Nigdy się nie kończy. Nie kończy się nawet wtedy, gdy przechodziś próbę codziennego życia i niepogody. Boli. Czasami...

Matka Karen mówiła jakby do siebie albo do kaflowego pieca. Ogarniała spojrzeniem cały pokój, przenosząc przy tym ciężar z nogi na nogę, by dać wytchnienie jednej z nich.

W końcu opadła na oparcie fotela.

Dina nagle objęła ją ramionami i przytuliła do łona, kołysząc się przy tym łagodnie.

Starszka siedziała w jej obfitych objęciach jak mała dziewczynka.

Kołysały się nawzajem. Ich cienie tańczyły na ścianie, ogień powoli wygasiał.

Matka Karen czuła, jak powraca do niej młodość, jak znów wsiada do łódki, która ma ją przewieźć na pokład galeasa, który ją zabierze w pierwszą podróż do Niemiec w towarzystwie ukochanego męża. Poczwała zapach morza i mgły, znów wypływała z Trondhjemsfjorden ubrana w czepiec i kostium podróźny.

– On miał takie czułe wargi, mój mąż – mówiła rozmarzona, pozwalając się kołysać. – Miał takie jasne loki – dodała i uśmiechnęła się do żyłek po wewnętrznej stronie powiek. Marzenia zapulsowały czerwienią.

– Podczas naszej pierwszej podróży do Hamburga byłam już drugi miesiąc w błogosławnym stanie. Ale nic nie powiedziałam, bałam się, że nie pozwoli mi jechać.

Wszyscy sądzili, że to choroba morska – powiedziała, kipiąc od śmiechu i wspomnień.

Dina wtuliła głowę w szyję Matki Karen. Usadziła staruszkę jeszcze wygodniej i kołysała miarowo w mocnych ramionach.

– Opowiadaj, Matko Karen! Opowiadaj! – prosiła.

Za węglem domu szalał wielki wiatr. Zima przyszła już na dobre. Cienie dwóch postaci siedzących w fotelu powoli zlały się w jedno z zanurzoną w mroku ścianą. Jakub siedział cierpliwie przy nich, ale nie robił zamieszania.

Miłość tymczasem ruszyła w swe wieczne poszukiwania po rosyjskich drogach, po rosyjskich lasach i miastach.

– Przecież nie mogę się oświadczyć, Matko Karen! – powiedziała Dina w nagłym przyptywie rozpaczy w samym środku historii o tym, jak Matka Karen i jej mąż dotarli do Hamburga, jak jej błogosławiony stan wyszedł na jaw, jak ojciec Jakuba podrzucił ją do góry niczym worek z sianem, a potem złapał tak, jakby była zrobiona z delikatnego szkła.

Matka Karen zatopiona we własnej opowieści mrugnęła kilka razy.

– Oświadczyć się?

– Tak, jeśli Leo tu wróci!

– Ależ oczywiście, że wdowa po Jakubie może się oświadczyć mężczyźnie, z którym chce dzielić życie. Jakże mogłoby być inaczej! Oczywiście, że może się oświadczyć!

Jakub, zaniepokojony wybuchem starszej pani, cofnął się pod ścianę.

– A jeśli on powie „nie”?

– On nie powie „nie”!

– A jeśli to zrobi?

– Musiałby mieć jakieś ważne powody, których ja nie dostrzegam – powiedziała Matka Karen.

Dina oparła głowę o staruszkę.

– Uważasz, że go dostanę?

– Tak, nie wolno dopuścić, by miłość zniknęła z życia. Nie kiwnąć nawet palcem.

– Ale ja go szukałam.

– Gdzie? Sądziłam, że czekasz na jakiś znak życia od niego. Że dlatego miotasz się jak zwierzę w klatce.

– Szukałam go w Bergen i w Trondheim... – powiedziała Dina żałośnie.

- To byłby doprawdy szczęśliwy traf, gdybyś go zobaczyła.
- Tak...
- Czy wiesz, gdzie on może być?
- Może w Vardøhus albo jeszcze dalej na północy...
- Co tam robi?
- Nie wiem.

Na moment zapadła cisza. Potem Matka Karen powiedziała stanowczym głosem:

– Rosjanin z pięknym głosem i szramą na twarzy wróci tu na pewno! Ciekawe, skąd ma tę bliznę?

* * *

Johanowi posłano sporą sumkę. Zaliczkę na poczet spadku. Papiery opatrzone podpisami świadków.

Matka Karen słała listy. W największej tajemnicy. Usiłując odnaleźć Żukowskiego. Nie trafiła jednak na żaden ślad.

Ta detektywistyczna działalność dla dobra Diny i Reinsnes sprawiła, że starsza pani czuła się zdrowsza i potrzebna. Wzięła nawet na siebie obowiązek wprowadzania Hanny i Beniamina w tajniki czytania i pisania i namówiła Dinę, by ona zaczęła uczyć dzieci rachunków. Zima upływała pośród zasp i zapalonych świeczek, przygotowań do Bożego Narodzenia i wyprawy na Lofoty.

Pewnego dnia Dina zajrzała do stajni. Szukała Tomasza.

– Możesz wziąć wolne i popłynąć na Lofoty z Andersem w tym roku – oświadczyła niespodziewanie.

Szron przesłonił szyby. Pokrył koronką wewnętrzną stronę wrót do stajni. Między zabudowaniami szalała zamieć.

Tomasz nie miał ochoty wyjeżdżać. Świdrował Dinę niebieskim i brązowym okiem, karmiąc przy tym konie.

– Tomaszu! – zaczęła Dina łagodnie, jakby była Matką Karen. – Nie możesz przecież tkwić tu na Reinsnes i marnować się!

– Uważasz, że się marnuję?

– Nigdzie nie jeździsz. Nic nie widzisz...

– Miałem jechać do Bergen latem. I co z tego...

– I dlatego nie popłyniesz na Lofoty?

– Nie jestem lofockim rybakim.

– Kto tak powiedział?

– Ja!

– Jak długo zamierzasz się złościć o to, że nie pojechałeś do Bergen?

– Nie złościsz się. Tylko nie chcę, żebyś mnie stąd odsyłała, gdy moja obecność jest dla ciebie kłopotliwa! – powiedział prawie bezgłośnie.

Dina opuściła stajnię ze zmarszczonym czołem.

Dina nie umiała sobie znaleźć miejsca, gdy Anders popłynął na Lofoty. Krążyła niespokojnie po oficynie, nie miała z kim usiąść nad karafką wina i cygarem.

Zaczęła wstawać przed świtem i pracować. Albo siadała przy lampie nad księgą Hjertrud. Czytała po parę wersów to tu, to tam. Nie mogła się skupić.

Hjertrud przychodziła rzadko. A jeśli się pojawiała, przynosiła ze sobą ten wielki krzyk. Krzyk ogarniał całą izbę. Unosił zasłony, drżał pomiędzy szkłem. Wtedy Dina ubierała się i schodziła do przystani Andreasa, by pocieszać i szukać pocieszenia.

Brała ze sobą małą połyskującą perłami muszelkę. Pozwalała jej prześlizgiwać się powoli między swymi palcami, a światło latarni dobywało Hjertrud ze wschodniego kąta. Śledziowy włók zwiślał tam od samego sufitu. Nieruchomy, ciężki, jak żałobne myśli. Między deskami podłogi rytmicznie trzepotały fale.

Czasami Dina siadywała na przeszklonej werandzie i piła wino. Aż do chwili, gdy księżyc był już pijany, a ona się przewracała.

Gdy powróciło światło, przyjechał również Johan. Wolał uczyć dzieci na Reinsnes niż zamarznąć na kość między obcymi ludźmi, prostytutkami pozbawionymi wiary. Ale drżały mu usta i wodził wzrokiem za Dmą.

Matka Karen nie kryła przerażenia faktem, że tak po prostu nie usłuchał wołania Pana.

Johan uważał, że miał do tego całkiem poważne i wystarczające powody. Zachorował. Kaszlał wiele miesięcy i nie mógł mieszkać na targanej przeciągami plebanii. Tylko jeden piec nadawał się do użytku, kuchenny. Miał zatem siedzieć w kuchni ze służącymi i tam pisać kazania i urzędowe listy?

Matka Karen zrozumiała. Opisała sprawę w liście do biskupa, Johan tylko złożył swój podpis.

* * *

Beniamin stronił od dorosłych. Przybrał posępny wyraz twarzy. Jego ponure przekonanie, że pozjadał wszystkie rozumy, irytowało Johana do szaleństwa. Beniamin potrafił jednak zmienić się w inteligentnego i zdolnego chłopca, jeśli tylko chciał. Radością dzielił się jedynie z trzema osobami. Ze Stine, Oline i Hanną. Miał więc do dyspozycji trzy różne pokolenia, które wykorzystywał w odmiennych, acz uzupełniających się celach.

Pewnego dnia Stine przyłapała go na tym, jak z przyspieszonym oddechem i wielką pieczołowitością badał dolną część ciała Hanny, która leżała cicho z zamkniętymi oczami we wspólnym łóżku.

Natychmiast zapadła decyzja, że Beniamin będzie spał we własnym pokoju. Chłopiec płakał gorzko nie tyle z powodu rozłąki, co ze wstydu, w którym chciano go pograć.

Stine niczego mu nie tłumaczyła. Ale trzymała się swego. Beniamin miał odtąd spać sam.

Dina z pozoru nie zauważyła całego zamieszania i przyzwoliła, by słowa Stine stały się prawem.

Późno wieczorem tego samego dnia Dina wychodziła z kantorka. W świetle księżycy zobaczyła nagiego chłopca na parapecie okiennym na piętrze.

Okno było otwarte, zasłony trzepotały wokół niego jak sztandary. Poszła na górę, stanęła za Beniaminem i wypowiedziała jego imię. Nie chciał się położyć. Nie chciał pocieszenia. Nie chciał, by ktoś do niego mówił. Ale tym razem nie płakał z wściekłości, jak to miał w zwyczaju.

Oderwał podeszwy od swych najlepszych butów i powycinał różyczki i gwiazdki z włóczkowej narzuty na łóżko.

– Dlaczego jesteś taki zły, Beniaminie?

– Chcę spać z Hanną. Zawsze tam spałem.

– Ale robisz z Hanną różne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Rozbierasz ją.

– Muszę ją rozbierać, skoro ma się położyć, zawsze to robiłem. Ona jest taka mała!

– Teraz jest już na to za duża.

– Nie!

– Beniaminie, jesteś już za dorosły, by spać z Hanną. Mężczyźni nie śpią razem z kobietami.

– A Johan spał u ciebie!

Dina cofnęła się.

– Co ty mówisz? – spytała, z trudem łapiąc oddech.

– Wiem o tym. On też nie lubi być sam.

– Teraz zmyślasz! – powiedziała surowo. Chwyciła go za najwrażliwsze włosy na karku i sprowadziła na dół.

– Nie! Sam widziałem!

– Cicho! I maszeruj do łóżka, zanim oberwiesz!

Gdy usłyszał jej głos, stanął na środku pokoju jak rażony piorunem i gapił się na Dinę. Błyskawicznie zasłonił głowę rękami, jakby spodziewał się uderzenia.

Puściła go i szybko wyszła z pokoju.

Przez cały wieczór stał nieruchomo za oknem, ze wzrokiem wlepionym w oficynę.

Wreszcie Dina znów przysłała do niego. Ściągnęła rozdygotanego chłopca z okna i ułożyła w łóżku. Potem zebrała swoje spodnice i położyła się koło niego.

W łóżku z powodzeniem mogły spać dwie osoby. Musiało wydawać się przeraźliwie wielkie komuś, kto całe życie sypiał koło ciepłego ciała Hanny.

Po raz pierwszy od wielu lat Dina zobaczyła, jak Beniamin zasypia. Poglaskała go po zroszonym czole i przemknęła przez schody i podwórko, wracając do siebie.

Hjertrud potrzebowała jej tej nocy, więc Dina krążyła niespokojnie po podłodze, aż szary żagiel poranka zamajaczył za oknem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

DOWIEDZCIE SIĘ, LUDY, BĘDZIECIE ZGNIECIONE!

WSZYSTKIE KRAŃCE ZIEMI, SŁUCHAJCIE:

PRZYPASZCIE UROŃ, BĘDZIECIE ZGNIECIONE!

PRZYPASZCIE BROŃ, BĘDZIECIE ZGNIECIONE!

(Księga Izajasza, 8, 9)

Wraz z wojną krymską nastąpiły dobre czasy dla żeglugi transportowej, rybołówstwa i handlu. Załamał się jednak rutynowy handel z Rosjanami. Blokada na Morzu Białym przeciągnęła się na całe lato w zeszłym roku. Wszystko wskazywało na to, że sytuacja się powtórzy. Rosyjskie kutry nie mogły się wydostać.

Minionej jesieni kutry z Tromsø musiały płynąć aż do Archangielska po zboże.

Anders miał właściwie popłynąć na wschód tej jesieni, gdy wrócił z Diną z Bergen. Ale skończyło się na tym, że zabrał się do przygotowań do wyprawy na Lofoty i zajmował się wszystkim, „do czego się nadaje”, jak sam mawiał.

Dina śledziła wiadomości w gazetach przez całą wiosnę, zastanawiając się, czy wojna znów zmusi ich do wysłania kutrów po zboże. Usiłowała nawiązać kontakty z armatorami z Tromsø, którzy byli gotowi pomóc w zdobyciu zapasów. Ale wyglądało to mniej więcej tak, jak sprawianie żywego węgorka.

– Powinam tam pojechać sama, żeby się dogadać! – powiedziała pewnego dnia, gdy omawiała sprawę razem z Tomaszem i Matką Karen.

Wprawdzie poprzednie żniwa zakończyły się rekordowymi zbiorami w niektórych miejscach w powiecie, ale nawet to niewiele pomogło.

W Reinsnes nie uprawiano się zboża. Mieli tylko jeden niewielki zagon, bo Matka Karen twierdziła, że tak wypada. Tomasz uważał, iż więcej z tego kłopotu niż pożytku. Co roku przeklinał w jakimś kącie zboże Matki Karen.

Gdy nadszedł urodzajny rok, Matka Karen nabrała odwagi i próbowała przekonać wszystkich, że trzeba powiększyć uprawę zboża. Zwłaszcza w sytuacji, gdy zagraża im blokada.

Tego dnia triumfalnym tonem przeczytała Dmie i Tomaszowi wypowiedź *stiftsamtmanna* Motzfeldta o tym, że wojna powinna im uświadomić, jak niepewne jest powierzanie zbiorów morzu. Nawoływał, by zdobyli się na wysiłek i przetrwali bez rosyjskich worków z mąką, żeby oszczędzali chleb i uprawiali więcej zboża na własnej ziemi, by mieć co jeść w trudnych czasach.

– Ciągle to mówiłam. Że powinniśmy obsiać zbożem większe pole – zakończyła Matka Karen.

– Reinsnes nie nadaje się do uprawy zboża – odparł Tomasz łagodnie.

– Ale trzeba być samowystarczalnym w takim stopniu, w jakim to możliwe. Tak mówi *stiftsamtmann*.

W drzwiach pojawiła się Oline. Zmarszczyła brwi na widok gazety i powiedziała:

– Motzfeldt nie pracuje tyle, ile my, żeby mieć co jeść!

– Nikt z nas nie zna się na uprawie zboża – powiedziała Dina – ale możemy zasięgnąć rady w Towarzystwie Rolniczym, jeśli Matka Karen twierdzi, że absolutnie powinniśmy mieć większy łąn. Zrobimy to, co chcemy. Ale wtedy komornicy będą musieli więcej czasu poświęcić na odrobek. Czy uważasz, Matko Karen, że tak być powinno?

– Możemy przecież wynająć ludzi? – rzekła Matka Karen, która nie zastanawiała się szczegółowo nad praktyczną stroną zagadnienia.

– Musimy pomyśleć, czy to się opłaci. Nie możemy kosić siana dla tyłu zwierząt i jednocześnie uprawiać zboża. Wiadomo przecież, że tylko co drugi rok jest urodzajny tu, na północy. Mimo wszystko chyba możemy sobie pozwolić na nieco większy łąn. Można by zorać trochę więcej ziemi na południowym zagonie, choć tam trochę za mocno wieje wiatr od morza.

– Trzeba wiele pracy, by użyźnić ziemię, na której rosła brzezina – zauważył zrezygnowany Tomasz.

– Na Reinsnes najbardziej opłacalny jest handel. Wszystkie liczby dowodzą, że na tym najlepiej zarabiamy – powiedziała Dina. – Matka Karen ma dobre intencje, ale sama nie zna się na zbożu, choć spotkała kiedyś *stiftsamtmanna* i polubiła go.

– *Stiftsamtmann* nie ma pojęcia o tym, że my nigdy nie możemy być pewni, czy przymrozki nadejdą wystarczająco późno! – orzekła Oline.

Matka Karen poczuła się winna, choć nie rozżłościła się.

Gdy Anders wrócił z Lofotów z załogą i połowem zarówno w barkasie, jak i w kliprze, Dina wybrała się w interesach na północ, do Tromsø.

Wyglądało na to, że wojna potrwa jeszcze jakiś czas, trzeba więc było przygotować się na transport mąki z Archangielska, wedle opinii Diny.

Nie powinni powtórzyć ubiegłorocznego błędu, kiedy to rosyjską mąkę kupowali za ciężkie pieniądze od kupców z Tromsø, którzy zatroszczyli się o przygotowanie odpowiednich zapasów. Dina postanowiła, że w tym roku sama odwiedzi niedźwiedzia, wywabi go z kryjówki i postara się wywalczyć sobie własny kawałek skóry.

Chciała uniknąć kolejnej zimy, podczas której trzeba płacić od czterech do sześciu talarów za żyto i od trzech do sześciu za jęczmień. Anders popierał jej plany.

Przeliczyli więc zyski z wyprawy bergeńskiej i lofockich połowów. Określili nadwyżkę, którą można bezpiecznie przeznaczyć na zakup mąki w Archangielsku. Miejsca w magazynach im nie brakowało.

Dina miała zamiar kupić więcej mąki, niż potrzebowali do własnego użytku i na sprzedaż w składzie. Uważała, że przyda się jakaś rezerwa na chude czasy, które nadejdą na przednówku. Nie ma przecież pewności, że mąki nie zabraknie w Strandsted albo w Tjeldsund.

Anders uważał, że jeśli Dina zaoferuje kupcom w Tromsø gotówkę, gdy będą potrzebowali pieniędzy na zakupy, zyska lepszą pozycję w negocjacjach na temat ceny mąki.

Wielu kupców przywozi ziarno z Archangielska, całkiem nieźle na tym wychodząc. Oni mogą więc z powodzeniem zacząć od tych, z którymi już dawniej prowadzili interesy. Trzeba tylko nawiązać bezpośredni kontakt.

Anders nie wątpił, że Dina poradzi sobie z tym lepiej niż on. Powinna tylko trzymać swój ostry język na wodzy. Kupcy z Tromsø znacznie szybciej rozumieją jej aluzje niż ich bergeńscy koledzy po fachu. Nie powinna o tym zapominać.

Trudno sobie wymarzyć lepsze zadanie. Dina nie wspomniała o tym, że wybiera się również na północ do Vardøhus. Wiedziała o tym tylko Matka Karen. Dina nie miała pojęcia, jak się dostanie z Hammerfest do Vardøhus. Ale powinien się nadarzyć jakiś statek płynący wzdłuż wybrzeża na wschód.

* * *

Fakt, iż Dina wypłaciła Andersowi procent od zarobku na transporcie do Bergen i na dodatek pozwoliła, by na własną rękę prowadził handel drewnem, które spławiła z Namsos, zrodził niezliczone spekulacje i wiele zazdrości.

Czyżby między nimi było coś, o czym nikt nie wie? Coś, co kryje się przed światłem dziennym?

Plotki nabrały rozmachu. Zwłaszcza wówczas, gdy Anders został oszukany przez jednego z handlarzy drewnem z Namsos i Dina pokryła jego długi. Anders zapłacił za drewno, które przywiózł poprzedniej wiosny, nie wiedząc, że handlarz tymczasem zbankrutował i sprzedał mu towar, który nie był już jego własnością. Nowy właściciel upomniał się o to drewno. A że Anders nie miał żadnych świadków rozliczeń z handlarzem z Namsos, nie pozostawało mu nic innego, jak zapłacić za towar jeszcze raz.

Wiosną ta historia zaczęła przypominać jeszcze ciepły krowi placek. Muchy bzycały nad nią zawzięcie. Ludzie wkładali w opowieść całą swą wyobraźnię.

W tej historii musiało być coś szczególnego, skoro Dina Grønelt, zazwyczaj taka skąpa w interesach, podzieliła straty swego kapitana. I nie dość na tym, bo przecież sporządziła jeszcze testament, w którym zapisała mu swój najlepszy kliper.

Niezbyt pochlebne plotki dotarły do uszu Matki Karen. Starsza pani wezwała do siebie Dinę, założyła ręce na piersi i zapytała, co znaczą te pogłoski.

– A gdyby rzeczywiście tak było? Że jest w tym coś szczególnego? Kto ma prawo się do tego mieszać? – rzekła Dina.

Ale ta odpowiedź nie zadowoliła Matki Karen.

– Czyżbyś rozważała ewentualne małżeństwo z Andersem?

Dina najwyraźniej musiała się opanować.

– Czy zyczysz sobie, Matko Karen, bym wyszła za mąż za dwóch mężczyzn jednocześnie? Przecież z twoim błogosławieństwem mam jechać na poszukiwanie Lea?

– Powinnaś zrozumieć, że nie wolno prowokować plotek. Właśnie dlatego cię wypytuję.

– Ludzie muszą sobie pogadać, gdy nie mają nic innego do roboty.

Ale myśl została już ubrana w słowa. Myśl o tym, że Anders mógłby zostać panem na Reinsnes.

Dina stanęła pod belką, na której powiesił się Niels, i przywołała go.

Niels zjawił się potulnie z naręczem wyjaśnień. Dina nie przyjmowała do wiadomości żadnych tłumaczeń. Powiesiła go po prostu na stryczku i popchnęła tak, by rozkołysał się jak wahadło bez zegara.

Przypomniała mu, że wcale nie jest bezpieczny, choć już nie mieszka na Reinsnes. Ponieważ jego dobre imię zależy tylko od niej. Przed pójściem do łóżka Dina dała mu bardzo wyraźnie do zrozumienia, że jeśli natychmiast nie ukróci wszelkich pogłosek, to ona złapie go za słowo. Wyjdzie za mąż za Andersa. Z całą pompą, w uroczystej atmosferze.

Niels opadł z sił, zaczął się oddalać i wreszcie zniknął z całym swoim przybytkiem.

Jeśli nawet pogłoski dotarły do Andersa, to on w każdym razie robił swoje i promieniał niczym pogodny dzień.

Doradzał Dinie, kogo powinna odwiedzić, żeby kupić mąkę, i wymieniał nazwiska tych, z którymi w żadnym razie nie powinna robić interesów. Pochylał się wraz z nią nad spisami towarów i rachunkami. Wodził wzrokiem za jej dłonią, wcale się z tym nie zdradzając.

Zastanawiali się, ile mogą zapłacić za rosyjską mąkę, nie windując przy tym niebotycznie cen w swoim składzie i nie tracąc na tym interesie. I jeszcze nad tym, jaką ilość mąki opłaca się trzymać w magazynach do przednówka.

Jego ręce wędrowały przez gęstą ciemnoblonde czuprynę, od czasu do czasu energicznie kiwał głową, żeby podkreślić to, co mówi. Miał błyszczące i szeroko otwarte oczy. Wyglądał tak, jakby właśnie przyjął komunię świętą i otrzymał pełne rozgrzeszenie.

Gdy już zakończyli rozmowę, Dina nałała po kieliszku rumu i zapytała Andersa prosto z mostu, czy słyszał krążące plotki.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– Doszły mnie słuchy o tym, że ludzie ze Strandsted i komornicy próbują postawić na ślubnym kobiercu pewnego kawalera z Reinsnes. Ale to nic nowego.

– A co ty na to?

– Po prostu nic.

– Czekasz, aż wszystko na razie przyschnie? – ciągnęła Dina.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Potem zamknął księgę rachunkową bez słowa.

– Uważasz, że takie plotki są zabawne? – zapytała Dina po chwili.

– Nie – odpowiedział w końcu. – Ale też wcale mnie nie martwią.

Spojrzał na nią zaczepnie. Wtedy się poddała. Oboje się roześmiali. Stuknęli się kieliszkami ze śmiechem. Trudno jednak było uznać tę rozmowę za niebyłą.

* * *

– „Książę Gustaw” wygląda jak kobieta – oznajmił Beniamin, zakładając kciuki za szelki ruchem, który podpatrzył u Andersa.

– To tylko galion na dziobie, a nie ten prawdziwy książę Gustaw – powiedziała Hanna i wyciągnęła szyję jak zaciekawiony gronostaj, żeby nic nie przegapić.

Chciała objąć Beniamina, ale ten się wyrwał i popędził do Diny, która stała już na pomoście w stroju podróznym.

– Ten „Książę Gustaw” to baba! Pojedziesz z tą babą?! – wrzeszczał z wściekłością do Diny, a kopnięty przez niego kamyk przeleciał tuż koło głowy Stine.

Dina się nie odezwała.

Beniamin nie dawał za wygraną, choć wielu ludzi zjawilo się, by Dinę pożegnać.

– Znowu wrócisz do domu jak kruk! – krzyczał pośpiesznie.

– Uspokój się już – powiedziała Dina cicho i niebezpiecznie przyjaźnie.

– Ostatnim razem przeleżałaś w łóżku wiele tygodni, gdy w końcu wróciłaś do domu.

Beniamin nie krył łez.

– Tym razem tak nie będzie.

– Skąd wiesz?

– Bo wiem!

Rzucił się na nią, zawodząc na cały głos.

– Beniamin, robisz za wiele hałasu! – rzekła Dina, kładąc mu rękę na karku.

– Po co tam jedziesz? – wściekał się. – Matka Karen mówi, że tam jest zima przez cały rok. I tylko mewie gówna i hałasy – orzekł z nutą triumfu w głosie.

– Bo muszę! I chcę!

– A ja nie chcę!

– Słyszę.

Szarpał ją i ciągnął, wrzeszczał i miotał się, gdy wsiadała do łodzi i gdy Tomasz odepchnął szalupę wiosłem od dna.

– Ten młody człowiek bez żenady okazuje swoje uczucia – zwróciła się Dina do Tomasza.

– Chce mieć matkę w domu – rzekł Tomasz, odwracając wzrok.

– Pewnie tak.

Dina przytrzymała kapelusz, gdy łódź płynęła pod wiatr, zbliżając się szybko do parowca dzięki długim, mocnym pociągnięciom wiosel.

– Zajmiesz się wszystkim? – spytała przyjaźnie Tomasz. Jakby był dalekim krewnym, którego musi prosić o przysługę.

– Pewnie damy sobie radę. Ale nie będzie łatwo, skoro Anders popłynął do Bergen i ty także wyjeżdżasz. Trzeba przydzielić pracę wielu ludziom... podczas sianokosów i w ogóle...

– Poradziłeś sobie poprzednim razem – zauważyła Dina.

– Tak – odpowiedział krótko.

– Mam do ciebie zaufanie. Opiekuj się dobrze koniem – dodała. – Weź go na przejażdżkę od czasu do czasu.

– On nie pozwala, by go dosiadał ktokolwiek poza tobą.

Dina nie odpowiedziała.

– Czy to nie Matka Karen siedzi tam na górze w oknie sypialni? – zapytała, machając ręką w stronę domu.

Przestronny, dymiący parowiec otrzymał nazwę „Księżę Gustaw” na cześć najmłodszego syna księcia Oskara.

Dlatego właśnie dziób zdołała ta puciołowata figura. Niezbyt piękna, ale rzucająca się w oczy. Imię księcia widniało na kole łopatkowym parowca. Wykaligrafowane starannie i zwieńczone koroną.

Koło zaczęło się obracać. Jak na komendę na ładzie zatrzepotały czapki i chusteczki. Zaszumiały głosy. Dina uniosła dłoń, w której trzymała białą rękawiczkę.

Wielki żywopłot w ogrodzie kołysał się na prawo i lewo, choć prawie wcale nie było wiatru.

Tam właśnie siedział i wył Beniamin. Wył i potrząsał krzewami. Maltretował je i niszczył. Deptał i targał gałęzie. Zęby to widziała i martwiła się.

Dina stała z uśmiechem na ustach. Leciutka bryza musnęła pomarszczoną tafłę morza. Parowiec płynął na północ. Z błogosławieństwem Matki Karen. Czy to pomoże?

Dina przywitała się z kapitanem, gdy dotarli do Havnvik. Odwlekała to spotkanie z mężczyzną obdarzonym bujnymi, grubo przetykanymi siwizną bokobrodami, zwanym Lousem.

Zamiast niego ujrzała jednak wysokiego mężczyznę, który przypominał konia pociągowego zarówno z wyglądu, jak i sposobu poruszania się. Z wielkiej, pociągłej twarzy śmiało wysuwał się nos. Usta przypominały końskie wargi. Obfite, ruchliwe, rozdzielone ciemną rysą, jak piersi starej kobiety. Pod krzaczastymi brwiami kryła się para okrągłych, dobrotliwych oczu.

Mężczyzna zachowywał się elegancko i wyraził ubolewanie, gdy Dina spytała o starego kapitana. Stuknął obcasami i podał jej dłoń, która absolutnie nie pasowała do reszty jego postaci. Dłoń smukłą i kształtną.

– David Christian Lysholm – powiedział, omiatając Dinę jednocześnie niebieskim spojrzeniem.

Oprowadził ją po statku z miną właściciela. Wychwalał północną krainę, jakby była to posiadłość Diny, w której on gości.

Tu, na północy, wciąż trwają stare, dobre czasy. Wytworni pasażerowie mogą podróżować w sposób godny ich stanu po tej części Norwegii. Co jest zupełnie niemożliwe ze względu na fatalne drogi na południu kraju, twierdził kapitan. Tak, tak.

Głaskał błyszczące mosiężne poręcze i przytakiwał własnym słowom. Zapytał, czy może zapalić fajkę w towarzystwie damy.

Dina odparła, że nie widzi przeszkód, chętnie też zapaliłaby własną. Kapitan wyglądał jak księżyc w nowiu i zapomniał języka w gębie. Dina nie przyniosła jednak fajki, którą miała w kajucie. Nie warto robić wokół siebie tyle zamieszania.

Trzymali się wciąż w pobliżu mosiężnej poręczy, która oddzielała pasażerów pierwszej klasy od „całej reszty”.

Każdy dostaje miejsce godne swego pochodzenia, a nie zawartości portfela, twierdził kapitan. I podał jej ramię z największą naturalnością.

W Havnvik czekały na nich niewielkie łodzie wypełnione młodymi ludźmi.

Kapitan stanął, prawie na baczność, by powitać jedyne go pasażera, który miał wsiąść na pokład. Urzędnika królewskiego. Nowy pasażer stanął na pokładzie, trzymając teczkę ze świńskiej skóry i roztaczając wokół siebie atmosferę władzy.

Panowie przywitali się jak starzy znajomi, Dinie przedstawiono urzędnika.

Poczmistrz stał tymczasem koło drabinki i dyskutował z miejscowym kupcem na temat dwóch listów, na których brakowało niezbędnych znaczków. Musiał pobrać cztery szylingi porto.

Rozległ się trzeci gwizdek i zawirowały koła łopatkowe. Już sunęli po słonym morzu. Ludzie na brzegu wyglądali jak mrówki, górskie szczyty przepływały majestatycznie.

Podróźni przyglądali się sobie nawzajem, gdy sądzili, że nikt tego nie widzi. Jedni z nieokreślonym wyrazem twarzy, inni z ciekawością albo badawczo. Każdy miał jakiś własny powód do podróży.

– Co też pana sprowadza na północ? – pytał kapitan starostę.

Okazało się, że Rosjanie przekroczyli granicę dzielącą Norwegię od rosyjskiej Laponii w dwóch albo trzech miejscach. Mieszkańcy północy narzekali na obecność i zachowanie obcych na norweskim terytorium. Ba, najeźdźcy twierdzili nawet, że ta ziemia należy do Rosji. Dotarli już aż do Tany. I lokalne wysiłki zmierzające do ich usunięcia nie przyniosły jak na razie wielkich rezultatów. Dlatego starosta wybrał się na północ.

– A jak się zachowują, agresywnie czy pokojowo? – spytała Dina.

– Tak czy siak, przyczepili się jak pijawki! – odparł przedstawiciel władzy królewskiej.

Do towarzystwa dołączył poczmistrz, żując w zamyśleniu wąsik i skubiąc czapkę. Słyszał, że Rosjanie zachowują się tak, jakby te północne ziemie należały do cara, i że niejeden mieszkaniec Finnmarku im sprzyja. Bo też władze w Christianii wcale nie zachowują się przyzwoicie w tej sprawie. Przebiegłi rosyjscy dyplomaci wszystko załatwili. A rząd nawet nie kiwnął palcem. Rząd nie ma o niczym pojęcia. Nikt z jego członków nigdy nie był na północy.

Poczmistrz skłonił się dostojnikowi ze trzy razy podczas tej przemowy. Jakby właśnie przyszło mu do głowy, że wcale nie jest pewien, czyją stronę weźmie rozmówca: rządu czy mieszkańców północy. Lepiej więc zachowywać się uprzejmie, niezależnie od własnej opinii.

Kapitan się zasepił. W, przeciwieństwie do starosty. Tamten spojrzął na poczmistrza dobrotliwie i powiedział:

– Bardzo długi jest ten kraj. Trudno kontrolować wszystko, a zwłaszcza Finnmark, z pewnością musi zachowywać poprawne stosunki z Rosją. Zboże i liny, które pochodzą z Rosji, to bardzo ważne towary. Ale rzecz jasna wszystko ma swoje granice. Nie wolno dopuścić do inwazji.

Urzędnik odwrócił się do Diny i zapytał, jak sprawy stoją w jej stronach. I jak się miewa referendarz. Dina odpowiedziała zwięźle:

– Referendarz nie przechorował w życiu nawet jednego dnia, jeśli nie liczyć tego, że jego serce czasami wypada z rytmu. Wiosna minęła nieciekawie: dokuczał nam śnieg i nieurodzaj. Ale to już minęło.

Urzędnik najwyraźniej się ubawił. Zmarszczki na jego twarzy rozbiegły się nieco i poprosił Dinę, by pozdrowiła od niego referendarza, jeśli go zobaczy wcześniej niż on.

– Co się dzieje z tym piratem, który grasował w Raftsund jakiś czas temu? – zapytała Dina.

– Sprawa trafi na wokandę jesienią. Ale wszyscy siedzą skuci w Trondheim.

– Czy to prawda, że były tam też dwie kobiety? – dociekała Dina.

– Tak, prawda. Zdaje się, Cyganki.

– W jaki sposób przewozicie takich niebezpiecznych więźniów do Trondheim?

– Trzeba kilku rosnących mężczyzn i kajdan, żeby ich przetransportować – powiedział starosta, obrzucając ją zdziwionym spojrzeniem.

Dina nie odezwała się więcej, a panowie rozpoczęli tradycyjną rozmowę o pogodzie.

Jeśli nie liczyć służących i dwóch młodych dziewcząt, siostr, podróżujących trzecią klasą, Dina była jedyną kobietą na pokładzie.

Wycofała się do swojej damskiej kajuty w pierwszej klasie, którą na razie zajmowała sama. Otworzyła torbę podróżną i starannie dobrała strój i biżuterię. Upięła nawet włosy i zasznurowała gorset. Nie włożyła jednak kapelusza. Okręciła się i pokiwała głową.

Na pewno uda się jej zabrać na wschód z tym starostą! Potraktuje ten wieczór jak partyjkę szachów.

Na statku płynęli dwaj piloci. Ale tylko jeden nich był całkiem trzeźwy. To powinno wystarczyć, zdaniem kapitana. Drugi wietrzył się pod pokładem. Z jednym pilotem na mostku kapitańskim i z drugim pod pokładem statek płynął bezpiecznie.

W rozmowach panowało pomieszanie języków. Mówiono po niemiecku, po angielsku i po duńsku – oprócz norweskiego.

Pasażerowie trzeciej klasy skupili się wokół czarnego komina. Siedzieli na pudłach i skrzyniach. Niektórzy drzemali, korzystając z dobrej pogody. Inni rozłożyli jedzenie i spokojnie konsumowali zapasy.

Owiewał ich dym z komina, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Jedna z dziewcząt robiła coś na drutach z brązowej włóczki. Spod chustki wysuwały się na czoło rude, rozczochrane włosy.

Jej siostra pilnowała skrzyni z roślinami w doniczkach, które zdołała zabrać na pokład, czyniąc mnóstwo hałasu i zamieszania. Goździki i geranium. Kwiaty zdawały się zadziwiająco żywotne. Przewieszane przez krawędź skrzynki, jaskrawozielone z czerwonym kwieciem, zmieniły pokład trzeciej klasy w bujnie obrośnięty parapet okienny.

Dina stała na mostku i patrzyła przez chwilę w tamtą stronę. Potem zeszła na dół do jadalni, w której czekał nakryty stół. Na kolację podano rybę. Przystawki z łososia i śledzia. Szynek, ser, chleb i masło. Kawę, herbatę, piwo.

Na środku stołu czekała spora flaszka wódki. Tego alkoholu nigdy nie podawano na Reinsnes. Dina próbowała go już w Bergen. Trunek wydał jej się za słodki.

Dwaj służący i jedna dziewczyna przemykali się tam i z powrotem, napełniając talerze i wymieniając puste butelki na pełne.

Dina zawahała się w drzwiach dokładnie tak długo jak trzeba. Kapitan wstał i zaprosił ją do stołu.

Pozwoliła się poprowadzić na miejsce. Wyższa o pół głowy niż większość obecnych mężczyzn. Podnosili się sztywno i, stojąc, czekali, aż Dina usiądzie.

Dina się nie spieszyła. Jakub był koło niej i szeptał jej do ucha, co powinna robić. Podała wszystkim kolejno dłoń, patrząc im prosto w oczy.

Pewien Duńczyk z nadmiarem skóry na twarzy przedstawił się hrabiowskim tytułem i nie chciał wypuścić jej dłoni. Najwyraźniej już skorzystał ze stojących na stole trunków.

Na sąsiednim krześle leżało futro duńskiego hrabiego, który podróżował ze służącym.

Dina napomknęła, że chyba jest za gorąco na tak ciepłe okrycie o tej porze roku.

Duńczyk twierdził jednak, że podczas podróży morskiej w północne strony może się przydarzyć każda pogoda. Potrzebował zaiste niewiele czasu, by opowiedzieć o tym, że ma tytuł doktora nauk filozoficznych i jest członkiem Kopenhaskiego Towarzystwa Literackiego. Jego zdaniem mieszkańcy północnej Norwegii są mili i wcale nie tak prostacy, jak się obawiał. Choć niewielu z nich mówi po angielsku.

Hrabia gestykulował z ożywieniem w taki sposób, by wszyscy zobaczyli jego pierścienie.

Czoło Diny przybrało wygląd świeżo zaoranego zagonu kartoflanego, co jednak nie poruszyło w żaden sposób mężczyzny trzymającego ją za rękę.

Wreszcie udało jej się uwolnić, gdy starszy pan o twarzy zaróżowionej jak oblicze chłopca, który przez cały dzień bawił się na mrozie, wyciągnął do niej dłoń i uklonił się.

Ten niewysoki, korpulentny jegomość mówił po niemiecku. Przedstawił się jako szambelan i artysta, wskazując przy tym głową szkicownik leżący na stole. Przez cały wieczór patrzył w stronę Diny, niezależnie od tego, z kim rozmawiał. Wyglądał jak zezowaty kupiec z Hamburga. Ale okazało się, że ma wiele różnorodnych talentów.

Przy stole siedział także właściciel angielskiego gospodarstwa rybnego, specjalizującego się w połowie łososi. Choć w zasadzie zajmował się pośrednictwem w handlu nieruchomościami. Opowiadał, że wiele podróżuje.

Dina powiedziała, że o ile wie, Anglicy w ogóle dużo podróżują. Bo na wybrzeżu co krok trafia się na Brytyjczyka.

Kapitan służył jako tłumacz. Pośrednik w handlu nieruchomościami zachichotał i pokiwał głową. Siedział cały czas z krzywym uśmiechem, gdy tymczasem inni panowie zabawiali Dinę wedle wszelkich reguł sztuki towarzyskiej.

Wreszcie można było rozpocząć posiłek.

Jam jest Dina. Czuję wszystkie fałdy mego ubrania. Wszystkie szwy. Wszystkie pory na skórze. Czuję siłę szkieletu i sprężystość skóry. Czuję długość każdego włosa. Tyle czasu minęło od chwili, gdy ostatnio opuściłam Reinsnes! Wciągam w siebie morze. Niosę Hjertrud przez wichry i dymy!

Podczas prawie całego posiłku wszyscy panowie zwracali się do niej. Rozmowa toczyła się w łamanych językach. Ale każdy robił, co mógł, by w niej uczestniczyć.

Duńczyk ze swymi arystokratycznymi tytułami szybko odpadł. Najwyczejniej w świecie zasnął. Starosta zapytał Dinę, czy ma kazać usunąć go z jadalni.

– Śpiący mężczyźni rzadko przysparzają kłopotów – odparła.

Panowie najwyraźniej odetchnęli z ulgą, przekonawszy się, że dama wyrozumiale traktuje tego rodzaju sprawy. Niewymuszona rozmowa potoczyła się więc dalej.

Kapitan zaczął opowiadać o Tromsø. To żywe miasto – każdy znajdzie tam coś dla siebie. Najwspanialsze miejsce na całym wybrzeżu.

– Warto odwiedzić pana Holsta, brytyjskiego wicekonsula! Ten Holst jest wcale majątny – dodał w zaufaniu. – To właściciel terenu leżącego po drugiej stronie cieśniny...

Wszyscy uważnie słuchali, kogo warto odwiedzić w Tromsø.

– Niektórzy kupcy prenumerują angielskie gazety – kontynuował kapitan, zwracając się do Anglika. – A na hotel Ludwigsena nie można narzekać. Jest całkiem, całkiem. Mają tam nawet salę do bilardu! – dorzucił, kiwając głową w kierunku tych, którzy nie mogli liczyć na wizytę w domu brytyjskiego wicekonsula.

– Ludwigsen jest także kapitanem i mówi po angielsku – opowiadał.

Inni przyjęli to grzecznie, ale bez entuzjazmu. Po chwili zaczęli rozmawiać po cichu między sobą.

Lekkie szturchnięcie w ramię obudziło Duńczyka. Rozejrzał się z zawstydeniem i usprawiedliwiał faktem, że bardzo wcześnie wyszedł rankiem na pokład. Zorza polarna go obudziła.

Dina zasugerowała, że może to było już poranne słońce. Ale Duńczyk twierdził stanowczo, że widział najpiękniejszą zorzę polarną. O czwartej nad ranem. A świat wokół był nieprawdopodobnie piękny, połyskujące, spokojne morze i wyspy oddalające się w wodzie. Na zdrowie!

Wszyscy unieśli kieliszki.

Jam jest Dina. Dziś w nocy wszyscy są w moim łóżku. Wszyscy naraz. Leo jest najbliżej. Ale Tomasz wślizguje się pod moje ramię i chce odepchnąć tamtych. Leżę z rozsuniętymi udami i rozrzuconymi ramionami. Nie dotykam żadnego z mężczyzn. Wszyscy utkani są z chwastów i prochu.

Jakub jest taki wilgotny, że przenika mnie ziąb. Anders skulił się w kłębek i grzeje się w moich włosach. Leży całkiem cicho. A jednak czuję, jak jego twarde uda uciskają moje ucho.

Johan odwrócił się plecami, ale wciąż się do mnie przybliża.

Wreszcie nasza skóra i ramiona zlewają się w jedno. Kryje twarz u Lea i me chce na mnie spojrzeć.

Tamci leżą razem ze mną, a Anders jest ptakiem, który uwił sobie gniazdo w moich włosach. Jego oddech to słaby podmuch.

Leo jest taki niespokojny. Pewnie znowu chce uciec. Chwytam go mocno za włosy na piersi.

Wtedy odpycha tamtych na bok i opada na mnie niczym wieczko.

Rytm jego ciała przepływa przez moje żyły. Przez łóżko. Tak gwałtownie, że Anders wypada z moich włosów, a inni wędzną jak róże w dzbanku. Niczym płatki opadają bezgłośnie na pokład.

Z ciała Lea płynie muzyka jak z organów. Wznosi się i opada. Jego głos osiada na mojej skórze jak słaby wietrzyk. Przenika przez pory do moich kości. Nie potrafię się obronić.

Pastor stoi przed ołtarzem, wszystkie drewniane figury i malowidła zamykają mnie i Lea razem. W organach. Huczą żelazne dzwony. Wtedy słońce wschodzi z morza. Unosi się mroźna mgielka. A my jesteśmy wodorostami, które osiadły na plaży. Które wrastają w skały i mury kościoła. Wciskają się we wszystkie wielkie okna, we wszystkie szczeliny.

Wciąż ruszamy się, żyjemy. Aż w końcu zostaje z nas tylko kolor.

Brunatno-czerwony. Ziemia i żelazo.

Wtedy jesteśmy już w objęciach Hjertrud.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

WODY WIELKIE NIE ZDOŁAJĄ UGASIĆ MIŁOŚCI,
NIE ZATOPIĄ JEJ RZEKI.
JEŚLIBY KTO ODDAŁ ZA MIŁOŚĆ CAŁE BOGACTWO
SWEGO DOMU, POGARDZĄ NIM TYLKO.

(Pieśń nad Pieśniami, 8, 7)

Dina przymocowała kapelusz dwiema szpilkami, bo koło Tromsø wiał dość silny wiatr. Zasznurowała gorset niezbyt ciasno, tak by móc swobodnie oddychać, ale piersi wywindowała na tyle wysoko, by w razie potrzeby odwracały bieg niezręcznej rozmowy.

Zatrzymała się na chwilę przed małym zwierciadłem w swojej kajucie.

Potem wyszła na pokład, by się pożegnać z towarzyszami podróży i oficerami.

Jeden z marynarzy pomógł jej wysiąść na ląd z wielkimi torbami podróżnymi. Parę razy odwróciła się, jakby chciała pomóc wychudzonemu majtkowi nieść bagaże.

Teraz trzeba było się skupić na liczbach, dyplomacji i takcie. Matematyczna głowa, wieńcząca kobiece ciało, miała zaszachować wszystkich, którzy nic jeszcze o tym nie wiedzieli.

Dni spędzone w Bergen i Trondheim nie poszły na marne. Tuż pod powierzchnią pykały pęcherzyki wypróbowanych chwytów, podobne do żywych nut. Wystarczyło po prostu dobrać je stosownie do sytuacji.

– W interesach mówi się dokładnie tyle, ile trzeba. Jeśli człowiek nie ma nic do powiedzenia, pozwala dojść do słowa drugiej stronie. Prędzej czy później tamten wystrzępi sobie język.

Te słowa powiedział Dinie na pożegnanie Anders.

Na Tromsø składało się kilka skupisk białych domów. Dogodnie położonych, pośród niezliczonych strumyczków szemrzących na zielonych zboczach i tworzących naturalne granice między dzielnicami. Daleko w górze rósł brzozowy lassek, zielony i bujny. Jakby ktoś go wyciął z rajy Boga Ojca.

Ale nawet tutaj raj nie przetrwał chwili, w której ludzie przejęli władzę.

Dina wynajęła powóz, żeby zorientować się w rozświetlonej słońcem okolicy. Tuż za południową granicą miasta na wybrzeżu stały dwa czy trzy rzędy chałup.

Dina wypytywała o wszystko młodego stangreta we włóczkowej czapce naciągniętej na uszy.

Droga biegła wzdłuż brzegu morza, okrążała plebanię i przechodziła w ulicę Sjø. Najdłuższa ulica w mieście zwała się Strand. Równoległe do niej ciągnęła się Grønne. Na Torgalmenningen drogę zastawiał ratusz, wznoszący się między apteką a domem pana Holsta.

Przez dzielnicę położoną na południe od rynku przepływał strumyk, zaczynający swój bieg w Vannsletta, mijający dom L.J. Pettersena i wpadający prosto do morza. Strumyk nosił pretensjonalną nazwę rzeki Pettersena.

Koło apteki był błotnisty rów. Stangret opowiadał, że gdy Pettersen wydaje bal, kawalerowie muszą wkładać wysokie buty, żeby przynieść przez ten rów damy. Może jednak właśnie dlatego każdy się cieszy z zaproszenia na bal u Pettersena.

Tego lata ładna pogoda i wiatry wysuszyły rów, łatwo więc było się przezeń przedostać.

Dina wynajęła pokój w hotelu de Bellevue Ludwigsena. Przeznaczonym najwyraźniej dla lepiej urodzonych.

J.H. Ludwigsen nosił filcowy kapelusz i parasol z długą rączką zamiast laski. Zawsze do usług, co podkreślał ukłonem. Jego szeroką, budzącą zaufanie twarz porastały gęste bokobrody. Wyszczotkowane włosy układały się w poprawną wysoką falę koło nienagannego przedziałka.

Podkreślał po wielokroć, że jeśli tylko pani Dina Grønne będzie sobie czegoś życzyć, wystarczy jedno słówko!

Dina posłała gońca z pozdrowieniami i prośbą o spotkanie do dwóch kupców. Anders zasugerował jej właśnie taki sposób postępowania.

Następnego ranka dostała kartę wizytową z zaproszeniem do biura Pettersena. I krótki list, z którego wynikało, że oczekuje jej także pan Müller.

Przyjął ją sam pan Pettersen. Okazało się, że humor mu dopisuje. Dostał właśnie nominację na wicekonsula w Meklemburgii i miał wkrótce wyjechać, by objąć swój urząd. Zamierzał zabrać ze sobą żonę, ale w dalszym ciągu myślał o interesach. Był współwłaścicielem statku, podobnie jak jego bracia.

Dina nie szczędziła mu gratulacji i wypytywała o nowe stanowisko.

Za jowialnym tonem Pettersena kryła się bez wątpienia kupiecka przebiegłość.

Dina wreszcie napomknęła o swojej propozycji. Pytała o kapitał i zapasy. O załogę. O udziały. O zysk dla armatora. Jaki pułap osiągną ceny mąki? Czy Pettersen ma możliwość transportowania mąki w suchym i bezpiecznym miejscu pod pokładem?

Pan Pettersen kazał podać maderę. Dina nie protestowała, ale gdy służąca chciała napęlić jej kieliszek, uniosła dłoń w odmownym geście. Nie ma ochoty na alkohol o tej porze.

Pettersen wypił swój kieliszek, a Dinie kazał podać herbatę. Był wyraźnie zainteresowany. Ale za szybko mówił. Jakby usiłował ją uspokoić, zanim o to poprosiła. Poza tym nie mógł zagwarantować stałej ceny na mąkę.

Posłała mu znaczące spojrzenie i wyraziła zdziwienie, że on, wicekonsul, wie tak mało na temat cen.

Pettersen udał, że nie zwrócił uwagi na jej ton, i zapytał, jak długo zabawi w mieście. Bo z pewnością w ciągu kilku dni zdoła zdobyć lepsze informacje. Rosyjskie łodzie nadpłyną lada dzień.

Wystawiła na próbę jego gościnność, gdy zaproponował, że mogłaby się u niego zatrzymać. Oświadczyła, że już znalazła dach nad głową i nie wypada jej teraz się wycofać. Ale bardzo dziękuje! Niedługo da mu znać, czy przyjmuje jego ofertę zakupu i transportu mąki z Archangielska bez gwarancji stałej ceny.

Drugie miejsce na liście zajmował Hans Peter Müller.

Nazajutrz Dina zjawiła się w wielkopańskim domu przy ulicy Skipper. Dom kipiał od przepychu i luksusu. Od mahoniowych mebli i porcelany.

Do gabinetu zajrzała młoda, słabowita pani domu, by przywitać Dinę dialektem z okolic Trondheim. Miała oczy pełne żalu, niby dziecięcy duszek z Helgelandu. Płynęła przez pokoje, jakby ktoś przymocował ją do platformy na kółkach i ciągnął całe urządzenie za niewidoczne sznurki.

Kliper „Haabet” kołyszący się w przystani Müllera miał wkrótce wyruszyć do Murmańska z produktami z fabryki tranu należącej do gospodarza. Müller zagwarantował Dinie stałą maksymalną cenę. Choć wcale nie ukrywał, że dla siebie może wynegocjować korzystniejsze warunki.

Dina mocno mu uściśnęła dłoń. Skoro napomknął o swoich finansach, to najwyraźniej trafiła na kogoś, kto traktuje ją jak równorzędnego partnera. Nie potrzebowała nawet korzystać z tego, że i tym razem podniosła trochę biust dzięki gorsetowi. Z mężczyzną, który ma w domu anioła, można rozmawiać o interesach. Dina wypita więc tradycyjny kieliszek.

W tym domu panowała dobra atmosfera. Skorzystała z gościnności Müllerów, gdy zaproponowali, by zamieszkała u nich na parę dni.

Okazało się, że Müller ma także czarnego konia. Lśniącego jak mahoniowe meble w salonach. Wierzchowiec zaakceptował biodra i uda Diny, jakby były wyciosane z tego samego drewna.

Dina doszła z łatwością do porozumienia z młodą panią domu, Julią ze Stjørdal. Gospodyni nie paplała bez potrzeby i patrzyła ludziom prosto w oczy. Ale nie zdradziła, dlaczego ma takie smutne spojrzenie.

Dina zabawiła dłużej, niż zamierzała.

Starosta już dawno pojechał dalej, więc musiała poszukać innej okazji. Müller twierdził, że może załatwić dla niej miejsce na statku, który popłynie na wschód za tydzień.

Już w pierwszym dniu pobytu u Müllera Dina usiadła z fajką w salonie w towarzystwie gospodarza, podczas gdy pani Julia odpoczywała.

Müller opowiadał o trudnej zimie. O lodzie, który pokrył Gisund, odcinając parowiec od portu. Dziesiątego maja przepłowali lód, by stworzyć odpowiednio szeroki przesmyk dla „Księcia Gustawa”. Na szczęście jednak lód nie miał wpływu na rejsy kutrów handlowych.

Dwa żaglowce Müllera właśnie wrócili szczęśliwie do domu z oblodzonego morza. Miał też jeden statek pływający po wodach na południu, napomknął o nim w przelocie. Jakby prawie o tym zapomniał.

W zeszłym roku było sporo kłopotów ze zdobyciem przyzwoitych map trasy do Archangielska. A i ludzie znający tamte okolice nie rosną na drzewach...

Dina przyznała, że ma wiele szczęścia, mogąc powierzyć swój statek Andersowi i Antonowi. Choć przecież problemy, które przytrafiają się w drodze do Bergen, to doprawdy drobnostka w porównaniu z wyprawą do Archangielska.

Gospodarz się rozgadał. Opowiadał o tym, jak siedemnastego maja parowiec przyptynał z południa ze zniszczonymi łopatkami na kole. Trzeba było je naprawiać w stoczni. Szczęście w nieszczęściu, że wielu ludzi dostało dzięki temu pracę.

On osobiście stracił galeas „Tordenskiold” z dwunastoosobową załogą i połowem na pokładzie na wschód od Moffen. A mimo to połowy ryb na północnych wodach przyniosły mu czternaście i pół tysiąca talarów brutto w ciągu zaledwie kilku lat!

Dina przytakiwała z powagą, wydmuchując dym, który układał się w kunsztowne wzory nad jej głową.

Później gospodarz rozwodził się nad tym, że sprawy przybrały lepszy obrót, odkąd car Mikołaj wydał ostatnie tchnienie. Handel idzie lepiej, lepiej niż można by sobie wymarzyć.

Zdaniem Diny miało to więcej wspólnego z wojną niż z carem.

Müller odrzekł łagodnie, że jedno ma wiele wspólnego z drugim.

Dina twierdziła, że to właśnie nienormalna sytuacja, wojna i blokada przyczyniły się do nastania tłustych lat dla kupców.

Gospodarz przytakiwał chętnie i całkowicie się z nią zgadzał. Trzymał się jednak własnej opinii na temat cara.

Podczas tej rozmowy najlepsze cygara pana domu uleciały z dymem.

Dina przystosowała się do rytmu tego domu jak kot, który nagle znalazł sobie rozgrzany słońcem kamień. Pani Julia, o dziwo, nie zdradzała w najmniejszym stopniu zazdrości o tę niezwykłą istotę, która wtargnęła do domu ze swymi sprawami i zajmowała czas jej małżonkowi. Wręcz przeciwnie, podkreślała, że Dina wcale nie powinna się spieszyć z wyjazdem na wschód. Skoro wybiera się tam tylko po to, by się rozejrzeć.

Dina zbierała informacje na temat wszystkich łodzi przyplływających z północy i z południa.

Pan Müller zapytał, czy nie jest całkowicie zdecydowana na podróż do Vardøhus, skoro dowiaduje się również o statki zmierzające na północ i na południe.

Ale pani Julia zrozumiała – Dina na kogoś czeka, orzekła.

Dina spojrzała na nią. Ich oczy spotkały się w swoistym porozumieniu.

Jam jest Dina. Julii nie trzeba się obawiać. W jej oczach mieszka śmierć. Przez cały czas próbuje zadać pytanie, którego nie dopowiada. Potem patrzy na mnie, czekając na odpowiedź. Chce, bym jej pokazała Hjertrud. Ale jeszcze nie czas. Jeszcze nie.

Dina wybrała się na przejażdżkę za miasto na czarnym koniu. W skórzanych bryczesach pana Müllera.

Julia wyciągnęła swój elegancki kostium do jazdy konnej i czarną kaszmirową spódnicę, białą bluzkę i pantalonek z białej tkaniny, z tasiemkami pod stopą. Ale strój nie pasował na Dinę.

Dina zgodziła się włożyć na skórzane męskie bryczesy spódnicę. Odpowiednio szeroką, z rozcięciami z przodu i z tyłu. Tylko po to, by się pod nią skryć, jak powiedziała Julia.

Gdy Dina wróciła z przejażdżki, Julia czekała na nią z kieliszkiem dobrej madery, zanim przebrały się do obiadu. Sama piła herbatę.

Julia opowiadała w subtelny sposób o życiu w Tromsø. Patrzyła na wszystko obiektywnie, bo nie pochodziła stąd.

Dina nie musiała się obawiać, że ją urazi, gdy zdradzi swoje zdziwienie lub zaśmieje się z ludzi i obyczajów.

Zapytała, kim jest Ludwigsen.

– Majętny człowiek, który wygląda tak, jakby go ktoś wyciął z żurnala – odparła Julia bez emocji i zainteresowania.

Obie kobiety zachichotały jak małe dziewczynki. Pośród wielu pięknych martwych przedmiotów w nazbyt wypieszczonym salonie.

Podczas suto zakrapianych lat czterdziestych, gdy upodobanie do trunków sięgnęło szczytu, rada miejska ograniczyła liczbę pozwoleń na wyszynk i teraz w mieście działały tylko dwa lokale handlujące alkoholem. Oba prosperowały znakomicie.

– Szanujący się obywatele zaglądają do Ludwigsena. Szczerze mówiąc, chodzą tam po to, by się pokazać – opowiadała Julia.

Przypominała anioła, niezależnie od tego, kim naprawdę była. Odziana zawsze w atłas, bawełnę lub jedwabie w pastelowych kolorach. Choć anielskie loczki koło uszu kontrastowały z ironicznym wyrazem ust i poważnymi oczami.

Opowiadała przeważnie o balach i przyjęciach u bogatych mieszczan i dostojników. O zabawnych epizodach, które się przytrafiają wówczas, gdy rozmaici ludzie jedzą razem obiad. Znała wiele takich anegdotek, bo wszystkie drzwi stały otworem przed Müllerem i jego rodziną.

Dina chłoneła ten nieznany świat, jakby chodziło o nową przyprawę z odległych stron.

– Uważaj, by nie zawierać zbyt szybko znajomości! – przestrzegła ją Julia. – Ludzie przyczepią się do ciebie jak psy. Nie zdołasz się wycofać i udawać, że znajomość nie została zawarta, gdy to się już stanie. Nigdy nie pozbędziesz się osób, które nie mają ze sobą nic wspólnego poza upodobaniem do dobrego jedzenia i picia.

Już drugiego dnia pobytu Diny złożył wizytę w domu Müllerów nowy lekarz. Zarządzał szpitalem i tymczasowym azylem. Tullbur albo Tronka, tak ludzie nazywali to miejsce.

Dina zainteresowała się i pracą lekarza, i samym budynkiem. Mężczyzna się rozpromienił. Opowiadał o „opiekunach”, jak ich nazywał. O ciągłej poprawie warunków, w których żyją nieszczęśni wariaci, całkowicie wyłączeni z życia.

Mówił o fanatyku religijnym, który siedzi u nich w zamknięciu. Stracił rozum w 1852 roku, gdy wykonano wyrok śmierci na Haectie i Sombym. Reperkusje tej egzekucji, stanowisko prawa i Kościoła oraz zwolenników religijnej doktryny lestadianistów wciąż dawały o sobie znać. Ludzie wycofywali się z przerażeniem i obrzydzeniem. Ta społeczność jest za mała, by znieść dwa wyroki śmierci.

– Niektórzy odłączyli się nawet od Kościoła państwowego – powiedziała Julia.

– Teraz mamy nowego biskupa, który sobie z tym poradzi. Jego żona jest także pobożna i dobra – rzekł doktor.

Rysy obejmujące jakby w nawias kąciki ust Julii pogłębiły się i wydłużyły, biegnąc ku górze. Julia i doktor już wcześniej omawiali tę sprawę. Uzupełniali się wzajemnie.

Müller siedział w milczeniu.

– Czy on jest niebezpieczny? – zapytała nagle Dina.

– Kto?

Doktor stracił wątek.

– Ten religijny wariat.

– Ach, ten... jest niebezpieczny dla siebie samego. Wali głową w ścianę aż do utraty przytomności. Nie wiadomo, co się w nim dzieje. To gwałtownik, można powiedzieć. Wzywa Boga i szatana, nie rozróżniając między nimi.

– Ale dlaczego go zamknięto?

– Jest niebezpieczny dla rodziny i...

– Czy mogłabym odwiedzić pański azyl? – poprosiła Dina.

Lekarz, zaskoczony tą prośbą, wyraził zgodę. Umówili spotkanie.

* * *

Cztery cele po każdej stronie korytarza. Te same dźwięki, które słyszała w Trondheim, choć nie tak ogłuszające.

Siedzieli tu zarówno wariaci, jak i zwykli więźniowie. Damy nie powinny raczej z nimi rozmawiać, twierdził doktor. Ktoś go wołał, będąc jakoby w potrzebie. Lekarz przeprosił Dinę. Zadzwonił pękiem kluczy, otworzył jakieś drzwi i zniknął.

Pielęgniarz zawołał przez okienko w drzwiach człowieka zwanego Jentoft.

W otworze pojawił się szorstki, brudny rękaw postrzępionego kitla i wygolona głowa. Mężczyzna mrużył oczy od światła. W oczach było jednak więcej życia, niż można się spodziewać po człowieku zamkniętym za kratkami.

Łapał powietrze otaczające Dinę, bo nie mógł przecisnąć ręki między prętami.

Gdy pielęgniarz powiedział, że Dina Grønelt chce z nim porozmawiać, chory, mimo że jest wariatem, pobłogosławił Dinę znakiem krzyża.

– Bóg jest dobry! – krzyknął tak głośno, że pielęgniarz musiał go uciszać.

– Znasz Boga! – powiedziała Dina szybko, zerkając na pielęgniarza, który wykorzystywał czas, sprząając półki wiszące na ścianach korytarza.

– Tak! I wszystkich świętych!

– Znasz Hjertrud? – zapytała Dina natarczywie.

– Znam Hjertrud! Bóg jest dobry! Ona jest podobna do ciebie? Przyjdzie tutaj?

– Ona mieszka wszędzie. Czasami jest do mnie podobna. Czasami całkiem inna.

Tak jak ludzie...

– Dla Boga wszyscy są podobni!

– Tak myślisz?

– *Biblia!* Tak jest napisane w *Biblii!* – wrzeszczał szalenięc.

– Tak. To jest księga Hjertrud.

– To jest księga nas wszystkich! Alleluja! Doprowadzimy ich wszystkich do perłowych bram, wszystkich. Wypędzimy ich z tego grzechu i żalu! Wszystkich, którzy się sprzeciwiają! Wszyscy poczują miecz, jeśli się nie zmienią! Pielęgniarsz łypnął okiem na Dinę i zapytał, czy nie powinni już zakończyć tej wizyty.

– Ta pani przyszła tu porozmawiać z tobą, Jentoft – powiedział, podchodząc do nich.

– Cherubiny ruszą do ataku i ich rozszarpią w pół. Od stóp do głów! Wszystkich! Siekiera czeka już u korzeni drzewa... Bóg jest dobry! – zawodził mężczyzna.

Pielęgniarsz spoglądał na Dinę przepraszająco. Jakby ten człowiek był jego własnością, która nagle stanęła Dmie na przeszkodzie.

– Jentoft, musisz się uspokoić! – powiedział stanowczo i zamknął okienko przed samym nosem podnieconego mężczyzny.

– Ci, którzy żyją w zamknięciu, nie powinni cały czas pozostawać sam na sam ze sobą – powiedziała Dina z powagą.

Pielęgniarsz spojrział na nią bez zrozumienia.

– Nie zaczeka pani na doktora? – zapytał.

– Nie, pozdrów go i podziękuj!

Müllerowie wyprawili przyjęcie na cześć Diny.

Poznała księgarza Urdala. Byłoby przesadą twierdzić, że to dusza towarzystwa. Ale był kiedyś służącym samego Henrika Wergelanda i prowadził księgarnię w Lillehammer, można go więc zaliczyć do dobrego towarzystwa.

Zajmował się drukowaniem starych, rzewnych ballad. Zapraszał rybaków na zaplecze księgarni i uczył ich melodii. W ten sposób ballady Urdala rozbrzmiewały w odległych stronach. Dina także je znała.

W oczekiwaniu na obiad zagrała na fortepianie, a księgarz zaśpiewał.

Zaproszono także biskupa i jego żonę.

Każdy, kto spoglądał w duże szare oczy żony biskupa, czuł, jak nagle przypadkowe kawałki układają się w całość. Pani Henrietta miała niezwykle szeroką nasadę wielkiego i mocnego nosa. Jej usta wyginały się jak łuk, którego nikt nie napina. Zmarszczka między ustami a nosem wypełniła się smutkiem. Ciemne włosy ukryte pod białą chusteczką dzielił nienaganny przedziałek. Koronkowy kołnierz był jedyną ozdobą jej stroju, jeśli nie liczyć małżeńskiej obrączki.

Każda kobieta, niezależnie od pochodzenia i statusu, może znaleźć u niej chwilę wytchnienia, twierdziła Julia.

Połowica biskupa zatrzymywała wzrok na każdym z biesiadników. Jej spojrzenie działało jak chłodna ręka przyłożona do rozgorączkowanego czoła. Nic w jej postaci nie zdradzało wysokiej pozycji, jaką zajmuje małżonka biskupa. A jednak przez samą obecność przy stole roztaczała aurę dostojności.

– Dino, jest pani wdową już od wielu lat mimo swego młodego wieku, prawda? – spytała łagodnie, nalewając Dinię kawy. Robiła wrażenie, jakby chciała wszystkim służyć.

– Tak.

– I zarządza pani zajazdem i statkami transportowymi, daje pracę wielu ludziom?

– Tak – szepnęła Dina. To był ten głos. Te oczy!

– To chyba niełatwe zadanie?

– Tak...

– Czy ktoś panią w tym wspiera?

– Owszem.

– Brat? Ojciec?

– Nie. Wszyscy ludzie z Reinsnes.

– Ale nie ma pani nikogo bliskiego?

– Nie. To znaczy... Matkę Karen...

– Czy to pani matka?

– Nie, świekra.

– To nie to samo?

– Nie.

– Ale panią wspiera Bóg, wyraźnie to widzę!

Pani Julia opowiedziała żonie biskupa o pewnej sąsiadce, która już dawno chciała odwiedzić posiadłość biskupa, ale nie miała odwagi pojawić się bez zaproszenia.

Staruszka obróciła się powoli do Julii, kładąc jednocześnie – jakby przypadkiem – swą dłoń na rękę Diny. Lekkie, chłodne palce.

Dzień był prawdziwym podarunkiem.

Wielka, szeroka twarz biskupa wygładzała się, gdy patrzył na swą żonę, a jego oczy prawie ku niej frunęły. Między tą parą iskrzyły się leciuteńkie nitki, które zatoczyły krąg nad całą resztą towarzystwa.

Dina zrezygnowała z poobiedniego cygara i nikogo nie szokowała.

Straciła zadziorność na cały następny dzień. A mogła pojechać do Vardøhus! Zamiast tego zajeżdżała konia gospodarza. Pognali na wyspę. Wokół jeziora. Galopem przez krzaki i zarośla. Lato pachnące dokoła drażniło wszystkie zmysły.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

SPOTKALI MNIE STRAŻNICY, KTÓRZY OBCHODZĄ MIASTO.
„CZYŚCIE WIDZIELI MIŁEGO DUSZY MEJ?”
ZALEDWIE ICH MINĘŁAM, ZNALAZŁAM UMIĘLOWANEGO MEJ DUSZY,
POCHWYCIŁAM GO I NIE PUSZCZĘ,
AŻ GO WPROWADZĘ DO DOMU MEJ MATKI,
DO KOMNATY MEJ RODZICIELKI”.

(Pień nad Pieśniami, 3, 3-4)

Tego dnia, gdy Dina miała popłynąć do Vardøhus okazją zaaranżowaną przez Müllera, rozszalał się straszliwy sztorm, który nadciągnął z południowego zachodu. Zatoka kipiała.

Statki, które miały ominąć Tromsø, szukały schronienia w porcie. Jeden za drugim. Port był tak gęsto usiany masztami, że można by przeskakiwać z pokładu na pokład bardzo długo suchą stopą. Gdyby nie deszcz!

Na pokładzie jednej z rosyjskich łodzi płynących na południe do Trondheim był ktoś, kto najchętniej ominąłby Tromsø. Miał wiele spraw do załatwienia gdzie indziej.

Wynajął pokój w hotelu Ludwigsena, żeby nie cisnąć się razem z marynarzami. Miał na sobie filcowy kapelusz z szerokim rondem i skórzane spodnie. Gdy już zajął swój pokój i oznajmił, że nie chce go z nikim dzielić, wybrał się do apteki, by kupić coś na spuchnięty palec, który sobie zranił podczas żeglugi z Vardø.

Stał właśnie przy ladzie, czekając na aptekarza, gdy rozległ się dzwonek u drzwi, zwiastujący nowego klienta. Nie musiał się odwracać, by stwierdzić, że weszła osoba w spódnicy.

Przeostało właśnie padać, ale przez otwarte drzwi wdarł się podmuch wiatru, który zerwał mu z głowy kapelusz.

Działo się to 13 lipca 1855 roku, trzy dni po tym, jak Dina siedziała przy stole Müllerów i otarła się o miłość.

Może trzeba było właśnie trzech dni, by błogosławieństwo małżonki biskupa się ziściło? W każdym razie Dina podniosła kapelusz Lea i ważyła go na dłoni, przyglądając mu się z zainteresowaniem.

Aptekarz wybiegł zza lady i z hukiem zatrzasnął za nią drzwi. Dzwonek, który na nich wisiał, szalał z wściekłości i rozsyłał nierównomierne brzęknięcia między ścianami.

Oczy Lea wspięły się zygzakiem po płaszczu i ciele Diny. Jakby nie śmiał spojrzeć jej w twarz w pierwszej w chwili.

Oboje jednocześnie wstrzymali oddech i spojrzeli na siebie przez moment. I stali tak w odległości dwóch kroków jedno od drugiego.

Ona z jego kapeluszem, jak z ostrzeżeniem. On z wyrazem twarzy człowieka, który zobaczył latającego konia. Dopiero gdy aptekarz powiedział: „Słucham!”, Dina wydała z siebie pierwszy dźwięk. Roześmiała się, perliście i swobodnie.

– To twój kapelusz! Proszę uprzejmie!

Blizna wyglądała jak blady księżyc w nowiu na brązowym niebie. Leo podał jej dłoń. I już reszta świata przestała istnieć. Miał zimne palce. A ona musnęła jego przegub palcem wskazującym.

Wyszli na wicher, nie kupiwszy kropli dla Matki Karen ani jodyny i bandaża na palec Lea. Uprzejmy aptekarz został z otwartymi ustami za ladą, wsłuchując się w dźwięk pobrzękującego za nimi dzwonka.

Wędrowali jakimś rozkopanymi, zabłoconymi uliczkami. Robotnicy kładli właśnie chodnik w dolnej części ulicy.

Z początku żadne z nich się nie odzywało. Leo ujął ją pod ramię. W końcu zaczął mówić. Swym głębokim, dziwnym, donośnym głosem. Który tak wyraźnie wypowiadał słowa. A jednak zawsze zdołał jakieś zataić.

W pewnej chwili Dina poślizgnęła się na szlamie. Leo musiał ją chwycić, by zapobiec upadkowi. Przyciągnął Dinę blisko do siebie. Jej spódnica nurzała się w błocie, bo Dina przytrzymywała kapelusz zamiast sukni.

Leo nie zauważył tego. Patrzył tylko nieobecny wzrokiem, jak grudki błota czepiają się rąbka spódnicy, i jest ich coraz więcej z każdym krokiem Diny.

Szli ciągle pod górę. Aż miasto i błoto wypuściło oboje ze swych objęć, oddając ich łąkom i brzozywym zarośłom. Każde z nich przytrzymywało swój kapelusz. Aż wreszcie Dina pozwoliła, by jej nakrycie głowy pofrunęło z wiatrem. Leo pobiegł za nim. Ale musiał się poddać. Widzieli, jak kapelusz z powiewającą wstążką leci na północ. To był piękny widok.

Leo włożył Dinie na głowę swój wielki czarny kapelusz i naciągnął go jej na oczy.

Miasto leżało gdzieś w dole, ale Dina go nie widziała. Bo usta Lea były czerwonawe, okolonę brązową obwódka. To słońce je tak potraktowało.

Dina się zatrzymała i położyła mu rękę na wargach. Musnęła delikatnie palcami zranione miejsce.

Leo zamknął oczy, wciąż przytrzymując kapelusz na jej głowie obiema rękami.

– Wielkie dzięki za przesyłkę, którą przywieźli rosyjscy marynarze ubiegłej wiosny! – powiedziała Dina.

- Nuty? Przypadły ci do gustu? – zagadnął Leo, nie otwierając oczu.
- Tak. Wielkie dzięki! Ale nie przystało żadnych pozdrowień.

Wtedy otworzył oczy.

- Nie, bo to nie takie łatwe...
- Skąd przekazałeś paczkę?
- Z Tromsø.
- Byłeś w Tromsø i nie zajrzałeś na południe do Reinsnes?
- Nie mogłem. Jechałem w głąb łądu, do Finlandii.
- Po co tam jechałeś?
- Żądza przygód.
- Nie pożądasz już przygód na Reinsnes?

Leo zaśmiał się cicho i nic nie odpowiedział. Wciąż trzymał obie ręce na jej ramionach. Z pozoru po to, by przytrzymać czarny kapelusz.

Przywierał do niej coraz bardziej. Czują jego ciężar.

- Czy zamierzałeś pojawić się jeszcze w Reinsnes?
- Tak.

– Wciąż się tam wybierasz?

Leo spojrzął na nią przeciągle. Ścisnął jeszcze mocniej jej ramiona i kapelusz.

– A czy wciąż jestem tam mile widziany?

– Tak mi się wydaje.

– Nie masz pewności?

– Owszem, mam.

– Dlaczego jesteś taka okrutna, Dino? – szepnął Leo i pochylił się nad nią jeszcze niżej. Jakby się lękał, że wiatr porwie w pędzie odpowiedź.

– Nie jestem bardziej okrutna niż muszę. To ty jesteś okrutny. Obiecujesz i kłamiesz. Nie przyjeżdżasz, choć obiecałeś. Pozwalasz ludziom pozostawać w niepewności.

– Posłałem przecież prezenty.

– Tak, tak. Bez choćby jednego słowa od nadawcy!

– Nie mogłem tego wówczas zrobić.

– Może i tak. Ale to było okrutne.

– Wybacz!

Ujął ją pod brodę dłonią z opuchniętym palcem. Zawstydział się, że ręka jest taka niedelikatna i pozwolił, by znowu opadła.

– Byłam w więzieniu w Trondheim i pytałam o ciebie. Zostawiłam tam list.

– Kiedy to było? – rzucił na wiatr.

– Rok temu. Byłam też w Bergen. Nie zagłądałeś tam?

– Nie. Tkwiałem na fińskim wybrzeżu i patrzyłem, jak Anglicy bawią się dynamitem.

– Miałeś swoje sprawy do załatwienia?

- Tak – odparł szczerze.
- Myślałeś czasami?
- Nic innego nie robię.
- O czym myślisz?
- Na przykład o tobie.
- Ale nie przyjechałeś?
- Nie.
- Miałeś coś ważniejszego do załatwienia.
- Tak.

Wymierzyła mu z wściekłością policzek, puściła i kopnęła kamień tak, że odbił się od jego nogi w skórzanych spodniach. Nie zmienił wyrazu twarzy. Tylko nieznacznie przesunął stopę. I zdjął kapelusz z jej głowy, by włożyć go na własną.

– Zdaje mi się, że zajmujesz się brudnymi sprawami!

Dina obruszyła się jak sędzia, który spotkał się z krnąbrnością oskarżonego. Długo się jej przyglądał. Badawczo. Z szerokim uśmiechem.

– I co zamierzasz z tym począć?

– Dowiedzieć się, o co tu chodzi! – krzyknęła. Wtedy Leo zaczął po prostu deklamować wiersz, który przetłumaczył jej ostatniej nocy spędzonej na Reinsnes:

I WYJE JAK ZWIERZĘ DRAPIEŻNE I GŁODNE,
GDY STRAWĘ ZZA KRATY ŻELAZNEJ POCZUJE,
O BRZEGI Z WŚCIEKŁOŚCI UDERZA BEZPŁODNEJ
I FALĄ ŁAPCZYWĄ SKAŁ ZRĘBY ZLIZUJE...
LE CZ NIE MA DOSYTU WÓD WIECZNEJ OSKOMY:
ŚCISNĘŁY GO NIEME I GROŻNE OGROMY. I

Dina patrzyła na niego gniewnie.

– To jest opis rzeki, pamiętasz? – powiedział. – Puszkina służył w rosyjskiej armii podczas wojny z Turcją. Przypominasz sobie, jak ci o tym opowiadałem?

Dina wciąż ciskała mu pełne złości spojrzenia. Ale przytaknęła.

- Jesteś podobna do dzikiej rzeki, Dino!
- Wyśmiewasz się ze mnie – rzekła dotknięta.
- Nie, próbuję z tobą nawiązać porozumienie.

Jam jest Dina. Wiersz Puszkina wydobywa się z ust Lea jak bańki mydlane. Jego głos utrzymuje je w powietrzu. Długo. Liczę powoli do dwudziestu jeden. Wtedy bańki pękają i spadają na ziemię. A ja muszę przemyśleć każdą myśl na nowo.

Dopiero wtedy, gdy zaczęli już schodzić w dół, Dina zapytała Rosjanina, dokąd się teraz wybiera.

– Na południe, do Trondheim – odpowiedział.

– Nie zatrzymując się po drodze?

– Nie zatrzymując się po drodze.

– W takim razie możesz odebrać swoją książkę z podkreśleniami z więzienia – oznajmiła Dina triumfalnym tonem. – Ona ma coś wspólnego z tymi ciemnymi sprawami, o których nie chcesz nic powiedzieć. Z tym, że nie załączasz pozdrowień i nie podpisujesz imieniem swoich prezentów. Z tym, że nikt nie wie, kim jesteś, gdy o ciebie pytam.

– Kogo pytałaś... z kim rozmawiałaś... o mnie?

– Rosyjskich marynarzy. Bergeńskich kupców. Dyrektorów więzienia i azylu w Trondheim.

Leo wpatrywał się w nią.

– Dlaczego? – wyszeptał.

– Bo miałam książkę, którą chciałam ci oddać.

– I dlatego zadałaś sobie tyle trudu?

– Tak, a teraz możesz sam ją sobie odebrać!

– Tak, mogę – powiedział spokojnym głosem, w którym czuło się drżenie. – Komu ją przekazałaś?

– Dyrektorowi.

Leo zmarszczył brwi.

– Dlaczego?

– Dlatego, że już jej nie chcę.

– Ale dlaczego dałaś ją dyrektorowi?

– A komu? Zresztą paczka była zalakowana – uśmiechnęła się złośliwie.

– Powiedziałem przecież, że możesz zatrzymać książkę.

– Ale ja jej nie chcę. Poza tym tak bardzo ci na niej zależało...

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo udajesz, że to dla ciebie obojętne.

Zapadła cisza.

Leo zatrzymał się i patrzył na Dinę przez chwilę.

– Nie powinnaś była tego robić – rzekł poważnie.

- Dlaczego?
- Tego nie mogę powiedzieć.
- Nie żyjesz w przyjaźni z tym dyrektorem?
- Nie sądzę, by był najwłaściwszym czytelnikiem Puszkina...
- Znasz go?
- Nie. Czy możesz już zakończyć to przesłuchanie, Dino?

Wtedy ona odwróciła się błyskawicznie, podeszła do niego i wymierzyła mu głosny policzek. Leo stanął. Przykuty do zwirowej ścieżki.

- Dino, nie powinnaś mnie bić. Nie wolno bić ani ludzi, ani zwierząt.

Zaczęła powoli iść w dół. Trzymając kapelusz prawą ręką. Lewa kołysała się z boku jak martwe wahadło.

Dina wciąż stała w miejscu. W jego uszach dźwięczała cisza. Odwrócił się i wypowiedział jej imię.

- Taki jesteś tajemniczy we wszystkim! – krzyknęła za nim.

Wyciągała szyję jak gęś, która nie chce, by jej poderżnięto gardło. Wydatny nos sterczał niczym dziób. Słońce potargało chmury. Nasilił się wiatr.

– Włóczysz się po świecie i przywiązujesz do siebie ludzi. A potem znikasz i nie dajesz znaku życia! Co z ciebie za człowiek? Co? Jaką grę prowadzisz? Możesz mi powiedzieć?

- Chodź tu, Dino, zamiast stać tam i krzyczeć.
- Zrobię, co zechcę! To ty chodź tutaj!

Leo podszedł do niej. Jakby chciał udobruchać dziecko, które przedtem doprowadził do łez. Schodzili w dół. Blisko siebie.

- Nie płaczesz zbyt często, Dino?
- Nie z twojego powodu!
- Kiedy płakałaś ostatnim razem?

– Podczas sztormu zeszłego lata! – Leo uśmiechnął się lekko – Nie moglibyśmy zakończyć tej wojny?

- Dopiero wtedy, gdy się dowiem, kim jesteś i co zamierzasz.
- Widzisz mnie tutaj, Dino?
- To nie wystarczy!

Ucisnął jej ramię i powiedział, ot tak, po prostu, jakby mówił o pogodzie:

- Kocham cię, Dino Grøneltv.

Ktoś wiele lat wcześniej umieścił kamień akurat w tym miejscu, w którym się właśnie znajdowali. W przeciwnym razie Dina usiadłaby w samym środku błota.

Dina na kamieniu. Szarpiąca i wykręcająca własne palce, jakby chciała się ich pozbyć.

– Co to znaczy? Co to znaczy? Co to znaczy? – wołała. Leo przeszedł do porządku nad jej histerią. Z pozoru był spokojny.

- To też nie wystarczy, Dino?

– Po co wypowiadasz takie słowa? Dlaczego raczej nie przyjeżdżasz częściej na Reinsnes?

– Drogi bywają długie. – To była cała jego odpowiedź. Stał przed Diną zupełnie bezradny.

– Więc opowiedz mi o nich!

– Mężczyźni mają czasem powody, by milczeć.

– Więcej powodów niż kobiety?

– Nie wiem. Nie zebrzę o to, byś mi coś powiedziała. Jakaś struna między nimi została zbyt mocno napięta.

– Myślisz, że możesz przyjeżdżać na Reinsnes, a potem znikać, jak gdyby nigdy nic...

– Przyjeżdżam i wyjeżdżam, kiedy chcę. Musisz stanowczo przestać wypytywać o mnie podczas swoich podróży. Jestem nikim. Pamiętaj!

Najwyraźniej się rozgniewał.

Dina podniosła się z kamienia i chwyciła go za ramię. Znów ruszyli ścieżką wiodącą w dół. Wciąż otaczały ich tylko pola i lasy. Żadnych domów. Żadnych ludzi.

– Czym się właściwie zajmujesz? – zapytała, opierając się o niego z ufnością.

Przejrzał natychmiast tę strategię. A jednak odpowiedział.

– Polityką – rzekł z rezygnacją.

Jego spojrzenie rozkładało jego twarz na kawałeczki. Fragment za fragmentem. Na koniec zawisło na oczach.

– Ktoś cię ściga. A inni próbują cię ukryć.

– Ty mnie ścigasz – zażartował.

– Zrobiłeś coś złego?

– Nie – odpowiedział. Tym razem poważnie.

– Twoim zdaniem nie, ale...

– Twoim także nie.

– Pozwól, bym sama osądziła. Chciałabym usłyszeć, co to takiego.

Rozłożył ręce w geście rezygnacji, zdjął w końcu kapelusz z głowy i wetknął go sobie pod ramię. Wiatr znów zaczął go napastować.

– Świat jest gorszy, niż możesz sobie wyobrazić. Krew. Szubienice. Nędzka, zdrada, poniżenie.

– Czy to niebezpieczne?

– Nie tak bardzo niebezpieczne, jak można by się spodziewać. Ale bardziej przerażające, niż można sobie wyobrazić. Dlatego jestem kimś, kto nie istnieje!

– Kimś, kto nie istnieje?

– Tak. Ale nadejdą lepsze czasy.

– Kiedy to się może stać?

– Tego nie wiem.

– Przyjedziesz wtedy do Reinsnes?

– Tak! – powiedział stanowczo. – Czy chcesz mnie, mimo że przyjeżdżam na krótko i jestem kimś, kto nie istnieje?

– Nie mogę wyjść za mąż za kogoś, kto nie istnieje.

– Zamierzasz wyjść za mnie za mąż?

– Tak.

– Pytałaś mnie o zdanie?

– Przyjęliśmy błogosławieństwo. To wystarczy.

– Co miałbym robić na Reinsnes?

– Żyłbyś tam ze mną, pomagałbyś, kiedy trzeba.

– Sądzisz, że to wystarczy mężczyźnie?

– To wystarczyło Jakubowi. To wystarcza mnie!

– Ale ja nie jestem tobą ani Jakubem.

Wpatrywali się w siebie nawzajem niczym dwa samce, które walczą o terytorium. W ich spojrzaniach nie było nawet cienia zalotności.

W końcu Dina się poddała. Spuściła wzrok i powiedziała łagodnie:

– Mógłbyś zostać szyprem na jednym ze statków i jeździć po świecie, gdybyś chciał.

– Nie nadaję się na szypra – odparł Leo uprzejmie. Żałośnie zgnieciony kapeluszwciąż tkwił pod jego ramieniem.

– Nie mogę wyjść za człowieka, który podróżuje po Rosji i całym świecie! – krzyknęła.

– Nie powinnaś wychodzić za mąż, Dino. Myślę, że się do tego nie nadajesz.

– To z kim będę żyć?

– Ze mną!

– Przecież ciebie tam nie będzie!

– Zawsze tam jestem. Nie rozumiesz? Jestem z tobą. Ale nie możesz ogrodzić moich ścieżek. Nie możesz być moim płotem. Z tego zrodzi się tylko nienawiść.

– Nienawiść?

– Tak! Nie wolno zamykać ludzi. Wtedy stają się niebezpieczni. Właśnie to zrobiono z rosyjskim ludem. Dlatego wszystko wkrótce wybuchnie!

Miliony źdźbeł trawy leżały pokodem, przygniecione wiatrem. Tu i ówdzie kołysały się przerażone dzwonki.

– Nie wolno zamykać ludzi za płotem... Wtedy stają się niebezpieczni... – wyszeptwała. – Wtedy stają się niebezpieczni!

Rzuciła te słowa w przestrzeń niby jakąś prawdę, która nagle jej się objawiła.

Nie potrzebowali dotykać się wzajemnie. Wiązały ich nici równie mocne jak cumy.

* * *

Nazajutrz w domu Müllerów zjawił się posłaniec z paczką. Dla Diny.

To był jej kapelusz. Wyglądał tak, jakby przeleżał na dworze całą zimę. W środku była jednak kartka w zaklejonej kopercie.

„Niezależnie od tego, jak źle sprawy wyglądają, pamiętaj, że zawsze do Ciebie wrócę”.

Nic więcej.

Dina popłynęła na południe pierwszym parowcem. On wyjechał dwie doby wcześniej. Nie wiozła ze sobą radości. Ale towarzyszył jej jakiś nowy spokój.

Małżonka biskupa pokazała jej, że miłość istnieje. Dina oszczędziła sobie podróży do Vardøhus. Słyszała, że jest to opuszczone przez Boga i wydane na pastwę czterech wiatrów miejsce z więziennymi lochami i fortecą otoczoną murem w kształcie gwiazdy.

– Nie wolno zamykać ludzi. Wtedy stają się niebezpieczni! – mruzczała sama do siebie, nie mając w zasadzie żadnego zajęcia poza liczeniem szczytów górskich i wejść do fiordów.

Ludzie na pokładzie się nie liczyli.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ZMIŁUJ SIĘ NADE MNĄ, PANIE, BO JESTEM W UCISKU,
OD SMUTKU SŁABNIE ME OKO,
A TAKŻE MOJA SIŁA I WNEŹTRZNOŚCI.

(Księga Psalmów, 31, 10)

Gdy Dina odbywała podróż powrotną, Matka Karen zasłała koło bujanego fotela i straciła mowę.

Tomasz pojechał konno przez góry po doktora, Anders posłał łódkę z wiadomością do Johana, który składał wizytę pastorowi w Vågen.

Doktora nie było w domu, ale nawet gdyby się zjawił, niewiele mógłby zrobić.

Johan spakował swoją torbę i wyruszył, by czuwać przy śmiertelnym łożu babki. Podobnie jak wszyscy inni do tej pory, żył w przekonaniu, że Matka Karen jest nieśmiertelna.

Oline straciła panowanie nad sobą. Jej niepokój odcisnął swe piętno na jedzeniu. Wszystko, czego się tknęła, traciło smak. Jej twarz przybrała jasnoczerwony kolor nagiego małpiego zadka.

U staruszki siedziała Stine. Warzyła herbatkę ziołową i poila chorą łyżeczką. Ocierała wszystko, co się wydobywało z porów i otworów starszej pani. Obmywała ją i zasypywała mąką ziemniaczaną. Usiłowała poprawić powietrze w pokoju chorej, napełniając płócienne woreczki suszonymi ziołami i płatkami różanymi.

Matce Karen zdawało się czasami, że trafiła do Edenu i że może już zapomnieć o długiej drodze, którą przebyła, by tam dotrzeć.

Stine grzała wełniane gałganki i okładała nimi bezwładne członki, trzepała poduszki i pierzyny, uchylała okno. Tylko odrobinę, tak by do środka cały czas wpadało trochę świeżego powietrza.

Sierpniowe słońce tymczasem zrobiło się naprawdę gorące, dojrzewały czarne jagody, do stodoły trafiało ostatnie siano.

Beniamin i Hanna stali się niewidzialni i niesłyszalni – zgodnie z poleceniem Oline. Najczęściej biegali po plaży i przyglądali się statkom, czekając na ten, który przywiezie Dinę i wszystkie prezenty.

Beniamin rozumiał, że babka jest chora. Zapowiedź jej śmierci potraktował jednak jak zwykłą przesadę Oline. Hanna natomiast odziedziczyła po Stine instykt, dzięki któremu rozpoznawała to, co nieuchronne. I pewnego dnia, stojąc boso pośród fal przyplywu i nadziewając na patyk przewróconego na grzbiet kraba, powiedziała:

– Matka Karen na pewno umrze przed niedzielą!

– Co? Czemu tak mówisz?

– Widzę to po mamie. No i po Matce Karen też! Starzy ludzie muszą umrzeć!

Beniamina ogarnęła wściekłość.

– Matka Karen nie jest stara! Tylko niektórzy tak myślą... – dodał już trochę łagodniej.

– Ona jest stara jak świat!

– Nie! Głupia jesteś!

– Czemu mówisz, że nie? Przecież możesz jej chyba pozwolić spokojnie umrzeć i nie wściekać się!

– Tak, ale ona nie umrze! Słyszysz?

Złapał Hannę za warkocze i wykręcał je co sił tuż u nasady włosów. Hanna usiadła na zalanej wodą plaży, płacząc z bólu i wściekłości. Zmoczyła z tyłu sukienkę i pantalon. Siedziała z wyciągniętymi nogami i pupą zanurzoną w wodzie. Z szeroko otwartych ust co chwila wydobywały się wrzaski.

Beniamin zapomniał, że jest na nią zły. Poza tym wiedział, że jeśli nie zrobi czegoś natychmiast, ryzykuje, że za chwilę przybiegnie tu Stine, by sprawdzić, co się stało. Przez chwilę stał więc i patrzył na Hannę pełen rezygnacji, a potem wyciągnął do niej ręce i pomógł jej wstać, przemawiając jednocześnie ugodowo.

Pomógł Hannie zdjąć mokre ubranie. Wykręcili je i ułożyli na ciepłych skałach do wysuszenia. Gdy tak siedzieli, nie wiedząc właściwie, czy są przyjaciółmi, czy wrogami, zaczął dotykać Hanny, tak jak to robił wówczas, gdy nikt ich nie widział. Obrażona dziewczynka położyła się na skale, strzepnęła z uda mrówkę i pozwoliła mu łaskawie kontynuować eksperyment, sama zaś pociągała nosem i pozwalała się w pewien sposób pocieszyć.

Oboje zapomnieli, że Matka Karen ma umrzeć przed niedzielą.

* * *

Następnego dnia parowiec przywiózł Dinę. Dina zabrała dzieci do pokoju Matki Karen. Stały koło łóżka z zeszywniałymi ramionami i spuszczonej oczami.

Beniamina przebiegały dreszcze w tym gorącym pokoju. Pokręcił odmownie głową, gdy Stine poprosiła, by wziął babkę za rękę.

Wtedy Dina pochyliła się nad staruszką i ujęła każdą jej dłoń obiema rękami. Potem kiwnęła głową do Beniamina.

Chłopiec wsunął rączkę w dłoń Diny, ta zaś poprowadziła ją w stronę staruszki. Dłoń Diny objęła chłopięcą i starczą rękę jednocześnie.

Błysek światła zamigotał w oczach Matki Karen. Jej twarz była częściowo sparaliżowana. Ale stara kobieta uniosła lewy kącik ust w bezradnym uśmiechu. Jej oczy powoli wypełniły się łzami.

Nad łóżkiem kołowały się lekko woreczki z ziołami Stine. Biała zasłona muskała parapet.

Wtedy Benjamin rzucił się Matce Karen na szyję, choć nikt mu nie kazał.

Oline, Anders i służący stali w drzwiach. Każdy z nich pozegnął już wcześniej starszą panią.

Matka Karen nie mogła się do nich odezwać, ale pozwalała, by ją głaskali po wychudzonych rękach. Po grubych niebieskich żyłach, powykrecanych na wzdórku dłoni niby nagie gałęzie jesiennych drzew. Wodziła za domownikami wzrokiem, gdy tylko miała otwarte oczy. Dobrze wiedzieli, że słyszy i rozumie wszystko.

Izbę opanował wielki spokój. Ludzie zlewali się ze sobą. Podobni kępkom wrzosu, które po stopnieniu śniegu prostują się i przepływają w siebie nawzajem.

Johan nie zastał Matki Karen przy życiu.

Łódź z ciałem zmarłej przystrojono liśćmi i jęczmnikami. Tu i ówdzie zatknęto kwietne wieńce i bukiety. Trumna skryła się pod nimi.

Oline musiała zadbać o to, by żałobni goście dostali smaczne jedzenie i nie rozpowiadali potem o kiepskiej kuchni na Reinsnes. Takie plotki nigdy nie splamią Reinsnes Matki Karen!

Zajmowała się przygotowywaniem jedzenia i picia od rana do nocy. Na stypie nie może zabraknąć niczego. Cały czas płakała przy pracy i wdychała.

Benjamin sądził, że to się nigdy nie skończy. Musiał zawsze być pod ręką i wycierać Oline nos, żeby łzy nie nakapały do podpłomyków, pasztetów i kanapek.

Johan zamknął się w swoim żalu. To, co zdarzyło się między nim a Diną, osiadło na jego sumieniu plamami zgnilizny. Nigdy nie otrzymał żadnego rozgrzeszenia. Śmierć Matki Karen stała się dla niego straszliwym ostrzeżeniem. A Dina wciąż istnieje! Potrafi go złamać i podporządkować, po prostu wchodząc do pokoju, w którym on siedzi. Nie potrafił przyznać się przed Matką Karen do swego wielkiego grzechu, a teraz już jej nie ma. Nie umiał pomyśleć o własnym ojcu, żeby strach nie ścisnął mu przy tym gardła! Sporo już czasu minęło od chwili, gdy miał jakikolwiek kontakt z Bogiem. Chodził między swymi parafianami po targanej wiatrami skalistej wysepce i próbował odpokutować swe grzechy. Nawet jednak to, że zrezygnował z pensji i oddawał wszystko najuboższym, nie na wiele się zdało.

Nienawidził samego siebie tak bardzo, że nie potrafił znieść własnej nagości. Tak, nawet we śnie, w czasie nocnych polucji, nie mógł się pozbyć wrażenia, że tonie we włosach Diny. Jej białe uda zamieniały się we wrota piekielne. Budził się, widząc wyraźnie pełzające jęczyczki ognia, i gwałtownie przypominał sobie wszystkie modlitwy, których się kiedyś nauczył.

Ale Najwyższy najwyraźniej wcale nie uważał, że to wystarczy. Sądził chyba, że Johan powinien wyznać swój grzech biskupowi w Nidaros albo w Tromsø.

Po pogrzebie Johan znów pojechał do Helgelandu. Unikał tak Diny, jak się unika popękanego lodu.

Dina kazała wysprzątać oborę. Wyszorować podłogi w składzie i cumowniach.

Nikt nie rozumiał, co mają znaczyć te porządki. Wszyscy rozumieli jednak, że to rozkaz. Sama spędzała długie jesienne wieczory w kantorku i używała drogocenną oliwę do lampy, by sumować i dzielić ważne liczby.

Nie przeniosła się do dużego domu, nie grała na wiolonczeli. Ta ostatnia sprawa niepokoiła wszystkich.

Beniamin wiedział najlepiej, jak niebezpieczna jest taka Dina. Próbował dotrzeć do niej tymi samymi sposobami, których ona używała, gdy chciała coś osiągnąć.

Ale Dina zareagowała na to zaangażowaniem gubernera. Nauczyciel wpał dzieciom dyscyplinę i wiedzę, jakby każde z nich było młockarnią, którą trzeba wykorzystać do granic możliwości. Anders wyjeżdżał i wracał. Na miejscu także był niewidoczny, bo wszyscy wiedzieli, że zaraz ruszy w drogę.

Matka Karen leżała w swej mogile i nie ponosiła odpowiedzialności za istniejący stan rzeczy. Była jednak bardziej nieugięta niż kiedykolwiek.

A jej dobre imię jaśniało jak biel kwiatków, które mróz rysował na szybie Diny. Matka Karen nie przychodziła do Diny z kątów ani z ciężkich chmur wiszących nad fiordem. Nie mieszała się w to, co Dina robi, ani w to, czego nie robi. Nie narzucała się.

Bez wątpienia spodobało się jej za progiem śmierci i nie potrzebowała żadnego kontaktu z żywymi.

* * *

Gdy rozniosty się plotki, że znów widziano niedźwiedzia, Dina chciała zabrać Tomasza na polowanie. Ten wykręcał się jednak, ciągle miał coś do zrobienia.

Tak minęła jesień.

Zima zjawiała się nagle ze śnieżnymi zaspami i mrozem już w październiku.

Dina znowu zaczęła grać. Dzieliła swój czas między rachunki i wiolonczelę.

Tony. Czarne znaczki na prościutkich liniach. Milczące, aż do chwili gdy za jej sprawą zyskiwały głos. Czasami dźwięki rozchodziły się z arkusza nutowego, z Lorchowej wiolonczeli, mimo że Dina nie grała. Ręce spoczywały spokojnie na instrumencie, a jednak rozlegała się melodia.

Liczby. Granatowe, starannie wpisane do rubryk. Milczące, ale pełne wyrazu. Dla wtajemniczonych. Znaczyły zawsze to samo, zawsze. Miały swój roczny rytm, zawierały ukryte skarby. Albo oczywiste straty.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ON JEDNAK NIE POSŁUCHAŁ JEJ GŁOSU, LECZ ZADAŁ JEJ GWALT,
ZBEZCZEŚCIŁ I OBCOWAŁ Z NIĄ. POTEM AMON POCZUŁ DO NIEJ BARDZO
WIELKĄ NIENAWIŚĆ. NIENAWIŚĆ TA BYŁA WIĘKSZA NIŻ MIŁOŚĆ, KTÓRĄ
KU NIEJ ODCZUWAŁ. RZEKŁ DO NIEJ AMON: „WSTAŃ I ODEJDŹ STĄD!”

(Druga Księga Samuela, 13, 14-15)

Tomasz zaczął chodzić za Diną, gdy tylko pojawiała się w stodole czy w stajni.

Poruszała się niespokojnie w jego obecności. Jakby chciała ominąć robaka. Czasami przyglądała mu się badawczo. Najczęściej wtedy, gdy był w bezpiecznej odległości.

Pewnego popołudnia podszedł do niej, gdy miała wejść do oficyny.

– Dlaczego zawsze wchodzisz mi w drogę? – zapytała gniewnie.

Błękitne i niebieskie oko zamrugało parę razy. Potem coś się zaostrzyło w tych oczach.

– Jeśli mam pracować na Reinsnes, to muszę być tu i tam.

– A co robisz na moich schodach?

– Odgarniam śnieg.

– W takim razie pewnie przydałaby się szufła? Tomasz odwrócił się i poszedł do szopy po łopatę.

Całymi godzinami łopata skrzypiała koło oficyny.

Nazajutrz Dina wezwała do siebie Stine.

– A gdybyś tak wyszła za mąż za Tomasza? – zapytała prosto z mostu.

Stine opadła na najbliższe krzesło, ale po chwili znów się poderwała.

– Jak możesz mówić takie rzeczy? – wybuchnęła.

– To niezłe rozwiązanie.

– Czego?

– Wszystkiego.

– Nie powinnaś tak myśleć – powiedziała zawstydzona Stine i spojrzała na Dinę z zakłopotaniem.

– Moglibyście zamieszkać tu, w oficynie, jak państwo. A ja się przeniosę do dużego domu – powiedziała Dina z uśmiechem.

Stine wsunęła ręce pod fartuch i spuściła oczy bez słowa.

– I co ty na to?

– On nie zechce – odparła spokojnie Stine.

- Dlaczego miałby nie zechcieć?
- Dobrze wiesz dlaczego.
- Dlaczego?
- Bo chce kogoś innego.
- Kogóż to?

Stine poruszyła się niespokojnie. Głowę jeszcze niżej spuściła na piersi.

– Chyba ty jesteś jedyną osobą, która tego nie wie. Bardzo trudno sprawić, żeby w człowieku odmieniło się serce. Niezwykle rzadko zamienia się to w błogosławieństwo.

– Ty będziesz błogosławieństwem dla każdego! – przerwała jej Dina.

Stine po wyjściu z oficyny szła wolnym krokiem. Jej oczy zrobiły się prawie czarne i patrzyły przed siebie świadome celu. Zostawiła swój szal na krześle. Ale nie wróciła po niego, choć było jej zimno.

Długo stała przed kuchennymi drzwiami, przyglądając się soplom zwisającym pod okapem. Tam, w środku, pracowała Oline, odwrócona do okna plecami.

Dina posłała po Tomasza i oznajmiła mu, jaka przyszłość go czeka.

Tomasz zeszywniał, stał bez ruchu, jakby ktoś przybił go gwoździem do podłogi. Miał całkiem nagą twarz.

– Chyba nie mówisz poważnie! – szepnął.

– Dlaczego nie? To dobre rozwiązanie. Możecie zamieszkać tu, w oficynie, jak książęta!

– Dino! – powiedział Tomasz. Jego spojrzenie szukało jej po omacku. W całkowitych ciemnościach.

– Wszystko, czego się ima Stine, zamienia się w błogosławieństwo – powiedziała Dina.

– Nie!

– Dlaczego nie?

– Wiesz dobrze. Nie mogę się ożenić!

– Masz zamiar spędzić tu całe życie jak jakiś dureń?

Tomasza przeszył dreszcz, jakby Dina go uderzyła. Ale nic nie powiedział.

– Za dużo marzysz, Tomaszu! Proponuję ci rozwiązanie. Najlepsze dla wszystkich.

– Jesteś niezadowolona, że na ciebie patrzę – powiedział ostro.

– Nic nie wyniknie z tego patrzenia.

– Ale byłem wystarczająco dobry... przedtem!

– Nikt nie mówi o żadnym przedtem! – krzyknęła.

– Jesteś okrutna!

– Uważasz, że tego rodzaju propozycja jest okrutna?

- Tak – odparł, dysząc, nałożył czapkę na głowę i chciał wyjść.
 - Trudno ci będzie żyć tu, na Reinsnes, jeśli się nie ożenisz, rozumiesz?
 - Od kiedy?
 - Od wtedy, gdy zauważyłam, że wszędzie za mną łazisz – syknęła Dina cicho. Tomasz odszedł, choć wcale mu nie kazała.
- Krażyła po izbie przez całe przedpołudnie, mimo że czekała na nią robota. Zjawiała się służąca, by napalić w piecu. Ale Dina wygoniła ją z krzykiem. W oficynie zapadły ciemności i cisza.

Tomasz siedział w kuchni u Oline, jedząc wieczorną kaszę, gdy weszła tam Stine. Popatrzyła na niego przez chwilę i oblała się rumieńcem. Potem wybiegła. Pod Tomaszem ugięły się nogi. Gapił się tak, jakby nigdy w życiu nie widział zamykających się za kimś drzwi.

Opadły mu ramiona. Przeżuwał kaszę bardzo powoli.

- Co się stało? – pytała Oline. – Jest zimna?
- Nie, skądże, wielkie dzięki – odparł zakłopotany Tomasz.
- Zrzęda ci mina.
- Naprawdę?
- I Stine zrzęda mina. Co się dzieje?

– Dina chce nas ożenić! – rzucił bez zastanowienia.

Oline mocno zacisnęła usta. Tak samo jak zamykała ciąg w piecu każdej nocy.

– Ze sobą czy każde z osobna? – zapytała w końcu. Jakby każde z tych rozwiązań było dla niej nowością.

- Ze sobą.
- Czy wy?...
- Nie! – krzyknął ze złością.
- Aha...
- Nie można tak po prostu żenić ludzi – szepnął Tomasz.

Oline umilkła i zaczęła pobrzękiwać filiżankami na ławie, po czym rzekła:

- Jest coraz bardziej podobna do referendarza.
- Tak! – zgodził się Tomasz i znów zatonął w myślach.
- A ona cię nie chce? Stine?
- Nie mam pojęcia – zmieszał się Tomasz.
- Czy byłoby tak źle?
- Źle?

– No tak, to mogłoby być całkiem dobre rozwiązanie.

Tomasz odepchnął filiżankę z kawą, chwycił czapkę i rzucił się do drzwi.

– W dupie mam te wasze dobre rozwiązania, tu, na Reinsnes – burknął już z sieni.

Nazajutrz Tomasz zniknął. Nikt nie wiedział, gdzie się podział.

Na trzeci dzień przyszedł od strony gór w postrzępionym ubraniu, roztaczając wokół woń alkoholu.

Zjadł i wypił coś w kuchni, a potem położył się i spał całą dobę.

Gdy się obudził, Dina stała nad nim i szarpała go za ramię. W pierwszej chwili sądził, że śni. Potem wybałuszył oczy i usiadł.

Na baczność przed Diną Grøneltv, pomyślał z goryczą, gdy uświadomił sobie, kto nad nim stoi. Całymi latami zbierał w poniżeniu jej spojrzenia, gesty, słowa.

– Nieźle sobie używasz, Tomaszu, z wielką fantazją! Przed Bożym Narodzeniem, kiedy mamy tyle roboty! – powiedziała Dina spokojnie.

Słowa z łoskotem wpadały wprost do jego przytępionego umysłu.

– Nie boisz się, że będziesz musiał spakować manatki?

– Nie – odparł Tomasz zdecydowanie.

Dina drgnęła, słysząc tę bezczelną odpowiedź, ale szybko się opanowała.

– Więc bierz się do roboty!

– Co rozkaże pani na Reinsnes? Mam ją wziąć od przodu czy od tyłu?

Na dworze wiatr ciskał cynowym wiadrem.

Dina uderzyła. Mocno. Po kilku sekundach z Tomaszowego nosa zaczęła kapać krew. Siedział na łóżku i patrzył na nią. Strużka stawała się coraz szersza. Płynęła czerwoną ciepłą rzeką po jego ustach i brodzie. Kapała na rozpiętą na piersiach koszulę, zabarwiwszy najpierw na czerwono złotawe włoski na torsie.

Nie wytarł twarzy. Siedział cicho z krzywym uśmiechem i pozwalał, by krew po nim spływała.

Dina odchrząknęła. Mimo to jej słowa zabrzmiały jak kamienna lawina.

– Wytrzymaj się i zabieraj do pracy!

– Sama mnie wytrzymaj! – powiedział ochryplym głosem i wstał.

Było w nim coś groźnego. Coś całkiem obcego. Jego myśli przestały być jej własnością.

– A dlaczego miałabym cię wytrzeć?

– Bo to przez ciebie leci mi krew!

– Masz rację – powiedziała z nieoczekiwanym uśmiechem i rozejrzała się po izbie. Znalazła ręcznik, podniosła go i podała Tomaszowi z szyderym uśmiechem.

Tomasz nie wziął ręcznika. Wtedy podeszła do niego i delikatnie wytarła mu twarz. Nie na wiele się to zdało. Ciągłe płynęła świeża krew.

Wtedy nagle coś między nimi rozbłysło! Zajaśniało jak płomyk w tej mrocznej, spartańskiej izbie. Nagie, dzikie pożądanie! Brat nienawiści i zemsty.

Tomasz cuchnął alkoholem i stajnią. Ona pachniała atramentem, wodą różaną i świeżym potem.

Dina cofnęła dłoń, jakby się oparzyła. Potem wycofała się w stronę drzwi. Nozdrza jej się rozszerzyły.

– To przez ciebie leci mi krew! – wrzasnął za nią Tomasz.

Pierwszej niedzieli po Nowym Roku ogłoszono zapowiedzi Tomasza i Stine.

– I na co komu marzenia? – pytała Oline nie raz i nie dwa. – Krótko trwają i źle się to kończy albo wleciesz je za sobą przez całe życie.

Dina znów wniosła wiolonczelę do sypialni na poddaszu. Intermezzo w oficynie dobiegło końca.

Jam jest Dina. Ludzie istnieją. Ja ich spotykam. Prędzej czy później drogi się rozchodzą. To jest to, co wiem.

Kiedyś zobaczyłam coś, czego nigdy nie widziałam. Między dwójgim starzejących się ludzi, między biskupem a jego żoną. Miłość jest chyba morską falą stworzoną tylko dla tej plaży, w którą uderza. Ja nie jestem żadną plażą. Jam jest Dina. Obserwuję takie fale. Nie mogę pozwolić, by mnie zalały.

Beniamin przyzwyczał się do tego, że mieszka w domu, w którym nie ma Diny. Sam zdecydował, że przeniesie się do oficyny. Nie zniósłby, gdyby Dina go wyprzedziła.

Wyrósł w ciągu ostatniego roku. Choć zapewne nigdy nie będzie wysoki. Kręcił się wszędzie, milcząc i obserwując. Pytał i odpowiadał zagadkowo jak wyrocznia. Nie czepiał się już spódnicy Diny. Coś się zmieniło po jej podróży do Tromsø. A może po śmierci Matki Karen?

Nikt by chyba nie powiedział, że przywdział żałobę po niej albo że za nią tęskni. Ale często wślizgiwał się samotnie, bez Hanny, do pokoju Matki Karen.

W tej izbie nic się nie zmieniło. Zasłane łóżko. Ozdobne poduszki przetrzepane i ustawione u wezglowia. Jak nietykalne skrzydła anioła, który już odleciał.

Stała tam także biblioteczka z kluczykiem w zamku. Beniamin przychodził tu i pogrążał się w myślach, dopóki ktoś go nie zawołał. Przestał zaglądać do dużego domu, poza chwilami, które spędzał, siedząc po turecku na podłodze w tej izbie, koło biblioteczki.

Beniamin był pojętnym uczniem, ale wymigiwał się od nauki, gdy to było możliwe. Do dużego domu przychodził przede wszystkim po książki. Johan zabrał wprawdzie ze sobą dzieła filozoficzne i religijne, ale na półkach zostały powieści.

Beniamin czytał Hannie na głos. Potrafili siedzieć całymi godzinami koło białego kaflowego pieca w oficynie nad książkami Matki Karen.

Stine nie psioczyła na nich, jeśli tylko siedzieli spokojnie. Od czasu do czasu mówiła: „Mamy już niewiele drewna na podpałkę”. Albo: „Nie ma wody w wiadrze”.

Beniamin widział, że musi spełniać zadania parobka, gdy nikogo innego nie ma w pobliżu. Zdarzało się, że wróciwszy ze składu albo z plaży, nie mógł wyjść z zadziwienia, że ten wielki biały dom wciąż stoi. Wtedy szybko przenosił spojrzenie na gołębnik pośrodku podwórka i zaczynał myśleć o czymś innym.

Od czasu do czasu czuł wyraźnie ból w pewnym miejscu – ból, który pochodził nie wiadomo skąd.

Beniamin zauważał niejedno, wcale się nad tym nie zastanawiając. Na przykład fakt, że Tomasz zawsze należał do Diny. Tak jak Szatan i wiolonczela. Aż do chwili, gdy Stine i Tomasz wzięli ślub i przenieśli się do oficyny.

Ledwie spędzili parę wieczorów koło kaflowego pieca, każde z nich pochylone nad swoją robotą, a Beniamin zrozumiał, że Tomasz już nie należy do Diny. Że nie należy także do Stine, choć z nią sypia. Tomasz należał do siebie samego.

Fakt, że trzeba należeć do siebie samego, jeśli się mieszka w oficynie, przerażał Beniamina. Dina i wiolonczela zmieniły się w odległe dźwięki dochodzące z sypialni.

Beniamin mieszkał w oficynie, żeby się nauczyć należeć do siebie samego.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

KTO ZNALAZŁ ŻONĘ – DOBRO ZNALAZŁ
I ZYSKAŁ ŁASKI U PANA.

(Księga Przysłów 18, 22)

W styczniu Anders pojechał na Lofoty, żeby kupić tam rybę. Wrócił do domu dopiero wtedy, gdy trzeba było zaczynać przygotowania do bergeńskiej wyprawy. Jego życie było w istocie długą morską podróżą. Nawet jednak gdy po paru tygodniach spędzonych na łądzie zaczynało go nosić po kątach, nie zawracał nikomu głowy.

Zdarzało się czasem, że na Reinsnes prosili o gościnę jacyś podróżni płynący statkiem. Ale rzadziej niż w ubiegłych latach.

W składzie za to drzwi się prawie nie zamykały. Pomysł kupienia mąki w Archangielsku okazał się prawdziwie zbawienny. Dina sporo zarobiła, magazynując mąkę do przednówka. Szybko rozeszły się wieści o tym, że na Reinsnes można kupić mąkę, sprzęt rybacki i wszystko, co niezbędne do życia, w zamian za sztokfisz. W ten sposób Anders zawarł solidne umowy na fracht ryb do Bergen.

Stine już nie siadała do stołu w dużym domu. Sama przygotowywała jedzenie dla męża i dzieci. Poza tym robiła to samo co przedtem. Jej płynne, miękkie ruchy sprawiały, że mało kto zauważał, iż pracuje od świtu do nocy.

Zmieniła się jednak trochę przez ten czas. To się zaczęło wtedy, gdy przeniosła swój skromny majątek do oficyny. Z uśmiechem taszczyła garnki, w których zwykła gotować maści. Gdy przenosiła zioła z głównej piwnicy do piwnicy w oficynie, nuciła jakąś piosenkę w swym dziwnym języku, którego tak rzadko używała.

Najpierw wyszorowała i wysprzątała całą oficynę. Nakłoniła Hannę i Beniamina, by jej pomogli wystrzygać z kolorowego papieru kunsztowne wycinanki na półki. Przewietrzyła pościel. Ułożyła w szafach i komodach wszystko, co podarowała jej Dina.

Drzwi stały otworem i Stine witała każdego, kto miał ochotę do niej zajrzeć. Nieważne, czy przychodził z ciekawości, czy żeby prosić o radę i lekarstwo na jakąś ranę lub chorobę.

W wielu sprawach Stine odebrała palmę pierwszeństwa Oline. Coraz więcej osób robiących sprawunki w składzie miało jakiś interes do Stine zamiast zaglądać do niebieskiej kuchni w dużym domu. Ludzie przychodzili przede wszystkim po zioła i maści. Ale również w innych sprawach, o których nikt nie mówił głośno.

Stine miała pomocne i ciepłe ręce. Jej oczy iskrzyły się czasem ciemną radością. Tej wiosny miała pod opieką więcej edredonów niż zwykle. Karmiła je i zbierała puch. Zbudowała kaczkom schronienie z desek i pudełek, żeby nie dokuczał im deszcz i wiatr, gdy będą wysiadywać jaja. Kiedy nadeszła właściwa chwila, zebrała pisklęta do fartucha i zaniósła je nad morze.

Przez wiele tygodni po ślubie Tomasz zachowywał się jak na poły ogłuszony wół. Potem nie mógł się już dłużej opierać. Twarz mu się z wolna wygładziła, zniknęły z niej zmarszczki. Jakby Stine myła go w naparze ziołowym i w wodzie różanej rano i wieczorem. Albo jakby używała swej tajemnej mocy.

Gdy jej brzuch wyraźnie się zaokrąglił pod fartuchem, Tomasz zaczął się uśmiechać. Najpierw ostrożnie. Potem promieniał jaśniej niż słońce i jego własne opalone ramiona, gdy podążał za pługiem.

Z początku myślał, że rzuciła na niego urok. Bo z biegiem nocy i dni ulegał jej coraz bardziej. Stine promieniała ciepłem.

Na początku nie próbowała go wcale dotykać. Czyściła jego ubrania, stawiała przed nim jedzenie. Troszczyła się o jego odpoczynek. Przychodziła na pole z bańką kwaśnego mleka. Stawiała ją z uśmiechem i odchodziła.

Najwyraźniej nigdy nie dostała nic za darmo. Podczas nocy poślubnej kochał się z nią pospiesznie i ze złością, myśląc cały czas o tym, że urodziła dwójkę nieślubnych dzieci.

Gdy już kończył, zdawało mu się, że leży między jędrnymi udami Diny. Potem Stine okryła go kołdrą i życzyła mu dobrej nocy. Ale Tomasz nie zasnął. Leżał tylko i przyglądał się rysom jej twarzy w skąpym świetle.

Było strasznie zimno. W pewnej chwili zauważył, jak Stine się kuli. Wtedy wstał i rozpalił w piecu. Żeby ją uradować. Bo nagle dotarło do niego, że Stine jest człowiekiem. I że wcale nie prosiła o to, by znalazł się w jej łóżku.

Szybko zrozumiał, że nawet jeśli rzuciła na niego lapoński urok, to wcale nie chce, by go zeń zdjęła.

Z nieśmiałą radością coraz częściej szukał jej ciała. Doświadczył cudu: nigdy nie został odrzucony.

Nauczył się wkrótce, że Stine nabiera ciepła i ochoty, gdy dotyka jej jak najdelikatniej. I choć jej obce oczy żyły swoim własnym życiem, to jednak była przy nim. Dniem i nocą.

A tymczasem rosło w niej dziecko. Prawowity potomek, który miał ojca w życiu i na papierze. Jeśli nawet nie myślała nigdy przedtem o tym mężczyźnie, to nigdy tego nie powiedziała. Jeśli wiedziała, że odziedziczyła go po swej władczyni, tak jak dziedziczyła po niej bieliznę i suknie czy jakieś pachnące mydélko, to nie podzieliła się tym z nikim.

Tego dnia, gdy Stine powiedziała mu o ciąży, Tomasz przytulił ją i wyszeptał niemęskie słowa. I wcale nie uważał, że powinien się ich wstydzic. Niewiele wiedział o miłości. Wiedział tylko, jak się czeka na słowo Diny, na jej skinienie, na przejażdżkę z Diną, na jej humory, na pożerające go ze szczętem požądanie. Tamta miłość całkowicie go podporządkowała i skazała na życie w ukryciu przez całą młodość. Nagle uwolnił się od niej.

Mijały dni i tygodnie, a on wcale nie myślał o tym, do kogo należy Reinsnes. Dni, które spędzał w polu. W oborze. W lesie. Bo pracował dla Stine i dla dziecka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

„NIE NAZYWAJCIE SPISKIEM WSZYSTKIEGO,
CO TEN LUD NAZYWA SPISKIEM;
I NIE LĘKAJCIE SIĘ, CZEGO ON SIĘ LĘKA,
ANI SIĘ NIE BÓJCIE!”

(Księga Izajasza, 8, 12)

Pewnego dnia do brzegu przybiła niespodziewanie kryta łódź referendarza. Poważny i zasępiony Holm chciał rozmawiać z Diną w cztery oczy.

– A o co chodzi? – zapytała Dina.

– Rosjanin został aresztowany w Trondheim – odparł referendarz.

Dina zachnęła się.

– Jaki Rosjanin?

– Ten Leo Żukowski, który gościł na Reinsnes kilka razy!

– Za co?

– Za szpiegostwo! I obrazę majestatu!

– Za szpiegostwo?

– Starosta twierdzi, że już od dawna mieli go na oku. A on na dodatek bardzo im ułatwił sprawę i mogli go aresztować na terenie więzienia. Kiedy wybrał się do azylu po to, by zabrać stamtąd jakąś paczkę. Dyrektor więzienia spodziewał się go, prędzej czy później. Asesor sądzi, że poprzedni dyrektor był kurierem buntowników politycznych. Leo Żukowski wpadł prosto w zastawioną pułapkę.

Paczka leżała tam już bardzo długo... Najprawdopodobniej zawierała zaszyfrowane informacje. – Referendarz przemawiał cichym, ale groźnym głosem. Teraz mężczyzna warknął cicho:

– A dyrektor więzienia twierdzi, że tę paczkę dostarczyła Dina Grønelt z Reinsnes.

– O co w tym wszystkim chodzi?

– O to, że moja córka jest podejrzana o udział w aferze szpiegowskiej! Że przyjaźniła się ze szpiegiem! Że ten człowiek jadł i pił w towarzystwie referendarza!

Twarz Diny przypominała róg zużytego żagla. Oczy mrużyły się przy szybkich poruszeniach powiek. Biegły to w stronę okna, to referendarza – i z powrotem.

– Ależ ta książka, miły referendarzu, książka, którą tam zostawiłam, zawierała tylko wiersze Puszkina! Leo i ja z przyjemnością czytaliśmy razem. Oczywiście, musiał mi tłumaczyć, ponieważ nie znam rosyjskiego.

- Co za bzdurne wymysły!
- To prawda!
- Musisz powiedzieć, że nie przywiozłaś tej książki!
- Ale ja ją przywiozłam!

Referendarz westchnął i chwycił się za serce.

– Po co robisz takie głupstwa, jeśli wolno spytać? – wrzasnął.

– Podkreślenia, które robiliśmy w książce to nie żaden szyfr szpiegowski. To po prostu słowa, których próbował mnie nauczyć.

– Były też inne podkreślenia. Szyfr musiał być w książce już wcześniej.

Ani referendarz, ani jego serce nie mogli znieść myśli, że Dina jest wmieszana w tego rodzaju sprawę. Najpierw po prostu Holm nie chciał zapisać w raporcie, że Dina zawiozła książkę do Trondheim. Patrzył na nią ze szpary w krze lodowej, nad którą unosiły się białe krzaczaste brwi. Lodowato. Jakby znieważyla go osobiście, potwierdzając fakt, że to właśnie ona zostawiła tę nieszczęsną paczkę w więzieniu. Nie życzył sobie, by jego nazwisko związane z jakimkolwiek skandalem!

– Muszę przypomnieć panu referendarzowi, że noszę nazwisko Jakuba! I nie wolno mi zatajać prawdziwych informacji. Chyba wiesz o tym?

Referendarz zapadł się w siebie, jakby ktoś nagle uderzył go w kark tłuczkiem do mięsa. Nieomal słychać było stuknięcie, zanim głowa opadła mu na piersi. Dotknął jednocześnie wąsów i złożył je razem z pełnym upokorzenia wyrazem twarzy.

W końcu przystąpił do odwrotu i postanowił potraktować całą historię jako świetną okazję, dzięki której miał urosnąć jako ojciec i referendarz w oczach starosty. Ba, w oczach całego norweskiego sądownictwa!

Z wielką przyjemnością zajmie się całą tą sprawą i udowodni, że to nic innego jak śmieszna pomyłka. Że ten człowiek jest niegroźnym, stroniącym od pracy wagabundą. Szpieg! Phi. Wojna i nieurodzaj sprawiły, że wszyscy coraz podejrzliwiej traktują wszystko, co pochodzi ze wschodu. A Anglikom i Francuzom wcale się nie dostaje, chociaż w gruncie rzeczy właśnie oni rozpoczęli całą tę awanturę. Na wszelki wypadek referendarz zbluzgał również Niemców. A tymczasem Rosjanie nie robią tu na północy nic złego, poza tym, że się upijają, śpiewają na głosy i transportują zboże!

Referendarz sporządził swój dosadny raport. Dina podpisała swoje oświadczenie.

Ale w jej głowie wciąż najwyraźniej toczyła się wojna krymska. Tego wieczoru dźwięki wiolonczeli zdradzały, że Dina próbuje pogalopować aż do Trondheim.

Referendarz uważał, że jej zeznanie przyczyni się do uwolnienia Rosjanina z zarzutów. Nie ma żadnych wątpliwości. Przecież to on, było, nie było, pomógł ugasić straszliwy pożar stodoły na Reinsnes. Dzięki swemu rozumowi i odwadze.

Dina została wezwana do Ibestad, gdzie miała złożyć wyjaśnienia przed asesorem. Na temat nieszczęsnej książki z wierszami Puszkina oraz, wszystkich podkreśleń, które rzekomo były szyfrem.

Asesor przyjął Dinę i referendarza całkiem uprzejmie. Zastali u niego kancelistę i dwóch świadków. Gdy już Dina podała swoje nazwisko i załatwiono wstępne formalności, asesor zaczął czytać swoje dokumenty.

Tłumaczenie podkreślonych w książce słów wykazało, że Leo Żukowski oskarża Oskara I oraz szanowanego obywatela i dyrektora teatru, Knuta Bondego, o sprzyjanie Napoleonowi III! Że próbował nakłonić nie wymienione z nazwiska osoby, by poparły spisek przeciwko królowi szwedzkiemu!

Dina roześmiała się, zaskoczona. Asesor z pewnością wybaczy, ale jej szacunek dla szwedzkiego króla pozostawał w ścisłym związku z opiniami Matki Karen. A Matka Karen zawsze sobie życzyła, by kliper z Reinsnes żeglował pod duńską banderą!

Na twarzy referendarza malowało się zawstydzenie. Jako ojciec był jednak stroną w tej sprawie i na szczęście nie mógł się wypowiadać. Nie mógł, niestety, także zmusić Diny, by pohamowała śmiech.

– Pani zeznania zostaną spisane słowo w słowo i przesłane do Trondheim – przestrzegł ją asesor.

– Trudno, by córka referendarza o tym nie wiedziała.

Urzędnik zaczął ją spokojnie wypytywać. Dina odpowiadała zwięźle i wyraźnie. Ale prawie każdą odpowiedź kończyła pytaniem.

Asesor skubał się po brodzie i bębnił palcami w stół.

– Twierdzi pani, że tu chodzi o swego rodzaju prywatną, towarzyską obrazę majestatu?

– Absolutnie!

– Ale Rosjanin wcale tego w ten sposób nie tłumaczy. Nie wspomina nazwiska Diny Grønelv w związku ze sprawą szyfrów. Przyznaje jedynie, że pani najprawdopodobniej przywiozła książkę do Trondheim z własnej woli, bez jego wiedzy.

– Po prostu nie chce mnie mieszać do tej sprawy, jak mi się wydaje.

– Zna pani dobrze tego człowieka?

– Równie dobrze jak wszystkich innych, którzy goszczą u nas dobę czy dwie. Wielu ludzi przybija do brzegu w Reinsnes.

– Ale przysięga pani, że ten człowiek dokonał podkreśleń we wspomnianej książce podczas tak zwanej gry towarzyskiej?

– Tak.

– Czy byli jacyś świadkowie?

– Nie, niestety.

– Gdzie to się działo?

- Na Reinsnes.
- Ale dlaczego zawiozła pani tę książkę do azylu?
- Ponieważ byłam właśnie przejazdem w Trondheim. On zapomniał książki, a ja wiedziałam, że się tam wybiera.
- Skąd pani o tym wiedziała?
- O ile pamiętam, mówił coś na ten temat.
- Co miał tam zamiar zrobić?
- O tym nie rozmawialiśmy.
- Ale przecież to bardzo nieprzyjemne miejsce dla kobiety?
- Nie jest szczególnie przyjemne i dla mężczyzn.
- Czy jednak potrafi pani jakoś wyjaśnić, dlaczego ta książka miała takie znaczenie dla Rosjanina?

– To jego ulubiona książka. Wie pan równie dobrze jak ja, że ludzie, którzy kochają książki, często wożą je ze sobą. Matka Karen przywiozła w swoim czasie na Reinsnes dwie spore biblioteczki. Leo Żukowski znał Puszkina. Zawsze ma przy sobie jego tomiki podczas podróży. Zapewne sam o tym mówił.

Asesor zakasłał i zerknął w swoje papiery. Potem pokiwał głową.

- Kim jest ten Puszkini?
- Poetę, proszę pana. Autorem tej książki!
- Tak, oczywiście! Leo Żukowski nie mógł wytłumaczyć w wiarygodny sposób, skąd przyjeżdża ani też dokąd zmierza. Czy pani, Dino Grønelv, ma jakieś zdanie na ten temat?

Dina zastanowiła się, po czym pokręciła głową.

- Czy podejrzany był na Reinsnes przed swoją podróżą do Trondheim?
- Nie. Po raz ostatni gościł na Reinsnes wiosną 1854 roku.
- Ten... zbiór poezji leżał w azylu od tamtej pory?
- O to musi pan zapytać dyrektora... Nie ma natomiast wątpliwości co do jednego: ktoś naruszył pieczęć Diny Grønelv na zalakowanej prywatnej paczce.
- Hm...
- Czy to jest w porządku, panie asesorze?
- To zależy...
- Proszę pana! Przecież dopóki nie złamali mojej pieczęci, nie mieli pojęcia, co się znajduje w paczce. A chyba prawo nie pozwala na naruszanie cudzej własności?
- Nie mogę udzielić w tym wypadku odpowiedzi.
- A list? Gdzie jest list?
- List? – spytał asesor zaciekawiony.
- W paczce był też list. Do Żukowskiego. Ode mnie.
- Zadawanie pytań to moja domena. Pani ma tylko odpowiadać.
- Oczywiście, proszę pana.
- Nic nie słyszałem o żadnym liście. Sprawdź to. Co tam było napisane?

- To sprawa prywatna.
- Ale to jest... to jest przesłuchanie.
- Było tam napisane: „Skoro góra nie przyszła do Mahometa, to Mahomet przyszedł do góry”. I: „Barabasza powinien przyjechać do Reinsnes, jeśli jeszcze raz ma uniknąć krzyża”.
- Co to ma znaczyć? Czy to jakiś szyfr?
- Jeśli tak, to nie ma wiele wspólnego ze szwedzkim królem.
- Powinna pani pamiętać, że mówi pani o królu szwedzkim i norweskim!
- Oczywiście.
- Co miały znaczyć te słowa?
- Chodziło o przypomnienie, że wciąż jesteśmy równie gościnni na Reinsnes.
- Czy nie było tam nic więcej?
- Nie. Tylko podpis.
- Czy ten Leo Żukowski i Dina Grøneltv... znali się nieco bliżej, niż nakazują względy gościnności?
- Nie.
- Słyszałem, że Dina Grøneltv jeździła sporo w ciągu dwóch ostatnich lat podczas letnich miesięcy... Zarówno na północ, jak i na południe. Czy spotkała pani Żukowskiego podczas swych podróży?
- Dina zwlekła chwilę z odpowiedzią. Referendarz wyciągnął szyję w swoim kąciku. Czuł się nie najlepiej.
- Nie! – powiedziała w końcu stanowczo.
- Czy pani Dina Grøneltv twierdzi, że ten człowiek nie jest winien czynów, o które go oskarżono i za które go aresztowano?
- Nie wiem, za co go aresztowano.
- Za posiadanie podejrzanej rosyjskiej książki, którą zbadali specjaliści, demaskując jej charakter. Szyfry dowodzą wrogiego stosunku do króla i szanowanego obywatela i sugerują, że ci dwaj uknuli intrygę, która wplątała kraje skandynawskie w wojnę krymską.
- Po której ze stron?
- To nie ma nic do rzeczy – odparł skonfundowany asesor. – Ale Napoleon III jest przecież naszym sojusznikiem. Czy byłaby pani łaskawa odpowiadać zamiast pytać?
- Na północy już od dawna jesteśmy wplątani w tę wojnę. Za szyfr, za który aresztowano Żukowskiego, możecie również aresztować Dinę Grøneltv.
- Co pani ma na myśli, mówiąc „wplątani w wojnę”?
- To, że sami musieliśmy płynąć do Archangielska po mąkę, by nie umrzeć z głodu. O ile mi wiadomo, król wcale się nie zainteresował naszym położeniem. A teraz chce nas wciągnąć w wojnę, która, sądząc z nazwy, powinna się toczyć zupełnie gdzie indziej i nie powinna narażać na straty fińskiego wybrzeża.
- Czy mogłaby pani trzymać się sprawy?

– Tak, proszę pana, jeśli tylko się dowiem, na czym ona polega.
– O ile rozumiem, Dina Grøneltv przyznaje się do współuczestnictwa w tworzeniu szyfrowego zapisu.

– To zabawny sposób nauki rosyjskich słówek.

– Jaką treść zawierają te szyfry?

– Czytał to pan na samym początku, ale ja nie pamiętam tego dosłownie. Rozmawialiśmy o tyłu sprawach od tamtej chwili. Wiele wody upłynęło także od czasów, gdy Leo Żukowski gościł na Reinsnes i uczył mnie rosyjskiego.

– Pani nie jest zbyt skłonna do współpracy.

– Uważam, że jest szaleństwem aresztować człowieka za to, że żartuje sobie ze szwedzkiego króla, a jednocześnie nie kiwnąć nawet palcem, by ukarać tych, którzy złamali moją pieczęć! A wojny krymskiej nikt nie wygra! Oprócz ludzi, którzy zarabiają na niej pieniądze.

Asesor doszedł wreszcie do wniosku, że już zakończył przesłuchanie. Odczytano protokół. Dina zaaprobowała dokument. I na tym sprawa się zakończyła.

– Czy jestem oskarżona?

– Nie – odparł asesor. Był już wyraźnie zmęczony.

– Czy to przesłuchanie wpłynie jakoś na zarzuty stawiane Żukowskiemu?

– Trudno powiedzieć. Ale pani wyjaśnienia podważają dowód, który stanowił szyfr, to wyraźnie widzę.

– Świetnie!

– Czy darzy pani sympatią tego Rosjanina?

– Nie podoba mi się, że ktoś aresztuje moich gości za to, że po przyjacielsku próbują nauczyć mnie rosyjskich słówek. Nie widzę powodu, by to ukrywać.

Asesor, referendarz i Dina rozstali się w atmosferze zgody.

Referendarz był zadowolony. Czuł się tak, jakby sam osobiście załatwił całą sprawę. Przekonał jedną i drugą stronę. Udzielił informacji z pierwszej ręki Dinie i staroście. Sprawił, by przesłuchanie przebiegło szybko i sprawnie.

Tego dnia Dina była jego jedyną córką.

W dniu powrotu Diny z Ibestad tęcza zatoczyła swój luk nad Reinsnes. W miarę jak łódka się zbliżała, zniknął budynek za budynkiem, kryjąc się w mgiełce.

W końcu tęcza wsparła się jednym końcem o dach oficyny, podczas gdy jej drugi koniec zniknął w Sundzie.

Dina zmrużonymi oczami wpatrywała się w brzeg. Tego dnia płynęła sama.

Z okna w sypialni Dina zobaczyła, jak Stine i Tomasz idą przez dziedziniec. Blisko siebie. Kwiecień miał się już ku końcowi.

Nikt nie chodzi w ten sposób na oczach innych ludzi. Nikt!

Stine i Tomasz zatrzymali się koło gołębnika. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. Stine powiedziała coś, czego Dina nie mogła usłyszeć z okna. Wtedy Tomasz odchylił głowę do tyłu i roześmiał się...

Czy ktoś słyszał kiedykolwiek, jak Tomasz się śmieje?

Mężczyzna objął Stine w talii. I tak przeszli powoli przez podwórze, by zniknąć w oficynie.

Kobieta stojąca za firanką zaczerpnęła tchu przez zęby. Ze świstem.

Potem odwróciła się od okna. Przeszła przez pokój. Do pieca, do wiolonczeli, znów do okna.

Pokój mroczniał coraz bardziej.

Gazety donosiły o pokoju zawartym w Paryżu. Rosja lizała rany, pozbawiona honoru. Anglia lizała rany po połowicznym zwycięstwie. A Szwecja razem z Norwegią przestała zbawiać Finów. Triumfował chyba tylko Napoleon III.

Pewnego dnia Dina dowiedziała się z gazety o śmierci Julii Müller. Posłała kondolencje panu Müllerowi. Dostała od niego długi, przepełniony żalem list, w którym opowiadał, że zamierza sprzedać cały swój majątek, łącznie z koniem, i wyjechać do Ameryki.

Dina poszła na wzgórze z masztem. Nad północną Norwegią lato roztaczało swe błogosławieństwo.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

WTEDY POKORNIE Z ZIEMI MÓWIĆ BĘDZIESZ
I Z PROCHU WYJDA TWE SŁOWA STŁUMIONE;
TWÓJ GŁOS JAKBY UPIORA DOBĘDZIE SIĘ Z ZIEMI,
A MOWA TWA Z PROCHU WYDA SIĘ PISZCZENIEM.

(Księga Izajasza, 29, 4)

Szatan miał na podbrzuszu jakąś ranę, która nie chciała się goić, Nikt nie wiedział, w jaki sposób się tego nabawił. Zwierzę stało w stajni i próbowało rozszarpać się na kawałki.

Tomasz na próżno próbował powstrzymać wierzchowca od rozdzierania rany upartymi, żółtymi zębami.

Nikt oprócz Diny nie mógł się zbliżyć do rannego zwierzęcia. Koń bez wątpienia cierpiał, ponieważ w ranie wywiązał się stan zapalny. Dina założyła zwierzęciu kaganiec na pysk. I za każdym razem, gdy Szatan miał jeść albo pić, Dina stała obok i pilnowała, by nie szarpał rany.

Wszyscy słyszeli dzikie, oszalałe rzenie dniem i nocą. A dobiegające ze stajni postukiwanie końskich kopyt rozdzierało serca ludziom i zwierzętom.

Stine przygotowywała maść do smarowania rany. Oline przynosiła okłady z kaszy.

Jednak po tygodniu koń położył się na klepisku w stajni i nie chciał się podnieść. Opluwał Dinę śliną, gdy się doń zbliżała, wyszczerzał zęby ze złości. Oczy zwierzęcia ścięta już krew. Hanna i Beniamin otrzymali zakaz wstępu do stajni.

Jam jest Dina. Ludzie są tak żałośnie bezradni. Natura jest obojętna. Szasta życiem. Nigdy nie bierze odpowiedzialności. Pozwala, by wszystko osiadało jak błoto na powierzchni. Jakże nowe życie może powstawać pośród tego błota? Błoto rodzi błoto w nieskończoność i nie dzieje się, nie powstaje nic, co miałoby znaczenie. Gdybyż choć jeden człowiek powstał z tego błota i zrobił coś ze swoim życiem! Jeden jedyny...

Błoto nie ma władzy nad dźwiękami i liczbami. One nie zależą od ludzkiej wiedzy. Prawa liczb istnieją, niezależnie od tego, czy ktoś je spisuje. Dźwięki będą zawsze. Niezależnie od tego, czy je słyszymy.

Ale natura to błoto. Jarzębina. Koń. Ludzie. Powstali z błota. I w błoto się obrócą. Mają swój czas. A potem toną w błocie.

Jam jest Dina, sama z siekierą i nożem. I z koniem. Czy wiem, w które miejsce muszę trafić? Tak! Bo muszę. Jam jest Dina, która mówi do Szatana. Jam jest Dina, która obejmuje go za kark. Która zagląda mu w dzikie oczy. Długo. Jam jest Dina, która zadaje cios. I mnie! Głęboko.

To właśnie ja siedzę tu pośród ciepłej czerwieni, przyjmując końskie cielsko. Ja! Patrzę, jak oczy z wolna zamieniają się w szkło i mgłę.

Tomasz przyszedł do stajni, by zajrzeć do konia, bo zrobiło się dziwnie cicho.

W półmroku, z odległości, wydało mu się, że twarz i odzienie Diny pokryły świeże, mokre od deszczu płatki róży. Siedziała na klepisku, trzymając koński łeb. Wielkie, czarne cielsko zwierzęcia spoczywało spokojnie, a smukłe, mocne pęciny ułożyły się równiutko parami.

Krew musiała tu tryskać chyba dalekosiężnymi bryzgami. Wysoko na ścianę i na złote siano na klepisku.

– Boże mój! – westchnął Tomasz. Zerwał czapkę z głowy i usiadł koło Diny.

Nie wyglądało na to, by go dostrzegła.

On mimo to siedział. Aż ostatnie pokapujące krople zakrzepły na głębokim cięciu.

Wtedy Dina ostrożnie się uwolniła, kładąc łeb zwierzęcia na klepisku i przykrywając końskie ślepia grzywą. Potem wstała i otarła czoło. Jak lunaticzka, która ocknęła się podczas wędrówki.

Tomasz także się podniósł.

Dina uczyniła ostrzegawczy gest dłonią. Nie chciała rozmawiać, potem przeszła przez stajnię i wyszła na dwór, nie zamykając za sobą drzwi. Odgłos jej podkutych obcasów na zasłanej słomą podłodze rozbrzmiewał miękkim echem w całej stajni.

Później nastąpiła cisza.

Siekiera i nóż wróciły na miejsce. Stajnia została oczyszczona. Pokrwawione robocze ubrania trafiły do rzeki, obciążone solidnymi kamieniami. Rzeka porywała wszystko do morza.

Dina poszła do łaźni i rozpałała ogień pod wielkim kotłem. Usadowiła się na zydelku, czekając, aż piec, na którym stał kocioł z wodą, rozgrzeje się wystarczająco i para zacznie płynąć ku powale.

Wtedy wstała i zamknęła drzwi na haczyk. Zdjęła ze ściany wielką cynową balię i napelniła ją. Potem powoli się rozebrała. Tak, jakby odprawiała jakiś rytuał.

Każdą część garderoby przewróciła na drugą stronę, krwawymi plamami do wewnątrz. Jakby chciała je usunąć, nie patrząc na nie po prostu. Wreszcie całkiem naga zanurzyła się w wodzie.

Wycie zaczęło się gdzieś poza nią. Przygotowywało się w jej gardle. Wyrwało się na zewnątrz, rozdzierając na strzępki wszystko, co ją otaczało. Aż przyszła Hjertrud i na nowo poskładała wszystkie okruchy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

WCHODZĘ DO MEGO OGRODU, SIOSTRO MA, OBLUBIENICO;
ZBIERAM MIRRĘ MĄ Z MOIM BALSAMEM;
SPOŻYWAM PLASTER Z MIODEM MOIM;
PIJE WINO MOJE WRAZ Z MLEKIEM MOIM.
JEDZCIEŻ, PRZYJACIELE, PIJCIE,
UPAJAJCIE SIĘ, NAJDROŻSI!

(Pieśń nad Pieśniami, 5, 1)

Gdy Dina wybrała się do Kvaefjord, by obejrzyć obiecane konia, ze Strandsted przyjechał Leo Żukowski, Nie miał za wiele bagażu, ot, worek żeglarski i torbę podróżną. Peter ze składu spotkał cudzoziemca w przystani, bo właśnie zamknął już kram.

Gdy zrozumiał, że to nie jest spóźniony klient, ale gość, który ma przenocować, rozłożył ramiona i zaprosił Rosjanina do domu.

Leo stanął, przypatrując się szpalerowi jarzębinowych drzew. Uginały się właśnie pod brzemieniem krwistoczerwonych jagód. Wiatr porwał już wszystkie liście.

Leo wkroczył między drzewa. Pośród nagich konarów rozlegał się cichutki śpiew. Rosjanin zatrzymał się przed głównymi schodami. Jakby się rozmyślił. Odwrócił się i okrążył dom, by dotrzeć do tylnych drzwi. Worek i torbę rzucił na schody i zapukał. Po chwili był już w niebieskiej kuchni.

Oline poznała mężczyznę z bliźną. Z początku zachowywała się nieśmiało i sztywno, jakby nigdy w życiu nie przyjmowała gości na Reinsnes. Zaprosiła go do salonu, ale odmówił. Jeśli nie przeszkadza, wołałby zostać u niej.

Oline stanęła na chwilę, kryjąc dłonie pod fartuchem, po czym rzuciła się do przodu i klepnęła go w pierś.

– Wielkie dzięki za przesyłkę! Nie dostałam takiego podarku od czasów młodości! Niech panu Bóg błogosławi...

Była taka wzruszona, że musiała uderzyć go jeszcze mocniej.

To był nieoczekiwany gest, ale Leo roześmiał się i ucałował ją w oba policzki.

Nieco zakłopotana Oline odwróciła się i zaczęła dokładać do pieca.

– Że też pan pomyślał, by podarować mi coś tak pięknego jak ten kołnierz! – mówiła.

– Czy Oline nosi go czasami? – zapytał Rosjanin, patrząc jej prosto w oczy.

– O tak... ale to nie jest najważniejsze. W gruncie rzeczy prawie nigdzie nie bywam. A tu w kuchni nie mogę przecież chodzić taka wystrojona.

– Ale możesz chyba wystroić się czasami?

– Tak – odparła cichutko. Zęby już zakończyć ten temat.

– A kiedy Oline miała na sobie kołnier ostatnim razem?

– W Wigilię.

– Dawno temu.

– Owszem, ale miło mieć w szafie coś, co nie jest zniszczone i znoszone.

Leo objął jej plecy ciepłym spojrzeniem. Potem zaczął wypytywać o Reinsnes.

Dziewczeta co chwilę wtykały głowy przez drzwi kredensowe. Leo podawał wszystkim rękę. Oline przykazała przygotować największy pokój gościnny. Wydawała krótkie polecenia czy raczej hasła. Widać było, że wszyscy dobrze wiedzą, co mają robić. I że w gruncie rzeczy chodzi o to, by się ich pozbyć z kuchni.

Potem Oline podała kawę na kuchennym stole. Leo wyszedł na schody po swoją torbę podróżną. Namówił kobietę na kropelkę rumu. Oline siedziała i rozkwitała. Aż do chwili, gdy znów zapytał o Reinsnes.

– Matki Karen już nie ma między nami... – powiedziała, unosząc dłoń do oczu.

– Kiedy to się zdarzyło?

– Zeszłej jesieni. Wtedy gdy Dina wróciła z Tromsø. Tak, była w Tromsø, żeby załatwić dostawę mąki z Archangielska... Ale pan Leo przecież nic o tym nie wie.

Oline opowiedziała o śmierci Matki Karen. O tym, że Stine i Tomasz się pobrali, że mieszkają w oficynie i spodziewają się dziecka.

– Wygląda na to, że pojawia się zawsze po czyjejś śmierci. Ale Stine i Tomasz... bardzo się cieszą. Dziwne, że nic nie zauważyłem ostatnim razem. Że coś się kroi.

Oline miała nieco zakłopotany wyraz twarzy. Po chwili jednak usłyszał:

– Sami o tym za bardzo nie wiedzieli. Dina uznała, że to dobre rozwiązanie. I tak się stało. A teraz wygląda na to, że całe gospodarstwo na tym zyskało. Ale nie wszystkie kobiety na Reinsnes mają szczęście...

– Co Oline ma na myśli?

– Panią. Nie powinnam nic mówić. Ona jest za surowa. Także dla samej siebie. Ma w sobie jakiś żelazny węzeł... Nie ma szczęścia! To widać... Ale pewnie nie powinnam tego wszystkiego mówić.

– Nic nie szkodzi. Chyba rozumiem.

– Sama zaszlachtowała konia!

– Dlaczego?

– Był chory. Miał na podbrzuszu ranę, która nie chciała się goić. No i oczywiście był stary. Ale że też się na to zdobyła...

– Kochała tego konia?

– Jasne. Ale że też sama go zaszlachtowała...

- Zastrzeliła?
- Nie, zadźgała!
- Przecież żaden koń nie pozwoli się zadźgać.
- Oprócz konia Diny.

Twarz Oline zamieniła się zniecka w drewnianą ścianę bez okien i drzwi. Potem kucharka podeszła do pieca po imbryk z kawą i naląła jej im obojgu.

Zacząła mówić o tym, jak Leo schudł i zmizerniał.

Rosjanin uśmiechnął się szeroko i zapytał o dzieci.

– Beniamin przynajmniej tym razem pojechał z matką. Potrzebuje go chyba więcej teraz, gdy nie ma już konia.

– Przynajmniej tym razem?

– Tak, ten dzieciak nie wyjeżdża z Reinsnes... Oczywiście, bywa tu mnóstwo ludzi. Ale chłopak, który będzie musiał się zajmować takim wielkim gospodarstwem, powinien zwiedzić trochę świata!

– Jest jeszcze młody!

– Tak, tak... A Stine spodziewa się dziecka w październiku. No więc będzie trójka dzieci w oficynie. A żadnego w domu. To nie jest w porządku, że Beniamin nie otrzymuje wychowania godnego swego stanu. Matce Karen by się to nie podobało. Wołałaby, żeby wrócił do dużego domu.

– Beniamin nie mieszka z matką? – zapytał Leo.

– Nie, nie chce... chyba.

Leo przyjrzał się kobiecie w fartuchu.

– W jaki sposób podróżują Beniamin i Dina?

– Popłynęli małą łódką. Dina jest uparta, jeśli czegoś chce. Gdyby żyła Matka Karen, nie pozwoliłaby jej zabrać chłopaka na morze bez męskiej pomocy.

– I Dina uszanowałaby jej wolę?

– Uszanowała, nie uszanowała. Czy ja wiem? Ale nie zrobiłaby tego.

Oline uświadomiła sobie nagle, że opowiada temu obcemu mężczyźnie o rzeczach, o których się nie mówi. Zamrugła kilka razy i chciała to jakoś zakończyć.

Czy to ten koronkowy kołnierz, który jej Leo podarował? Czy to, że pytał tak wiele? Może oczy? Usprawiedliwiając się sama przed sobą, zajęła się wykładaniem ciasta na talerz i zmiataniem okruszków z haftowanej serwety.

– A Johan? Co u niego słychać? – zapytał Rosjanin.

– Siedzi w swojej małej parafii w Helgelandzie. Właściwie nie wiem, co u niego słychać. Nie pisze już do nas, od kiedy nie ma tu Matki Karen. Stał się całkiem obcy. Także dla mnie. Ale czuje się chyba lepiej, jak sądzę... Przez jakiś czas niedomagał.

– Oline martwi się o wszystko? – zagadnął Leo.

– Oj, tak, nic innego mi nie pozostało.

– Oline ciężko pracuje?

– Nie, nie brakuje rąk do pomocy... Zapadła cisza.

– A Dina? Kiedy się jej spodziewacie?

– Nie wcześniej niż jutro – odparła Oline, spoglądając na Rosjanina spod oka. – Ale Anders wróci ze Strandsted dziś wieczorem. Ucieszy się, że pan Leo przyjechał! Przygotowuje kliper i barkas do wyprawy na Lofoty. Mówi też o tym, że chce posłać dwa klipy do Bergen na wiosnę. Dobrze sobie radzi, muszę przyznać. Od kiedy zbudował sobie kajutę na barkasie, leży jak jakiś hrabia i sam łowi ryby. Od czasu do czasu. W zeszłym roku zawiózł wyposażenie i prowiant rybakom na Lofoty. I wrócił do domu z rybą, wątróbką i ikrą. Trochę kupił, trochę sam złowił. Barkas był wyładowany po brzegi!

Dina rzadko wyruszała na morze samotnie. Tym razem zdecydowała się na to. Rzucała tak ostre spojrzenia, że nikt nie miał ochoty jej towarzyszyć, skoro sama o to nie prosiła. Zabrała tylko Beniamina.

Beniamin siedział na wzgórzu flagowym, gdy Dina zjawiła się tam, by popatrzeć na parowiec. Pozdrowił ją tak, jak witał się z gośćmi, którzy mieli przenocować albo zaglądali do Stine na kawę w drodze ze składu.

Jego niebieskie oczy spoczęły na Dinie. Zmrużone, jakby Dina była cieniutką warstewką kurzu w powietrzu. Rysy Beniamina stawały się coraz wyrazistsze. Zaostrzyły mu się kości policzkowe i podbródek, włosy pociemniały w ciągu minionego roku. Niezdarne kończyny ciągle zawadzały. Miał nieprzyjemny zwyczaj ściągania ust w wąską kreskę.

– Ty także wyglądasz statku? – zapytała Dina.

– Tak.

– Myślisz, że ktoś dzisiaj przyjedzie?

– Nie.

– To dlaczego patrzysz?

– Bo parowiec jest taki brzydki.

– Patrzysz na parowiec, bo jest brzydki?

– Tak.

Dina usadowiła się na płaskim kamieniu koło masztu. Chłopiec uprzejmie usunął się na bok.

– Starczy miejsca dla nas obojga, Beniaminie.

Dina objęła nagle jego plecy ramieniem, ale chłopiec się wywinął. Niepostrzeżenie, jakby nie chciał jej zirytować.

– Chcesz pojechać ze mną do Kvaefjord obejrzeć nowego konia? – zapytała Dina w chwili, gdy parowiec zagwizdał.

Beniamin zwlekał z odpowiedzią, czekając na ciszę.

– Czemu nie – odparł pozornie zwyczajnym głosem. Jakby się lękał, że Dina się rozmyśli, jeśli zobaczy jego radość.

– No to załatwione. Płyniemy jutro.

Siedzieli jeszcze przez chwilę, przyglądając się mężczyznom wiosłującym w stronę statku.

- Dlaczego zadźgałaś Szatana?
- Był chory.
- Nie mógł wyzdrowieć?
- Mógł. Ale nie byłby już taki sam.
- Czy to ma jakieś znaczenie?
- Owszem.
- Dlaczego? Mogłabyś jeździć na innym koniu.
- Nie, nie mogę mieć konia, który stoi w stajni, podczas gdy ja jeżdżę na innym.
- Ale dlaczego sama to zrobiłaś?
- Bo to poważna sprawa.
- Mógł cię stratować na śmierć?
- Tak.
- Dlaczego robisz takie rzeczy?
- Robię to, co muszę – powiedziała, podnosząc się z miejsca.

Dina pytała Beniamina o radę w sprawie kupna konia. Jej zdaniem doszli do porozumienia. Koń nie zapowiadał się najlepiej. Miał zdradliwe oczy i wąską pierś. Nie na wiele się zdała spolegliwość, którą okazał, gdy dosiadła go Dina. Nie dobili targu.

– W przeciwnym razie musiałabym znaleźć kogoś, kto popłynąłby z tobą do domu – rzekła Dina niefrasobliwie. – Pewnie chodziło o to, byśmy wrócili do domu razem, ty i ja.

Przenocowali u referendarza. W zgodzie i harmonii.

Referendarz dostał wiadomość od asesora, że Leo Żukowski niedawno wyszedł na wolność.

Dina przyjęła tę nowinę z półprzymkniętymi oczami. Potem zaczęła tłumaczyć Dagny, że chętnie zabrałaby na Reinsnes portrety Hjertrud, o których miejsce na ścianie toczyły wojnę już od tylu lat.

Dagny poruszyła się niespokojnie. Ale przystała na propozycję. To całkiem niezłe rozwiązanie.

– I broszkę. Broszkę Hjertrud. Tę, którą przypinasz, gdy chcesz elegancko wyglądać. Chciałabym się nią zaopiekować – ciągnęła Dina.

Chłopcy i referendarz wiercili się jak na szpilkach. Tylko Beniamin najwyraźniej nie przejmował się tym, że siedzą na bombie. Przyglądał się każdemu z osobna. Jakby odkrył interesujący obrazek w książce.

Wszystko potoczyło się gładko. Niby nagły poryw wiatru, który zmienia kierunek. Dina wyjechała z broszką i obrazami.

Nastała już jesienna pogoda. I pomyślne wiatry.

Beniamin był dumny jak paw. Przez większą część podróży siedział u wioseł. Nie odzywał się za wiele. A jednak wydawał się zadowolony. Prawie szczęśliwy. Rozmawiali o tylu sprawach w drodze powrotnej.

Dina dostrzegała go! Słuchała tego, co miał do powiedzenia. Przez cały czas odpowiadała na jego pytania z wielką powagą. O Matkę Karen. O konia. O to, że chciałby zdobyć dobre wykształcenie, gdy będzie dorosły. Kto decyduje na Reinsnes. Dlaczego Anders ma dostać kliper po śmierci Diny. O wszystkie sprawy, o których Beniamin wiedział, choć dorośli nie przypuszczali, że i on ma uszy jak reszta ludzi. Odpowiadała na pytania, na które dotąd nie odpowiadano, gdy pytał.

Odpowiadała. Czasami wcale nie był mądrzejszy od tych jej odpowiedzi. Ale to nie miało znaczenia. Bo odpowiadała.

Zdarzało się, że mówiła „nie wiem”. Na przykład wtedy, gdy zapytał, czy zabierze go następnym razem. Albo gdy spytał, czy Johan jeszcze kiedyś przyjedzie na Reinsnes.

– Wszystko mi jedno, czy Johan przyjedzie do domu – powiedział.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

Dina nie podjęła tematu, nie pytała więcej. Dopłynęli prawie do pomostu.

– Wiosłujesz prawie tak dobrze jak Anders – zauważyła, gdy łódź otarła się o pierwsze kamienie.

Beniamin rozpromienił się na moment. Potem wyskoczył po męsku na ląd i przyciągnął łódkę do wielkiego kamienia, by Dina mogła dotrzeć na brzeg suchą stopą.

– A ty jesteś cholernie dobrym żeglarzem – powiedział i odwrócił się do niej, by wziąć bagaże, które mu podawała.

Obdarzył ją swym rzadkim uśmiechem. Ale Dina już nie przyjmowała od niego podarunków. Uniosła oczy i utkwiała je w jakimś punkcie na wzgórzu.

Aleją schodził właśnie mężczyzna w filcowym kapeluszu z szerokim rondem. Uniósł dłoń w pozdrowieniu.

Dina upuściła torby podróżne między wodorosty. I zaczęła powoli, ze świadomością celu, iść przez kamienie. Przez strefę przypiływów. Między zabudowaniami przystani. Przez gruz. Pod korony drzew; które strzegły drogi do domu.

Ostatni fragment drogi przebiegła. Zatrzymała się o krok od mężczyzny. A on otworzył ramiona. I już w nich zginęła.

Chłopiec na plaży spuścił głowę i wyciągnął łódkę na brzeg.

Ciężką łódkę.

Zabierali się już do deseru. W kątach czaił się jesienny mrok. Tego wieczoru nie żałowano świeczek.

Guwerner i Peter ze składu nie uczestniczyli w rozmowie. Mówili przeważnie Anders i Leo. Oczy Diny płonęły jak ognisko.

Stine nie siedziała przy stole. Nie jadła w stołowym od czasu zamążpójścia. Dobrowolnie wyrzekła się tego przywileju. Bo Tomasza nigdy nie zapraszano do jadalni w domu.

Teraz Stine wchodziła i wychodziła. Dbała, by niczego nie zabrakło. Jak szacowna stara panna. Mimo swego wielkiego brzucha poruszała się szybko i sprężysto niczym zwierzę.

Leo pozdrowił ją serdecznie, jak członka rodziny. Ale ona zachowywała uprzejmy dystans. Jakby chciała się obronić, uniknąć pytań.

Nikt nie wspominał o więzieniu i szpiegostwie. Ale w rozmowie pojawił się temat wojny. To oczywiste.

– Czy Rosjanie są zadowoleni z nowego cara? – spytał Anders.

– Zdania są podzielone. Ale już od dawna nie miałem wieści z Petersburga. W zasadzie zrobił, co mógł, w tej przegranej sprawie. I nie ma wyłącznie wojskowego wykształcenia, jak jego ojciec. Wręcz przeciwnie, jednym z jego nauczycieli był poeta, Wasilij Żukowski.

– Ktoś z twojej rodziny? – zapytała szybko Dina.

– Być może – uśmiechnął się.

– Sądzisz, że nauczyciel jest taki ważny? – zagadnęła Dina, rzucając spojrzenie guwernerowi Angellowi.

– Tak mi się wydaje.

– Ja mam Lorcha – rzekła Dina w zadumie.

– To ten, który panią nauczył grać na wiolonczeli i fortepianie? – zapytał guwerner.

– Tak.

– Gdzie on teraz jest?

– Trochę tu, trochę tam.

Stine weszła właśnie, by zatroszczyć się o podanie poobiedniej kawy. Wyprostowała się w chwili, gdy Dina mówiła te słowa. Potem spokojnie wyszła z izby. Anders wydawał się szczerze zdziwiony. Ale nic nie powiedział.

– Można sądzić, że nauczyciel ma spory wpływ – zauważył guwerner.

– Bez wątpienia – odparł Leo.

– Czy, pańskim zdaniem, wojna krymska była z góry przegrana, bo nikt nie nauczył żołnierzy walczyć? – zapytał guwerner z zainteresowaniem.

– Wojna, która ma żadnego sensu dla tych, co muszą walczyć, jest zawsze z góry przegrana. Wojna jest najskrajniejszą konsekwencją strachu, który sprawia, że ludzie nie potrafią mówić.

– To etyczna strona zagadnienia – orzekł guwerner.

– Nie sposób pominąć strony etycznej – zauważył Leo.

– Zawarcie pokoju oznacza, że Rosja popadnie w zależność? – dopytywał się Anders.

– Myślący Rosjanin jest najbardziej niezależną istotą pod słońcem – powiedział Leo łagodnie. – Ale Rosja to nie jest jeden głos. To chór! – dodał.

Andersowi deser smakował, ale na chwilę odłożył łyżeczkę na bok.

Dina pograżyła się w innej rzeczywistości. Wpatrywała się przed siebie i nie odpowiadała na spojrzenia, które inni ku niej kierowali. W końcu chwyciła serwetkę i otarła usta.

– Tak, ale gdzieś musi być klucz do tych drzwi – rzuciła w przestrzeń. – Tylko ja nie potrafię go znaleźć...

– Co pan sądzi na temat propozycji, by połączyć kraje nordyckie pod jedną flagą? – zagadnął nauczyciel.

– Zależy, co się ma na myśli, mówiąc o krajach nordyckich – odparł Leo wymijająco.

– To są wymysły teoretyków. Nie da się stopić razem popiołu i złota. Rozdziela się, gdy tylko ostygną – rzekł cierpko Anders.

– Nie jestem pewien, czy masz rację. Narody powinny widzieć coś więcej niż tylko siebie. Ludzie, którzy myślą wyłącznie o sobie, są zgubieni – powiedział Leo powoli, wpatrując się w talerzyk.

Dina spojrzała na niego ze zdziwieniem i roześmiała się.

– Czy zechciałabyś, Dino, oddać ostatnią przysługę stieranemu przez wojny Rosjaninowi? – zapytał łagodnie.

– Zależy jaką.

– Zagraj coś z nut, które przysłałem!

– Dobrze, jeśli wybierzesz się ze mną na niedźwiedzia, który zabił w zeszłym tygodniu dwie owce nad przepaścią – odparła z ożywieniem.

– Umowa stoi! Masz broń?

– Tak, Tomasz ma.

Dina podniosła się, zebrała fałdy granatowej sukni z joselinowym staniczkiem i usadowiła się za instrumentem.

Leo ją odprowadził, inni zaś usiedli w palarni przy otwartych drzwiach. Dłonie ich dwojga zmieniały się w rozżarzone węgle i ciernie przy każdym muśnięciu.

– Nie wszystkie nuty były równie łatwe – powiedziała.

– Ale miałaś sporo czasu, by poćwiczyć...

– Na to nie narzekam – odparła cierpko.

– Czy mogę wyrazić konkretne życzenie?

– Proszę.

– Chciałbym usłyszeć coś dla porażonych księżycem. Sonatę księżycowa Beethovena.

– Zapomniałeś ją przysłać.

– Nie, dostałaś ją. To *Sonata nr 14*.

– Mylisz się! Ona się tak nie nazywa. To jest *Sonata quasi una fantasia* – rzekła Dina z wyższością.

Leo usadowił się pomiędzy nią a mężczyznami w salonie, tak by mieć jej oczy tylko dla siebie. Blizna jakoś przyblakła tego wieczoru. Może dlatego, że cała twarz byk bleedsza.

– Oboje mamy rację. Na początku sonata nosiła taką nazwę, jaką znalazłaś w nutach. Ale autor ją przechrzczył na *Sonatę księżycowa*. Lubię tę nazwę... To jest muzyka dla porażonych księżycem...

– Być może. Ale ja wolę *Sonatę nr 23*, czyli *Appassionatę*.

– Ale najpierw zagraj dla mnie. – poprosił cicho.

Dina nie odpowiedziała. Znalazła nuty i usiadła. Pierwsze akordy zabrzmiały jak zgrzytliwy protest. Potem izbę wypełniły pieszczotliwe dźwięki.

Jak zwykle drzwi do kuchni i kredensu stały otworem, jak zwykle ucichła wszelka krzątanina. Oline i dziewczęta przesuwały się niby cienie we framugach drzwi.

Dina grała z zamkniętą twarzą. Palce przemykały po klawiaturze niczym gronostaje w zimowym futrze. Z wielką energią wyfruwały z batystowych krez mankietów.

Anders widział ze swego miejsca profil Diny. Rosjanin stał za jej krzesłem. Bezwstydnie położył swe zielone oczy na jej włosach, a dłonie na oparciu krzesła. Mimo to Anders podniósł pewną rękę i bezgłośnie zapalił cygaro. Twarz mu jaśniała intensywnie na tle mrocznej ściany. Zmarszczka między brwiami czyniła go niedosiężnym. Choć wyglądał raczej przyjaźnie.

W pewnej chwili napotkał spojrzenie Rosjanina. Szeroko otwarte. Skinął mu głową. Jakby skończyli partię szachów, którą Anders przegrał, nie żywiąc wrogości.

Anders zawsze był obserwatorem. Własnego życia i życia innych ludzi. Przeliczył w myślach miesiące między ostatnią wizytą Rosjanina na Reinsnes a żegluga przez sztorm. Potem spuścił głowę i pozwolił myślom ulecieć razem z dymem z cygara pod belki powały.

EPILOG

NIE PATRZCIE NA MNIE, ŻEM ŚNIADA,
ŻE MNIE SPALIŁO SŁOŃCE,
SYNOWIE MEJ MATKI ROZGNIEWALI SIĘ NA MNIE,
POSTAWILI MNIE NA STRAŻY WINNIC;
A JA MEJ WŁASNEJ WINNICY NIE USTRZEGLAM.
O TY, KTÓREGO MIŁUJE DUSZA MOJA,
WSKAŻ MI, GDZIE PASIESZ SWOJE STADA,
GDZIE DAJESZ IM SPOCZAĆ W POŁUDNIE,
ABYM SIĘ NIE BŁĄKAŁA
WŚRÓD STAD TWYCH TOWARZYSZY.

(Pieśń nad Pieśniami, 1, 6-7)

Światła w domu pogasły. Jedno po drugim. Tylko w sieni migotały dwa słabe płomyczki świec w masywnych świecznikach z kutego żelaza.

Dina i Leo wybrali się na przechadzkę, gdy już wszyscy się rozeszli. Dwie wielkie osiki rosnące koło płotu stały całkiem nagie na tle fioletowego nieba. Piasek przemieszany z muszelkami, otaczający serduszkowe rabatki Matki Karen, wyglądał w świetle księżyca jak morze trupich kości. Intensywnie pachniało jesienią.

Skierowali swe kroki w stronę altany, jakby się umówili. Gdy otworzyli cieniutkie drzwi, uderzyła ich fala wilgotnego powietrza. Szyby połyskiwały w świetle latarni Diny. Dina miała na sobie płaszcz i szal. Leo nie był tak dobrze ubrany. Ale na razie było mu ciepło.

Gdy tylko ustawiła latarnię na stole, otoczył ją złaknionymi ramionami.

– Dzięki! – powiedział.

– Za co dziękujesz?

– Za twoje fałszywe zeznania!

Ich ciała zachowywały się jak drzewa w środku burzy. Skazane na to, by trzymać się blisko siebie. By niszczyć się wzajemnie coraz bardziej i bardziej z każdym podmuchem wiatru, nie mogąc się przyznać do bólu.

– Czy dlatego cię wypuścili?

– To zrobiło swoje. Oraz to, że szyfr był całkiem niewinny.

– I znaczył coś innego zupełnie?

– Coś, co mieli odczytać ludzie, rozumiejący dwuznaczności języka rosyjskiego.

Pocałował Dinę, trzymając jej głowę w dłoniach.

Dach altany się rozszczępił i zawisło nad nimi niebo podobne do nakrapianego czernią gołębia. Czerwony piorun uderzył w kolorowe szybki. Latarnia zgasła. Za oknem czała się mewa podobna do sprężystej, czerwonej zjawy, tuż obok niej przepływał zielony księżyc. Kragły księżyc w pełni.

– Przyjechałeś! – powiedziała Dina, gdy już odzyskała oddech.

– Dostałaś kapelusza?

– Tak.

– I wąpiłaś?

– Tak.

– Tęskniłem... – szepnął Leo, wtulając usta w jej szyję. – Siedziałem za kratkami i tęskniłem.

– Jak tam było?

– Nie będziemy teraz o tym rozmawiać.

– To był pierwszy raz?

– Nie.

– A gdzie siedziałeś przedtem?

– W Rosji.

– Dlaczego?

– Dino! Czy muszę cię bez przerwy całować, żebyś nie zadawała pytań?

– Tak! Dlaczego tu przyjechałeś, Leo?

– Ponieważ wciąż kocham wdowę po armatorze, Dinę Grønely.

Dina ciężko westchnęła. Jak stary kosiarz, który wreszcie dobrnął do wieczora, spędziwszy długi dzień w polu. Potem ugryzła go w policzek.

– Co to znaczy, gdy Leo Żukowski mówi, że kocha?

– Że chcę poznać twoją duszę. Że chcę, by błogosławieństwo z organowej antresoli w kościele powtarzało się w nieskończoność.

Jakby usłyszała jakieś hasło, Dina wstała i poprowadziła go za sobą.

Na stole została martwa latarnia. Poszli prosto po błogosławieństwo.

O trzeciej w nocy w sypialni rozległy się dźwięki wiolonczeli Lorcha. Anders przewrócił się w łóżku. Księżyc rzucał na niego samotny cień okiennej framugi. Anders postanowił wybrać się po drewno do Namsos jeszcze przed zimą. Zasnął jednak dopiero nad ranem.

Beniamin także słyszał wiolonczelę Lorcha. Dźwięki płynęły przez dziedziniec i docierały na poddasze oficyny.

Beniamin oglądał przyjęcie przez okna jadalni. Ten ciemny, wielki mężczyzna ze szkaradną blizną patrzył na Dinę. Jakby była jego własnością.

Stine wołała go o wiele wcześniej, prosząc, by się przebrał i wszedł do środka.

Ale Beniamin Grøneltv przypląnął tego dnia z Fagerness.

I został opuszczony na przybrzeżnych kamieniach.

Dina powinna sama poprosić go do stołu!

Beniamin widział, że ona tego nie zrobi.

Leo poszedł za Diną do sypialni. Jak wódz armii, który wreszcie wkracza na stopnie triumfalnego rydwanu, zdobywszy największe miasto w kraju. Już w sieni zdjął jej płaszcz i buty.

W czarnym piecu cichutko buzował ogień, który Anette roznieciła wczesnym wieczorem.

Dina zapaliła świece w kandelabrze na toaletce i zgasiła lampę.

Leo stał i patrzył, jak Dina się rozbiera. Gdy zdjęła gorsecik sukni, westchnął, zataczając dłońmi kręgi na jej nagich ramionach.

Gdy zdjęła koszulę, wysunęły się jej piersi. Były niby oswobodzeni więźniowie w jego rękach. Błyszczące, każda z mrocznym wzniesieniem, rosnącym pod jego palcami. Pochylił się, by ugasić nimi pragnienie.

Dina manipulowała gdzieś koło paska przy spódnicy. Tkanina zaszeleściła miękko. Cała wieczność tkaniny. Wreszcie Dina została w pantalonach.

Leo pozwolił spłynąć dłoniom wzdłuż jej bioder i znów westchnął. Znalazł wszystkie kształty, których szukał. Gorącą skórę pod najdelikatniejszym indyjskim perkałem. Ogarnęło go szaleństwo. Choć każde z nich stało jeszcze na własnych nogach.

Dina wyślizgnęła się i zdjęła mężczyźnie kamizelkę, zaglądając mu przy tym w oczy. Rozluźniła chustkę, którą miał na szyi, i ściągnęła ją. Potem to samo zrobiła z koszulą.

Leo stał z półprzymkniętymi oczami, rozkosz malowała się na jego twarzy. Szeroki skórzany pas z mosiężną sprzączką. Skórzane spodnie. Dina pochyliła się nad nim, krzątała się wokół niego. Miała spokojne i ciepłe palce. Wreszcie stał przed nią całkiem nagi.

Wtedy osunęła się na kolana i przygłnęła do niego twarzą. Należał do niej, wzięła go we władanie. Ustami i dłońmi.

Leo podniósł tę roślą kobietę, by umieścić ją na swych biodrach. Ramiona mu drżały z wysiłku. Z początku tylko nieznacznie poruszał lędźwiami.

Pieszczotliwe, pełne rozkoszy ruchy. Samiec pardwy, który napiera, nim się zacznie parzyć. Potem powoli wtargnął w nią. Nabił ją na siebie niby potężną tarczę, chroniącą przed wszystkimi zagrożeniami.

Dina odpowiedziała, oplatając go ramionami i udami. Trzymając mocno. Aż ogarnął go spokój. Wtedy uniosła swą pierś do jego ust i wczepiła się w niego mocnymi ramionami.

Leo zmienił się w cylinder w olbrzymiej maszynierii. Wślizgujący się. Twardo. Głęboko.

Jazda się zaczęła. Pragnienie i głód.

Pożądanie!

W końcu położył ją na podłodze. Czekał, czekał na nią.

Miał takie twarde biodra! Taki podniecający oddech! Takie dogłębne pchnięcie! Zapędził ją w róg, mamił, doprowadzał grę do crescendo.

Gdy odrzuciła głowę do tyłu, chwycił ją za biodra i ruszył galopem.

Dina go przyjęła.

Złączyli się w jedność rozedrganymi pachwinami. Każde wzięło na siebie ciężar tego drugiego. Splątani w gordyjski węzeł przed czarnym piecem, widzieli czerwone, pełzające płomyki w jego wnętrzu.

„SCHWYTAJCIE NAM LISY,
MAŁE LISY, CO PUSTOSZĄ WINNICE,
DO W KWIECIU SA WINNICE NASZE”.
MÓJ MIŁY JEST MÓJ, A JA JESTEM JEGO,
ONA STADA SWE PASIE WŚRÓD LILII.

(Pieśń nad Pieśniami, 2, 15-16)

Gdy zjawiła się Anette, by napalić w piecu, zastała drzwi zamknięte. Podreptała do pokoju gościnnego i znalazła nietknięte łóżko. Zeszła na dół do kuchni, do Oline, i stanęła bezradnie z rękami wsuniętymi za zgrzebny fartuch.

– Czego tak stoisz? – spytała Oline. – Nie powinnaś już kończyć palenia w piecach?

– Sypialnia jest zamknięta!

– No to napal w pokoju gościnnym i tyle! Anders już wstał i wyszedł, więc nie musisz...

– W pokoju gościnnym nie ma nikogo!

Oline odwróciła się i wlepiła wzrok w dziewczynę. Za krągłymi jabłuszkami jej oczu coś błyskało.

– Chyba możesz napalić, chociaż nikogo nie ma! Boisz się duchów w jasny dzień!

– Ale...

– Żadnego ale! – prychnęła Oline, popychając przy tym imbryk stojący na piecu, aż wrzątek prysnął z dzióbka.

– A co z piecem w sypialni?

– Co z piecem, co z piecem? – przedrzeźniała ją Oline. – Słyszałaś, żeby komuś się udało napalić w piecu przez zamknięte drzwi?

– Nie.

– No właśnie! Nie stój tu i nie rozdziawiaj gęby! I ani słowa! – Oline zbliżyła twarz do twarzy dziewczyny i warknęła:

– Ani słowa o pustych łóżkach! Rozumiesz?

– Tak...

Beniamin czekał, aż Dina pojawi się na dziedzińcu.

– Popłyniemy gdzieś?

– Nie, dziś nie, Beniaminie.

– Popłyniesz z Rosjaninem?

– Nie.

– To co będziesz robić?

– Pójdę z Rosjaninem na polowanie.

– Kobiety nie chodzą na polowanie.

– Ja chodzę.

– Mogę iść z wami?

– Nie.

– Dlaczego?

– Dzieciaki nie mogą pętać się po krzakach, gdy strzela się do niedźwiedzia.

– Nie jestem dzieciakiem!

– A kim jesteś?

– Jestem Beniamin z Reinsnes.

Dina uśmiechnęła się i objęła go za szyję.

– To prawda. Niedługo nauczę cię strzelać z rusznicy.

– Dzisiaj?

– Nie, nie dzisiaj.

Beniamin odwrócił się gwałtownie i pobiegł na dół, do przystani.

Dina zadrżała do Tomasza do stajni i zapytała, czy może pożyczyć jego rusznicę.

Tomasz spojrział na nią przeciągle, uśmiechnął się cierpko i skinął głową bez słowa. Znalazł róg z prochem i ładownicę, po czym zdjął broń ze ściany.

– Rosjanin sobie z tym nie poradzi, bo jest przyzwyczajony tylko do pistoletu.

– Wiesz tak dobrze, na jakiej broni zna się pan Leo?

– Nie, ale wątpię, żeby się znał na rusznicach!

– A ty się znasz?

– Znam tę rusznicę na wylot. Ma świetny celownik. I nikt lepiej nie trafia niż ja...

Dina wiała się jak wąż.

– Uważasz, że ta strzelanina wcale nie jest konieczna? – rzuciła lekko.

– Dlaczego, polowanie to niezła rzecz – odparł Tomasz.

– Co masz na myśli?

Podeszła do niego bardzo blisko. Byli sami w stajni.

– Nic nie mam na myśli. Tylko tyle, że ty też wcale nie dbasz tak bardzo, by trafić w to, na co zamierzałaś polować. Na przykład w zajaca – dodał, patrząc jej prosto w oczy.

Dina chwyciła broń i wyszła ze stajni.

Szli ścieżką w stronę lasu, w którym mieszkaly pardwy. Dina przodem. Odwracała się co chwila z uśmiechem młodej dziewczyny. Była w samodziiałowej spódnicy do kostek i krótkiej kurtce. Włosy związała na karku wstążką. Niosła rusznicę, jakby trzymała w rękę piórko.

Leo patrzył na nią z tyłu. Iskrzyła się w promieniach słońca.

Pierwsze nocne przymrozki zostawiły już wyraźne ślady. Kępki borówek potyskiwały metalicznie. Czerwone jagody, ciężkie od soku, zwisały między oleistymi liśćmi.

Żadne z nich nie rozglądało się za niedźwiedziem. Nie spostrzegli też chłopca, który skradał się ich śladem. Dobrze ukryty pośród jałowców i zarośli. Szli po to, by być tylko we dwoje.

Dina odłożyła broń i czekała na niego za wielkim głazem. Skoczyła na męczyznę jak ryś.

Leo chwycił ją w objęcia gorące niczym smoła wrząca na ogniu. Tutaj on objął władzę. Poskromił ją, nakrył sobą pośród wrzosów, aż jęknęła i ugryzła go w szyję. Potem przyłgął do niej, olbrzymi i ciężki. Podwijał szerokie fałdy spódnicy, aż znalazł nagie ciało.

– Kocham cię, Dino! – mruczał z głębin stawu. W którym lilie wodne płynęły przez sitowie. Nad spienioną wodą unosił się intensywny, świeży zapach ziemi. Gdzieś na skraju dyszało wielkie zwierzę.

- Chcesz mnie udusić? – jęknęła nasycona Dina.
- Biorę tylko to, co przygotowałaś – odparł bez tchu.
- Nie dość ci całej nocy?
- Nie.
- Czy kiedykolwiek będziesz miał dość?
- Nie.
- Więc co zrobimy?
- Będę musiał wrócić. Wracać... wracać...

Dina zeszywniała pod jego ciężarem.

- Chcesz wyjechać?
- Nie dzisiaj.

Zrzuciła go z siebie, oszalała z wściekłości. Usiadła. Wielki kot, który przeciągając się, patrzy swej ofierze prosto w oczy.

- Kiedy?
- Następnym parowcem.
- I mówisz to teraz?
- Tak.
- Czemu nie powiedziałeś wczoraj? – krzyknęła.
- Wczoraj? Dlaczego?
- Jeszcze pytasz?
- Dino... – rzeki cicho i chciał ją objąć.

Odepchnęła go i ukłękła pośród wrzosów.

- Wiedziałaś, że muszę wyjechać – powiedział błagalnie.
- Nie!
- Przecież mówiłem. Jeszcze w Tromsø.

– Napisałeś, że... że przyjedziesz, choćby się wszystko waliło. Przyjechałeś na Reinsnes, żeby tu zostać!

- Nie, Dino, nie mogę.
- To dlaczego tu jesteś?
- Chciałem cię zobaczyć.

– Myślisz, że Dinie z Reinsnes wystarczy, że ktoś przyjeżdża, aby ją zobaczyć? – Jej głos był wyciem wygłodniałego wilka wśród śnieżnych zasp. – Myślisz, że możesz sobie przyjeżdżać, nasycić się, a potem znowu wyjeżdżać? Czyżbyś był taki głupi? – ciągnęła.

Leo patrzył jej prosto w oczy.

– Czy ja ci coś obiecałem, Dino? Rozmawialiśmy o małżeństwie, pamiętasz? Czy ci coś obiecałem?

– Człowiek nie zawsze trzyma się słów! – odcięła się.

– Sądziłem, że się rozumiemy.

Dina nie odpowiedziała. Podniosła się, strzepnęła spódnicę ostrymi szponami. Z pobiegała twarzą. Z oszroniałymi ustami. Z oczami zamrożonymi aż do dna.

Leo także wstał. Kilkakrotnie wymówił jej imię, jakby dopraszał się łaski.

– Myślisz, że ludzie mogą wyjeżdżać z Reinsnes bez mojej zgody? Myślisz, że mogą sobie przyjeżdżać tu, zasiewać swoje ziarno i odchodzić? Uważasz, że to takie proste?

Leo nie odpowiedział. Odwrócił tylko nieco twarz i ponownie usiadł na wrzosowisku. Jakby chciał ją obłaskawić, pozwalając wylać na siebie całą wściekłość.

– Muszę wrócić do Rosji... Wiesz, że zajmuję się sprawami, które trzeba doprowadzić do końca.

– Jakub chciał tu zostać – rzuciła w powietrze. – Ale musiał odejść... Mam go tu. Na zawsze!

– Nie zamierzam umierać, mimo że twój mąż umarł. Jeśli będą jakieś dzieci, to...

Zaśmiała się cierpko, chwyciła rusznicę i ruszyła w las, jakby ku czemuś zmierzała.

Leo podniósł się i poszedł za nią. Po chwili zrozumiał, że Dina zaczęła polowanie. Była napięta, czujna. Jakby zmieniała swą wściekłość w głęboką koncentrację, która jest niezbędna podczas polowania. Bezszelestnie przemykała między drzewami.

Leo uśmiechnął się.

Beniamin pilnował ich ze swego punktu obserwacyjnego. Z wielkiej osiki ponad piarżyskiem. Przez jakiś czas siedział cicho i patrzył na ich uściski za wielkim głazem. Czoło naznaczyły mu głębokie zmarszczki, otworzył usta. Od czasu do czasu drżał mu kącik ust.

Nie słyszał, o czym rozmawiają tam, na dole. Gdy już skończyli i ruszyli przed siebie, stracił ich na chwilę z oczu.

Ale skradał się ich śladem. Chciał zobaczyć wszystko, sam nie będąc rozpoznany.

Leo szedł spokojnie za Diną i przyglądał się jej ciału.

Kobieca postać syciła się niskim, jesiennym słońcem i szukała jego plam pośród korzeni i zarośli.

Dina stanęła i odwróciła się, gdy dotarli do skraju dużej polany.

– Jakub spadł w przepaść, ponieważ nie wiedział, kim jestem.

– Co masz na myśli? – zapytał Leo. Odetchnął z ulgą, słysząc, że do niego mówi.

– Musiał tam spaść. Bo ja tego chciałam.

– Jak to? – szepnął.

Dina cofnęła się o parę kroków. Powoli. Z opuszczonymi ramionami.

– Pozwoliłam, by sanie runęły.

Leo przełknął ślinę i chciał do niej podejść.

– Stój tam! – rozkazała.

Pozwolił, by nogi wrosły mu we wrzosowisko.

– Niels też nic nie rozumiał. Ale zrobił to sam.

– Dino!

– Płód, który poroniłam na morzu, także jest bezpieczniejszy u Hjertrud... Bo nie przyjechałeś!

– Dino, chodź tutaj! Wyjaśnij mi, o czym mówisz! Proszę cię!

Znowu odwróciła się do niego plecami. I zaczęła iść powoli przez otwartą przestrzeń.

– Pojedziesz do Rosji? – spytała, nie zatrzymując się.

– Wrócę tu. Co mówiłaś o płodzie...

– A jeśli nie wrócisz?

– To wówczas ty będziesz ostatnią moją myślą. Opowiedz, co się zdarzyło podczas waszej podróży, Dino!

– Jakub i wszyscy inni są u mnie. Potrzebują mnie.

– Oni nie żyją. Nie możesz dźwigać winy za...

– Co ty wiesz o winie?

– Trochę wiem. Zabiłem wielu ludzi...

Dina odwróciła się błyskawicznie. Stała i wpatrywała się w niego.

– Tylko tak mówisz – rzekła z wściekłością.

– Nie, Dino. To byli zdrajcy, którzy mogli sprowadzić śmierć na innych. A jednak... czuję się winny.

– Zdrajcy! Wiesz, jak oni wyglądają?

– Mają wiele twarzy. Mogą wyglądać jak Dina Grønelv! Która chce zmusić mężczyznę, by nosił jej spódnice.

*Jam jest Dina, która widzi, jak Leo wynurza się z cienia.
Zarośnięty, zawszawiony, obdarty. Trzyma pistolet z pojedynku
Puszkina przed sobą, tak bym myślała, że to tomik poezji. Chce mi
coś zrobić. Ale trzymam go o krok od siebie. Załadowałam rusznicę
na polowanie. Leo nie wie, co jest dla mego najlepsze. Chce
opowiedzieć coś o nowym carze, Aleksandrze Drugim. Ale ja jestem
zmęczona. Tak długo szłam. Nie mam konia.*

*Jam jest Dina, która mówi do złoczyńcy: „Dziś spotkasz Hjertrud.
Ona cię wyzwoli z tych wszystkich tchórzliwych myśli, nie będziesz
musiał uciekać jak zdrajca”.*

*Wskazuję Kaina i znaczę jego czoło. Zęby go rozpoznać. Bo będzie
wybrany i chroniony. Przez całą wieczność.*

*Kładę go na wrzosowisku, żeby był już zawsze bezpieczny w
objęciach Hjertrud. Patrzę na niego. Coś ciągle drży w jego
zielonych oczach. On do mnie mówi. Piękna czerwona strużka
wypływa z jego ust na moje ramię. Obejmuję jego głowę, by nie
leżał sam w ciemnościach. Zobaczył Hjertrud.*

*Słyszysz mnie, Barabasz? Lorch będzie ci grał na wiolonczeli. Nie,
na fortepianie! Zagra Sonatę quasi una fantasia. Czy widzisz, kim
jestem? Znasz mnie?*

Czy na zawsze jestem na to skazana?

Na skale nagle stanął chłopiec. Jego krzyk rozdarł niebo. Sekundy zwarły się ze sobą pośród słonecznych iskier.

*Jam jest Dina, która widzi, jak Beniamin wylania się ze skały.
Zrodzony z chwastów i żelaza. Jego twarz wykrzywił rozdzierający
ból.*

*Jam jest oko Hjertrud, które widzi dziecię, które widzi siebie. Jam
jest Dina – która widzi!*